

SAM BOURNE RACHUNEK ZEMSTY

GDY SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST BEZSILNA, POZOSTAJE TYLKO ZEMSTA...



SAM BOURNE

RACHUNEK ZEMSTY

GDY SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST BEZSILNA, POZOSTAJE TYLKO ZEMSTA...





www.jonathanfreedland.com



Tom Byrne był kiedyś prawnikiem idealistą. Teraz gotów jest pracować dla każdego – pod warunkiem, że honorarium okaże się wystarczająco wysokie. Bez oporów przyjmuje poufne zlecenie od radcy prawnego ONZ, działającego w imieniu samego sekretarza generalnego.

Przed siedzibą Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku został przez pomyłkę zastrzelony niewinny mężczyzna, 77-letni Gerald Merton, którego ochroniarz wziął za usiłującego zdetonować bombę zamachowca-samobójcę.

Tom ma dogadać się z córką zabitego, Rebeccą, aby wyciszyć sprawę i uniknąć skandalu. Wkrótce wychodzi na jaw, że Merton nie był tak niewinny, jak początkowo sądzono. Z notesu zmarłego Tom dowiaduje się, że starzec należał do tajnej organizacji DIN, odpowiedzialnej za setki niewyjaśnionych zgonów na całym świecie. Czy wykonywał jakąś misję w Nowym Jorku? Kto mógł znaleźć się na jego celowniku? Ścigani przez ludzi gotowych na wszystko, by ich powstrzymać, Tom i Rebecca próbują odkryć tajemnicę skrywaną od ponad sześćdziesięciu lat – ostatni wielki sekret II wojny światowej...

SAM

BOURNE

RACHUNEK

ZEMSTY

Z angielskiego przełożył

KRZYSZTOF OBLUCKI

Tytuł oryginału: THE FINAL RECKONING

Copyright © Jonathan Freedland 2008

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Krzysztof Obłucki 2011

Redakcja:

Jacek Ring

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

JSBN 978-83-7659-505-4

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a.

Poznańska 91,

05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie I Druk:

WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dla Sarah: *Ani l'dodi, v'dodi li*

Prolog

Długopis zawisał wielokrotnie nad tymi kartkami. Tak bardzo chcia-

łem przelać na nie moją historię – ale się wahałem. Za każdym razem zaczynałem zdanie jedynie po to, żeby po chwili się wycofać. Nawet w tym momencie długopis ciąży mi w dłoni.

Jednak nie zostało wiele czasu, teraz już to wiem. Rozumiem, że gdybym miał zostawić te strony puste, wszystko, czego byłem świadkiem, poszłoby na zawsze w niepamięć.

Dlatego proszę o wybaczenie, jeśli to, co tu przeczytacie, wyda się drastyczne i będzie was prześladowało tak samo, jak prześladowało mnie. Nie będzie tu żadnej przesady, żadnych kłamstw. Może nie powiem wszystkiego, niemniej wyjawię samą prawdę. Jest tu to, co się stało. Niektórzy z was już o tym wiedzą, inni nie. W tej chwili to moja historia, ale wkrótce będzie też wasza.

Rozdział 1

Dzień odmieniający życie albo je kończący rzadko poprzedza ostrze-

żenie. Nie ma żadnych znaków na niebie, żadnych czarnych kruków na słupie, żadnej ścieżki dźwiękowej w tonacji mol. Dla Felipe Tavaresa, pracownika ochrony w Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, 23 września zaczął się jak zwykły poniedziałek.

Przyjechał z Long Island pociągiem o 6.15, kupił cappuccino i ba-beczkę z jagodami, co było ustępstwem wobec żony, machnął przepustką facetom przy drzwiach i skierował się do podziemi gmachu organizacji, w której pracował przez ostatnie trzy lata. Otworzył tam swoją szafkę, wyjął niebieski mundur funkcjonariusza służb ochrony ONZ, uzupełnił

go pasem z szelką naramienną oraz mosiężną odznaką, która nadal budziła w nim poczucie dumy, i ubrał się przed rozpoczęciem zmiany.

Potem poszedł do magazynu broni, żeby pobrać sprzęt. Wręczył tam identyfikacyjną kartę chipową ze zdjęciem, pobrał glocka 9 mm, standardowe wyposażenie większości funkcjonariuszy tych miniaturowych służb policyjnych odpowiedzialnych za ochronę międzynarodowego obszaru, jakim był teren Organizacji Narodów Zjednoczonych, i wszystkiego, co się na nim znajdowało. Felipe wyjął amunicję z kieszeni w 9

pasie i załadował, ostrożnie wkładając naboje do magazynka, żeby uniknąć przypadkowego strzału. Kiedy broń znalazła się już w kaburze przy pasie razem z pałką model policyjny P38 z rączką, gazem pieprzowym i kajdankami, ruszył do znajdującej się w podziemiach „przygotowalni”.

Tam zajął swoje miejsce w szeregu, gdzie on i jego koledzy ochroniarze zostali poddani przeglądowi przez oficera, który sprawdzał, czy podwładni mu mężczyźni i kobiety są schludni, trzeźwi i gotowi do służby.

Skoro to zostało załatwione, skierował się z powrotem do głównego wejścia przy Pierwszej Alei

pomiędzy ulicami Czterdziestą Piątą a Czterdziestą Szóstą, żeby zacząć, jak przypuszczał, kolejny długi dzień sprawdzania przepustek i udzielania odpowiedzi na pytania turystów.

Było dość ciepło, choć deszcz wisiał w powietrzu, dlatego włożył nieprzemakalną pomarańczowo-czarną pelerynę. Praca zapowiadała się na bardzo nudną, ale on się tym nie przejmował. Felipe Tavares marzył

wcześniej o ucieczce od harówki w małej portugalskiej miejscinie, gdzie się urodził i dorastał, i gdyby szybko się z niej nie wyniósł, pewnie by tam umarł. Udało mu się jednak i znajdował się teraz w Nowym Jorku, a już samo to było wystarczająco ekscytujące.

* * *

W tym samym momencie, po drugiej stronie miasta w Tribecce, w jednej z bocznych ulic będącej właściwie zaułkiem, Marcus Mack dokonywał

porannych rutynowych czynności. Afroamerykanin przed trzydziestką, noszący luźne, powycierane dżinsy, z głową pokrytą dreadami i wy-

świechtaną torbą Crumplera na laptop przewieszoną przez ramię, sprawdzał swój zaparkowany samochód. Gdyby ktoś go obserwował, pomy-

ślałby, że jest po prostu dumny z podrasowanego, choć starego pontiaca, i że klękając przy tylnym kole od strony kierowcy, sprawdza ciśnienie w oponie. Prawdopodobnie nie spostrzegłby, że maca wgłębienie nad ko-

łem i znajduje przymocowany tam taśmą klejącą telefon komórkowy.

Marcus wziął go i zaczął iść.

10

Może minutę później telefon zadzwonił, zgodnie z oczekiwaniami Marcusa. Głos w słuchawce brzmiał znajomo, ale Marcus i tak dobrze wiedział, że nie musi się witać. Usłyszał cztery słowa: „Kawiarnia Athens, siódma trzydzieści” – a potem ten ktoś się rozłączył. Na rogu ulicy bez żadnych ceregieli Mack wyrzucił telefon do kosza na śmieci.

W kawiarni panował tłok, tak jak lubił prowadzący go agent. Marcus wypatrzył go od razu na stołku przy oknie, kolejny szary garnitur czytający gazetę. Zajął miejsce obok i wyciągnął laptopa. Nie nawiązali kontaktu wzrokowego.

Telefon agenta zadzwonił, a on udawał, że odebrał połączenie. W

rzeczywistości mówił do Marcusa, którego oczy pozostawały wpatrzone w monitor komputera stojącego przed nim.

—

Wykryliśmy ruchy w Brighton Beach. Rosjanin.

Nie musiał mówić nic więcej. Marcus wiedział o Rosjaninie, podobnie jak pozostali członkowie jego zespołu z wydziału wywiadu nowojorskiej policji. Rosjanin był handlarzem broni, którego namierzono przed rokiem. Wydział miał wystarczająco materiału, żeby faceta od razu zamknąć, ale z góry przyszło polecenie: „Zostawić go w grze”. To była znana taktyka. Pozostawić złego gościa w interesie, obserwować, kto do niego przychodzi i kto od niego wychodzi, i mieć nadzieję, że doprowadzi do jeszcze gorszych typów. Zarzuć płótkę, złowisz rekina.

—

Kamera monitorująca zarejestrowała mężczyznę w czerni wchodzącego do lokum Rosjanina zeszłej nocy i wychodzącego godzinę póź-

niej. Ślad za nim prowadził do hotelu Tudor przy zbiegu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Drugiej Alei.

Marcus nie reagował, nie przerywał stukania w klawisze, dla całego świata wyglądał jak zwykły mieszkaniec miasta przeszukujący bibliotekę iTunes. Ale wiedział, co oznaczała ta lokalizacja. Tudor był hotelem znajdującym się prawdopodobnie najbliżej gmachu ONZ. A to był wielki tydzień dla ONZ. Głowy państw z całego świata zjechały do Nowego Jorku, żeby wygłosić przemówienia na Zgromadzeniu Ogólnym. Agenci amerykańskiej Secret Service szwendali się po całym budynku, 11

przygotowując wizytę prezydenta pod koniec tego tygodnia, ale i bez niego było tam już więcej niż sto celów wartych zachodu, wszystkie ścieśnione w kilku przecznicach na Manhattanie od siedemdziesięciu dwóch, pełnych napięcia godzin. W tygodniu takim jak ten wszystko było możliwe. Jakiś Kurd mógł dokonać zamachu na szefa tureckiego rządu lub baskijski separatysta był zdecydowany wysadzić w powietrze hiszpańskiego premiera, co świetnie by się nadawało do telewizji.

—

Wczoraj wieczorem założono podsłuch w centrali telefonicznej w hotelu Tudor. Nagrano rozmowę gościa dzwoniącego dziś rano do recepcji, który pytał o godziny zwiedzania ONZ. „Czy to prawda, że turyści mogą bez problemu wejść do samej izby Rady Bezpieczeństwa?”.

—

Akcent? – Było to pierwsze słowo wypowiedziane przez Marcusa.

—

Częściowo brytyjski, częściowo „zagraniczny”.

—

Okay.

–
Musisz tam pójść. Nie spuszczaaj go z oka.

–
Wygląd?

–
Biały mężczyzna. Metr siedemdziesiąt. Ciężka czarna jesionka, czarna wełniana czapka.

–
Waga?

–
Trudno powiedzieć. Jesionka jest obszerna.

–
Wsparcie?

–
Jest tam drużyna.

* * *

Felipe Tavares był teraz na zewnątrz. Za nim znajdowało się białe prowizoryczne zadaszenie służące za przedsionek dla gości ONZ – nadal w dobrym stanie po pięciu latach. Z powodu wczesnej pory turystów było niewielu. Jak na razie zjawiali się zwykli pracownicy ONZ, przepustki dyndały im na szyjach niczym naszymi naszyjnikami. Niewiele pracy dla 12

ochroniarza. Spojrzał w górę na ciemniejące niebo. Nadchodził deszcz.

* * *

Marcus ustawił się na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Drugiej Alei

– ciągle nazywanym rogiem Nelsona i Winnie Mandelów – w wejściu do baru McFadden's. Po przekątnej miał hotel Tudor. Pierwsze krople deszczu okazały się pomocne; dały mu powód do beczynnego przestawiania tutaj. I oznaczały, że portier hotelowy, w pelerynie i czapce z daszkiem, był zbyt zajęty parasolami i drzwiami taksówek, żeby zwrócić uwagę na podejrzanego faceta z dreadami, stojącego po drugiej stronie ulicy.

Było tak, jak Marcus lubił; stał się niezauważalny. Wyspecjalizował

się w tym w dawniejszych czasach, gdy pracował jako tajny agent w wydziale do spraw narkotyków nowojorskiej policji. Rok wcześniej przeniósł się do wywiadu i teraz cały czas wykorzystywał tę umiejętność.

Tysiąc kobiet i mężczyzn wchodzących w skład szpiegowskiej agencji Nowego Jorku, dziedzictwie po 11 września, zachowywało to w sekrecie przed wszystkimi: opinią publiczną, złoczyńcami, a nawet przed kolegami gliniarzami.

Czekał dwadzieścia pięć minut, kiedy wreszcie coś zobaczył. Zarys czerni wylaniający się z obrotowych drzwi hotelu. W chwili gdy postać obracała się w jego stronę, portier ruszył z parasolem, zasłaniając Marcu-sowi widok twarzy mężczyzny. W momencie gdy parasol się przesunął, czarna postać obróciła się w prawo. W kierunku gmachu ONZ.

Marcus odezwał się do urządzenia, które ludzie wokół niego wzięli z pewnością za zestaw słuchawkowy bluetooth do telefonu komórkowego.

– Obiekt się porusza.

Ruszył za mężczyzną, nie czekając na odpowiedź. Szedł po drugiej stronie sześciopasmowej, zapełnionej samochodami Czerdziej Drugiej Ulicy, trzymając się kilka kroków z tyłu.

13

Mamy potwierdzenie rozpoznania? – zatrzeszczał głos w jego uchu.

Marcus rzucił kolejne spojrzenie. Mężczyzna był opatulony w grubą, ciemną jesionkę, o której wspominał agent prowadzący, głowę zakrywa-

ła mu czarna wełniana czapka nasunięta nisko na czoło, i nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. Obiekt pasował idealnie do opisu męż-

czyzny widzianego poprzedniej nocy u Rosjanina. Nacisnął guzik przymocowany do rękawa:

Potwierdzam. Rozpoznanie jednoznaczne.

Niespodziewanie mężczyzna w czerni zaczął skręcać, jakby sprawdzał, czy ma ogon. Wyszkoleni terroryści nie dają się tak po prostu śledzić. Marcus szybko się obrócił, przenosząc spojrzenie na schody prowadzące do niewielkiego miejskiego placu zabaw. Kątem oka widział, że obiekt nie patrzy już na niego, ale maszeruje przed siebie.

Coś w chodzie tego mężczyzny zdziwiło Marcusa. Czyżby lekko utykał? Coś ograniczało mu ruchy,

spowalniało go. Szedł jak człowiek niosący duży ciężar.

Nagle w polu widzenia znalazła się East River. Doszli do rogu Pierwszej Alei: UN Plaza znajdował się w zasięgu wzroku. Deszcz się nasilał, utrudniając obserwację.

Mężczyzna w czerni dotarł do skrzyżowania, ruch był bardzo duży.

Marcus trzymał się z tyłu po swojej stronie ulicy, przez cały czas nie spuszczał oczu z obiektu, który przystanął teraz przy pierwszym wej-

ściu na teren Organizacji Narodów Zjednoczonych i czytał tablicę: „Wej-

ście tylko dla pracowników, delegatów, rezydentów i korespondentów”.

Obiekt ruszył dalej, oddzielony barierkami z czarnego żelaza od rzędu masztów, na których nie wisiały żadne flagi. Dalej z tyłu majaczyła charakterystyczna krzywa bryła ze szkła i stali, będąca siedzibą ONZ.

Marcus przeklął swoją krótką skórzaną kurtkę, beznadziejną przy tej ulewie. Postawił kołnierz, żeby deszcz nie lał mu się po szyi. Wydawało się, że mężczyzna w czerni nie przejmuje się pogodą. Minął następną 14

bramę ONZ, tym razem dla samochodów, i pomalowaną na zielono budkę wartowniczą.

Marcus przystanął na moment w wejściu do banku Chase. W chwili gdy to zrobił, ogromny autokar turystyczny – bez wątpienia z ogromnymi turystami – wjechał na podjazd przed frontem gmachu ONZ pomię-

dzy ulicami Czterdziestą Piątą a Czterdziestą Szóstą.

–
Straciłem go z oczu, straciłem go z oczu! – zawołał do mikrofonu.

–
Mam go – powiedział od razu inny głos w eterze, spokojny. –

Obiekt zatrzymał się przed główną bramą.

Marcus ruszył z miejsca, usiłując ominąć autokar bez zwracania na siebie uwagi. W jego słuchawce ponownie rozległ się trzask.

–
Obiekt znowu jest w ruchu.

W porządku, pomyślał Marcus z ulgą. Fałszywy alarm. Najwyraźniej mężczyzna w czerni nie próbował wejść do budynku ONZ.

Autokar w końcu odjechał i Marcus znów dobrze widział obiekt, któ-

ry szedł teraz Pierwszą Aleją. Przyśpieszał lekko, bo droga prowadziła stromo w dół. Ale nie był to krok człowieka odprężonego. Marcus widział, że mężczyzna w skupieniu ogląda badawczo ogród po drugiej stronie ogrodzenia. Zrównał się z wielką, niesamowitą rzeźbą przedstawiającą zabicie smoka – bestię najwyraźniej zrobiono ze starego działa artyleryjskiego – i zatrzymał się, jakby czegoś szukał.

Marcus zmrużył oczy. Czyżby rozglądał się za innym, niepilnowanym wejściem na teren ONZ? Jeśli tak było, to go nie znalazł. Teraz, mając jasność sytuacji, mężczyzna zawrócił i skierował się do głównego wejścia.

* * *

Radio Felipe Tavaresa było pękate, przestarzałe i gdy padał deszcz ledwie było w nim coś słyhać. Oddzielenie trzasków statycznych od reszty dźwięków przychodziło z trudem. Ale słowo „Alarm” rozległo się wystarczająco wyraźnie, zwłaszcza że powtórzono je dwukrotnie.

15

–

Dowódca ochrony do posterunków przy głównym wejściu, mówi dowódca ochrony do posterunków przy głównym wejściu. – Felipe rozpoznał akcent: facet pochodził z Wybrzeża Kości Słoniowej i zaczął

pracę przed trzema miesiącami. – Mamy informacje o możliwym zagro-

zeniu bezpieczeństwa budynku. Podejrzany to mężczyzna, metr siedemdziesiąt, ubrany w grubą czarną jesionkę i ciemną wełnianą czapkę. Na razie brak innych szczegółów, ale zachowajcie czujność. Zatrzymajcie każdego, kto pasuje do tego opisu.

Felipe nie przetrwał jeszcze dobrze tej wiadomości, kiedy spostrzegł

niewyraźną czarną postać idącą energicznie z opuszczoną głową w kierunku bramy, której pilnował.

* * *

Marcus przechodził teraz na drugą stronę Pierwszej Alei i usiłował

coś zrozumieć z głosu w słuchawce mimo natężenia ruchu na ulicy.

–

...wchodzą na teren ONZ. Powtarzam, agenci nie wchodzą na teren ONZ.

Zatrzymał się przy krawężniku podjazdu, zaledwie kilka metrów od mężczyzny, którego śledził od ponad dziesięciu minut, i patrzył, jak tamten przechodzi szybko przez bramę i kieruje się ku niewielkiemu placykowi przed białym zadaszeniem. Wszedł na terytorium ONZ: w tym samym momencie oficjalnie był poza ich zasięgiem. Marcus widział

jedynie plecy tego mężczyzny. Strach zacisnął mu żołądek.

* * *

Z miejsca, gdzie stał po drugiej stronie placyku, Felipe dostrzegł jedynie fragment profilu twarzy mężczyzny, bo czapka i kołnierz resztę zasłaniały. Ale idealnie pasował do opisu podanego przez dowódcę ochrony.

Felipe patrzył, jak mężczyzna przystanął, jakby kontemplował to, co 16

miał przed sobą. Potem zrobił trzy kroki naprzód i ponownie się zatrzymał. Co takiego robił?

Ochroniarz czuł, że dłonie mu wilgotnieją. Nagle zdał sobie sprawę, jak wiele osób znajdowało się wokół, całe dziesiątki przechodziły mię-

dzy nim a facetem w czarnej jesionce. Tak dużo ludzi. Zastanawiał się, czy powinien coś przekazać przez radio, ale mógł jedynie patrzeć, zmro-

żony, ze wzrokiem utkwionym w jesionkę. Padało, ale na pewno nie było zimno. Dlaczego zatem jesionka była taka gruba, taka ciężka? Odpowiedzi, jakich sam sobie udzielił na te pytania, sprawiły, że ogarnęła go fala nudności zaczynająca się w żołądku i kończąca w gardle.

Felipe rozejrzał się dookoła, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć szóstkę ochroniarzy pojawiających się w pobliżu, ludzi, którzy samą obecnością podjęliby za niego decyzję. Chciał użyć radia – „Uważany za podejrzanego może być uzbrojony w bombę. Powtarzam, uważany za podejrzanego może być uzbrojony w bombę!” – ale jeśli to jedynie sprowokuje go do działania? Felipe Tavares stał sparaliżowany.

Mężczyzna ponownie zaczął iść, teraz był już tylko o kilka metrów od zadaszenia. Felipe pomyślał, że może powinien poczekać, pozwolić mu przejść przez drzwi, żeby tam zatrzymała go ochrona. Nie miałby wtedy szans: nigdy nie przeszedłby przez wykrywacze albo rewizję. Ale on by się tym nie przejął. I to właśnie, co Felipe uświadomił sobie tak nagle, gdy krew odpłynęła mu z twarzy, było najbardziej przerażające w tej sytuacji. Tego mężczyzny nic nie mogło przestraszyć.

Teraz obiekt znowu zmienił kierunek, cały czas będąc tyłem do Felipe, i obrócił się twarzą do ulicy. Felipe chciał krzyknąć, zażądać, by mężczyzna stanął i podniósł ręce. Tyle że to, jak się domyślał, mogło mieć fatalne następstwa. Kiedy tylko podejrzanym zorientowałby się, że został zdemaskowany, mógłby w tej samej chwili nacisnąć guzik. A przecież wokół było tylu ludzi...

Felipe nie zastanawiał się, co zrobić. Po prostu sięgnął po broń. W

tym momencie zobaczył przed sobą, za czarnymi żelaznymi prętami, dwóch mężczyzn, z których jeden był młody, czarny i z dreadami. Obaj unosili ręce, pokazując wnętrza dłoni, jakby się poddawali.
Prawdziwe 17

przerażenie na ich twarzach, wypisana na nich śmiertelna panika, wystarczyły Felipe. Jednym ruchem wyciągnął broń i wycelował w mężczyznę ubranego na czarno.

Chwilę, która nastąpiła później, Felipe Tavares będzie przeżywał raz po raz, zwykle w zwolnionym tempie, aż do ostatniego tchu. Przez resztę życia będzie to ostatni obraz, jaki zobaczy tuż przed zaśnięciem i pierwszy po przebudzeniu każdego ranka. Wypali mu się piętmem na we-wewnętrznej stronie powiek. Tamci dwaj mężczyźni osłupieli, byli nie tylko przerażeni, lecz także zaszokowani tym, na co patrzyli. Jeden z nich wykrzyknął tylko: „Nie!”.

* * *

Felipe był pewny tego, co zaszło. Mężczyzna w czerni rozpiął oczywiście jesionkę, odsłaniając znajdującą się pod nią kamizelkę z ładunkami wybuchowymi. Dwaj mężczyźni po drugiej stronie ogrodzenia zobaczyli, że miał zamiar wysadzić się w powietrze. Przerażenie na twarzy mężczyzny z dreadami i jego okrzyk podziałały na Felipe niczym ładunek elektryczny, przenikający jego prawe ramię i palce. Pociągnął za cyngiel raz i drugi i patrzył, jak mężczyzna opadł na kolana i powoli osunął się na ziemię, nawet z pewną gracją, niczym wyburzany komin.

Felipe nie mógł się ruszyć. Stał i nadal celował do mężczyzny, który leżał teraz bezwładnie nie dalej niż pięć metrów od niego.

Przez moment nic nie słyszał. Żadnego echa wystrzałów. Żadnych krzyków, kiedy tłum rozproszył się niczym stadko gołębi. Żadnego alarmu uruchomionego w gmachu ONZ.

Pierwszy głos, jaki dotarł do niego, należał do koleżanki z ochrony, która wybiegła spod zadaszenia na dźwięk strzałów. Stanęła teraz nad ciałem, powtarzając w kółko jedno słowo:

– Nie, nie, nie.

Niepewnym krokiem, na miękkich nogach, Felipe podszedł do czarnej 18

postaci, otoczonej przez poszerzającą się kałużę krwi. I w jednej chwili zrozumiał. Tu, u jego stóp, nie leżał trup zamachowca-samobójcy. Nie było śladu materiałów wybuchowych wypełniających kamizelkę. Okrywała ona jedynie ciało i kości człowieka, podziurawione i nieruchome.

Felipe mógł się nawet przekonać, dlaczego mężczyzna nosił grubą jesionkę we wrześnie. Pojął teraz wszystko i tragedia tego, co się stało, sprawiła, że ugięły się pod nim kolana.

Felipe Tavares i powiększający się tłum ochroniarzy, którzy zaczęli go otaczać, patrzyli na to samo.

Na trupa siwowłosego i bardzo starego człowieka.

Rozdział 2

Nastał moment ciszy trwający może dwa uderzenia serca, a potem wybuchła wrzawa. Rozległy się oczywiście krzyki – najpierw jakiś mąż-

czynna zaskowyczał coś w języku, który rozumiało kilka osób w jego pobliżu – a potem zaczęły wrzeszczeć trzy kobiety, które chwilę wcze-

śniej pozowały do zdjęcia na tle popartowskiej rzeźby przedstawiającej pistolet z lufą zawiązaną na supeł. Upadły na ziemię, gardła miały zaci-

śnięte ze strachu, ale teraz dawały upust swemu przerażeniu, głośno niczym kościelne dzwony. Wkrótce słyhać było płacz, krzyki i ledwie słyszalny głos mężczyzny wpatzonego w kawałek ludzkiej kości, która upadła u jego stóp, mamroczącego we własnym języku:

– Dobry Boże.

Niektórzy z ochroniarzy spod zadaszenia wpadli w panikę, ktoś włą-

czył alarm przeciwpożarowy. Reszta pamiętała schemat zachowania przyswojony na szkoleniu. Odbiegli od stanowisk przy wykrywaczach i niczym wartownicy w pośpiechu zajmowali miejsca przy wszystkich wejściach, wymachując bronią. Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych była zamykana.

Dwóch kolegów Felipe Tavaresa wzięło go między siebie, odprowadzali pechowego ochroniarza od ciała, które niczym nieokryte i przez nikogo niedotykane leżało na ziemi. Tavares gadał jak najęty, paplał o 20

jakichś mężczyznach, których widział przy bramie, opisywał przerażenie na ich twarzach – ale kiedy jego kumple ze zmiany spojrzeli w tamtą stronę, nikogo nie zobaczyli.

Hałas wkrótce się nasilił. Niecałe półtorej minuty po strzałach, na UN

Plaza pojawiły się pierwsze z czterdziestu radiowozów nowojorskiej policji, ich koguty błyskały, syreny wyły: to był „nalot”, jaki ćwiczyli wielokrotnie po 11 września. Siły policji Nowego Jorku błyskawicznie kryły wyznaczone miejsce. Z kilku wozów wypadły drużyny SWAT, mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojeni w karabiny automa-tyczne, szarżowali niczym szeregowcy szturmujący plażę Normandii.

Wkrótce otoczyli cały teren ONZ, z karabinami wycelowanymi w przerażony tłum mężczyzn i kobiet znajdujących się w środku.

Nowojorscy policjanci uzbrojeni w broń automatyczną kalibru .50

wstrzymali cały ruch na Pierwszej Alei, blokując ją od północy i południa, od Trzydziestej aż do

Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Siedziba ONZ znalazła się teraz w centrum „sterylnej strefy” długiej na trzydzie-

ści przecznic. Ponieważ Pierwsza Aleja była główną arterią wschodniej części Manhattanu, Nowemu Jorkowi groziło zakorkowanie.

W powietrzu unosiły się już cztery policyjne helikoptery Augusta A119 wyposażone w „superszpiega” – kamery termowizyjne wysokiej rozdzielczości – tworząc improwizowaną strefę zakazu lotów nad całym terenem. W tym samym czasie policyjne łodzie motorowe z baz w Throgs Neck, na Brooklynie i nabrzeżu Queens wypłynęły na East River.

Nikt nie mógł teraz dostać się na teren Organizacji Narodów Zjednoczonych lub stamtąd wydostać wodą lub powietrzem.

Wkrótce zjawiał się szef policyjnych służb wywiadowczych. Ku swemu zadowoleniu znalazł się tam przed Charlesem „Chuckiem” Rileyem, komendantem okręgowym policji, którego kawalkada samochodów i motocykli nadszedła chwilę później. Obaj kiwali głowami usatysfakcjonowani, oglądając blokadę terenu. Ich adiutanci będą przez resztę dnia informowali dziennikarzy o tym, że zaistniało podejrzenie ataku terrorystycznego na jeden z „bardzo ważnych obiektów” w mieście, na co 21

Nowy Jork odpowiedział akcją „sprawnych i śmiertelnych sił”.

Ale kiedy wysiedli z samochodów i przywitali się, wymieniając uścisk dłoni, obaj natychmiast zorientowali się w naturze wspólnego problemu. Mogli podejść do zamkniętej teraz stalowej bramy ONZ, ale ani kroku dalej. Tam, na granicy suwerenności Stanów Zjednoczonych, kończyła się władza nowojorskiej policji. Popatrzyli jedynie w oczy dwóm mężczyznom przy wejściu, z których jeden był policjantem z Montenegro, a drugi pochodził z Belgii. Komendant był pewny, że widział, jak obu trzęsą się ręce.

* * *

W środku, na trzydziestym czwartym piętrze, podsekretarz generalny do spraw prawnych usłyszał alarm przeciwpożarowy, zanim dotarło do niego cokolwiek innego. Henning Munchau zerwał się na równe nogi.

Spojrzał na biuro: nikogo nie było, zbyt wczesna pora. Wybrał numer do stanowiska ochrony przy głównym wejściu, ale telefon dzwonił i dzwonił. Spojrzał przez okno, zastanawiając się przez sekundę, czy zobaczy boeinga 747 na niebie, większego i lecącego niżej niż powinien z zamia-rem wbicia się w szklaną osłonę siedziby ONZ, co przyniosłoby śmierć ośmiu tysiącom ludzi, którzy tam pracowali, oraz całkiem sporej liczbie przywódców państw z całego świata.

Wtedy też wbiegł jego zastępca, Brazylijczyk, poblady na twarzy. Z

trudem mówił, ale nie tylko dlatego, że brakowało mu tchu.

– Henning, myślę, że powinieneś natychmiast tam pójść.

* * *

Osiemnaście minut po oddaniu przez Felipe Tavaresa fatalnego strzału, Henning Munchau znalazł się przy martwym mężczyźnie, którego ciała nadal nikt nie dotknął poza tym, że ktoś okrył go nieprzemakalną peleryną. Deszcz nie przestawał padać.

22

Obok niego stał podsekretarz generalny do spraw bezpieczeństwa i ochrony oniemiały z wrażenia. Obu poinformowano właśnie pokrótce o sytuacji, przekazując jedynie najważniejsze szczegóły wydarzeń. Munchau widział dyskotekę świateł na obwodzie terenu ONZ i niewielką armię nowojorskich policjantów, co sprawiło, że poczuł się jak mieszkaniec średniowiecznego zamku w pierwszy dzień oblężenia.

Po drugiej stronie ogrodzenia dostrzegł teraz twarz, którą rozpoznał, jej zdjęcie bowiem prawie nie schodziło z pierwszych stron nowojorskich gazet. To człowiek nazywany „Kodem”. Jednym słowem będzie się musiała odbyć prawna narada pod gołym niebem, na stojąco i w strugach deszczu.

–

Komendancie, nazywam się Henning Munchau, naczelny prawnik Organizacji Narodów Zjednoczonych.

–

Miło pana poznać, Munchau – powiedział komendant, ale ani jego twarz, ani ton głosu na to nie wskazywały. – Najwyraźniej doszło tu do incydentu.

–

W rzeczy samej.

–

Nie możemy wejść na ten teren i podjąć odpowiednich działań, chyba że oficjalnie nas o to poprosicie – mówił formalnym tonem, z południowym akcentem.

–

Wygląda na to, że już zareagowaliście i to całkiem widowisko-wo, komendancie. – Choć Munchau był Niemcem, mówił bardzo płynnie po angielsku, który brzmiał z lekka australijsko: zarówno jeśli chodziło o akcent, jak i idiomy, co ponoć było spuścizną po czasach jego służby w misji ONZ w Timorze Wschodnim.

Riley wzruszył ramionami.

–
Nie możemy wejść na teren bez waszego pozwolenia. A zapewniam pana, że nie macie wystarczających sił, żeby poradzić sobie z zamachem terrorystycznym.

Henning starał się ukryć ulgę. Oznaczało to bowiem, że nowojorska policja nie wiedziała jeszcze o zabitym człowieku. Dzięki temu zyskiwał

na czasie.

23

–
Ma pan rację – odparł Munchau, uderzony osobliwością prowadzenia rozmowy przez stalowe pręty ogrodzenia w deszczu, niczym w czasie odwiedzin w więzieniu na otwartej przestrzeni. Zazdrościł komendantowi parasola. – Ale chyba musimy wcześniej ustalić jakieś warunki.

Policjant uśmiechnął się blado.

–
Śmiało, proszę.

–
Policja wkracza, ale tylko na żądanie Organizacji Narodów Zjednoczonych i wtedy jej podlega.

–
Żadnego podlegania. Jeśli nas wpuścicie, to nasze śledztwo.

Wszystko albo nic.

–
W porządku, ale bez tego. – Wskazał w kierunku drużyn SWAT

z bronią gotową do strzału. – To nie jest rozwiązanie, na jakie ONZ mo-

że się zgodzić. Nie jesteśmy w Kabulu. – Munchau spostrzegł, że Riley się zjeżył, dlatego dodał: – To nie jest Bagdad.

–
W porządku, minimalny pokaz siły.

Mówię o jednym lub dwóch uzbrojonych ludziach, którzy towa-rzyszyliby pańskim detektywom.

—

Załatwione.

—

I pańskie śledztwo będzie kontrolowane przez cały czas przez reprezentanta ONZ.

—

Przez reprezentanta?

—

Prawnika. Z mojego zespołu.

—

Prawnika? Jezu Chryste...

—

To są nasze warunki.

Munchau patrzył, jak komendant zastanawia się, wiedząc, że nie bardzo może odmówić. Istnieje podejrzenie ataku terrorystycznego w Nowym Jorku, zatem nowojorska policja musi się zaangażować. „Kom” nie mógłby przecież pokazać się w telewizji i powiedzieć, że policja nie podjęła żadnych działań z jakichś tam powodów. Munchau był pewny, że Riley będzie raczej wolał stanąć przed kamerami już za godzinę i zapewnić nowojorczyków, że ma wszystko pod kontrolą.

24

Podjechała czarna limuzyna, której towarzyszyły radiowozy na sy-gnale. Za nimi podążały dwie ciężarówki telewizji satelitarnej, które najwyraźniej otrzymały pozwolenie na wjazd. Przybył burmistrz.

—

Dobra – powiedział komendant, zerkając ponad ramieniem. —

Zgadzam się.

Munchau podał mu rękę przez pręty, a policjant uścisnął ją pośpiesznie. Munchau skinął do strażnika ONZ przy bramie, który gmerał przez chwilę przy zamku, zanim ją otworzył.

Widząc, że dziennikarz telewizyjny zmierza w jego stronę, Munchau oznajmił donośnym głosem:

Panie komendancie, witamy na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Rozdział 3

Szef gabinetu sekretarza generalnego potrzebował trochę czasu na zorganizowanie spotkania. Kiedy doszło do strzelaniny, poza Munchauem i jego odpowiednikiem z ochrony najwyżsi rangą urzędnicy ONZ, reszta elitarnego kwintetu podsekretarzy generalnych, byli w drodze do siedziby organizacji. (W ONZ prawie wszyscy pracowali do późna, ale nie zaczynali zbyt wcześnie). Z powodu zamknięcia Pierwszej Alei nikt nie dotarł do UN Plaza przed godziną dziesiątą.

Teraz zebrali się wreszcie w Centrum Sytuacyjnym. Co bardziej cyniczni pracownicy zawsze uśmiechali się, słysząc tę nazwę. Zbudowane w następstwie wydarzeń z 11 września, to solidnie opancerzone, wspaniale wyposażone i ściśle tajne miejsce narad było bez wątpienia wzorowane na legendarnym Pokoju Sytuacyjnym w Białym Domu. Ale oczywiście Organizacja Narodów Zjednoczonych nie mogła sobie pozwolić na małpowanie Amerykanów: wielu nieprzyjaciół Stanów Zjednoczonych w ONZ by tego nie tolerowało. Podobnie też nie można było dopu-

ścić do sytuacji, w której Amerykanie mogliby pomyśleć, że sekretarz generalny ONZ ma aspiracje przewyższające jego pozycję i wyobraża sobie, że jest równy prezydentowi USA. Dlatego w ONZ nie było Pokoju Sytuacyjnego, ale Centrum Sytuacyjne, co stanowiło ogromną różnicę.

Pośrodku stał solidny stół z blatem na wysoki połysk, każde miejsce 26

przy nim było wyposażone w gniazdka i przyciski służące wszelkim formom komunikacji, w tym nawet symultanicznym tłumaczeniom.

Naprzeciw stołu znajdowała się ściana z wmontowanymi supernowoczesnymi urządzeniami do wideokonferencji: sześć ekranów plazmowych, które dawały się w jednej chwili przestawić na obraz z satelity, przekazywany zabezpieczonym łączem z misji ONZ na całym świecie. Sekretarz generalny nigdy nie był w podróży krócej niż przez jedną trzecią roku, ale istnienie Centrum Sytuacyjnego oznaczało, że nie zawsze musiał opuszczać Nowy Jork, jeśli chciał porozmawiać ze swoimi ludźmi.

Przede wszystkim jednak miało ono służyć w chwilach, gdy działo się coś złego.

Tym razem nie było potrzeby nawiązywania łączności wideo: niebezpieczeństwo pojawiło się tutaj, w Nowym Jorku. Szef gabinetu, podobnie jak jego przełożony był Finem, zaczął od wyjaśnienia, że budynek jest częściowo zamknięty i dostęp do niektórych miejsc lub prawo ich opuszczenia mają tylko osoby do tego upoważnione. Nikt nie może wejść lub wyjść bez wyraźnej zgody radcy prawnego. Zostało to wcze-

śniej ustalone z policją nowojorską, która chciała przesłuchać wszystkich świadków, nawet gdyby oznaczało to rozmowę z całą kadrą pracowniczą ONZ.

Szef gabinetu potwierdził następnie, że samego sekretarza generalnego nie było w tym czasie na UN

Plaza. Brał wtedy udział w śniadaniu wydanym na jego cześć w hotelu Four Season i dopiero teraz jechał, przedzierając się przez horrendalne korki. Powiedział zebranym, że szef celowo podjął decyzję kontynuowania zaplanowanych zajęć, bo w przeciwnym razie byłoby to „przyznaniem zwycięstwa tym, którzy chcą zaburzyć nasz sposób funkcjonowania”. Wzbudziło to rzecz jasna aplauz wśród słuchających, ale Henning Munchau jedynie się skrzywił. Nie tylko dlatego, że brzmiało to jak prymitywne podlizywanie się nowojorczykom, odwołujące się do ich własnej retoryki sprzeciwu po 11 wrze-

śnia. I nie dlatego, że uznał to za zręczne posunięcie polityczne nowego sekretarza generalnego, by być z własnymi ludźmi, gdy najwyraźniej 27

zostali zaatakowani. Ale przede wszystkim dlatego, że sekretarz generalny stworzył teraz przepaść między tym, czego dowiedziała się opinia publiczna o porannym incydencie – odważnie stłumionym zamachu terrorystycznym – a faktycznym stanem rzeczy znanym Henningowi.

Szef gabinetu wyjaśnił, że technicy starają się połączyć z sekretarzem generalnym przez zestaw głośnomówiący.

–

Proponuję, żebyśmy tymczasem ustalili, co wiemy, i opracowali opinie, które przedstawimy sekretarzowi generalnemu. Czy możemy zacząć od ciebie, Henri?

Podsekretarz odpowiedzialny za oenzetowski personel ochrony na ca-

łym świecie opuścił wzrok na notatki, które zrobił pośpiesznie w czasie, gdy dowódca ochrony zapoznawał go pokrótce z sytuacją, i tłumaczył je teraz z francuskiego, bo zapisał je w tym języku.

–

Rozumiemy, że przed głównym wejściem dla gości między ulicami Czterdziątą Piątą a Czterdziątą Szóstą o godzinie ósmej pięćdziesiąt jeden został zastrzelony człowiek przez członka służb ochrony i bezpieczeństwa ONZ. Obserwowała go grupa z wydziału wywiadu nowojorskiej policji, która pozostawała z nami w łączności i to przez nią uznano, że ten człowiek stanowił bezpośrednie zagrożenie dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. Taką informację otrzymał dowódca ochrony i przekazał ją swoim ludziom pełniącym służbę, w tym funkcjonariuszowi, który użył broni, wierząc, że podejrzany człowiek jest zamachowcem-samobójcą.

–

I ten człowiek nie żyje?

–

Tak.

–

Co jeszcze wiemy? Czy siedzibie grozi jakieś niebezpieczeństwo?

–

Procedurę zamknięcia wykonano bez zarzutu. Budynek jest teraz zabezpieczony. Nie mamy powodu przypuszczać, że był to początek serii ataków.

–

A to dlaczego?

28

Henri Barr się zawahał. Spojrzał na Henninga, który lekko skinął mu głową.

–

Ponieważ przypuszczamy, że zabity mężczyzna nie pasuje do opisu podanego przez policję.

–

Co to, do cholery, znaczy? – odezwał się podsekretarz generalny do spraw pomocy humanitarnej, biały Południowoafrykańczyk, były komunista, który zasłynął z działalności w ruchu zwalczającym aparthe-id. Jego wyczulenie na kłamstwo było powszechnie znane.

–

To znaczy, że człowiek, którego zastrzelono, okazał się stary.

–

Stary?

–

Tak, to był bardzo stary mężczyzna. – Barr stracił dech przy koń-

cu zdania i głośno przełknął ślinę. – Ale jego ubranie pasowało do opisu i naprawdę wyglądało jak strój zamachowca-samobójcy.

–

Och, daj spokój. Był ubrany jak zamachowiec z bombą i dlatego go zabiliśmy?

Szef gabinetu przejął inicjatywę. To nie był czas na popisy albo kłótnię, choć czuł, jak w pomieszczeniu rośnie poziom adrenaliny.

–
Co miałeś na myśli, Henri, mówiąc „stary”?

–
Szacujemy, że miał siedemdziesiąt lat, może więcej.

–
Czy chociaż przypominał muzułmanina? – Było to pytanie, które kilka osób chciało zadać, ale nie ośmieliło się tego zrobić. Niemniej Anjhut Banerjee, hinduska podsekretarz do spraw utrzymania pokoju, nie miała podobnych zahamowań.

–
Nie – odpowiedział Barr, zerkając na notatki. – Wszystko wskazuje, że nie.

–
Dobry Boże – powiedziała Banerjee, opadając na fotel. – Zdaje-cie sobie sprawę, co to oznacza, prawda? – dodała, patrząc wprost na szefa gabinetu. – Byłam w Londynie, kiedy policja zastrzeliła jakiegoś elektryka w metrze, pochodzącego z Brazylii, bo ich zdaniem wyglądał

na zamachowca-samobójcę. Zupełnie niewinny człowiek. – Głośno wy-puściła powietrze, co było skróconą formą komunikatu: „Nawet nie 29

wiecie, co za szambo nas czeka”.

–
Jakie grożą nam konsekwencje, Henning? – zapytał szef gabinetu, patrząc na prawnika.

–
To znaczy, jaki jest zakres naszej odpowiedzialności?

–
Tak.

–
Możemy się temu przyjrzeć, ale myślę, że nie zostaniemy zalani roszczeniami o odszkodowanie i tym podobne. Nie w tym tkwi sedno tego problemu. – Przerwał, zmuszając mężczyznę siedzącego u szczytu stołu, by nalegał dalej.

Na czym, w takim razie, polega sedno tego problemu?

—

Na tym samym, co większości prawnych problemów w tym miejscu. To nie kwestia prawa. To już polityka.

—

Co twoim zdaniem powinniśmy zatem zrobić w tej sprawie?

—

Myślę, że wiem dokładnie, co trzeba zrobić. I co ważniejsze, znam człowieka, który idealnie się do tego nadaje.

Rozdział 4

Toma Byrne'a obudził gwałtownie dźwięk nieznanego i nieprzyjemnego.

W tych czasach, jeśli kiedykolwiek korzystał z budzika, był to iPod w stacji dokującej Bose stojącej przy łóżku, budzący go łagodną piosenką z jego kolekcji. Poprzedniego dnia był to Frank Sinatra, witający ranek *I've Got You Under My Skin*. Cóż za zmiana na lepsze w porównaniu z wcze-

śniejszym rozpoczynaniem dnia, gdy ponury głab czytał w BBC ocieka-jące krwią wiadomości ze świata.

Ale ten hałas był gorszy od radia. Powtarzające się dzwonienie z dłu-go utrzymującym się echem, dźwięk wiszący w powietrzu. Tom czuł, jak serce wali mu w piersi. I wtedy zobaczył winowajcę: jego nowy blackberry wyjęty z pudełka nie dalej niż wczoraj. Nie zajął się przestawie-niem go na tryb bezgłośny.

Zmrużył oczy, spoglądając na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Położył

się po godzinie piątej nad ranem, bo całą noc pracował nad kontraktem z Dubajem. Wtedy też przypomniał sobie, że nie przez całą noc pracował.

—

Hej, Mirando. Budź się, budź.

Spomiędzy zmierzwionych czarnych włosów na poduszce obok niego wydobył się jęk, po czym głowa uniosła się i dziewczyna burknęła:

—

Mam na imię Marina.

Przepraszam. – Tom spuścił nogi z łóżka i podszedł do żaluzji, 31

które podniósł, zalewając pokój światłem. – Dobra, Marina, budź się.

Wstawaj.

Kobieta w łóżku usiadła, zasłaniając oczy przed blaskiem słońca. Nie zwracała sobie głowy zakrywaniem się czymkolwiek, toteż Tom mógł

podziwiać wspaniałe piersi, którymi cieszył się zaledwie kilka godzin wcześniej. Możliwe, że młode brunetki z Upper West Side miały jakieś wady, ale w tej chwili niczego takiego nie dostrzegał. Może mógłby wskoczyć z powrotem do łóżka na kolejne pół godzinki...

Blackberry ponownie dał o sobie znać, tym razem pojedynczym wysokim dzwonkiem, oznajmiającym odebranie wiadomości. Na pewno od jego klientów. Wysłał im brudnopis dokumentów w środku nocy i oto się odzywali, od razu domagając się poprawek. Można mówić, co się chce o przestępczości zorganizowanej, ale trzeba przyznać jej jedno: pracuje się tam przez długie godziny.

Jego nowymi klientami byli ludzie, których określiliby się jako „rodzinę o włosko-amerykańskim pochodzeniu od dawien dawna zakorzenioną w przemyśle budowlanym Nowego Jorku” – tak przynajmniej powiedziałyby ich prawnik. Teraz chcieli się rozwijać i nabyć nieruchomości w Zatoce Perskiej, wszystko legalnie i czysto, ale najpierw trzeba było wypełnić stos międzynarodowych dokumentów. Przyjaciół przyjaciele zarekomendował Toma, a rodzina z radością go zatrudniła – podobało im się, że będzie ich reprezentował ważny międzynarodowy prawnik, urodzony w Wielkiej Brytanii, który miał w życiorysie kilka lat w służbie Organizacji Narodów Zjednoczonych – a on cieszył się, że go zatrudnili, bo w tydzień zarabiał u nich więcej, niż pracując przez rok dla błękitnych hełmów w UN Plaza.

Patrzył, jak Marina, poruszając się uwodzicielsko, zsunęła się z łóż-

ka, wskazał jej głową prysznic, a potem spojrzał znowu na blackberry.

Przegapiłem telefon. Nacisnął klawisz i zobaczył jedynie imię na wyświetlaczu: „Henning”.

To dopiero była niespodzianka. Henning Munchau, radca prawny Organizacji Narodów Zjednoczonych, rzadko dzwonił do niego z 32

prywatnej komórki nawet wtedy, gdy Tom dla niego pracował. Ale to było ponad rok temu.

Tom odsłuchiwał najpierw wiadomość, zanim oddzwonił – nabrał tego nawyku w ONZ, instytucji, której zasadę funkcjonowania można oddać w dwóch słowach: „poczekamy, zobaczymy”. Kiedy był młodszy, zawsze śpieszył się ze wszystkim, ale nauczył się od najlepszych, że warto dać sobie trochę czasu, chwilę na zastanowienie, niech ktoś inny pierwszy pokaże, co ma w rękę, nawet wtedy – a

zwłaszcza wtedy – kiedy tym kimś jest twój szef. Albo były szef. Kilka sekund namysłu może stanowić ogromną różnicę. Chryste, ta zasada ma zastosowanie również przy rozmowie twarzą w twarz w tamtym miejscu. Sposób, w jaki urzędnicy ONZ zastygali, by czytać nawzajem w swoich twarzach i odgadywać motywacje, mógł być żywcem przeniesiony z dialogów napisanych przez Harolda Pintera.

„Cześć, Tom, mówi Henning. Musimy pogadać. Wiem, co powiedziałeś, o... Spotkaj się ze mną w kawiarni najszybciej, jak to możliwe.

Tom, ja... nie oddzwaniaj”.

Nawet nie powiedział: „długo się nie odzywałem”, kutas.

Zatem najważniejszy prawnik ONZ chciał porozmawiać o temacie tak delikatnym, że nie ośmielił się mówić o nim przez telefon ani we własnej instytucji. Nie było w tym nic nadzwyczajnego: wszyscy wiedzieli, że w ONZ nie padnie choćby jedno słowo, które nie byłoby moni-torowane przez jankesów z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, angoli z komórki wywiadu zajmującej się nasłuchem radiowym i Bóg wie przez kogo jeszcze. Ale „spotkaj się ze mną w kawiarni” brzmiało wyjątkowo interesująco. Oznaczało bowiem, że Henning nie chciał nawet podać dokładnej lokalizacji. I dlaczego, biorąc pod uwagę wszystko, co się wcześniej stało, zadzwonił do Toma? Gdyby chodziło o kogoś innego z ONZ, Tom nacisnąłby kasowanie i zapomniał o sprawie. Ale tu chodziło o Henninga.

Wszedł do garderoby, przejrzał rząd garniturów przypominający 33

rekrutów na defiladzie. Tak ważne spotkanie jak to normalnie wymaga-

łoby ubioru od Prądy albo Paula Smitha. Ale Tom nie chciał kłuć kolegi w oczy, pamiętając o jego pensyjce w sektorze publicznym. Włożył coś prostszego. Różowa koszula ze spinkami w mankietach? Nie, zwykła niebieska wystarczy. Zerknął na siebie w lustrze: zła strona czterdziestki, ale nadal dymał bez problemów. Tyle że nie będzie miał już czasu na prysznic. Dwa razy spryskał szyję wodą po goleniu Hugo Bossa i wtarł

żel w krótko obcięte, brudne blond włosy.

Blackberry mrugał, dając znać, że przyszedł e-mail. Tytuł: „Dubaj”.

Jasne, Fantoni przeczytali niedługi wydruk. Zauważyli prawne zobowią-

zanie do wypłacenia rekompensaty rybakom, których wioski mieli zamiar wyburzyć, by zrobić miejsce pod budowę luksusowych wysoko-

ściowców. „Czy nie można by usunąć tej klauzuli?”.

Tom był gotów napisać w skrócie o moralnym obowiązku spoczywającym na deweloperach, by wszyscy, których pozbawiało się dachu nad głową, byli odpowiednio...

Pieprzyć to. Kciukami napisał na klawiaturze: „Zostawcie to mnie.

Jest usunięta”.

Zebrał swoje rzeczy, po raz kolejny podziwiając przestronny apartament zrobiony z przebudowanego poddasza. Zastanawiał się nad włączeniem plazmowego telewizora, żeby sprawdzić wiadomości, ale zrezygnował: Henning czekał. Zamiast tego wetknął głowę za drzwi łazienki i zawołał w stronę kłębów pary:

– Odprowadź się sama, Mirando.

Rozdział 5

Kierowca taksówki pokręcił głową w turbanie, mamrocząc pod nosem, że pojedzie tak daleko, jak się da, ale od godziny ulica była zablokowana.

– W radiu mówili coś o zamachu terrorystycznym. Był pan tu jedenastego września?

Tom podał mu dziesięciodolarowy banknot, wysiadł na Trzydziestej Dziewiątej Ulicy i poszedł pieszo. Widział kordon policyjnych radiowozów z błyskającymi na czerwono kogutami, a za nim poświatę telewizyjnych reflektorów omiatających już kawalkadę ciężarówek z talerzami satelitarnymi. Podczas tygodnia, kiedy odbywało się Zgromadzenie Ogólne, nie było to samo w sobie czymś niezwykłym. Przyjął, że rosyjski car jest w mieście – nie było sensu nazywania go inaczej – albo w Nowym Jorku odbywa się typowa procesja despotów z Afryki, Azji Środkowej i Środkowego Wschodu marzących o chwili triumfu, gdy staną na mównicy przed Zgromadzeniem Ogólnym, bo na tyle dopisało im szczęście, że nie znaleźli się w Hadze na ławie oskarżonych.

Teraz patrzył na policjantkę, zawracając ludzi od pierwszej bramy prowadzącej na UN Plaza. Na długości kilku przecznic wzdłuż barierek, najwyraźniej otaczających cały teren, niczym wstążka na bożonarodzeniowym prezencie ciągnęła się żółto-czarna plastikowa taśma: „Zakaz przejścia. Policja”.

35

Szedł dalej, zwracając uwagę na to, że zablokowane były kolejne wejścia. W bramie używanej przez zwiedzających tłoczyli się dziennikarze, fotoreporterzy i operatorzy kamer. Tom był wystarczająco wysoki, żeby ponad ich głowami zerknąć na środek wybrukowanego placu przed zadaszeniem ochrony, gdzie ustawiono niewielki namiot z zielonego brezentu. Kręcili się wokół niego policjanci, jeden fotograf i spece zespołu kryminalistyki w kombinezonach, maskach i białych lateksowych rękawiczkach.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wymijając zygzakiem samochodu.

Przed nim znalazł się betonowy falliczny symbol – Trump World Tower, i wieżowiec ozdobiony mokrą i obwisłą niemiecką flagą – niemiecka misja przy ONZ. Wejście do Nations' Café było następne.

Od razu spostrzegł Henniga Munchaua gorliwie studiującego wzór mapy świata, dekorujący winylowy blat. To śmieszne, jak łatwo pomniejszyć ludzi mających władzę. W budynku ONZ Munchau był graczem, który biegł korytarzami, pozdrawiany pełnymi szacunku ukłonami przez wszystkich. Ale wystarczy wyprowadzić go z tego gmachu i stawał

się po prostu kolejnym nowojorczykiem w garniturze, z neseserem i rzednącymi włosami.

Ku zaskoczeniu Toma Henning, zostawiając nieruszoną kawę, wstał

w chwili, gdy nawiązali kontakt wzrokowy. Oczami wskazał drzwi:

„Chodź za mną”. Co się, do cholery, działo?

Już na zewnątrz Henning uniósł brwi w geście, który Tom zrozumiał

dopiero po sekundzie lub dwóch.

– Oczywiście – powiedział w końcu.

Munchau był jednym z tych palaczy, którzy nigdy nie mają przy sobie papierosów: wierzył, że jeśli się ich nie kupuje, tak naprawdę się nie pali. Tom sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął torebkę drum z tyto-niem do skręcania papierosów – jedna z niezmiennych rzeczy w jego życiu przez ostatnie kilka lat – w której miał także małą niebieską kopertę z bibułkami i kilkoma zręcznymi ruchami zrobił równego cienkiego skręta, którego podał Henningowi. Dla siebie skręcił drugiego, a potem 36

przypalił oba jedną zapałką.

–

Kurwa, od razu lepiej – powiedział Henning, z policzkami nadal wciągniętymi, by nie pozbyć się za szybko dymu. Spojrzał twardo na Toma, jakby wcześniej go nie widział. – Minęło sporo czasu. Jakoś sobie radzisz?

–

Nigdy nie było lepiej.

–

To dobrze. – Henning ponownie głęboko się zaciągnął. – Bo wy-gładasz, jakby cię ktoś zjadł i wypluł.

Tom roześmiał się, co wywołało szeroki uśmiech u Henninga, uśmiech, który w jednej chwili sprawił, że Byrne polubił tego mężczyznę w momencie, gdy się poznali wiele lat wcześniej. Dodatkowo sprawiła to gwara Munchaua, bezbłędny angielski z australijskimi naleciałościami i dosadno-

ścią sformułowań. Tom był świadkiem kształtowania się tego języka: razem służyli w misji w Timorze Wschodnim, kierowanej przez Australijczyków. Ich przyjaźń była jedną z pozostałości po tamtym doświadczeniu.

To, że radca prawny stał się wyjątkowym okazem – urodzony w Hessen doktor nauk prawnych z twarzą niczym surfer z Bondi – następną.

–

Więc nie tęsknisz za starymi śmieciami? Za pracą dla wielonaro-dowej rodziny i tak dalej?

–

Nie, nie tęsknię. Więc, Henning, obaj jesteśmy raczej zajętymi facetami. Czego chcesz ode mnie?

–

Chodzi o... – Zawiesił głos. – O to, co wydarzyło się tutaj dziś rano.

–

W porządku, ale co się wydarzyło? Widziałem policyjny kordon i...

–

Nie wiesz? Chryste, Tom, zarabiasz taką forszę i nie stać cię na radio? Mniej więcej dwie godziny temu zastrzelono tu mężczyznę, po-dejrzewano, że był terrorystą.

–

Rozumiem.

–

Nie rozumiesz – powiedział Henning. Wypuścił z ust dym, a potem rozejrzał się na prawo i lewo. Szeptem, ze zmrużonymi oczami do-dał: – Okazuje się, że dopadliśmy nie tego człowieka.

37

–

Nie był terrorystą?

–

Zabiliśmy najwyraźniej jakiegoś emeryta w wełnianej jesionce.

–

Co chcesz powiedzieć przez „my”?

–

Nie rozpowiadaj o tym nikomu, Tom. Mówię poważnie, kolego.

Ani jednego, kurwa, słowa. Media jeszcze nic nie wiedzą.

–

Jasne.

–

Strzelał facet z naszej zasranej ochrony.

–

Jezu.

–

Jezus jest jak najbardziej na miejscu. – Henning zaciągnął się głęboko ostatni raz, wysysając resztę życia z cienkiego skręta, a potem rzucił go na ziemię. – Nieprawdopodobny pech. Wywiad nowojorskiej policji dał nam cynk o podejrzanym, który odwiedził handlarza bronią.

Miał być ubrany w grubą czarną jesionkę i czarną czapkę. No i tak się zdarzyło, że staruszek tak właśnie był ubrany, kiedy wyszedł dziś na poranny spacer.

–

Więc chyba wszyscy mieli pecha.

Henning spiorunował go wzrokiem.

–

To będzie największy koszmar, Tom, jaki dotknie to miejsca od czasu, kurwa jego mać, programu „Ropa za żywność”. Możesz sobie wyobrazić, co Amerykanie z tym zrobią? Możesz sobie wyobrazić ju-trzejsze wydanie „New York Post”? „Teraz ONZ zabija starców na ulicach Nowego Jorku”.

–

Wybraliście sobie na to dobry tydzień.

–

O tak, teraz, kiedy nie dość, że mamy tu wszystkich przywódców z całego świata, poczynając od

króla Prus. Niezupełnie taki początek, jakiego Viren by sobie życzył, prawda? Wyobrażasz sobie, nowy sekretarz generalny w czasie swojego pierwszego Zgromadzenia Ogólnego przeprasza na kolanach.

—

A wie?

—

Dlatego właśnie do ciebie zadzwoniłem. Przez ostatnią godzinę byłem w Centrum Sytuacyjnym z szefem jego gabinetu i wszystkimi podsekretnarzami. Sekretarza generalnego tam nie było: dawał sobie 38

obciągać fiuta na jakimś śniadaniu z socjetą. Gmach jest szczelnie zamknięty. Wolno wychodzić tylko podsekretnarzom.

—

I co masz zamiar zrobić?

—

Cóż, o tym chciałem z tobą porozmawiać.

—

Och, nie.

—

Posłuchaj, Tom. Pamiętam, powiedziałeś, że nigdy już nie będziesz dla nas pracował. Rozumiem.

—

To dobrze. Zatem zrozumiesz też, kiedy powiem: „Miło cię widzieć, Henning, ale muszę już lecieć”.

—

Ale to nie jest praca dla ONZ.

—

W takim razie dla kogo?

—

Dla mnie. Uznaj to za osobistą przysługę. Chyba mam prawo cię o to prosić.

Tom wpatrywał się w twarz Henninga. Na ten argument nie miał

przygotowanej odpowiedzi, to był niepodważalny fakt, który zmusił go do zrezygnowania z przyjemności z Mirandą/Mariną i bezzwłocznego stawienia się tutaj. Munchau mówił prawdę: Tom zawdzięczał mu wszystko.

—
Czego potrzebujesz?

—
Jedyna dobra rzecz, jaka wyszła na jaw w tej sytuacji, to obywatelstwo zabitego gościa. Był Brytyjczykiem.

—
Co w tym dobrego?

—
Angole jako jedyni nie dostaną świra tylko dlatego, że jankesi zamordowali jednego z ich obywateli. A w Stanach od razu byłby to pedał komuch z ONZ, który spierdolił sprawę. Wszędzie indziej z kolei to na Amerykę spadłoby całe odium. Za szybko naciskający na cyngle kowboje i tak dalej. Ale nie, jeśli chodzi o brytyjski rząd. Twój koleś się pochyla nad tym i jakoś wszystko przełkną.

Tom miał ochotę sprzeciwić się tej opinii, ale nie mógł. Pamiętał

kampanię dotyczącą uwolnienia Anglików z Guantanamo. Brytyjski rząd ledwie pisnął w proteście, tak by jak najmniej urazić Amerykanów.

—
Zatem? Czy to Amerykanin pociągnął za cyngiel?

39

—
Nie, Portugalczyk. Nazywa się Tavares.

Tom przetrwał tę informację.

—
Co chcesz, żebym zrobił? – Oczami wyobraźni widział już po-krętną dokumentację, którą trzeba

będzie zgromadzić z powodu zabójstwa popełnionego na międzynarodowym terytorium Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wyobrażał sobie narastające problemy jurysdykcyjne. Kto poprowadzi śledztwo? Nowojorska policja czy sama służba ochrony ONZ? Kto będzie to nadzorował? Odpowiedź Henninga zaskoczyła go.

—
Po pierwsze chcę, żebyś nie spuszczał z oka gości z nowojorskiej policji pracujących przy tej sprawie. Do tego czasu widzieli już ciało: domyśla się, że daliśmy dupy. Chcę, żebyś im patrzył na ręce. Tylko przez ten pierwszy dzień: nadstawiłem własną głowę, zrobiłem z tego wielki problem, dlatego nie mogę posłać do tej roboty żadnego nowicjusza. Wyszlibyśmy na debili. Zorientuj się, co robią, potem to przekażesz.

—
A później?

—
Później będę chciał, żebyś to wszystko zamknął, Tom. Zadbał, by sprawa przycichła. To zbyt wielki wstyd. Nie możemy dopuścić do po-kazywania w telewizji rodziny w żałobie, trzymającej zdjęcie dziadka, która chce posłać do więzienia sekretarza generalnego i chuj wie kogo jeszcze. Musisz pojechać do Anglii, odszukać tę rodzinę i zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby ukrećić łeb tej aferze. Przejdź na angielski akcent i załatw to.

—
Nie muszę przechodzić na angielski akcent.

—
To nawet lepiej. Graj czarującego angola i zaoferuj wylewne przeprosiny, hojny pakiet rekompensacyjny, czego tylko zechcą. Ale żadnego popisywania się, w porządku? Żadnych obietnic zdjęcia z sekretarzem generalnym i nic z podobnego gówna. On jest nowy. Nie możemy dopuścić, żeby go z tym łączono.

Tom zaciągnął się papierosem. Wystarczająco dobrze widział, o jaką politykę chodziło: po jego odejściu z biura radcy prawnego nie został

tam żaden angol. Poza tym prawdopodobnie lepiej posłużyć się 40

prawnikiem z zewnątrz, żeby się tym zajął. Pozwoli to na utrzymanie dystansu, tak żeby sama ONZ jak najmniej się splamiła niezależnie od tego, do jakich plugawości Tom będzie musiał się uciec, by osiągnąć wyniki.

Z drugiej strony trudno było to nazwać zawodowym zleceniem z górnej półki. Nie będzie mu wolno kontaktować się z prawnikami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych albo z dyplomatami. Za to

przyjdzie mu prawdopodobnie zadawać się z londyńskimi adwokacjami, którzy aż się będą trząść, żeby położyć łapę na kiesce z pieniędzmi ONZ. No i aż szkoda na to jego życiorysu: jedenaście lat praktyki jako specjalista prawa międzynarodowego w ONZ, a przedtem radca prawny, do którego obowiązków należało występowanie w sporach sądowych dla firmy z City, i trzy lata pracy akademickiej na University College w Londynie.

—

Jest tu całe mnóstwo angoli, którzy mogliby to zrobić, Henning.

Może nie zajmują jeszcze najwyższej pozycji zawodowej, ale niewiele im brakuje. Prawnicy, którzy idealnie się do tego nadają. Dlaczego ja, Henning?

—

Bo ty jesteś godny zaufania.

Tom uniósł brew: prawnik, który odszedł z ONZ w taki sposób jak on, nie był osobą, którą określa się jako godną zaufania. „Daj spokój –

sygnalizowała brew – powiedz prawdę”.

—

No dobra, nie jesteś konwencjonalnie godny zaufania. Ale jesteś człowiekiem, na którym mogę polegać.

Tom zrobił minę, z której jasno wynikało, że pochlebstwem daleko się z nim nie zajędzie. Henning westchnął z rezygnacją.

—

Wiesz, jacy oni są, ci młodzi prawnicy tutaj, Tom. Jezu, sami by-liśmy tacy nie tak dawno temu. Pełni idealistycznych bzdur o ONZ jako

„ostatecznym gwarancie praw człowieka” i podobnych pierdoł.

—

Więc?

—

Więc teraz tego nie potrzebujemy. Potrzebny nam ktoś, kto zrobi to, co musi być zrobione.

–
Potrzebny ci cynik.

–
Potrzebny mi realista. Poza tym nie boisz się odłożyć czasami na bok księgi zasad. To może być jedna z takich sytuacji.

Tom nic nie odpowiedział.

–
Przede wszystkim jednak wiem, że interes Organizacji Narodów Zjednoczonych uznasz za najważniejszy. – Nikły uśmiech igrający w kącikach ust Henninga go zdradził. Nie stać go było na ryzyko powie-rzenia tego jakiemuś brytyjskiemu prawnikowi, który mógłby – jak by to ująć? – stracić z oczu lojalność profesjonalisty. Zawsze istniało ryzyko, że angol może zadzwonić do kumpla z Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub urzędu Brytyjskiej Wspólnoty Narodów po to jedynie, by zorientować ich w bieżącej sytuacji. Lunch w Whitehall, maleńkie gadu-gadu, nikomu nic by nie szkodziło. Takie zagrożenie nie istniało, jeśli sprawą zajmie się Tom Byrne, absolwent podstawówki w Sheffield i uniwersytetu w Manchesterze. Można było wierzyć, że nie zdradzi ONZ

na rzecz paczki dawnych kolegów z jednego prostego powodu: nie miał

żadnej paczki dawnych kolegów.

–
Znasz mnie, jestem obywatelem świata.

–
Wiem, że mogę na tobie polegać, Tom.

–
Dużo dla mnie zrobiłeś, Henning. Nie zapomniałem o tym.

–
Po tym będziemy kwita. Co nie oznacza, że nie zostaniesz odpowiednio nagrodzony.

–
Nie będzie zwykłej dziadowskiej stawki z kasy ONZ?

Na to mamy oddzielny budżet, Tom. Fundusz awaryjny.

—

Zatem dam tej rodzinie wszystko, czego będzie chciała.

—

Aha. Twoja misja to zagwarantowanie, że po dzisiejszym dniu nikt z nas nie usłyszy więcej ani słowa o tym zmarłym starcu. Kiedy się go pochowa, chcę, żeby cała ta sprawa znalazła się w grobie razem z nim.

Rozdział 6

Henning przeprowadził ich przez tłum dziennikarzy, obaj musieli użyć łokci, by zrobić sobie przejście. Reporterzy zarzucali Henninga pytaniami, choć przecież jasne było, że nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, ale on nie powiedział słowa. Wreszcie dotarli do wejścia do prowizorycznego namiotu, w którym leżały zwłoki mężczyzny.

—

Tom, to jest Jay Sherrill. Komendant twierdzi, że to jeden z jego najlepszych ludzi, detektyw pierwsza klasa.

—

Pierwsza klasa? Pobrzmiewa pierwszoklasistą. – Nie mógł się powstrzymać: gość wyglądał na dziewiętnastolatka. Może był trochę po trzydziestce, najwyżej. Starannie uprasowana koszula, brak krawata, szczupła, pozbawiona zarostu, przystojna twarz. Tom mógłby tu i teraz naszkicować profil Jaya Sherrilla: jeden z szybko pnących się po drabinie kariery absolwentów najbardziej prestiżowych uniwersytetów, faworyzowanych przez miejską policję w tych czasach. Byli to młodzi funkcjonariusze, którzy mówili i ubierali się bardziej w stylu konsultantów do spraw zarządzania niż gliniarzy. Odbył pewnie dwutygodniową praktykę na ulicy i od razu przeskoczył do pierwszej ligi sił policyjnych. Tom przeczytał kiedyś artykuł w „New York Timesie” o ludziach takich jak on, którzy nigdy nie nosili munduru – w żargonie nowojorskich policjantów byli „spoza gniazda” – i sami ustalali sobie godziny pracy. Stanowili nową klasę oficerów.

43

—

Młody, pewnie. Ale z dziewięćdziesięciosześciprocentowym wskaźnikiem skazań. – Akcent wskazywał na picusia z Bostonu, mówił

jak Kennedy.

—

Dziewięćdziesiąt sześć procent, co? Komu udało się wywinąć?

—

Tym z najlepszymi adwokatami.

—

W porządku – wtrącił się Henning. – Jak wiecie, panowie, komendant Riley i ja zgodziliśmy się, że ONZ i nowojorska policja będą ściśle współpracowały przy tej sprawie. A to oznacza, że jesteście kolegami. Rozumiemy się?

—

W pełni – odpowiedział Sherrill, nadając głosowi moralizator-skie, dojrzałe brzmienie. – Panie Byrne, idę właśnie na spotkanie z szefem ochrony tego budynku. Jeśli ma pan ochotę, może pan iść ze mną.

Tom posłusznie ruszył za nim, ale dostrzegł upominające spojrzenie Henninga. Będzie się dobrze zachowywał.

—

Miejmy nadzieję, że będzie pan pierwszą osobą, która z nim porozmawia – odezwał się tonem, który, zgodnie z jego intencją, sugerował

zawieszenie broni.

—

Boi się pan, że mógł już rozmawiać z prasą?

—

Nie, boję się, że mógł rozmawiać z kimś z tego budynku. Wtedy powstają przecieki. – Tom myślał o własnym wyjeździe do Londynu, o tym, co powie rodzinie zabitego. Nie na rękę by mu było, gdyby pogłoski dotarły do nich przed nim.

Kiedy minęli zadaszenie przy wejściu dla zwiedzających, zamknię-

tym teraz dla publiczności, i znaleźli się w upiornie cichym foyer głównego budynku, Tom uniósł dłoń w pożegnalnym geście do Henninga.

Szedł na spotkanie z oenzetowskimi szychami. Zdał sobie sprawę, jakim był kiedyś naiwniakiem. Tom Byrne sprzed ponad dziesięciu lat byłby teraz przerażony. Ale po tamtym Tomie nie został nawet ślad.

Pustą windą wjechali na pierwsze piętro. Znalezienie się w tym gmachu było dla Toma jak powrót do dobrze znanego miejsca, ale po ponad rocznej nieobecności wywoływało dziwną nostalgię –
niczym przyjazd 44

do rodzinnego miasta po długiej podróży za granicę.

Czekał na nich Harold Allen. Tom nigdy wcześniej z nim nie rozmawiał, ale go rozpoznał. Kiedyś był to najwyższy rangą afroamerykański oficer w nowojorskiej policji, dopóki z rozgłosem nie pozwał swego pracodawcy, zarzucając mu dyskryminację rasową. Swego czasu typowano go na przyszłego komendanta, a teraz odpowiadał jedynie za niewielki wycinek miasta, które kiedyś mógł mieć w całości pod swoimi skrzydłami – ale, jak pomyślał Tom, nawet na tym skrawku terenu zdołał wpakować się w skandal z użyciem broni. Allen zdenerwowanie miał

wypisane na twarzy. Zaprowadził gości do okrągłego stołu pośrodku pokoju, kilka kroków od swojego biurka. Tom zauważył na ścianie cał-

kiem sporo oprawionych pochwał za odwagę z nowojorskiej policji.

Sherrill nie tracił czasu na uprzejmości.

–

Jak się pan zapewne domyśla, mam do pana kilka pytań, panie Allen.

–

Tak, pan i całe to cholerne gmaszysko.

Tom słuchał i notował w czasie, gdy Allen opowiadał o sekwencji wydarzeń: początkowym cynku od policji o Rosjaninie; nagraniu rozmowy telefonicznej między gościem hotelowym a recepcjonistą; poin-struowaniu dowódców ochrony, żeby uważali na osobnika pasującego do opisu dostarczonego przez policję; jak wiadomość przekazano ochroniarzom przy bramie, w tym Felipe Tavaresowi; pomyłce i wreszcie strza-

łach. Tragiczny przypadek mylnego rozpoznania.

–

Gdzie jest teraz Felipe Tavares?

–

Jest z jednym z funkcjonariuszy pomocniczych nowojorskiej policji.

Tom pytająco zmarszczył czoło.

–
Zajął się nim psycholog.

–
Psycholog. Rozumiem. – To wyglądałoby świetnie w „Daily News”. „Chwilę po zamordowaniu emeryta władze wkraczają do akcji, przynosząc herbatkę i współczując zabójcy”.

45

–
Tak, panie Byrne, psycholog. Domyślam się, że nigdy nie znalazł

się pan w pierwszej linii sił porządkowych. Tavares jest w stanie głębokiego szoku. To dobry człowiek. Właśnie od niego wróciłem.

–
Jak on to znosi? – Tym razem zapytał Sherrill, łagodniejszym głosem.

–
Bez przerwy jęczy i powtarza: „To mógł być mój ojciec. To mógł być mój ojciec”. Kiepsko z nim.

–
Czy wiemy, ile lat miał zabity?

Allen wstał i podszedł do biurka. Ociężały i zwalisty mężczyzna. Ja-ko młody człowiek był pewnie wysportowany, pomyślał Tom, spoglądając na pochwały na ścianie. Ale z czasem prawdopodobnie sobie odpu-

ścił. Allen wrócił z pojedynczą kartką papieru.

–
Wygląda na to, że miał siedemdziesiąt siedem lat. Nazywał się Gerald Merton. Miejsce urodzenia: Kaunas na Litwie.

–
Na Litwie? Nie ma tam zbyt wielu Geraldów Mertonów – powiedział Sherrill z uśmiechem, który dowodził, że jest zadowolony z siebie. – Czy wiadomo, kiedy przeniósł się do Anglii?

–
Nie. Mamy jedynie datę i miejsce urodzenia.

–
Na co pan patrzy, panie Allen?

–
To kserokopia jego paszportu.

–
Ksero czego? – pytanie zabrzmiało bardzo poważnie.

–
Jego paszportu. Jeden z moich ludzi wyjął go z kieszeni zmarłego, kilka sekund po zabójstwie. Chciał sprawdzić jego tożsamość.

–
Mam cholerną nadzieję, że pan żartuje.

–
Boję się, że nie, panie Sherrill. Ale odłożyliśmy go z powrotem na miejsce.

–
Czy pańscy ludzie nigdy nie słyszeli o zabezpieczeniu miejsca przestępstwa, o zacieraniu śladów?
Dobry Boże!

–
Nie zajmujemy się tutaj sprawami zabójstw, panie Sherrill. Nigdy wcześniej nie doszło do czegoś takiego.

–
Tom dostrzegł ścieżkę dla siebie.

46

–
Czy mogę to zobaczyć? – poprosił.

Allen podał mu kartkę, choć z wyraźną niechęcią. Co było do przewidzenia w przypadku człowieka

z ONZ, ludzie tam zawsze trzymali informacje dla siebie, bo była to jedyna prawdziwa waluta w tym budynku.

Tom wpatrywał się w kserokopię zdjęcia. Ziarniste, ale na tyle wyraźne, że pokazywało twarz. Mężczyzna był bez wątpienia stary, ale nie miał bardzo pomarszczonej, wychudzonej albo zapadniętej twarzy. Tom pomyślał o własnym ojcu w jego ostatnich miesiącach, o tym, jak wychudł. Głowa tego mężczyzny nadal była krągła, pokryta sprężystą skórą, twarda, mięsista kula z krótko przyciętymi siwymi włosami po obu stronach. Oczy pozbawione radości: zimne. Tom wrócił spojrzeniem do miejsca urodzenia: Kaunas, Litwa. W rubryce obywatelstwo napisano wyraźnie: brytyjskie.

Przekazał kartkę Sherrillowi, który oglądał ją przez kilka sekund i powiedział:

—

Będą nam potrzebne kopie wszystkich dokumentów, jakimi dysponujecie w tej sprawie.

—

Załatwione.

—

Wydaje mi się też, że będziemy musieli porozmawiać z panem Tavaresem.

—

To może być trudne. W tej chwili nie nadaje się...

—

Panie Allen, to nie jest prośba.

Skronie Allena się poruszyły.

—

Zobaczę, co da się zrobić.

Rozdział 7

Tom rozumiał, że nowojorska policja ma priorytet w tej sprawie: potwierdzało to przydzielenie *summa cum laude* Sherrilla. Wiedział też, dlaczego to zrobiono: politycy z Nowego Jorku uważali, że nawet wła-

ściwie niebyły atak terrorystyczny, ponieważ dotyczył celu-symbolu, musi zostać potraktowany poważnie. I rzeczywiście, trudno było zaprzeczyć, że oglądanie tej akcji robiło wrażenie.

Do czasu, kiedy Sherrill wrócił do prowizorycznego namiotu, zwłoki zostały już umieszczone w worku na ciała i wysłane do głównego lekarza sądowego. Sekcję miano przeprowadzić od razu, a wstępne rezultaty powinny być znane za kilka godzin. Sherrill wykonał gest w kierunku jednego z radiowozów policyjnych, nadal parkujących przed UN Plaza, którego kierowcą, jak nic, był osobisty szofer detektywa, i ponaglił Toma, żeby wsiadał i zajął miejsce obok niego na tylnym siedzeniu. Tom domyślał się, że nie jest to typowy sposób, w jaki nowojorska policja prowadziła śledztwo w przypadku zwykłego zaszlachtowania kokainisty w Brownsville. Podróż nie trwała długo, przejechali krótki odcinek na południe Pierwszą Aleją, trasę, którą kiedyś Tom pokonywał codziennie z domu. Ruch samochodów już wznowiono, ludzie znowu wychodzili na zakupy. Dla nich śmierć na terenie ONZ była porannym utrudnieniem, które już minęło. Tuż za Bellevue Hospital Sherrill klepnął kierowcę w ramię i wyskoczył z wozu w chwili, gdy się zatrzymali.

48

—
Zwykle nikomu nie wolno być przy sekcji zwłok – wyjaśnił Tomowi. – Ale przekonałem się, że formularz wyników nigdy nie daje pełnego obrazu. No i nie odmawiają pierwszorzędnym detektywom.

W recepcji czekali tylko kilka minut, zanim pojawiła się kobieta w średnim wieku ubrana w kitel chirurga. Kiedy Sherrill przedstawił Toma, zrobiła minę, którą zrozumiał jako „Okay, panie prawniku z ONZ. Będziesz mógł się napawać widokiem...”.

Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi, wciskając kod na niewielkiej klawiaturze, i poprowadziła ich najpierw jednym korytarzem, potem następnym. Nie czuło się tu smrodu rozkładających się ciał. Zamiast tego Tom widział, przelotnie, przez na wpół otwarte drzwi, akcesoria dobrze znane z biur: pocieszne ozdoby, w tym poniewierającą się wstążkę przywiązaną do sflaczałego balonika napełnionego helem; słyszał radio nastawione na stację Lite FM. W końcu kobieta doprowadziła ich do miejsca, które przypominało oddział szpitalny. Zapach środków dezynfekcyjnych był silny.

—
W porządku, włóżcie to. – Podała im zielone chirurgiczne kitle i czapki, odsunęła zieloną zasłonę i pokazała go. Wybrzuszenie pod szorstkim prześcieradłem na sekcyjnym stole na kółkach.

Zdjęła z głowy okulary i włożyła je na nos.

—
Dotarłam do tego miejsca, zanim mi dość obcesowo przerwano –

powiedziała, odciągając prześcieradło.

Ciało leżało na boku, masywny tułów o bladej skórze przypominają-

cej barwą brzuch ryby, choć teraz mającej zielonkawy odcień. Czy było to jedynie odbicie światła od zasłon? Tom Die potrafił powiedzieć.

Dziwne, ale jego wzrok padł najpierw na nienaruszone ciało. Ranę, wyrwaną dziurę w plecach, otoczoną postrzępionymi czerwonymi nitkami, zobaczył dopiero później i nie mógł od niej oderwać wzroku. Na jego wyobraźnię działała jej głębia i czerwień.

—

...poważne uszkodzenie tułowia, zgruchotana kość łopatki, rozewane płuco i pęknięta prawa komora...

49

Tom nie słuchał. Wzrok miał nadal utkwiony w fioletowawej ranie, teraz zasklepionej. Miała postrzępione brzegi przypominające dziurę w tynku na ścianie, jakby pięść się przez nią przebiła.

—

Pozwólcie panowie, że go teraz dla was obrócę.

Obaj mężczyźni stali naprzeciw lekarki, między nimi leżały zwłoki.

Zmienił miejsce, tak że znaleźli się obok niej. Nie było czuć żadnego zapachu, ale już sam widok robił piorunujące wrażenie. Tom poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

—

Tutaj widać otwór wylotowy. To oznacza, że będziecie musieli szukać kuli.

Tom skupił się na twarzy martwego mężczyzny. Zdjęcie paszportowe musiało zostać niedawno zrobione; ta sama pełna krągłość głowy nadal była widoczna, twarda jak kula bilardowa. Wysunął rękę do przodu, bo miał zamiar jej dotknąć.

—

Nie!

Podniósł oczy na panią patomorfolog, która wskazywała na dłonie.

—

Nie ma pan rękawiczek.

Tom pokazał gestem, że się wycofuje, i skorzystał z okazji, by zadać jej pytanie.

—

Czy mogę zobaczyć jego oczy?

Lekarka podeszła bliżej i bez wahania uniosła jedną powiekę, potem drugą równie beznamyślnie, jakby sprawdzała piekącego się kurczaka.

Przez tę krótką sekundę bezwładny połec martwego mięsa, rzeźniczy produkt, zmienił się z powrotem w człowieka. Wydawało się, że oczy patrzą prosto na Toma. Jeśli nawet coś wyrażały, Byrne'owi to umknęło.

Chwila trwała zbyt krótko.

—

Przepraszam, czy mogę jeszcze raz obejrzeć jego oczy?

—

Robią wrażenie, prawda?

Tom nie zauważył tego za pierwszym razem, ale teraz, kiedy lekarka uniosła trupowi powieki i przytrzymała je w tej pozycji, natychmiast zrozumiał, co miała na myśli. Były jasne, świdrująco błękitne.

50

—

Był silny, prawda? – Tom wskazał na duże bicepsy martwego mężczyzny. Kiedy jego ojciec skończył siedemdziesiąt lat, ramiona mu pocieniały, skóra luźno z nich zwisała. Ale ten trup nadal miał solidne mięśnie.

—

No pewnie. Niech pan spojrzy na to. – Odsunęła resztę prześcieradła, odsłaniając sflaczałego penisa, którego napletek zwisał bezwładnie, zanim szturchnęła kłocowate uda: znowu sklep rzeźniczy. – To mię-

śnie, co się zowią.

—

Niezwykłe jak na mężczyznę w jego wieku?

—

Zdecydowanie. Musiał mieć kota na punkcie sprawności fizycznej.

–
A to co takiego? – odezwał się Sherrill, zły, że o nim zapomniano, chciał też przypomnieć Tomowi, kto tu rządzi. Wskazywał na kawa-

łek blachy przymocowany bandażem do lewej nogi zmarłego, przypominający nagolennik futbolisty.

–
To najwyraźniej jakiś rodzaj usztywnienia. Nietypowe. Takich płytek używa się w chirurgii odtworzeniowej, zwykle są umieszczane pod skórą. To bez wątplenia tymczasowe. Może służyło usztywnieniu nogi po nadwreżeniu jakiegoś mięśnia. Chociaż to dziwne, żeby wykorzystywać do tego metal. Wszystko stanie się jaśniejsze, jak zobaczę karty chorobowe zmarłego.

–
A co z tym? – Sherrill zapytał, wskazując tym razem na lewą stopę. Miała paluch, drugi palec, a dalej nic, w miejscu, gdzie powinny być trzy kolejne palce.

–
Jeszcze do tego nie doszłam – odpowiedziała lekarka, uprzejmie sugerując, że Sherrill wyprzedza teraz etapy procedury. Przeszła do koń-

ca stołu, żeby przyrzeć się stopie z bliska. – To stare rany – powiedziała.

– Może po jakimś Wypadku w fabryce, musiał być wtedy znacznie młodszy.

–
Może pani stwierdzić, jak dawno się to stało?

–
Ujmę to inaczej, uważam, że nie odgrywają żadnej roli w prowadzonym przez pana śledztwie. Powiedziałabym jednak, że powstały co najmniej sześćdziesiąt lat temu.

Rozdział 8

Sherrill przerzucił się na całe mnóstwo pytań technicznych, których większość dotyczyła balistyki. Razem z patomorfologiem wymieniali teraz uwagi w technicznym dialekcie, którego Tom nie znał, wszystkie te kalibry, stłuczenia... i właśnie wtedy zauważył kilka przezroczystych plastikowych torebek z zamknięciem strunowym które leżały byle jak na blacie niewielkiej szafki z szufladami. Jedna z nich zawierała białą plastikową kartę, wyglądającą na klucz hotelowy, inna – lichey, przestarzały telefon komórkowy. Te rzeczy musiały należeć do zmarłego, zostały wyjęte z jego kieszeni przed sekcją i starannie zapakowane. Tom przypomniał sobie, jak Sherrill ochrzanił szefa ochrony za ksero paszportu.

Niby mimochodem wziął do ręki pierwszą torebkę. Nie pomylił się w najmniejszym stopniu, na karcie widniał nadruk hotelu Tudor, co po raz kolejny dowodziło, że ten biedny starzec nie był zamachowcem-samobójcą: miał prawdopodobnie zamiar wrócić do hotelu po odbyciu

„misji” na UN Plaza, napić się smacznej herbatki i położyć. Były tam jeszcze paszport Mertona, kilka dolarowych banknotów, zmięta ulotka z informacjami dla turystów, prawdopodobnie zabrana z hotelu: *Odwiedź...*

UN Plaza.

Potok technicznych sformułowań nadal płynął z ust Sherrilla, kiedy czyjaś głowa pokazała się w uchylonych drzwiach i wywołano lekarkę 52

na zewnątrz. Tom wykorzystał ten moment, żeby zwrócić na siebie uwagę detektywa i pokazać mu torebkę z telefonem komórkowym. Przez plastik sięgnął do włącznika, potem wywołał ostatni wybierany numer, rozpoznając znajomy prefiks 011-44 brytyjskiego numeru, a poniżej numer nowojorskiej komórki zaczynający się na 1-917. Sherrill od razu wyjął notes i zapisał oba numery. Tom zrobił to samo. Miał zamiar otworzyć też listę odebranych połączeń, a potem zerknąć na wiadomości, kiedy pokazała się ikonka „Pusta bateria” i wyświetlacz zgasł.

Sherrill czekał na powrót lekarki i zadał jej jeszcze kilka pytań, zanim umówił się, że przyśle mu wyniki kurierem po południu. Potem razem z Tomem wrócili do ONZ, do wydziału ochrony na pierwszym piętrze, gdzie na kanapie, z kubkiem posłodzonej herbaty siedział blady i roztrzęsiony Felipe Tavares.

Tom musiał przyznać wbrew sobie, że Sherrill pokazał prawdziwą klasę. Rozmawiał z ochroniarzem Portugalczykiem cichym głosem, cierpliwie prosił go, żeby opowiedział przebieg wydarzeń z tego ranka, kiwał cały czas głową, sam mówił jedynie „oczywiście” i „naturalnie”, jakby prowadzili zwykłą pogaduszkę jak gliniarz z gliniarzem. Nikt nie powiedział tego głośno, ale jasne było, że jeśli wszystko odbędzie się tak, jak chciał tego Sherrill, żaden funkcjonariusz nie będzie miał kłopotów z tego powodu, że po prostu wykonywał swoją pracę. Felipe – czy mogę zwracać się do pana po imieniu, Felipe? – musiał tylko opowiedzieć Jayowi o wszystkim, co się stało.

Najbardziej chyba zainteresowała Sherrilla ta część opowieści, która dotyczyła momentu, kiedy Tavares odebrał sygnał alarmowy od dowódcy ochrony razem z opisem podejrzanego potencjalnego terrorysty: czarna jesionka, wełniana czapka i reszta. Sherrill domagał się od ochroniarza precyzyjnego podania czasu; Tavares protestował, tłumacząc, że nie spojrzął na zegarek. Jak dokładnie brzmiały słowa dowódcy ochrony?

Felipe odpowiedział, że nie zapamiętał, bo przez ulewny deszcz w ogóle ledwo słyszał. Inni ochroniarze także musieli to odebrać: była to 53

wiadomość przekazana do wszystkich mających służbę.

Zgadza się – powiedział Sherrill. – Ich także o to zapytam.

Detektyw bardzo się starał, by jego głos brzmiał naturalnie – przynajmniej w ocenie Toma prawnika – kiedy zadawał kluczowe pytanie.

Padło, gdy Felipe skończył opisywać chwilę, w której pociągnął za cyngiel.

–

Czy w tamtym momencie miałeś zdroworozsądkowe podstawy uważać, że twoje życie jest zagrożone?

–

Tak. Myślałem, że to zamachowiec-samobójca z bombą. Nie chodziło tylko o moje życie, ale o życie wszystkich.

–

I pomyślałeś tak, ponieważ wydawało ci się, że zobaczyłeś jakiś rodzaj bomby?

–

Nie! Już ci mówiłem. Pomyślałem tak z powodu wiadomości, którą dostaliśmy, z powodu ostrzeżenia przed mężczyzną, który tak wyglądał. I z powodu twarzy tych mężczyzn, których zobaczyłem. Wyglądali na strasznie zaszokowanych, a czarny mężczyzna krzyknął: „Nie!”, jakby rozpaczliwie.

–

A teraz uważasz, że krzyczeli, bo zorientowali się, że w rzeczywistości ten mężczyzna to starzec, nie żaden terrorysta. Krzyczeli:

„Nie!”, nie do niego, ale do ciebie, żebyś nie strzelał.

Głowa Felipe Tavaresa opadła mu na pierś.

–

Tak – odpowiedział cicho.

–

Mimo to ten czarny mężczyzna i ten drugi, który z nim był, zniknęli, kiedy później spojrzales?

–

Tak.

—
Czy to nie jest trochę dziwne? Dwóch mężczyzn przygląda się z tak bliska, że widzą twarz starca, i próbują cię powstrzymać od strzelania, tak po prostu rozplywa się w powietrzu?

—
To dziwne. Ale tak właśnie było.

Tom przyglądał się uważnie. Zauważył, że Sherrill niczego nie notował. Detektyw kontynuował.

54

—
Felipe, nie masz pojęcia, dlaczego dowódca ochrony przekazał

wtedy ostrzeżenie? W tym akurat czasie?

—
Nie. Usłyszałem wiadomość i zobaczyłem mężczyznę, którego opisywali. – Tavares ponownie spuścił wzrok na stopy. – Cóż, wydawało mi się, że zobaczyłem tego właśnie człowieka.

Tom niemal widział trybiki obracające się w umyśle Sherrilla, jakby dostawał to, czego potrzebował. Ale co to było, tego Tom jeszcze nie rozpracował.

* * *

Jak do tej pory robił to, czego Henning od niego zażądał: nadzorował

pierwszy dzień śledztwa. Ale jeśli miał złapać nocny samolot do Londynu, nadszedł czas się pożegnać. Tom poinformował policję, że Munchau wybrał na jego zastępczynię u boku Sherrilla Greczynkę specjalizującą się w prawach człowieka i przedstawił ją detektywowi. Ku zaskoczeniu Toma Sherrill nie pozbywał się go z ulgą, przeciwnie, obiecał informować na bieżąco, o tym, co odkryją spece z zespołu kryminalistyki i lekarka dokonująca sekcji. Wziął numer telefonu Toma i nalegał, żeby Tom zanotował jego numer – w tym momencie wyniesiona z uczelni

„przebiegłość” Sherrilla stała się najbardziej widoczna. Nie mając żadnych swoich ludzi w Londynie, chciał, żeby Tom przekazywał mu wszystko, czegoko dowie się o ofierze.

W taksówce wiozącej go z powrotem do mieszkania – spakowanie się przed pognaniem na lotnisko zabierze mu tylko kilka minut – Tom wykonał ostatni telefon, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, żeby dowiedzieć się pokrótce od Harolda Allena szczegółów, które mogły się okazać pomocne w Londynie.

Jak się sprawy mają, Harold?

–

Nie za dobrze, Tom, przed tobą nie muszę udawać. – Jego głos brzmiał szorstko, jak głos człowieka, którego karierę właśnie szlag trafił.

–

Czy zawiadomiono już rodzinę?–

Sekretarz

generalny

dzwonił prawie godzinę temu.

55

–

Wdowa?

–

Żadnej wdowy. Najwyraźniej tylko jedna córka. Wyślę ci e-mailem namiary.

–

Prasa?

–

Jeszcze nie mają nazwiska. Jedynie potwierdzenie, że chodzi o białego mężczyznę.

–

Czy podano do publicznej wiadomości jego wiek? Allen westchnął.

–

Jeszcze nie.

Tom go żałował. Media zareagują raczej wybuchowo, a Allen stanie się kozłem ofiarnym. Zajmował wystarczająco wysokie stanowisko, żeby ponosić odpowiedzialność, ale nie na tyle wysokie, by z jego utratą nie mogło się pogodzić najwyższe kierownictwo. Tom znał okrzyk wojenny, który zawsze wznoszono, gdy w ONZ zaczynały się kłopoty: „Głowy zastępców muszą się potoczyć!”.

Powiedział kilka nijakich słów otuchy i rozłączył się. Kiedy patrzył

przez okno na matki odbierające pociechy ze żłobków, pchające wózki późnym popołudniem, zastanawiał się, do kogo powinien zadzwonić. Z

Fantonimi nie musiał rozmawiać: blackberry i kontakt przez komórkę w zupełności im wystarczą, niezależnie od tego, gdzie się znajdował. Po-myślał o facetach ze swojej pięcioosobowej drużyny piłki nożnej, samych Brytyjczykach, których większość pracowała kiedyś w City, a teraz zarabiała bająnskie sumy co tydzień na Wall Street. Powinien im powiedzieć, że nie przyjdzie na środowy mecz. Poza tym nie miał do kogo zadzwonić.

Na autostradzie Van Wyck panował po południu duży ruch. Tom rozparł się w taksówce na wytartym siedzeniu z imitacji skóry i zamknął

oczy. Sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma paszport, i wtedy poczuł pod palcami twardą okładkę notesu. Prawdopodobnie powinien zatelefonować do Sherrilla, powiedzieć mu, że rodzina została już po-wiadomiona, co oznaczało, że media poznają wkrótce nazwisko zabitego mężczyzny.

56

Przerzucał kartki, szukając numeru detektywa i natrafił na notatki na-bazgrołone w gabinecie lekarki przeprowadzającej sekcję.

Włączył teraz blackberry drugą ręką. Wiadomość z biura Allena, zgodnie z obietnicą. Nazwisko, londyński adres i dwa numery telefonów, drugi komórkowy. Rebecca Merton, napisano. Tom zerknął na długi numer w Anglii, który widział już na wyświetlaczu komórki w plastikowej torebce. Nie mógł się mylić, były identyczne. Ostatni telefon Gerald Merton wykonał do córki.

Nie zastanawiając się, wystukał drugi numer znaleziony w telefonie martwego mężczyzny, zaczynający się na 1-917. Cyfry zaświeciły się na kilka sekund na wyświetlaczu. Wiedział, że powinien zostawić to Sherrillowi, że w ramach rutynowych zadań nowojorska policja sprawdzi numery z telefonu zmarłego. Nie było powodu, dla którego sam miałby to robić. Wyrzwał przez okno, rozważył pomysł – i potem nacisnął zielony klawisz, uruchamiając połączenie.

Pewnie i tak okaże się, że to po prostu telefon do firmy taksówkowej, z której staruszek zwykle korzystał, gdy wybierał się na lotnisko. Albo może jakiegoś krewnego, którego planował odwiedzić.

Tom przytknął telefon do ucha, słyszał realizację połączenia, a potem długi dźwięk pierwszego dzwonka. Cisza, a następnie drugi dzwonek.

Później odezwał się męski głos.

W pierwszej chwili Tom pomyślał, że to pomyłka. Starzec źle wybrał

numer lub też Tom zbyt szybko notował, obie możliwości były jednako-wo prawdopodobne. Miał właśnie zamiar przeprosić za omyłkowe połą-

czenie, ale instynkt mu podpowiedział, by tego nie robił. Ponownie usłyszał ten głos, najpierw mówiący do kogoś, jakby kończył inną rozmowę, potem wołający „Halo, halo!” – i wtedy przeszedł go dreszcz, sprawiając, że włosy stanęły mu dęba.

Nie chodziło o akcent, choć Tom od razu zwrócił na niego uwagę, ani o charakterystyczne pół zdania, które Tom usłyszał, wypowiedziane w 57

języku studiowanym przez Toma dawno temu jeszcze na uniwersytecie.

Nie, chodziło o ton, obcesowy i surowy. Tom rozłączył się przed powiedzeniem choćby słowa i trzymał telefon w mocno zaciśniętej dłoni. Z

ulgą przypomniał sobie, że nowe blackberry miały automatycznie wbudowaną blokadę identyfikacji numeru dzwoniącego. Ten mężczyzna nie oddzwoni do niego.

Szybki telefon do Allena – a po nim do przyjaciela z wydziału wywiadu nowojorskiej policji, który pożałował dawnego towarzysza, mają-

cego topór nad głową – potwierdziły przypuszczenia Toma. Zmusił Allena do dwukrotnego przeczytania mu numeru podanego przez źródło w nowojorskiej policji. Kiedy Allen zapytał, do czego mu to potrzebne, Tom uciekł się do starej sztuczki z imprez, mianowicie powiedział fragmenty kilku słów, a potem się rozłączył. Allen powinien odnieść wrażenie, że wjechał do jakiegoś tunelu i stracił sygnał.

Zapchane drogi dały Tomowi Byrne'owi trochę czasu, kiedy samochód włókł się przez kilka ostatnich kilometrów do lotniska imienia Johna F. Kennedy'ego. Wiedział, że powinien natychmiast poinformować o swoim odkryciu Jaya Sherrilla, ale zawahał się. Chciał najpierw to przemyśleć. Poza tym Sherrill sam wystarczająco szybko na to wpadnie, wystarczy, że wybierze numer, który obaj zapisali.

Jeśli to zrobi, usłyszy to samo co Tom. Zdoła potwierdzić, że człowiekiem, którego numer znajdował się w komórce zmarłego Geralda Mertona, był handlarz broni, dawno temu nazwany przez nowojorską policję Rosjaninem.

Rozdział 9

Nigdy nie powiedzieli – witamy w domu. Tom zawsze wyobrażał sobie, że tak mówią albo przynajmniej, że kiedyś tak go przywitają, ale nic takiego się nie stało. Urzędnik imigracyjny kończący nocną zmianę spojrzał po prostu na zdjęcie w paszporcie, potem na niego i skinieniem głowy dał mu znak, że może przejść.

Nie można było go winić. Tom mógł przecież wracać z dwudniowej podróży. Nic wielkiego. Nie musiał się orientować, że dla Anglika, który osiadł w Nowym Jorku jeszcze przed trzydziestką, był to moment wytrą-

cający z równowagi. Tom, za każdym razem gdy wracał, czuł się jak obeznany ze wszystkim tubylec,

ale i speszony obcy.

Kraj tak bardzo się zmienił. Kiedy wyjeżdżał z Londynu, miasto ogarniała głęboka recesja, wszędzie widać było upiory okresu powojennego, od których nigdy tak naprawdę się nie uwolniło. Ale teraz Londyn jakby buzował energią. Przy każdym powrocie Tom zauważał, że horyzont zapełniają kolejne budynki albo dźwigi na placach budów, gdzie wznoszono nowe domy. Wystarczyło jedynie popatrzeć na wystawy sklepowe, ogrodzenia, uliczne kawiarnie, żeby poczuć pieniądze. Kontrast z Nowym Jorkiem był kiedyś bardzo ostry: na Manhattanie stały wyższe wieżowce, restauracje wydawały się lepsze, sklepy dłużej otwarte. Teraz oba te miasta były do siebie bardziej podobne niż kiedykolwiek.

Ale największa zmiana zaszła w ludziach. Na Park Lane pokazali się 59

rosyjscy miliarderzy, w Islington łotewskie sprzątaczkę, a Polacy byli wszędzie. Oglądał w kablówce występ czarnego brytyjskiego komika, który uważał się, że jeśli teraz spotka się białego w Londynie, to nie moż-

na już mieć pewności, czy będzie mówił po angielsku.

Wsiadł do Heathrow Express, żeby dojechać do miasta z lotniska, ca-

ły czas zaabsorbowany jedną myślą: Z jakiego powodu numer telefonu Rosjanina znajdował się w komórce Geralda Mertona?

Po pierwsze Tom zastanawiał się, czy starzec nie padł ofiarą bardzo sprytnej i podstępnej kradzieży tożsamości. Może terroryści namierzili go, potem celowo jeden z nich ubrał się jak on, żeby zmylić pościg. Mo-

że w którymś momencie użyli nawet – a potem mu zwrócili – jego telefonu komórkowego, wiedząc, że jeśli ktokolwiek podsłuchiwał ich albo śledził, pójdzie śladem starego angielskiego turysty.

Ale to wszystko wydawało się naciągane. Najprostsze wytłumaczenie było takie, że Gerald Merton rzeczywiście sam dzwonił do rosyjskiego handlarza bronią i poszedł zobaczyć się z nim w poniedziałek, zgodnie z tym, co twierdzili agenci federalni. Nie było dwóch mężczyzn ubranych na czarno, tylko jeden.

Na samą myśl o tym Tom się uśmiechnął. Oznaczało to bowiem, że jego przyjaciel Henning Munchau może nie wpadł w aż tak wielkie tarapaty. Jeśli udałoby mu się udowodnić, że ochroniarz ONZ nie zastrzelił

zupełnie niewinnego człowieka, mogliby odłożyć włosiennicę i przestać posypywać głowę popiołem. Henning zejdzie z celownika. Tom zrobi wszystko, o co przyjaciel go poprosił, i jeszcze więcej. Jego dług wobec Henninga zostanie spłacony i może jeszcze trafi mu się za to jakaś pieniężna nagroda.

Z pewnością to było niezwykle: podejrzany terrorysta w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Ale przecież ci faceci byli szaleńcami. Wyko-rzystywali dzieci jako zamachowców-samobójców, także kobiety, 60

nawet ciężarne. Dlaczego Gerald Merton nie miał być pierwszym emerytem, który przyspieszył swoje wejście do raju? Kiedy został zastrzelony, nie musiał mieć na sobie pasa z materiałami wybuchowymi, ale Tom zaryzykowałby twierdzenie, że wyprawa Mertona do ONZ była misją rozpoznawczą: obliczaniem czasu przejścia z hotelu Tudor do UN Plaza w celu sprawdzenia, na jakie przeszkody można się tam natknąć, rozpracowaniem, jak daleko uda mu się dostać, zanim ktoś go zatrzyma. Niewykluczone, że planował powrót już następnego dnia, z zamocowaną bombą dostarczoną przez Rosjanina.

Motyw stanowił jednak spory problem. Najbardziej prawdopodobne wydawało się, że Mertonowi obiecano pieniądze dla rodziny, którą by zostawił. Bo w jaką sprawę ten starzec mógłby wierzyć tak bez reszty, żeby być gotowym wysadzić dla niej siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Tom sięgnął po notes i ponownie przyjrzał się suchym informacjom wyłudzoną od Allena. Data urodzenia równie dawna jak zmarłego ojca Toma. Miejsce urodzenia: Kaunas na Litwie.

Może to był kluczowy fakt. Czytał w magazynach artykuły o coraz wyższym podnoszeniu łba przez mafie w Europie Wschodniej i to od lat.

Ten „Gerald Merton” mógł do niej należeć, przyjechać całkiem niedawno do Anglii i albo sam był ojcem chrzestnym, albo – co bardziej prawdopodobne – najemnym zabójcą, któremu zapłacono za załatwienie ko-goś w ONZ.

Mimo to ONZ będzie potrzebowała jednak więcej dowodów niż tylko jeden numer telefonu w pamięci komórki, by usprawiedliwić zastrzelenie starca. A miejscem, gdzie mógł je zdobyć, był Londyn.

Na monitorze w pociągu pojawiła się informacja, że zbliżają się do Paddingtonu. Z ostatniej wizyty pamiętał ogromne ekrany na dworcu, pokazujące zwykle kanał z wiadomościami nadawanymi przez dwadzie-

ścia cztery godziny. Teraz zamontowano już monitory w autobusach, 61

a nawet na przystankach. Także kamery na każdym rogu, o wiele więcej, niż można zobaczyć w Nowym Jorku. George Orwell miał więcej racji, niż przypuszczał.

* * *

Przy dworcu Paddington wziął taksówkę. Nie miał czasu na zameldowanie się w hotelu albo choćby krótką drzemkę, co było bardzo kuszące. Musiał jak najszybciej zobaczyć się z córką Mertona, zanim cały skład Połączonego Związku Lewackich Prawników i Amerykańskich Radykałów dopadnie ją i zaproponuje umieszczenie zdjęcia jej ojca na plakatach, które znajdą się w sypialni każdego ucznia w kraju. Potrafił

sobie wyobrazić ich podekscytowanie takim pomysłem. Protesty przeciwko zastrzeleniu Jeana Charles'a de Menezesa przez policję miejską były wystarczająco żywiołowe, ale w tym przypadku

celem była pokorna londyńska policja. Śmierć Geralda Mertona stałaby się znacznie lepszym pretekstem do zrobienia z Nowego Jorku, a tym samym Ameryki, siedli-ska zła. Tom znał tych ludzi, wiedział, jak pracują ich umysły. Wiedział

aż za dobrze.

Znajdował się teraz całkiem niedaleko od miejsca, gdzie mieszkała córka Mertona, patrzył, jak ludzie zamykają drzwi i idą do pracy. Większość budynków w stylu starogeorgiańskim była podzielona na oddzielne lokale. Wcześniej wyobrażał sobie, że córka Mertona mieszkała na schludnym przedmieściu w bliźniaku, z mężem i co najmniej dwójką dzieci. Ale to nie była taka okolica. Trafił do Clerkenwell, mieszkaniowego skrawka znajdującego się tylko odrobinę na zachód od brudnego i pełnego szumowin King's Cross.

Kiedy taksówka skręciła w docelową ulicę, natychmiast zorientował

się, które wejście prowadziło do jej mieszkania. Ludzie wychodzili z nienawiścią wypisaną na twarzach; już tak wcześnie rano składali jej kondolencje. Zapłacił taksówkarzowi, wyskoczył z samochodu i skierował się w ich stronę.

62

Kiedy podszedł bliżej, spojrzeli na niego i skinęli głowami z pół-

śmiechem zrozumienia, jakie okazują sobie nieznajomi przy takich okazjach. Nie musiał naciskać dzwonnka – drzwi stały otworem.

Tak naprawdę nie brał pod uwagę obecności innych ludzi. Z korytarza dobiegły go głosy na schodach, były to słowa pożegnania. Ruszył na górę.

Zmieształ się na sekundę. Stały przed nim dwie obejmujące się kobiety, z których jedna głośno szlochała, a druga, wyższa, ją pocieszała.

Mimo to odczuł rodzaj pewności, że ta spokojna, nieplacząca kobieta, była córką Geralda Mertona. Potwierdzały to jej oczy. Były równie uderzające jak te, które patrzyły na niego w kostnicy w Nowym Jorku nieca-

łe dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

–

Dzień dobry – powiedział, wyciągając rękę. – Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia. Nazywam się Tom Byrne i jestem z Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Wbiła w niego swoje wyjątkowe oczy, a potem odezwała się czystym i przenikliwym głosem:

–

Chcę zostać sama.

Rozdział 10

Zaszokowany Tom potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, że te słowa nie były kierowane do niego, ale do odchodzących gości.

—

Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, Rebecca – powiedział mężczyzna, który zdaniem Toma był prawie w jej wieku, tuż po trzydziestce. Jego żona usiłowała również coś powiedzieć, ale oczy ponownie zasły jej łzami, dlatego zrezygnowana pokręciła jedynie głową.

Tom przez cały czas nie spuszczał wzroku z Rebecki, która stała wyprostowana obok tej rozdygotanej, płaczącej pary. Wszystko w niej rzucało się w oczy. Włosy miała kruczoczarne, nos nie był ani krótki, ani zgrabniutki jak u dziewczyn z „Voge'a” i „Elle”, z którymi chodził na randki w Nowym Jorku. Jej nos był wydatny i w jakiś sposób świadczył

o dumie. Najbardziej jednak przykuwały uwagę jej oczy o najczystszy zielonym kolorze: nie takim samym jak jej ojca, ale tak samo jaśniejące.

Wydawały się płonąć, ale nie żalem, którego oczekiwał, a czymś zupeł-

nie kontrolowanym. Przekonał się, że nie może oderwać od niej wzorku.

—

Może pan wejść – powiedziała.

Wszedł za nią do pokoju, którego zagracenie usiłował pośpiesznie ja-koś zinterpretować. Lakierowany drewniany parkiet i wysłużony, maleń-

ki telewizor w rogu łatwo poddawały się ocenie – miejska cyganeria.

64

Zobaczył książki. Na pierwszych kilku półkach literaturę piękną, współ-

czesne powieści oraz dzieła Flauberta, Eliota i Hardy'ego, ale dalej stały jakieś czasopisma. Rzucił okiem na resztę mieszkania. Ani śladu innej osoby. Ani śladu mężczyzny.

Usiadła na prostym drewnianym krześle, zachęcając go gestem, by zajął miejsce na znacznie wygodniejszej kanapie naprzeciwko.

Tom miał zamiar się odezwać, ale zadzwoniła jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i odebrała bez wahania.

–
Absolutnie. Powiedziałam, że może pan dzwonić. Co się dzieje?

– Zaczęła kiwać głową najwyraźniej zasypywana potokiem słów. – Mó-

wi pan, że teraz ma niedociśnienie? Mimo dobrych wyników gramujem-nych? Biedna dziewczyna, tylko tego jeszcze jej brakowało. Niech pan pamięta, że jest leczona na ostrą białaczkę szpikową. Upewniłabym się, że dostała vanocomycinę i zadzwoniłabym na intensywną terapię, żeby na wszelki wypadek przygotowali aminy presyjne. Doktorze Haining?

Proszę mnie informować.

Tom wrócił spojrzeniem do półek zapchanych, jak mógł się teraz z bliska przekonać, kompletem numerów dwumiesięcznika „Onkologia pediatria”. Czekał, aż gospodyni skończy rozmawiać przez telefon i zaczął:

–
Pani doktor. Wie pani, dlaczego tu jestem. Przyleciałem do Nowego Jorku dziś rano z powodu fatalnej pomyłki.

–
Do Londynu. Jest pan w Londynie. – Posłała mu krótki, słaby uśmiech. Lekko wykrzywione pełne usta odsłoniły ostre zęby. Bał się, że się na nią gapi. Czuł, że puls ma przyspieszony.

–
Przepraszam. Do Londynu. Tak. – Próbował wziąć się w garść, żeby traktować to spotkanie jak każde inne. Pamiętaj, jaki masz cel: udobruchać tę kobietę bez choćby jednego słowa o przyznaniu się do odpowiedzialności. – Sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych poprosił, żebym tu przyjechał zaraz po tej tragedii i przekazał

jego kondolencje i żal z powodu tego, co przydarzyło się pani ojcu. Mó-

wi w imieniu całego...

65

–
Może pan sobie darować to przemówienie. – Patrzyła prosto na niego, oczy miała suche. – Niepotrzebne mi przemówienia.

Był przygotowany na sytuację, kiedy zostanie ją załamana, potrzebującą pociechy i ukojenia. Albo obrzucającą go wyzwiskami w uzasadnionej furii. Tego nie było w planie.

–
Żadnej mowy. – Tom uniósł dłonie znad teczki.

–
To dobrze, bo nie lubię frazesów. Potrzebne mi odpowiedzi.

–
W porządku.

–
Zacznijmy od tego. Jakim cudem jakakolwiek policja na świecie mogłaby nie zauważyć, że ktoś ma siedemdziesiąt siedem lat?

–
Cóż, identyfikacja jest jednym z kluczowych problemów, który...

–
I co, do cholery, stało się ze strzelaniem w nogi? Nawet ja wiem, że kiedy policja chce unieruchomić podejrzanego, strzela w nogi.

–
Standardowa procedura w razie podejrzenia, że chodzi o zamachowca-samobójcę z bombą każe strzelać w głowę...

–
Zamachowiec-samobójca? Pierdol się!

–
Tom nie kontynuował zaszokowany jej wulgarnością, milczenie wy-pełniło powietrze.

–
Proszę posłuchać...

–
Pierdol się – powiedziała tym razem ciszej.

–
Rozumiem, że pani...

—
Czy

kiedykolwiek

natknął

się

pan

na

siedemdziesięciosiedmioletniego zamachowca-samobójcę, panie Byrne?

—

Proszę posłuchać. Może jeśli przedstawię pani wydarzenia z poniedziałkowego ranka, zapoznam ze wszystkim, co wiemy, będzie pani łatwiej. – Jego głos brzmiał zupełnie jakby nie on to mówił, była to drę-

twa prawnicza gadka, której nie cierpiał. Miał spore trudności z koncentracją. Za każdym razem wystarczyło, żeby spojrzeć na tę kobietę i od razu czuł się zbity z tropu.

—

Okay. Zatem mój ojciec jest na krótkich emeryckich wakacjach i 66

postanawia jako turysta iść do ONZ. Co się wtedy stało?

Tom sięgnął do teczki po plik papierów, które zabrał ze sobą, zestawienia czasowe i raporty FBI, które on i Sherrill dostali od Allena i dzie-

ki którym mógł przynajmniej udawać, że wszystko zostało ustalone.

Widział dostatecznie wiele takich przypadków przez lata pracy, by wiedzieć, że przede wszystkim chodziło o jedno – brak otwartości, poczucie, że władze ukrywają prawdę, a to zawsze strasznie denerwowało rodziny pogrążone w żałobie. Wcześniej zaplanował, że zdradzi Rebecce Merton najdrobniejsze szczegóły, przedstawi dokładny przebieg wydarzeń, każ-

dą decyzję podejmowaną w ułamku sekundy, aż ona, mimo poniesionej straty, będzie musiała się zgodzić, że doszło do tragicznej, choć niezamierzonej pomyłki i że służby ochrony ONZ znalazły się w niesłychanie trudnym położeniu. Jak mogłyby ryzykować zabicie przez zamachowca dziesiątek, setek niewinnych ludzi? Odebrali jedno życie, głęboko wierząc, że przyczyniają się do ocalenia wielu innych. Chciał, żeby taką wersję zaakceptowała.

–
Niech mi pan oszczędzi prezentacji, panie Byrne. Nie chcę, żeby zasypał mnie pan papierami, omamił nauką. Jestem lekarzem i znam tę sztuczkę.

–
W porządku. – Tom odłożył dokumentację i pochylił się do przodu. – Niech mi pani powie, jak możemy pomóc.

–
Chcę przeprosin.

–
Oczywiście, Organizacja Narodów Zjednoczonych czuje najgłębszy...

–
Nie od pana. Od szefa. Chcę osobistego spotkania z sekretarzem generalnym. Chcę, żeby spojrzął mi w oczy i przyznał, co zrobiła Organizacja Narodów Zjednoczonych. Tu nie chodzi o jakieś małe potknięcie, zabito mojego ojca. Bez powodu. A to oznacza oficjalne przeprosiny, osobiste, od człowieka na samej górze.

Tom pamiętał jedyny warunek Henninga: żadnych popisów, wspólnych zdjęć.

67

–
Niech pani posłucha, doszło wczoraj do tragedii. Wiemy to. I Organizacja Narodów Zjednoczonych chciałaby okazać, że w pełni rozumie skalę tej tragedii. Chcielibyśmy wykonać gest, ustanowić fundusz, któ-

rym mogłaby pani dysponować na dowolnie wybrany cel. Byłby to rodzaj upamiętnienia...

–
Przepraszam, ale chyba źle pana zrozumiałam. Co pan powiedział? – Po raz drugi pojawił się jej krzywy uśmiech.

–
Powiedziałem, że ONZ jest gotowa upamiętnić Geralda Mertona jednorazową wypłatą. – W jednej chwili pożałował słowa „jednorazo-wa”.

—
Chryste. – Pokręciła głową, pełne usta powoli przybrały barwę ciemnej czerwieni, jakby jej gniew wypełniał je krwią. – Może radyka-

łowie mają mimo wszystko rację. Tak więc ONZ jest nie tylko nieprzy-jazna Izraelowi, ale jest również antysemitka.

—
Przepraszam? – Tom zmarszczył czoło.

—
Przepraszam to trochę za mało, panie Byrne. Czy naprawdę tak o nas myślicie? Że możecie nas kupić pieprzonymi pieniędzmi?

—
Nie rozum...

—
Myślicie, że tacy właśnie są Żydzi? Że pozwolimy wam zabijać naszych rodziców dopóty, dopóki cena jest odpowiednia?

—
Nie miałem pojęcia...

—
To prawda. Nie ma pan pojęcia.

Jej komórka ponownie zadzwoniła. Tom usiłował przetrwać to, co właśnie usłyszał, ale kiedy wstała, mógł się skupić jedynie na jej kształ-

tach. Była szczupła, ale nie chuda. Widział wyraźnie, że nawet w byle jakich dzinsach i luźnej czarnej bluzie miała figurę prawdziwej kobiety w niczym nieprzypominającej anorektycznych lał, jakie widuje się na Manhattanie.

—
Cześć, Nick. Jak ona się czuje? Jak wygląda prześwietlenie klatki piersiowej? To niedobrze. – Zaczęła kiwać głową, pomrukami zgadzając się z głosem w słuchawce. – Wygląda na to, że ma zespół ostrej 68

niewydolności oddechowej. Tego właśnie się bałam przy streptokokach, *viridans sepsis*. W porządku, powiedz jej rodzicom, że niedługo do nich zadzwonię. Przeszli gehennę: powinni usłyszeć głos osoby, którą znają.

Dzięki, Nick.

Starał się nie wlepić w nią wzroku, ale w tej walce nie miał szans.

Wyrazistość tej kobiety jakby spalała cały tlen znajdujący się w pokoju.

W piersiach czuł dziwne rozdygotanie, jakby serce mu drżało. Wmawiał

sobie, że to przez kawę, brak snu lub na skutek długiej podróży samolotem. Mimo to nadal nie potrafił oderwać od niej oczu.

Zatem Gerald Merton był Żydem. Tom w ogóle nie brał czegoś takiego pod uwagę. Wszystko wprowadzało go w błąd – nazwisko, paszport – miejsce urodzenia: Kaunas, Litwa – a zwłaszcza zwłoki. Tom Byrne wiedział, jak wygląda obrzezany penis, a Mertona na pewno taki nie był.

Skończyła rozmowę i odwróciła się do niego.

– Muszę iść. Jestem potrzebna w szpitalu, wyjątkowa sytuacja.

–

Bardzo mi przykro z tego powodu.

–

Tak, pewnie, że panu przykro. W każdym razie moim zdaniem nie mamy już o czym rozmawiać, zgadza się pan? – Obróciła się i zniknęła w kuchni, skąd doszło go pobrzękiwanie kluczyków do samochodu.

Zwrócił się ku stercie niewykorzystanych dokumentów, leżących obok niego na kanapie, zaczął wpychać je z powrotem do teczki i wtedy to zobaczył: niewielki, czarny notes na małym stoliku. Przez chwilę pomyślał, że to musi być jego notatnik. Ale gdy lepiej mu się przyjrzał, zorientował się, że jest grubszy. Należał do niej. Powodowany impulsem wsunął go do teczki. Powie później, że wziął go przez pomyłkę, dzięki czemu będzie miał pretekst do powtórnej wizyty.

Wstał i zszedł po schodach za Rebeccą Merton, a potem razem wyszli przez drzwi frontowe.

–

To moja wizytówka – powiedział, skutecznie tłumiąc zaskoczenie, 69

że ją przyjęła. – Gdyby chciała pani jeszcze o czymś porozmawiać, proszę do mnie zadzwonić.

Wpatrywała się w nią przez chwilę, potem podniosła wzrok, świdrując go szmaragdowymi oczami.

– Więc nie jest pan nawet prawnikiem ONZ, tylko wynajętym pomocnikiem. Facetem zatrudnionym, żeby odwalać za nich brudną robotę.

Do widzenia, panie Byrne. Wątpię, żebyśmy się jeszcze spotkali.

Rozdział 11

Tom patrzył, jak przeszła na drugą stronę ulicy, wsiadła do starego saaba i odjechała, a potem stał jak sparaliżowany przez minutę lub dłu-

żej, usiłując zrozumieć wrażenie, jakie na nim wywarła. Nie było to zwykłe uczucie, którego często doświadczał na imprezach na Manhattanie albo podczas pijatyk w Royalton: spostrzegł jakąś młodą piękność i bez entuzjazmu dochodził do wniosku, że jej pragnie, podobnie jak wybiera się jakiś przysmak z menu. W taki właśnie sposób zapełniał swoje łóżko w Nowym Jorku, ale tym razem było inaczej.

Czuł się tak, jakby właśnie przebiegł dziesięć kilometrów wokół Central Parku. Policzki miał zaczerwienione, puls przyspieszony. Niespodziewanie przypomniał sobie, co przeżywał jako szesnastolatek, kiedy po raz pierwszy zobaczył Kate, cztery lata starszą studentkę uniwersytetu i przewodniczącą młodzieżowej grupy pracującej w Sheffield na rzecz kampanii rozbrojenia atomowego. Samo wypowiedzenie jej imienia –

Kate – spowodowało, że zrobiło mu się ciepło. To ona pokazała mu świat i choć od tamtego czasu był z wieloma kobietami, nigdy nie poczuł

tamtego podniecenia, przyprawiającego o bicie serca. Musiał jednak przyznać sam przed sobą, z ukłuciem wstydu, że coś podobnego przeżywał teraz. Rany boskie, powiedział do siebie twardo, dorośnij.

Zaprzagnął napić się kawy, poszedł więc na koniec ulicy, gdzie 71

widział kilka wystaw sklepowych. Na szczęście była tam też niewielka kawiarnia. Wszedł do środka, usiadł przy najmniejszym stoliku, żeby nikt nie mógł się do niego przysiąść, i zamówił espresso.

Kiedy mu ją podano, wypił kawę dwoma łykami, oparł się ponownie o krzesło, zamknął oczy i odetchnął głęboko. I wtedy właśnie przypomniał sobie o notesie w teczce. Czy mógł to być pamiątnik Rebecki Merton? Wiedział, że nie powinien go otwierać, ale nie potrafił oprzeć się pokusie.

Notes był zapisany, strona po stronie, drobnym, schludnym pismem.

Od razu zorientował się, że nie są to zapiski trzydziestokilkuletniej kobiety. Podkradnicie go było błędem. Ale wystarczyło, że przeczytał

kilka pierwszych zdań, by zdał sobie sprawę, że popełnił znacznie poważniejszy błąd.

Rozdział 12

Nazywam się Gerszon Matzkin i urodziłem się w Kruku na Litwie. W

moim brytyjskim paszporcie napisali, że urodziłem się w Kownie, bo Kruk jest małą wioską i nikt o niej nie słyszał. Ale również dlatego, że nazwa tego miejsca powinna być przeklęta po tysiącokroć i lepiej, żeby jej nigdzie nie zapisywać.

Byłem drugi z czwórki dzieci Meira i Rebecki Matzkin. Różniłem się od rodzeństwa. Moje siostry miały czarne włosy, wydatne rysy, podczas gdy ja byłem blondynem o niebieskich oczach i niewielkim nosie. W ogó-

le nie wyglądałem na Żyda.

Ojciec żartował, że pewnie matka była zbyt przychylna pasterzowi kóz z wioski. Kpił z takich rzeczy, bo wiedział, że to niemożliwe. Dzisiaj powiedziano by, że miałem inne geny, zmutowane. Aie wtedy, kto wiedział o czymś takim?

Urodziłem się za wcześnie. Ciało miałem maleńkie; mówili, że moje życie wisiało na włosku. Kiedy miałem osiem dni, rabin powiedział, że jestem za słaby na brit milah, za słaby na obrzezanie. Potem z powodu tego wszystkiego, co przydarzyło się mojej rodzinie, zostało to odłożone.

Może matka nie chciała o tym myśleć. A potem było już za późno.

W małej wiosce, której nazwy nie chcę wymieniać, mieszkało niewielu 73

Żydów, może kilkadziesiąt rodzin. Siedzieliśmy cicho, starając się jakoś żyć. Ale od czasu do czasu zdarzały się kłopoty...

** * **

Byłem przerażony, zanim jeszcze to się zaczęło. W tym wieku – mia-

łem prawdopodobnie siedem lat – dudnienie deszczu o szybę wystarcza-

ło, żeby mnie przestraszyć. Lubiłem śnieg, którego mieliśmy mnóstwo, ale uderzenia kropli deszczu w szkło budziły mój strach: przypominały palce pukające, domagające się wpuszczenia do środka. Tamtej nocy nie padało, ale było bardzo ciemno, a tego też się bałem.

Ale tej nocy nie tylko ja się bałem. Moje siostry obudziły się i płaka-

ły. Miejscowi Litwini biegali ulicami, przy których mieszkało kilku Żydów, walili w drzwi i krzyczeli: „Zabiliście Chrystusa! Wyłaźcie mordercy Chrystusa!”.

Działo się tak co jakiś czas, zwłaszcza na Wielkanoc. Ale nawet wtedy, choć byłem dzieckiem, potrafiłem rozpoznać zniewagę w ich głosach. Byli pijani, wódką, bez wątpienia, ale także nienawiścią – nienawi-

ścią, której zaczynem była żydowska wiara i którą destylowali przez niemal dwa tysiące lat. Teraz to wiem, wtedy byłem jedynie przerażony.

Słyszałem więcej głosów niż zwykle. Czekaliśmy, aż ucichną, kiedy będą nas mijały, ale tak się nie stało. Pozostawały głośnie i bliskie. Matka usiadła z nami na łóżku – w tamtych czasach cała nasza czwórka dzieliła jedno łóżko – i kazała nam być cicho. Na rękach trzymała moją najmłodszą siostrę, maleńką Ryfkę, i śpiewała starą piosenkę w jidysz: *Dos tzigele is geforen handlen*

Dos vet zein dein beruf

Rozinkes mit mandlen

Shlof-zhe, Yidele, shlof.

Co oznaczało:

74

Kózka wyszła się rozejrzeć

Tak jak ty zrobisz któregoś dnia

Przyniesiesz rodzynki i migdały

Śpij, dzieciątko, śpij.

Ludzie na zewnątrz nadal krzyczeli: „Żyd! Żyd!”. Ale ona nie przestawała śpiewać tej piosenki. *Shlof-zhe, Yidele, shlof.* Czasami, nawet teraz, kiedy przypominam sobie wszystko, co stało się potem, ponownie słyszę tę melodię.

W tamtym momencie nikt z nas nie wiedział, co dzieje się na zewnątrz. Matka myślała, że ojciec jest na dole i zerka przez rozchyloną zasłonę, wypatrując chwili, kiedy ci dranie się znudzą i pójną dalej. Często-

ściowo miała rację: dlatego właśnie zszedł na dół, żeby wszystko widzieć i zawiadomić nas, gdy horyzont się przejaśni. I wtedy coś zwróciło jego uwagę. Zobaczył dym wydobywający się z obory.

Nie byliśmy rolnikami, ale jak większość ludzi w naszej wiosce trzymaliśmy parę kuraków i krowę. I teraz, późną nocą, ojciec spostrzegł

dym. Na pewno ludzie z wioski wrzucili pochodnię do obory. Pomyślał

jedynie o tym, że musi ratować zwierzęta. Dlatego pobiegł do obory.

Nie wiem, kiedy matka zdała sobie sprawę z tego, co się stało, ale nagle zawołała: „Meir?!”. Wtedy zobaczyła pierwsze pomarańczowe języki ognia. „Meir?!”. Ponieważ nie odpowiedział, rzuciła na łóżko Ryfkę, jakby była lalką, i zbiegła po schodach. Patrzyliśmy przez okno, jak pędziła z domu w

kierunku obory. Tak bardzo się bałem, że przesta-

łem płakać.

Zobaczyliśmy, że zaczęła coś ciągnąć, zgięta w pół, jakby wlokła z obory worek z ziarnem. W ciemności prawie nie było widać, że tak naprawdę ciągnęła jakiegoś człowieka za kostki. Anna pierwsza powiedzia-

ła: „To tatuś”.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się dokładnie, co w rzeczywistości się wydarzyło. Może było tam za dużo dymu. Może uderzył głową w drewnianą belkę. Może jeden z tych łobuzów poszedł za nim do obory i go pobił.

75

Cokolwiek się stało, matka zjawiała się za późno.

Po tym nigdy już nie była sobą. Włosy jej posiwiały i nosiła je roz-puszczone. Jej ubranie było czasami brudne. W końcu wkładała bez przerwy tę samą bluzkę i spódnicę. Przestała się śmiać, a kiedy się uśmiechała, był to dziwny, wykrzywiony uśmiech, naznaczony smutkiem i żalobą. I nigdy więcej nie śpiewała tej kołysanki.

Postanowiła, że nie możemy dłużej żyć w tym miejscu, którego nazwy nigdy nie wypowiedziała na głos. Miała kuzyna, który kiedyś mieszkał w Kownie, dlatego tam się przeprowadziliśmy. Uważała, że powinniśmy znaleźć się w dużym mieście, w miejscu, gdzie nie będziemy się wyróżniać. W miejscu gdzie nie było po prostu kilku Żydów, ale tysiące. Przypuszczam, że jej zdaniem bezpieczeństwo miała nam zapewnić liczebność. Tak więc wyruszyliśmy do Kowna. Jeśli popatrzysz teraz na mapę, nie znajdziesz tej nazwy. Dzisiaj jest nazywane po litewsku: Kaunas.

Przyjechaliśmy tam, gdy byłem ośmiolatkiem, i pierwsze dwa lata naszego pobytu wspominam jako szczęśliwe. Z siostrami chodziliśmy do szkoły, a ja przekonałem się, że mam dryg do nauki języków. Nauczycielka powiedziała, że mam do nich ucho. Do rosyjskiego, a zwłaszcza do niemieckiego. Wystarczyło, żebym raz usłyszał słowo i je zapamię-

tywałem. Oczywiście „chleb” brzmiał chlieb. Bo jak inaczej miałoby to brzmieć? Fragmenty pasowały do siebie jak kawałki układanki. Uczyłem się i uczyłem.

W Kruku przestrzegaliśmy jedynie podstawowych zasad żydowskiej tradycji i – jak świadczy o tym mój penis – nawet nie wszystkich. Zapaliliśmy świece w piątkowy wieczór, żeby oznaczyć początek szabatu, ale nie robiliśmy wiele więcej. W Kownie było inaczej. Prawie jedna czwarta mieszkańców była Żydami, a w okolicy, gdzie mieliśmy dom, wszyscy. Na każdej ulicy były synagogi, szkoły jidysz, szkoły hebrajskie, słynna akademia religijna, jesziwa w Variampolu, a nawet żydowski szpital. Byli tam ludzie uczący mnie odmawiania kadiszu za mojego ojca. Nie czuliśmy się tam wyrzutkami, nawet jeśli teraz na takiego wyglądam.

76

Chciałbym móc powiedzieć, że matka była szczęśliwa, ale to nie-prawda. Mieszkaliśmy w dwóch wynajętych pokojach na ulicy Jurbarko.

Nie wiem, jak za nie płaciła. Pokoje były mroczne, nawet kiedy na ze-wnątrz świeciło słońce. Pamiętam, że w tamtym czasie oczy mojej matki nie miały wyrazu.

A potem, w któryś dzień 1940 roku, zaczęła powiewać inna flaga.

Tamtego dnia było gorąco, słońce takie mocne, że osuszało chyba ca-

łą wilgoć pozostawioną przez długą zimę. Bawiliśmy się na ulicy jak zwykle, ja byłem ogonem Anny, kiedy siostry grały w klasy. Spostrzegłem to pierwszy. Wskazałem palcem do góry na ciemnoczerwoną flagę łopoczącą na wietrze. Nie widziałem dokładnie złotych zarysów w górnym rogu. Zastanawiałem się, czy nie były to aby jakieś litery z cudzo-ziemskiego alfabetu. Dowiedziałem się później, że były to narzędzia robotnika przemysłowego i chłopa, młot i sierp.

Rosjanie przybyli, żeby uczynić z Litwy część Związku Radzieckie-go.

Nauczyciele w szkole robili wrażenie podenerwowanych. Moja nauczycielka rosyjskiego zniknęła. Anna wyjaśniała mi, że Rosjanie aresz-towali ludzi. Zamykali niektóre żydowskie budynki, bo były przeciwne

„rewolucji”, cokolwiek to znaczyło. Anna słyszała, że niektórych wywo-

żono na Syberię. Powiedziała, że to najzimniejsze miejsce na ziemi.

Wyobrażałem sobie mężczyzn stojących na ogromnej połaci białego lodu i trzęsących się jak pingwiny.

Baliśmy się Rosjan, ale to nie oni najbardziej nas przerażali. Wkrótce bowiem usłyszeliśmy, że istnieje ruch oporu przeciwko komunistom, złożony z miejscowych Litwinów, którzy byli zdecydowani wypędzić Rosjan ze swojej ojczyzny. To właśnie ci ludzie budzili naszą grozę.

Pamiętaliśmy z Kruka, jak ci ludzie potrafią się zachowywać, kiedy są źli albo wzburzeni.

Pewnego dnia zorientowałem się, że dziewczyny o czymś szepczą.

Początkowo nie chciały mi pokazać, na co patrzyły. «Nie, on powie mamie», rzekła Ryfka.

77

„Co mam powiedzieć mamie?”.

„Nic”.

„Co tam macie?”.

W końcu ustąpiły. Anna kazała mi przysiąc, że dochowam tajemnicy, a potem mi pokazała. Była to ulotka, którą znalazła na ulicy. Napisano w niej, że to Żydzi są winni sprowadzenia komunistów na Litwę. „Bez Żydów bylibyśmy wolnymi ludźmi!”.

Anna wydała nam szeptem rozkaz. „Nie możemy dopuścić, żeby mama to zobaczyła”. Nie miałem jeszcze jedenastu lat i nic nie wiedzia-

łem o komunizmie albo okupacji, ale rozumiałem, że mama jest delikatna jak kubeczek, który wcześniej już raz się zbił, którego nie wolno teraz upuścić. Udało się nam. Nigdy nie zobaczyła tej ulotki.

Rok później myślałem, że nasze kłopoty się skończyły. W szkole dyrektor ogłosił, że Rosjanie odeszli. Po prostu uciekli. To dobrze, pomy-

ślałem, teraz Litwini nie będą źli na nas, Żydów, za sprowadzenie Rosjan do ich kraju. Ale dyrektor wydawał się bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek.

To był czerwiec 1941 roku. Zaraz po tym, jak dyrektor przestał mó-

wić, podsłuchałem chłopaków z mojej klasy. Z tego, co mówili, zrozumiałem, że Rosjanie nie odeszli, bo chcieli zostawić nas w spokoju.

Zniknęli, bo się bali: Niemcy rozpoczęły inwazję na Związek Radziecki.

Następnego dnia grałem na ulicy w dwa ognie z kolegami ze szkoły.

Nagle rozległ się jakiś hałas, początkowo odległy: daleki świst i ciche dudnienie. Pomyśleliśmy, że ludzie świętują, orkiestra maszeruje ulicami, bo Rosjanie odeszli. Ale potem dobiegły nas nowe dźwięki: krzyk kobiet i płacz dzieci. Mój przyjaciel zabrał piłkę i uciekł. Stałem sam przez cztery, pięć sekund, zanim nieznajomy mężczyzna chwycił mnie i kazał zmykać z ulicy. „Idź do domu – powiedział. – Zmiataj do domu i to już!”. Musiałem wyglądać na oszołomionego, nic nierozumiejącego, bo wbił we mnie wzrok. „Pogrom – powiedział. – P-o-g-r-o-m”.

78

Jak najszybciej pobiegłem z powrotem na ulicę Jurbarko. Krzyki stawały się głośniejsze: Litwini świętowali odejście Rosjan, atakując każ-

dego Żyda, którego udało im się znaleźć. Na ulicy Kriščiukaičio widzia-

łem człowieka wyciąganego za uszy ze sklepu; trzech mężczyzn zaczęło go bić, raz po raz uderzali go w głowę. Widziałem wleczonych innych Żydów. Nie wiem, dokąd tych Żydów zabierano ani co się z nimi potem działo. Ale mogę się domyślić.

Litwini nosili dziwne mundury, jakich nigdy wcześniej nie widzia-

łem. Były czarne z flagą Litwy na rękawach niczym opaską. Kurtki nie były takie same jak mundury

prawdziwych żołnierzy. I mężczyźni nie maszerowali w szeregach, ale szaleli na ulicach, wykrzykując slogany:

„Żydzi i komuniści okryli Litwę hańbą!”. Sami siebie nazywali Litew-skim Frontem Aktywistów.

Później dowiedzieliśmy się, że zabierali Żydów dziesiątkami do ga-rażu Lietukis w centrum Kowna. Zabili tam setki ludzi. Potem, już z książki, dowiedziałem się, że tamtej nocy 23 czerwca 1941 roku i w ciągu trzech kolejnych nocy zamordowali ponad trzy tysiące ośmuset Żydów. Używali noży i siekier na równi z bronią palną; palili ludzi w domach i wykurzali ogniem z wszelkich kryjówek. Innych topili w rzece Wilii. Podpalali synagogi. Wtedy nie znaliśmy jeszcze żadnych liczb.

Wiedzieliśmy jedynie to, co zobaczyliśmy.

Uciekałem ile sił w nogach, przemykałem przez bramy i wbiegałem w uliczki, żeby uniknąć mężczyzn w czerni. Wyobrażałem sobie, że jeśli mnie znajdą, to mnie również będą bili. W końcu miałem wtedy jedena-

ście lat i byłem wysoki: mogliby uznać mnie bardziej za mężczyznę niż dziecko. Zakładałem też, że dopatrzą się we mnie Żyda.

Tuż przed czynszówką, gdzie mieszkaliśmy, wpadłem na siostry.

Anna odczuła taką ulgę na mój widok, że objęła mnie i mocno, długo przytulała. Pognała nas potem do domu i w górę po schodach, żeby ostrzec matkę przed tym, co się dzieje. Chcieliśmy jej opowiedzieć, czego świadkami właśnie byliśmy, o strasznych rzeczach, do których dochodziło.

79

Zrozumiałem, co się stało, kiedy usłyszałem krzyk Anny. Tak cichut-ki, jakby była małą dziewczynką, co oczywiście teraz jako dorosły mąż-

czynna inaczej pojmuję, wiem, że była małą dziewczynką. Próbowwała nas zatrzymać, pozostałe siostry i mnie, oszczędzić nam tego widoku, ale było za późno. Zobaczyłem to i nigdy nie zapomnę tego widoku.

Nogi matki były w powietrzu, jej ciało dyndało z belki przy suficie.

Wisiała tam, kołysząc się niczym wahadło w zegarze – zegarze, który mówił, że osiągnęliśmy kres czasu.

Rozdział 13

Tom zamknął notes i podniósł wzrok. To był koszmar. Naprawdę, koszmar na jawie.

Sprawdził godzinę na zegarku. Za wcześnie na telefon do Henninga.

Wyobrażał sobie, co mu powie: „Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że zabity facet może nie jest znowu aż taki niewinny. Zła natomiast jest taka, że zabiliście człowieka, który ocalał z Holocaustu”.

Działowi kontaktów z mediami nie mogłoby przydarzyć się nic gorszego. Rebecca Merton będzie musiała jedynie włożyć ten notes do koperty i wysłać do jakiegokolwiek gazety w Londynie lub Nowym Jorku, a nazwa Organizacji Narodów Zjednoczonych zostanie zmieszana z błotem. Niemal widział nagłówki na rozkładówkach: „»Wojenne piekło mojego ojca«, opowiada córka ofiary strzelaniny w ONZ”, uzupełnione kolorowym zdjęciem „Rebecki Merton, lat 31, o kruczoczarnych włosach”.

Tom skręcił sobie papierosa, zanim zauważył kiwający palec kelnerki. Oczywiście, w Londynie obowiązywały te same pieprzone purytań-

skie zasady, co w Nowym Jorku. Trzymał niezapalonego papierosa i zamówił następne espresso. Wrócił do notesu i przygotował się we-wnętrze na kolejne rewelacje.

81

Bardzo niewiele pamiętam z następnych kilku dni. Byliśmy jak w transie. Najkrócej moja siostra Anna. Nie pozwoliła sobie na zbyt długie odrętwienie. Od tej chwili musiała zastąpić nam matkę...

Do moich obowiązków należało zdobywanie jedzenia. Byłem dzieckiem, ale robiłem wrażenie starszego i wygląd dodatkowo przemawiał na moją korzyść. Mogłem uchodzić za jednego z miejscowych litewskich chłopaków, nienaznaczony jako Żyd. Wynajdowałem, co się dało, pojawiałem się w piekarni tuż przed jej zamknięciem, wyciągając rękę po jakiegokolwiek resztki. Jeśli była tam kobieta, mogłem próbować pod-chwycić jej spojrzenie: kobiety chętniej się nade mną użalały. „Jaka słodka buźka”, mówiły, wręczając mi piętękę chleba albo stare ciastko suche jak kamień.

„Gdzie są twoi rodzice?”

„Jestem sierotą”.

„Słyszałaś, Irena? Jest sierotą. A co się stało z twoją mamą i twoim tatą, mały?”

„Rosjanie”.

„Och, te potworne bydlaki. Masz tutaj kawałek czerstwego chleba.

Irena, przynieś mięso, które masz na zapleczu. No dalej, pośpiesz się.

Masz tutaj, młodzieńcze. A teraz zmykaj”.

Nikt z nas nie mówił prawdy. Jeśli ktokolwiek zbliżał się do Anny, od razu kłamała: „Mój ojciec zaraz wróci” albo mówiła: „Mama wyskoczyła na chwilę”. Wtedy wydawało mi się, że po prostu wstydziła się nazwać nas wprost sierotami. Teraz lepiej ją rozumiem. Nie chciała, by ludzie się dowiedzieli, że w naszych dwóch pokojach mieszkają jedynie dzieci. Musiała się martwić, że ktoś nas wyrzuci albo ukradnie nam to, co mieliśmy. Albo coś gorszego.

Czas między Rosjanami a tym, co nastąpiło potem, nie trwał długo.

W książkach piszą, że w ogóle nie było żadnego takiego okresu, że po-suważące się do przodu oddziały niemieckie już tam były od samego początku, a nawet organizowały pogromy tamtej nocy, kiedy moja matka 82

zakończyła życie. Ale my wiedzieliśmy, kiedy zjawiły się siły niemieckie.

Prawdę powiedziawszy, wcześniej ją usłyszeliśmy, niż zobaczyliśmy.

Byłem w mieszkaniu i patrzyłem, jak Anna kroi na cztery części skórkę od chleba, którą przyniosłem. Jako chłopiec, głowa domu, zawsze dostawałem największy kawałek. Ryfka i Lea takie same kawałki – najmniejszy Anna brała dla siebie. Dziewczęta nauczyły się cierpliwości i żuły kęs chleba równie długo, jakby jadły prawdziwy posiłek. Ale ja w tamtym czasie nie potrafiłem kontrolować głodu. Pochłaniałem w jednej chwili wszystko, co znalazło się przede mną.

Początkowo myślałem, że to burza. Ale niebo na zewnątrz było czyste i jasne. Znowu rozległo się głębokie dudnienie odległego wybuchu.

„Ciiii”, powiedziała Anna, więc wszyscy zamarliśmy. Anna zamknęła oczy, żeby się lepiej skoncentrować. „Samoloty”, powiedziała w końcu.

Wkrótce pojawił się inny odgłos. To był tupot kroków armii wkraczającej do miasta. A potem dołączyły do tego dźwięki, które rozlegały się już nie tak daleko. Głośny, mechaniczny rumor motocykli, piechoty i gigantycznych dział polowych na kołach, i w końcu czołgów wtaczających się do Kowna.

Anna podeszła do okna, ale nie śmiała zbliżyć twarzy do szyby. Wysunąłem się przed nią, zyskując dobry widok. To, co zobaczyłem, wprawiło mnie w zakłopotanie. Okna w kamienicy znajdującej się naprzeciwko i następnej zaczęły się otwierać. Rozwijały się z nich wielkie, powiewające płachty materiału: flagi. Dziewczęta wychylały się, uśmiechały i machały rękami, rzucając kwiaty na mężczyzn w dole.

„Czy teraz wszystko już będzie dobrze, Anno?” – spytałem.

„Może, Gerszonie, może”. Ale nie wyglądała na przekonaną.

Następnego dnia poszliśmy do szkoły i od razu się zorientowałem, że nawet jeśli nasi litewscy

sąsiedzi cieszą się z nadejścia nazistów, to nas, Żydów, to nie radowało. Wszyscy byli spięci. Dyrektor przemawiał do całej szkoły, a na jego twarzy widać było zdenerwowanie. „Jesteśmy 83

ludźmi doświadczanymi wielokrotnie – powiedział. – Dzieci, wszystkie znacie historię faraona. I Hamana. Ludzi, którzy chcieli unicestwić Ży-dów. I co się działo za każdym razem?”. Nikt nie wyrywał się z odpowiedzią; to nie przypominało normalnej lekcji. „Za każdym razem pono-sili porażkę, bo Bóg nas ochronił. Przetrwaliśmy. Dzieci, także i teraz możemy być poddani takiej próbie”.

Nie jestem pewny, czy stało się to tamtego dnia, czy następnego, ale w każdym razie bardzo szybko. Pojawiły się obwieszczenia po niemiecku. Stałem na palcach, wyciągając szyję, żeby przeczytać jedno z nich przyklepione do latarni obok szkoły i przetłumaczyć je najpierw chłopu-kom z klasy, a potem niewielkiej grupie, która zgromadziła się wokół

nas. Napisano w nim, że od tej pory wszyscy Żydzi będą musieli nosić żółtą gwiazdę na wierzchnim okryciu, żeby była widoczna przez cały czas. I będzie też godzina policyjna: nie dla wszystkich mieszkańców Kowna, ale dla Żydów. Po zmierzchu żadnemu Żydowi nie wolno pozostawać na zewnątrz; miało nie być Żydów na ulicach. I nie wolno nam było chodzić po chodnikach. Te zostały przeznaczone wyłącznie dla Aryjczyków. Pozostawało nam chodzenie rynsztokami.

Nawet wtedy nie wiedziałem, czy się bać. To były nowe zasady, zgodnie z którymi musieliśmy żyć, ale i tak wydawało się, że Litwini i ich pogromy byli gorsi. Jeśli zamierzali tylko zmusić nas do noszenia żółtej gwiazdy i zostawania w domu po zmroku – nie było źle.

Ale szybko rozwiano moje złudzenia. Kilka dni później, rankiem, obudziło nas głośnie walenie do drzwi. W jednej sekundzie siedziałem prosto na łóżku. Serce waliło mi młotem. Przez pierwsze sekundy, zu-pełnie zdezorientowany, zastanawiałem się, czy matka była przy drzwiach: wyobrażałem sobie ją uśmiechniętą, z włosami czystymi i uczesanymi, że przyszła, by nas stąd zabrać. Chyba musiałem wyglądać, jakbym chciał coś powiedzieć, bo Anna, która również siedziała już na łóżku, położyła palec na ustach i wbiła we mnie spojrzenie mówiące, żebym się nie ruszał.

84

Walenie w drzwi zaczęło się ponownie, głośniejsze, bardziej natarczywe. Słyszeliśmy, jak ten sam odgłos rozlegał się wzdłuż korytarza i na ulicy: naziści dobijali się do drzwi Żydów.

Anna wstała, złapała coś, żeby zakryć koszulę nocną, i otworzyła drzwi.

Był wysoki, miał proste plecy. Nie mogłem oderwać wzroku od jego oficerek. Lśniły niczym szkło, a kiedy się ruszał, ich skóra trzeszczała.

„Macie dziesięć minut na zabranie rzeczy – wyszczekał po niemiecku. – Wyprowadzacie się!”. Po tych słowach obrócił się i skierował do następnych drzwi. Na klatce schodowej więcej takich jak on powtarzało to samo polecenie, nad nami i pod nami. Teraz usłyszeliśmy ten sam nakaz dochodzący z ulicy, wzmocniony megafonem.

Kiedy Anna się odwróciła, miała poważny wyraz twarzy. „Ubierajcie się, Ryfka, Lea, nie wkładajcie tylko jednej spódnicy. Nałóżcie po dwie albo trzy. Tak wiele, ile dacie radę, jedną na drugą. To samo zróbcie ze swetrami i majtkami. Ty też, Gerszon. Tyle ubrań, ile się da”.

Potem zaczęła się krzątać po obu pokojach i wrzucała do walizek wszystko, co uznała za ważne. Poruszała się szybko, ale nie panikowała.

A ponieważ ona nie wpadła w panikę, my też nie.

Po kilku minutach dodała: „Możecie wziąć po jednej rzeczy, której naprawdę, ale to naprawdę potrzebujecie. Tylko jedną. Wszystko inne zostawiamy”.

Sięgnąłem po książkę z opowiadaniem przygodowym. Lea złapała ulubioną lalkę, a Ryfka szczotkę do włosów. Anna ostrożnie wyjęła z ramki zdjęcie rodziców i włożyła je do kieszeni. Potem poprowadziła nas do drzwi i zamknęła je po raz ostatni. Wlokąc się noga za nogą, zesli-

śmy po schodach: miałem na sobie cztery koszule albo pięć, dwa palta, no i niosłem naszą największą walizkę. Zanim wyszliśmy na ulicę, my-

ślałem, że ugotuję się z gorąca.

Zobaczyliśmy wielu Żydów, którzy podobnie jak my starali się zabrać 85

ze sobą jak najwięcej. Wielu z nich niosło torby zjedzeniem, jakieś puszki albo worki z mąką. Niektórzy spiętrzyli dobytek na prowizorycznych wózkach albo taczkach. Anna ofuknęła samą siebie, że o tym nie pomy-

ślała.

Po kilku minutach kazano nam iść. Powiedziano, że przejdziemy przez Kowno do naszych nowych domów. Otoczyli nas mężczyźni z karabinami i, czego bardziej się bałem, z psami. Wykonaliśmy polecenie.

Niektórzy ludzie wytrzymali jedynie kilka kroków. Nie dawali rady nieść tego, co zabrali, dlatego zaczęli wyrzucać talerze i kubki, które tłukły się z hukiem na bruku. „Cicho, Żydzi!” – wrzasnął jeden z nazistów. Kilkoro starych ludzi upadło.

Przez cały czas Litwini stali i patrzyli, jakby to był uliczny karnawał.

Czasami coś krzyczeli i naśmiewali się z nas. Jeśli dostrzegli coś, co im się podobało, podbiegali i to zabierali. Wiedzieli, że Niemcy nie zabronią im kradzieży. Nie przestawałem wpatrywać się w ten tłum. I nagle pojawiła się tam znajoma twarz.

„Antanas! – zawołałem. – To ja, Gerszon!”. To był chłopak, z którym zawsze się bawiłem; graliśmy razem w piłkę tydzień wcześniej. Ale on jedynie popatrzył na mnie i mocno trzymał ojca za rękę.

Obok nas zaczęła iść jakaś pani. Powiedziała do Anny: „Słyszałam, że prowadzą nas na drugą stronę

rzeki, do Variampola. Wszyscy bę-

dziemy musieli tam żyć”.

„Wszyscy? Ale Variampol jest maleńki”.

Anna pomyślała, że cała dzielnica Variampol byłaby za mała do pomieszczenia dziesiątek tysięcy Żydów z Kowna, i miała rację. Nie wiedziała jednak wtedy, podobnie jak nikt z nas tego nie wiedział, że było więcej ludzi do ścieśnienia na wąskich uliczkach Variampola. Niemcy rozestali po wsiach patrole wojskowe, żeby wyszukiwały Żydów, spraw-dzali każdą zapadłą wiochę, maleńkie osady podobne do tej, której nazwy moja matka nigdy nie wymawiała. Każdy znaleziony Żyd musiał się przenieść do Variampola. Jeśli jakiś Żyd odmawiał, podpalali mu dom.

86

Wtedy ruszał w drogę.

Wiele lat później ludzie pytali nas: „Dlaczego słuchaliście? Dlaczego nie zbuntowaliście się i nie stawialiście oporu?”. Ale wtedy nie wiedzieliśmy tego, co wiemy teraz. Nie mieliśmy pojęcia, że zmierzamy do getta. Pamiętam, myślałem, że lepiej, jeśli wszyscy znajdziemy się w jednym miejscu. Przynajmniej będziemy daleko od litewskich morderców.

Droga była ciężka i długa. Cały czas przekładałem niesioną walizkę z ręki do ręki, przechylając się na boki jak trzcina, która zaraz się złamie.

Ale nie przystawałem. Byłem teraz głową rodziny i wiedziałem, że mu-szę dawać przykład Ryfce i Lei.

W końcu dotarliśmy do wąskiego betonowego mostu, za którym rozciągał się Variampol.

„Szybko, szybko”, powiedziała Anna, poganiając nas. Pewnie łudziła się, że nie zauważymy drutów kolczastych i wież strażniczych. A może liczyła na to, że nie będę miał czasu na przeczytanie i przetłumaczenie niemieckich tablic zawieszonych przy wejściu. „Zaraza! Wstęp wzbro-niony!” – napisano na jednej z nich, a tuż pod nią była następna: „Żydom zabrania się wnosić jedzenie i materiał opałowy – łamiący ten nakaz zostaną rozstrzelani!”.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, żołnierze już nas nie eskortowali.

Teraz, gdy zagnali nas do getta, ich zadanie się skończyło. Czekaliśmy przez kilka minut, to znaczy nie tylko my, wszyscy czekali. Czekaliśmy na jakieś instrukcje lub przynajmniej plan. A potem wszystko stało się jasne. Jeden z mężczyzn oderwał się od tłumu i wbiegł do pierwszej napotkanej bramy. Pokazał się potem w oknie na pierwszym piętrze i zawołał resztę rodziny, by się do niego przyłączyła. W jednej chwili inna rodzina poszła ich śladem, potem następna i kolejna. Anna potrzebowała sekundy, może dwóch, żeby pojąć, o co chodzi. Nie miało być żadnego zakwaterowywania, każdy zamieszka tam, gdzie znajdzie wolny kąt.

87

Poszliśmy na ulicę Linkuvos razem z panią, z którą Anna rozmawia-

ła. Zastanawiałem się później, czy Anna niczego jej nie dała, może jeden z pierścionków matki, bo wiedziałem, że chciała, byśmy byli z jakąś rodziną. Nawet wtedy zdawała sobie sprawę, że może nadejść czas, kiedy potrzebny będzie ktoś inny, żeby nas doglądać. I tak ścisnęliśmy się w trzynaście osób w dwóch pokojach, ta druga rodzina i my.

Teraz wydaje się to idiotyczne, ale pamiętam, jak myślałem wtedy, że to oznacza koniec naszych kłopotów. Tak, znaleźliśmy się w getcie. Ale byliśmy razem i jeśli ktoś się nadawał do pracy, dostawał ją – a praca oznaczała jedzenie. Nie powiedziałem prawdy o swoim wieku i dostałem pozwolenie na pracę. Miałem dwanaście lat, ale byłem wysoki i mogłem uchodzić za szesnastolatka. I tak każdego ranka wychodziłem z getta po wąskim moście razem z trzydziestoma mężczyznami, z których wszyscy byli starsi ode mnie. Dostaliśmy specjalne żółte opaski na rękawy, które nosiliśmy na prawym ramieniu, pakowano nas na ciężarówki i przewo-

zono do pobliskiego Aleksotas, gdzie naszym zadaniem było zbudowanie dla Niemców wojskowej bazy lotniczej. Wykonywaliśmy pracę maszyn: podnosiliśmy głazy, rozbijaliśmy kamienie. Pracowaliśmy od świtu do zmierzchu, po dwanaście godzin lub więcej, aż do chwili gdy każde ściętno i każdy miesiąc rozpaczliwie domagały się odpoczynku. Przerywaliśmy jedynie na kilka minut, żeby napić się cienkiej zupy i zjeść skibkę chleba.

Ale to przynajmniej było jedzenie. Anna tymczasem musiała zmagać się z problemem, jak nakarmić pozostałych. Dziewczynki zaczęły chorować. Zresztą jak wszyscy. W getcie ze trzydzieści tysięcy osób upchnięto na przestrzeni odpowiedniej dla tysiąca. Ludzie spali na ulicach, nawet w zimie. Synagogi stały się noclegowniami. Któregoś ranka przeszedłem nad mężczyzną, myślałem, że śpi, ale on nie spał. Umarł i nikt go nie pochował.

To mniej więcej wtedy Anna postanowiła, że ona także musi zdobyć pozwolenie na pracę. Gdyby stała się posiadaczką cennego złotego 88

kawałka papieru, dostawałaby jedzenie, ale co ważniejsze, miałyby szansę wyjścia z getta, żeby w jakiś sposób kupić żywność i przesznuć ją z powrotem; wtedy mogłaby dać coś do jedzenia Lei i Ryfce oprócz głodowych racji zapewnianych przez Niemców. To był jedyny sposób.

Nie wiem, co zrobiła, żeby dostać to pozwolenie. Wolę myśleć, że spotkała się z ludźmi z ruchu oporu, którzy fałszowali dokumenty przez cały czas. Ale czasami myślę coś zupełnie innego. Bo Anna była ładną dziewczyną, a kiedy się głoduje i twoja rodzina głoduje, człowiek jest zdolny do desperackich czynów.

I tak Anna zaczęła wychodzić z getta każdego ranka, razem ze mną i resztą robotników. Przy bramie znajdował się punkt kontroli, ale wartownikami nie byli Niemcy. Pilnowali nas litewscy policjanci. Być może o tym zapomniano, ale naziści nie robili tego wszystkiego sami. W miejscach takich jak Kowno przebywało niewielu Niemców. Polegali na lokalnej ludności, która im pomagała.

Potem nadszedł straszny dzień, który wszystko zmienił. Anna nigdy mi nie powiedziała o tym zbyt wiele, ale pozbierałem w całość fragmenty tego, co się wydarzyło, i odtworzyłem tutaj te zdarzenia.

Tak by pa-mięć o nich nie umarła.

Anna przeszła przez punkt kontroli bez żadnych problemów. Pracowała normalnie. Ale w którymś momencie musiała oddalić się od reszty robotników, bo kiedy wróciła tamtego wieczoru, przyniosła trochę chleba. Nie cały bochenek, ale kawałek, zachowany dla naszych sióstr, które nie miały pozwolenia na pracę i wyżywienie. Ukryła chleb pod paltem.

Myślę o niej teraz, o małej dziewczynce, która tam stała z walącym ser-cem.

Może w kolejce przed bramą robiła wrażenie zdenerwowanej. Coś ją zdradziło. Jednak nie przed policjantami pełniącymi służbę: byli zbyt pijani, żeby cokolwiek zauważyć. Ale przed synem jednego z litewskich strażników, chłopakiem niewiele starszym ode mnie, może trzynastolet-nim, co najwyżej czternastolatkiem, który często przesiadywał przy 89

bramie z ojcem i jego kolegami. Starsi mężczyźni żartowali sobie z nim i śmiali się do niego, jakby był maskotką ich oddziału. Miał nawet własny mundur. Ale my nazywaliśmy go Wilkiem, bo chociaż był taki mło-dy, okrucieństwem dorównywał tej bestii. Zło miał wypisane na twarzy.

Uśmiech miał szeroki, odsłaniający zęby, jakby gotowe do zanurzenia się we krwi. Jeśli raz widziało się jego twarz, człowiek nigdy jej nie zapomni. Wilk prosił ojca, żeby pozwalał mu przeszukiwać Żydów, a reszta mężczyzn śmiała się z jego gorliwości. Tamtego wieczoru chciał zrewidować Annę.

Wyobrażam sobie, jak drżała, kiedy macał i szarpał jej ubranie, dotykając jej kościstego ciała. Właśnie miał zamiar ją puścić, kiedy sprawdził

ją po raz ostatni, pod pachami. I to tam znalazł skibkę chleba.

Wilk obrócił się do wiwatujących strażników niczym rybak nowi-cjusz, który złapał okazałego pstrąga. Kiwając głową, napawał się ich aplauzem.

„A więc jakiej chcesz nagrody, synu? – zapytał jego ojciec pokraśnia-

ły z zadowolenia, pałka wisiała mu z boku. – Mów”.

Wilk zamyślił się, podczas gdy Anna stała drżąca. Reszta więźniów getta patrzyła na ziemię, chcąc jedynie, żeby ta chwila się skończyła.

„Pozwól mi samemu ją ukarać”.

Od strony strażników rozległ się głośny lubieżny rechot. Kilku poło-

żyło lewą dłoń na prawym ramieniu i napięło bicepsy. Zaczęli śpiewać litewską piosenkę o chłopcu, który staje się mężczyzną. Wilk zaprowadził Annę do więzienia w getcie, gdzie strażnik od razu go rozpoznał.

Wilk opowiedział mu z dumą, co się stało; strażnik odsunął się i wyszedł.

„Rozbieraj się”, Wilk powiedział do Anny.

Anna stała oniemiała, niezdolna wykonać ruchu.

„Powiedziałem, żebyś się rozebrała”.

Anna była zmarznięta, palce miała zgrabiące niczym sople lodu. Nie poruszała się wystarczająco szybko. Uderzył ją w twarz. „Posłuchaj, Żydówko! Nie będę tego powtarzał. Ściągaj łachy!”.

90

Zrobiła, co jej kazał, i stała tam naga z opuszczoną głową. Nie widziała, jak Wilk uniósł pałkę i trzymał ją w górze, zanim zaczął ją bić po ramionach, plecach, udach. Jej krzyk z bólu musiał brzmieć nieludzko.

Kiedy upadła na kolana, Wilk kopał ją po twarzy, żebrach, nerkach, w miejsce, które zawsze uważała za łono swoich przyszłych dzieci. Wkrót-ce leżała rozciągnięta na podłodze, czekając na utratę świadomości albo śmierć.

I wtedy to ustało. Wilk najwyraźniej się zmęczył albo znudził i dlatego odstąpił od niej. Anna wydała z siebie ciche westchnienie; jej gehenna chyba zbliżała się do końca.

Rozległo się szcęknięcie metalu, dźwięk, który Anna rozpoznała, ja-ko rozpinanie pasa. Czy miał zamiar ją wychłostać?

Ale wtedy poczuła parę zimnych dłoni na udach, unoszących ją z podłogi niczym poćiec mięsa. Nie usiłował jej postawić, ale raczej chciał

ją zmusić by stanęła na czworakach.

Prawie nie czuła nóg, a co dopiero mówić o ruszaniu nimi. Opadała na podłogę kilkakrotnie, ale za każdym razem ją podnosił. Nie wiedziała, co się dzieje. Dlaczego chciał, żeby klęczała w ten sposób?

Nagle wyczuła go blisko siebie, zbyt blisko, jego ciało wygięło się nad nią. Usłyszała rozpinanie guzików.

Gdy uświadomiła sobie, czego od niej chce, zaczęła krzyczeć w proteście, ale zakrył jej usta ręką, zaciskając je na tyle mocno, żeby nie mogła go ugryźć, i wtedy wbił się w nią.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Umysł opuścił jej ciało, uleciał do miejsca, gdzie już wcześniej krył się, kiedy zobaczyła zwłoki matki zwisające z sufitu. Przestała być sobą. Ale wtedy, gdy jego napaść nadal trwała, dostrzegła coś na ziemi, kilkanaście centymetrów dalej. I ten widok sprawił, że podjęła decyzję w jednej chwili, jakby tamten przedmiot sam określał, do czego powinien zostać użyty. Poddała się po prostu impulsowi, który zdawał się emanować z tej małej, przypadkowej rzeczy: zgiętego, pordezwiąłego gwoźdźca, leżącego na podłodze.

Sięgnęła po niego i niezauważalnie zamknęła w prawej dłoni. Deter-minacja dodała jej sił. Był zbyt skupiony na dogadaniu sobie, by zauważyć, że się poruszyła; słyszała, jak dyszał i jęczał, usiłując trzymać ją za biodra i nie dopuścić, by upadła. Nie wahała się. Zdecydowanym ruchem odepchnęła się, jedną ręką oderwała jego ramię od swojej twarzy, w drugiej dzierżyła gwóźdź, trzymany między palcami niczym ostrze.

Zobaczyła wewnętrzną stronę jego lewego ramienia, tego, którym ją kneblował. Gwóźdź rozerwał tkaninę koszuli i zagłębił się w ciało. Nie podejrzewała się nawet o taką siłę. Krzyknęła głośniejszym niż on, choć to jego ciało zostało rozszarpane.

Strząsnęła go z siebie, instynkt zmusił ją do ucieczki, najpierw czoł-

gała się, potem poruszała się na czworakach. Po drodze zabrała swoje rzeczy z podłogi. Biegła i biegła, tylko raz zwróciła uwagę, że oddaliła się o trzy ulice i nadal nikt jej nie ścigał. Później powiedziała mi, co o tym myślała – Wilk zbyt się wstydził przyznać, że pozwolił nagiej dziewczynie – pochlipującej Żydówce – zatriumfować nad sobą. Upierał

się, że głęboka rana ramienia, która goiła się wiele tygodni, powstała przypadkowo.

To jednak moja siostra była ranna. Nie tylko na twarzy, która nie była już jej twarzą. Ale na duszy. Nie potrafiła dłużej nam matkować. Przez całe dni i noce nie wychodziła z naszego maleńkiego pokoju. Musiałem dalej pracować, choć byłem teraz bardzo chudy i wiecznie głodny. Przynosiłem jedzenie, jakie zdobyłem, decydując przy bramie, czy mogę podjąć ryzyko szmuglu. Jeśli strażnicy byli pijani, próbowałem. Jeżeli zaś Wilk kręcił się gdzieś w pobliżu, oddawałem, co miałem do przenie-sienia, komuś odważniej szemu albo głupszemu ode mnie.

Potem, w październiku 1941 roku, na każdej ścianie i latarni powie-szono obwieszczenie, ogłaszające, że wszyscy mieszkańcy getta mają się zebrać o godzinie szóstej rano na placu Demokratu. Nikt nie wiedział, co nas czeka. Przez całą noc słychać było różne odgłosy dochodzące z ulicy: 92

ludzie religijni się modlili, kobiety zawodziły, inni świętowali i upijali się, jakby cieszyli się z tego, czego się bali, a co jawiło im się jako ostatnia noc ich życia.

Zwróciłem się do Anny po radę, co powinniśmy zrobić. Tyle że to nie była już ta sama Anna. Oczy miała pozbawione wyrazu, zupełnie jak wcześniej nasza matka. To ja przejąłem odpowiedzialność za rodzinę, zebrałem resztki jedzenia, dopilnowałem, żeby dziewczęta ciepło się ubrały. Drzwi zostawiliśmy otwarte. Takie było polecenie: żeby nikt nie próbował się ukryć.

Tego ranka na ziemi leżała cieniutka warstwa śniegu, właściwie szro-nu, posępłą atmosferę zakłócały jedynie przypadkowe płomyki świec lub lamp. Wszyscy trzymali papiery, pozwolenia na pracę albo świadec-twa szkolne, cokolwiek, co mogło poświadczyć, że są coś warci, że mogą się Niemcom do czegoś przydać.

Czekaliśmy na wilgotnym zimnie przez ponad trzy godziny, aż wreszcie starszy sierżant SS Helmut Rauca stanął na szczycie nasypu, skąd miał widok na dziesiątki tysięcy stłoczonych tam ludzi i dał znak, żeby przyprowadzono pierwszą kolumnę. Zauważyłem, że wokół placu rozmieszczono gniazda karabinów maszynowych; dalej, na zboczach wzgórza stali miejscowi Litwini, aż nazbyt chętnie korzystający z dobrego widoku, jaki stamtąd mieli na rozgrywające się widowisko.

Rauca był człowiekiem, na którego trzeba było patrzeć. Nieznacznym ruchem ręki odsyłał niektórych ludzi na lewą stronę, innych na prawą.

Mnie i siostram dopisało szczęście: miejsce, w którym czekaliśmy, okazało się początkiem kolejki. Ale to znaczyło też, że nie miałem czasu na rozpracowanie schematu: czy przydzielenie do lewej strony było dobre, a może lepiej byłoby zostać skierowanym na prawą? Nie wiedziałem.

Podnieśliśmy z siostrami Annę i wystąpiliśmy naprzód. Rauca wykonał gest oznaczający rozdzielenie: dziewczęta miały iść na lewo, ja na prawo. Zaprotestowałem, mówiąc, że musimy zostać razem. „Jak sobie życzysz – na prawo!” – wyszczeakał, jak mi się wydawało, z uśmiechem.

93

I wtedy poczułem, że ktoś łapie mnie za ramię.

„Nie ty”, powiedział męski głos.

Obróciłem się i zobaczyłem policjanta. Ale nie Niemca czy Litwina, tylko jednego z żydowskich policjantów, którzy pracowali w getcie.

Usiłowałem mu się wyrwać i dołączyć do sióstr, które popychano już do przodu. Ryfka wyciągnęła do mnie rękę, ale nie mogłem jej złapać.

Lea zaczęła płakać. Wszystko to było jednak daremne. Policjant odciągał

mnie do tyłu. „Nie ty”, powtórzył.

Zacząłem krzyczeć, szarpać się i bić go pięściami. Jak śmiał ten zdrajca oddzielać mnie od sióstr? Próbowałem oderwać od siebie jego rękę, ale mocno mnie trzymał. Teraz Lea i Ryfka krzyczały – widziały, co się dzieje – ale on mnie nie puszczał, niezależnie od tego, jak bardzo się szamotałem. Siostry znikwały między tłoczącymi się ludźmi, skierowane na prawą stronę skinieniem palca sierżanta SS. Straciłem Ryfkę i Leę z pola widzenia. Jako ostatnie zobaczyłem oczy Anny, wpatrzone w jeden punkt.

Policjantowi udało się w końcu pociągnąć mnie za sobą i poprowadzić boczną ulicą, aż w ogóle opuściliśmy plac. Nie miałem pojęcia, kim był ten człowiek ani dlaczego zrobił to, co zrobił.

Rozdział 14

Tom przetarł oczy, nocny lot dawał o sobie znać. Minęło dużo czasu, od kiedy czytał podobną historię człowieka, określaną jako studium przypadku. Kiedy zaczął pracę w ONZ, ślęczał nad takimi

dokumentami, chłonąc każdy szczegół. Po kilku latach już je tylko kartkował, wyszukując jedynie detali powiązanych z prawem. Opowieść o strasznych losach jednej osoby jest bardzo podobna do innych. Ale tę czytał z uwagą.

Żydowski policjant – a trzeba pamiętać, że pogardzaliśmy tymi zdrajcami w równym stopniu, jak nienawidziliśmy Niemców i Litwinów –

zostawił mnie tam, gdzie przystanęliśmy. Kiedy odszedł, uświadomiłem sobie, że na ulicy panuje pełna cisza. Była to przerażająca cisza. Panował tu bezruch, bo wszyscy ludzie odeszli...

Wróciłem na naszą ulicę Linkuvos, mijałem teraz budynki puste i po-grążone w milczeniu. Czułem się tak, jakbym był ostatnim dzieckiem na ziemi. Tamtego dnia odeszło cztery tysiące osób. Reszta znajdowała się poza gettem albo ukrywała. Na ulicach nie było nikogo.

Miałem dwanaście lat i zostałem zupełnie sam. Zazdrościłem siostron, wyobrażając sobie, że mieszkają teraz w nowym miejscu.

Nie przestałem pracować, nadal udawałem, że mam szesnaście lat.

Nie ośmieliłem się powiedzieć prawdy o moim wieku nawet innym 95

robotnikom. Niektórzy z nich byli dla mnie mili, jakby wiedzieli, że jestem jeszcze dzieckiem. Ale niektórzy byli tak zrozpaczeni, że stracili wiele ze swego człowieczeństwa. Straszliwie głodni zaczęli przypominać zwierzęta. Tacy właśnie ludzie zdradziliby mnie w jednej chwili, gdyby uznali, że mogą dzięki temu przechwycić moją rację.

Mieszkałem w tym samym pokoju, który dzieliłem z siostrami, ale teraz z inną rodziną. Tamta pani i jej dzieci poszli w konwoju do IX Fortu z moimi siostrami. Teraz w pokojach nie było już takiego ścisku. W

rzeczywistości zrobiło się więcej miejsca w całym getcie, bo wiele tysię-

cy mieszkańców odeszło. Nie wiedzieliśmy, dokąd ich zabrano ani dlaczego nie mamy od nich żadnych wieści.

Nie było przy mnie nikogo bliskiego. Dzieci, z którymi kiedyś chodziłem do szkoły, zniknęły. Jedyna znajoma twarz należała do tej świni, zdrajcy, policjanta, który wyciągnął mnie z konwoju. Wystarczyło, żebym na niego spojrział, żeby wszystko się we mnie gotowało. Często jednak widywałem go w pobliżu. Wracałem z pracy wykończony po dwunastu godzinach harówki na budowie, z bólem w nogach i plecach, a on stał przy wejściu do getta. Albo patrolował ulicę przed kamienicą, gdzie spałem. Czasami mnie przerażał, najczęściej jednak budził we mnie pogardę.

A potem którejs nocy rozległo się pukanie do drzwi. Nagłące, trzy ra-zy, cztery. W pierwszej chwili kobieta znajdująca się w mieszkaniu wpadła w panikę. Myślała, że to gestapo. Popatrzyła na mnie w przerażeniu.

Jakie nieszczęście na nich sprowadziłem? Czy ktoś zorientował się, że coś szmuglowałem?

Chwilę później usłyszeliśmy głos po drugiej stronie drzwi: „Policja, otwierać!”.

To była żydowska policja z getta. Wszyscy wiedzieli, że bywała równie bestialska jak każdy litewski kolaborant. Spojrzałem w okno, zastanawiając się, czy wyskoczyć na ulicę i spróbować uciec. Znajdowaliśmy się na drugim piętrze. Czy dam radę wylądować na ziemi, nie łamiąc 96

sobie żadnej kości? Spostrzegłem, że ręce mi się trzęsą.

Zanim jednak zdążyłem obmyślić jakiś plan, kobieta sama podjęła decyzję. Otworzyła drzwi, a on stał za nimi, ten sam policjant, który wyciągnął mnie spod straży Niemców trzy tygodnie wcześniej. Był tam, przy moich drzwiach, w środku nocy.

„Ty, mały, chodź”.

Zmroziło mnie ze strachu. Nie poruszyłem się.

„JUŻ!”.

Nadal nosiłem na sobie wszystkie posiadane ubrania. Człowiek nie śmiał zdejmować ich nawet w nocy, bo mogły zostać ukradzione. Ruszy-

łem za policjantem.

Zeszliśmy razem po schodach, a potem, gdy podążaliśmy ulicą, gło-

śno mi wygrażał, że postawi mnie przed władzami za to, czego się dopu-

ściłem. Nie miałem pojęcia, co takiego zrobiłem.

W końcu skręcił w lewo, potem w prawo i w uliczkę, i w dół po schodach przeciwpożarowych kończących się przed wejściem do piwnicy. Wiedziałem na pewno, że nie jest to siedziba policji. Do tego czasu przestał już się drzeć, jak to zostaną surowo ukarany. Czułem, jak ze strachu ściska mnie w żołądku.

Wtedy policjant zapukał do drzwi. Ale nie zwyczajnie, tylko wybija-jąc jakiś dziwny rytm. Trzy szybkie uderzenia i następnie dwa wolne.

Jakiś cichy głos rozległ się zza lichych drzwi piwnicy.

„*Ver ist dort?*” (Kto tam?).

„*Einer fun di Makabim*” (Syn Machabeuszy).

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, a policjant wbiegł przez nie, pociągając mnie za sobą. W środku było trzech innych mężczyzn, ich twarze oświetlała jedna świeczka stojąca pośrodku małego, butwiejącego stolika. Jak dla mnie wyglądali na starych ludzi, ciemne oczy mieli zapadnięte, twarze wychudłe. Ale teraz wiem, że byli młodzi, jeden z nich nie miał nawet dwudziestu lat.

Wpatrywali się we mnie, aż w końcu ten, który robił wrażenie przywódcy, powiedział: „To cud”.

Drugi skinął głową i dodał: „Jest doskonały. Nasza tajna broń”.

Przywódca odezwał się ponownie, twarz miał surową: „Zdejmij spodnie”.

Zawahałem się, a on powtarzał to polecenie do chwili, aż dotarło do mnie, że nie mam innego wyjścia. Powoli opuściłem spodnie.

„Do końca! Tak żebyśmy widzieli”.

A kiedy już zobaczyli, co chcieli zobaczyć, wszyscy trzej uśmiechnę-

li się lekko. Jeden z nich nawet roześmiał się krótko. Żaden nie powiedział do mnie słowa. „Dobra robota, Szymonie” – powiedzieli, a policjant kiwnął głową niczym uczeń pochwalony przez nauczyciela. – Naprawdę przyprowadziłeś nam żydowski cud”.

Słyszałem o żydowskim podziemiu, ale nie wierzyłem tym pogłoskom. Dzieciaki opowiadały o powstającym ruchu oporu, o tym, jak niektórzy Żydzi próbują zdobyć broń do walki z Niemcami, a nawet żeby wyrwać się z getta. Ale nie widzieliśmy żadnych oznak czegoś takiego.

Uznałem, że to bajki, rodzaj opowieści, jakimi chłopcy raczą się nawzajem.

Ale teraz dotarło do mnie, dokąd zostałem zabrany. Policjant nazwał

się „Synem Machabeuszy”: to musiało być hasło. Wiedziałem, że Machabeusze byli wspaniałymi żydowskimi wojownikami, hebrajskimi buntownikami, którzy walczyli o ocalenie Jerozolimy.

Byłem niebieskookim chłopcem o blond włosach i nieobrzezonym penisie. Mogłem uchodzić za Aryjczyka. Może planowali wykorzystanie mnie do szmuglowania jedzenia do getta. Czułem narastającą ekscytację; wiedziałem, że mógłbym to robić. W końcu czyż Anna nie wysyłała mnie jako małego Litwina sierotę, żebym zebrał u naszych sąsiadów gojów, którzy mogli ulitować się nad gejowskim dzieckiem?

Ale wtedy przywódca tych mężczyzn odesłał Szymona i zaczął

szeptać w jidysz z pozostałymi, jakby zapomnieli o mojej obecności, o tym, że stałem tuż przed nimi. Jeden powiedział, że nie stać ich na czekanie: „Chłopak widział nasze twarze”. Drugi pokiwał głową. „Wie o tym miejscu. Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko”. Nie miałem poję-

cia, co mają zamiar ze mną zrobić.

Ostatecznie przywódca uniósł dłoń, jakby zamykał dyskusję. Dojrzał

do decyzji. Dopiero wtedy obrócił się do mnie i popatrzył mi prosto w oczy. Powiedział, że nazywa się Aron. „Czy jesteś odważny?” – zapytał.

„Tak” – odpowiedziałem.

„Czy jesteś wystarczająco odważny, żeby wykonać zadanie, które łączy się z ryzykiem – najprawdopodobniej śmiertelnym ryzykiem?”.

„Tak” – odpowiedziałem, choć rzecz jasna w ogóle tego nie rozumiałem. Mówiłem to, co w moim przekonaniu mogło mnie ocalić.

„Mam zamiar powierzyć ci zadanie w imieniu naszych ludzi. Pojedziesz do Warszawy, odszukasz adres, który ci dam. Przekażesz tam wiadomość. Jesteś gotów?”.

Skinąłem głową, choć wcale nie byłem gotów.

„Pójdiesz tam i przekażesz te słowa. To jest ta wiadomość: »Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery«”.

„Ale ja nie rozumiem...”.

„Lepiej będzie dla ciebie, żebyś nie rozumiał. Lepiej dla ciebie”. My-

ślał zapewne, że gdyby mnie torturowano niczego nie zdradzę. „A teraz powtórz mi to”.

„Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery”.

„Jeszcze raz”.

„Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery”.

„W porządku”.

Policjant wrócił do piwnicy i wyprowadził mnie stamtąd.

99

Gdy staliśmy w uliczce na zewnątrz, powiedział mi, jaki był plan.

Powtórzył każdy szczegół, żebym nie zapomniał.

Tak więc następnego ranka wyszedłem z getta jak zawsze z grupą robotników. Z tą różnicą, że tym razem przy bramie stał na warcie ten sam żydowski policjant, który pilnował, żebym nie miał kłopotów, kiedy odłączę się od reszty.

Kilka sekund po przejściu mostu nad rzeką, zrobiłem to, co mi powiedziano. Zdjąłem żółtą gwiazdę z

palta i natychmiast wszedłem na chodnik. Przestałem być Żydem z getta, byłem teraz Aryjczykiem w mieście Kowno. Głowę trzymałem wysoko, tak jak mi kazano.

Ruszyłem przed siebie, aż doszedłem do dworca kolejowego. Było wcześnie, w powietrzu nadal unosiła się mgła. Mimo to stała tam na zewnątrz grupa trzech lub czterech wartowników, którymi dowodził

mężczyzna w mundurze SS. Odezwałem się po litewsku: „Nazywam się Vitalis Olekas. Jestem sierotą”. Poprosiłem o pozwolenie na wyjazd do Polski, gdzie miałem rodzinę, która mogłaby się mną zaopiekować.

Nastąpiło to, czego się najbardziej obawiałem, a co Szymon, żydowski policjant, przewidział, zajął się mną właśnie oficer SS. Obszedł mnie wokół, taksując, jakbym był jakimś okazem, który właśnie przed nim postawiono. Jeden z Litwinów zapytał, do którego miejsca w Polsce się wybieram, ale esesman nic nie powiedział. Nie przestawał chodzić dookoła mnie, jego buty trzeszczały. Wreszcie poczułem, jak szarpnął mnie z tyłu za pasek spodni.

„*Runter!*” (Na dół!) – powiedział!

Spojrzałem przez ramię i przekonałem się, że wskazywał na moje spodnie. „On chce cię obejrzyć”, odezwał się drugi z Litwinów z drwią-

cym uśmiechem na twarzy.

Wyglądałem na zmieszanego, tak jak zdaniem Szymona powinienem wyglądać, a potem oficer wyszczał: „No dalej, dalej”. Wahając się, opuściłem spodnie i majtki. Oficer SS spojrzał na mojego penisa, obejrzał napletek i odprawił mnie machnięciem ręki.

100

I tak wyruszyłem w drogę do Warszawy zaopatrzonej w aryjskie papiery i dokument podróży. Nie pamiętam, czy udawałem piętnastolatka czy chłopca starszego albo młodszego, ale prawda była taka, że miałem dwanaście lat i jechałem zupełnie sam przez Europę pogrążoną w wojnie, pokazując bezcenną kenkartę nazistom pilnującym granic w Mariampolu, Suwałkach, Białymstoku, i tak dalej. Kenkarta sprawiała, że wszystko było możliwe. Nie była fałszywa, ale oryginalna. Z tym dokumentem w ręku stawałem się Aryjczykiem. Żaden papier nie miał takiej wartości.

Ostatecznie dotarłem do Warszawy. Było południe, miasto tętniło życiem, ale nikt nie szedł tam, gdzie ja zmierzałem. Kierowałem się do warszawskiego getta. Większość ludzi chciała wtedy wyrwać się stamtąd, tylko ja chciałem dostać się do środka.

Zagłębiłem rękę do dziury, którą zrobiłem w podszewce palta, bo tam schowałem żółtą gwiazdę, przypiąłem ją z powrotem. Poczekalem na grupę robotników wracających za ogrodzenie i powlokłem się z nimi.

Szymon obiecywał, że będzie tak jak w Kownie: robotnicy musieli pokazywać dokumenty tylko przy wyjściu, a nie przy powrocie.

Szedłem zatem ulicami getta, równie zapchanymi i toczonymi choro-bami jak te, które zostawiłem za sobą. Tu również w rynsztokach leżały trupy. Ale znalazłem dom, którego szukałem, i powiedziałem, dla kogo mam wiadomość.

„Powiedz nam, a my mu przekazemy”, usłyszałem.

„Nie mogę tego zrobić – odpowiedziałem. – To jemu muszę przekazać tę wiadomość i tylko jemu”.
No i czekałem.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, co przyspieszyło moją misję, dlaczego tamtych trzech mężczyzn w piwnicy przy świecy wysłało mnie owej nocy. Moje zadanie było odpowiedzią na coś, co wydarzyło się trzy dni wcześniej.

Kilku Żydów pracujących poza gettem widziało młodą dziewczynę, prawie nagą, z szaleństwem w wytrzeszczonych w oczach. Była uwalana ziemią i krwią; nic nie mówiła, twarz ściągał jej skurcz i trzęsła głową 101

jak obłąkana. Sprowadzili ją z powrotem do getta i kiedy została ubrana, zjadła trochę i napiła się, zaczęła w końcu mówić, choć słowa wypowiadała bardzo powoli.

Była jedną z tych skierowanych na prawą stronę placu Demokratu razem z moimi siostrami. Selekcja trwała cały dzień i jeszcze długo po zmierzchu, Rauca stał na nasypie, palił papierosy albo jadł kanapki, cały czas osądzając kolumnę ludzi przesuwającą się przed nim, ignorując ich krzyki i nie słuchając ich błagań. W końcu dziesięć tysięcy przepchnięto przez dziurę w płocie na teren znany jako „małe getto”. Niektórzy poczu-li ulgę, bo uznali, że były to jedynie zakrojone na dużą skalę ćwiczenia w przekwaterowywaniu. I rzeczywiście, ludzie zaczęli się kłócić, kto zajmie które mieszkanie, utworzone komitety dyskutowały w nocy, planując dla nich nowe życie.

Ale nazajutrz rankiem zdali sobie sprawę z własnej pomyłki. Do środka wpadli litewscy policjanci i zaczęli bić i wyrzucać Żydów z ich nowych domów. Zgonili wszystkich w kolumnę i kazali maszerować.

Mieli przejść czterokilometrowy odcinek do IX Fortu, starej twierdzy zbudowanej w carskich czasach, która w założeniu miała zatrzymać Niemców.

Była to droga pod górę i trwała całe godziny; starcy i chorzy padali na pobocza, czasami dobijani kolbami przez policjantów. Trasa była obstawiona od początku do końca miejscowymi Litwinami, ciekawymi widoku tych dziwnych stworzeń wyłaniających się z getta – tak samo jak byli ciekawi naszego widoku, gdy nas do niego wprowadzano.

Naziści nadali nazwę tej trasie. Mówili o niej *Der Weg zur Himmel-fahrt*. Droga do wniebowstąpienia.

Dotarli na miejsce dopiero w południe, a kiedy już się tam znaleźli, nie zaznali wytchnienia. Litewscy opryszkowie od razu przystąpili do grabieży wszelkiej biżuterii, wyciągali z uszu kolczyki,

ściągali branso-letki, a potem kazali Żydom rozebrać się do naga. Dopiero wtedy zaprowadzili ich do dołów.

Były to wielkie kratery wykopane w ziemi. Niektórzy mówili, że były 102

długie na sto metrów, na trzy metry szerokie i może na dwa głębokie.

Inni twierdzili, że nie były takie długie, ale dwa razy głębsze. Każdy z dołów otaczały z trzech stron niewysokie nasypy świeżo wykopanej ziemi. Przy czwartym boku zbudowano drewniane podesty. I na nich właśnie stali esesmani z karabinami.

Ci, którzy przeżyli marsz, teraz zaczęli krzyczeć, zrozumieli, dokąd ta droga do wniebowstąpienia ich zaprowadziła. Niektórzy próbowali uciekać, ale od razu ich zastrzelono. I tak zaczęło się mordowanie.

Naziści wrzucili najpierw do dołów dzieci, a potem żołnierze z karabinami maszynowymi, znajdujący się tam wyłącznie w tym celu, otworzyli ogień. Kobiety zostały ustawione na krawędzi i tam zastrzelone, kulą w plecy, tak by spadły na własne potomstwo. Mężczyzn zabijano na końcu.

Likwidowali ich w trzystuosobowych grupach, nie mieli czasu sprawdzić, czy wszystkich zabili, kiedy zabierali się do następnej grupy.

Musieli się uwijać. Poza tym amunicja była racjonowana, więc naziści nie mogli sobie pozwolić na więcej niż jedną kulę w plecy na ofiarę. A większość oprawców była pijana.

Skutkiem tego wielu Żydów żyło, gdy wpadali do dołu; zakopywano ich żywcem. Taki los przypadł zwłaszcza dzieciom. Ale nie tylko im.

Ci, którzy to widzieli, opowiadali, jak doły się ruszały jeszcze przez trzy dni, jak oddychały.

To wydarzenie nazywali „wspaniałą akcją” z 28 października 1941

roku, kiedy to dziesięć tysięcy Żydów zostało wyprowadzonych z getta w Kownie i zamordowanych.

I tak właśnie zginęły moje siostry.

Dziewczyna, która znalazła powrotną drogę do getta, trzęsąc się z zimna i głodując, była jedną z pogrzebanych, ale nie zastrzelonych. Straciła przytomność, kiedy spadała, ale obudziła się jakiś czas potem i zdała sobie sprawę, że otaczają ją trupy, są nad nią i pod nią. Utknęła między zwłokami, przygniatającymi ją tak mocno, że zaczęła się krztusić.

103

Większość z zakopanych żywcem była zbyt słaba, żeby się wydostać z dołów, żeby wykorzystać ciała trupów jak szczeble drabiny. Poddawali się i dusili pod zwłokami. Ci, którym się udało wygrzebać na powierzchnię, byli najczęściej łapani i rozstrzeliwani, tym razem bez uchybień. Ale ta dziewczyna była nerwowa i ostrożna. Dlatego odczekała do północy, kiedy śpiewy i pokrzykiwania pijanych

nazistów z karabinami i ich litewskich towarzyszy ucihły, a żołdacy zasnęli. I tak uciekła z IX Fortu z powrotem do getta.

Taką właśnie historię opowiedziała, kiedy została odziana, nakarmiona i mogła mówić. I ta właśnie opowieść dotarła do przywódców żydowskiego podziemia w Kownie, tamtych mężczyzn w piwnicy. Może wtedy po raz pierwszy zrozumieli, jakie niebezpieczeństwo nam grozi. Dlatego postanowili, że muszą o tym powiadomić tych, którzy również chcą się zbrojnie przeciwstawić. To była przyczyna, dla której wysłali mnie do Warszawy.

Dopiero po wielu latach zrozumiałem znaczenie wiadomości, którą przewiozłem. Zrozumiałem także, dlaczego mężczyźni w piwnicy niczego mi nie wyjaśnili. Nie tylko dlatego, że mogłbym być torturowany, ale również dlatego, że nie odważyli się powiedzieć mi, jaki los spotkał moje siostry. Nie wykluczam, że doszli do wniosku, że wtedy byłbym tak oślepiiony gniewem, tak złamany, że nie zdołałbym wypełnić mojej misji.

Ale ja ją wypełniłem i spotkałem się z mężczyzną, do którego miałem dotrzeć w Warszawie. Czekałem na niego trzy godziny, jednak w końcu się z nim zobaczyłem. Był przywódcą żydowskiego podziemia w warszawskim getcie, on także okazał się młodym mężczyzną, który staro wyglądał.

Kiedy wypowiedziałem słowa „Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery”, wyglądał na skonsternowanego. Ale wtedy poprosił, żeby ktoś przyniósł mu książkę, świę-

tą księgę ocaloną z ruin synagogi w getcie. Była to Księga Estery, którą 104

Żydzi nazywają Megillat 'Ester. W tej księdze czytamy o święcie Purim, które upamiętnia spisek sprzed wielu setek lat mający unicestwić Żydów.

Ów przywódca znalazł rozdział siódmy, wers czwarty i wtedy wszystko pojał. Przeczytał go na głos, jakby mogło mu to pomóc w my-

śleniu. „Albowiem sprzedano nas, mnie i mój lud, aby nas wygłodzić, wymordować i zniszczyć. Gdyby nas sprzedano tylko jako niewolników i niewolnice, milczałbym, chociaż nie wynagrodzi nigdy ciemężyciel szkody królowi”*

* Wszystkie cytaty zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia.

Rozdział 15

Im dalej Tom zagłębiał się w historię życia Geralda Mertona, tym częściej zaczynał myśleć o Rebecce. Na ironię zakrawało, że kobieta, która aż pulsowała życiem, jakby siłą trzymająca pokrywę na rozpierają-

cej ją wulkanicznej energii, pochodziła ze świata dławiącego się śmiercią. Nosiła nawet imię po swojej babce, która się powiesiła.

Próbował skupić się na zadaniu, pracy, którą zlecił mu Henning Munchau. Trudno było zaprzeczyć

jednemu: bagno, z którego miał wy-ciągnąć ONZ, jedynie się pogłębiało. Nie tylko zabili człowieka ocalałe-go z Holocaustu, ale był on jednym z bohaterów tamtych czasów – młodym chłopcem, który pod przybranym nazwiskiem jechał przez okupowaną Europę, przewożąc informację o niemieckim planie eksterminacji Żydów.

A Tom dopatrywał się w nim zamachowca-samobójcy. Dzięki Bogu zatrzymał dla siebie wcześniejsze domysły: że stary człowiek o nazwisku Merton, urodzony w Kaunas, był kimś w rodzaju przestępcy z czasów wojny w krajach nadbałtyckich, który znalazł potem azyl w Wielkiej Brytanii. Tom okazał się równie głupi jak Niemcy i litewscy strażnicy, których młody Matzkin wyprowadzał w pole raz po raz: widział niebieskie oczy i nieobrzezanego penisa trupa na stole sekcyjnym i nawet mu do głowy nie przyszło, że zabity mógłby być Żydem.

106

Zadzwoił telefon: numer z Nowego Jorku. Jeśli to Henning, wyjaśni mu, jak twardy mają orzech do zgryzienia, i poprosi o więcej czasu.

Sprawa wymagała dyplomatycznych zabiegów, dokonywanych z ogromnym wyczuciem, inaczej bowiem mogła okazać się śmiertelnym ciosem dla reputacji ONZ.

—

Pan Byrne? Mówi Jay Sherrill. Mam nowiny.

—

Słucham.

—

Ten nowojorski numer, który wyświetlił się na jego telefonie komórkowym, należy do Rosjanina, handlarza bronią.

—

Naprawdę? O rany.

—

Wiem. Niesamowite, prawda? Ale to nie wszystko. Kazałem ze-szłej nocy bardzo drobiazgowo przeszukać pokój hotelowy Mertona, łącznie ze zrywaniem podłogi i tak dalej. Znaleźli coś schowanego w dziurze w ścianie łazienki, tuż obok wentylatora. Bardzo profesjonalnie zrobiona kryjówka.

—

Co takiego?

—
Prawdziwe dzieło sztuki, kompaktowy pistolet z plastiku. Rosyjski. Magnum kalibru trzysta pięćdziesiąt siedem. To broń tak zaprojektowana, żeby nie wykryły jej żadne skanery służb ochrony. Trzeba jedynie ukryć stalowe wkładki i kule. Sam kadłub pistoletu przechodzi niezauważony. Przebadali go specje od balistyki. I co pan powie na to: taka broń jest najwyraźniej bardzo lubiana w środowisku zamachowców. —

Tom słyszał, że Sherrill śmiał się z własnego dowcipu.

—
Proszę zaczekać, detektywie. — Rozległ się sygnał oczekującego połączenia. Tom spojrzął na wyświetlacz: londyński numer, którego nie znał.

—
Tom Byme? Tu Rebecca Merton. Musi pan tu przyjść. Zaraz.

Słyszysz pan? Natychmiast!

Rozdział 16

—
Chcę iść na pogrzeb.

—
Zobaczę, co można zrobić w tej sprawie, panie sekretarzu generalny.

—
Więc myśli pan, że to dobry pomysł? Cieszę się, Munchau. Moi doradcy polityczni mówią, że to nierozsądne.

—
Dlaczego tak mówią?

—
Gowers twierdzi, że będzie to postrzegane jako wzięcie na siebie odpowiedzialności. Odparłem, że to sprawa dla prawnika, nie polityka.

Dlatego właśnie bardzo chciałem się z panem zobaczyć. Jeśli nie dostrzeże pan żadnych problemów prawnych, to przejdziemy do następnych zagadnień. W tej sprawie pan jest szefem.

Mówiąc to, sekretarz generalny pochylił głowę w lekkim, uprzejmym skinieniu, jakby chciał dodać: „Decyduj”. Autor biogramu w „Timie” miał rację: „Jeden z ważniejszych polityków świata ma urok światowej klasy”. Był ucieleśnieniem wszystkiego, co ludzie lubią u nordyków: pełny profesjonalizm, ale bez teutońskiej skrupulatności; nieformalny, ale bez amerykańskiej poufałości; postępowy, ale bez latynoskiego temperamentu. W magazynie napisano też, że podobnie jak w przypadku opowiadania się za organizowaniem igrzysk olimpijskich wyłącznie w Atenach, świat byłby lepszym miejscem, gdyby najwyższe stanowisko w Organizacji Narodów Zjednoczonych zawsze piastował nordyk. System 108

rotacji nie dopuszczał takiej możliwości, to jasne, ale skoro Azja i Afryka odbyły już swoje kadencje, Europejczyk wydawał się prawdopodobnym kandydatem, a wtedy wybór długoletniego ministra spraw zagranicznych Finlandii nagle stał się oczywisty. Spodziewano się sprzeciwu Rosjan, ale ku zaskoczeniu wszystkich nic takiego nie zrobili i tak Paavo Viren gładko objął stanowisko bez żadnych protestów.

—
Dlaczego tak bardzo zależy panu, żeby tam pójść?

—
Uważam, że tak właśnie powinienem postąpić. Ten człowiek został zabity na naszym terytorium, będąc pod naszą opieką. Myślę, że powinniśmy wziąć za to odpowiedzialność i naprawić, co się da. Zgodzi się pan?

—
Sprawdzę to.

—
Pan bez przerwy wszystko sprawdza, ale nie mówi mi, co naprawdę myśli. Proszę, doktorze Munchau, niech mi pan powie, jakie jest pańskie zdanie.

Zanim jednak Munchau miał okazję to zrobić, szef gabinetu sekretarza generalnego pochylił się, sygnalizując, że chce coś powiedzieć. Ich trzech oraz protokolant siedziało w prywatnym gabinecie sekretarza generalnego na dwóch kanapach, które wstawiono już po kilku dniach od objęcia przez niego stanowiska; zdaniem Virena kanapy były podstawowymi narzędziami dyplomacji.

—
Kiedy pan będzie się nad tym zastanawiał, doktorze Munchau —

zaczął szef gabinetu — niech mi wolno będzie przedstawić kilka scenariuszy. W najlepszym wypadku pan sekretarz poleci do Londynu, uściśnie rękę córki Mertona i zrobi sobie z nią zdjęcie, a to przekreśli cały epizod.

Gorszy wariant: pan sekretarz zjawia się na pogrzebie, spotyka się z niechętnym przyjęciem, może nawet natknąć się na protesty, zostaje wygwizdany, a wtedy tylko rozdmuchamy ten problem.

—

W porządku, wystarczy, Marti. Musimy poznać opinię doradcy prawnego.

109

—

No cóż, panie sekretarzu, z punktu widzenia prawa pańska wizyta u rodziny ofiary nie może być uznana za żaden rodzaj przyznawania się do czegośkolwiek. Jak pan wspomniał, chciałby pan po prostu złożyć kondolencje, bo ten straszny wypadek zdarzył się na naszym terenie.

—

To dobrze.

—

Ale.

—

Och, więc jest i ale. W tym budynku zawsze jest jakieś ale, prawda?

—

Taki gest będzie w nieunikniony sposób postrzegany jako akt skruchy. Sekretarze generalni uczestniczą jedynie w pogrzebach prezydentów albo premierów. Pański przyjazd do Londynu będzie czymś niebywałym, będzie sugerował, że mamy za co przeproszać.

—

Bo tak w istocie jest.

Szef gabinetu wyglądał na przerażonego. Henning Munchau uśmiechnął się z wyrozumiałością.

—

Nie to chcemy rozgłaszać publicznie, panie sekretarzu. Na pewno nie na tym etapie.

—

Na Boga, panowie.

—

Mówię całkiem poważnie. Nie możemy pod żadnym pozorem wydać jakiegokolwiek oświadczenia, że żałujemy, okazać, że przepra-szamy, dopóki nie zgromadzimy wszystkich faktów. A tych jeszcze nie mamy.

—
Zabiliśmy niewinnego człowieka!

—
Ależ panie sekretarzu, kluczowe jest to, że ochroniarz ONZ nie wiedział tego w tamtym czasie. Pełniący służbę funkcjonariusz wierzył

najwyraźniej, że ten mężczyzna stanowił bezpośrednie zagrożenie dla naszego personelu. Co zmienia kwalifikację jego czynu na zabójstwo w obronie własnej.

—
W porządku, w takim razie za to przeprosimy. Co w tym złego?

Henning posłał szybkie spojrzenie szefowi gabinetu, mówiące:

„Chryste, mamy teraz harcerzyka jako sekretarza generalnego?”.

110

Wyczuwając ich sprzeciw, szef oparł się plecami o kanapę.

—
Posłuchajcie, panowie, nie jestem naiwny. Widzę ryzyko. Ale wy nie myślicie politycznie. Jeśli dam się sfotografować z wdową czy córką, ktokolwiek to jest, okazując pokorę, będę dobrze wyglądał. Jak człowiek, który nie ma niczego do ukrycia, jest uczciwy, ludzki. Nowa postawa nowego człowieka z ONZ. To mógłby być doskonały chwyt PR.

Po moim trupie, pomyślał Henning.

—
Niech mi pan pozwoli porozmawiać z moim człowiekiem w Londynie. Jeśli udało mu się udobruchać rodzinę, pański pomysł uznamy za bardzo dobry. Zaraz się z nim skontaktuję. Jestem pewny, że nas nie zawiedzie.

Rozdział 17

Drzwi stały otworem, dokładnie tak jak wcześniej, ale teraz nie słychać było żadnych głosów dobiegających ze środka. Doszedł do podestu, na którym spotkał Rebeccę Merton za pierwszym

razem trzy godziny wcześniej. Teraz widział tylko jej plecy, kiedy oglądała ruinę, w jaką zmieniono jej mieszkanie.

Podłogę zaścielały książki, każda półka została metodycznie opróż-

niona. Leżały z otwartymi stronami, ich okładki były zerwane. Na ścianach wisiały ramy ogołoczone z zawartości, plakaty i obrazy walały się porwane między kawałkami potłuczonego szkła.

Kanapę porznięto, jej wypełnienie wyłaziło na zewnątrz niczym roz-czochrane włosy. Telewizor stał odwrócony do góry nogami; nawet kwiaty wyrzucono z doniczek. Tom nigdy nie widział miejsca równie pedantycznie zdemolowanego. To nie było zwykłe włamanie.

Nagle kobieta obróciła się, wzrok jej płonął.

—

No i co, to wszystko, kurwa, potwierdza. Patrzyłeś, jak to robili?

Stałeś i patrzyłeś?

—

O czym ty, do cholery, mówisz?

W jednej chwili przeszli na ty.

—

Mówię o fakcie, że moje mieszkanie zostało praktycznie zrujnowane tuż po twojej wizycie. I tylko popatrz, pięć minut po moim telefonie 112

już tu jesteś z powrotem. Stałeś za rogiem przez cały czas, upewniając się, że dobrze wykonali swoją robotę?

—

Oszalałeś? Nie mam z tym nic wspólnego.

—

To taki zwykły zbieg okoliczności, prawda? Najpierw ONZ zabija mojego ojca, a następnego dnia moje mieszkanie... do którego, nawiasem mówiąc nikt wcześniej się nie włamywał... zostaje nagle całkowicie zdemolowane.

—

Myślisz, że ONZ za tym stoi?

–
Czego szukaliście? Brudów? – Na jej ustach pojawił się ślad krzywego uśmiechu. – Po to przysłałeś tu swoich chłopaków, Tomie Byrne? Żeby sprawdzić, jakie dyskredytujące brudy możecie zdobyć na córkę zamordowanego człowieka? Bo gdybym zaczęła domagać się sprawiedliwości od waszej organizacji, która zabiła mi ojca, przystąpili-byście do puszczania w wiadomościach ze świata informacji o tym, z kim się rżnęłam na akademii medycznej? Jezu, i to ma być świętsza od papieża Organizacja Narodów Zjednoczonych.

–
Posłuchaj, wpadasz w histerię. – Od razu pożałował tych słów.

Nazywaj kobietę jak chcesz, ale nigdy pod żadnym pozorem nie mów jej, że jest histeryczką. – Twoim zdaniem ONZ ugania się po mieszkaniach i je demoluje? Nie pomyślałaś, że w tym szczególnym momencie mamy wystarczająco poważne problemy z rodziną Mertonów, żeby brać sobie jeszcze na głowę coś takiego? – Wskazał gestem pobojuwisko, jakim stało się jej mieszkanie. – ONZ nie ma tego rodzaju ludzi do robienia czegokolwiek, nie wspominając o włamaniach w centrum Londynu.

Popatrzyła na niego surowo, jakby szukała na jego twarzy oznak prawdomówności. Jej wzrok denerwował go, bo marzył jedynie o tym, żeby spojrzeć jej w oczy. Potem odwróciła się od niego, jakby o czymś sobie przypomniwała, i pobiegła po schodach.

Tom dostrzegł szansę dla siebie. Zręcznym ruchem sięgnął do teczki, wyciągnął notes Gerszona Matzkina i miał zamiar rzucić go na stos 113

pośrodku pokoju, gdy coś go powstrzymało: chciał być z nią uczciwy.

Włożył notes z powrotem do teczki i postanowił czekać na sprzyjającą chwilę.

Kilka sekund później kobieta wróciła i ocierając się o niego, przeszła do kuchni. Dotykała go przez sekundę, ale to wystarczyło: niemal zako-

łysał się na piętach od siły tego przeżycia. Nagle ogarnęło go podniecenie. Czy był z rodzaju mężczyzn, których kręci widok kobiety wytrąco-nej z równowagi? Nie myślał tak o sobie. A może to skutek zmęczenia i adrenaliny? Brakowało mu doświadczenia, nie czuł się tak od czasów dorastania.

Ponownie przeszła obok niego, a jego owionął jej piżmowy zapach.

Wewnętrzna chęć, by chwycić ją za nadgarstek i przyciągnąć do siebie niemal zwała go z nóg. Czuł, jak zanika mu zdrowy rozsądek, przestrzeń między nimi wypełniła się narastającym, rozpierającym pożądaniem.

Ruszył za nią na obchód, przyglądając się zdemolowanemu mieszkaniu. Co się tu, do diabła, stało? Dokonano tego wyjątkowo pośpiesznie, lokal stał pusty niecałą godzinę. I wykonano zadanie ze znanstwem: sprawcy musieli widzieć, jak oboje wychodzą. Cenne rzeczy – telewizor, stereo –

zostały na swoich miejscach. To nie była robota ćpunów chcą-

cych zarobić pięćdziesiątaka. Rozpaczliwie poszukiwali czegoś określonego.

Teraz z kolei Rebecca szukała czegoś w panice, bojąc się, że ukradziono jej jakąś cenną rzecz. Ponownie weszła po krótkich schodach, minęła sypialnię i otworzyła drzwi do pokoju, w którym pracowała.

Zaparło jej dech, gdy zobaczyła pudła ze skoroszytami zrzucone na stertę na podłogę, ich zawartość rozsypała się niczym pióra z rozdartej poduszki.

Przez chwilę stała nieruchomo, a potem obróciła się do Toma.

—

Jeśli masz z tym jakikolwiek związek...

—

Na rany boskie...

114

—

Wsiądę w samochód, pojedę do najbliższej redakcji gazety i opowiem historię, która zniszczy reputację ONZ... i ciebie. Rozumiesz?

Wystarczy, że powiem im prawdę o tym, co się tu stało, i jakiego człowieka zabiła wczoraj Organizacja Narodów Zjednoczonych. Poza tym dopilnuję, żeby wszczęto przeciwko wam śledztwo za zabójstwo i włamanie. – Kręciła głową z niedowierzania. – Nic dziwnego, że chciałeś zawrzeć układ.

—

Dlaczego się po prostu nie uspokoisz? Jeśli ktoś próbuje tu zawrzeć układ, to tylko ty.

—

Co to, do cholery, ma oznaczać?

—

Oznacza, że ty również powinnaś wyjaśnić mi kilka spraw.

—

Niby jakich?

–
A takich jak to, że numer do znanego handlarza broni był w ko-mórcie twojego ojca. Jak to, że ulubiony pistolet zamachowców i płatnych morderców był schowany w jego pokoju hotelowym.

Wyraz twarzy Rebecki zmienił się na chwilę, ale trwało to tak krótko, że Tom nie zdołał go rozszyfrować. Czy było to powątpiewanie, szok czy panika? Trudno powiedzieć.

Stali tam oboje przez pełne trzy, cztery sekundy, twarzami do siebie, milczący niczym średniowieczni rycerze gotowi zewrzeć się w boju, aż w końcu ona cofnęła się i usiadła na tym, co kiedyś było kanapą. Trwała tak w bezruchu i podejmowała jakąś decyzję. Ostatecznie westchnęła ciężko i zaczęła mówić cicho, głosem o nowej barwie.

–
Posłuchaj. Myślę, że powinieneś poznać prawdę o moim ojcu.

Nareszcie, pomyślał Tom.

–
Musisz coś przeczytać, ale nie mogę...

–
Czy tego właśnie szukałaś? – Tom wyjął z teczek wspomnienia Gerszona Matzkin.

–
Och, dzięki Bogu. – Chwyciła notes i przycisnęła do piersi, oczy 115

miała zamknięte jak matka tuląca dziecko, które zgubiło się w parku. A potem uniosła powieki i spojrzała na niego zaczepnie.

–
Skąd to masz?

–
Zasła pomyłka. Myślałem, że należał do mnie. – Wyciągnął

własny notes, niemal identyczny i uniosł go. – Chciałem od razu wrócić i ci go oddać.

Ponownie tuliła notatnik, na jej twarzy malowała się ulga. Tom zastanawiał się, czy mu podziękuje za nieumyślne przechowanie tej pa-miątki rodzinnej w bezpiecznym miejscu, z dala od włamywaczy. Ale wtedy spojrzała na niego surowo, przenikliwie.

–
Nie wiem, czy mogę wierzyć w choćby jedno twoje słowo. –

Milczała przez chwilę, zanim odezwała się znowu. – Czytałeś to?

Zawahał się.

–
Kawałkami.

–
Więc chciałabym, żebyś to przeczytał porządnie. – I włożyła mu notes do rąk.

Wróciła po schodach na górę, a on wkrótce usłyszał szuranie i łoskot przesuwanych mebli, odgłosy ustawiania przedmiotów na właściwe miejsca.

Zastanawiał się, czy planowała utrzymanie tego notesu, tej opowie-

ści, w tajemnicy. Nie wspomniała słowem o przeszłości ojca w czasie pierwszej wizyty Toma, choć zamknęłaby mu nią usta: zamachowiec-samobójca – koń by się uśmieł. Czy w końcu powiedziała mu o tym?

Czy też jego informacja o ukrytej broni, pistolecie płatnych zabójców, sprawiła, że poczuła potrzebę oczyszczenia z podejrzeń zmarłego ojca?

Przerzucał strony, aż znalazł miejsce, do którego doszedł, kiedy zadzwonił Sherrill. Skupił wzrok na zapisie.

Niosłem tą samą wiadomość od getta do getta: „, Ciotka Estera wró-

cila”. Wszyscy zrozumieli, co oznaczała, że nas, Żydów, nie czeka 116

zwykle niewolnictwo albo przypadkowa śmierć tu i tam, ale że istnieje plan naszej zupełnej eksterminacji. Moje zadanie polegało na poinformowaniu Żydów w Europie, że naziści dążą do tego, by nie było już żadnych Żydów na tym kontynencie...

Tom przewrócił stronę.

Nigdy nie wiedziałem, u kogo mogę liczyć na pomoc. Czasami jakaś chłopka znajdowała dla mnie miejsce w stodole i dawała kawałek chleba.

Ale raz, w Krakowie, lekarz, filar tamtej społeczności, przekupił władze, kiedy zobaczył młodego chłopca – mnie – przekradającego się nocą do getta.

...Kiedyś wydawało się nam, że gdy uciekniemy z gett i dotrzemy do lasów, skończą się nasze problemy. Ale nie. Przekonaliśmy się, że choć wszyscy nienawidziliśmy nazistów, polski albo litewski ruch oporu nadal znajdowały siły, by nienawidzić Żydów...

Tom przerzucił kilka kartek w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby rzucić światło na okoliczności śmierci Mertona ponad sześćdziesiąt lat później.

...Jakoś znalazłem drogę powrotną do Kowna, a przynajmniej do jego okolicznych lasów. Spotkałem garstkę bojowników podziemia, którzy ocalili. Ich mundury nie były mundurami: jakiś płaszcz ukradziony Ro-sjaninowi, buty ściągnięte z nóg Litwina, broń kupiona od Polaka na czarnym rynku. Dołączyłem do nich i działaliśmy: tu wysadziliśmy most, tam wykoleiliśmy pociąg. Zabijaliśmy jednego wroga, dwóch. W bardzo dobre dni, dziesięciu.

Tom przeskoczył do następnej strony.

117

... To właśnie w lesie poznałem moją Różę. Była starsza ode mnie, aleja i tak byłem starcem niezależnie od wieku. W tamtych latach bycie Żydem w Europie oznaczało starość dla świata...

...Róża spotkała kogoś, kto ocalał z IX Fortu. Dowiedziała się, że na-ziści nie musieli siłą werbować miejscowych litewskich chłopaków, by brali udział w masowych zabójstwach: sami skwapliwie zgłaszali się na ochotnika, wśród nich, oczywiście, Wilk. Każdy z nich chciał strzelać w plecy nagich Żydów. Od Róży usłyszałem też, że getto zostało ostatecznie wyludnione 8 lipca 1944 roku. Ostatnich Żydów, którzy przeżyli, odesła-no do Dachau. „Powrót do Kowna nie ma sensu – powiedziała. – Nikogo tam nie ma. Oni wszyscy nie żyją „.

Na stronie następowała przerwa, jakby miała symbolizować upływ czasu. Dobrze, pomyślał Tom, teraz przejdzie do okresu powojennego.

Tylko ci z nas, którzy ocalili, potrafili zrozumieć się nawzajem. Mogliśmy spojrzeć sobie w oczy i zobaczyć ten sam mrok. Przemierzaliśmy Europę, szukając się nawzajem. Tych, którzy nie potrafili zapomnieć tego, co widzieli. Tych z nas, którzy byli zdeterminowani, żeby...

Strona obok była pusta. Tom obrócił ją i przekonał się, że została mu w ręku. Podniósł wzrok, mając nadzieję, że Rebecca nie zauważyła, jak zniszczył notes, który tuliła jak dziecko. Wsunął kartkę z powrotem, ale kiedy to robił, spostrzegł, że następna kartka i kolejna również wypadają.

Uniósł notes, żeby sprawdzić oprawę.

Łatwo odgadł, co się stało. Przypomniawszy sobie taki sam problem, jaki miał z zeszytem jako dziecko: jeśli wyrwie się jakąś kartkę na początku, druga jej część znajdująca się na końcu wypadnie. Zawsze tak się działo, kiedy zeszyt zszywano pośrodku. Chcąc się upewnić, sprawdził kartki. I rzeczywiście wszystkie z ostatnich pięciu, sześciu kartek były rozdarte 118

na krawędziach. Część zapisków usunięto.

Przeczytał ponownie ostatnią linijkę relacji Geralda Mertona. Nic z niej nie wynikało, to zdanie było równie enigmatyczne jak jego autor.

Tych z nas, którzy byli zdeterminowani, żeby...

Rozdział 18

Sekretarz poprosił o prywatny pokój. Nie byli we własnym biurze, więc musieli postępować ostrożnie. W budynku przy UN Plaza nawet wybór wody niegazowanej lub gazowanej był aktem politycznym. Mogliby rzecz jasna nadużyć stanowiska i zażądać, czego tylko chcieli. Ale w sprawie tak delikatnej jak ta nie było to dobre rozwiązanie. Przycię-
gnęłoby jedynie uwagę.

Sekretarz zadbał o to, by zostali tylko we dwóch. Mimo to nadal za-

łował, że szef nie posłuchał go i nie poczekał z tą rozmową, aż wróci do hotelu. Rzecz przedstawiała się zbyt ryzykownie. Być może pluskwy zagranicznych agencji wywiadowczych nie stanowiły żadnego zagrożenia, ale byli narażeni na podsłuch własnych służb.

Stały tu telefony używane bez wątpienia do telekonferencji. W jaki sposób sekretarz miałby zyskać pewność, że przypadkiem czy celowo nie były nastawione na tryb głośnomówiący? Może istniał też system interkomowy. A może szef misji zainstalował tutaj układ nagrywający, utrwalający jego spotkania. Mnóstwo ambasadorów przy ONZ i gdzie indziej tak robiło. Cholera, nawet jego własny szef, kiedy był jeszcze ministrem spraw zagranicznych, nie robił nic innego.

– Czy to się stało? – zapytał jego szef charakterystycznym dla siebie barytonem.

120

–

Tak. Wysłali ludzi parę godzin temu. Sprawa załatwiona.

–

Znaleźli coś?

–

Jak dotąd nic.

–

Nic? Daj spokój.

–

Wzięli jakieś papiery, parę dokumentów, komputer z kilkoma plikami, które sprawdzają. Ale jak do tej pory nic z tego chyba się nie łączy z, hm... – Miał sucho w gardle. Z trudem usiłował znaleźć słowa.

Marzył, by szef wyłączył go z tej operacji. Gdyby był z powrotem u siebie, wiedział, że by sobie poradził. Polegałby na swoim szefie sztabu, człowieku będącym z nim od początku. Ale tu, w Nowym Jorku, cała ekipa szefa była do kitu. Wykonanie tego zadania mógł powierzyć tylko sobie. Sekretarz próbował dokończyć zdanie. – Nie mają żadnych śladów tej sprawy.

–
Psiakrew – powiedział cicho szef, wzrok miał nieobecny. – My-

ślałem, że to się skończyło przed dziesiątkami lat. Mówię poważnie, przed dziesiątkami. Jestem już stary, ale to ciągle do mnie wraca. Nawet po śmierci, on wróci, żeby mnie nawiedzać. Zrobił to raz już wcześniej i zrobi ponownie. Gerszon Matzkin, człowiek, który wraca z umarłych.

Rozdział 19

Następnego posunięcia Tom nauczył się od matki. Poszedł do kuchni, omijając rozrzucone na podłodze sztuczce i potłuczoną zastawę, i nastawił

czajnik. Jedenaście lat w Stanach nie wytłumiło w nim przekonania, że w chwili kryzysu dobrze robi gorąca herbata.

Szukał całego kubka, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Henning. Tom spojrzał do góry na sufit: zbyt niski, Rebecca będzie wszystko słyszała. Zbiegł na dół po schodach, skręcając papierosa – miał być pretekstem dla jego wyjścia przed dom – i odebrał.

–
Cześć, Henning.

–
Za wcześnie, żeby spytać, co masz?

–
Mam dobrą i złą wiadomość.

–
Najpierw złą, proszę: lubię mieć na co czekać.

Zła wiadomość jest taka, że Gerald Merton nie był po prostu przeciętnym starcem. Ocalał z Holokaustu.

—

Dobry Boże.

—

Prawdę mówiąc, to bohater. Jako chłopiec jeździł od getta do getta pod fałszywym nazwiskiem i ostrzegał Żydów przed tym, co miało nastąpić.

—

Jezu.

—

Wiem. Niedobrze.

—

Zwłaszcza dla mnie.

Tom już wcześniej o tym pomyślał: prawdziwy horror dla niemieckiego prawnika broniącego Organizacji Narodów Zjednoczonych w 122

sprawie o zabójstwo Żyda, ofiary nazizmu.

—

Nie mów o tym nikomu, dobrze? Jeszcze nie teraz.

—

Jasne.

—

Chyba chcę usłyszeć dobrą wiadomość.

Tom obserwował mężczyznę po drugiej stronie ulicy, także rozmawiającego przez telefon. Czy było coś dziwnego w jego chodzie?

—

Merton mógł nie być ot takim zwykłym turystą w starszym wieku. Miał pistolet schowany w pokoju hotelowym. Rewolwer z polimero-wym kadłubem, bez wątplenia zaprojektowanym tak, by nie można

go było wykryć. Dostał go najwyraźniej od Rosjanina, handlarza bronią z Nowego Jorku, stałego dostawcy spółki Terroryzm i syn.

—

Więc chcesz, bym utrzymywał, że nie popełniliśmy żadnego błędu? Że dopadliśmy właściwego faceta?

—

Myślę, że to by przeszło – powiedział Tom.

—

Nie ma mowy. Nie z jego przeszłością. Sąd opinii publicznej, kolego. Tam właśnie przegramy tę sprawę, zanim zdołamy wypowiedzieć choćby jedno pieprzone słowo. Nikt nie uwierzy, że jakiś starowina mógłby komuś zagrażać, niezależnie od tego, co znaleźliście w jego pokoju hotelowym.

—

To broń zamachowca, Henning.

—

Guzik mnie obchodzi, to poszlaka. A jaki jest jego związek z tym handlarzem bronią?

—

Jego numer był w komórce Mertona.

—

Także poszlaka. Wracamy do planu A, Tom: zapłać córce, ile będzie chciała, i wracaj do domu.

—

Tę propozycję od razu odrzuciła. Mówi, że krew jest na tych pieniądzach. Chce przeprosin od sekretarza generalnego, osobistych. Rzecz jasna odrzuciłem taką możliwość.

Henning ciężko westchnął.

—

Nie możesz użyć legendarnego uroku Byrne'a? Nie znam kobiety, która odmówiłaby ci czegokolwiek.

–
Coś mi mówi, że na nią nie podziała. – Tom słyszał lekkie drzenie we własnym głosie. – Ona nie jest z takich. Jest bardzo... sam nie 123

wiem... niezwykła...

–
Tylko mi nie mów, że pojechałeś i zadurzyłeś się w rozpaczającej córce.

–
Henning...

–
Straciłeś dla niej głowę! Stajesz się jednym z adwokatów, którzy zajmują się facetem z celi śmierci, a kończą na posuwaniu wdowy! Tom, załatw to jakoś i wracaj.

–
Poważnie, Henning. Muszę się dowiedzieć, po co Merton przyjechał do Nowego Jorku. Jeśli planował coś złego, będziemy mogli oddalić wszelkie prawne zarzuty kierowane wobec nas. ONZ będzie w czystej sytuacji.

–
Posłuchaj, Tom. I tak dostaniesz honorarium, jeśli o to się martwisz.

–
Nie, usiłuję robić to, co będzie najlepsze dla ONZ.

–
Minęło wiele czasu, od kiedy tak mówiłeś, Tom. Naprawdę myślisz, że nas pozwie?

–
Tom przypomniał sobie tyradę Rebecki sprzed kilku minut. „Poza tym dopilnuję, żeby wszczęto przeciwko wam śledztwo za zabójstwo i włamanie”. Naprawdę tak nie myślała, to był po prostu wybuch emocjonalny. Ale to wystarczyło.

–
Groziła czymś takim, owszem.

–
W takim razie, dobrze. Rób, co musisz. Ale podkreślam: zależy mi przede wszystkim na tym, żebyś zamknął sprawę. W tym tygodniu jest to cholerne Zgromadzenie Ogólne, pamiętaj. Nie mam czasu martwić się czymś innym.

Tom wszedł z powrotem do środka, nie po raz pierwszy wyciągając wniosek, że Henning Munchau był najbardziej spostrzegawczym człowiekiem, jakiego znał.

Wrócił do robienia herbaty i ostrożnie zaniósł dwa kubki z wrzątkiem na górę. Stojąc w drzwiach, patrzył na Rebeccę ustawiającą potłuczone i pogieęte ramki ze zdjęciami na półce, przy uchu miała telefon komórkowy. Mówiła życzliwym tonem.

–

Wiem, to straszne patrzeć na waszą dziewczynkę w takim stanie.

124

Ale proszę, spróbujcie mi państwo uwierzyć, kiedy wam mówię, że to tylko infekcja i możemy ją pokonać. A gdy to nam się uda, mała będzie w wystarczająco dobrej kondycji do transplantacji. – Jej spojrzenie omiotło Toma. Wzięła od niego kubek, który jej podał, i mówiła dalej. – Wła-

śnie tak. Mamy wyniki brata Anny. On ma pasujący dziesiąty antygen HLA. Przykro mi, pani Reid, ale to oznacza, że pani syn jest idealnym dawcą. Musimy teraz wyciągnąć Annę z tego zapalenia i... nic nie szkodzi. Może pani dzwonić, kiedy pani zechce. Do widzenia, pani Reid.

Kiedy się rozłączyła, wskazał jej gestem zdjęcia.

–

Nie powinnaś niczego ruszać – powiedział najłagodniej, jak umiał – przed przyjazdem policji.

–

Nie mam zamiaru wzywać policji.

Próbował zamaskować ulgę, jaką poczuł: na szczęście opinia publiczna nie dowie się o włamaniu. Jeśli Rebecca Merton przyjęła, że za tym bezprawnym wtargnięciem do jej mieszkania stała Organizacja Narodów Zjednoczonych, to znajdą się też w Internecie tysiące zwolenników teorii spiskowych, gotowych dojść do tego samego wniosku.

–

Dlaczego?

Spojrzała prosto na niego, zielone tęczy jej oczu tak błyszczały, że trudno było nie odwrócić

wzroku. Niespodziewanie przypomniał mu się komiks z młodości – uzależnienie, które trzymało go dobre dwa lata –

i Cyclops z X-Men, mutant superbohater, który potrafił emitować z oczu niszczące „wiązki energii”. Czy Rebecca Merton dysponowała podobną mityczną siłą, wzrokiem mogącym paraliżować w jednej chwili każdego mężczyznę, który znalazł się w jego zasięgu?

–

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – powiedziała cicho – dowiedziałam się, że mój ojciec umarł gwałtowną śmiercią, zastrzelony z zimną krwią. Do mojego mieszkania ktoś się włamał, a ja musiałam ujawnić historię życia ojca – a tajemnicy tej strzegłam jak skarbu – bo był to jedyny sposób przekonania cię, że mój ojciec nie był

żadnym terrorystą. – Teraz mówiła głośniej. Twarz się jej zarumieniła. –

Myślisz, że wytrzymałabym obecność hordy ludzi łażących mi po 125

całym domu i zadających coraz więcej pytań, coraz więcej pytań, coraz więcej pierdolonych pytań!

Z tymi słowami rzuciła kubek pełen herbaty przez cały pokój, aż uderzył w ścianę. Zapadło milczenie, oni zaś patrzyli oboje na rozlewającą się kałużę gorącego płynu.

–

Posłuchaj, Rebecca...

–

Nie, to ty mnie posłuchaj.

Coś w jej głosie go zmroziło.

–

Powiedziałeś, że chcesz zawrzeć układ, więc zawrzyjmy układ.

–

Rozumiem, że chodzi o finansowe odszkodowanie...

–

Nie chcę waszych pieniędzy. Chcę twojej pomocy. W końcu od ciebie – ludzi, dla których pracujesz – to wszystko się zaczęło, dlatego będziesz się cholernie starał, żeby mi pomóc przez to przejść.

–

Zamieniam się w słuch.

—

Chcę poznać prawdę o tym, co tak naprawdę przydarzyło się mojemu ojcu w Nowym Jorku i co to ma wspólnego z tym. – Wskazała ręką na zdemolowany pokój. – Sama nie dam rady. Ale ty jesteś prawnikiem, masz za sobą ONZ. Wiesz, jakie mechanizmy tym kierują. Chcę, żebyś mi pomógł.

—

Umowa stoi – powiedział. – Ale brak policji oznacza, że sami będziemy musieli to zrobić. Trzeba zacząć od początku. Czy zauważyłaś brak czegoś?

Rozejrzeli się ponownie po pokoju, w którym każda najdrobniejsza rzecz została przestawiona lub zniszczona. Podchwyciła jego spojrzenie, oboje pomyśleli o tym samym, a na jej ustach pojawił się ledwo widoczny skrzywiony uśmiech. Zauważył go jednak i odpowiedział uśmiechem.

Absurdalność jego pytania wisiała teraz w powietrzu – było jak pytanie pasażera „Titanica”, czy zauważył coś szczególnego – i w końcu Rebecca się roześmiała, ale nie był to śmiech wywołany wesołością, tylko będący efektem napięcia i zbyt długo tłumionej rozpacz.

126

Po chwili zdał sobie sprawę, że Rebecca już się nie śmieje. Usiłowała zakryć twarz, ale on i tak dostrzegł łzy spływające jej po policzkach.

Zrobił krok do przodu, zawahał się, a potem położył dłoń na jej ramieniu i przyciągnął ją do siebie. Na moment oparła głowę o jego pierś i w tej samej chwili poczuł, jakby wszystkie zakończenia nerwów stanęły mu w ogniu.

Zaraz potem, równie nagle, odsunęła się od niego, otarła oczy i dała mu znać, że już jej przeszło.

—

Zabierajmy się do tego.

Zaczęła metodycznie w odległym kącie pokoju, podnosiła książki, ale nie po to, żeby je odłożyć na półkę, lecz żeby ustalić wzorzec. Starła się wykryć, które partie pokoju najbardziej interesowały złodziei, dopiero wtedy mogłaby wydedukować, jaki mieli cel. Tom patrzył na nią, dostrzegając skupienie, które malowało się na jej twarzy. Wyobraził ją sobie jako dziecko, bystre i sumienne, biegnące do domu, by przynieść ojcu radosną wiadomością, że dostało szóstkę, ojcu, którego dzieciństwo naznaczyły zło i mrok. Choć Rebecca nie powiedziała tego wprost, Tom miał pewność, że była jedynaczką związaną z ojcem niesłychanie mocno.

Po kilku minutach wróciła do biurka. Obserwował, jak sięgnęła do określonej szuflady. Kiedy się pochyliła, zalała go fala pożądania.

Pociągnęła szufladę i otworzyła ją z łatwością. Podniosła wzrok, jakby jej przeczucie się potwierdziło.

—
Zamek został wyłamany – powiedziała.

—
Co w niej było?

—
Papiery ojca.

—
Jakiego rodzaju papiery?

—
Dokumenty, wyciągi bankowe, rzeczy, które oddał pod moją opiekę. Na wypadek...

Tom podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie biurku: kubek z długo-pisami, zdjęcie Rebecki z kobietą, siedzących na skale na zalanej słoń-

cem plaży, zrobione, jak Tom się domyślał, mniej więcej dziesięć lat wcześniej. Prostokątny ślad na drewnianym blacie, obramowany kurzem, 127

był ciemniejszy od reszty; oceniając po rozmiarach, Tom domyślił się, co to mogło być. Monitor, odłączony i bezużyteczny, nadal tam stał, ale komputer zabrano.

Obrócił się, żeby powiedzieć o tym Rebecce, zajętej teraz układaniem zawartości kartoteki, kiedy zobaczył coś dokładnie przed sobą, przypięte do tablicy korkowej nad biurkiem. Aż się wzdrygnął. Dwa słowa wypeł-

nające pojedynczą kartkę A4. Nie mogło być mowy o pomyłce: choć najwyraźniej nabazgrane w pośpiechu, zostały napisane tą samą ręką, która zapełniła notes, czytany przez niego w to popołudnie. Wiadomość brzmiała zwyczajnie: „Pamiętaj – Kadish”.

—
Co to?

Rebecca zerknęła i przez chwilę wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

Tom poczuł dreszcz.

–
Nie było tego wcześniej? Zostało niedawno przypięte?

–
Och, nie, było tu wcześniej – odpowiedziała Rebecca spokojnie i cicho. – Ojciec napisał to jakiś czas temu. Miało mi przypominać o mo-dlitwie za mamę.

–
Za mamę?

–
Tak. Umarła sześć lat temu. Ojciec zawsze upierał się, żebyśmy odmawiali tę modlitwę w rocznicę jej śmierci. To nazwa żydowskiej modlitwy za zmarłych, których się kochało.

Nic dziwnego, że robiła wrażenie tak wstrząśniętej. Ten zwykły ka-wątek papieru musiał się jej wydać przesłaniem zza grobu – Gerald Merton prosił, żeby o nim pamiętała.

W ciszy, poruszona do głębi, nie usłyszała głuchej wibracji blackberry Toma, który trzymał go w wewnętrznej kieszeni marynarki. Odczekał, aż odwróciła się do półek z książkami, wyjął urządzenie i spojrzał na wyświetlacz. Była to wiadomość od Jaya Sherrilla i składała się z jednej linijki:

„Odciski na broni są Mertona”.

Rozdział 20

–
Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, komendancie.

–
Nie ma za co dziękować. W końcu sam prosiłem pana o składanie raportów bezpośrednio mnie.

–
Tak, panie komendancie.

–
Więc co masz, Sherrill?

–
Robimy postępy. I to w nieoczekiwanym kierunku.

—
Zwykle mówimy „Trafiony”. No może niezupełnie w tym kontekście, przyznaję. Mów dalej.

—
Zgodnie z początkowym założeniem z zeszłego ranka Merton miał być niewinnym starcem, ofiarą przypadkowej błędnej identyfikacji.

—
To prawda.

—
Cóż, niektóre z naszych wcześniejszych odkryć rzucają cień na to proste założenie.

—
Czyżby?

—
Tak, proszę pana, w rzeczy samej. Wydział wywiadu dowiedział się o spotkaniu w lokalu handlarza broni...

—
Rosjanina.

—
Tak. Numer jego telefonu wyświetla się w komórce Geralda Mertona. W czasie nocnego przeszukania pokoju hotelowego denata znaleziono polimerowy pistolet ze stalowymi elementami rosyjskiej roboty.

129

—
Przyjaciel płatnych morderców.

—
Właśnie, proszę pana. Duży kaliber. Był schowany w pokoju hotelu Tudor, gdzie Merton się zameldował. Na broni są odciski Mertona.

Niemal wszędzie.

Riley usiadł ponownie w fotelu, w pełni testując jego mechanizm odchylenia. Nie przerwał kontaktu wzrokowego z detektywem. Szacował

go niczym nauczyciel oceniający bystrego ucznia.

–
To wszystko jest bardzo interesujące, Sherrill. Naprawdę. Czy jeszcze ktoś z nowojorskiej policji wie o tym?

–
Nie, proszę pana. Prosił pan, żeby informować wyłącznie pana.

–
Dobra robota, Sherrill. Tak trzymać. – Przechylił fotel do przodu, potem sam się nachylił. – Jak ci poszło przesłuchanie dowódcy ochrony?

Sherrill zajrzał do notatek, przerzucił kilka kartek, żeby znaleźć wła-

ściwą. Tego się nie spodziewał. Zeznania dowódcy ochrony były w cało-

ści przewidywalne, nie dało się ich porównać z tym, co odkrył w sprawie Mertona. Dlaczego komendant nie zareagował na to, co bez dwóch zdań było przecież największą rewelacją?

–
Dowódca ochrony Touré powiedział, że miał telefon od łącznika z nowojorskiej policji, sugerujący wzmożenie czujności w związku z mężczyzną ubranym w czarną jesionkę, wełnianą czapkę i...

–
Kiedy było to połączenie?

–
Około ósmej czterdzieści dziewięć rano.

–
A kiedy strażnik zaczął strzelać?

–
O ósmej pięćdziesiąt jeden, proszę pana.

–
Zatem, co zwraca twoją uwagę, detektywie?

–
Dziękuję je dwie minuty.

–
O rany, rzeczywiście studia na Harvardzie są warte każdego wydanego na nie centa! No właśnie, panie Sherrill. No właśnie! I co nam to mówi?

–
Cóż, to mógł być przypadkowy zbieg...

130

–
W policyjnej robocie nie ma przypadkowych zbiegów okoliczno-

ści, Sherrill. To mówi nam, że w tym czasie prowadzono akcję wywiadowczą, to właśnie nam mówi.

–
Chce pan przez to powiedzieć, że ktoś widział, jak podejrzany zbliża się do siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych?

–
Nie inaczej. A teraz, jak dokładnie brzmiał przekaz otrzymany przez dowódcę ochrony w ONZ?

Jay Sherrill przekręcił jeszcze jedną kartkę w notesie. Ponownie spojrzął na komendanta.

–
To było pilne ostrzeżenie. Kazano uważać strażnikom w ONZ na człowieka podejrzewanego o terroryzm.

–
Pilne, powiadasz. Niemal jakby wiedzieli, że był w drodze.

–
Ale to nie ma sensu, proszę pana.

–
Niby dlaczego, panie Sherrill? Dlaczego to nie ma żadnego sensu? – Riley ponownie rozparł się w fotelu. Dobrze się bawił.

–
Bo każdy, kto zobaczyłby Geralda Mertona, zorientowałby się, że to w rzeczywistości bardzo stary człowiek. Całkowite przeciwieństwo potencjalnego terrorysty.

–
Tak myślisz, co, Sherrill? Ty i ja na pewno byśmy to wiedzieli, prawda?

–
Teraz przyszła kolej na detektywa i to on wpatrywał się w twarz prze-

łożonego. Powoli, z mroku, wyłaniał się obraz, niejasne wyobrażenie o tym, co mogło dzieć się w głowie komendanta. Nie zrozumiał jeszcze do końca, o co chodziło szefowi, ale teraz przynajmniej miał jakąś wskazówkę. Cokolwiek to było, nie sugerowało prostego rozwiązania zagadki śmierci Geralda Mertona.

–
Co mam w takim razie zrobić, panie komendancie?

–
Doskonałe pytanie, detektywie. Chcę, żeby się pan dowiedział, kto właściwie przekazał informację o wzmożeniu czujności dowódcy ochrony ONZ i na jakiej podstawie. W tym wypadku bowiem popełniono istotny błąd, zaszła pomyłka, która doprowadziła tego biednego belgij-skiego ochroniarza...

131

–
Portugalskiego.

–
Wszystko jedno. Doprowadziła nieszczęsnego, przerażonego strażnika do popełnienia fatalnego błędu. Musimy ustalić dokładne źród-

–
dło początkowej omyłki. Chcę wiedzieć, który wydział służb porządkowych tego miasta...

Ale to może nie być pomyłka, proszę pana. Pistolet, odciski palców...

Riley uniósł prawą dłoń, uciszając go.

—

Wszystko w swoim czasie, Sherrill. Wszystko w swoim czasie.

Rozdział 21

Dobrze się złożyło, że Tom wyłączył dzwonek w blackberry, Rebecca nie usłyszała, że dostał wiadomość od Sherrilla, a teraz nie była odpowiednia chwila, żeby jej mówić, co mu przekazano. Poza tym potwierdziło się jedynie podejrzenie Toma, o którym Rebecce powiedział: że jej ojciec w Nowym Jorku miał broń zamachowca.

Przede wszystkim jednak nie chciał psuć nastroju, jaki zapanował w pokoju, wprowadzony początkowo przelotnym uściskiem, a teraz utrwalony widokiem wiadomości na korkowej tablicy, prośby o pamiętanie o zmarłej matce. Otaczała ich cisza, milczenie, które jakby ich łączyło. Od czasu do czasu Rebecca napotykała jego spojrzenie, nic nie mówiła, a potem wracała do skubania teraz już czerstwych kanapek, które przyjaciele przynieśli jej tego ranka.

—

Czy twoja matka to ta dziewczyna, o której czytałem w notesie ojca? – Była to pierwsza okazja, kiedy mógł z nią pomówić o tym, co przeczytał.

—

Przepraszam?

—

Róża. Czy ona była twoją matką?

—

Och, nie. To długa historia.

—

Mam czas.

Uśmiechnęła się i zrobiło mu się cieplej na duchu.

—

Nigdy nie poznałam Róży. Była z ojcem po wojnie. I przyjechała tutaj, do Anglii.

—

Ale?

—

Ale nie jestem pewna, czy kochali się w normalny sposób. Potrzebowali się nawzajem, trzymali razem.

W jednej chwili obraz nastoletnich dzieci, które były świadkami naj-straszniejszego horroru, zamajaczył przed oczami Toma. Wyobraził

sobie młode ciała i stare twarze.

—

Nie mieli dzieci. Domyślam się, że była bezpłodna. Ciągłe niedożywienie i trauma w okresie dorastania uniemożliwiły regularne ja-jeczki.

—

Czy to opinia medyczna?

Jej krzywy uśmiech pojawił się na sekundę i zniknął.

—

Ojciec zawsze powtarzał, że jej światełko zgasło. Że nie miała światła w środku.

—

Może oboje mieliście rację.

Obróciła się, żeby spojrzeć na niego, wiązka energii mutanta rodem z X-Men była nastawiona na pół mocy.

—

Umarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym. Ojciec nadal był stosunkowo młody. Oplakiwał ją, ale nie należał do mężczyzn, którzy potrafią żyć samotnie i kilka lat później poznał kobietę, tu w Londynie. Wzięli ślub, a po paru latach ja przyszedłam na świat. Miał wtedy czterdzieści pięć lat.

—

Czy to jakaś różnica, jeśli ma się ojca trochę starszego niż normalnie?

–
Prawie żadna w porównaniu z tym, że ma się ojca, który ocalał z Holokaustu.

Tom pokiwał głową, przyjmując, że rzeczywiście mogła poczuć się urażona. Miał świadomość, że celowo unikał cały czas tego słowa.

–
Poza tym – mówiła dalej – zawsze był bardzo sprawny. Bardzo o siebie dbał.

To widziałem na własne oczy, pomyślał Tom, przypominając sobie sekcję zwłok jej ojca.

–
Czy przeżycia z wojny... czy przeżycia z Holokaustu zostawiły jakiś ślad na jego ciele?

134

–
Cóż, nigdy nie miał numeru na ramieniu, jeśli o to pytałeś. Czasami żałuję, że tak nie było.

–
Nie bardzo rozumiem.

–
Hm, ludzie tego oczekują, prawda? Człowiek uratowany z Holokaustu, tatuaż na ramieniu. Ale to robili jedynie w Auschwitz. Wiedzia-

łeś o tym? To było jedyne miejsce, gdzie znakowali Żydów numerami. –

Teraz mówiła szybciej. Jej głos pobrzękiwał jak stłuczone szkło. – Ojciec nigdy nie był w Auschwitz ani w żadnym innym obozie śmierci.

Ludzie, gdy patrzyli na ojca, nie mogli się domyślić, przez co przeszedł.

A on nie był w stanie powiedzieć o tym w kilku słowach. Nie mógł powiedzieć: byłem w Treblince albo Sobiborze, albo Bełzcu, albo na Majdanku. Pamiętaj, że niewiele osób mogło powiedzieć, że tam byli, bo prawie nikt stamtąd nie wyszedł. Prawie nikt nie przeżył w tamtych miejscach. Ojciec musiałby opowiadać całą historię – o wiosce i płonącej stodole, i pogromach w Kownie, i matce zwisającej z sufitu na sznurze, i o getcie, i dołach – albo nic nie mówić. Przez większość czasu decydował się na milczenie. Siedział cicho. Nie wygłaszał przemówień. Nie brał

udziału w żadnych wycieczkach szlakiem wspomnień. Nigdy tam nie wrócił.

Przerwała i myślała przez chwilę.

–

Nie odpowiedziałam na twoje pytanie. – Ton jej głosu był znowu taki sam, jak wtedy gdy rozmawiała przez telefon jako doktor Rebecca Merton. – Pytałeś o fizyczne ślady. Był jeden.

–

Co takiego?

–

Jego lewa stopa. Brakowało jej trzech palców. Jeśli się nie mylę, stracił je w wyniku odmrożeń w lesie. Kiedy walczył razem z partyzantami. To jest w notesie: o tym, jak nosili filcowe buty na mrozie. Nie mieli żadnych ciepłych butów. Trzeba było czekać, aż ktoś umrze, i zabrać mu buty.

–

Czy miało to na niego jakiś wpływ? Brak tych palców?

–

Prawie żadnego. Chodził, lekko utykając. Jakby niósł ciężki ba-gaż w jednej ręce. Ale to nie przeszkadzało mu w utrzymywaniu

doskonałej sprawności fizycznej. Pływał, biegał, kiedyś podnosił ciężary.

Nie było sensu owijać w bawełnę. Tom musiał zapytać wprost.

–

Powiedziano mi, że twój ojciec miał na nodze jakiś rodzaj meta-lowej płytki przymocowanej do piszczela. Co to mogło być?

Ponownie spojrzała na Toma, zatrzymała na nim wzrok.

–

Widywałam się z ojcem regularnie, również przed tym wyjazdem, i z jego nogą wszystko było w porządku. Musiała zająć jakaś po-myłka.

Tom postanowił nie naciskać, choć metalową płytkę widział na własne oczy.

–

A ty? – zapytała, odnosząc talerze do zlewu. – Masz tu jakąś rodzinę?

—
Matka mieszka w Sheffield. Ojciec nie żyje.

—
Pojedziesz się z nią zobaczyć, skoro już tu jesteś?

—
Wątpię. Kiedyś udawałem posłusznego syna. Teraz zostawiam nostalgię na święta Bożego Narodzenia.

Telefon zadzwonił, tym razem stacjonarny, kolejna osoba z kondo-lencjami. Rebecca wzięła bezprzewodową słuchawkę i wyszła do przedpokoju.

Kiedy jej nie było, Tom przyjrzał się zniszczeniom w kuchni. Ktokolwiek tu przyszedł, nie miał odrobiny litości. Zdemolowano to miejsce z bestialską skutecznością. Między jego pożegnaniem z Rebeccą a jej telefonem, kiedy kazała mu tu przyjść, minęła może godzina. Zdołali przewrócić to miejsce do góry nogami w niecałe sześćdziesiąt minut.

Czego szukali? Czy to włamanie łączyło się jakoś z zabójstwem na UN

Plaza, czy też był to zwykły zbieg okoliczności? Jakiś ukryty i brutalny wróg wziął teraz na muszkę Rebeccę Merton. Sama myśl o tym sprawia-

ła, że włosy stanęły mu dęba.

Podniósł wzrok i zobaczył ją w drzwiach kuchni.

—
Właśnie znalazłam to na dole, na wycieraczce. — Trzymała w rę-

ku dużą białą kopertę. — Dostarczone przez posłańca.

136

— Co to?

Podawała mu ją, sadowiąc się obok niego tak blisko, że ich uda się dotykały. Pochyliła się ku niemu, gdy przyglądał się czystej kopercie. Poczł zapach Rebecki i zalała go fala pożądania. Usiłował się skupić. W

kopercie znajdowały się dwie kartki, miękkie w dotyku, niemal kosmate ze starości, połączone zszywką. Na każdej z nich widniały wyraźne litery z maszyny do pisania; trudno było powiedzieć, ale mogła to być kopia kalkowa z tych, które robiono na takich staroświeckich urządzeniach.

Tom miał kiedyś profesora w Manchesterze, który sporządzał tę samą listę lektur od lat pięćdziesiątych! Tam właśnie na seminarium Tom trzymał w ręku po raz ostatni podobny dokument.

Nie było żadnego tytułu albo objaśniającego nagłówka. Zamiast tego na pierwszej stronie napisano listę nazwisk, najwyraźniej uszeregowanych alfabetycznie:

Wilhelm Albert

Wilhelm Altenloch

Hans Bothmann

Hans Geschke

Paul Giesler

Odilo Globocnik

Richard Glücks

Albert Hohlfelder

Friedrich Wilhelm Krüger

Kurt Mussfeld

Adalbert Neubauer

Karl Puetz

Christian Wirth

Tutaj nazwiska były starannie przekreślone na krzyż, tak więzień skreśla kolejne dni z kalendarza. Tom przeszedł do drugiej strony.

Czcionka była troszkę inna, a nazwiska nie były już uszeregowane alfabetycznie:

137

Hans Groetner

Hans Stuckart

Joschka Dorfman

Otto Abetz

Theo Dannecker

Karl-Friedrich Simon

Fritz Kramer

Jacob Sprenger

Georg Puetz

Herbert Cukors

Alexander Laak

Te nazwiska również zostały przekreślone, ale już nie tak starannie i pociągnięciami, które nie były identyczne, nawet kolor atramentu zdarzał

się inny. Wydawało się, że skreśleń na pierwszej liście dokonano za jednym razem, na drugiej – w różnych okresach.

Poza tym z dokumentu, który trzymał w rękach, nic nie wynikało.

Mimo to im dłużej Tom patrzył na kartki, tym bardziej był przekonany, że ta lista wyjaśni przynajmniej tajemnicę Gerszona Matzkina.

Rozdział 22

–

To wszystko, nic więcej nie było?

–

Wszystko.

–

Żadnej notki?

–

Nic.

–

Czy posłaniec dzwonił do drzwi, kiedy przyniósł tę kopertę?

–

Leżała na wycieracze, kiedy przed chwilą zesłałam na dół.

–
Okay. – Tom podszedł prosto do okna, szukając wzrokiem męż-

czynny, którego widział wcześniej. Ani śladu. Zaczął chodzić po pokoju, obmyślając listę pytań, kiedy zorientował się, że Rebecca patrzy na niego, przebiega wzrokiem po jego sylwetce od góry do dołu. Gdy spostrzegła, że to zauważył, uciekła wzrokiem.

–
Po pierwsze, czy któreś z tych nazwisk wydaje ci się znajome?

Wyglądała na niepewną.

–
Nie.

–
Czy mogłaś spotkać kogoś z tych ludzi? Może to przyjaciele twojego ojca, wspólnicy w interesach?

–
Ojciec miał pralnię chemiczną przy Stoke Newington Church Street.

–
Dobrze. W takim razie wspólnicy w interesach odpadają. – Spró-

bował się uśmiechnąć. – Czy ktoś z nich może być jakimś krewnym, nawet dalekim?

139

– Powtarzam ci, że żadnego z nich nie rozpoznaję.

Tom ponownie spojrzął na listę. Przeczucie zaczynało przybierać kształt.

Jej komputer zniknął – to dowód, że chodziło o informacje, a nie rzeczy na sprzedaż – ale kable i modem zostały na miejscu. Wyjął swój laptop i podłączył go, a kiedy pokazała się strona Google, wstukał pierwsze z nazwisk. Pojawił się link do Wilhelma Alberta, piątego księcia Ursch, urodzonego w 1957 roku: nie tego oczekiwał. Spróbował z drugim nazwiskiem. Wilhelm Altenloch był majorem SS w Białymstoku.

Podniósł wzrok na Rebecce stojącą obok.

Hans Bothmann okazał się komendantem obozu śmierci w Chełmnie, gdzie kierował masowymi mordami od wiosny 1942 do marca 1943

roku. O Hansie Geschkem nie było nic na Google, ale Paul Giesler miał

własne hasło na Wikipedii. Wcześniej dołączył do narodowych socjalistów, przystępując do powstającego ruchu Hitlera w 1924 roku, awansował na Gauleitera południowej Westfalii i w 1942 roku Monachium i górnej Bawarii. Sławę zapewnił sobie tym, że nadzorował obóz koncentracyjny w Dachau; kiedy zbliżało się wyzwolenie, opracował – najwyraźniej w ostatniej chwili – plan, by ratunek dla więźniów przybył za późno. Zlikwidował wszystkich Żydów znajdujących się w obozie.

Rebecca pochyliła się do przodu, by mieć lepszy widok na ekran, kośmyk jej kręconych włosów ocierał się o twarz Toma.

Odilo Globocnik także miał wpis, zawarto w nim informację, że był

wyższym rangą funkcjonariuszem SS i komendantem policji w Lublinie, któremu przypisywano kierowanie Einsatzgruppen, lotnymi oddziałami zabójców, które odpowiadały za masakrowanie Żydów na terenie Polski od 1942 do 1943 roku.

Schemat stawał się jaśniejszy wraz z każdym wpisem. Pułkownik SS

Albert Hohlfelder, odznaczony za dokonania w sterylizacji Żydów i innych „niewolników” poprzez naświetlania promieniami rentgenowskimi. Generał porucznik SS doktor Friedrich Wilhelm Krüger, członek sztabu planowania odpowiedzialnego za całkowitą likwidację Żydów 140

w gettach w Polsce. Porucznik SS Kurt Mussfeld nadzorował krematorium numer 2 w Auschwitz w 1944 roku. Christian Wirth, asystent Globocnika, odpowiadał za wprowadzenie programu eutanazji T4, w ramach którego umyślowo chorych zagazowywano lub zabijano zastrzykami z trucizną, przeprowadzanego na ogromną skalę dzięki utworzeniu obozów eksterminacyjnych, zaawansowanych technologicznie fabryk śmierci.

–

Zatem mamy listę nazistowskich grubych ryb – powiedział Tom w końcu, odsuwając się z fotelem od biurka.

–

Nie rozumiem.

–

Czy przychodzi ci do głowy jakikolwiek powód, dla którego komuś zależałoby na dostarczeniu ci tego? Anonimowo?

Wzrok jej płonął, ale przyczyny tego Tom nie potrafił się domyślić.

Czyżby żał trawił ją od nowa? Czy była to złość wywołana taką manipulacją? A może strach wynikający z poczucia zagrożenia stworzonego przez włamanie i anonimowego posłańca? Tom

mógłby patrzeć bez końca w te oczy, ale nigdy nie znalazłby w nich jednoznacznej odpowiedzi.

–

Nie mam zielonego pojęcia, co to wszystko może znaczyć, Tom

– powiedziała, kręcąc głową. – Ale znam kogoś, kto może wiedzieć.

Rozdział 23

Rebecca wiozła ich przez północno-wschodni Londyn, teren zupełnie obcy dla Toma, który dorastał w Sheffield ponad trzydzieści lat wcze-

śniej. Pojedyncza, ciągnąca się w nieskończoność ulica przebiegała chyba nie tyle przez osiedla, ile przez całe kontynenty. Tureckie kioski z gazetami i sprzedawcy kebabu ustępowali skupiskom wietnamskich restauracji, które z kolei wypierały polskie delikatesy, a potem wystawy sklepowe gwarantujące dostęp do Internetu i tanie rozmowy telefoniczne z Nigerią i Sierra Leone.

Po chodnikach szły kobiety w chustach na głowach i inne, których twarze skrywały czarczafy z cienką szparką na oczy. Obok nich przechodzili ultraortodoksyjni Żydzi w ubraniach znanych Tomowi z Nowego Jorku: odziani od góry do dołu w czerń, w kapeluszach na głowach lub –

czasami – w rzucających się w oczy futrzanych czapach, jakby żywcem przeniesionych z tajemniczej, dawno minionej epoki. Także na modlitwę spieszyli, choć w innym kierunku, muzułmanie, niektórzy w kurtach sięgających im do kolan, z kufi, siatkowych białych czapkach, na głowach. Tom przyjrzał się grupie na przystanku autobusowym: student w koszulce brazylijskiej reprezentacji piłkarskiej, dwóch czarnych męż-

czyn, sikh w turbanie i trzy białe kobiety z wózkami, które wyglądały tak masywnie, że śmiało mogłyby zepchnąć z drogi samochód 142

terenowy. Wyraz jego twarzy musiał być oczywisty, bo Rebecca, zajmująca miejsca za kierownicą swego wiekowego saaba, powiedziała:

–

Domyślam się, że to twoja pierwsza wizyta na Kingsland High.

Zaparkowali i przeszli obok sklepu spożywczego prowadzonego przez Kurda i kiosku z gazetami zachwalającego się jako przyjazny mu-zułmanom, bez półek z pornografią, aż dotarli do nędznie wyglądającego frontowego wielkiego okna z informacją, że mieści się tam Centrum Porad Prawnych w Kingsland.

Rebecca pchnęła drzwi w taki sposób, że musiała tu bywać wcze-

śniej. W środku rower opierał się o ścianę korytarza prowadzącego do schodów i, jak Tom zgadywał, kilku mieszkań nad kancelarią. Po lewej stronie znajdowały się drugie drzwi, w które

weszli.

Połowa frontowej części biura wyglądała na poczekalnię u lekarza, który zszedł na psy: trzy krzesła ustawione wokół zdezelowanego stolika z tworzywa udającego drewno. Na blacie leżały egzemplarze „Hackney Today”, noszące datę sprzed trzech miesięcy. Krzesła były zajęte przez ludzi, których Tom, ekspert w takich sprawach po jedenastu latach pracy w ONZ, uznał za Somalijszczyków. Jeden z nich trzymał broszurę zatytu-

lowaną *Twoje prawa jako azylanta w Wielkiej Brytanii*.

Zza lichego przepierzenia, które najwyraźniej miało zapewniać prywatność, słychać było wyraźnie rozmowę.

—

Przepraszam, Lionel, ale muszę cię zapytać ponownie. Przestałeś brać leki? Nie zmuszaj mnie, bym kogoś do ciebie wezwał?

Bez większego wysiłku, Tom widział wszystko nad parawanem. Przy końcu pomieszczenia siedział przed biurkiem niczym klient u kierownika banku nieogolony mężczyzna w czapce baseballowej, otoczony półtuzi-nem plastikowych toreb. Mamrotał coś pod nosem i nie przerywał monologu nawet wtedy, gdy mówiono coś do niego bezpośrednio.

Za biurkiem siedział mężczyzna niemający jeszcze trzydziestki, 143

o wyglądzie również znanym Tomowi, choć w Sheffield, w czasach jego młodości, byłby uznany za egzotyczny. Przystojny, z czarnymi kręconymi włosami i w okularach w szylkretowej oprawie. W Nowym Jorku Tom założyłby się o każdą sumę, że miał przed sobą żydowskiego prawnika i to samo mógłby powiedzieć w tej chwili.

Rebecca uśmiechnęła się do tego faceta, obdarzając go spojrzeniem typowym dla pobłażliwej starszej siostry, on zaś uniósł dłoń w geście milczącego powitania, nie przerywając rozmowy z Lionelem.

Telefony, których nikt nie odbierał, wytarty dywan, chaos: to wszystko budziło wspomnienia. Tom pracował krótko w podobnym do tego biurze pomocy prawnej, kiedy zaraz po studiach wrócił do Sheffield.

Ojca ostatecznie powaliła rozedma płuc i dlatego matka poprosiła Toma, żeby wrócił i „zapewnić staremu godziwe odejście”. Klientela nie była tak różnorodna jak tutaj, Tom musiał to przyznać, ale panowała tu identyczna atmosfera; maleńka, niedochodowa praktyka ciągle balansująca na krawędzi egzystencji.

—

Przepraszam, Rebecco. — Prawnik podszedł teraz do niej, zostawiając Lionela, żeby pozbierał swoje manele. Mówił współczującym tonem, który świadczył, że znał zarówno Rebeccę, jak i jej ojca. —

Pró-

bowiałem się do ciebie dodzwonić, nagrałem kilka wiadomości. Domy-

ślałem się, że zważyło cię to z nóg. Wszyscy jesteśmy zaszokowani.

Rebecca machnęła ręką, przyjmując w ten sposób jego przeprosiny, i obróciła się, żeby ich sobie przedstawić.

–

Julianie, to jest Tom Byrne z Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tom, to jest Julian Goldman, prawnicza podpora społeczności Hackeny, i wnuk jednego z najstarszych przyjaciół mojego ojca.

Uśmiech Juliana wywołany jej słowami, jego zadowolenie z pochwa-

ły, powiedział Tomowi wszystko, co chciał wiedzieć: to był inteligentny młody człowiek, który kochał się w Rebecce przez całe lata, prawdopodobnie od dzieciństwa.

144

–

Lequasio, możesz zrobić nam kawę?! – zawołał do sekretarki, której Tom nie zauważył.

Siedząca przy drugim biurku Lequasia miała nie więcej niż osiemna-

ście lat i ekstrawagancko postawione włosy, najwyraźniej pochłaniało ją podziwianie nieprawdopodobnie długich paznokci, dlatego nie zwracała sobie głowy odbieraniem telefonu. Podniosła wzrok z wyrazem twarzy świadczącym w równiej mierze o lenistwie, jak lekceważeniu.

–

Chodźcie, siadajcie tutaj. – Julian złapał dwa plastikowe krzesła o sztywnych oparciach i ustawił je przed swoim biurkiem.

Tom zauważył, że krzesło dla Rebecki postawił bliżej siebie.

–

Co z przygotowaniami do pogrzebu? Czy mogę ci jakoś pomóc?

–

Kiedy zadzwonili, żeby mnie powiadomić, co się stało, powiedzieli też, że będzie opóźnienie. Z powodu sekcji. – Mówiła cicho, na co Tom zwrócił uwagę. Zastanawiał się, jak dużo mu zdradzi; nie przedyskutowali tego po drodze. W Nowym Jorku Tom Byrne przenigdy nie poszedłby nawet na

spotkanie dotyczące miesięcznego zamówienia materiałów biurowych bez przygotowania planu gry. I oto siedzieli tutaj, by bez jakiegokolwiek strategii rozmawiać o kulisach wydarzeń. Uznał to za kolejny dowód tracenia przez siebie kontroli nad tą sprawą.

—

Zastanawiasz się nad pozwaniem... – Julian spojrzał na Toma –

...ludzi, którzy za to odpowiadają?

No i mamy adwokację gotowego podjąć się czegokolwiek, pomyślał

Tom.

—

Nie myślę o tym w tej chwili – odpowiedziała Rebecca, jakby status Geralda Mertona jako niewinnej ofiary nie budził żadnych wątpliwości. – Ale muszę się dowiedzieć tego i owego. O ojcu.

—

Cóż, sama wszystko wiesz, Rebecco. Widać było gołym okiem, że jesteś dla niego całym światem. – Obrócił się do Toma. – Jestem pewny, że nigdy nie spotkał pan ojca i córki, którzy byliby tak blisko ze sobą 145

związani. Tworzyli prawdziwą rodzinę, mimo że było ich tylko dwoje.

Dwuosobowa rodzina.

—

A co z testamentem? – Julian po raz pierwszy zwrócił się ku Rebecce z wyrazem twarzy niemającym nic wspólnego z niekłamanym uwielbieniem. Wydawał się zaszokowany, mały chłopczyk, który zobaczył Królową Śnieżkę z petem w ustach. – Jestem pewny, że teraz o tym nie myślisz.

—

Chcę wiedzieć, czy coś mi zostawił,

—

Och, Rebecco.

—

Nie chodzi mi o pieniądze, Julianie – powiedziała ze zniecierpliwieniem, które sprawiło Tomowi przyjemność. – Mam na myśli wszystko inne, co mógłby tu zostawić na przechowanie. Żeby zostało

mi prze-kazane w razie jego śmierci.

Julian się otrząsnął.

—

Wiesz, że ustalił wszystko, zanim jeszcze mój ojciec przeszedł na emeryturę. Sam nigdy nie miałem z tym nic do czynienia.

—

A mógłbyś sprawdzić?

Julian spojrzał na Lequasię, miał zamiar ją o to poprosić, pokręcił jednak głową i podniósł się.

—

Wrócę za minutkę.

Tom popatrzył na Rebecckę i unióśł brwi. Taki sygnał powiedziałyby wszystko na UN Plaza, ale tu, co Tom szybko zrozumiał, wymagał wyjaśnienia.

—

O co chodzi?

—

Ojciec był sentymentalny. Z dziadkiem Juliana przyjechali razem do tego kraju. Wydaje mi się, że on też walczył w partyzantce, choć był

dużo starszy. Kiedy jego syn został prawnikiem, ojciec stał się jego pierwszym klientem. Powodowany lojalnością. A kiedy syn przeszedł na emeryturę, tato został klientem wnuka.

—

Czy twój ojciec potrzebował prawnika z jakiegoś określonego powodu?

Stalowy chłód powrócił do oczu Rebecki.

—

Ani razu.

Tom wstał, rozprostowując nogi. Trzech Somalijczyków nadal czeka-

ło, byli zmęczeni i rozczarowani. Jaki ogromny kontrast, pomyślał Tom, z garniturowcami z korporacji i mafijnymi kupcami nieruchomości, któ-

rzy stanowili teraz trzon jego klienteli.

W końcu Julian pojawił się z pokoju na zapleczu, niosąc pudło z twardej tektury i wzmocnione metalem w rogach. Kolor, kiedyś czerwony, wyblakł do jasnoróżowego; poza tym pokrywał je kurz.

–

Boję się, że o to chodziło. Nie przypomina domu na Barbadosie, wiem. – Postawił je na biurku.

–

Jak długo to tu jest? – zapytała, nie dotykając pudła.

–

Zostało przeniesione ze dwa lata temu, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę. Biuro adwokackie otworzył w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Wygląda na dość stare, prawda?

Rebecca powoli uniosła pokrywę. Julian przeszedł tymczasem do poczekalni, skąd słychać było, jak przepraszał trzech Somalijczyków.

W chwili gdy pokrywa została usunięta, Tom poczuł ukłucie rozczarowania. Nie wiedział, czego mógłby się spodziewać, ale na pewno nie tego. To pudło nie różniło się od jakiegokolwiek pojemnika znajdowanego w domach większości emerytów: zbiór ważnych kiedyś dokumentów, przedawnione paszporty i tym podobne. Co miał nadzieję tam znaleźć, broń?

Rebecca wyjmowała ostrożnie każdą rzecz, jakby dotykała kamieni szlachetnych. Stare paszporty były związane razem gumką. Obok nich położyła dokument, który wywołał u niej uśmiech pełen zadumy. Było to zaświadczenie o naturalizacji wydane przez Home Office w 1947 roku.

Gerszon Matzkin został uznany za godnego miana poddanego króla Jerzego VI i dokument ten zmieniał go magicznie w nową istotę: Geralda Mertona.

147

Znajdowało się tam więcej zaświadczeń, w tym uznanie osobowości prawnej jego firmy, pralni chemicznej w Stoke Newington, i jedno o zakupie premiowanych obligacji. Dawno miniony świat powojennej Wielkiej Brytanii wyłaniał się z tego pudła niczym chmura kurzu.

–

Tom, popatrz na to.

Na dnie leżała pognieciona sterta wycinków prasowych. Rebecca wyjęła je wyjątkowo delikatnie, żeby nie rozpadły się w dłoniach. Niektóre pożółkły, inne miały jasnobezowy odcień. Tylko parę było po angielsku.

Kilka wydrukowano po hiszpańsku, dwa po portugalsku i sześć po niemiecku. Na górze każdego z nich dopisano ręcznie datę. Najwyraźniej zbierano je w porządku chronologicznym, kilka pierwszych, niemal wszystkich po niemiecku, dotyczyło tego samego okresu, drugiej połowy 1945 roku, reszta obejmowała lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte.

–
Znasz niemiecki? – zapytał Tom.

Rebecca pokręciła głową.

–
Tego języka nigdy nie chciałam się uczyć.

Przełożyła kilka pierwszych wycinków, aż natrafiła na fragment z

„Timesa”. Trudno było zgadnąć, na którą z czterech lub pięciu wiadomo-

ści na stronie powinni zwrócić uwagę, do chwili gdy Rebecca spostrzegła cienką, wyblakłą linię narysowaną ołówkiem, otaczającą doniesienie zajmujące tylko jeden akapit.

Odilo Globocnik, były dowódca SS, został wczoraj znaleziony martwy w swoim alpejskim domu wysoko w górach w okolicy Weissensee. Od władz okupacyjnych wiemy, że Globocnik, znany z tego, że nadzorował

likwidacją warszawskiego getta, najprawdopodobniej popełnił samobójstwo...

Były jeszcze dwa wycinki po niemiecku, jeden z „Die Welt”, gazety wydawanej początkowo przez brytyjskie siły okupacyjne po kapitulacji Niemiec. Tu również była krótka wiadomość, w kolumnie informacji 148

podawanych w skrócie, obramowana kreską czarnego atramentu. Szkol-na wiedza Toma wystarczyła, by ją przetłumaczyć.

Wojskowy rzecznik prasowy oznajmił wczoraj, że kolejny wysoki rangą urzędnik Trzeciej Rzeszy został znaleziony martwy. Porucznik SS Kurt Mussfeld był starszym oficerem w obozach śmierci w Auschwitz i na Majdanku...

Tom sięgnął po kopertę, którą podrzucono Rebecce pod drzwi godzinę wcześniej. Jego ręka na krótko otarła się o jej dłoń, a on poczuł, jak przeskakuje ładunek elektryczny.

Zmuszając się do koncentracji, rozłożył dostarczoną przez posłańca listę nazwisk, a potem przejrzał wycinki z wierzchu stosu, te obejmujące rok 1945, i wyłowił z niemieckich wiadomości nazwiska ludzi, o których śmierci donoszono. Znalazł Wilhelma Alberta i Karla Puetza. Zerknął

ponownie na listę: obaj na niej byli, oba nazwiska przekreślone. Zagłębił

się bardziej w plik wycinków, odszukał nazwiska z lat pięćdziesiątych.

One także znajdowały się na liście, i też zostały przekreślone.

Oczami wyobraźni zobaczył Gerszona Matzkin: przedwcześnie postarzały, zgarbiony nad spisem, odnotowujący śmierć posuniętych w latach nazistów na całym świecie. Tworzył sobie obraz człowieka przeszukującego gazety, odwiedzającego biblioteki i wykreślającego ich z listy jednego po drugim, a każda śmierć koła straszliwy ból, który musiał go trawić. Głęboka tragedia tego stanu – człowieka zżeranego przez tak wielki żal i taką nienawiść, żyjącego jedynie po to, by nasłuchiwać o śmierci innych w odległych częściach świata – uderzyła Toma. Jak bezsilny musiał czuć się Gerszon Matzkin, chłopiec, którego rodzinę unice-stwili ci ludzie, teraz dorosły i czujnie śledzący ze swojej pralni chemicznej wydarzenia, czekający na dzień, kiedy wypadek samochodowy albo zepsuty kabel elektryczny zmniejszy liczbę żyjących nazistów. Czy 149

dlatego właśnie utrzymywał sprawność fizyczną, żeby przeżyć ich wszystkich, żeby doczekać godziny, gdy nie zostanie już żaden z nich?

A może wcale tak nie było?

– Podasz mi paszporty, Rebecca?

Tom ściągnął gumkę recepturkę – i od razu to spostrzegł. Trzy stare czarne brytyjskie paszporty w twardych okładkach, każdy na nazwisko Geralda Mertona. Ale także wielki, sztywny granatowy paszport francuski, wystawiony dla Jeana-Luca Renarda – ze zdjęciem, które bez wątpienia przedstawiało młodego Geralda. Do kompletu należał też dokument podróży Hansa Borcharda, lojalnego obywatela Republiki Federalnej Niemiec. W nim również znajdowało się zdjęcie Geralda Mertona.

Tom spojrział na daty w środku: większość wystawiono w 1952 roku, choć były tam też paszporty Paragwaju i Argentyny, ważne całą dekadę później. Tom szczególnie przyjrzał się jednemu paszportowi. Wydany w 1952 roku dla jakiegoś Fernanda Matutesa jako obywatela hiszpańskiego

– ale w nim również umieszczono fotografię uśmiechniętej twarzy Geralda Mertona.

Szybko, pewny, że ma rację, Tom przerzucił kartki hiszpańskiego paszportu i przekonał się, że użyto go tylko raz w sierpniu 1952 roku. W

pośpiechu rozgrzebał plik wycinków, aż znalazł jeden wydrukowany po hiszpańsku. Wyblakły i pożółkły, ale czytelny: „El Correo”, gazeta wydawana w kraju Basków, z drugiego tygodnia sierpnia 1952 roku.

„El Correo”, 12 sierpnia 1952 roku

Martwy turysta w hotelu w San Sebastián. Żona znajduje ciało.

Policja w San Sebastián wszczęła śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci urlopowicza, którego ciało żona znalazła w ich pokoju w hotelu Londres. Pani Schroeder powiedziała, że ona i jej mąż, urodzony w Niemczech, spędzali tygodniowe wakacje, podczas których nie zauważyła u niego żadnych oznak depresji czy zdenerwowania. „Wyszłam mniej więcej na godzinę po zakupy, a kiedy wróciłam on już... on już...”, powiedziała pani Schroeder dziennikarzowi, zanim się rozplakała.

Największym szokiem była dla mnie obfitość jedzenia. Nigdy nie widziałem takich jego ilości, smakołyki wycierały dosłownie zewsząd.

Świeże ryby wyłożone na pokruszonym lodzie, z nienaruszonymi łbami; lady przepełnione delikatesami, począwszy do faszerowanej papryki, kończąc na omletach z ziemniakami, które w jakiś sposób, nawet zimne, cały czas są pyszne; plasterki salami i sery, wszystko gotowe do schrupania, wystarczy wziąć przez białą papierową serwetkę, wyrzucaną zaraz potem na ziemię – i oczywiście rzędy opasłych szynek wiszące nad barem.

151

Przyznaję, musiałem zatrzymywać się i patrzeć na te wiszące szynki.

Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nie w getcie, rzecz jasna, gdzie w ogóle nie było mięsa, a tym bardziej wieprzowiny! I nie w Londynie, gdzie stworzyłem swój dom, bo tam żywność nadal była artykułem ra-cjonowanym. Jeśli tak wyglądały skutki przegranej wojny, to po co z takim mozołem walczyliśmy, żeby zwyciężyć?

Byłem zdany na siebie. Do tej pory zdążyłem się do tego przyzwyczaić. Nie miałem jeszcze skończonych dwudziestu dwóch lat, a zjecha-

łem już całą Europę – Francję, Niemcy Zachodnie, Austrię – dotarłem dalej, do Ameryki Południowej i Kanady, zawsze samodzielnie. Nauczy-

łem się, jak siedzieć w restauracji i czytać bez ściągania na siebie uwagi.

Sztuczka polegała na tym, żeby się nie ukrywać. Żadnych kapeluszy z szerokim rondem ani gazet zakrywających twarz, jak na filmach. Pokazuj się, działaj z pewnością siebie, zachowuj jak miejscowi lub inaczej, ale bez zażenowania, niczym turysta. Dzięki temu nikt cię nie zauważy.

Półka zawieszona nad barem była zapchana wszelkimi możliwymi napitkami: pięć różnych rodzajów whisky, więcej wódek, niż mógłbym zliczyć, i cały rząd brandy. Czy w czasie wojny też tak tu było? Czy wino płynęło strumieniami, a stoły się uginały, kiedy my z Różą jak dzikie zwierzęta zdobywaliśmy byle resztki, żeby przeżyć? W wyobraźni widzę moje siostry. Często mi się to zdarza podczas misji.

Muszę mieć jasny umysł, żeby koncentrować się na zadaniu, które mam wykonać. Taką radę dał mi jeden z przywódców, zanim sam zginął

na służbie. „Nie nienawidź ich – powiedział. – Nienawidź ich przedtem i nienawidź ich potem. Ale nie nienawidź ich w trakcie wykonywania roboty. Jeśli będziesz nienawidził w trakcie, zawiedziesz, a oni zwycię-

zą”.

Zwykle udawało mi się stosować do tej rady. Kiedy musiałem wśliznąć się do szpitala w Bochum na dalekich krańcach Niemiec, przebrany w biały kitel lekarski, i powiedziałem mojemu „pacjentowi”, byłemu dowódcy gestapo, teraz przykutemu do łóżka z termometrem pod 152

językiem, że wszystko idzie zgodnie z planem przed niezbyt poważną operacją, która miała się odbyć rano, ale najpierw będę musiał przeprowadzić jedno badanie – takie, przy którym konieczne jest wstrzyknięcie nafty do krwiobiegu, co też się stało – miałem jedynie chłodne poczucie spełnianego obowiązku.

Kiedy docisnąłem pedał gazu w Paryżu, ścigając kapitana SS Fritza Kramera idącego chodnikiem, nie czułem kipiącej we mnie wściekłości.

Nawet wtedy, gdy patrzyłem jak ten zbrodniarz, odpowiedzialny za masowe zabójstwa, ucieka, chcąc ratować życie. Nie, byłem spokojny, gdy dopadłem byłego oficera z obozu w Birkenau i uderzyłem go samochodem przy pełnej szybkości, wyrzucając bydlaka na pięć metrów w górę, i patrzyłem, jak przeleciał przez poręczę przy schodach metra, a potem spadł z rozłożonymi ramionami niczym strach na wróble.

Trzymam pamiątki z każdej operacji, doniesienia z miejscowych gazet odnotowujące „śmierć w tajemniczych okolicznościach” albo „tragiczny wypadek”, dzięki którym społeczeństwo pozbyło się kolejnego nazistowskiego zbrodniarza wojennego, strojącego się w piórka porządnego obywatela. Nie czerpię żadnej przyjemności z faktu, że należę do grupy znakomicie przygotowanych wykonawców kary śmierci, potrafią-

cych wśliznąć się do większości krajów bez przeszkód, a następnie ulotnić się bez śladu. Oczywiście pomaga mi to, jak zresztą zawsze pomaga-

ło, że mam blond włosy i niebieskie oczy. Zdarza się, że mój cel patrzy na mnie ciepło, wyobrażając sobie, że oto czeka go spotkanie po latach z młodym towarzyszem. Rzecz jasna nie może umiejscowić jakoś mojej twarzy, ale mój wygląd nie budzi podejrzeń. Skąd my się znamy? Czy było to w Sachsenhausen, a może na Ukrainie? Służyliśmy razem, *Mein Herr*? Niezupełnie, nie.

Tak więc zwykle praca mnie nie peszyła. Ale to zadanie było inne.

Moim celem stał się Joschka Dorfman, który bardzo gorliwie służył

Trzeciej Rzeszy jako wysokiej rangi funkcjonariusz w obozie śmierci w Treblince, mniej więcej sto kilometrów na północny wschód od Warszawy.

153

Dla moich towarzyszy to był główny punkt oskarżenia: około 840 000

ludzi, w większość Żydów, unicestwiono w Treblince, „przepuszczając” ich przez komory gazowe w liczbie 10 000 dziennie, z wydajnością, jakiej zazdrościły inne obozy zagłady. Tylko niewiele ponad sto osób przeżyło ten obóz.

Ale nie to było przyczyną niewielkich kropelek potu, które czułem na plecach, grożących poplamieniem koszuli. Wywoływała je myśl o innej działalności Joschki Dorfmana. Bo ten pan porucznik awansował nie w Polsce, ale na sąsiedniej Litwie, mówiąc precyzyjnie, w Kownie. W IX

Forcie był jednym z ludzi odpowiedzialnych za wypełnienie dołów cia-

łami 50 000 ludzi, w większości Żydów. Wiedziałem, że między tymi, którym strzelano w tył głowy – co Dorfman nadzorował, jeśli nawet sam nie strzelał – były moje siostry: Anna, Ryfka i Lea.

Miał się wkrótce pojawić, czego byłem pewny. Jak do tej pory wszystkie informacje otrzymywane od naszego człowieka z Hiszpanii okazywały się całkowicie wiarygodne. Dorfman i jego żona rzeczywiście spędzali w tym mieście wakacje, jak obiecywano. Mieszkali w Alicante, na południowym wschodzie Hiszpanii. Całe setki ich tam pojechały: kraj stał się rajem dla byłych sługusów Führera. Znaliśmy trasy Dorfmana, dlatego namierzenie go było możliwe. Możliwe, ale ryzykowne. Operacja w samym środku miasta wypełnionego byłymi nazistami mogła zaalarmować pozostałych, wtedy by uciekli albo, co gorsza, ruszyli naszym tropem. Lepiej było zająć się tym tutaj, na drugim końcu Hiszpanii, skąd wieści nie rozchodzą się tak szybko.

Nasze źródła odkryły, że Dorfmanowie, mąż i żona, lubią spędzać wakacje w kraju Basków. Polubili zwłaszcza San Sebastián i teraz wcale im się nie dziwię. Całe miasteczko skupia się wokół zatoki, plaże są szerokie i czyste. Patrzyłem, jak kąpali się rano, a potem suszyli w promieniach słońca. Wiedziałem, że przyjdą tu na późny lunch, ona będzie piła wino, on zamówi piwo. Kiedy się najedzą, on wróci do hotelu Londres na sjęstę, ona zaś pójdzie się przejść brukowanymi uliczkami, żeby z nudów oglądać wystawy sklepowe. Ta rutyna sprawiała im 154

przyjemność, bo robili tak codziennie od trzech dni, czyli od kiedy tu przyjechali.

Spojrzałem na zegarek w momencie, gdy się zjawili, za dziesięć druga. Ładnie się prezentowali, opaleni, wypoczęci. Ona uśmiechnęła się, wchodząc i zdejmując wielki kapelusz chroniący przed słońcem i strze-pując ostatnie ziarenka piasku z włosów. On miał na nosie ciemne okulary, co trochę mnie zaniepokoiło. Co będzie, jeśli ich nie zdejmie? Nie można dokonać stuprocentowej identyfikacji bez zobaczenia oczu. Ale wtedy zbliżył się do kontuaru i żeby dokładnie obejrzeć ofertę pintxos, zdjął okulary, a ja zyskałem pewność.

Zamówiłem miętową herbatę i wróciłem do lektury gazety: ot facet leniwie spędzający popołudnie. Kiedy Dorfmanowie zapłacili w końcu rachunek, położyłem dyskretnie zwitek banknotów na stoliku – dałem okazały napiwek – chwyciłem torbę i wyszedłem.

Trzymałem się od nich w sporej odległości, znacznie dalej, niż mogliby sobie wyobrażać ludzie, którzy nigdy czegoś takiego nie robili.

Pozwoliłem, by zniknęli mi z pola widzenia, skręcając w prawo lub w lewo, bo byłem pewny, że i tak ich dogonię. Miałem tę ogromną przewagę, że doskonale wiedziałem, dokąd Dorfman zmierza.

Patrzyłem, jak się rozdzielili, ona pocałowała go lekko w policzek, unosząc kokieteryjnie prawą nogę i zastanawiałem się, jakich słów użyła; czy powiedziała do męża do widzenia, czy po prostu *au revoir*. Serce zaczęło mi żywiej bić, w sposób, jakiego nie lubię.

Odczekałem, aż oddaliła się jedną z krętych, wąskich uliczek, zanim przyśpieszyłem kroku. Dorfman szedł teraz energicznie, brzeg morza miał po prawej stronie, woda była intensywnie niebieska. Czy słońce powinno świecić w takich miejscach, kiedy z siostrami żyliśmy w getcie?

Zawsze wydawało mi się, że niebo pociemniało na całym świecie.

Dorfman przeszedł przez promenadę i odczekał, aż minie go grupa chłopców na rowerach, nim wszedł do hotelu przez jedne z obrotowych drzwi wychodzących na morze. Postanowiłem nie iść za nim, ale skierować się do wejścia za rogiem, od ulicy.

155

Krokiem człowieka, który dobrze wie, dokąd zmierza, czego nauczy-

łem się jeszcze w czasie podróży pociągiem z Kowna do Warszawy, minąłem recepcję, zignorowałem windę i wspiąłem się po schodach.

Nasz informator dostarczył nawet numer pokoju. Zanim dotknąłem porę-

czy, włożyłem obcisłe skórzane rękawiczki.

Zatrzymałem się w pół drogi pomiędzy drugim a trzecim piętrem.

Spojrzałem do góry i zobaczyłem Dorfmana wychodzącego z windy.

Patrzyłem, jak idzie korytarzem wyłożonym dywanem. Wstrzymałem oddech, czekając na odgłos klucza przekręcanego w zamku.

Przed drzwiami pokoju 212 nie pozwoliłem sobie na moment niezdecydowania. Zapukałem dwa razy i zawołałem po hiszpańsku: *Servico de habitaciones!* „Obsługa hotelowa!”.

Sięgnąłem do kabury pod lewym ramieniem i wyciągnąłem berettę, tak żeby jej lufa stała się widoczna w chwili, gdy drzwi się otworzą.

Miała być pierwszą rzeczą, którą Dorfman zobaczy.

Nie dałem mu czasu na reakcję. Lewą ręką wepchnąłem go z powrotem do pokoju, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy zamykanie drzwi na siłę. Trzymając wycelowaną broń w prawej ręce, zamknąłem drzwi nogą.

„Guten Tag, Herr Dorfman – zacząłem, szybko przeszedłem do telefonu stojącego na szafce nocnej obok łóżka i jednym szarpnięciem wyrwałem kabel ze ściany. – Nie krzycz albo od razu cię zabiję. – Poczulem ulgę, słysząc, że mój głos niczego nie zdradza, nie drży z emocji. – Jesteś porucznikiem SS Joschką Dorfmanem z obozu śmierci w Treblince, a przedtem służyłeś w Dziewiątej Forcie w Kownie, gdzie osobiście odpowiadałeś za śmierć setek tysięcy Żydów. Działając w imieniu Żydów, przyszedłem, żeby wymierzyć ci sprawiedliwość”.

Wokół tego etapu procedury było wiele sporów. Niektórzy uważali, że to podejmowanie niepotrzebnego ryzyka, że każda zwłoka była głupotą. Nie spierałem się, ale nie miałem na przykład najmniejszej szansy powiedzenia czegokolwiek Fritzowi Kramerowi, kiedy przejechałem go na ulicy, ani innym, którzy kończyli w rowach przy szosie lub w 156

płonących samochodach na autostradach. Ale kiedy istniała taka możliwość, wtedy ryzyko warte było zachodu. Przywódca naszej grupy –

Aron, ten sam śmiertelnie poważny mężczyzna, który wysłał mnie z pierwszą misją posłańca z tamtej oświetlonej świecą piwnicy w Kownie

– żywiłowo bronił takiego podejścia. „Ci, którzy są winni największych zbrodni w historii ludzkości, muszą wiedzieć, właśnie w chwili gdy wydają ostatnie tchnienie, że ich ofiary nie pozwolą, by te przestępstwa zostały niepomszczone. Że nie można bezkarnie mordować Żydów. Że Żydzi odpowiedzą atakiem”.

Opalenizna Dorfmana zniknęła, widok broni sprawił, że krew odpłynęła mu z twarzy. W jego oczach, co zauważyłem, pojawił się też chwilowy wyraz dezorientacji, coś jakby osłupienie, które widziałem więcej niż raz.

„Dlaczego ty, młody, silny Aryjczyk, mówisz takie rzeczy?”.

„Nie. Mylisz się, jestem...”.

„Ale ja nie zrobiłem nic złego. Dostałeś mylnie...”.

„Nie bój się, Nie zastrzelę cię”.

Słyszając to Dorfman, odetchnął z ulgą. Potruchtał i przysiadł na brzegu łóżka. „Dzięki Bogu – powiedział. – Dzięki Bogu”.

Trzymałem go na muszce i milczałem.

„Chcesz pieniędzy, tak? O to ci chodzi. Oczywiście. Chcesz pieniądze-

dzy. Ile chcesz, żeby zachować tę informację, hm, w tajemnicy? Wymień swoją cenę. Jest mnóstwo ludzi, którzy mogą dokonać telegraficznego przekazu, wystarczy, że...”.

„Nie mam zamiaru cię zastrzelić, bo to trwałoby za krótko. Mam w torbie dwie igły i mały pojemniczek z benzyną. Zrobię ci zastrzyk w serce z benzyny. Śmierć w końcu nadejdzie – ale dobrze wiesz, ile to potrwa. Dzięki eksperymentom Ariberta Heima w Mauthausen. Ten właśnie eksperyment przeprowadzał wiele razy. Na pewno chwalił się przed tobą wynikami”.

„Proszę, nie rób mi tego. Proszę. Cokolwiek zechcesz, dostaniesz.

Tylko powiedz. Mogę ci podać nazwiska”.

157

To także było częścią naszej procedury. Błaganie o litość w zamian za informacje o innych ukrywających się zbrodniarzach wojennych – ich adresach, nowych tożsamościach – tego zawsze wysłuchiwalismy cierpliwie.

Otworzyłem torbę, wyjąłem notes i ołówek. Zapisałem wszystko, co Dorfman mi powiedział. Od czasu do czasu prosiłem, żeby zwolnił. Potok słów, napędzany jego strachem, płynął dla mnie za szybko, bym nadążył notować. Ołówek trzymałem w prawej ręce, pistolet w lewej.

Ciągle jednak pamiętałem, że czas płynie. Wiedziałem, że Frau Dorfman wkrótce znudzi się zakupami. Zamknąłem notes i włożyłem go z powrotem do torby. Nazista odetchnął głęboko, wierząc, że jego gehenna dobiega końca.

„Zatem, na czym skończyliśmy? – zapytałem. – Ach, tak. Objasniam ci, jak mam zamiar cię zabić”.

„Ty brudny Żydzie! Zawarliśmy układ!”.

„No to dzwoń po adwokata”.

Słyszając to, Dorfman rzucił się, by złapać broń. Ale się przeliczył.

Nadal trzymałem pistolet w lewej dłoni, dzięki czemu miałem wolną prawą rękę, którą wymierzyłem mu pospieszny, ale solidny prawy sierpowy w szczękę.

Przez chwilę bałem się, że go znokautowałem. To nie byłoby dobrze.

Dorfman leżał płasko na łóżku, rękami zasłaniał twarz – ale był przytomny.

„Jak już mówiłem, benzyna trafi prosto do twojego serca. Na szczęście mam dwie strzykawki. Po jednej dla każdego z was”.

Poruszył się na łóżku i jęknął.

„Przepraszam, nie usłyszałem”.

Jego głos był niewyraźny, krew bulgotała mu w ustach, ale Dorfman spróbował jeszcze raz: „Jak to dla każdego z nas?”.

„Dla ciebie i twojej żony, oczywiście. Poczekamy, aż wróci, i będziecie mogli umrzeć razem. Choć, jak wiesz dzięki doktorowi Heimowi, to może trochę potrwać”.

158

Zdobywając się na straszliwy wysiłek, Dorfman zwlókł się z łóżka i stanął. Oczy miał pełne strachu. Zauważyłem wilgotną plamę poszerzającą się na spodniach nazisty, zmoczył się.

Zaczął mnie błagać. Początkowo prosił o darowanie życia im obojgu, powtarzał, że da mi pieniądze, aż do chwili gdy zorientował się, że to daremne. Obiecał, że poda mi więcej nazwisk. Ostatecznie usłyszałem to, na co czekałem: „Weź mnie, ale nie ją. I pozwól mi umrzeć jak mężczyzna”.

Chciał się zastrzelić, ale odmówiłem: zbyt duży hałas. Zamiast tego otworzyłem torbę i wyciągnąłem długą linę. Od naszego informatora wiedziałem, że w hotelu są żyrandole, a sufity znajdują się wystarczająco wysoko.

Ja, Żyd, wręczyłem jemu, naziście, linę. Podstawiłem krzesło. Patrzy-

łem, jak Dorfman zrobił pętlę wokół szyi i przywiązał linę, i nie przestawałem patrzeć, gdy ją zaciskał. Nie odwróciłem wzroku, kiedy kopnął

krzesło: przypatrywałem się, jak ciałem szarpnęło. Nie okazywałem żadnych uczuć, podczas gdy porucznik SS Joschka Dorfman z IX Fortu dyszał, jego ciało drgało konwulsyjnie, a potem nogi kołysały się spokojnie, równie cieliste i bezwładne jak szynki przy ulicy Puerto.

Po cichu schowałem broń do kabury, zebrałem swoje rzeczy, w tym torbę zawierającą cały wachlarz nieużytej broni, między innymi zapaso-wy rewolwer – ale z pewnością nie było tam strzykawek ani benzyny – i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi pokoju 212.

Rozdział 25

–
Rebecca, boję się, że nie można tego inaczej wytłumaczyć. Nie dostrzegasz schematu?

Stali obok siebie, ich ramiona się stykały, pochyleni nad papierami rozłożonymi na stole.

–
Każdemu stemplowi w paszporcie odpowiada wycinek prasowy.

Popatrz.

Tom metodycznie ułożył wycinki przy odpowiednich paszportach.

Jeden pochodził z „Liberation” z końca 1952 roku. Przetłumaczył tekst na głos, z pewnym wahaniem.

—

„Detektywi z Les Halles szukają świadków, którzy mogliby im pomóc w poznaniu okoliczności śmierci nieznanego mężczyzny we wtorkowy wieczór, potrąconego przez szybko jadący samochód. Ofiara przeleciała nad poręczami schodów przy stacji metra. Policja twierdzi, że obrażenia wskazują na uderzenie z bardzo dużą prędkością...”. Schludnym pismem, które Tom rozpoznał, dopisano ołówkiem na marginesie

„Kapitan SS Fritz Kramer, Birkenau”.

No i jeszcze to: stempel w brytyjskim paszporcie Geralda Mertona potwierdzający, że wylądował na lotnisku Orly dwa dni wcześniej i wyjechał dzień po opisanym wypadku.

Następne było doniesienie prasowe o zwłokach wisielca znalezionych na przedmieściach Rio później tego samego roku. Tom sprawdził datę i znalazł to, czego się spodziewał – „Fernando Matutes” przybył do 160

Brazylii cztery dni przed tym powieszeniem i wyjechał tego samego dnia. Z paszportu wynikało, że z Brazylii udał się prosto do Argentyny, a tam dwa dni później doszło do tajemniczego wypadku samochodowego –

prasowa informacja o nim została pedantycznie umieszczona w pudle.

Wybuch w bloku mieszkalnym w Lille, nieudana operacja chirurgiczna w Monachium: za każdym razem Tom odnajdywał stempel w paszporcie, którego data była zbieżna. Natrafiał też na doniesienia o mężczyznach zabitych w wypadkach samochodowych, niektóre dzieliło jedynie kilka miesięcy. Jednego trupa znaleziono w rynsztoku. Notatka ołówkiem identyfikowała go jako „Hansa Stuckarta z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”. Relacja z 1953 roku zawierała opis konsternacji policji po spłonięciu żywcem kierowcy auta, które miało rzadko spotykaną usterkę układu kierowniczego; z tego powodu wóz pędził środkiem autostrady. Ręczny dopisek przy tym zgonie brzmiał: „Otto Betz, deportował Żydów z Francji”.

Teraz Rebecca sama oglądała wycinki, pośpiesznie je przekładając, jeden po drugim, data po dacie. Pierwszy zestaw zaczęty w 1945 roku kończył się w 1946, kolejne były już z 1952 roku, potem znowu nastę-

powiała przerwa, przed ostatnim, datowanym na wczesne lata sześćdziesiąte, z „Winnipeg Free Press”. Pisano w nim o śmierci emigranta z Estonii, który miał jakoby powiesić się we własnym domu. Policja nikogo nie podejrzewała. Notatka ołówkiem identyfikowała samobójcę jako

„Alexandra Laaka, komendanta obozu koncentracyjnego w Jägala w Estonii”. Tom bez słowa włożył

każdy wycinek do właściwego paszportu między strony, na których znajdował się odpowiadający im stempel.

Pod koniec tego zajęcia miał posegregowane trzy czwarte doniesień prasowych; została niewielka sterta z niemieckich gazet z 1945 roku.

—

Rebecca, jakie języki znał twój ojciec?

—

Było tego całkiem sporo – odpowiedziała cicho, patrząc na stół. —

Niemiecki, rosyjski, francuski, tak myślę. Może hiszpański.

161

Przypomniało mu się zdanie z notesu „Z siostrami chodziliśmy do szkoły, a ja przekonałem się, że mam dryg do nauki języków. Nauczycielka powiedziała, że mam do nich ucho”.

Tom nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Najpierw strzelanina w Nowym Jorku, a teraz to.

Rebecca opadła na krzesło, przygryzając tak mocno wargę, że Tom bał się, czy nie zacznie krwawić.

Z ociąganiem oderwał od niej wzrok.

—

Posłuchaj, Rebecca, to jest...

—

Nic nie mów.

—

Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy...

—

Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć.

Tom sprzątnął rzeczy ze stołu i odłożył je na miejsce.

W końcu Rebecca wstała, wzięła pudło ojca i ruszyła energicznym krokiem w stronę Juliana. Tom patrzył, jak oddawała mu je, a potem najwyraźniej poprosiła o przysługę. Julian zapisał jakiś numer, pocałował ją w policzek i pożegnał się. Tom pobiegł za nią, gdy wyszła na ulicę. Czuł się trochę jak

pies na smyczy.

–

Dokąd teraz idziemy?

–

Zobaczyć się z pewnym człowiekiem, który może znać prawdę o moim ojcu.

Rozdział 26

Sklepy spożywcze i bary szybkiej obsługi ustąpiły nagle miejsca po-

łyskowi szkła i stali. Kiedy przejeżdżali przez Gherkin, kolejny punkt na mapie Londynu, który wyrósł w czasie nieobecności Toma, Hackney zniknęło im z oczu, pojawiły się zaś błyszczące wysokościowce Canary Wharf.

– Ty prowadzisz – powiedziała Rebecca, kiedy odchodzili od Centrum Porad Prawnych w Kingsland. – Chcę pomyśleć. – I po prostu usiadła na miejscu pasażera, wyraz twarzy miała ponury, zdeterminowany.

Na rozprawie w sądzie Tom mógłby bez problemu dowieść, że dowody, jakie odkryli, były poszlakowe, że nie istniało stuprocentowe potwierdzenie faktu, jakoby coś łączyło Gerszona Matzkiną z którym-kolwiek z tych zabójstw, a co dopiero ze wszystkimi. Większość uznano za samobójstwa lub wypadki samochodowe; nic nie mogło niepodważalnie wykazać, że doszło do mistyfikacji. A nawet gdyby tak było, młody Gerszon mógł być wykorzystywany jako pomniejszy wspólnik, może nawet jedynie czujka. Nie istniał dowód na to, że był mordercą.

Mimo to oboje z Rebeccą nie wątpili, że Gerszon Matzkin był zabójcą. Kto inny, jak nie sprawca, trzymałby listę „trafień”, spis nazwisk zbrodniarzy wojennych, skreślanych w chwili ich śmierci? Na pewno natrafili na rejestr jego dokonań przechowywany z dumą. (Jak mówili przyjaciele Toma z kręgu adwokatów specjalizujących się w sprawach 163

karnych, podobne wykazy często gubiły przestępców: zwykła próżność zawodowa, potrzeba zebrania pochwał za wykonaną pracę. Tak czy inaczej, świadomie czy nie, chcieli, by ich wyczyny doceniano. Zwykły ludzki odruch).

W czasie jazdy poszczególne elementy zaczęły układać się Tomowi w całość. Oczywiście Gerszon zawsze wystrzegął się rozgłosu, odmawiał

wystąpień na seminariach, odrzucał zaproszenia do dokonania nagrań do dźwiękowych archiwów historycznych: nie mógł ryzykować upublicznienia historii własnego życia. Nic dziwnego, że ostatnie strony jego notatnika zostały wyrwane. Powodowany ludzkim pragnieniem ubrania w słowa własnego życia musiał przystąpić do opisanego go w całości – i wtedy zdał sobie sprawę, że to, co napisał, układa się w spowiedź seryjnego zabójcy. Tom potrafił wyobrazić sobie Gerszona, gdy ten uświadomił sobie własny błąd i gorączkowo wrywał obciążające go kartki, które darł lub palił.

Po raz kolejny pomyślał o zwłokach, które widział niewiele ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej w gabinecie pani patomorfolog, o tym, jak uderzył go widok muskulatury mężczyzny, który musiał ciężko pracować, by utrzymać podobną kondycję. Teraz jego siła nabierała sensu. Był ludzką bronią stworzoną do zemsty na tych, którzy niemal zmiotli z powierzchni ziemi cały jego naród. Zdecydował się na robienie czegoś, czego przeciętny Żyd prawie nigdy nie próbował: odpowiedział atakiem, kiedy nadeszła odpowiednia chwila. Jasne, że musiał być silny.

Konieczność zmieniła go w Samsona, który eliminował morderców Żydów. Ten mężczyzna stał się ich aniołem zemsty.

Zadzwoił telefon Toma.

—

Mam go w kieszeni – powiedział, nie spuszczać wzroku z drogi. – Wyjmij go, ale nie odbieraj. Powiedz tylko, kto to.

Rebecca sięgnęła i usiłowała rozpiąć mu marynarkę, czuł muśnięcie jej palców. Dzieliły ich warstwy ubrań, a mimo to Tom miał wrażenie, jakby przepłynął przez niego prąd elektryczny. Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

164

—

Numer zastrzeżony – powiedziała.

Wziął od niej telefon i nacisnął zielony klawisz.

—

Tom Byrne.

—

Jak leci, Tom?

—

Kto mówi?

—

Bardzo zadowolony klient, ot kto.

—

Och, pan Fantoni. Miło pana słyszeć. – Miał świadomość, że od razu zaczął wymawiać słowa wyraźniej, podkreślając swą angielskość.

To była tania sztuczka, ale dobrze płacącym klientom to najwyraźniej się podobało. – Tak się składa, że jestem akurat w Londynie. Zastanawiałem się, czy...

–

Niech pan posłucha, to potrwa minutkę. Jesteśmy naprawdę zadowoleni z pracy, którą pan dla nas wykonał: sprzedaż została sfinalizowana. Ojciec jest bardzo ukontentowany.

–

Cieszę się.

–

Tak kontent, że chce, żeby zajął się pan dla nas następną dużą sprawą. Podobna skala czasowa.

–

Cóż, moglibyśmy się spotkać w przyszłym tygodniu...

–

Za późno. To musi być załatwione od razu. Zarezerwuję panu bilet w pierwszej klasie na najbliższy lot tutaj.

–

Niestety...

–

Zapłacimy potrójną stawkę, panie Byrne. Mogę jedynie powiedzieć, że ojcu podoba się to, co pan robi.

Potrójna stawka. To byłoby ćwierć miliona dolarów za jakieś dwa tygodnie pracy. Zerknął na Rebecce, na jej profil, gdy patrzyła przed siebie w szybę. Ten krótki widok jej twarzy wystarczył, by poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

–

Wie pan co, panie Fantoni. Bardzo bym chciał, naprawdę bardzo.

Ale prowadzę sprawę tu, w Londynie, i nie mogę jej zostawić. Mam nadzieję...

Głos w słuchawce przybrał demonstracyjny włoski akcent:

–
Ja pro-pponuję, pan nie mo-że odmó-wwić! – Chwilę potem akcent zniknął, a ton stał się lodowaty. –
Pepełnia pan błąd, Byrne.

165

Tom poczuł, jak zaschło mu w gardle.

–
Przepraszam. To po prostu niesprzyjający czas.

–
Mam nadzieję, że nie będzie pan tego żałował.

–
Ja również mam taką nadzieję.

Tom oddał telefon Rebecce i łudził się, że nie słyszała pohukującego, bandyckiego głosu Fantoniego. W każdym razie nie dała po sobie nic poznać. Tom usiłował tymczasem wymazać z myśli Fantoniego, planował zadzwonić do niego po powrocie do Nowego Jorku, licząc, że uda mu się jakoś go udobruchać. Teraz musiał skupić się na tej sprawie. Czy zawartość pudła Mertona mogła wpłynąć w jakiś sposób na to, co będzie doradzał Henningowi? Czy ONZ może dowodzić, że mężczyzna, którego zastrzelił ochroniarz, sam bez wątpienia był zabójcą? Prawie niemożli-we. Do tamtych zgonów doszło pięćdziesiąt lat wcześniej; wszelkie szanse na zgromadzenie dowodów były zaprzepaszczone, no powiedzmy, niewielkie. Jeśli ludzie z ONZ próbowaliby umniejszać winę tej instytucji i wagę przestępstwa, jakim było zabicie nieuzbrojonego siedemdziesięciosiedmiolatka przez ogłaszanie, że w dawnych czasach, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był kimś w rodzaju zamachowca, musieliby się liczyć z prawdopodobnym rykoszetem. Dziennikarze domagaliby się niezbitych dowodów, czegoś więcej niż pudła zawierają-

cego kilka rozpadających się wycinków prasowych. Zresztą nie dotrwa-liby nawet do tego etapu. Zadawaliby raczej pytania, które nękały Toma od chwili, gdy zakurzone pudło zostało otwarte: co to wszystko ma wspólnego z Organizacją Narodów Zjednoczonych?

Od chwili odszyfrowania znalezionych w pudełku dokumentów, Tom próbował znaleźć odpowiedni. Czy Geralda Mertona sprowadziło na teren ONZ właśnie ostatnie zadanie, jeszcze jeden nazista do zabicia?

Dziesiątki lat wcześniej sekretarz generalny z Austrii, Kurt Waldheim, musiał się mocno tłumaczyć z zatajenia służby w Wehrmachcie, z umniejszania swojej wiedzy o nazistowskich zbrodniach wojennych –

był to skandal nadal wspominany z dreszczem grozy przez co starszych biurokratów z ONZ. Ale to

działo się w latach osiemdziesiątych. Teraz 166

nie mogło być mowy o kimś, kto pasowałby do tego schematu, przede wszystkim ze względu na wiek. Pomyślał o nowym sekretarzu generalnym Paavo Virenie. Dobiegał siedemdziesiątki i w czasie wojny musiał

być jeszcze szkrabem. Poza tym pochodził z Finlandii, tam nie działali naziści. Tom niejasno przypominał sobie lekturę życiorysu sekretarza generalnego tuż po objęciu przez niego stanowiska, zwrócił wtedy uwagę na jego długoletnią pracę jako duchownego, gdzieś tam w zabitej dechami prowincjonalnej Finlandii, nawołującego do tolerancji i pokoju. Przerzucił się myślami na resztę personelu ONZ, ale żadne nazwisko z tej grupy wiekowej nie przychodziło mu do głowy.

Z drugiej strony był to tydzień, kiedy odbywało się Zgromadzenie Ogólne ONZ: w gmachu aż kłębiło się od przedstawicieli wszystkich państw, które przysłały delegacje...

Znaleźli miejsce do parkowania, Rebecca szukała drobnych do par-komatu, a on odszedł na bok i wybrał numer Henninga. Byli teraz w Canary Wharf, rejonie, którego Tom nigdy nie widział. W czasach, kiedy mieszkał w Londynie, Docklands były w większej mierze bezludne i puste, nieużytki upstrzone mieszkaniem o wyśrubowanych cenach, gdzie jeździły tylko przypominające zabawki automatycznie sterowane pociągi. Ludzie mówili o tym miejscu jak o rodzaju Syberii, bardzo odległym od gwaru prawdziwego Londynu. Teraz wyglądało na to, że wszystko się zmieniło. Wieżowce, kiedyś puste, zapełniały biura, postawiono nowe, wyższe budynki, wznoszące się niczym duchy z bagien.

Zbudowano też na tym terenie kilka wysokościowców, których Londy-nowi zawsze brakowało. I płynęły stamtąd pieniądze.

—

Munchau.

—

Cześć, Henning, mówi Tom.

—

Albo ją przeleciałeś, albo właśnie założyła sprawę w sądzie.

Więc jak?

—

Ani jedno, ani drugie.

—

Okay, poddaję się.

167

—
Nie będę cię zanudzał szczegółami, Henning, ale mam informację, którą mógłbyś wykorzystać.

—
Zanudzaj mnie.

Tom zerknął na Rebeccę, która skończyła uiszczać opłatę i kładła właśnie paragon za przednią szybę.

—
W tej chwili to tylko przeczucie, nic więcej.

—
Naprawdę nie mam czasu na przeczucia, kolego. Bo muszę powtarzać sobie Zgromadzenie Ogólne, Zgromadzenie Ogólne, Zgromadzenie Ogólne.

—
O tym też myślę. Czy mógłbyś kazać komuś z biura radcy prawnego, żeby zrobił listę wszystkich oficjalnych delegatów na Zgromadzenie Ogólne znajdujących się już w Nowym Jorku albo mających przyjechać w tym tygodniu, którzy mają siedemdziesiąt i więcej lat?

—
Nadal trwamy przy teorii zabójcy?

Tom milczał przez chwilę.

—
Trochę trudno byłoby mi to wytłumaczyć w tej chwili.

—
Ach, ona jest z tobą! Dlaczego nie powiedziałeś? Czy naprawdę taka z niej niewiarygodnie wspaniała kobieta?

—
Dzięki, Henning, doceniam to.

—
W porządku, zobaczę, co da się zrobić. Siedemdziesiąt? To jest granica?

Tom ponownie dokonał obliczeń: nawet siedemdziesięciolatek wydawał się całkiem młody, każdy poniżej tego wieku byłby wtedy niemowlęciem. Mimo to lepiej grzeszyć nadmiarem ostrożności.

—
Tak, siedemdziesiąt. Głowy państw, ministrowie spraw zagranicznych, ambasadorzy, to oczywiste. Ale też wszyscy inni: sekretarze, tłumacze, wszyscy, którzy w tym tygodniu biorą w tym udział.

—
A co z całym personelem ONZ, skoro już o tym mowa?

—
To właściwie nie jest zły pomysł. Zaczynajcie od...

—
Tom, żartowałem.

Rozłączył się i pobiegł, żeby dogonić Rebeccę idącą już w kierunku 168

biura firmy Roderick Jones & Partners, jednej z najszacowniejszych kancelarii prawniczych w City, która przeniosła siedzibę do Canary Wharf pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Wśród starszych wspólników był w niej emerytowany niedawno ojciec Juliana Goldmana, Henry. Ale Julian powiedział im, przewracając oczami, że papa Goldman nie potrafi zerwać z firmą i chodzi do pracy co najmniej dwa razy w tygodniu, formalnie jako „konsultant” swoich kolegów, w sumie zaś dlatego, że nie ma nic innego do roboty.

W chwili gdy weszli do holu, Tom uśmiechnął się do siebie: ten widok dawał mu w jednej chwili podstawę do oceny młodego człowieka, którego właśnie zostawili w Hackney. Wszystko ze szkła i stali, było tam przestronne atrium, wystarczająco wysokie, by pomieścić naprawdę duże, choć może odrobinę absurdalne drzewo. Marmurowa posadzka zajmowała całe akry, a za białym biurkiem, szerokim, niczym trybuna Politbiura, siedziały aż trzy recepcjonistki, a każda miała na głowie zestaw ze słuchawkami i mikrofonem. Wręcz książkowy przykład paradok-su w relacjach z klientami: najłatwiejszym sposobem olśnienia klientów jest pokazanie, jak rozrzutnie trwoni się ich pieniądze.

Jaki inny wybór pozostawał biednemu Julianowi Goldmanowi? Urodzony na samym szczycie góry, dokąd mógł pójść, jak nie na dół? Najwyraźniej odwrócił się plecami do majątku tatusia i ruszył etyczną drogą, otwierając lichutką praktykę adwokacką w samym środku Hackney, przy ulicy, która prawdopodobnie leży dokładnie w cieniu firmowego pałacu jego ojca. Kariera Juliana będzie przyganą dla Henry'ego Goldmana; syn stał się prawnikiem kierującym się sumieniem, a nie zyskiem. Tom uśmiechnął się na samą myśl o przewidywalności takiego scenariusza.

Podczas gdy ludzie mający pochodzenie podobne do Toma mozolnie pną się po drabinie kariery, by zyskać prestiż, tacy jak Julian Goldman pośpiesznie z niej zjeżdżają.

Kiedy wyszli z windy, Henry Goldman już na nich czekał. Rozłożył

169

ramiona, by objąć Rebeccę, ale zrobił to niezręcznie, jak ktoś trzymający nowomodne urządzenie, którego obsługi jeszcze się nie nauczył. Uści-
snął Tomowi rękę, a potem wprowadził ich do sali konferencyjnej, bardziej luksusowo umeblowanej niż jakiegokolwiek miejsce spotkań w siedzibie ONZ.

–

Rebecca, tak mi się przykro zrobiło, kiedy o tym usłyszałem.

Zresztą jak nam wszystkim.

Rebecca skinęła głową.

–

Tato zawsze powtarzał, że pański ojciec był jego najlepszym przyjacielem.

–

To prawda. Myślę, że ojciec uważał Geralda za kogoś w rodzaju młodszego brata. Może nawet drugiego syna.

–

Zakładam, że mówił panu różne rzeczy. Jako swojemu prawnikowi.

Słyszac to, Goldman wyciągnął przed siebie nogi i wygładził ręką krawat. Tom rozpoznał barwy Klubu Garricka.

–

Mówisz, że przyszlście tutaj z kancelarii Juliana? Wiesz, że kluczowe – Goldman przerwał na chwilę – materiały są teraz właśnie u niego.

–

Wiem – odpowiedziała Rebecca. – Właśnie je obejrzałam.

–

Rozumiem.

Prawnik wstał i ruszył w kierunku okna. Dzień się kończył, Canary Wharf zaczynało pobłyskiwać w zmierzchu.

—
Nie mogę powiedzieć, żeby taki obrót wydarzeń zupełnie mnie zaskoczył. Niezależnie od tego, co mówimy naszym klientom, prosta prawda brzmi: niczego nie da się utrzymać na zawsze w tajemnicy. Mam rację, panie Byrne?

Tom nie przysłuchiwał się ich rozmowie. Nie przyzwyczyił się jeszcze do skrótowego angielskiego akcentu, rodem z filmów Kennetha More'a.

To był syn człowieka ocalałego z Holokaustu, bojownika podziemia i partyzanta z lasu; ten nadęty nudziarz w krawacie Klubu Garricka? Tom 170

powinien się już do tego przyzwyczyać, w końcu ostatnie dziesięć lat spędził w jedynym w swoim rodzaju mieście imigrantów, ale Goldman wydał mu się ekstremalnym przypadkiem. Może to właśnie ludzie mają na myśli, kiedy mówią o stawaniu się „bardziej angielskimi od Anglików”.

Rebecca nie dała Tomowi czasu na odpowiedź.

—
Czy może nam pan powiedzieć, co pan wie?

Tom musiał zwalczyć potrzebę zaczerpnięcia głębokiego oddechu.

Co za brak podstawowego wyczucia: nikt z pewnością nie wziąłby Rebecki Merton za prawniczkę. Najpierw trzeba gościa trochę rozgrzać.

—
Wiedziałem, że pewnego dnia do tego dojdzie. Ale, z określonych powodów, zawsze uważałem, że Julian odkryje to pierwszy i poprosi mnie o wyjaśnienia.

—
Czy może mi pan powiedzieć...

Tom zacisnął zęby ze strachu, że Rebecca spłoszy Goldmana. Ale nie musiał się tego bać: Henry Goldman po prostu ją zagadywał.

—
Oczywiście mój ojciec o wszystkim wiedział i dopuścił mnie do tajemnicy dotyczącej kilku

kluczowych aspektów. Nie mogę zaprzeczyć, że stało się to źródłem ogromnych napięć pomiędzy nami, zwłaszcza gdy byłem młodym człowiekiem dopiero co uczącym się prawa na Cambridge i później, gdy odbywałem aplikanturę i tak dalej. Wyobrażałem sobie, że czekają mnie podobne kłótnie z Julianem.

—

A czy Julian przyszedł z tym kiedykolwiek do pana? – Tom zadał swoje pierwsze pytanie.

—

Nie. Co nasuwa mi przypuszczenie, że nigdy tego nie rozpracował. Ale w końcu nie chodzi tu o wielkie twierdzenie Fermata, prawda, panie Byrne? Skoro pudło zostało otwarte, wystarczy dodać dwa do dwóch, żeby uzyskać cztery.

—

Może Julian nie otworzył tego pudła. – Tom nie lubił takich gadek. Ale klubowy krawat przekonał go ostatecznie, że człowiek taki jak Henry Goldman rozmawiałby bardziej otwarcie z białym mężczyzną, kolegą prawnikiem, niż z niemężczyzną, nieprawikiem. Dla ludzi 171

pokroju Goldmana przypominało to komunikowanie się z innym gatunkiem. Fakt, że Rebecca była Żydówką, podczas gdy on, Tom, nie był

Żydem, chyba nie sprawiał żadnej różnicy. Krawat sugerował, że Goldman nie był takim rodzajem Żyda, który by przywiązywał do tego wagę.

Goldman usiadł przy stole i popatrzył im prosto w oczy.

—

Trudno będzie mi o tym mówić bezstronnie, a jestem pewny, że chodzi wam o niekoloryzowaną wersję. I z tego powodu chyba najlepiej będzie, jeśli przedstawię – bez zbytniego komentarza z mojej strony –

argumenty, na których opierał się mój ojciec.

—

Prawdę powiedziawszy nawet kilka informacji mogłoby okazać się ogromnie pomocnych – powiedział Tom tonem wyszukanej uprzejmości, jaki zwykle przybierał, gdy rozmawiał z członkami angielskiego establishmentu.

—

Bardzo dobrze. – Goldman pochylał się do przodu. – Jak już wiecie, ojciec Rebecki był zaangażowany w... – Szukał odpowiedniego sło-wa – ...usuwanie pewnych ludzi, powiązanych z wydarzeniami z czasów drugiej wojny światowej.

Tom spostrzegł, że noga Rebecki ustawicznie podryguje.

–

Cóż, nie robił tego sam. Należał do organizacji. Teraz nazywamy ich ludźmi, którzy przeżyli Holokaust, choć w tamtych czasach nikt nie używał takiego określenia. To byli mężczyźni i kilka kobiet, którzy widzieli niewyobrażalny horror. Niewyobrażalny. – Goldman pokiwał

przez chwilę głową. – Na początku, w ostatnich tygodniach wojny i tuż po jej zakończeniu, było ich jedynie pięćdziesięcioro, wspomaganych może przez dwieście osób z zewnątrz. Niemal wszyscy byli w jakiś sposób powiązani z ruchem oporu.

Oczami wyobraźni Tom zobaczył młodego Gerszona Matzkiną, podającego się za Vitalisa Olekasa, wskakującego do pociągów i wyskakującego z nich, kiedy przemierzał okupowaną Europę, oszukiwał śmierć i rozpaczliwie pragnął ostrzec innych, tak by mogli przeżyć. „Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery”.

172

–

Byli bojownikami z getta, w ich gronie znajdował się też mój ojciec. I jak przypuszczam ich przedsięwzięcie tam miało swoje korzenie.

Wcześniej usiłowali zabijać nazistów i zabijali nazistów teraz. Churchill i Roosevelt ogłosili koniec wojny, ale „ich wojna się nie skończyła”. Tak mawiał mój ojciec. Hitler wydał Żydom wojnę na długo przed wypowiedzeniem wojny Wielkiej Brytanii, Ameryce czy Rosji. Żydzi mieli własne rachunki do wyrównania. Ale chodziło też o coś więcej. Więcej niż my... – Miał na myśli Toma i siebie, kolegów prawników –

...moglibyśmy określić jako motyw. Żeby to zrozumieć, trzeba zacząć od pierwszych zasad.

Tom nie musiał nawet patrzeć na Rebecę, by wiedzieć, że wierci się w fotelu. On też to czuł. Goldman nie liczył się zupełnie z tym, że im się śpieszyło. Nie powiedzieli mu o włamaniu z poprzedniego dnia z obawy, że nabierze wody w usta. Nie stałby się emerytowanym starszym wspólnikiem Rodericka Jonesa z gabinetem o oknach z widokiem na Docklands, gdyby pakował się w poważne tarapaty. Musieli uzbroić się w cierpliwość.

–

Powinniście pamiętać, że zbrojny opór Żydów wobec nazistów był niemożliwy. – Goldman uniósł dłoń w geście protestu, spodziewając się, że będą zaprzeczali. – Wiem, wiem. Istniał ruch oporu. Mój ojciec i twój ojciec, Rebecco, do niego należeli. Niemniej z logicznego punktu widzenia trzeba

zacząć od tego, że zbrojny opór Żydów był niemożliwy.

Musicie to zrozumieć, żeby pojąć cokolwiek. Jak wiecie, kontrola nazistów była absolutna. Nawet najmniejszy przejaw buntu był karany błyskawicznie i z całą surowością. Ośmieliłeś się podnieść rękę na nazistę, a oni zabijali ciebie, twoją rodzinę i całą twoją społeczność, bez żadnych skrupułów. Za jednego swojego zabijali tysiące. Ale nie to jest najważ-

niejsze.

Rebecca bębniła teraz palcami po podłokietniku fotela.

–

Żydzi zupełnie nie mieli warunków, żeby stworzyć skuteczne podziemie. Nie mieli broni ani żadnej tradycji walki, wojska, koszarów, arsenałów. Polacy i Francuzi tworzyli suwerenne narody, posiadające 173

własne armie, dysponowali zapleczem – składami broni i tak dalej, nawet na głębokiej prowincji – mogli przeprowadzić nabór do wojska, kiedy znaleźli się pod okupacją. Żydzi nie. Ale przede wszystkim brakowało im przyjaciół. Nikt nie chciał im pomóc. Jestem pewny, że znacie te opowieści o kilometrach, które Żydzi musieli przejść, łapówkach, które musieli płacić, żeby Polacy, Litwini albo Ukraińcy sprzedali im choćby jeden pistolet. A jeśli kiedykolwiek udało im się wyrwać, uciec nazistom, ich los był żałosny, gdy trafiali do jakiegokolwiek innego ruchu oporu.

Polacy albo Litwini, ale też wszyscy inni nienawidzili Żydów tak bardzo, że aż się palili, żeby wykończyć każdego, komu udało się umknąć nazistom na tyle głupim, że mu na to pozwolili. Jak mawiał mój zmarły ojciec, uwielbiający takie powiedzonka: „Wpadaliśmy z deszczu pod ryn-nę”.

Tom niemal czuł, jak Rebecca kręci się w fotelu, marząc rozpaczliwie o tym, żeby Goldman przeszedł do rzeczy.

–

Czy mogłabym...

Ponownie uniósł dłoń.

–

Wkrótce się przekonacie, dokąd to prowadzi. – Odchrząknął. –

Dodajcie do tego fakt, że naziści tak naprawdę nie obnosili się ze swoim planem. Ukrywali go za eufemizmem „przesiedleń na wschód” i tak dalej. A Żydzi oczywiście się na to nabierali. „Nigdy nie lekceważ zdolności człowieka do wyobrażenia sobie własnej destrukcji”. Tak brzmiały słowa członka tej grupy. Rabina zresztą. O tak, był tam rabin. I poeta też.

Kilku dziennikarzy. Rolnicy, kupcy, lekarze. Byli bardzo różnorodną paczką. Ten rabin w każdym

razie opowiadał o autobusie Hitlera. –

Goldman wychylił się do przodu. – Słyszeliście o autobusie Hitlera, prawda? O tym, że planował eksterminację wszystkich Żydów co do jednego poza dwanaściorciem? Tych dwanaściorcio miało ocaleć jako gatunek. Ludzkie eksponaty. Czekają ich podróże po świecie w specjalnie wyposażonym autobusie, z ruchomą wystawą „Wymarli ludzie żydowskiego pochodzenia”. Taki był plan Hitlera. A wiecie, co ów 174

rabin powiadał? „Każdy Żyd w Europie wierzył, że będzie jednym z dwunastki, która dostanie się do tego autobusu”. Nasi ojcowie, Rebecco, uważali, że Żydzi, z powodu tego wszystkiego, co przed chwilą powiedziałem, przyjęli swój los zbyt biernie. Kilka jednostek odpowiedzia-

ło walką, ale szkody, jakie wyrządzali, przypominały ukąszenie komara.

Przywódcy ruchu oporu byli zaledwie dziećmi. Nawet najstarsi rangą dowódcy ledwie co przekroczyli dwudziestkę. Tak niewiele mogli zrobić. Znaczący powiedzenie: „Jak owce na rzeź”? Ułożył je poeta z ich grupy. Mówił, że Żydzi szli do komór gazowych jak owce na rzeź. Chodziło o to, że tych trzystu ludzi nie mogło znieść myśli o unicestwianiu żydowskiego życia tak łatwo, bezkarnie. Chcieli dać światu swoją lekcję: ogłosić, że zabicie Żyda ma swoją cenę. Że taka zbrodnia zostanie pomszczona. Zagłębili się w historii i znaleźli starożytne ślubowanie: *Dahm Y'Israel Nokeam* „Krew Izraela się zemści”. Wzięli pierwsze litery hebrajskich wyrazów tego hasła, by utworzyć inne słowo, DIN. Samo to słowo oznacza „sąd” i stało się nazwą tej grupy. Nasi ojcowie do niej należeli. I wierzę, Rebecco, że twój ojciec był jej ostatnim członkiem.

Tom myślał bardzo intensywnie o wszystkim, co widział: o paszportach, wycinkach prasowych, dowodach w Nowym Jorku. Czy była jakaś wskazówka prowadząca do słowa DIN, czyżby coś przeoczył?

– Na początku sprawy przedstawiały się bardzo prosto. W połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego alianci rządzą Berlinem i DIN

mógł działać stosunkowo swobodnie. Pozyskali informatorów wśród brytyjskich i amerykańskich urzędników, zwłaszcza z biur prokuratorskich, wynajdowali ludzi aż nazbyt chętnie i z siebie tylko wiadomych powodów udzielających informacji o nazistach, którzy wtopili się w cywilne życie. Tak czy inaczej DIN zdobył listę celów. Potem, wykorzystując wszelkie stare techniki z podziemia w getcie, zdobyli potrzebne mundury i dowody tożsamości. Mój ojciec był w tym dobry: szedł na przykład za żandarmem, pozbawiał go przytomności jednym ciosem i okradał ze wszystkiego: zegarka, portfela, paska. Żołnierz dochodził do 175

siebie kilka godzin później, całkiem nagi, zupełnie nieświadom tego, że jedyną rzeczą, na jakiej zależało napastnikowi, był jego mundur i wojskowy identyfikator. Mam jednak powody przypuszczać, że to członki-nie DIN wyspecjalizowały się w tego rodzaju operacjach – choć nie używały siły, żeby zdjąć mundury z żandarmów.

Przy tych słowach Goldman przelotnie się uśmiechnął. Wcześniejsze poruszenie i pompatyczność zniknęły; jego twarz wydawała się pochmurna, zgaszona od wewnątrz. Im więcej opowiadał, tym

większy ciężar zdawał się go przytłaczać.

—

Udawanie żandarmerii wojskowej bardzo ułatwiało zadanie, mogli podchodzić wprost do celu i „aresztować” go, ot tak, na bezczelnego.

Dokonywali też uprowadzeń. Mogli robić to wszystko, bo członkowie DIN nosili mundury alianckich sił porządkowych – a alianci wtedy rzą-

dzili. Potem działali jako sąd, czytali na głos listę zarzutów, wymieniali przestępstwa więźnia. Tylko wtedy mogli przedstawiać się w taki sposób: „Działamy w imieniu Żydów i przyszliśmy wymierzyć sprawiedliwość”. Szli później na jakieś odludzie, żeby ukryć ciało. Dzięki temu śledztwo w sprawie zaginięcia ofiary trwało dłużej, dając członkom DIN

czas na ucieczkę albo ponowne uderzenie. Idealnie było wtedy, gdy denat był po znalezieniu uznawany za samobójcę.

Tom ponownie przypomniał sobie stertę wycinków, które widział te-go popołudnia w tekturowym pudle: o większości zabitych pisano jako o samobójcach lub ofiarach wypadków drogowych.

—

Takie podejście było bardzo korzystne – kontynuował Goldman

– bo gwarantowało pewność, że żaden były nazista nie dowie się o istnieniu grupy aktywnie ich poszukującej, nie będzie się miał na baczno-

ści. Ale musicie zdawać sobie sprawę, że sposób, w jaki członkowie DIN

postrzegali rzeczy, miał też niekorzystne skutki. Chcieli bowiem, by naziści wiedzieli, że Żydzi szukają zemsty. Chcieli, żeby naziści bali się Żydów. Muszę tu podkreślić, że ścigali tylko tych, którzy przyłożyli 176

rękę do „ostatecznego rozwiązania”. Esesmanów służących w obozach koncentracyjnych, tych, którzy służyli w lotnych oddziałach zabójców, w Einsatzgruppen. Słyszał pan o nich, panie Byrne?

Tom skinął głową, przypominając sobie historię z notesu, tę samą opowieść powtarzaną w niezliczonych książkach historycznych: doły, strzelanie, sterty ciał nadal drgających nawet po śmierci.

—

Zaraz, zaraz, pomiąłem zdaje się opowiadanie o samych egzekucjach, jak ojciec je nazywał. Za chwilę naprawię ten błąd. – Goldman westchnął. – Ojciec wspominał o wszelkiego rodzaju bardzo oryginalnych metodach. Kara odpowiednia do winy była jednym z podejść: nazista, który brał udział w zagazowywaniu, mógł zostać zamknięty w gara-

żu, odpowiednio uszczelnionym, z samochodem o włączonym silniku.

Tlenek węgla to kiepski substytut cyklonu B, ale przynajmniej zachowa-no podobieństwo. Słyszałem o innej metodzie, także związanej z gara-

żem. Zmuszano cel, by stanął na dachu swojego auta i zakładano mu wtedy na szyję pętlę z liny zamocowanej do sufitu. Potem jeden z członków DIN odjeżdżał samochodem, zostawiając dyndającą ofiarę. Mimo wszystko nadal nie wiem, czy wierzyć w te opowieści. Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że członkowie DIN woleli zabijać gołymi rękami – dusić – niewykluczone też, że uśmiercali nożem.

–
Panie Goldman. – Rebecca weszła mu w słowo. – To, co widzieliśmy dzisiaj, nie ma nic wspólnego z czasami wojny. Rzeczy, które mój ojciec robił, wydarzyły się znacznie później, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Henry Goldman opadł na fotel, powietrze uszło z niego jak z przebi-tej opony.

–
Przepraszam. Rozgadałem się.

–
Nie, wcale nie, ale ja tylko...

–
Widzisz, oczywiście wiedziałem, że taki dzień nadejdzie, że kiedyś będę musiał opowiedzieć tę historię. Ale człowiek nigdy nie jest przygotowany na coś takiego. – Zmusił się do uśmiechu, ale nie wyrażał

177

nim radości, a jedynie powściągliwość, bo tłumił w sobie ogrom uczuć. –

Nie podzieliłem się nią z żoną ani synami. Nosiłem ją w sobie, jak wi-dać, wiele, wiele lat. Nie potrafię jej opowiedzieć własnymi słowami.

Powtarzam to, co sam usłyszałem.

Tom postanowił zadziałać dyplomatycznie.

–
Nie ma żadnego problemu ze sposobem pańskiego opowiadania, panie Goldman. Nie ma powodów

do pośpiechu.

Goldman podziękował mu milcząco skinieniem głowy, odchrząknął i zaczął mówić dalej.

—

Zabójstwa, które opisałem, były znane jako „pierwszy sezon ło-wiecki”. Wynikały z silnego przekonania, że nie dojdzie do żadnego innego wymierzenia sprawiedliwości.

Alianci rzecz jasna obiecywali, że się tym zajmą, wygłaszali świetne przemówienia o tym, jak postawią przed sądem wszystkich zbrodniarzy wojennych, co do jednego. Ale jeszcze zanim wojna się skończyła, o tych obietnicach jakby zapomniano. Wkrótce pojawiła się sugestia, że ścigani będą jedynie decydenci Trzeciej Rzeszy. Temu właśnie zawdzię-

czamy wspaniałe przedstawienie w Norymberdze, gdzie postawiono zarzuty w sumie dwudziestu czterem osobom. Dwudziestu czterem!

W opowiadaniu Goldmana było coś dziwnego. Nagle Tom zdał sobie sprawę, że jest świadkiem bruchomówstwa. Adwokat przytaczał argumenty, nawet naśladował ton dawno zmarłego ojca. Relacjonował tę historię tak, jak mu ją opowiedziano. Przetrwała w jego mózgu przez prawie pięćdziesiąt lat, niczym na taśmie magnetofonowej.

—

Proces norymberski budził odrazę członków DIN, to udawanie, że tylko dwa tuziny nazistów odpowiada za masową, międzynarodową zbrodnię. Na własne oczy widzieli ludzi, którzy dla zabawy chłostali Żydów na śmierć, którzy zaganiali ich do pociągów i rozstrzeliwali, a potem wrzucali do dołów, ludzi, którzy wpychali ich do komór gazowych, a później palili ich ciała w piecach krematoryjnych – oni wszyscy 178

byli tego świadkami i wiedzieli, że nie była to robota dwudziestu czterech ludzi. Dokonały tego dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, może nawet miliony!

Żadne z nich nie przerywało teraz Goldmanowi, słowa płynęły z niego potokiem.

—

W miarę jak ujawniano zbrodnie, kiedy ludzie oglądali na kroni-kach filmowych całe stosy nagich ciał, obywatele Zachodu zaczęli domagać się sprawiedliwości. Rosjanie rozstrzeliwali nazistów tysiącami; Brytyjczycy i Amerykanie spodziewali się czegoś podobnego. Alianci zrozumieli, że muszą zrobić coś więcej. Pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku uwięzili prawie pół miliona Niemców, by wytoczyć im procesy za bezpośredni udział w ludobójstwie. Kolejne trzy i pół miliona znalazło się na liście osób, którym zarzucono „znaczny udział w zbrodni”. Pomyślcie tylko o tej liczbie: trzy i pół miliona. Ale Komisja Zbrodni Wojennych Organizacji Narodów Zjednoczonych skompletowała inną listę, na której znaleźli się ludzie podlegający auto-matycznemu aresztowaniu jak byli członkowie partii nazistowskiej – w samej tylko amerykańskiej strefie okupacyjnej było to w sumie ponad trzynaście milionów ludzi.

—
Skończyłoby się na tym, że uwięziliby całą męską część popula-cji – powiedział Tom cicho, pod wpływem własnych wspomnień. Ale Goldman słuchał tylko jednego głosu, tego, który rozlegał się w jego głowie i należał do ojca.

—
Ostatecznie wszystko wskazywało na to, że sprawiedliwość nareszcie zostanie wymierzona. I nie oni będą musieli się tym zajmować.

Odbyli poważną dyskusję, w której wyniku postanowili, że skoro sprawiedliwości naprawdę ma się stać zadość, mogą porzucić role sędziów, ławy przysięgłych i katów. Postanowili odłożyć broń, rozejść się i pójść każdy swoją drogą, zacząć życie na własny rachunek. Mój ojciec i twój ojciec przyjechali do Londynu. Inni pojechali do Ameryki, wielu do Izraela. Uznali sprawę za zakończoną. Ale taka nie była.

Przerwał na chwilę, jakby coś sobie przypominał.

179

— Jest pan dobry w statystyce, panie Byrne? – Nie czekał jednak na odpowiedź. – Ja jestem. Przypominam starannie prowadzoną tabelę liczb-ową. Ojciec był taki sam: „Jedna liczba może ci powiedzieć więcej niż tysiąc słów”. Tak by powiedział. W książce Raula Hilberga jest tabela.

To jeden z największych historyków Holokaustu. Wiele mówiąca tabela.

Ojciec często na nią patrzył. Przytyka się palec do kolumny liczb, przesuwa nim w dół i prosię bardzo: wie się wszystko, co chciało się wiedzieć. Zaczyna się od *Fragebogen*, „zarejestrowanych”, owych trzynastu milionów lub więcej, którzy należeli do nazistowskiego aparatu. Potem przesuwa się palec o jedną linijkę niżej, do sumy ludzi, którym postawiono zarzuty. I ta liczba, zwróćcie uwagę, jest już znacznie mniejsza: jedynie trzy miliony czterysta czterdzieści pięć tysięcy sto, jeśli dobrze pamiętam. Liczba w następnym wierszu odnosi się do tych, którym postawiono zarzuty, ale których wypuszczono bez procesu. Amnestia po-wszechna, rozumiecie? Ta liczba jest duża: dwa miliony czterysta osiemdziesiąt tysięcy siedemset. Tak po prostu sobie odeszli. Gdybyście mieli głowę do liczenia w myślach, jak ja, obliczylibyście, że różnica między tymi dwoma wielkościami to tylko niecały milion. Tylu nazistów zostało do dyspozycji prokuratorów. Jak zostali ukarani? Zajrzyjcie do tabeli. Dokładnie pięćset sześćdziesiąt dziewięć tysięcy sześciuset otrzymało karę grzywny. Ich kartoteki zostały oczyszczone za gotówkę.

Zejdźmy do następnego wiersza, a przekonamy się, że kolejne sto dwadzieścia cztery tysiące czterystu musiało cierpieć z powodu restrykcji dotyczących zatrudnienia. Co za nieszczęście, bycie nazistowskim masowym mordercą oznaczało natychmiastową dyskwalifikację przy ubie-ganiu się o określoną pracę. Ta sama reguła dotyczyła stanowisk pu-blicznych. Dwudziestu trzem tysiącom stu nazistom powiedziano, że ich kariery polityczne zostają wstrzymane. Jeżeli pamięć mnie nie zawodzi,

mienie skonfiskowano dwudziestu pięciu tysiącom dziewięciuset osobom. Powiedziałem „mienie”, ale chodziło tu o majątki zgromadzone w raczej nietypowy sposób. Ci uznani za winnych patrzyli, jak sąsiedzi są 180

wyciągani z domów i wywożeni do obozów, ronili łzę, a potem plądrowali ich opuszczone mieszkania.

Oczy Goldmanowi lśniły.

– Następnie możemy dowiedzieć się z tabeli o „specjalnych pracach bez osadzenia w więzieniu”: przypuszczam, że dzisiaj nazwaliby-

śmy to pracami społecznymi. Trzydzieści tysięcy pięćset osób dostało taki wyrok. A dziewięć tysięcy sześćset wysłano do obozów pracy. Jeśli zsumujecie to wszystko, zostaje około czterdziestu tysięcy nazistowskich zbrodniarzy wojennych, którzy poszli do więzienia z różnymi wyrokami, do dziesięciu lat. Ale teraz spójrzmy na ostatnią liczbę w tabeli, najważniejszą ze wszystkich: „skazani nadal odbywający karę”. –

Przerwał na chwilę, jakby spodziewał się werbli. – Trzystu. Pamiętajcie o jednym, te dane zostały opracowane w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. Ta niewielka tablica mówi nam, że już po kilku latach od zakończenia wojny mniej niż trzystu nazistów nadal siedziało za kratkami. Dostrzega pan, ku czemu to zmierza, panie Byrne? Z ponad trzynastu milionów ludzi uznanych za współwinnych horroru Trzeciej Rzeszy, mamy trzy wyroki śmierci w Norymberdze i trzysta osób w więzieniach. To wszystko. A kiedy Niemcy Zachodnie przejęły ściganie zbrodniarzy wojennych, wcale nie były lepsze. Skazano tam na przykład Wilhelma Greiffenbergera za udział w zabójstwie ośmiu tysięcy stu ludzi

– na trzy lata więzienia i trzy lata „utruty praw obywatelskich”, mimo że sąd dysponował dowodami o jego roli w zamordowaniu ośmiu tysięcy stu ludzi. Mógłbym przez tydzień wymieniać podobne przypadki i nadal nie byłby to koniec listy. Niemal każdy skazany rozpływał się w niemieckim społeczeństwie. Opuszczali więzienia wolni, jakby nie ciążyła na nich kara większa od mandatu za złe parkowanie. W swojej arogancji i pewności, że nie będzie żadnych dalszych konsekwencji, nawet nie ukrywali tego, co zrobili. Ich nazwiska były w książkach telefonicznych.

I jest to, widzicie, mała śmierdząca tajemnica drugiej wojny światowej.

181

Raz po raz powtarza się nam, że próba eksterminacji Żydów była największą zbrodnią w historii ludzkości – a mimo to mało kogo za nią ukarano. Winnym uszło to po prostu na sucho. To była zbrodnia, której nie pomszczono, ludobójstwo, za które nikt nie odpowiedział.

W końcu Goldman opadł ciężko na oparcie fotela. Robił wrażenie wyczerpanego, pustego w środku, niczym medium, które opuścił duch.

Rebecca i Tom siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Ale to ona odezwała się pierwsza.

–
I dlatego DIN ponownie się uformował.

–
Tak – powiedział cicho. – W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku.

–
Wtedy też zaczęły się zabójstwa. Tyle że tym razem dochodziło do nich na całym świecie. Gdziekolwiek Niemcy się ukrywali. Pański ojciec i mój ojciec.

Goldman skinął głową.

–
Znalazłem jedną z ich list. Szukałem czegoś innego i natknąłem się na teczkę ojca z papierami z klubu pokerowego. Takiej właśnie używali przykrywki: pięciu Żydów spotykało się w czwartkowe wieczory, żeby grać w pokera. Ojciec zawsze mówił, że to tajne stowarzyszenie, bo gdyby ich żony dowiedziały się, o jaką stawkę jest gra, rozpętałyby się piekło. Dlatego nigdy nie dowiemy się, kto wchodził w jego skład. Nawet moja matka go nie знаła. Kiedy ta teczka wpadła mi w ręce, musia-

łem do niej zajrzeć. Chciałem dowiedzieć się czegoś o tym tajnym świecie hazardu mojego ojca, człowieka, który zajmował się czymś tak mało interesującym jak sprzedawanie damskiej odzieży domom towarowym.

Jakże mało wiedziałem. – Uśmiechnął się smutno. – W teczce był plik zagranicznych banknotów, kilka paszportów i lista niemieckich nazwisk, przekreślonych jedno po drugim. Natychmiast wszystko zrozumiałem.

Miałem wtedy chyba dwadzieścia lat. Strasznie się pokłóciliśmy. I nigdy nie przestaliśmy się kłócić, od tamtej pory aż do dnia jego śmierci. Powiedziałem, że zawiadomię władze. Byłem świeżo upieczonym 182

prawnikiem, pracowałem w sądzie. To był mój obowiązek. – W jego prawym oku zaczęły pojawiać się łzy. – Nigdy tego nie zrobiłem. Powinienem powiedzieć policji to, co wiedziałem, że mój ojciec jest członkiem grupy przestępczej.

–
Przecież trudno ich nazwać mordercami – cicho powiedział Tom.

– Dbali jedynie o to, by ciężka zbrodnia nie przeszła bez kary.

Goldman spojrzał na niego.

–
Przyznaję, że jestem zdumiony, słysząc podobne słowa w ustach człowieka takiego jak pan, panie Byrne.

Tom czuł, jak żyła na szyi zaczyna mu pulsować. Jego złość narastała, musiał ją stłumić.

–
Przepraszam. Ale myślałem właśnie o tym, co pan przed chwilą powiedział. Że ludzie stojący za tą potworną zbrodnią wykręcili się sia-nem.

–
Panie Byrne, jak powinien pan dobrze wiedzieć, wykonywałem jedynie pracę adwokata, przedstawiając sprawę DIN najlepiej, jak umia-

łem, żebyście ją zrozumieli. – Stalowe okiennice zatrzasnęły się ponownie, chwila duchowego połączenia z jego zmarłym ojcem minęła. – Wła-

ściwym narzędziem działania było prawo. Taką metodę postępowania powinni przyjąć ci ludzie.

–
Poza sytuacjami, kiedy prawo donikąd nie prowadzi. Jeśli bę-

dziemy szczerzy, to przyzna pan, że obaj o tym wiemy, prawda, panie Goldman? – Tom słyszał drżenie własnego głosu. – I czy nie jest tak dlatego, że kiedy wszystko zostało powiedziane i zrobione, nie ma czegoś takiego jak „prawo”? Lubimy wyobrażać sobie kogoś cudownie bezstronnego, ślepą boginię sprawiedliwości – ale to równie realne jak spotkanie wróżki w ogrodzie, nie sądzi pan?

–
Tom...

–
Nie, Rebecco. Wiem o tym z pierwszej ręki. – Jego wzburzenie rosło, niechciane wspomnienia wracały. – Myślmy, że prawo obowiązuje. Ale prawda jest taka, że istnieje tylko polityka. A w polityce szukanie

winnych nigdy nie jest wygodne.

Tom, poważnie...

–

Przykro mi, ale to prawda. Im większa zbrodnia, tym mniej wygodna. Kiedy dochodzi do zderzenia „ugody” i sprawiedliwości – a zawsze jest taki konflikt – ugoda zwycięża za każdym razem. Widziałem to wielokrotnie. – Głos mu się łamał, słyszał to. – Wiem, że choć może się to wydawać niestosowną opinią w ustach prawnika, ale bardziej solidaryzuję się z tamtą grupą, z ludźmi z DIN, z powodu tego, co czuli. Patrzyli, jak ich całe rodziny były unicestwiane. To rozumiałe, że chcieli dopaść tych, którzy byli za to odpowiedzialni. A prawo puściło winnych wolno. Zastanawiam się, czy w tej sprawie, panie Goldman, racja nie była po stronie pańskiego ojca, a nie po pańskiej.

Goldman miał zamiar odpowiedzieć, ale Rebecca wstała. Rzucając Tomowi gniewne spojrzenie, zawołała:

–

Wystarczy!

Oczy jej gorzały. Niewypowiedziane przypomnienie, że właśnie straciła ojca, zawstydziło ich obu na tyle, że zamilkli.

Już spokojniejsza obróciła się do Goldmana i głosem zabarwionym jednocześnie cierpliwością i zmęczeniem poprosiła go o krótką, szczerą odpowiedź na proste pytanie:

–

Czy jest coś jeszcze, jakikolwiek fragment historii DIN, o którym nam pan nie opowiedział? Jakaś tajemnica, na której zachowaniu komuś zależy?

Tom, któremu serce nadal mocno biło, widział, że Goldman zastanawiał się nad odpowiedzią. Kiedy pochylił się do przodu, żeby coś powiedzieć, powietrze rozdarł przyprawiający o pęknięcie bębenków dźwięk alarmu: nie jakaś odległa syrena, ale wycie dochodzące z wnętrza budynku.

Rozdział 27

Jay Sherrill nie przyznałby się do tego nikomu, nawet własnej matce

– a zwłaszcza jej – ale tego dnia czuł wyraźnie swój brak doświadczenia.

Od spotkania z komendantem prześladowało go nowe dla niego wrażenie, że stanął przed zagadką, która przekracza jego możliwości zrozumienia, mimo starannego wykształcenia, jakie otrzymał. Gdyby to była po prostu sprawa logiki, dałby sobie radę. Ale w tym wypadku potrzebował czegoś więcej niż dedukcyjnego rozumowania, więcej niż „wiedza książkowa”.

Sherrill osiągnął przynajmniej poziom, na którym zdawał sobie sprawę, czego nie wie. Tego nie uczono na Harvardzie ani nigdzie indziej.

Nabywało się taką wiedzę latami, przyrastała niczym mech na wieko-wym kamieniu. To właśnie starsi funkcjonariusze z nowojorskiej policji, ci sami, których przecież często traktował protekcyjnie, mieli to, czego jemu brakowało. Była to przewaga wynikająca z prostej chronologii, z lat na zegarze. W końcu i on ją posiadał, ale teraz przez jej brak przegrywał.

Posłuchał wskazówki komendanta i skontaktował się z komórką wywiadu nowojorskiej policji. Chciał się zobaczyć z ludźmi, którzy prowadzili operację śledzenia Geralda Mertona. Nikt do niego nie oddzwonił.

Zatelefonował ponownie, dodając tym razem, że sprawa jest pilna i wią-

że się z prowadzonym śledztwem kryminalnym, mającym najwyższy 185

możliwy priorytet nadany przez samego komendanta. I znowu nikt stamtąd do niego nie zadzwonił.

Rozważył możliwości, w tym zawiadomienie Rileya o tym rzucaniu kłód pod nogi przez wydział jego własnych służb, ale szybko to odrzucił: co mogłoby wyglądać gorzej od chłopaczka z Harvardu biegnącego do tatusia, bo nieposłuszne dzieci nie chciały się z nim bawić? Wieść o tym rozniosłaby się, potwierdzając wszystkie uprzedzenia, jakie wobec niego żywiono, z czego świetnie zdawał sobie sprawę.

A potem, rankiem o 8.30, odebrał telefon, na który czekał. Szef wydziału wywiadu, Stephen Lake, mógł się z nim zobaczyć o 10.00. To nie miało sensu. Sherrill miał prośbę na poziomie operacyjnym; chciał się zobaczyć z funkcjonariuszem – a może w wydziale wywiadu nazywano ich agentami? – pracującym w terenie, najwyżej z dowódcą drużyny, z kimś bezpośrednio zaangażowanym w śledzenie Rosjanina i w konsekwencji chodzącym za Mertonem. Tę prośbę najwyraźniej odrzucono.

Zamiast tego miał się zobaczyć z facetem z samej góry.

Nie zdradziłby też nikomu, że się denerwował. Lake był wcześniej grubą rybą w Centralnej Agencji Wywiadowczej, po 11 września z czysto politycznych powodów otrzymał stanowisko od władz miasta, kiedy w Nowym Jorku zdecydowano, że nie można dłużej polegać na władzach federalnych i lepiej mieć gotowe własne rozwiązania. Tego ranka Sherrill przeszukał archiwum na stronie internetowej „New York Timesa”, i przeczytał wszystko, co było o wydziale wywiadu i o Lake'u. W tej chwili Lake dysponował już tysiącem funkcjonariuszy, państwem w państwie nowojorskiej policji liczącej czterdzieści tysięcy ludzi. Dla porównania FBI mające jedynie dziesięć tysięcy agentów na całe Stany Zjednoczone marnie się prezentowało. Federalni rzecz jasna patrzyli na nich krzywym okiem. „Times” pisał o fali skarg ze strony grup bronią-

cych praw obywatelskich, skarżących się, że wydział wywiadu, zamiast łapać zagranicznych terrorystów, śledzi krajowych działaczy politycznych, podsłuchuje rozmowy telefoniczne i prowadzi obserwacje domów 186

amerykańskich obywateli. To jedynie spotęgowało rodzące się w Sherrillu nowe dla niego wrażenie, że wszedł daleko na nie swoje podwórko.

Wiedział, jak przesłuchiwać gliniarzy, znał ich słabostki, ich próż-

ność, ich pięty achillesowe. Ale Lake nigdy nie był policjantem. Bardziej przypominał polityka, weterana rozgrywek toczonych w Waszyngtonie.

Po jakie лихо zgodził się na to spotkanie? Jaką wiadomość chciał w ten sposób przekazać?

Sherrill miał następne dziesięć minut na zmaganie się z tym pytaniem, kiedy siedział w sekretariacie człowieka, którego oficjalnie tytu-

lowano zastępcą komendanta do spraw wywiadu. Znał tę sztuczkę aż za dobrze: kazać petentowi czekać, żeby przypomnieć mu, kto i jaką pozycję zajmuje w hierarchii. Reakcja Jaya Sherrilla na tę sytuację – odmowa przeglądania gazet i magazynów wyłożonych w recepcji i zamiast tego patrzenie prosto przed siebie – obrazowała jego własny komunikat:

„Marnujesz mój czas i mam o to pretensję”.

W końcu sekretarka dała Sherrillowi znak, że może wejść. Przeszedł

przez podwójne drzwi, zanim znalazł się w gabinecie, który natychmiast ocenił jako trochę większy od biura komendanta.

Lake jak na mężczyznę, był niski, miał najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu, i krótko przycięte srebrno-siwe włosy. Z jego oczu ziało chłodem. Uniósł się nieznacznie na fotelu, witając detektywa, wyciągnął

przed siebie rękę i zaczął mówić, zanim jeszcze Jay usiadł.

–

Więc w czym możemy panu pomóc, detektywie?

–

Cóż, szczerze mówiąc, nie chciałem zawracać tym głowy właśnie panu. To sprawa o mniejszym...

–

Że jak, świątły panie detektywie? – Posłał mu bezlitosny uśmiech. – Pozwoli pan, że sam to ocenię? Jakie ma pan pytania do tego wydziału?

–

Wczoraj o ósmej pięćdziesiąt jeden ochrona ONZ zaczęła strzelać do Geralda Mertona, proszę pana. Dwie minuty wcześniej dowódca 187

ochrony otrzymał ostrzeżenie od łącznika z nowojorskiej policji, który podał opis człowieka

podejrzewanego o terroryzm i powiedział, że ten mężczyzna kieruje się na teren ONZ. Na podstawie tego opisu – idealnie pasującego do Geralda Mertona – funkcjonariusz ONZ otworzył ogień. –

Wiedział, że efekt byłby znacznie silniejszy, gdyby dodał słowa: „zabija-jąc w ten sposób niewinnego człowieka”, ale nie potrafił się do tego zmusić. Mimo zupełnej obojętności okazanej przez komendanta dla Sherrilla, pistolet i odciski palców znalezione w hotelowym pokoju Mertona pozostawały niepodważalnymi dowodami w tej sprawie.

Lake podrapał się po brodzie, najwyraźniej pogrążony w myślach.

–
Rozumiem – powiedział w końcu. – A jak właściwie brzmi pań-

skie pytanie do mnie?

Sherrill widział wyraźnie, że ze strony Lak'e'a nie może liczyć na najmniejszą pomoc.

–
Chciałbym się dowiedzieć, jakim cudem nowojorska policja zdo-

łała przekazać służbie ochrony ONZ informacje pochodzące ewidentnie z akcji wywiadowczej prowadzonej w tamtym czasie.

–
Z akcji wywiadowczej? Jest pan pewny, że nie zagalopował się pan trochę, detektywie? Jest pan ekspertem od wywiadu?

Sherrill czuł, jak pieką go policzki – rozpaczliwie pragnął, żeby nie było tego widać. Starał się uspokoić, powtarzał sobie, że to tylko taktyka upokarzania – korzystanie z wiedzy specjalisty – i tyle, zwykła taktyka.

–
Wydaje mi się, że do tego nie trzeba być żadnym ekspertem, proszę pana. Podobnie jak specjalnych kwalifikacji nie wymaga stwierdzenie, że Gerald Merton był siedemdziesięciokilkulatkiem, co trudno uznać za wiek typowy dla terrorysty.

Na te słowa oczy Lake'a stały się lodowato zimne.

–
Są na to dwie odpowiedzi, panie Sherrill: oficjalna i nieoficjalna.

Zgodnie z oficjalną ten wydział nie udziela żadnych informacji o swoich 188

operacjach, choć czasami robimy wyjątki dla ludzi zajmujących się bezpieczeństwem wspaniałego miasta, jakim jest Nowy Jork, i co się z tym łączy – bezpieczeństwem całych Stanów Zjednoczonych.

–
Oczywiście, proszę pana. – Sherrill zastanawiał się, czy powinien posunąć się dalej. – A ta nieoficjalna?

–
Mogliśmy obserwować ONZ przez jakiś czas, mając dowody, że tyka tam bomba zegarowa. Albo nie obserwować. Ale na sto procent spieprzyli to popaprańcy z ochrony na UN Plaza. Jeśli spróbuje pan przerzucić winę na ten wydział, to lepiej od razu niech pan zrezygnuje z jakichkolwiek podróży. Bo jeśli się pan gdzieś wybierze, osobiście dopilnuję, żeby spotkało pana coś złego, i będzie się pan mógł uważać za szczęśliwca, jeżeli skończy pan na wystawianiu mandatów za złe parkowanie w Trenton. Czy wyrażam się jasno, detektywie?

Sherrill głośno przełknął ślinę.

–
Czy to nie wygląda na groźbę wobec oficera służb ochrony prawa?

–
Takie gadki niech pan zachowa dla szkółki policyjnej, detektywie. Jedyne słowa, które usłyszał pan ode mnie w czasie tego spotkania, brzmią: ten wydział nie udziela żadnych informacji o swoich operacjach, choć czasami robimy wyjątki dla ludzi zajmujących się bezpieczeństwem wspaniałego miasta, jakim jest Nowy Jork, i co się z tym łączy – bezpieczeństwem całych Stanów Zjednoczonych. Wyprę się wszystkiego innego, cokolwiek podsunie panu wyobraźnia. Zeznam to pod przysięgą w każdym sądzie, gdzie przedstawię też pańską kartotekę medyczną, w której będzie informacja o przebytej przez pana chorobie psychicznej.

Jay Sherrill poczuł się, jakby dostał cios w brzuch.

–
O czym pan mówi? – zdołał ledwie wykrztusić.

Stephen Lake spojrział na kartkę, którą trzymał teraz między kciukiem a palcem wskazującym.

–
Wygląda na to, panie Sherrill, że kiedyś potrzebował pan pomocy lekarskiej z powodu depresji. Czy to idzie w parze z funkcją pierwszoli-gowego detektywa nowojorskiej policji? Hm, tego nie mogę sobie 189

przypomnieć. Może powinniśmy to sprawdzić u szefa pańskiego wydzia-

łu? – Sięgnął do telefonu i zaczął wciskać klawisze.

–

Nie!

–

O co chodzi, detektywie?

–

To stara historia. Byłem jeszcze studentem! Mój brat dopiero co umarł!

–

Współczuję. Jestem przekonany, że dział kadr policji okazał panu pełne zrozumienie, kiedy ubiegał się pan o stanowisko dające możliwość szybkiego awansu, ambitny, strasznie ważny detektywie. Chyba że z jakiegoś powodu zapomniał pan przekazać im tę informację, prawda?

Mam pański kwestionariusz przed sobą. – Sięgnął po następny dokument. – „Czy kiedykolwiek korzystał pan z pomocy lekarskiej w „związ-ku z zaburzeniami umysłowymi, w tym w zakładzie zamkniętym...”, bla, bla, bla, och, jest, „z depresją”? A obok mamy kwadracik z zaznaczonym iksem, ciekawe, co to oznacza. Nie mogło być wyraźniejsze. N-I-E oznacza, że nie. Moim zdaniem to świadome kłamstwo. Mogłoby nawet ująć za krzywoprzysięstwo. Proszę mi przypomnieć, żebym to sprawdził u jakiegoś prawnika. – Rzucił kartkę na biurko i przeszył Jaya wzrokiem. –

Na wypadek gdybym nie wyrażał się dość jasno, detektywie, to właśnie panu mówię. Niech pan próbuje wrzucić swoją piłeczkę z winą na inne podwórko, bo tu jest pełno min i jedna z nich może pana posłać prosto do nieba. Gwarantuję to.

Rozdział 28

W chwili gdy rozległ się alarm przeciwpożarowy, rozmowa została przerwana. Sekretarka wsunęła głowę w rozchylone drzwi i powiedziała, że bardzo przeprasza, ale muszą natychmiast ewakuować wszystkich z budynku. Henry Goldman przybrał spokojny wyraz twarzy, zebrał papiery do skórzanej aktówki i wyszedł za sekretarką.

Na zewnątrz tłoczyli się pracownicy, dwoje czy troje z nich ubrało się w odblaskowe kamizelki. Panowała atmosfera nerwowego podniecenia.

Tom i Rebecca zeszli szesnaście pięter po schodach, żadne z nich nie powiedziało słowa o tym, co się właśnie wydarzyło. Jeden ze strażaków sprawdził na parterze ich przepustki gości i skierował ich do innego miejsca zbiórki niż pozostały personel Rodericka Jonesa. Stali tam dwadzieścia minut w chłodzie wieczoru. Tom wypatrzył w tym dogodny moment na szybkiego papierosa na zewnątrz.

Zaproponował jednego Rebecce. Rzuciła się na skręta jak pies na kość. Jasne. Większość lekarzy, których znał, paliła, i to dużo. Nadal nic nie mówiła.

A potem, bez żadnego ogłoszenia, gwizdka czy klaksonu, ludzie kierowani zwyczajnym instynktem stadnym, który ma władzę nad każdym tłumem, zaczęli wracać do budynku. Najwyraźniej był to fałszywy alarm.

Wkrótce znaleźli się z powrotem na szesnastym piętrze w sali konferencyjnej. Zjawiała się sekretarka.

191

–

W czym mogę pomóc? – zaświergotała, jakby ich wcześniej nie widziała.

–

Byliśmy tu przed alarmem. Spotkanie z panem Goldmanem? –

Rebecca uśmiechnęła się do niej.

–

Och, obawiam się, że pan Goldman już wyszedł.

–

Wyszedł?

–

Przyjęłam, że skończyliście państwo to spotkanie. – Wzruszyła ramionami.

Na prośbę Toma zadzwoniła na dół do ochroniarza, który sprawdził

parking kierownictwa: miejsce Goldmana było puste.

–

Zapewniam państwa, że w dawnych czasach nie zrobiłby czegoś takiego – powiedziała. – Nigdy nie skorzystałby z okazji, żeby wyjść wcześniej. Większość wspólników nie wychodzi przed dziesiątą albo jedenastą. Sekretarki muszą pracować na zmiany! Pan Goldman był

jednym z najgorszych. Zanim przeszedł na emeryturę, oczywiście.

Tom posłał jej szeroki uśmiech: tryb oczarowywania.

–

To były zwykle ćwiczenia przeciwpożarowe, prawda?

–

Och, nie. Mamy je zawsze w poniedziałki. Pomyślałam, że może doszło do jakiegoś zwarcia; tak się stało ostatnim razem. Ale właśnie rozmawiałam z Janice – jest w naszej straży pożarnej – i dowiedziałam się, że ktoś rozbił w piwnicy jedną z tych skrzynek z dzwignią alarmu.

Posłużył się plastikowym młotkiem do rozbicia szkła i to wszystko.

–

Boże – wyjęczał Tom.

–

Można by pomyśleć, że za takie rzeczy powinno się karać grzywną – dodała sekretarka. – Wszystko wskazuje na to, że ochrona nie ma pojęcia, kto to zrobił, ale sprawdzają już zapisy z kamer.

–

Pewnie to jakiś głupi dowcip – rzekł Tom, przypominając sobie wyrażenie, którego używał Dean jeszcze w Manchesterze, kiedy razem z kolegami włączali zraszacze przeciwpożarowe. – Zrobiony przez jednego z młodszych pracowników.

Sekretarka wyglądała na zbulwersowaną.

–

Ależ tu nie pracuje nikt, kto posunąłby się do czegoś takiego –

192

powiedziała. I Tom jej uwierzył. To wspomnienie z czasów uniwersyteckich wywołało w nim nowy rodzaj intuicji, która teraz nie dawała mu spokoju.

Rebecca nie była w nastroju do pogawędki z sekretarką Goldmana.

Wymówili się byle czym i skierowali do wyjścia z budynku. Puszczać Rebecce przodem, Tom zadzwonił szybko do Jaya Sherrilla: nie lubił

tego gościa, ale musiał przynajmniej stwarzać pozory współpracy. Nie miał zamiaru wspominać o przeszłości Mertona związanej z Holokau-stem: Henning prosił go o nierozgłaszanie tego, a Tomowi bardzo to odpowiadało. Sherrill mógłby skojarzyć coś z pistoletem i odkryć historię DIN. Zanim Tom by się zorientował, cała ta sprawa szybko wymknę-

łyby mu się spod kontroli. Zarządzanie przepływem informacji – na tym polegał sekret odnoszenia

sukcesów w ONZ: Henning Munchau był w tym najlepszy.

–

Halo, detektyw Sherrill, mówi Tom Byrne, z Londynu.

–

Jakieś tropy związane z bronią, którą znaleźliśmy?

–

Tak się składa, że rzeczywiście coś mam.

–

Niech pan mówi – poprosił Sherrill.

–

To wersja robocza, nic pewnego. Istnieje możliwość, że Merton należał w przeszłości do jakiegoś ugrupowania zbrojnego.

–

Jezu. Jakiego rodzaju ugrupowania zbrojnego?

–

Jak wspominałem, mam w tej chwili szczątkowe informacje. Ale myślę, że może chodzić o grupę swoistych mścicieli. Wzięli sprawiedliwość w swoje ręce i karali przestępców.

–

Mówiąc „karali”, ma pan na myśli...

–

Tak, detektywie Sherrill. To mam na myśli. Ale działo się to dawno temu i nie jestem pewny, czy rzuca jakieś światło na znalezisko w pokoju hotelowym albo Rosjanina...

–

Rzeczywiście, ale mimo wszystko. To przydatna wiadomość. Jakie są na to dowody?

–

Jedynie wzmianka lub dwie w dokumentach, które Merton zostawił. Nic wprost.

–

Czy ktokolwiek z tej grupy został skazany?

–

Ani jeden, o ile wiem.

–

Nadal działają?

–

To pytanie za milion dolarów. Odezwę się, jak będę miał coś więcej.

Rozłączył się i pobiegł, żeby dołączyć do Rebecki, która otwierała właśnie saaba. Już na siedzeniu dla kierowcy pozwoliła sobie na głośne westchnienie.

–

Chryste, ale to było frustrujące! Kiedy wreszcie miał nam powiedzieć coś, czego nie wiemy, zaczął się wcinać.

–

Nie wcinałem się. Chciałem jedynie wykazać...

–

Nie chcę o tym rozmawiać.

–

...że sprawiedliwość czasami...

–

Serio – powiedziała, wpatrując się w niego. – Nie chcę o tym rozmawiać. – Wyjechała z parkingu i włączyła się do ruchu ulicznego.

Jej uporczywe milczenie zmroziło atmosferę w samochodzie.

Argumenty, które Tom chciał przytoczyć, kołatały mu się teraz w głowie, ale nie zaprowadziły go zbyt daleko. Rebecca miała prawdopodobnie rację. Rzeczywiście wystraszył Goldmana. Popełnił podstawowy błąd, wygłaszając własne poglądy w tej sprawie, w sytuacji gdy były zupełnie

nieistotne. Ważne było jedynie wydobycie informacji od świadka. Wiedział, że wykonał fałszywy krok, ale nie to go denerwowało.

Denerwowała go przyczyna, dla której to zrobił.

Dzień dobiegał końca. Rebecca z furią ścisnęła kierownicę, wzrok wbijała w drogę przed sobą. Tom zapatrzył się w przestrzeń. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na lusterko boczne po stronie Toma: gdyby w nie spojrzeli, pewnie zauważyliby za sobą manewrujące trzy mercedesy

– poruszające się w sposób jednoznacznie wskazujący, że ich śledzą.

Rozdział 29

Teraz, choć formalnie zaliczał się do ludzi w starszym wieku, szef nadal był lepszy od swoich pracowników. Biorąc pod uwagę, jak krótko spał, powinien padać ze zmęczenia już wiele godzin temu. Zawsze tak było. Podczas gdy trzydziestolatkowie i czterdziestolatkowie marzyli o gorącej kąpiel i porządnym nocnym odpoczynku, szef dojrzywał właśnie do otworzenia z głośnym trzaskiem butelki szkockiej whisky, którą wszędzie ze sobą nosił, poluzowywał krawat i przystępował do

poważ-

nych rozmów.

Dla jego sekretarza było to przypomnienie tego, co wszyscy mu po-wtarzali o przyszłym szefie, gdy przyjmował tę pracę: tę siłę napędzała czysta adrenalina, ten facet miał ją we krwi, w niemal krystalicznej postaci, przez cały czas. Zapomnij o adrenalinie, pomyślał teraz. To było coś jak płyn balsamujący. Ten człowiek, który całe dziesięciolecia spę-

dził na szczycie życia politycznego kraju, zatrzymał całkowicie proces starzenia się; wyglądał tak samo jak dwadzieścia pięć lat wcześniej.

Nawet jego koszule, co sekretarz zauważył, patrząc na własne pomięte ubranie, pozostawały świeże i niepogniecione po dziewiętnastu godzinach.

– Więc co tam mamy? – zaczął szef. Był to jego typowy gambit otwarcia.

–

Cóż, naszym ludziom w Londynie udało się iść za obiektami...

195

–

Obiektami? Darujmy sobie ten gówniany język wywiadu, dobrze? I ty, i ja spędziliśmy mniej więcej tyle samo czasu w wojsku.

–

Poszli za Rebeccą Merton i Tomem Byrne'em na spotkanie do kancelarii prawniczej. Na szczęście odbywało się w wysokim budynku ze szkła i stali i dzięki czułemu mikrofonowi kierunkowemu monitorowaliśmy to spotkanie.

—

Pamiętam, że zatwierdziłem budżet na te urządzenia. I?

—

Facet z kancelarii prawniczej mówił jak najęty, opowiadał ze szczegółami o genezie powstania tej grupy...

—

DIN?

—

Tak, proszę pana. Ale w żaden sposób nie poruszył, jakby to powiedzieć, hm, naszego aspektu tej sprawy. — Potem dodał, wykrzywiając usta: — Przynajmniej nie w tej części rozmowy, którą podsłuchaliśmy.

—

Co, do cholery, ma to niby oznaczać? Umknęło wam coś?

—

Sam początek. Ale sądząc z tego, co zostało powiedziane później, nasz aspekt nie był wspomniany.

—

Jednak nie mamy pewności.

—

Z kontekstu jasno to wynika. Kiedy zaistniało ryzyko, że jednak może dotknąć czułego miejsca, wkroczyliśmy do akcji.

—

Jakiej akcji?

—

Przerwaliśmy ich rozmowę.

—

Jak, do diabła, to zrobiliście?

—

Uruchomiliśmy alarm przeciwpożarowy.

Na te słowa szef po raz pierwszy się uśmiechnął.

—

Cieszę się, że machina polityczna nadal ma jeszcze jakieś nauki do przekazania. Sztuczka z alarmem przeciwpożarowym, co? Zawsze dawała pięć minut przed gównianym głosowaniem. Robiliśmy to w dawnych czasach. Może powinniśmy skorzystać z niej w ONZ.

Sekretarz roześmiał się lojalnie.

—

I teraz?

—

Wszystko pod kontrolą, proszę pana. Obiekty... przepraszam, ludzie zaangażowani w tę sprawę są pod lupą. Jeśli informacja, o którą 196

nam chodzi, jest w ogóle znana, w co bardzo wątpię, upewnimy się, żeby nie dotarła do pani Merton i pana Byrne'a. Gdyby jednak czegoś się dowiedzieli – zadbamy, żeby nie rozeszła się dalej.

Rozdział 30

Nic nie przerwało milczenia, nawet gdy Rebecca zaparkowała, otworzyła drzwi frontowe i z furią wbiegła na górę do mieszkania. Pod jednym względem przypominała Tomowi kilka kobiet, które znał: potrafiła dusić w sobie wściekłość, dopóki nie wróciła do domu – tam, w kuchni –

rozpętywała prawdziwą burzę, bo chciała się kłócić w miejscu, które sama wybrała.

—

A teraz poważnie, Tom, o co w tym wszystkim, do kurwy nędzy, chodziło?

—

W czym wszystkim?

—
Dzisiaj, z Goldmanem.

—
Wyraziłem swoją opinię i tyle. Ja...

—
Nie, ty zrujnowałeś to spotkanie w najbardziej krytycznym momencie. – Jej głos brzmiał czysto i stanowczo: była panią doktor Merton, zmywającą głowę anestezjologowi, który zalecił podanie nieprawidłowej dawki. – Miałeś mi pomagać, pamiętasz? Taki zawarliśmy układ. No i siedzimy, słuchamy gładzenia Goldmana opowiadającego rzeczy, o których i tak wiemy, i wtedy, gdy ma właśnie przejść do...

—
Wiedziałaś to wszystko?

Jej twarz przybrała wyraz, którego Tom nie potrafił odczytać.

—
Nie, oczywiście, że nie wiedziałam, ale domyśliliśmy się ich z zawartości pudła, prawda?

198

—
Jasne, ale nie mieliśmy pojęcia o szczegółach. Albo kontekście.

Albo motywacji. Wydawało mi się, że będziesz zafascynowana tym, czego się dowiesz. Żeby zrozumieć ojca.

—
To nie jest dla mnie terapia, okay? Na wypadek gdybyś nie zauważył, ktoś wywrócił mi mieszkanie do góry nogami. I nie mamy poję-

cia, kto to był ani czego chciał. I nie wiem też, czy ponownie nie będzie chciał się do mnie dobrać.

—
Rozumiem. To może budzić strach...

Masz pieprzoną rację, to jest przerażające. – Podniosła głos. – I wtedy zacząłeś się popisywać, wzięłeś w obronę samozwańczych morderców, którzy jeździli i zabijali ludzi...

–

No cóż, czy możesz ich winić?

–

Co?

–

Czy możesz ich winić? Poważnie, Rebecca. Biorąc pod uwagę to wszystko, co się im przydarzyło. Mieli rację: nie było innego sposobu wymierzenia sprawiedliwości.

–

Jak możesz tak mówić? Podobno jesteś prawnikiem, na rany boskie.

–

I dlatego właśnie to mówię! – Teraz on krzyczał. – Och, tak, kiedyś wierzyłem w te bzdury o „prawie” i „sprawiedliwości”, i wszystkie inne górnolotne słowa. Naprawdę byłem ich prawdziwym wyznawcą, Rebecca. Byłem taki jak twój chłopak, Julian. – Spostrzegł wyraz sceptycyzmu na jej twarzy. – Wiem, że to wydaje się teraz żalosne. Ale wi-dzisz, nie zawsze taki byłem. – Obciągnął mankiety garnituru od Paula Smitha. – Kiedyś wierzyłem też, że jeśli ciężko się pracuje, zbiera wszystkie dowody, robi streszczenia pozwów, to sprawiedliwości stanie się zadość. Jak myślisz, dlaczego poszedłem do ONZ? Bo byłem jednym z tych naiwniaków, którzy chcieli zmienić świat.

Przerażało go to, że tak mówił; od bardzo dawna nie wypowiadał

tych myśli na głos, nawet przed sobą. Ale nie potrafił się powstrzymać.

–

I byłem tam, na samej górze. W pieprzonej Organizacji Narodów Zjednoczonych. I wtedy poproszono mnie, żebym wystąpił w imieniu 199

ONZ na procesie Ruandy. To była gigantyczna robota, aż się do niej paliłem. Miałem prowadzić walkę o dobrą sprawę. Zacząłem od czytania zeznań świadków, strona po stronie: przypominały notes twojego ojca.

Historie, przy których zalałabyś się łzami. Wiesz, co tam się stało; wszyscy wiedzą, co tam się stało. Wiedzieliśmy przez cały czas. Co najmniej osiemset tysięcy ludzi zabito w trzy miesiące. Uznano to za najszybsze ludobójstwo w dziejach ludzkości, szybsze nawet od nazistowskich zbrodni. I jak zawsze wszyscy, dosłownie wszyscy, mają ręce po łokcie unurzane we krwi. Sąsiedzi zabijali

sąsiadów, ludzie z jednego końca ulicy wykańczali tych z drugiego końca, podrzynali gardła maczetami.

Zakonnice stały i patrzyły, jak dzieci są zaganiane do kościołów i palone żywcem. Zakonnice, na rany Boga. Gwałcono nastoletnie dziewczynki, kastrowano chłopców, braci zmuszano do stosunków z siostrami, mężów zmuszano do mordowania żon. Tysiące stron zeznań. Z dowodów, które mieliśmy, można było postawić przed sądem przynajmniej milion osób.

Ale domyśl się, ilu Tutsi zostało skazanych.

–

Nie wiem. – Rebecca spuściła wzrok na podłogę.

–

Śmiało. Zgadnij, ilu Tutsi zostało skazanych przez trybunał ONZ

za ludobójstwo w Ruandzie.

–

Nie wiem.

–

Po prostu zgaduj.

–

Nie wiem.

–

Zgaduj, kurwa, Rebecca!

–

Pięć tysięcy? Tysiąc? Nie wiem!

–

Dwudziestu sześciu.

Nic nie powiedziała.

–

Dwudziestu sześciu. To końcowa liczba po piętnastu latach pracy wykonanej przez dziesiątki prawników i jeden Pan Bóg wie za ile milionów dolarów. Dwadzieścia sześć osób. To jakaś brednia, Rebecca. Brednia. Wiesz, co mówią o kłamstwie: im większe kłamstwo, tym więcej ludzi w nie wierzy? To samo jest z masowymi zbrodniami. Jeśli zabijesz dziesięć osób, nigdy się z tego nie wywiniesz. Ale zabij tysiąc, a nigdy 200

nie staniesz nawet przed sądem, nie wspominając o zamknięciu w więzieniu. Tego właśnie nauczyłem się w Ruandzie. – Głos mu drżał.

–
I co zrobiłeś?

Tom oparł się o stół w kuchni. Miał ochotę usiąść, ale wiedział, że wyglądałoby to jak przyznanie się do porażki.

–
To, co zwykle. Piłem, paliłem, ćpałem... rzeczy, które się robi, kiedy chce się odrzucić własne życie.

–
Przeszedłeś załamanie nerwowe?

–
Można tak to nazwać. Prawdę mówiąc, tak to określono w dziale kadr ONZ. „Byrne Thomas – zwolnienie na czas nieokreślony z powodów zdrowotnych”. Straciłem wiarę i to była moja choroba. Nie potrafi-

–
łem przepracować choćby jednego dnia: wiedziałem, że to wszystko stek bzdur.

–
Wylali cię?

–
Wylaliby. Ale osłaniał mnie mój szef, Henning. Trzymał mnie na liście płac i opiekował się mną. Pewnie myślał, że jak mnie odetną, to mogę coś sobie zrobić.

–
A zrobiłbyś?

Zastanawiałem się na tym.

Cisza wypełniła powietrze, aż do chwili gdy ją przerwał.

—

I wtedy postanowiłem, że już nigdy więcej nie będę durniem.

Zmądrzałem, jak wszyscy inni. Prawo to jeden wielki szwindel, równie dobrze można cieszyć się korzyściami, jakie przynosi. Wszyscy inni to robili, więc dlaczego ja miałem z tego zrezygnować?

—

Jak to szwindel?

—

Ujmę to w ten sposób. Nie chciałybyś spotkać mojego ostatniego klienta ciemną nocą. – Próbował się uśmiechnąć, ale zdołał jedynie skrzywić trochę usta. – Na tym polega różnica między mną a Julianem, rozumiesz?! On jeszcze nie nauczył się lekcji. A ja tak.

—

Jakiej lekcji?

—

Nie będzie żadnego jaśniejszego jutra i nikogo nie obchodzi, co 201
wydarzyło się wczoraj, więc można spokojnie żyć dniem dzisiejszym.

—

Nikogo nie obchodzi, co wydarzyło się wczoraj? Naprawdę w to wierzysz?

—

Teraz tak. I najwyraźniej wierzył w to twój ojciec: rozejrzał się po świecie i przekonał, że wszystkich głównie obchodzi, co się stało z Żydami. No może nie wszystkich. Ale tych, którzy się tym przejmowali, było za mało, żeby postawić winnych przed sądem. Dlatego on i jego przyjaciele zrobili to sami.

—

Jak śmiesz zakładać, że wiesz, co mój ojciec myślał o czymkolwiek?

—

Powtarzam jedynie to, co Henry...

—

Wydaje ci się, że jestem dumna z tego, co dzisiaj odkryliśmy?

Myślisz, że to w porządku jeździć i zabijać, zabijać, zabijać, ot tak?

—

To byli naziści, na rany boskie!

—

A jeśli się mylili, Tom? Co wtedy? Co, jeśli przez przypadek zabili niewinnego człowieka? Twoim zdaniem to niemożliwe? – Zrobiła krok w jego stronę, tak że stali i krzyczeli na siebie oddaleni o kilkana-

ście centymetrów.

—

Jestem przekonany, że byli...

—

I kto dał im do tego prawo? Kto ustanowił ich sędziami, ławą przysięgłych i katami?

—

Och, Boże święty. Jeśli oni nie mieli prawa, to kto? Trochę to nas przerasta, nie możemy sądzić ludzi, którzy przeszli przez to wszystko.

Dla nich to wyglądało inaczej, oni...

—

Przeszli? – W oczach miała teraz wściekłość. – Myślisz, że ja przez to nie przeszłam. Żartujesz? Przeżywałam każdą godzinę tej wojny, raz po raz, od chwili gdy się urodziłam. Potrafisz sobie wyobrazić dorastanie w domu, w którym panuje mrok, nawet jeśli świeci słońce.

Potrafisz sobie wyobrazić dorastanie po kolana we krwi, w otoczeniu tego tabunu duchów? Kiedy nawet największy dramat twojego życia jest niczym w porównaniu z tą wielką rzeczą, tym ogromnym cieniem, który kładł się na wszystkim?

—

Myślałem, że on... że prawie nigdy... – Tom się jękał. – Powiedziałaś mi, że nie lubił o tym rozmawiać.

–

Bo nie lubił. Ale nie musiał. To było w każdym pokoju, nawet jeżeli nie wspominało się o tym słowem. Ta żałoba. Wiesz, co powiedział kiedyś jeden z bojowników getta? „Gdybyś polizał mnie po sercu, otrułbyś się”. Taki właśnie był mój ojciec. Dlatego nie mów mi, że przez to nie przesłama, przeżyłam to...

Urwała w pół zdania, bo zadławiła się łzami. Tom odruchowo przysunął się do niej, otoczył ją ramionami i próbował ukoić uściskiem. Ale ona nie chciała się uspokoić i biła go po piersi, jej pięści były twarde jak kamienie.

On zaś nie potrafił nad sobą zapanować. Uniósł jej brodę i powodowany impulsem, który tłumiał w sobie zbyt długo, zbliżył wargi do jej ust.

Ten pocałunek był natarczywy, pełen łaknienia, potęgowany pożądaniem, które pulsowało w nim od chwili, gdy ją zobaczył. Początkowo opierała się, trzymała go za przód koszuli, ale nie trwało to długo. Jej usta były równie wygłodniałe jak jego. Pierwszy dotyk jej języka spowodował, że poczuł przeszywający go prąd, który sprawił, że stwardniał od razu. Czują go, gdy się do niej przytulał.

Jej zapach stał się teraz silny. Ściągnęła z niego marynarkę i zaczęła gwałtownymi ruchami odpinać mu guziki koszuli, jeden po drugim, i wydała z siebie jęk, gdy dotknęła cieplej skóry na jego piersi. Tom poło-

żył dłoń na jej talii, czując nagie ciało nad paskiem i właśnie wtedy to usłyszał, brzęczący dźwięk, który wessał cały tlen, jaki znajdował się w pokoju. Dysząc, odsunęła się od niego i sięgnęła po telefon.

–

Och, cześć, Julianie.

Oczywiście, pomyślał Tom, nagle świadomy krwi pulsującej mu w całym krwiobiegu. Antenka nieszczęśliwej miłości młodego Juliana prawdopodobnie uruchomiła tryb odbioru w chwili, gdy się pocałowali.

Patrzył, jak Rebecca kiwa głową i powtarzała „aha” przez całą rozmowę.

Na koniec sięgnęła po kartkę, żeby zapisać jakiś adres. Kiedy pochyliła 203

się w poszukiwaniu długopisu, spodnie odsunęły się od bluzy, odsłaniając wąski pasek skóry i minimalnie widoczny brzeg jej majtek. Pragnął

jej z intensywnością, która go przerażała. Rozłączyła się.

–
To był Julian z pytaniem, jak nam poszło. Rozmawiał już z ojcem. Powiedział, że zrobił na nim wrażenie „rozgrzanego” naszym spotkaniem.

–
„Rozgrzanego”? To dobrze czy źle? – Mówienie kosztowało go mnóstwo wysiłku.

–
Tego Julian nie potrafił określić.

–
W porządku. Cóż, może tam pójdziemy i jutro się z nim zobaczymy.

–
Julian radził, żebyśmy odwiedzili go jeszcze dziś wieczorem.

Ta antenka była najwyraźniej bardzo dobrze nastrojona: nawet na odległość Julian Goldman knuł, żeby nie dopuścić, by Rebecca Merton i Tom Byrne zbliżyli się bardziej.

Rebecca zagryzła usta.

–
O co chodzi?

–
Powiedział, że jego ojciec chciał nam coś powiedzieć. Coś ważnego. Przynajmniej takie odniósł wrażenie.

Rozdział 31

Ta jazda okazała się ekskluzywną podróżą po współczesnym Londynie. Rebecca zawiozła ich z powrotem na Upper Street, ale zamiast skierować się na wschód ku brudnej Essex Road na trasie do Hackney, wybrała Holloway Road i dalej pełną uroku okolicę Highgate.

Żadne z nich nic nie mówiło, ale cisza była teraz inna. Napięcie mię-

dzy nimi narastało miarowo, przypominało ciemniejące niebo pod koniec letniego dnia. Przez kłótnię na stojąco i pocałunek, który po niej nastąpił, lody zostały przełamane. Tom siedział obok niej, ale już nie tłumił chęci patrzenia na nią albo dotykania jej od czasu do czasu.

—
Rozmawialiśmy o obrażeniach na nodze twojego ojca, prawda, Rebecca?

—
Nie miał żadnych obrażeń, mówiłam ci. Dlaczego?

—
Jego ciało znaleziono z rodzajem metalowego nagolennika.

—
Skoro tak mówisz.

—
A przecież nie miał żadnych obrażeń. – Sięgnął na tylne siedzenie. – Mogę wyjąć notes ojca z twojej torby?

Skinęła głową, posyłając mu następny krótki krzywy uśmiezek. Tom przerzucał ręcznie zapisane kartki. Teraz wydały mu się znacznie cenniejsze, były dokumentem historycznym o niezwyklej wartości. Gerald Merton okazał się głównym aktorem w niesamowitym dodatku do 205

Holokaustu, opowiedział historię, która wstrząsnęłaby każdym. Miałaby na czytelników taki sam wpływ, jaki wywarła na Toma: zmusiłaby ludzi do zrewidowania poglądów na wydarzenia, o których, jak im się zdawa-

ło, wiedzieli już wszystko.

Kiedy Goldman użył wyrażenia „jak owce na rzeź”, Tom poczuł

ukłucie wstydu. To było dokładne przedstawienie wyobrażenia, jakie miał o Żydach jako ofiarach nazizmu, wypełniających bez protestu komory gazowe. Niejasno przypomniał sobie nauczyciela historii ze szkoły, również posługującego się podobnym określeniem i nie bez współczucia.

„Należy żałować tych biednych Żydów, równie bezbronnych jak owce wysyłane do ubojni”. To właśnie nauczyciel miał na myśli, Tom był tego pewny. Dzisiaj jednak zrozumiał, jak obraźliwe, jak bolesne musiało być takie porównanie dla ludzi podobnych do Geralda Mertona.

Tu. Znalazł fragment opisujący przystąpienie młodego Mertona do partyzantów ukrywających się w lasach. Musiał to być jeden z akapitów, które pominął, ale ślad po nim został. I oto miał go przed oczami.

Przez te miesiące nie służyłem jako bojownik, w każdym razie nie bezpośrednio. Jak zwykle moją ogromną zaletą był aryjski wygląd. Dlatego zamiast po prostu strzelać z pistoletu, zajmowałem się

kombinowa-niem broni. Podobnie jak czasami w getcie, stałem się szmuglerem. Biegłem z lasu na miejsce spotkania, odbierałem pistolet albo granat, albo zapalnik i płaciłem za nie, czym akurat miałem – czasem gotówką, zwykle jednak zegarkiem albo damskim naszyjnikiem – a później przemykałem się z powrotem do obozu. Bardzo często dostawca był przekonany, że zaopatruje młodego ochotnika z litewskiego ruchu oporu. Żydom nie sprzedałby broni tak łatwo.

Sztuka szmuglowania polega na tym, że trzeba być przygotowanym na złapanie. Trzeba pozwolić, żeby znaleźli coś przy tobie. A kiedy to 206

znajdą, zwykle gratulują sobie dobrze wykonanej roboty i pozwalają ci pójść swoją drogą. I jedynie ty wiesz, że to „coś” w ogóle nie było tym, o co chodziło. Prawdziwa kontrabanda jest schowana gdzie indziej i masz ją w dalszym ciągu. Dlatego za każdym razem, gdy kupowałem broń, kombinowałem jakieś papierosy albo kawałek mięsa i te ukrywałem –

tyle że niezbyt dobrze. Jeśli ktoś mnie zatrzymywał, znajdował papierosy albo mięso – ale nie broń, którą miałem umocowaną bandażami na plecach, tej nie znajdował...

Tom uśmiechnął się do siebie. To wyjaśniałoby istnienie metalowego nagolennika. Gerald Merton przygotowywał się do spotkania z wykrywaczami metalu, bo wiedział, że są zainstalowane przy wejściu do siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych. Alarm włączyłby się, a starzec wtedy z przepaszającym ruchem ramion sięgnąłby w dół, podwinął lewą nogawkę spodni i pokazał ochroniarzom metalową płytkę, noszoną ze względów zdrowotnych. Prawdopodobnie rzuciłby też dowcip – „Najgorzej jest na lotniskach” – a oni roześmieliby się i kiwnąwszy głowami, pozwolili mu przejść. I nikt nie pomyślałby o szukaniu wyrafinowanej broni, którą rozmontował i przywiązał do pleców bandażem, z metalowymi elementami i amunicją, albo ukrył jeszcze inaczej.

Tamtego dnia nie miał ze sobą pistoletu: zostawił go w łazience hotelowego pokoju. Wyprawa do ONZ w poniedziałkowy rano była zapewne rekonesansem, takim, jakie młody Gerszon realizował bez wątpienia na uliczkach Buenos Aires, Bonn, Rzymu albo San Sebastián czy w jakimkolwiek innym mieście, gdzie przeprowadzał operacje DIN. Zwia-dowczego nawyku mógł nawet nabrać na ścieżkach litewskich lasów albo też w cuchnących zaułkach Variampola, dzielnicy Kowna, którą przekształcono w getto.

Plan wydawał się bardzo przebiegły: kiedy Merton wróciłby do ONZ

następnego dnia, a wykrywacz metalu ponownie by się włączył, istniała 207

szansa, że któryś z ochroniarzy rozpoznałby go: to ten sympatyczny staruszek z blachą w nodze. Jeszcze więcej uśmiechów i przepuściliby go bez konieczności podwijania nogawki po raz drugi. „Życzymy panu miłego dnia”.

A wtedy wszedłby do środka i... co? Gdybyż tylko mógł porozmawiać z cieniem Gerszona Matzki i spytać, na kogo była ta broń. Tom nie miał jeszcze żadnych wiadomości od Henninga dotyczących listy.

Kto z przebywających w tym tygodniu w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych mógł być

ostatnim celem DIN? Dla kogo stary bojownik wcielił się po raz kolejny w rolę zamachowca? Tom oparł się wygodniej w fotelu i marzył, że brakujące strony z notesu starca w jakiś sposób się pojawiają. Czy Gerszon wyrwał je i zniszczył? A może gdzieś schował?

Czy ich właśnie szukali złodzieje, którzy przewrócili mieszkanie Rebecki do góry nogami?

Jechali teraz wzdłuż Hampstead Heath, ogromny park mieli po lewej stronie, luksusowe domy o niezwykłych rozmiarach po prawej. Kiedy Rebecca zwolniła, Tom pokręcił głową.

–

Tylko mi nie mów, że on tu mieszka – odezwał się.

Skinęła głową.

–

W jednym z nich? Nic dziwnego, że młody Julian jest tak popie-przony. – Rebecca posłała mu spojrzenie pełne udawanej dezaprobaty.

Ku wielkiej satysfakcji Toma, ta opinia wydawała się na swój sposób wspólna, jakby ich dwoje było teraz razem, podczas gdy Julian zniknął z tego układu.

–

No to jesteśmy na miejscu – powiedziała, sygnalizując skręt w prawo, w senną i stromą uliczkę podjazdową. Dom był wielki i absurdalnie podobny do pałacu. Tom doliczył się szesnastu okien, z których po-

łowa była oświetlona, zanim stracił rachubę. Rebecca ustawiła samochód obok smukłego mercedesa i zgasła silnik.

–

Pamiętaj, tym razem będziemy wyłącznie czarujący.

Rebecca nacisnęła dzwonek przy drzwiach. Rozległ się tradycyjny 208

gong, nieoczekiwanie prowincjonalny, jak na gmaszysko tak wspaniałe, a Tomowi przypomniały się dni, kiedy chodził po kołędzie z matką w bogatszej części Sheffield. Żadnej odpowiedzi.

–

Spróbuj kołatki – powiedział. – Naprawdę mocno. Te domy są takie duże, prawdopodobnie nie słyszą w środku dzwonka.

Sięgnęła do mosiężnej kołatki w kształcie okręgu umieszczonego w paszczy dzikiego lwa.

Odciągnęła ją i zapukała donośnie dwa razy.

Pierwsze uderzenie nie miało żadnego skutku, ale drugie zabrzmiało dziwnie pusto, drzwi zaś się uchyliły. W ogóle nie były zamknięte.

Rebecca zmarszczyła brwi, odwracając się do Toma i weszła do środka. Podążył za nią do przestronnego holu, gdzie kroki tłumił wielki migoczący dywan w nierówną szachownicę o różnych kolorach.

–

Halo?! – zawołała i poszła dalej, do obszernego salonu z kremowymi sofami ustawionymi w kwadrat i dwoma dużymi ławami pośrodku. Na ścianie naprzeciwko wisiał ogromny obraz wyglądający częściowo na fotografię, częściowo na malowidło. Można było rozpoznać na nim twarze czterdziestoparoletniego Henry'ego Goldmana i nastoletniego Juliana o wyszczerzonych zębach i kręconych włosach.

–

Panie Goldman? – spróbowała ponownie.

–

Może powinniśmy wyjść – zasugerował Tom, który wolałby opuścić to miejsce jak najszybciej i na przykład wrócić do mieszkania Rebecki. – Jutro do niego zadzwonimy.

–

Ale Julian powiedział, że on na pewno będzie w domu.

–

Mieszka sam?

–

Tak – odparła Rebecca z roztargnieniem, wpatrywała się bowiem w ciemny korytarz. – Jego żona umarła wiele lat temu.

–

Byłaś tu już?

–

Często tu przychodziłam, jak byłam młodsza, ale ostatnio nie.

Sprawdzę jedynie w gabinecie i jeśli tam go nie będzie, pójdziemy.

209

Weszła energicznie w mrok.

–

Panie Goldman? Henry?! – wołała, idąc.

Doszła do drzwi i w chwili gdy je otworzyła korytarz zalało światło.

Tom stojący za nią kilka kroków poczuł się dziwnie rozczarowany: skoro światło w gabinecie się paliło, znaczyło to, że staruszek był w domu.

Pewnie zasnął w fotelu.

Krzyk Rebecki rozdarł powietrze. Stała nieruchomo w drzwiach, a potem rzuciła się naprzód. Tom pobiegł za nią i zastał ją pochyloną nad bezwładnym ciałem, przykładając ucho do klatki piersiowej Henry'ego Goldmana, którego zmartwiała, blada twarz była skierowana ku górze.

Wyglądał upiornie. Rebecca usiadła na nim okrakiem i zaczęła ugniatać mu piersi, złączyła dłonie, spletając palce i wykonywała serię silnych nacisków. Przykucnąwszy obok niej, Tom słyszał i widział, ile ją kosztowało wkładanie całej siły w następujące po sobie ruchy reanimacyjne.

Ale słyszał coś jeszcze, rodzaj rozpaczliwego skomlenia dobywającego się z jej ust. Łzy płynęły jej po policzkach niczym krople ulewy po szy-bie.

W końcu zesza z nieruchomego ciała i jakby nieświadomie położyła głowę na ramieniu Toma.

–

On nie żyje. – Płakała głośno, moczając mu koszulę łzami. – Nie żyje. Nie żyje. – Palcami drapała go po ramionach. – On nie żyje. Nie żyje. Nie żyje. – Ostatecznie odsunęła się od Toma, tak że zobaczył jej twarz. – On nie żyje... to my go zabiliśmy.

Rozdział 32

W pierwszej chwili zastanawiał się, czy ktoś nie zrobił mu psikusy.

Kiedy to zobaczył, natychmiast rozejrzał się po reszcie pomieszczenia, żeby sprawdzić, kto może za tym stać, ale nie usłyszał wszystko mówią-

cego chichotu. Poza tym bardzo rzadko bywał w tym biurze. Nie miał

współpracowników, o których warto byłoby wspominać, a co dopiero mówić o kumplach z pracy. Pierwszoliczowi detektywi nie tak działali.

„Poza gniazdem” oznaczało, że nie jest się ani wbitym w mundur, ani przykutym do biurka. Jay Sherrill pracował tak, jak jego zdaniem mógł-

by pracować najwyższej klasy chirurg lub prawnik, sam planujący sobie rozkład obowiązków, jeżdżący cały dzień z telefonem komórkowym i blackberry, a nie siedzący w biurze.

Ale przecież ktoś to tu położył nie dawniej niż przed kilkoma minutami. Kiedy przyjechał godzinę wcześniej, szukając cichego miejsca, żeby zastanowić się nad kolejnym posunięciem po niezbyt subtelnym ostrzeżeniu od Stephena Lake'a z wydziału wywiadu, na monitorze nie było żadnej samoprzylepnej kartki. Poszedł do automatu kupić kawę, co zajęło mu wszystkiego może pięć minut, a teraz tu była. Wiadomość napisano drukowanymi literami: METRO. PO DRUGIEJ STRONIE ULICY. 16.15.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła 16.06. To mogła być pułapka. Po-myślał o kilku sprawach, które prowadził w okresie ostatnich dwóch lat, 211

w tym jednej zahaczającej o zewnętrzne kręgi mafii. Każdy gliniarz w mieście wiedział, jak bardzo ci goście lubili się mścić. Ale jego rola ograniczała się do marginalnych działań, nad całością czuwało bowiem FBI. Na pewno nie czyhaliby na niego. I na zatłoczonej stacji metra, w ciągu dnia?

Ponownie przyjrzał się tej notce. Mądrze ją wymyślono. Ktoś przechodzący obok w ogóle nie wziąłby jej za wiadomość, a raczej za notatkę, którą Sherrill mógł sam napisać, żeby o czymś nie zapomnieć. Drukowane litery nie dawały żadnej wskazówki. Ale jak ktoś mógł dostać się tutaj, do jednego z najlepiej chronionych budynków w Nowym Jorku, i wyjść potem tak szybko? Nie miał pojęcia.

I nie miał też wyboru. Pójdzie tam. Nie można zignorować bezpo-

średniej wiadomości tego rodzaju. Żaden policjant by tak nie postąpił.

Wyszedł głównym wejściem i miał właśnie skręcić w lewo do stacji metra, kiedy coś przykuło jego uwagę. Znajdowało się dokładnie po drugiej stronie ulicy. Metro, bar kanapkowy. To było ostatnie miejsce w całych Stanach Zjednoczonych, które jakikolwiek mafioso wybrałby na dokonanie zamachu: usytuowane naprzeciwko komendy policji, tłoczyli się tam funkcjonariusze, napychający się trzydziestocentymetrowymi stekami „dla bohaterów” z pełnym zestawem ekstradodatków. Był to rodzaj lokalu, jakiego pierwszoligowy detektyw Sherrill zawsze unikał, wiedząc o drwinach, jakich nie oszczędziliby mu starzy wyjadacze w chwili, gdy przekroczyłby próg.

Popchnął drzwi i rozejrzał się po wnętrzu, mając przy tym nadzieję, że nie zachowuje się zbyt ostentacyjnie. Rząd klientów, gliniarzy i sekretarek podczas lunchu, dwóch facetów w średnim wieku z telefonami komórkowymi przy uchu. Wydawało się, że nikt z nich go nie rozpozna-je.

– Przepraszam – powiedział Sherrill, ciągle przyglądający się twarzom, kiedy ubrany w niebieski kombinezon zamiatacz mechanicznie przesuwiał szczotkę i pojemnik na śmieci z automatycznie otwieraną 212

klapą. To jeden z żalosnych, lalusiowatych nawyków, których Sherrill nie mógł się pozbyć: przeproszenia, gdy ktoś wpadł na niego.

—

Nie ma sprawy, detektywie – wymamrotał sprzątacze w odpowiedzi.

Sherrill obrócił się na pięcie, żeby spojrzeć na tego mężczyznę. Był

czarny, z dreadami na głowie i z białymi słuchawkami w uszach. Aż uniósł brwi, rozpoznając go.

—

Przejdzie się pan?

Detektyw nic nie odpowiedział zupełnie oniemiały, podczas gdy facet wziął swój sprzęt do zmiatania, wyszedł drzwiami frontowymi i ruszył

przed siebie. Już na zewnątrz sprzątacze szedł krokiem człowieka, który wie, dokąd zmierza, nie czekając na Sherrilla. Nie zmieniał tempa i patrzył prosto przed siebie, dzięki czemu mogli uchodzić za dwóch nowojorczyków spieszących się we własnych sprawach.

—

Dzięki za przyście, detektywie Sherrill. Przepraszam za to. —

Wykonał ręką niewielki ruch.

—

Kim pan jest? Skąd zna pan moje nazwisko?

—

Działamy po tej samej stronie barykady. Jestem agentem z wydziału wywiadu nowojorskiej policji. Tajnym. — Nadal patrząc przed siebie, uśmiechnął się krótko. — To na wypadek gdyby pan nie zauważył.

—

Jakim cudem...

—

Dostałem się do pańskiego biura? To było łatwe. Mam policyjną legitymację. Poza tym... kombinezon sprzątacza? W tym mieście to niczym czapka-niewidka. Pieprzyć Hogwartczyków. Wystarczy być czarnym i ubrać się jak sprzątacze: nikt cię wtedy nie widzi, niech mi pan wierzy. Hej, detektywie,

niech pan wyciągnie komórkę.

—

Moją komórkę? Po co?

—

Niech pan udaje, że przez nią rozmawia. I niech pan przestanie się na mnie gapić.

Po raz drugi w ciągu sześciu godzin Jay Sherrill zdał sobie sprawę ze swojego braku doświadczenia. Nigdy nie wykonywał tajnych zadań. Nie 213

miał pojęcia o najprostszych zasadach. Zrobił, co mu kazano i próbował udawać, że rozmawia przez telefon.

—

No dobrze, czego pan chce?

—

Niczego nie chcę. Ryzykuję tu moją pierdoloną posadę...

—

Przepraszam, nie chciałem...

—

Czego chcę? Ludzie, co się z wami dzieje?

—

Naprawdę przepraszam. To było...

—

Mam pewne informacje, które mogą panu pomóc.

—

Informacje? – powtórzył Sherrill wysokim głosem.

—

Dotyczące śmierci Geralda Mertona.

–
Jaki rodzaj informacji?

–
Od naocznego świadka.

Sherrill nie potrafił się powstrzymać i zerknął na mężczyznę idącego tuż przed nim. Potem, z poczuciem winy, skierował wzrok przed siebie, jak wszyscy rozmawiający na ulicy przez telefon.

–
Był pan tam?

–
Widziałem wszystko. Od początku.

Rozdział 33

–
Po pierwsze, chcę, żebyś się uspokoiła. Naprawdę trzeba teraz zachować spokój.

–
Musimy stąd iść.

–
Tego nie możemy zrobić. Zostaniemy i wezwiemy policję.

–
Mówię poważnie! – Rebecca wyrwała się z objęć Toma i wbiła w niego wzrok. – Musimy stąd odejść. I to jak najdalej. Gdzieś, gdzie nie ma ludzi.

–
Daj spokój, Rebecca.

–
Nie zauważyłeś? – Jej głos brzmiał piskliwie, łamał się. – Dzieje się tu coś bardzo złego i to podąża naszym śladem. Najpierw moje mieszkanie, teraz to. – Wskazała na zwłoki Henry'ego Goldmana, leżące na wyłożonej puszystą wykładziną podłodze gabinetu, jego twarz zastygła w grymasie szoku.

–
Wiem, rozumiem – powiedział Tom. W głowie miał gonitwę my-

śli. Coraz trudniej było zaprzeczyć, że niebezpieczeństwo depcze im po piętach. Oczami wyobraźni zobaczył porażający obraz – Rebeccę brutalnie zamordowaną. Wyrzucił go z myśli: najważniejsze było skupienie się. – Nie możemy nigdzie iść. Musimy to zgłosić. Od razu. – Przygotowywał się na kłótnię, ale nie mieli przecież wyboru. Pomyśleć tylko, jak by to wyglądało, gdyby nie zawiadomili policji. Widzieli się z Henrym Goldmanem tego popołudnia, ale ich spotkanie zostało przerwane.

215

Goldman zadzwonił później do syna, robił wrażenie podekscytowanego, Julian na pewno opowie o tym policji. Tom przeklinał się teraz za brak panowania nad sobą w sali konferencyjnej. Sekretarka potwierdzi zeznania Juliana, powie detektywom o podniesionych głosach, które słyszała.

A Julian potwierdzi wtedy, że rozmawiał z Rebeccą tego wieczoru i przypomniał jej domowy adres ojca. – Musisz zadzwonić na policję i to zaraz.

–
Ja?

–
Będzie to lepiej brzmiało. Jesteś przyjaciółką rodziny. Masz po-wód, żeby tu być. No i jesteś kobietą.

Podniósł słuchawkę bezprzewodowego telefonu z ładowarki na biurku Goldmana i zaraz tego pożałował: odciski palców. Cholera, Rebecca zostawiła swoje odciski dosłownie wszędzie, w tym na ciele Goldmana.

Dotykała jego nadgarstków, szyi. Spojrzał na zwłoki: rozdarła staremu koszulę na piersiach, odrywając wszystkie guziki. Będą musieli się z tego wytłumaczyć.

Było zbyt późno, by naprawić błąd, dlatego wybrał 999 i podał jej telefon.

–
Poproś, żeby połączyli cię z policją.

Rebecca nadal miała przyśpieszony oddech. Połączono ją po kilku sekundach.

–
Chciałabym zgłosić morderstwo.

–
Nie! – Tom wrzasnął bezdźwięcznie, nadając temu rozpaczliwy wyraz i gorączkowo potrząsając głową. I dodał scenicznym szeptem: –

Dzwonisz, żeby zgłosić znalezienie zwłok.

Spróbowała to naprawić, ale już się stało. Tom widział oczami wyobraźni, jak nagranie tej rozmowy zostaje zaprezentowane ławie przysię-

głych w czasie przyszłego procesu Rebecki Merton i Toma Byrne'a oskarżonych o zabicie Henry'ego Goldmana. Wiedział, jak zostanie odebrane. Rozmasował skronie.

Po rozłączeniu się Rebecca spojrzała na Toma.

–
Przepraszam – powiedziała. – Nie wiem...

216

–
Powinnaś zadzwonić do Juliana. – Każda chwila zwłoki będzie wyglądała podejrzanie. Wzięła telefon i wyszła z pokoju, choć i tak słyszał jej rozmowę z korytarza. Zdumiało go, jak szybko wzięła się w karby. Domyślał się, że teraz był to głos lekarki, którego używała, gdy miała do przekazania rodzinom złe wieści.

Przez okna w gabinecie zobaczył niebieskie światła radiowozu i po-jawienie się dwóch ludzi w mundurach. Miejscowe woły, pomyślał Tom.

Pierwsi, wysłani, by zabezpieczyć miejsce przestępstwa. Ważniacy pojawią się później, kiedy tylko dowiedzą się, o co chodzi.

Tom podszedł do drzwi zamkniętych tylko na klamkę, tak jak wtedy, gdy przyjechali tu z Rebeccą. Otworzył je i gestem zaprosił obu męż-

czyn do wejścia.

Przedstawili się jako posterunkowi, pokazali legitymacje i wyciągnęli notatniki. Zaczęli od Toma, wypytyując go o szczegóły, podnosząc na niego wzrok, gdy podał im nowojorski adres. Przyszła Rebecca. Stali teraz w holu we czwórkę niczym para gospodarzy witająca gości na obiedzie.

Mówił starszy z mężczyzn.

–

Poprosiłbym panią, żeby pani usiadła, ale na tym etapie wolał-

bym tego nie robić, bo moglibyśmy zatrzeć jakiś ważny ślad.

Zgodnie z obawami Toma traktowali ten dom jako miejsce zbrodni.

—

W takim razie może powiecie mi państwo, co się stało?

Policjanci kiwali głowami, kiedy Rebecca wyjaśniała, że Henry Goldman był przyjacielem jej zmarłego ojca. Tom stwierdził z ulgą, że żadnemu z funkcjonariuszy nazwisko Mertona nic nie mówiło, choć wydrukowano je tego dnia we wszystkich gazetach. Słuchali, gdy mówi-

ła, że przyjechali tu, by dokończyć rozmowę zaczęłą wcześniej tego popołudnia. Potem obaj wzięli długopisy i notowali zawzięcie, gdy powiedziała, że drzwi frontowe nie były zamknięte.

Oczywiście, pomyślał Tom. To najważniejszy szczegół, trefny fakt, który zmieni znalezienie martwego człowieka w śledztwo dotyczące 217

morderstwa. Spostrzegł, że starszy z policjantów zerka bez przerwy na niego, choć to Rebecca mówiła. Poczekaj, pomyślał Tom, aż się dowiesz, że znam Rebeccę Merton od niecałych dwunastu godzin. Poczekaj, aż odkryjesz, po co właściwie przyjechałem do Londynu. Z trudem przychodziło mu powstrzymanie się od objęcia głowy rękami.

Wkrótce przyjechał lekarz, który potwierdził, że Henry Goldman nie żyje, a za nim nadjechał drugi wóz policyjny, tym razem z fotografem, który od razu skierował się do gabinetu, żeby utrwalić widok zwłok Goldmana pod każdym kątem. Razem z nim zjawiał się detektyw po cy-wilnemu. W ciągu ostatnich dwóch dni Tom spotkał już ludzi jego pokroju, ale wolał to zachować dla siebie. Ten mężczyzna był Azjata, co nakierowało myśli Toma na Harolda Allena, swego czasu wschodzącą gwiazdą nowojorskiej policji, utraconego z powodu batalii dotyczącej rasizmu w policji. Tamto spotkanie z Sherrillem i Allenem należała jakby do innej epoki, a Nowy Jork wydawał się leżeć dalej niż tylko za oceanem.

Detektyw poprosił, by wyszli na zewnątrz: nie chciał więcej śladów stóp w korytarzu od tych, które już istniały. Wyszli zatem przed dom i stanęli w grupce na podjeździe. Tom patrzył, jak posterunkowi zaczynają ogradzać cały teren plastikową taśmą.

Starszy stopniem funkcjonariusz zadał im te same pytania od począt-ku, choć dodał kilka innych, zawierających, zdaniem Toma, nutę groźby.

—

Zatem przyjechaliście państwo tutaj i weszliście do środka, co było dla pani naturalne, bo często bywała pani w tym domu jako dziecko, czy tak?

—

Nie, nie, to nie tak...

—

A gdy już byliście w środku, pani znalazła ciało. Znalazła je pani w gabinecie. Co oznacza, że musiała pani zacząć szukać, przejść korytarzem i tak dalej, żeby je znaleźć, czy mam rację? A potem, pani Merton, kiedy je pani zobaczyła, przystąpiła pani do reanimacji pana Goldmana.

Oddychanie usta-usta i tak dalej, czy mam rację?

218

—

Resuscytacja krążeniowo-oddechowa.

—

W porządku. I zrobiła to pani, bo podejrzewała... co?

—

Podejrzewałam zatrzymanie akcji serca. Atak serca.

—

W jakim stanie był pan Goldman, kiedy przystąpiła pani do reanimacji?

—

Nie żył.

—

To wiem, pani Merton. To wiem.

—

Pani doktor Merton – wtrącił Tom.

Rebecca położyła mu rękę na dłoni. Przestań.

Detektyw spojrzał teraz surowo na Toma, jakby oglądał paskudną plamę na dywanie, zanim przeniósł wzrok na Rebecce.

—

Zmierzam do tego, że najwyraźniej nie żył od niedawna. Bo inaczej nie próbowałyby go pani

reanimować, czy mam rację?

–

Nadal był ciepły, jeśli o to panu chodziło.

–

Właśnie o to mi chodziło, pani doktor. Właśnie o to. Dziękuję. A co z panem, panie Byrne? Co pan robił przez cały ten czas?

–

Patrzyłem, jak Rebecca stara się go uratować. Pocieszałem ją, kiedy stało się jasne, że było za późno. A potem zadzwoniliśmy na policję.

–

Tak. Telefon. To mnie interesuje. W notatce, którą mam, stwierdzono, że telefon odebrano dzisiaj o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć i zgłoszono morderstwo. Jednego nie...

–

Czy mogę panu zadać pytanie, detektywie? – Tom wyprostował

się na całą wysokość, by uwidocznic, że jest wyższy od policjanta o trzydzieści centymetrów. – W jakim właściwie charakterze pan nas przesłuchuje?

Oczy Rebecki stały się duże: Nie zadzieraj z nim.

–

Nie bardzo rozumiem, panie Byrne?

–

Traktuje nas pan jako świadków czy jako podejrzanych?

Rysy detektywa nagle stały się surowe.

–

To, szczerze mówiąc, staram się ustalić.

Rozdział 34

Zastanawiał się, czy nie grozi mu ocena dubeltowego kutafona. Ten rodzaj kary stał się nieodłącznym elementem całej krajowej biurokracji.

Mówili o nim urzędnicy państwowi ze wszystkich resortów: obrony, edukacji i tak dalej. Bo jedna rzecz charakteryzowała szefa przede wszystkim – tkwił na świeczniku od straszliwie dawna, wykonywał każ-

dą pracę. Nie było nikogo powyżej dwudziestki i poniżej osiemdziesiątki, choćby tylko mglisto powiązanego z rządem, kto nie pracowałby pod jego kierownictwem przynajmniej raz. Jego reprimendy stały się legendarne – nawet dzieci w szkołach na głębokiej prowincji je znały

– choć rzecz jasna nie mówiły o uznaniu kogoś za dubeltowego kutafona.

Nikt nie wiedział, kiedy zrobił to pierwszy raz, ale krążyło wiele historii na ten temat. W niektórych opowiadano, że pierwszą ofiarą był

pechowy gość, któremu nie udało się podkupić przewodniczących trzech najważniejszych związków zawodowych na dzień przed wyborami par-tyjnymi i szef nagle zdał sobie sprawę, że przegra. „Jaki kutafon może popełnić taki błąd, ty kutafonie?” – zapytał na spotkaniu z doradcami, które dziennikarze nazwali potem spotkaniem przedśmiertnym. Dwa razy kutafon w jednym zdaniu: dubeltowy kutafon.

A teraz sekretarz, przeklinając swoje szczęście, bo przyszło mu po-dróżować z szefem w czasie tego kryzysu, był gotów się założyć, że stał

w kolejce po takie samo potraktowanie. Nieważne, co widział świat na 220

zewnątrz – Pana Eloquentnego Mówcę i Znaczącego Literaturę – on miał

świadomość, że szef potrafi być wulgarnym i brutalnym despotą. Nie utrzymałby się na samej górze tylko dzięki urokowi.

Zresztą nieważne, było późne popołudnie, a ten dzień należał do długich. Ale szef się zestarzał. Może nie ma już tyle energii na podobne teatralne sceny. Sekretarz łudził się nadzieją.

Zapukał do drzwi apartamentu szefa i wszedł. Jak można się było spodziewać, stary miał na sobie garnitur i nieskazitelnie wyprasowaną koszulę, i dopiero co się ogolił. Siedział przy stole nakrytym do podwieczorku – jedno z anglofilskich dziwactw szefa – mając niczym nieprześlonięty widok z okna na Manhattan powoli pogrążający się w zmierzchu.

–

Jakieś nowiny? – zapytał, zanim sekretarz zdążył przejść przez pokój.

Żadnego witaj, żadnego zaproszenia, by się przysiadł, nawet nie przeniósł spojrzenia. To nie wróżyło nic dobrego.

–

To i owo. – Przeklinał sam siebie za to, że nie przeciwiczył tego momentu. Powinien był usiąść z kartką i długopisem i dokładnie opracować to, co miał zamiar powiedzieć.

–

Hę?

—

Można by powiedzieć, że mam dobre i złe wieści.

—

Co to za złe wieści?

Cholera.

—

Cóż, nabierają sensu dopiero wtedy, jak usłyszysz się te dobre, proszę pana – zaczął sekretarz, niedowierzając sam sobie, że w tak oczywisty sposób pakuje się w pułapkę. – To znaczy, że ten Henry Goldman nie będzie nam już sprawiał problemów. Nie zdołał przekazać... eee... kluczowej informacji obiekt... przepraszam, ludziom, których śledzimy, przepraszam, to znaczy ludziom, których obserwujemy, to znaczy tym, którzy interesują się...

—

Bełkoczesz. Co się stało?

—

Goldman nie żyje, proszę pana.

221

—

Co? Jak?

—

Dziś wieczorem. W domu.

Twarz starego człowieka poczerwieniała.

—

Czy my za to odpowiadamy?

—

Nie w taki sposób, żeby dało się to udowodnić, tak uważam, proszę pana.

–
Ty tak uważasz? – Szef uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły sztucce, talerze i dzbanek na mleko. –
Co masz na myśli, mówiąc, że tak uważasz? Co się tam stało, do kurwy nędzy?

Zaczyna się, pomyślał sekretarz. Nadciąga burza.

–
Czyżbym nie wydał dość jasnych instrukcji? – Teraz jego głos stał się niski, chłodny, co było jeszcze bardziej przerażające. – Czy mó-

wilem nie do końca zrozumiałe? A może wolno i wyraźnie powiedziałem wszystko tak, by każdy kretyn mógł zrozumieć, że ma nie być żadnych ofiar? Możemy używać perswazji, nawet upokarzać, ale nic więcej. Czy nie wyraziłem się wtedy na wskroś przejrzyście?

–
Nasi ludzie stosowali się do tego polecenia, proszę pana.

–
Nie bądź idiotą.

–
Problem polega na tym, że Goldman miał słabe serce. W chwili gdy ich zobaczył w swoim domu, zaczął krzyczeć, a potem chwycił się za pierś. Nie dotknęli go. To się po prostu stało.

–
Nie próbowali go ratować?

Sekretarzowi nawet nie przyszło to do głowy.

–
Nie wydaje mi się, proszę pana.

Szef już nie krzyczał.

–
O ile pamiętam, za moich czasów ludzie wypełniający podobną misję nie zostawiliby ot tak umierającego człowieka. Coś by zrobili.

Tak, proszę pana.

Stary opadł na fotel. Wydawał się jakiś mniejszy.

–

Znaleźli coś?

–

Tak. – Miał zamiar dodać, że to właśnie ta dobra nowina, ale zrezygnował z tego. – Tak się złożyło, że kiedy zjawili się nasi ludzie, 222

Goldman przeglądał akurat jakieś papiery. Nie mieli czasu na ich analizowanie, ale uważają, że dotyczą naszej sprawy.

–

A jeśli są jeszcze jakieś inne papiery?

–

Przeglądał zawartość pudła, proszę pana. Najwyraźniej wszystko trzymał w jednym miejscu. Prawdopodobnie schowane.

–

Czy te papiery są teraz bezpieczne?

–

Bez wątpienia.

–

Była tam jakaś wzmianka o... – Jego głos zawisł w powietrzu, jakby szef nagle poczuł się skrępowany. – To znaczy, czy padło tam nazwisko?

–

Tego jeszcze nie wiem, proszę pana. Trzeba będzie parę rzeczy przetłumaczyć.

–

A co z dziewczyną i tym facetem?

–

To oni znaleźli ciało Goldmana.

—

Mają kłopoty?

—

Mam informację, że zabrała ich policja. Zostali zatrzymani. Są teraz w areszcie.

Stary podrapał się po brodzie. Sekretarz nie potrafił powiedzieć, czy ta ostatnia informacja ucieszyła go, czy przstraszyła. Szef po prostu przetrwał tę wiadomość, kalkulował.

W końcu odrzucił serwetkę i odsunął się z krzesłem od stołu. Potem prawie niedosłyszalnie wymamrotał dwa słowa bardziej do siebie niż do sekretarza, który stał nieruchomo przy stole niczym kelner czekający na możliwość zabrania talerzy.

—

Cośmy zaczęli? – powiedział. I z tym słowami dał gestem znak pracownikowi, że może odejść.

Sekretarz wyszedł z pokoju wolnym krokiem, niemal bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Obeszło się bez dubeltowego kutafona. Szef był

bardziej przygaszony niż ożywiony. I w przedziwny sposób to wszystko było jeszcze bardziej przerażające.

Rozdział 35

Tom wyczuwał powstały w umyśle detektywa dylemat, przed którym policjant stanął kilka minut przed dotarciem na miejsce. Rebecca i Tom byli bez wątpienia szacownymi obywatelami, lekarką i prawnikiem, i zrobili coś godnego uznania, od razu alarmując władze. W normalnych okolicznościach policja podziękowałaby im po prostu za altruistyczną postawę i puściła wolno.

Ale zostawała jeszcze trudna sprawa otwartych drzwi. Ludzie, jeśli siedzą w domu, na ogół mają zamknięte drzwi. Ktoś inny poza Henrym Goldmanem musiał się dostać do środka, co z kolei oznaczało, że śmierć adwokata nie nastąpiła wyłącznie z przyczyn naturalnych. No i był jeszcze telefon od Rebecki: dlaczego powiedziała, że zgłasza morderstwo?

Stąd i dylemat detektywa. Mógłby rozpocząć pracę od założenia, że popełniono przestępstwo i traktować Rebecę i Toma jako przydatnych świadków. Okazywałby im, rzecz jasna, ogromną uprzejmość, nie tracąc z oczu możliwości, że jednak byli zabójcami: podczas każdego śledztwa w sprawie morderstwa nie można nikogo wykluczać.

Ale takie podejście niosło ze sobą ryzyko. Gdyby bowiem oskarżył

ich na podstawie informacji uzyskanych od nich jako świadków, przekreśliłby ich wartość

dowodową. Przesłuchiwanie podejrzanych to zupełnie inna historia: należy ich oficjalnie ostrzec i powiedzieć w obecno-

ści adwokata, jakie mają prawa. Dlatego też, choć detektyw miał ochotę pogadać z Tomem Byrne'em i Rebecca Merton na luzie, nie mogło to 224

trwać w nieskończoność. I to właśnie, zdaniem Toma, był dylemat policjanta.

Ostry snop światła omiół podjazd: to pewnie Julian. Nie czekając na pozwolenie, Rebecca odeszła od policjanta i ruszyła w kierunku samochodu. Tom spostrzegł wyraz lęku na twarzy detektywa: jeżeli uważał

Rebecę za potencjalnie podejrzaną, nie powinien pozwolić jej na pogawędki z synem zmarłego, bo mogłaby narzucić mu swoją wersję wydarzeń.

—

Powiem panu, co moim zdaniem powinniśmy zrobić – odezwał

się detektyw niespodziewanie. – Może po prostu pójdziemy wszyscy na posterunek? Porozmawiamy sobie, złożą państwo pełne zeznania jako świadkowie, a potem rano zobaczymy, jak sprawa będzie się przedstawiała.

—

Po sekcji zwłok, jak rozumiem.

—

Tak. To powinno rzucić światło na wiele rzeczy. Mam rację, panie Byrne?

* * *

Po tych słowach policjantowi zaczęło się śpieszyć. Tom był pewny, że chodziło mu o to, by skrócić do minimum czas, jaki Rebecca spędzi z Julianem.

—

Mamy tu samochód. Może od razu zawieziemy państwa na komisariat? – powiedział detektyw.

—

Damy sobie radę. Mamy własny samochód.

—

Dziś wieczorem spotkało państwa traumatyczne przeżycie. Z te-go, co uczono nas o pomocy ofiarom,

wiem, że ludzie, którzy doświadczyli dużej przykrości, często są zbyt zaszokowani, żeby prowadzić.

Nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy.

Tom przystał na to, choć nie mógł stłumić podejrzania, że detektywowi chodziło przede wszystkim o przeszukanie saaba, nawet bez naka-zu, zanim podejrzani mieliby okazję go posprzątać.

225

Zabrano ich do komisariatu w Kentish Town, ciasnego, okropnego miejsca, pełnego pokoi oświetlonych jarzeniówkami i twardych plastikowych krzeseł. Przesłuchano ich oddzielnie, zgodnie z oczekiwaniami Toma. I niemniej przewidywalnie detektyw zaczął od Toma. Szybko zorientował się o powiązaniu Rebecki Merton z wydarzeniami opisywanymi w gazetach. Tom wyjaśnił, że właśnie dlatego poszli na spotkanie z Goldmanem, bo był starym przyjacielem jej ojca, i ku wielkiej uldze Toma detektyw nie drążył tego tematu. Bez wątpienia zatrzymał tę część przesłuchania na dzień, kiedy zostanie im oficjalnie przyznany status podejrzanych – teraz byli bowiem jedynie nieformalnie i zwyczajnie podejrzewani – wtedy będzie mógł wypytać ich, tak jak trzeba.

Taka perspektywa budziła w Tomie strach. Jakby cała ta sprawa nie była już wystarczająco skomplikowana. Od którego miejsca by zacząć?

Od pistoletu w łazience hotelowego pokoju Geralda Mertona? Od notesu? Od DIN? I jak Rebecca wyjaśni fakt, że nie zgłosiła włamania do swego domu?

Tom pomyślał ponownie o Jayu Sherrillu. Wiedział, że powinien do niego zadzwonić, zdobyć się na wysiłek, żeby przynajmniej go ponaglić.

Ale co miałby, do cholery, powiedzieć? „Och, cześć, Sherrill. Niech pan posłucha, jest bardzo zabawnie, bo pomagam w śledztwie policji również tutaj. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?”. Brzmiałoby to jednak zbyt absurdalnie i było szyte grubymi nićmi. Już i tak rzucił Sherrillovi smaczny kąsek w postaci informacji o dawnej działalności Mertona w grupie samozwańczych sędziów. Na resztę musi poczekać. Była to zagadka, którą tylko on i Rebecca mogli rozwiązać, co do tego nabrał pewności – bez żadnej pomocy czy wtrącania się policji, wszystko jedno, czy nowojorskiej, czy londyńskiej.

– Tędy, bardzo proszę. – Młodszy stopniem funkcjonariusz poprowadził ich do jakiegoś elektronicznego urządzenia, podobnego do urzą-

dzeń na amerykańskich lotniskach, gdzie przytyka się palce do szybki i są pobierane odciski.

226

–

Dlaczego musimy to robić? – zapytał Tom, a Rebecca na niego spojrzała. – Czy nasze odciski zostaną wprowadzone do bazy danych?

Jak długo będą w niej trzymane?

Detektyw się uśmiechnął.

–

Gdy ktoś raz stanie się adwokatem swobód obywatelskich, już na zawsze nim pozostaje, mam rację, panie Byrne? – Powiedział im, że nie mają się czego obawiać.

Chodziło jedynie o wyłączenie ich ze śledztwa i umożliwienie policji zidentyfikowania odcisków palców obcych osób. – To jest dobrowolne, możecie państwo odmówić, jeśli chcecie. Ale jeśli się zgodzicie, bardzo pomożecie. – Wyniki zostaną zniszczone, nie dodamy ich do krajowej bazy danych.

Toma jednak to nie uspokoiło. Domyślał się, że jeśli ktoś włamał się do domu Henry'ego Goldmana, to zapewne pomyślał o włożeniu rękawiczek. Co oznaczało, że jedyne odciski na drzwiach, ścianach i biurku, a także na samym Goldmanie, będą należały do niego i do Rebecki.

W końcu, mniej więcej po trzech i pół godzinie po tym, jak przyjechali w okolice Hampstead Heath, detektyw powiedział, że przypuszczalnie rano dostanie wyniki sekcji zwłok: jeżeli Goldman zmarł z powodów naturalnych, bez żadnych śladów trucizny bądź narkotyku, nie będzie śledztwa w sprawie morderstwa. Tom i Rebecca więcej o nim nie usłyszą. I z tymi słowami puścił ich wolno.

Wyszli na zewnątrz w przejmująco chłodne powietrze przedwcześnie jesiennej nocy i zdali sobie sprawę, że nie mają żadnego środka transportu. Tom miał zamiar wrócić na komisariat i poprosić o numer lokalnej firmy taksówkowej, kiedy nadjechała taksówka. Wsiadli i ruszyli na wschód.

W głowie mu pulsowało. Od sobotniej nocy przespał jedynie kilka godzin przez sprawę Fantonich, Mirandę i lot z Nowego Jorku, i teraz był środowy ranek. Nie miał już trzydziestu lat. Ale jego wyczerpanie wiązało się z czymś więcej niż tylko brakiem snu. Zmęczenie brało się 227

też z długiej i uporczywej frustracji, wynikało ze zmagania się z problemem, który nie dawał się rozwiązać.

Razem z Rebecką, byli za bardzo wykończeni, żeby rozmawiać. Tom patrzył przez okno. Niezależnie od tego, jak Londyn bardzo się zmienił, nadal wydawał się miastem martwym nocą. Oczywiście nie okolice pokazywane turystom, West End czy dzielnica teatrów, ale Londyn londyń-

czyków, miejsca, gdzie mieszkali ludzie. Rzucający się w oczy kontrast w porównaniu z Nowym Jorkiem: brak delikatesów, kawiarni i księgarni, działających do późna w nocy.

Kilka godzin wcześniej Stoke Newington Church Street bez wątpienia tętniła życiem, ludzie w kaskach rowerzystów wylaniali się z siatką z zakupami z ekologicznych supermarketów, pary przeszukiwały półki w wypożyczalniach wideo specjalizujących się w „kinie światowym”. Tom wyobrażał sobie ludzi, którzy tutaj mieszkali, prawicowych adwokatów i lewicowych pracowników organizacji pozarządowych. W innym życiu bez trudu mógłby stać się jednym z nich. Ale o tej porze nikogo nie było w pobliżu, jedynie paru maruderów wychodzących z barów. Powolny wielki pojazd do czyszczenia ulic błyskał światłami i pikał przy krawęż-

niku.

Tom nie chciał tu być, podrygiwać w górę i w dół na garbach spowalniających, na przyprawiających o ból głowy ulicach londyńskiej gminy Hackney. Wolałby wrócić do mieszkania Rebecki albo do hotelu, nawet jeśli tylko po to, żeby odpocząć, ale Rebecca natychmiast odrzuci-

ła oba te pomysły. Jeszcze w policyjnym radiowozie próbował jej dotknąć, co skończyło się tym, że odsunęła jego rękę, bez złości co prawda, ale z rodzajem tłumionej irytacji, jakby czas nie był odpowiedni. Zastanawiał się, czy przypadkiem źle go nie zrozumiała, czy zamiast odebrać to jako gest pocieszenia, nie uznała tego za roszczenie praw do niej, które na razie nie miały podstaw.

Widać było wyraźnie, że jest przerażona. Domyślał się, że choć Rebecca Merton na pewno zahartowała się przez kilka lat pracy na urazówce, 228

to nie ma jednak żadnego doświadczenia w kontaktach z policją. Już same słowa – przesłuchanie, świadek, miejsce popełnienia przestępstwa

– wystarczały, by większość ludzi traciła głowę. Stąd też popełniła błąd, gdy dzwoniła na policję.

Ale Rebecca była już w kiepskim stanie, gdy wjeżdżali na ponadwymiarowy podjazd przed domem Henry'ego Goldmana. Tom prawie zapomniał, że nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy jej wiekowy ojciec – jedyna rodzina, jaką miała, na co wszystko wskazywało – został zastrzelony w miejscu oddalonym o tysiące kilometrów w okolicznościach, które nadal pozostawały niewyjaśnione. Jej mieszkanie stało się celem włamania, a teraz stary przyjaciel rodziny leżał martwy – kilka godzin po wyjawieniu sekretu tajnej organizacji zabójców, do której obaj należeli. Mógłby spróbować zapewnić ją, że śmierć Henry'ego Goldmana była czysto przypadkowa, że najpewniej wysiadł z samochodu z bólem w piersiach, zabrakło mu siły na zamknięcie drzwi za sobą, powlókł się do gabinetu, cały czas trzymając się za serce, i upadł

na podłogę. Mógłby dowodzić, że na pewno potrzebowali więcej informacji, nim wyciągną jakiegokolwiek inne wnioski. Ale podobnie jak ona poddał się mdlącemu strachowi, w chwili gdy zobaczył trupa. Stary prawnik został najwyraźniej zamordowany – ona mogła być następna.

Jacyś ludzie czyhający na zewnątrz polowali na informacje dotyczące życia i przedziwnej działalności Geralda Mertona. Szukając ich, przewrócili do góry nogami mieszkanie Rebecki i, co nie ulegało wątpliwo-

ści, z tego samego powodu dopadli Henry'ego Goldmana. W końcu, czy nie z takich samych pobudek on i Rebecca pojechali do Canary Wharf, a potem do Hampstead, bo przecież Goldman był jedną z niewielu żyją-

cych osób wiedzących dość dużo o DIN? Pytanie, które tłuło się teraz po głowie Toma, brzmiało: czy prześladowcy wiedzieli o Goldmanie z niezależnego źródła, czy trafili do niego, podążając za Rebecą? Pomy-

ślał, że prawdopodobnie byli śledzeni od ranka poprzedniego dnia, że złodzieje mogli się włamać do jej mieszkania, bo monitorowali jej ruchy i wiedzieli, że wyszła z domu.

229

–
Jedno rozpracowałem – powiedział ostatecznie, przerywając mę-

czącą ciszę, która towarzyszyła im od chwili, gdy opuścili komisariat. –

Alarm przeciwpożarowy.

–
Że niby co?

–
To nie był przypadek. Był zgrany w czasie.

–
Nie bardzo rozumiem.

–
To stara sztuczka. Trockiści robili to przez cały czas, kiedy studiowałem. Jeśli zebranie nie szło po ich myśli, włączali po prostu alarm przeciwpożarowy; spotkanie się kończyło, a oni mogli szykować się do walki następnego dnia.

–
Chcesz przez to powiedzieć, że Henry Goldman włączył alarm, bo nie podobały mu się nasze pytania? – Spojrzała na niego, jakby był

dzieckiem specjalnej troski.

–
Nie on.

–
Ale nikt inny nie uczestniczył w tym spotkaniu, Tom.

Nikogo innego nie było w pokoju, to przyznaję. Ale to nie oznacza, że nikt nas nie słyszał. –
Przypomniał sobie niesławne głosowanie nad drugą uchwałą dotyczącą zbliżającej się inwazji na
Irak, kiedy sze-

ściu niezdecydowanych z Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych – oscylująca
szóstka, jak ich nazywano – odkryło, że są podsłuchiwanie przez Brytyjczyków i Amerykanów. – Nie
wiem jak, ale na pewno to zrobili.

–

Kim są ci oni?

–

Chciałbym to wiedzieć.

Telefon Toma zadzwonił. O tej porze nocy to musiał być Nowy Jork.

Spojrzał na wyświetlacz: Henning.

–

Cześć.

–

Nie robisz wrażenia zadowolonego z mojego telefonu.

–

Przepraszam. Miałem kilka ciężkich godzin. – Tom zamknął

oczy z przerażenia na samą myśl, że Munchau odkryje to, co się niedawno stało: przedstawiciel ONZ
znalazł się w areszcie policji miejskiej w związku z podejrzeniem o morderstwo. Nie dość, że
Organizacja 230

Narodów Zjednoczonych była zamieszana w zastrzelenie starego Żyda, to jeszcze doszedł następny.
Zastanawiał się, jak długo zdoła utrzymać to w sekrecie.

–

Cóż, nie wykluczam, że to ci pomoże. Twój byli koledzy przekazali mi kilka nazwisk.

–

Co?

–

Pamiętasz, chodzi o klub seniora? Siedemdziesiątka i więcej?

—

Ach to. Jasne. — Zupełnie o tym zapomniał. Miał wrażenie, że dzwonił w tej sprawie do Henninga wieki temu.

—

Nie rozpraszaaj się, Tom.

—

Przepraszam. Jestem z powrotem. Co masz?

—

To wstępny wynik poszukiwań, ale mówią, że bardzo by się zdziwili, gdyby doszedł do tego ktoś jeszcze.

—

Mów dalej. — Teraz, gdy był zmuszony wprowadzić umysł w stan rozruchu, czuł podekscytowanie. To mógł być przełom, którego potrzebowali: jakiś stary Niemiec, prawdopodobny cel ostatniej misji DIN, i wszystko stanie się jasne.

—

Zatem nie będziesz zaskoczony, gdy usłyszysz, że nie ma nikogo takiego wśród stałych pracowników ONZ. Emerytura w wieku sześć-

dziesięciu lat i ani dnia dłużej.

—

Jasne.

—

Ale jest trzech gości, którzy mają ponad siedemdziesiątkę. Wszyscy przebywają w mieście w tym tygodniu.

Tom skinął głową, choć tamten go nie widział. Puls mu przyspieszył.

—

Chińczycy przywieźli tłumacza weterana, Li Ganga. Legenda głosi, że to on obsługiwał Mao i Nixona, ale ja w to nie wierzę. To znaczy, oni...

—
A dwóch pozostałych?

—
Cóż, jest tu prezydent Izraela. Ma osiemdziesiąt cztery lata.

—
I ostatni?

231

—
Minister spraw zagranicznych Wybrzeża Kości Słoniowej. Siedemdziesiąt dwa. Najwyraźniej piastuje to stanowisko z przerwami od lat siedemdziesiątych.

—
Dzięki, Henning.

—
Bezużyteczne?

—
To było tylko przeczucie.

Ironiczny wydźwięk tej sytuacji niemal wywołał uśmiech u Toma.

Już wcześniej zauważył, że los ma poczucie humoru. Na nazistowskich zbrodniarzy wojennych nie nadawał się przedstawiciel Chin czy Wybrzeża Kości Słoniowej, nie wspominając o Izraelu. To była ślepa uliczka. Ślepa uliczka kończąca się murem.

Tymczasem dojechali do Kyverdale Road, do domu zmarłego Geralda Mertona. Rebecca upierała się przy tym: jeżeli nie mogli dowiedzieć się od samego Goldmana tego, co miał im do powiedzenia – a nie mogli

– musieli sprawdzić, czy nie istnieje jakiś trop, rodzaj wskazówki, którą jej ojciec zostawił.

Kiedy podjechali i zapłacili za parking, Tom zastanawiał się, czy Rebecca tu wróciła pierwszy raz od śmierci ojca. Zebrał się w sobie, gotów na widok Rebecki zaliczającej kolejny emocjonalny cios. W końcu ile może znieść jedna osoba?

Patrzył, jak wyjęła kółko z kluczami, wybrała jeden i otworzyła zamek. Nie traciła czasu i ruszyła

korytarzem prosto, a potem w górę po schodach wyłożonych lichym chodnikiem. Czuł tu zapach dokładnie taki, jakiego się spodziewał – stęchlizny i zestarzałego powietrza. Na trzecim piętrze skierowała się do pierwszych drzwi przy schodach. Tom zauważył, że ręce się jej trzęsły, kiedy otwierała zamek. Gdy włączyła światło, gwałtownie wciągnęła powietrze.

Tom zerknął jej ponad ramieniem. To miejsce zostało splądrowane, przeszukane równie dokładnie jak jej mieszkanie. Poduszki pocięto, książki leżały rozrzucone po podłodze niczym ofiary na polu bitwy.

Nawet dywan zwinięto, żeby odsłonić brudny, pokryty kurzem parkiet.

232

Co najmniej dwie deski odstawały, jakby wyrwano je i potem byle jak wciśnięto z powrotem. Na ścianach wisiały dwa obrazy – abstrakcja w przedpokoju i w salonie podróba Chagalla, zwalająca z nóg scena z kimś w rodzaju żydowskiego skrzypka. Oba przekrzywione.

Mimo zapalonego światła pomieszczenia wydawały się pogrążone w ponurym półmroku. Ciężkie brązowe zasłony zakrywały okna. Tom łaził

wśród tego bałaganu i usiłował wyobrazić sobie, jak wyglądało kiedyś to miejsce. Kuchnia okazała się niewielka, z poszarzałymi białymi ścianami przypominała muzeum urządzeń gospodarstwa domowego z lat siedemdziesiątych. Przy ścianie stał dwuosobowy stół. Blisko niego stała zgrzewka z dwunastoma kartonami soku pomarańczowego. Obok, zabezpieczone folią, puszki z fasolą. Gerszon Matzkin najwyraźniej nigdy nie zapomniał lekcji z kowieńskiego getta: na wszelki wypadek dobrze jest mieć zapas jedzenia.

Były tam też radio, wazon i kilka zdjęć w ramkach, szkło zostało zbi-te niemal we wszystkich. Tom przyjrzał się bliżej jednemu ze zdjęć, najpewniej z wakacji, pokazującemu opalonego mężczyznę, bez koszuli, obejmującego prawym ramieniem kobietę, a lewym dziewczynkę, wszyscy siedzieli przy stoliku w ogródku kawiarni zalanym jaskrawym słoń-

cem. Dziewczynka miała około dwunastu lat, kościste ramiona, wystają-

ce łokcie i była niezgrabna. Ale jej zielone oczy już wtedy były kryszta-

łowo czyste. Kobieta o ciemnych włosach, podobnych do córki, oczy miała cieplejsze i brązowe.

Tom skupił wzrok na Gerszonie. Wyglądał co najmniej dziesięć lat starzej od żony, już łysy, z bujnym siwym owłosieniem na piersiach. Ale ciało miał w niezwykłej kondycji, mięśnie twarde i napięte, piersi i brzuch płaskie. I oczy równie jaśniejące jak u córki.

Tom wrócił do salonu, obejrzał leżące przy oknie, pozostałości po jedynym mocno wysłużonym fotelu. Obok stał stół z aparatem telefonicznym i magnetofonem kasetowym, relikdami z lat osiemdziesiątych. Po całej podłodze poniewierały się wyrzucone z przeszklonej serwantki 233

świeczniki, najróżniejsze srebrne bibeloty, kilka książek i jeszcze więcej zdjęć rodzinnych. Jedno z

nich przyciągnęło wzrok Toma: Rebecca z szerokim uśmiechem, w birecie, ma całe życie przed sobą.

Zastał ją w sypialni, wpatrzoną w kolejny przygnębiający obraz: ubrania walające się po dywanie, drzwi szafy szeroko rozwarte. Każdą szufladę na bieliznę opróżniono; krawaty wisiały niczym zapomniane, żalostne dekoracje z przyjęcia. Tom oczekiwał, że Rebecca rzuci się na łóżko i wybuchnie płaczem, ale zamiast tego wróciła po prostu do salonu. Wyraz ulgi pojawił się na jej twarzy.

—

Nadal tu są.

Uklękła i zamyśliła się nad zdjęciami w ramkach zrzucenymi na pod-

łogę. Tom przyłączył się do niej, instynktownie szukając jakichś fotografii z lat czterdziestych, z początków DIN. Może natrafiłby na wizerunek nastoletniego Gerszona Matzkin w lesie, może z kochanką Różą. Ale większość ujęć przedstawiała Gerszona w latach powojennych, zrobiono je w Anglii: świeżo upieczony Brytyjczyk Gerald Merton.

Rebecca przyglądała się uważnie jednemu z takich zdjęć. Było w osobliwym odcieniu przygaszonego pomarańczowego koloru, który zdawał się dominować na wszystkich fotografiach z lat siedemdziesią-

tych, i prezentowało pięciu mężczyzn uśmiechających się szeroko, czterech z nich miało kwadratowe ciemne okulary. Tom rozpoznał Geralda, jego szerokie baczki połyskiwały siwizną. Wszyscy byli w wizytowych strojach, choć zdjęli marynarki. Mężczyzna pierwszy z prawej strony unosił kieliszek.

—

Joe Tannenbaum. Umarł niedługo po zrobieniu tego zdjęcia —

wyszeptała Rebecca. — I Geoffrey Besser. Zmarł mniej więcej dziesięć lat temu. — Jej palec zawisł na ostatnim mężczyźnie, radośnie wznoszą-

cym toast za zdrowie fotografa. — Ale tego zupełnie nie pamiętam.

—

Co to za zdjęcie?

—

To byli najbliżsi przyjaciele taty.

Tom zerknął na jej twarz w poszukiwaniu oznak nostalgii lub wspomnień. Ale Rebecca miała ściągnięte brwi.

–

Nie rozumiem. Na co patrzysz?

–

Przepraszam. Powinnam ci powiedzieć. To musi być wesele mojego kuzyna w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. A ta grupa tutaj... – ustawiła zdjęcie pod kątem, żeby mógł je dobrze widzieć – ...to klub pokerowy.

Tom cofnął się o krok, nadeptując jednocześnie na książkę o Jerozolimie. Na fotografii widać było pięciu mężczyzn w średnim wieku, o pogrubiałych podbródkach, początkach łysiny, śmiejących się prawdopodobnie z oklepanego dowcipu. Byli pięcioma ludźmi ocalałymi z piekła, którzy ułożyli sobie życie w Londynie. Gerald Merton założył pralnię, ojciec Henry'ego Goldmana został hurtownikiem damskiej odzieży.

Patrząc na to zdjęcie, nikt by się nie domyślił, do czego zdolni byli ci mężczyźni – do precyzyjnego planowania zabójstw określonych osób, które ścigali na kilku kontynentach. I nikt nie pomyślałby nawet o ge-hennie, która ich do tego pchnęła.

–

Tu jest ojciec Henry'ego Goldmana, tutaj – nadal mówiła bardzo cicho, pokazując palcem. – Nie znam jedynie tego faceta, o tu. Nazywał

się Sid jakoś tam.

Tom wpatrywał się w mężczyznę, którego wskazywała, tego z unie-sionym kieliszkiem. Teraz, gdy znał historię bractwa, czy tylko oszukiwał sam siebie, czy rzeczywiście dostrzegł coś w tych pięciu twarzach?

Gerald Merton miał zmęczenie w oczach widoczne na każdym zdjęciu oglądanym przez Toma. Niemniej coś bardzo podobnego zobaczył w spojrzeniach pozostałych. Stalowa wola ukryta pod dobrodusznymi uśmiechami.

I wtedy Tom coś dostrzegł.

–

Czy to jest to, co myślę? – zapytał, pokazując niebieskawą plamę na przedramieniu Sida, którego nazwiska Rebecca nie pamiętała. Rękaw miał podwinięty, przedramię połyskujące od potu, może po jakimś wyczerpującym tańcu. Tom był kiedyś na żydowskim weselu kolegi ze szkoły. Ich tradycyjne tańce wymagały sporej sprawności.

–
Tak, Sid był w Auschwitz. – Jej palec zawisł nad niewyraźnym niebieskim numerem wytatuowanym na ramieniu mężczyzny unoszącym kieliszek.

Tom nie potrafił się oprzeć i spojrział w jego oczy, prawie niewidoczne za grubymi, najwyraźniej przyciemnianymi okularami. Jakie straszne rzeczy widziały? Czy ich obraz utrwalił się w pamięci? Czy Sid widział

je nawet wtedy, w noc tańca, przepoconych koszul i toastów?

–
Sid Steiner! Tak się nazywał. Sid Steiner.

–
Żyje?

–
Nie mam pojęcia. Ale myślę, że powinniśmy się tego dowiedzieć.

Rozdział 36

Wśród panującego bałaganu w środku nocy usiedli obok siebie na pociętej kanapie Geralda Mertona i oboje wpatrywali się w niewielkie jasno świecące urządzenie, które Tom trzymał w dłoniach. To był jego blackberry, nie używali go jednak do wysyłania e-maili. Ten gadżet miał

także przeglądarkę internetową, choć pracował straszliwie wolno. Dostali się do archiwum „Jewish Chronicle” i przeszukiwali ogłoszenia drobne w dawnych numerach. Z powodu hałasu robionego przez telewizor Tom z trudem mógł się skoncentrować. To on wpadł na pomysł, żeby go włą-

czyć. Jeśli ktoś podsłuchiwał ich rozmowę, tak jak w biurze Henry'ego Goldmana na Canary Wharf, o czym Tom był teraz przekonany, to mogli przynajmniej choć trochę utrudnić robotę podsłuchiwaczom. Była to prymitywna forma przeciwdziałania inwigilacji, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Zgodnie z sugestią Rebecki wklepał jedno słowo „Steiner”, a na stronie pokazały się setki linków. Przesuwali je, szukając Sida, ale choć szybko natrafili na Sida Steinera, Rebecca była rozczarowana, bo wpis był datowany sześć lat wcześniej:

„Steiner Sid. Po długich cierpieniach zmarł w wieku 89 lat. Kochany i wyjątkowy człowiek o łagodnym sercu, będzie nam go brakowało, żona Beryl, syn Davis i synowa Gaby oraz wnuczeta Josh, Daniel, Richard i Simon oraz bratowa Helen. Niech spoczywa w pokoju”.

–
W porządku, to nie on. Jego żona nie nazywała się Beryl.

–
Jesteś pewna?

–
Jestem pewna. Poczekaj, jest następny. – Ta informacja była świeższa, pochodziła sprzed dwóch lat.

„Steiner Sid. Nasz kochany tatuś, który teraz połączył się z Adą. Silny, oddany i cudowny ojciec pozostanie na zawsze w naszych sercach.

Niech spoczywa w pokoju. Ruth i Jack”.

Tom uniósł brwi i spojrzał na Rebeccę siedzącą obok na kanapie. Po-kręciła głową.

–
Dzieci nie nosiły takich imion.

–
Skąd możesz wiedzieć? Jeszcze minutę temu nie pamiętałaś jego nazwiska.

–
Mieli syna o imieniu Daniel. Dan. Pamiętam, bo mi się podobał.

Choć to absurdalne, Tom poczuł ukłucie zazdrości. A potem przypomniał mu się ich pocałunek sprzed kilku godzin i pożądanie znowu się obudziło. Zatrzymał na niej wzrok, tłumiąc chęć dotknięcia jej: nie mógł

się do niej tu przystawiać, w zdemolowanym mieszkaniu zmarłego ojca, nawet gdyby rozpaczliwie tego pragnął. Zmusił się do spojrzenia na wyświetlacz: nie było tam żadnych więcej Sidów Steinerów.

–
Okay, myślę, że to tyle – powiedział.

–
Nie zajrzałeś do nekrologów w ogłoszeniach towarzyskich.

To były nekrologi. Właśnie je przeszukaliśmy.

—

Nie, to były ogłoszenia standardowe. A są też ogłoszenia towarzyskie. Inna kolumna. Większa czcionka, inna strona. Są droższe.

—

Dwie różne klasy nekrologów? Chyba żartujesz.

—

Nie, nie żartuję.

—

Więc śmierć nie zrównuje nas mimo wszystko.

—

Nie w „Jewish Chronicle”. O jest, ogłoszenia towarzyskie. Wpisz Sid Steiner.

Wcisnął odpowiednie klawisze i pokazały się trzy wyniki. Nekrologi:

„Kochany brat, odpoczywający teraz w spokoju, będzie nam go bardzo 238

brakowało” i „Łączymy się myślami z rodziną w tym smutnym czasie”, ale zdaniem Rebecki, żaden nie odnosił się do właściwego Sida Steinera.

Albo wiek, albo imiona rodziny się nie zgadzały.

Tom odłożył blackberry i odwrócił się do Rebecki.

—

Może umarł po cichu, bez żadnego nekrologu.

—

Nie. Jeśli jest się Żydem takim jak Sid Steiner, umiera się w „Jewish Chronicle”.

—

No to gdzie on jest?

—

Nie wiem.

—

W porządku – powiedział Tom. – Zrobimy to starą metodą. Prze-
śpimy się, a rano zadzwonimy w kilka miejsc.

* * *

Tom usiłował zasnąć na prowizorycznym łóżku z pociętych poduszek i połamanej kanapy. Rebecca była obok, w sypialni ojca. Czuł się wy-kończony, miał wrażenie, że dni zwały się w jeden bardzo wyczerpujący.

A mimo to nie potrafił zapanować nad gonitwą myśli.

Następujące po sobie obrazy przemykały mu przez umysł niczym strony książeczki dla dzieci, w której kolejne rysunki tworzą iluzję ruchu. Widział chłopca z getta w łachmanach, a potem starca zastrzelonego przed gmachem ONZ, później ciało kobiety zwisające z belki, i uśmiechniętą lekarzkę sądową w Nowym Jorku, i krzywy uśmiech Rebecki, a następnie, bez ostrzeżenia... Rebecę.

To ona stała przed nim w drzwiach, obramowana światłem z sypialni.

Miała na sobie jedynie bluzkę.

Tom uniósł się tak, że teraz opierał się na łokciach. Nie powiedział
słowa, ona też się nie odezwała.

Ich pocałunki były równie żarliwe jak poprzednio – jeszcze pełniejsze pasji, bo wcześniej tłumione. Dotyk jej skóry i zapach przeszły go niczym prąd elektryczny, miał wrażenie, że płonie. I tak, w półmroku, mieszał się ich pot, smakowali się nawzajem, a w chwili gdy w nią 239

wszedł, było tak, jakby wchodzili w siebie wzajemnie. Przerazała go intensywność tego doznania, tak wielka, że pozbawiała świadomości tego, co dzieje się wokół. Już po wszystkim cisza jakby ich wiązała. Jej głowa spoczywała na jego piersi i dopiero łza, która spadła na skórę Toma, sprawiła, że się odezwał.

—

Rebecca?

Czuł, że drżała i cicho płakała.

—

Czy to dlatego, że... tutaj? Z powodu miejsca, gdzie jesteśmy?

–
Nie.

–
To o co chodzi?

–
Chciałam, żeby się to stało zupełnie inaczej.

Pogładził ją po włosach, pewny, że w pierwszym odruchu miał rację

– szaleństwem było kochać się tutaj, w mieszkaniu jej zmarłego ojca.

–
To znaczy, kiedy to wszystko się dzieje – kontynuowała. – Wola-
łabym, żeby było inaczej. Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

–
Poradzę sobie z tym, jeśli ty dasz radę.

Ponownie zapadło milczenie, ale tym razem Tom wiedział, że było jedynie preludium do następnego pytania.

–
Jak to się stało, że nie ma żadnej pani Byrne?

–
Czy to aż tak oczywiste?

–
Dla mnie tak. Była jakaś kiedykolwiek?

–
Nie. Kiedyś byłem żonaty z pracą. A potem, po wielu wydarzeniach, odciąłem się od przyszłości i od przeszłości. Zadomowiłem się w czasie teraźniejszym. Potrafiłbym co najwyżej zaplanować rezerwację stolika w knajpie na obiad, nic na dłuższą metę.

–

Ale mówisz, używając czasu przeszłego.

—

Może się zmieniłem.

—

Kiedy?

—

Przez ostatni dzień, dwa.

Wstała, poszła do kuchni i wróciła ze szklanką wody. Napiała się, po-dała mu ją, a potem położyła się znowu. Ich ciała się stykały.

240

—

A jak to się stało, że nie ma żadnego pana Mertona? Przepraszam, chciałem zapytać...

—

W porządku. Cóż, mam pacjentów. Im się poświęciłam.

—

To nie jest cała prawda.

—

Nie, prawda jest taka, że miałam ciężko z ojcem. Byłam jedynaczką. Po śmierci mamy stałam się dla niego jedyną rodziną. Wyjście za kogoś za mąż byłoby jak...

—

...zostawienie go.

—

Niewykluczone.

—

Co pomyślałby o mnie?

—
Cóż, trzeba zacząć od tego, że nie jesteś Żydem.

—
Więc?

—
Dajmy temu spokój. To kolejna psychodrama, o której nie musisz nic wiedzieć.

—
Rebecca...

Obróciła się zwinnie, by znaleźć się twarzą do niego i położyła mu palce na ustach.

—
Nic nie mów.

—
Dlaczego?

—
Bo staram się być taka jak ty. Przez całe życie albo pogrążałam się w przeszłości, albo zamartwiałam o przyszłość. Chcę się przekonać, czy umiem cieszyć się teraźniejszością. Choćby tylko ten raz.

* * *

Kiedy obudził się trochę po ósmej, Rebecca nie leżała już obok niego. Wstała i ubrała się. Wyjaśniła mu, że zbyt się niecierpliwi, by spać.

Chciała jak najszybciej rozpocząć poszukiwania Sida Steinera.

Sięgnęła po telefon. Spróbowała najpierw informacji, a ponieważ to okazało się daremne, przerzuciła się na książkę telefoniczną. Zakreśliła jeden numer, zadzwoniła, ale zgłosiła się jedynie automatyczna sekretarka. Głos należał do Sida Steinera – niemniej było to biuro rachunkowe w Hendon, więc teraz mogło już to nie mieć znaczenia.

241

—
W porządku – powiedział Tom, chowając dumę do kieszeni. —

Może w takim razie ten Daniel?

—

To było dwadzieścia pięć lat temu. Miałam niecałe siedem lat. W

ogóle nie wiem, gdzie może być dzisiaj.

Tom poczuł ulgę, nie wspomniała wcześniej, że była to dziecięca fascynacja.

—

Nie utrzymywałaś z nim żadnego kontaktu? Wiesz, gdzie pracuje?

Pokręciła przecząco głową. Ale chwilę potem pojaśniała i natychmiast sięgnęła po blackberry Toma.

—

Można tym wejść na Facebook?

Tom nagle uświadomił sobie dzielącą ich różnicę wieku: on polegał

na staroświeckiej, niemal konnej, poczcie e-mailowej. Mimo wszystko wiedział przynajmniej, o czym mówiła.

—

Pewnie, że tak. Bo co?

—

Bo to będzie najprostszy sposób znalezienia Dana Steinera.

I rzeczywiście, po zalogowaniu szukanie trwało kilka sekund i pokazało się zdjęcie przygnębiająco atrakcyjnego mężczyzny mniej więcej w wieku Toma, z burzą ciemnych włosów na głowie.

—

Mogłabym go zaczepić – powiedziała Rebecca. Ale kiedy zobaczyła wystraszoną twarz Toma, uśmiechnęła się. – To nie to, co myślisz.

Tak się mówi o nawiązywaniu kontaktu z ludźmi na Facebooku.

* * *

Na parkingu było tylko jedno wolne miejsce, resztę przestrzeni zajmowały trzy minibusy wyposażone, co Tom zauważył, nawet na ze-wnątrz w podjazdy i uchwyty umożliwiające przewożenie nimi wózków inwalidzkich. Sam budynek okazał się duży, postawiony z szarego beto-

nu, który wydawał się jedynym osiągalnym materiałem dla architektów czynnych zawodowo, gdy Tom dorastał. Sheffield zapełniały takie same ponure, bezkształtne gmaszyska jak to. Siedzibę znalazły w nim władze 242

samorządowe, biuro pomocy społecznej i lokalna biblioteka; w latach siedemdziesiątych wszystkie budynki w Wielkiej Brytanii tak wyglądały.

Weszli po rampie, ale zatrzymali się przy wejściu, gdzie Tom skręcił

dwa papierosy, które szybko wypalili. Rebecca „zaczepiła” Dana Steinera godzinę wcześniej. Odpowiedział natychmiast – Toma w ogóle to nie zaskoczyło – i z radością podał Rebecce numer telefonu. Chciała od razu do niego zadzwonić, ale Tom się temu stanowczo sprzeciwił: jeśli ich śledzono, jeśli spotkanie z Henrym Goldmanem było w jakiś sposób podsłuchiwane, korzystanie z telefonu w mieszkaniu jej ojca nie miało sensu. Skoro inwigilujący ich ludzie zdemolowali to miejsce, założenie pluskwy na linię telefoniczną nie przedstawiało dla nich specjalnego problemu. Dlatego pojechali do budki telefonicznej trzy ulice dalej, gdzie trzydziestojednoletnia Rebecca musiała się przyznać, że jako dziecko pokolenia telefonów komórkowych w życiu nie korzystała z publicznego automatu. Instruowana przez Toma – stała tak blisko niego, że ich twarze niemal się dotykały – wybrała numer. Przyjęła kondolencje od Dana, zapytała uprzejmie o jego żonę i dzieci, a potem spytała, czy mógłby skontaktować ją ze swoim ojcem. Zacisnęła mocno powieki, wypowiadając ostatnią prośbę, przygotowując się na wieść od Dana, że ojciec wyjechał do Izraela albo Manchesteru, a może nawet, wbrew „Jewish Chronicle”, umarł niedawno – ale zamiast tego usłyszała adres domu starców na Stamford Hill, gdzie teraz mieszkał jego ojciec. Było to pięć minut drogi samochodem od kamienicy jej ojca: ostatni chłopcy z klubu pokerowego na swój sposób trzymali się razem.

Nie zadzwonili tam, by uprzedzić o swojej wizycie, ale najwyraźniej Dan to zrobił. Recepcjonistka powiedziała, że Sid spodziewa się dwójki gości. Tak się złożyło, że wybrali dobrą porę do odwiedzin: w głównym holu grano w bingo, a Sid zawsze na nie przychodził ze swojego pokoju.

Recepcjonistka obiecała znaleźć kogoś, kto pokaże im drogę.

Tom rozejrzał się, zatrzymując wzrok na przeszklonej gablocie w ho-lu. W środku stały dwa lichtarze na osiem świec, jakie znał z Nowego 243

Jorku: były wszędzie na Manhattanie w dniach poprzedzających Boże Narodzenie, bo Żydzi obchodzili wtedy święto świąteł, Chanukę. Były tam też srebrne kielichy z wygrawerowanymi napisami po hebrajsku.

Dumą tego miejsca okazała się jednak plakietka pamiątkowa, podobna do tej, która ucieszyła ogromnie młodego Toma Byrne'a, kiedy razem z kolegami przywiózł ją z mistrzostw do lat trzynastu w piłce nożnej

„Sheffield i okręgu”.

W holu znajdowały się też dwa wózki z filiżankami z herbatą, kilka zapomnianych balonów i tablica

informacyjna. Podszedł bliżej i przeczytał: „Nie zapomnijcie: ćwiczenia na krześle z Maureen o godzinie 15 w czwartki”. Inne ogłoszenie zachęcało: „Śpiewaj z Judith”. Obok powieszono tablicę na kondolencje ze standardowymi wiadomościami i wolnym miejscem, gdzie umieszczano nazwiska ostatnich rezydentów, któ-

rzy rozstali się z tym światem.

–

Witam!

Zobaczył ogromną kobietę po pięćdziesiątce, o piersiach przypominających skalną półkę, zmierzającą energicznie w ich kierunku. Z tabliczki informacyjnej dowiedział się, że ma na imię Brenda i pełni tu funkcję mediatorki.

–

Nie widzieliśmy państwa wcześniej w naszym ośrodku, mam rację? – mówiła zdyszana. – Przyszliście do Sida?

Pomnęła nazwisko – do ojca Toma, gdy był już stary i słabowity, też zwracali się po imieniu. Tom zawsze ich poprawiał – lekarzy, pielęgniar-

niarki, wszystkich – zwracając się do własnego ojca per panie Byrne, ale rzadko pojmowali aluzję. Najczęściej i tak słyszał „Ron grzecznie się wysiusia, prawda, Ron?”.

–

Tak – odpowiedziała Rebecca ponownie przestawiona na tryb lekarza. Jej zawodowy głos miał głębokie brzmienie, niczym pogłos na jeziorze w nocy. – Nie jesteśmy rodziną. Ale on i mój ojciec byli bardzo bliskimi przyjaciółmi.

–

A czy pani mąż widział Sida wcześniej?

–

Ja nie...

244

–

On nie...

Popatrzyli na siebie przez krótką chwilę.

–
Zresztą i tak się cieszę. Goście to goście, a on nie ma ich za wielu. – Jej głos zdradzał pochodzenie ze wschodniego Londynu, ale po-brzmiewał w nim też inny akcent, którego Tom nie potrafił określić. Był

melodyjny, niemal śpiewny, jak żydowska piosenka. – Synowie wpadają tu od czasu do czasu, ale wiecie państwo, jak to jest. Wszyscy są zajęci.

Przez podwójne drzwi wprowadziła ich do dużego holu podzielonego czymś, co wyglądało na drewniany ogrodowy treliaż.

–
To nasza jadalnia – powiedziała Brenda, wskazując na przepie-rzenie. – Z tej strony mięso, a z tamtej mleko. – Jakby to miało wszystko wyjaśnić. Najwyraźniej jednak Rebecce to coś mówiło.

Po stronie z mlekiem mniej więcej piętnaścioro starych ludzi siedzia-

ło po pięcioro albo sześcioro przy okrągłych stołach ustawionych niczym w kawiarni. Przy frontowej ścianie pomieszczenia jakiś mężczyzna siedział sam przy stole, trzymał mikrofon i beznamiętnym głosem odczyty-wał serię liczb. Okazjonalnie jedno ze staruszków kreśliło coś na kupo-nie. Mimo braku śmiechu i gwaru Tom domyślił się, że gra się tu w bingo. Elektroniczny wyświetlacz na stoliku obok mężczyzny pokazywał

każdą liczbę, którą on wymieniał, służył tym, którzy mieli kłopoty ze słuchem.

–
Och, jestem zaskoczona – odezwała się Brenda, kładąc dłoń na swym ogromnym biuście. – Myślałam, że tu będzie.

Mam nadzieję, że nie poszedł się szwendać. Wiecie państwo, w jakim jest stanie? Syn wam wyjaśnił, prawda?

Rebecca rzuciła Tomowi spanikowane spojrzenie.

–
Nie, nic nam nie powiedział. Wspomnił jedynie, że rozmowa z ojcem może być trochę trudna, ale...

–
Och, przypuszczam, że nie lubi o tym mówić. Ale Sid nie jest tu jedynym takim pensjonariuszem, rozumiecie państwo. Cierpi na to mnó-

stwo ludzi. Czasami wydaje mi się, że to błogosławieństwo. Chroni ich 245

przed pamiętaniem zbyt wielu rzeczy. Choć problem polega na tym, że naprawdę pamiętają...

–

Czy możemy się z nim zobaczyć? Jak pani uważa? – Rebecca zaczynała się niecierpliwić.

Brenda poprowadziła ich teraz przez hol i w dół po krótkich schodach.

–

To jest pokój sztuki – powiedziała niczym nauczycielka oprowadzająca po szkole rodziców przyszłego ucznia.

Tom zauważył mężczyznę z kilkudniowym białym zarostem ostroż-

nie przyklejającego zapałkę do modelu parowozu wykonanego w całości z zapałek.

–

To jest Melvyn – oznajmiła Brenda. – Był kiedyś zegarmistrzem.

Następnie Brenda zajrzała do pokoju urządzonego jak salon fryzjerski, identycznego z tym, który matka Toma odwiedzała co drugi piątek, gdy był dzieckiem. Wyposażenia dopełniały tam przypominające hełmy suszarki na stojakach; Tom, gdy miał pięć lat, bawił się taką suszarką, udając kosmonautę.

–

Nie spodziewałam się go tutaj, ale nie zaszkodziło sprawdzić.

Przychodzą tu głównie panie. Na pogawędki.

Tom spostrzegł cennik przy drzwiach – mycie i czesanie pięć funtów.

Weszli po dwóch ciągach schodów.

–

Niestety, rozlążą się czasami – powiedziała Brenda, trochę dysząc po tej wspinaczce. – Kiedy mają na to ochotę.

Zdarza się, że w ogóle wychodzą z budynku. I wiecie państwo, gdzie ich znajdujemy? Zazwyczaj stoją przed domem, w którym mieszkali jako dzieci. – Twarz Brendy posmutniała. – Ale Sidowi to się nie przydarzyło.

– Nagle humor się jej poprawił. – Wydaje mi się, że kogoś słyszę – powiedziała śpiewnie.

Jednym pchnięciem otworzyła podwójne drzwi i weszła do przestronnego pokoju, którego podłoga

niemal w całości była wyłożona matami w kolorze sukna bilardowego. Na samym końcu stało samotne pia-nino, a przy nim siedział zgarbiony mężczyzna z resztką siwych włosów na skroniach.

246

–
W tym pokoju gramy w kręgle. Och, nasi panowie bardzo to lu-bią, i urządzamy tu tańce – dodała Brenda, która nie przestawała zachowywać się jak przewodniczka. – A tam, przy pianinie, jest Sid. –

Uśmiechnęła się z satysfakcją, jakby udało się jej potwierdzić, że placówka mimo wszystko dobrze działa. – Sid, masz gości!

Spojrzenie starca nie oderwało się od lewej dłoni, przesuwał się po klawiaturze.

–
Halo, Sid, ci młodzi państwo przyszli, żeby z tobą pogawędzić. –

Obróciła się do Rebecki i Toma, celowo stając tyłem do Sida Steinera. –

Może to nie jest najlepszy moment. Czy moglibyście państwo przyjść jutro? Albo w weekend?

–
Bardzo byśmy chcieli, naprawdę – Rebecca ponownie mówiła głosem lekarki – ale tak się pechowo składa, że w tym tygodniu straciłam ojca i wyniknęła z tego bardzo pilna sprawa. Wiem, że Sid jest jedyną osobą, która może nam pomóc.

–
Dobrze pani życzę, kochanie. – Brenda wzięła Rebeccę za rękę. –

Musi pani zapytać o coś Sida? Potrzebne pani informacje?

Rebecca skinęła głową. Usta Brendy ukształtowały się w wyrazie sceptycyzmu balansującego na granicy troski. Popatrzyła na Sida, a potem ponownie na Rebeccę.

–
Sprawdźmy, czego może dokonać filiżanka herbaty.

Na wspomnienie o herbacie Sid przerwał w połowie gamy.

Uniósł dłoń i położył ją na udzie. Brenda delikatnie objęła go za ramiona i obróciła ku Rebeccę i Tomowi.

Na twarzy miał plamy wątrobowe i nabrzmiące żyły, ale nadal można było dostrzec jego

podobieństwo do mężczyzny, który trzydzieści lat wcześniej wznosił toast za zdrowie członków pokerowego klubu. Brwi miał teraz krzaczaste niczym niestrzyżony żywopłot, płatki uszu wyciągnęły się i pokryły włosami. Skończył osiemdziesiąt dziewięć lat, o czym Brenda im przypomniała. Kiedy DIN rozpoczął pierwszy sezon polowań, Sid Steiner był dwudziestoparolatkiem: wysportowanym, silnym, nieznanym strachu.

247

–
Dzień dobry, panie Sid – powiedziała Rebecca łagodnie. Wskazała gestem krzesła ustawione jedno na drugim, więc Tom przyniósł dwa dla nich. Kiedy jej twarz znalazła się na wysokości oczu starca, odezwała się ponownie: – Jestem córką Geralda Mertona, mam na imię Rebecca.

–
Kim?

–
Córką Geralda Mertona.

–
Co mówisz?

–
Gerszona Matzkina.

–
Gerszon Matzkin? Jesteś żoną Gerszona?

–
Córką.

–
Gerszon to dobry chłopak.

Rebecca pochyliła głowę, patrząc na nią Tom dostrzegł, że kąciki jej oczu były mokre. Czy była to rozpacz wywołana stanem, w jakim Sid Steiner się znajdował, czy sprawiło to wspomnienie o ojcu jako chłopcu?

Tom nie wiedział, ale poczuł tak silny wewnętrzny przymus, by ją pocieszyć, że tym razem go nie

słumił. Uścisnął jej ramię, a ona w podzięcie dotknęła przelotnie jego ręki. Nawet teraz, nawet tutaj, przeszył go dreszcz.

—
Pamięta pan, kiedy widział go pan ostatni raz?

—
Mama nie pozwala mi rozmawiać z takimi dziewczynami jak ty.

Ostrzegła mnie, wiesz, żebym nie rozmawiał z dziewczynami takimi jak ty. Z drugiej strony rzeki.

Tom wyczuwał, jak Rebecca tężeje. Wyciągnęła dłoń i położyła ją na rękawie Steinera, przekonując się jednocześnie, jak kruche i słabe stało się jego ramię. Wzdrygając się, Tom pomyślał o skórze, która była ukryta pod tkaniną zbyt obszernego rękawa, i wytatuowanym na granatowo numerze.

—
Czy mógłby mi pan powiedzieć, co Gerszon mówił panu ostatnio? Odwiedzał pana tutaj?

—
No więc, wyszłaś w końcu za męża? Czy może cię nie chciał?

—
Kto?

—
Co powiedziałaś?

248

W tej samej chwili Brenda przecisnęła się tyłem przez podwójne drzwi, niosąc tacę z herbatą. Musiała spostrzec wyraz twarzy Rebecki, bo skinęła porozumiewawczo głową, jakby chciała powiedzieć: o tym wła-

śnie mówiłam. Demencja.

—
Czas na herbatkę, Sidney.

—
Która godzina?

–
Czas na herbatkę.

–
Co to takiego? – spytał, pokazując palcem tacę.

–
Filiżanki.

–
Wiem, że to filiżanki. Co to jest?

–
Zgadnij.

Starzec zmrużył oczy, co wydawało się karykaturą dziecięcego namysłu. W końcu otworzył je ponownie i wypowiedział słowa, które sprawiły, że Toma zapiekły oczy.

–
Nie mogę sobie przypomnieć.

–
To mleko, Sidney. To dzbanuszek z mlekiem.

Rebecca wstała i cicho zwróciła się do Brendy:

–
Przepraszam za zabranie pani czasu, pani Jacobs. Ale chyba nic z tego nie wyjdzie. Popełniliśmy błąd, przepraszam.

–
Co chcielibyście państwo, żeby sobie przypomniał?

Rebecca spojrzała na Toma pytająco: jak dużo możemy zdradzić?

–
Chcielibyśmy, żeby przypomniał sobie coś z dawnych czasów –

odezwał się Tom, zmyślając to na poczekaniu. – Mniej więcej sprzed pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat.

Brenda się uśmiechnęła.

–
Od razu trzeba było tak mówić. Chodźcie państwo ze mną.

* * *

Przeszli przez drzwi z wprawioną wzorzystą szybą, jakie zwykle montuje się w wejściu frontowym. Obok nich wisiała mosiężna tabliczka: „Pokój godzenia się ze wspomnieniami”.

249

Przestrzeń została tam podzielona na dwie części. W pierwszej pod-

łoga była z drewnianych klepek, urządzona na podobieństwo przedpokoju, z wieszakiem na kapelusze i kredensem zapełnionym gramofonem na korbkę, radiem Philipsa, maszyną do szycia Frister & Rossman i ciężką czarną sklepową kasą mechaniczną, której klawisze oznaczono wielko-

ściami w szylingach i starych pensach. Naprzeciwko znajdowała się niewielka kuchnia, a w niej duży kwadratowy zlew, tara i sterta poobija-nych emaliowanych rondli.

Na blacie stała puszka z herbatnikami udekorowana wizerunkiem Jerzego VI, królowej Elżbiety i dwóch księżniczek, Elżbiety i Małgorzaty.

Nad nią wisiała półka z produktami nie widywanymi od dziesięcioleci: pastą do polerowania mebli Floor Brite Mop, herbatą Upton's No. 1 i pastylkami marki Victory.

Większą część podłogi zakrywał dywan w kwiecisty wzór, takiego Tom nie widział od czasu, gdy odwiedził w dzieciństwie dziadków w Wakefield. Był tam też kominek wyłożony ceramicznymi beżowymi kafelkami, a na niewielkim stoliku postawiono toporny bakelitowy telefon. Na ścianie wisiał oprawiony plakat przedstawiający zażywną kobietę z widłami, biegnącą przez pole: „Przyjedź i pomóż zwyciężyć w żniwach”. Napis na dole plakatu głosił: „Jesteś potrzebna na polach”. Pod nim, w ogromnym fotelu posadzono Sida Steinera.

Było to pomieszczenie, do którego pensjonariusze z demencją przychodzili na sesje mające usprawnić ich spustoszoną pamięć. Wprawdzie pamięć krótkotrwała padała pierwszą ofiarą schorzenia, doświadczenia z dawnych czasów były zapominane na samym końcu, a wspomnienia z dzieciństwa utrzymywały się do ostatniego dnia życia chorego. Ludzie, którzy nie pamiętali słów na określenie „filiżanki” albo „kubka”, którzy nie rozpoznawali własnych dzieci, mogli tu przyjść i wtedy trochę sobie przypominali.

Rebecca odchrząknęła.

– Zatem, panie Sid, czy pamięta pan, kiedy przyjechał pan do tego kraju?

250

Brenda pokręciła głową.

–

Proszę starać się unikać pytań o fakty, daty i tym podobne – wyszeptała. – Dla nich może to być stresujące. Niech pani skorzysta z przedmiotów, które są w tym pokoju, i w ten sposób nakłoni go do mó-

wienia.

Tom rozejrzał się, złapał paczkę papierosów Park Drive i podał ją Rebecce, która włożyła ją do ręki Steinera.

–

Pali pan, panie Sid?

–

Wszyscy palimy.

–

Lubi pan papierosy?

–

Jest ciepło.

–

Palił pan takie kiedykolwiek, panie Sid?

Stary spojrział w dół, obrócił paczkę kilka razy w rękach, a potem pokręcił głową.

–

Niełatwo zdobyć papierosy. Poza tym, jak się je zdobędzie, to się ich nie pali. Wykorzystuje się je. Nie wiesz o tym? Niczego cię nie nauczyle w tej Warszawie?

Rebecca pochyliła się do przodu. Była to najbardziej sensowna wypowiedź, jaką usłyszeli od Sida Steinera.

–

Co za nie można kupić?

–

Wszystko. Wejście, wyjście, przepuszczenie przez wartownika.

Papierosy albo biżuteria, bez różnicy.

Ani Rebecca, ani Tom nie mieli pojęcia, gdzie błądziła pamięć Sida.

Czy znalazł się z powrotem w którymś z gett, a może była to strefa oku-pacyjna z 1945 roku, miejsce pierwszych polowań DIN?

–

A co pan powie na to? – Pomędzy wystawą dokumentów i zdjęć na ścianie wisiała marynarka brytyjskiego munduru. Rebecca mu ją po-dała.

–

Nieźla. – Oszacował wzrokiem trzy belki na pagonie. – Sierżant.

Może okazać się użyteczna. Ale potrzebne są mundury ŻW. Jeśli potra-fisz taki załatwić, będziemy mogli go wykorzystać.

Tom ścisnął nadgarstek Rebecki, był podekscytowany: ŻW oznaczało 251

żandarmerię wojskową. Idealnie pasowało to do opowieści, którą przekazał im Henry Goldman, o tym, że w DIN najbardziej cenili sobie mundury żandarmerii.

–

Do czego wykorzystać?

–

Tego nie mam zamiaru ci powiedzieć. Jeśli powinnaś to wiedzieć, to już wiesz. A jeśli nie wiesz, to znaczy, że masz nie wiedzieć.

Tom uśmiechnął się. To była chytra odpowiedź.

–

Jest pan z Gerszonem w DIN?

–

A ty jesteś jakimś szpiegiem? Na takie pytania nie odpowiadam.

–
Jestem z Gerszonem.

–
Jest za młody na dziewczynę taką jak ty. To jeszcze chłopiec.

Musiało chodzić o rok 1945. Sid Steiner przeniósł się najwyraźniej z powrotem do Niemiec okupowanych przez aliantów, prawdopodobnie do strefy brytyjskiej. Może mundur to sprawił. Tom popatrzył dookoła w poszukiwaniu następnego rekwizytu, czegoś, co uruchomiłoby pamięć z informacjami, których potrzebowali. W szklanej gablocie leżała szczotka do butów, a obok niej broszura o zabezpieczeniach przed nalotem wydana przez Ministerstwo Obrony Narodowej. To nie było dobre; zbyt angielskie. Przebiegł wzrokiem ściany i półki, desperacko rozglądając się za czymś, co mogłoby stać się iskrą, która rozpaliby pamięć starca.

I wtedy Sid odezwał się przez nikogo nieponaglany.

–
Wiem, jak się tym posługiwać. – Wskazywał na jedną z gablot.

Rebecca wstała, usiłując podążyć wzrokiem za zakrzywionym palcem starego człowieka.

–
Tym? – Wzięła do ręki puszkę ze skondensowanym mlekiem.

–
Nie, nie tym! – Przesuwał palec bardziej w lewo, aż nakierował go na wałek do ciasta.

Tom westchnął: i to w momencie, kiedy coś zaczynało mu świtać.

Rebecca wróciła na krzesło, zgarbiła się.

–
Do czego używałeś wałka, Sid? – odezwała się Brenda. Wyjęła wałek z gabloty i mu go podała.

–
Cóż, musiałem się nauczyć piekarstwa, prawda? Jeśli plan miał

się powieść.

Rebecca ponownie nachyliła się do przodu.

—

Jaki plan, panie Sid?

—

Spytaj Gerszona, on ci powie. On też się uczył. Obaj się uczyli-
śmy. Zagniatanie ciasta, lukrowanie ciastek. Robiłem świetne pączki. Z
chlebem tak łatwo nie szło.

—

I to było potrzebne do zrealizowania planu?

—

Oczywiście.

—

Jak nazywał się ten plan?

—

Plan B.

—

B jak bułki?

—

Nie. Znowu się mylisz.

—

Czy plan B się powiódł?

—

Gazety o tym pisały. Wystarczy przerzucić „New York Times”.

Norymberga. Kwiecień tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego. Ale mogliśmy zrobić więcej.

–

Na czym polegał ten plan?

–

Wszyscy potrzebowali chleba, może nie?

–

Piekleś chleb. Dla kogo?

–

Może i jesteś ładna, ale chyba Gerszon wziął sobie głuptasa, jeśli mogę się tak wyrazić. Jak myślisz, dla kogo?

Rozdział 37

Norymberga, wiosna 1946 roku

Naszym pierwszym zadaniem stał się wybór celu. Ale to nie ja o tym decydowałem, byłem jeszcze nastolatkiem. Robili to przywódcy. Jednym z nich był mężczyzna, którego poznałem w piwnicy w kowieńskim getcie, tamtej nocy przy świecach. Nazywał się Aron. Dwóch pozostałych nie dożyło 1946 roku, zostali zabici w czasie ostatniej *Aktion*, polegają-

cej na ostatecznym opróżnieniu getta. Nie wiedziałem tego na pewno, w każdym razie nie wtedy, ale tak przypuszczałem. Dopóki się czegoś nie usłyszało, nie zobaczyło kogoś, nie wpadło na niego na ulicy, najlepiej było uznać, że ta czy tamta osoba nie żyje. W 1946 wszyscy byli martwi.

Niemniej kilku przywódców ruchu oporu ocalało, wyłonili się ze spalonych gett i dymiących ruin miast, i to oni razem z garstką ludzi z obozów stworzyli DIN. Nadal byłem nastolatkiem, ale chciałem, żeby widzieli we mnie bojownika, mężczyznę, który się sprawdził. Choć byłem młokosem, oni rzeczywiście traktowali mnie jak dorosłego: każdy, kto przeżył to co my, przestawał być dzieckiem, niezależnie od wieku. Dzieciństwo minęło bezpowrotnie.

To nie ja podejmowałem decyzje, ale uszy miałem po to, aby słuchać.

Byliśmy w domu-kryjówce w Monachium i któregoś wieczoru, kiedy zbierałem talerze po posiłku, usłyszałem, że dowódcy wymieniają nazwę jednej miejscowości częściej niż innych: Norymberga.

254

Usłyszeli, że alianci stworzyli więzienie poza miastem, żeby trzymać tam nazistów w celu „przesłuchania”. I to nie były jakich nazistów, ale tych ważnych. „Siedzi tam ośmiuset esesmanów” –

powiedział Aron.

Oczy miał czarne i gorejące, włosy grube i kręcone: nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał. „Nie chodzi o zwykłe płotki – mówił dalej. – Są tam trzymani za poważne zbrodnie wojenne. Poważne zbrodnie wojenne. Są tam wszyscy: wyższy rangą personel obozów, Politischen Abteilungen, gestapo, Einsatzgruppen, wszyscy”.

Było oczywiste, że najbardziej ekscytowali go ludzie z „wydziałów politycznych”, Politischen Abteilungen. Pomiędzy nimi musieli być niektórzy z biurokratów na wysokich stanowiskach, którzy pomagali przy „ostatecznym rozwiązaniu”. Bo tak właśnie naziści nazywali swoje morderstwa. Nie określali ich jako ludobójstwo, zabijanie ludzi na akord, tak samo jak w fabryce wytwarza się produkty. Nie, używali wyrażenia

„ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego”.

Ale ja, myjąc talerze i udając, że nie słucham, wcale nie myślałem o tych biurokratach. Moje myśli zaprzętały Einsatzgruppen. Ruchome oddziały zabójców, jeżdżące od miejsca do miejsca, mordujące i mordujące. To ci ludzie zabili moje siostry w IX Forcie.

Aron dokonał pewnego rozeznania, korzystając z pomocy jednego z ochotników z DIN, który wylądował ostatecznie w Norymberdze. Ten człowiek namierzył źródło zaopatrywania obozu w chleb, średniej wielkości piekarnię na przedmieściu. Przywódcy rozmawiali jeszcze przez jakiś czas po cichu. A potem zapadło między nimi zupełne milczenie.

Zeskrobywałem tłuszcz z patelni, kiedy obejrzałem się i zobaczyłem, że wszyscy patrzą na mnie, z tym samym wyrazem twarzy, jaki już widzia-

łem trzy lata wcześniej, w piwnicy w getcie.

* * *

255

Dali mi adres i powiedzieli, z kim mam rozmawiać w piekarni – z brygadzystą. Opisali mi go jako niskiego mężczyznę o beczkowatej klatce piersiowej, z twarzą niemal bez przerwy czerwoną. Miałem się umyć, znaleźć go i opowiedzieć mu swoją historię.

Rysopis okazał się dobry, bo rozpoznałem go zaraz po wejściu do środka. „Nazywam się Tadeusz Radomski – zacząłem – i chciałbym się nauczyć zawodu piekarza”. Powiedziałem mu, że jestem Polakiem, mam wujka w Montrealu, który sam był piekarzem i jest gotów dać mi pracę.

„Potrzebna mi jest jedynie kanadyjska wiza, której załatwienie długo trwa. A skoro i tak czekam, to mógłbym się nauczyć. Wujek mówi, że potrzebna mi praktyka...”.

„Przykro mi – odpowiedział brygadzysta, wycierając umączoną rękę o fartuch. – Tu nie ma wolnego etatu”.

„Z chęcią będę pracował za darmo”, powiedziałem.

„Nie ma tu pracy”.

Wtedy, zgodnie z tym, co przedyskutowaliśmy w domu-kryjówce, mówiłem dalej: „Wujek powiedział, że powinienem panu to pokazać”.

Sięgnąłem do płóciennej torby. W chwili gdy mężczyzna zorientował się, co w niej miałem, dał mi znak, żebym poszedł z nim na zaplecze. Pokazałem mu butelkę szkockiej whisky i dwie tabliczki czekolady. Razem z papierosami była to waluta w strefie okupacyjnej, a on dobrze znał jej wartość. „Wujek mówi, że może pan to teraz wziąć, a będzie jeszcze więcej, jak skończę miesięczną praktykę”. Zatrudnił mnie jeszcze tego popołudnia. Bez żadnego wynagrodzenia.

I tak zacząłem terminować u piekarza, ucząc się wszystkiego, po-cząwszy od wyrabiania ciasta, toczenia bochenków, lukrowania i glazurowania ciastek. Zgłaszałem się do dodatkowych prac, myłem formy, czyściłem piece. Jeśli szef potrzebował chłopca na posyłki, biegłem, gdzie było trzeba. Mówiłem niewiele, za to ciężko pracowałem. Nie chciałem, żeby ktoś się na mnie skarżył, i zależało mi na zdobyciu peł-

nego zaufania szefa, dzięki czemu pozwalał mi na pracę w całej piekarni.

256

Moje zadanie polegało na ustaleniu, jak działa system, zrozumieniu wszystkich jego aspektów: kiedy odbierano przydział mąki od Amerykanów, gdzie ją składowano, jakie były godziny pracy zmianowej i kiedy wszyscy wychodzili, i kto pilnował tego miejsca. Przede wszystkim musiałem jednak odkryć, jak pieczono tysiące bochenków dla stalagu 13, ośrodka, gdzie trzymano nazistowskich więźniów, a także kiedy i jak je transportowano.

Robiłem, co mogłem, nigdy nie zadając bezpośrednich pytań. Po prostu obserwowałem i słuchałem. Z nikim nie ucinałem sobie pogaduszek –

dla mnie wszyscy pracownicy piekarni byli mordercami Żydów – chcia-

łem, by myśleli, że jedynym powodem mojej małomówności jest to, że byłem sierotą bez przyjaciół, chłopakiem ciężko pracującym na nowe życie za granicą. Najdziwniejsze jest to, że dopiero pisząc te słowa, zda-

łem sobie sprawę, że wcale nie udawałem – rzeczywiście byłem samotnym sierotą bez przyjaciół.

Potem, któregoś dnia tuż przed świtem, jak zawsze przyjechała po chleb amerykańska ciężarówka wojskowa. Pracowałem na nocnej zmianie – sam się na nią zgłosiłem – i stałem na zewnętrznej platformie załadunkowej, kiedy usłyszałem, jak jeden z amerykańskich kierowców narzeka, że jego partner się rozchorował: potrzebny był mu ktoś do pomocy przy rozładunku po powrocie. Szef tylko raz spojrział na mnie i kazał mi iść do ciężarówki. „On pojedzie”.

I tak znalazłem się w szoferce, siedziałem obok Amerykanina i usi-

łowałem nie gapić się na jego mundur, podziękowałem mu za gumę do żucia, której nie chciałem, ale przyjąłem za to papierosa, bo choć nie paliłem, nie chciałem wyjść na dzieciaka, który nie pali. Trzymałem go w ustach i pociągałem od czasu do czasu, wyglądając przez okno, i nic nie mówiłem, gdy jechaliśmy przez zbombardowaną Norymbergę. Zapamiętałem ją jako krajobraz przypominający powierzchnię księżyca.

Tyle było gruzu, całe połacie po obu stronach drogi, i tylko jeden dom, który uniknął zburzenia, sterczał dziwnie, górując nad wszystkim niczym dorosły w przedszkolu.

257

Kiedy dotarliśmy do stalagu 13, wpuszczeni bez kontroli przez amerykańskiego wartownika, poczułem, jak cierpnie mi skóra. To miejsce służyło kiedyś za obóz koncentracyjny. Było ogrodzone drutem kolcza-stym i wypełnione rzędami drewnianych chat: baraków, w których trzymano Żydów pracujących jak niewolnicy i mordowanych, a teraz zamknięto tu ludzi, którzy ich torturowali i zabijali. Musiałem zacisnąć pięści, żeby jakoś wziąć się w karby i powstrzymać drżenie.

„Okay, jesteśmy na miejscu” – powiedział kierowca po angielsku, zatrzymał samochód i wyskoczył z szoferki. Gestem dał mi do zrozumienia, żebym zabrał się do rozładunku kontenerów na kółkach, z których każdy miał dwanaście półek, na każdej z nich leżały dwa tuziny bochenków. Zaparkowaliśmy przed obozową kuchnią. Rozładunek trwał długo: oceniłem, że razem z pozostałymi ciężarówkami przywieźliśmy około dziewięciu tysięcy bochenków. Wszystko czarny chleb.

„A co z białym chlebem?” – zapytałem po niemiecku.

Kierowca pokręcił głową i zmarszczył brwi. Nie zrozumiał. W jakiś sposób, kombinacją gestów, łamanej angielszczyzny i niemieckiego, zadałem mu ponownie to pytanie. Ostatecznie skinął głową i wskazał na stojącą w sporej odległości pojedynczą ciężarówkę rozładowywaną w drugim końcu obozu. Więc tak to robiono: dziewięć tysięcy bochenków czarnego chleba dla nazistowskich jeńców przywożono kilkoma ciężarówkami do obozowej kuchni, łącznie z tą, którą rozładowywałem. I oddzielny samochód przewoził tysiąc bochenków białego chleba, dostarczając je do innej kuchni, dla amerykańskich strażników. Kierowca pokazał palcem czarne bochny i udał, że wymiotuje. Potem wskazał na oddaloną ciężarówkę z białym chlebem i poklepał się po brzuchu. Chciał

mi przez to powiedzieć, że Amerykanie nie znosili przaśnego, zakalco-watego czarnego pieczywa i potrzebowali białego, takiego, jakie jedli w ojczyźnie.

Musiałem się nieźle wysilać, żeby ukryć uśmiech, kiedy odwoził

mnie do piekarni i potem, gdy wracałem do domu.

258

Dopiero w mieszkaniu, które wynajęliśmy w Norymberdze, nowej kryjówce, mogłem w pełni okazać swoją radość. „To będzie łatwe –

oznajmiłem. – Łatwizna”.

Tego wieczoru opowiedziałem wszystkim towarzyszom, dumny z do-konanego przeze mnie odkrycia. Musieliśmy zająć się jedynie czarnym chlebem, wszystko, co z nim zrobimy nie odbije się na Amerykanach.

Miała to być najprostsza, ale i największa operacja DIN.

I wtedy Róża przyniosła złą wiadomość. Wszyscy musieliśmy już wcześniej znaleźć jakąś pracę. Mój przyjaciel Sid Steiner – wtedy miał

na imię Salomon – również przyuczał się do zawodu piekarza, tyle że w Monachium, bo mieliśmy nadzieję na przeprowadzenie tam operacji podobnej do norymberskiej, może nawet tej samej nocy. Zadanie Róży było nie mniej ważne. Kazano jej znaleźć sobie chłopaka. Nie jakiegoś tam chłopaka, ale Amerykanina. Mnóstwo kobiet w okupowanych Niemczech tak robiło. Niektóre były Niemkami, ale nie brakowało też Polek, Czeszek albo Węgierek, kobiet, które trafiły jakoś do Berlina czy Norymbergi, niczym wyrzucone na brzeg kawałki drewna. Zaprzyjaźnia-

ły się z każdym facetem w amerykańskim mundurze, mężczyzną, który się nimi opiekował, ale dostarczał też kawę, papierosy i konserwy woło-we. Te kobiety były zdesperowane i nie hamowały się w okazywaniu uczuć. Róża udawała jedną z nich. Nie mam pojęcia, jaką narodowość przybrała. Ale nie miała zbyt wyraźnych semickich rysów, tylko tę mar-twość w oczach, które zgasły po tym wszystkim, co widziały, dostrzegał

ją każdy, kto w nie spojrzał. Na szczęście ci mężczyźni nie przyglądali się kobietom zbyt dokładnie.

Nikt nawet nie spytał, czy nie przeszkadza jej fakt, że jest wykorzystywana w ten sposób; to był po prostu jej obowiązek. Rozkaz wydano i jako bojowniczką, partyzantką, a teraz żołnierz DIN posłuchała. Mnie też nikt o nic nie pytał, choć wtedy byliśmy już z Różą razem. Może nikt o tym nie wiedział; może ludzie uważali, że jestem za młody na takie rzeczy.

Tak więc Róża przystąpiła do podrywania żołnierza odpowiedzialnego 259

za pilnowanie kantyny w stalagu 13. Czy z nim sypiała? Wtedy wmawia-

łem sobie, że nie, ale teraz patrzę na to inaczej: wyobrażam sobie jego na niej podrygującego, nie zwracającego uwagi na jej oczy, nieruchome i szkliste.

W każdym razie ten sierżant żartował z niektórymi swoich oficerów, wyczulonych na sprawy zdrowia typków z Bostonu albo Nowej Anglii.

„Nigdy byś nie uwierzyła – powiedział – ale odmawiają jedzenia białego amerykańskiego chleba. Chcą brązowego świństwa, które jedzą Szwa-by!” Dlatego co rano musiał dopilnować, by sto bochenków z dostawy dla nazistów oddzielono od reszty i dostarczono do amerykańskiej kuchni. „Wariaci i tyle”.

Wysłuchałem tej wieści, jakby to były słowa wieszczące katastrofę.

Jeśli będziemy gmerali przy czarnym chlebie możemy skrzywdzić również Amerykanów, a takiego ataku oni nie puszcza płazem. Zaczęliby na nas polować.

Pojawiły się następne komplikacje. W chwili, jak sobie wyobrażam, pogaduszki w łóżku chłopak Róży zwierzył się jej, że miał ciężki dzień.

Musiał doglądać nie tylko własnego bałaganu, lecz także kazano mu zorganizować kontrolę kuchni więźniów. Miała się odbywać raz w tygodniu lub coś koło tego: sprawdzanie urządzeń, upewnienie się, że nie zginęły żadne noże, i co ważniejsze zadbanie, by transportów żywności nie wykorzystywano do szmuglu. Wiedzano już, że więźniowie ukrywają broń, a nawet kapsułki cyjanku w bochenkach albo torbach z cukrem.

Wszystko, co trafiało do tej kuchni, miało być sprawdzane, oczywiście nie codziennie, ale często. Co za fatalna sprawa; wydłużało mu to godziny służby. Róża prawdopodobnie pogłaskała go po głowie ze współczuciem, w duchu zapamiętując, co powie przywódcom DIN po powrocie do mieszkania. Nie będzie żadnych gwarancji, że trefny chleb nie zostanie sprawdzony, przebadany i, całkiem możliwe, odkryty.

Oboje z Różą zrobiliśmy to, co nam polecono, odtworzyliśmy każdy szczegół procedury i przekazaliśmy te informacje dowództwu. Poproszono mnie o zdobycie dokładnych planów piekarni, łącznie ze wszystkimi 260

wymiarami, na tyle wyczerpujących, na ile jest to możliwe. Musiałem też rzecz jasna przynieść kilka bochenków chleba, czarnego i białego, żeby można było je zbadać.

Po dwóch miesiącach pracy wezwano nas na kolejne zebranie. Tym razem jednak obecny był także mężczyzna, którego nie znałem. Pamię-

tam eleganckiego, starszego pana, który przyjechał do nas z Paryża – ale może taki po prostu wydał się piętnastolatkowi, który wiedział o świecie zarazem wszystko i nic. Tego mężczyzny nigdy nie przedstawiono nam z nazwiska, ale dowództwo traktowało go jak eksperta. Okazywali mu szacunek. Dowiedzieliśmy się, że był doświadczonym graczem na czarnym rynku i nawiązał kontakt z jakimś chemikiem.

Aron poprosił tego faceta, żeby powiedział nam, co wie.

„Towarzysze – zaczął z akcentem, który wydawał się jedynie w po-

łowie francuski – najważniejsze pytanie dotyczy tego, w jaki sposób dodać trucizny do chleba”.

Trucizna. Wtedy po raz pierwszy padło to słowo. Woleliśmy jego szyfrowy odpowiednik: lekarstwo. „Skoro mamy leczyć chorobę – powiedział Aron – to potrzebne nam lekarstwo”. Unikaliśmy głośnego mówienia słowa „trucizna”. Dlaczego? Bo baliśmy się, że zdradzi naszą tajemnicę? Że może przynieść pecha naszej misji, że w jakiś sposób stanie się jej przekleństwem? Że nie chcieliśmy przyznać wprost, nawet wobec siebie, co mamy zamiar zrobić? Wszystko razem.

Teraz jednak to słowo, gdy zostało wypowiedziane, napełniło nas dziwną pewnością siebie. Ten

mężczyzna, ten dorosły człowiek miał

sprawić, że nasze szalone plany zostaną wprowadzone w życie.

„No więc – mówił dalej – jest oczywiste, że trzeba będzie zmieszać truciznę ze składnikami ciasta na czarny chleb już na samym początku.

To nie powinno nastęrczać trudności. Niestety, zrobić tego nie możemy.

Wiemy już, że sto bochenków tego chleba biorą Amerykanie. Gdyby ci Amerykanie umarli, byłoby to prawdziwą katastrofą! Potrzebna nam zatem inna metoda, prawda?”.

261

Aron zaczął się wiercić na miejscu.

Francuz sięgnął do torby, dużej torby lekarskiej z podniszczonej brązowej skóry, i teatralnym gestem wyjął wielki, szeroki pędzel.

„Widzieliście go w rękach malarza pokojowego, tak?”. – Uśmiechał się.

„Jaki to pomysł?” – zapytał Aron, którego cierpliwość zaczynała się kończyć.

„Malowanie trucizną każdego bochenka”.

„Malowanie? Tym?”.

„Ten młody człowiek wie o tym wszystko, jestem pewny. – Wskazał w moim kierunku. – Myślę, że w piekarni nazywają to glazurowaniem”.

Wziął ze stołu bochenek czarnego chleba, który położyłem tam wcześniej.

„Najpierw moczy się pędzel w cieczy – teraz posłużymy się tylko oc-tem, oczywiście – jedno pociągnięcie do góry, jedno pociągnięcie w dół

i... *voilà!* ”.

Zapadła cisza, gdy niby-Francuz usiadł, zakończywszy pokaz. Nasz dowódca zmarszczył czoło. Nikt nie chciał odezwać się przed nim. Wziął

do ręki chleb, obejrzał go i odłożył na stół.

„To wystarczy?”.

„Wystarczy”.

„Jest pan pewny, że ta trucizna nie ma żadnego smaku?”.

„Żadnego”.

„Jest bezbarwna?”.

„Bezbarwna. To mieszanka na bazie arszeniku, bezzapachowa i bezbarwna. Widziałem ją na własne oczy”.

Na myśl o zabraniu głosu zdenerwowałem się, ale jako jedyny piekarz w pokoju, czułem też, że mam rodzaj autorytetu.

„Czy skórka na wierzchu nie będzie wilgotna?”.

Mężczyzna z Paryża uśmiechnął się i wskazał mnie ręką.

„Nasz młody przyjaciel zadał dobre pytanie! To, jak dla mnie, nasz największy problem”.

Aron się zaniepokoił.

262

„To znaczy, że on ma rację? Chleb będzie mokry?”.

„Przez jakiś czas. Ale niedługo. Mniej więcej po godzinie, jak sądzę, powinien wyschnąć”.

„Tak pan sądzi?”.

„Nawet jeśli zostanie trochę wilgoci, minimalnie, nikt nie zwróci na nią uwagi. Pamiętajcie, to nie Ritz. Bo co zrobią nasi, poproszą kelne-ra, żeby odniósł chleb do kuchni?”.

Aron zignorował ten żart i zwrócił się do Róży:

„O której zaczynają jeść śniadanie?”.

„Piętnaście po szóstej”.

A potem do mnie:

„A chleb jest zabierany o piątej?”.

„Tak, ale większość jest upieczona przed trzecią”.

Teraz Aron zwrócił się do niby-Francuza:

„I ta metoda się sprawdza?”.

„Był w Paryżu pewien kot, który udowodnił, że skutkuje bez zarzutu”.

Czekaliśmy, podczas gdy Aron ponownie wziął chleb, a potem odło-

żył go z powrotem na stół. Podrapał się po brodzie. W końcu wydał werdykt, wpatrując się po kolei w każdego z nas.

„Zrobimy to pierwszej nocy, kiedy będzie pełnia”.

* * *

Tak się jednak złożyło, że nie była to pierwsza noc z pełnią księżyca.

Zaczekaliśmy do soboty. Stało się tak z powodu sposobu, w jaki zdecydowaliśmy się przeprowadzić tę operację.

Pomysł pochodził od Francuza. Nazywam go tak, bo nigdy nie poznałem jego nazwiska. Róża mówiła, że był komunistą, a przynajmniej kiedyś działał w tym ruchu, a potem uczestniczył w ruchu oporu w Krakowie. Trafił do Paryża, miasta, gdzie można było dostać wszystko: samochody, fałszywe dokumenty, irygatory, truciznę. Dlaczego znalazł

się w DIN, jaką gorycz ukrywał, nigdy się nie dowiedziałem. Ale dobrze 263

to maskował, mówiąc z lekkim francuskim akcentem i zachowując się nieco teatralnie. Niewielu ludzi z DIN uśmiechało się tak często jak on.

Kiedy Aron zdecydował, że ruszamy z operacją, zaczęła się nowa dyskusja. Jak ją przeprowadzimy? Gdy dowództwo opracowało wstępny plan, miała to być prosta sprawa: moje zadanie polegało na przesznu-glowaniu trucizny do piekarni i kiedy nikt nie będzie mnie widział, wla-niu jej do kadzi z mąką, zamieszaniu i tyle. Ale posmarowanie trucizną dziewięciu tysięcy poszczególnych bochenków było gigantycznym zadaniem, nawet gdyby naraz pracowało przy nim kilkanaście osób.

Sto razy wzywano mnie, żebym opisywał ten proces.

„W chwili gdy chleb wychodzi z pieców, jest układany w rzędzie kontenerów na kółkach. – Stałem przy stole, wskazując na plan piekarni, który sam narysowałem. – Później trafiają do suszarni, o tu. Są tam drzwi prowadzące na rampę załadunkową. Tuż przed piątą kontenery wystawia się na zewnątrz, żeby Amerykanie mogli je zabrać”.

Aron przepytывał mnie teraz tak samo jak Francuza:

„Kiedy chleb jest w suszarni, czy są w niej jacyś ludzie?”.

„Chwilami. Wszyscy bez przerwy tam się kręcą”.

„Nawet o czwartej rano?”.

„Nawet wtedy”.

Pokiwał głową.

„I nie ma sposobu, żeby ktoś mógł tam dyskretnie pracować tym na-rzędziem? – Wskazał na pędzel ławkowy, ciągle leżący na stole. – Musiałbyś mieć święty spokój przez całe godziny. Cholera!”.

Uderzył pię-

ścią w blat stołu.

Francuz zwrócił się do mnie:

„Jak wielu pracowników jest tam w nocy?”.

„Normalnie około dziesięciu”.

„Normalnie? A kiedy nie jest normalnie?”.

„W sobotnie noce, kiedy robota jest prawie skończona, przed trzecią, mniej więcej połowa wychodzi, żeby pić”.

264

„Ile osób zostaje zatem w piekarni? z pięć, wliczając ciebie?”.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

„W takim razie myślę, że mam pewien plan”.

* * *

Przygotowania trwały tygodniami. Po naszym zebraniu w mieszkaniu-kryjówce Francuz wrócił do Paryża, żeby zobaczyć się z chemikiem: obaj mieli obliczyć ilość arsenikowej mieszanki, która będzie potrzebna do dziewięciu tysięcy bochenków. Trochę czasu zajęło jej zrobienie.

Kiedy była gotowa, Francuz wysłał kuriera, kolejnego ochotnika współpracującego z DIN, żeby osobiście przewiózł ciecz z Paryża do Norymbergi.

„Nie ma innego sposobu”, powiedział.

Gdy kurier pojawił się w naszym mieszkaniu, miał amerykański mundur pod grubą jesionką. Róża otworzyła drzwi, a ja pamiętam, że zastanawiałem się, jak człowiek, który przeżył to wszystko, co my, żoł-

nierz DIN, może być taki gruby. Na dodatek był wręcz ogromny. Ale kiedy drzwi się zamknęły,

wszystko zrozumiałem. Zrzucił z siebie jesionkę, pod którą miał co najmniej tuzin termoforów, wszystkie z mokrej od potu gumy, przymocowanych do ciała. Zanim powiedział choćby słowo, rozejrzał się wokół i upadł na podłogę: już dłużej nie mógł dźwigać tego ciężaru.

Tamtej nocy razem z Różą porozlewaliśmy truciznę do mniejszych butelek. Użyliśmy wszystkiego, co wpadło nam w ręce; flaszki po lekarstwach były najlepsze, bo idealnie mieściły się w mojej płóciennej torbie na ramię. Każdego dnia zabierałem jedną lub dwie do piekarni i kiedy byłem sam w suszarni, utykałem je pod deskami podłogi. W głowie mia-

łem plan tego pomieszczenia, pamiętałem każdą deskę, tak że wiedzia-

łem, którą z nich podnieść, żeby w ciągu kilku minut wszystko było gotowe.

Kiedy nadeszła sobota 13 kwietnia 1946 roku, denerwowałem się bardziej niż kiedykolwiek. Nie warto pytać dlaczego. Może dlatego, że w 265

przeszłości udawałem kogoś innego jedynie przez kilka minut, co wystarczyło, by minąć strażnika albo wsiąść do pociągu. Ale teraz od kilku miesięcy byłem Tadeuszem, polskim piekarczykiem. Należałem do zespołu piekarni. Nie da się pracować z ludźmi każdego dnia, tydzień po tygodniu, i uważać ich za kompletnie obcych. Czasami któraś z kobiet w siatce na głowie i w rękawiczkach pieszczotliwie targała mi włosy, jakbym był towarzyszem zabaw jej synów. Kiedy zdarzyło się to pierwszy raz, musiałem wybiec na zewnątrz. Brakowało mi tchu, jakby mnie ktoś dusił. (Mówiłem później, że złapał mnie kaszel). Teraz, gdy jestem starszy, rozumiem to, czego nie pojmowałem wtedy. Może musiałem zostać ojcem, żeby pojąć, co czuł tamten piętnastoletni chłopiec, który od tak dawna nie zaznał czułego dotyku matczynej dłoni, że nawet jego namiastka wywracała mu świat do góry nogami. Czytałem kiedyś o więź-

niu, który przebywał w zakładzie karnym tak długo, że kiedy go wypuszczono, dostał alergii na świeże powietrze. Może ja tak reagowałem na miłość matczyną.

Tej nocy mieli poznać prawdę o mnie i przypuszczalnie to najbardziej mnie przerażało. Zmuszałem się, by nie zapomnieć, o co naprawę chodzi w tej operacji, by pamiętać, kim są ludzie w stalagu 13, by myśleć o Einsatzgruppen. Kiedy to robiłem, znowu miałem serce z kamienia.

Spojrzałem na zegarek. Byłem na zmianie od siedemnastej, czas strasznie się wlokł. Zrobiłem, co do mnie należało, wiedziałem, że nie wolno mi się rozpraszać. Nie przestawałem pytać samego siebie, czy mamy dość mikstury, czy zdążymy, czy ten szalony plan zadziała? Za-cząłem nawet myśleć o Francuzie. Co tak naprawdę o nim wiemy? Czy to może być gigantyczna zasadzka?

Siedem minut przed trzecią usłyszałem słowa, na które czekałem, wypowiedziane przez samego szefa: „No dalej, piwo czeka!”. On i siedmiu innych zdjęli fartuchy, odwiesili je i jak zwykle ruszyli do knajpy na tej samej ulicy. Pożegnali się ze mną i innymi „matołkami”, którzy zo-stawali.

Ponownie zerknąłem na zegarek. Dokładnie za sześć minut od tej 266

chwili zabiorę się do realizowania naszego planu. Tymczasem musiałem trzymać fason.

Wiedziałem, co działo się na zewnątrz. Po otrzymaniu sygnału – poszli! – od Manika stojącego na czujce po drugiej stronie ulicy Róża miała przyjść ubrana w krótką czerwono-czarną sukienkę. Jeden Bóg wie, skąd ją wzięła. Dostała też pieniądze na jaskrawą szminkę. Polecono jej, by wyglądała wyzywająco, na kobietę, którą można kupić za odpowiednią kwotę.

Mogłem ją sobie wyobrazić, jak podchodzi na wysokich obcasach do bramy i czeka, aż zjawi się nocny stróż, o którego istnieniu ją uprzedzi-

łem. Miała tylko kilka chwil na wywarciu odpowiedniego wrażenia. Nie była taką blondynką, jakie lubią Niemcy, ale urody nie musiała się wstydić i była młoda. Widziałem, jak stróż otwiera bramę i wychodzi, by lepiej się jej przyjrzeć. Prawdopodobnie pozwoliła mu trochę się poob-macywać, żeby ubić interes, a kiedy ją ścisnął i głaskał, ona przysunęła się do niego na tyle blisko, że wystarczyło pchnąć ostrze jedynie kilka centymetrów, by znalazło się w sercu.

Potem Manik przebiegł ze swojej kryjówki na drugą stronę ulicy w butach o miękkich podeszwach, prawie niesłyszalnie, żeby pomóc Róży usunąć ciało z widoku. Później dali znak ciężarówce zaparkowanej na ulicy. Wóz pochodził z zasobów służb transportowych armii brytyjskiej, a załatwił go zaprzyjaźniony członek Brygady Żydowskiej, posługując się fałszywymi dokumentami. Kierowca wjechał ze zgaszonymi światłami, a Manik zamknął bramę za ciężarówką.

Wówczas właśnie pobiegłem do suszarni, a stamtąd na zewnętrzną rampę załadunkową. W momencie gdy się tam znalazłem, koledzy wyskoczyli z ciężarówki, pięć osób o twarzach poczerwionych pastą do butów. W sumie było ich siedmioro z Manikiem i Różą. Wszyscy uzbrojeni.

Przeprowadziłem ich przez suszarnię, aż znaleźliśmy się przy dalekich drzwiach, którymi wchodziło się do właściwej piekarni. Przykucnęli przy nich. Po cichu Aron policzył grupę, a potem na trzy, wyskoczyli 267

przez nie, krzyząc „Achtung !”, i wycelowali broń w sześciu piekarzy, moich współpracowników, którzy tam byli.

Nie wszedłem do środka, ale patrzyłem na wszystko przez oszklone drzwi. Piekarze nie stawiali żadnego oporu. Siedzieli i grali w karty albo powoli kończyli nocną zmianę: nikt z nich nie miał zamiaru przeciwstawić się bandzie uzbrojonych ludzi. Wszyscy podnieśli ręce, grupa Niemców poddawała się Żydom. Byłaby to słodka chwila, niestety nast-

ła co najmniej o trzy lata za późno.

Trzech z napastników przystąpiło do wiązania i kneblowania piekarzy, krępowali im nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach, a na koniec przywiązali ich do słupów lub nóg stołu.

Widziałem, jak nasz dowódca kręci się wokół, szukając mnie. Chciał, żebym mu pokazał, gdzie są trzymane zapasy – cukier, drożdże, mąka.

Pojawiłem się gotów wskazać magazyn. Staralem się unikać spojrzeń związanych ludzi, ale mi się nie udało. Popatrzyłem w każdą parę oczu, których większość wyrażała kompletne zdumienie, lecz

część płonęła nienawiścią. Zatem mały Polaczek nas zdradził. Nie mogli niczego powiedzieć, ale nie było to potrzebne.

Aron i jeden z naszych ludzi zaczęli opróżniać magazyn, biegnąc na zmianę do rampy na zewnątrz i załadowując czekającą tam ciężarówkę.

Nie spieszyli się, bo musiało to trwać tak długo, jak było to konieczne.

Wróciłem do suszarni. Kiedy tylko wszyscy piekarze zostali uniesz-kodliwieni, zabrałem się do podważania desek podłogi i wyciągania ukrytych butelek z trucizną. Wcześniej przyniosłem kilka metalowych misek do mieszania, największych, jakie mogłem znaleźć. Zaczęliśmy z Różą szybko je napełniać. Francuz miał rację: ciecz była przezroczysta i bezwonna.

Pozostała czwórka z naszej grupy otworzyła torby i wyjęła z nich pędzle. Pierwszy z nich zanurzył włosie w jednej z pełnych misek, pozwalając, by nasiąkło cieczą. Spojrzał na mnie, czekając na wskazówki.

Zaprowadziłem go do kontenerów na kółkach, wskazałem na najwyższą 268

półkę, a on zaczął metodycznie smarować trucizną każdy bochenek.

Wkrótce ustalił się nam rytm, istna linia produkcyjna, podczas gdy my z Różą pilnowaliśmy, by co najmniej pięć misek było zawsze peł-

nych trucizny, biegnąc co jakiś czas do różnych skrytek pod podłogą po nowe flaszki.

Mniej więcej co dziesięć minut Aron przechodził przez suszarnię, ale nie mógł zatrzymać się w niej na dłużej: musiał udawać, że ładuje ciężarówki worami cukru i mąki. Nie wolno mu było dopuścić, by piekarze, zakneblowani i związani w środku, domyślili się, że w suszarni coś się dzieje. Z tego powodu pracowaliśmy w milczeniu, odzywając się jedynie czasami szeptem.

Cały dzień włókł mi się niesamowicie, ale te dwie godziny – mniej, oczywiście, bo nie zaczęliśmy równo z ustaloną porą – przemknęły jak z bicia strzelił. Pot zalewał nam oczy, ale przyświecało nam jedno pragnienie: zatruć w tym czasie tyle bochenków, ile się da. Policzyłem pół-

ki, które obrobiliśmy, i oszacowałem, że posmarowaliśmy arsenikiem około trzech tysięcy bochenków.

Potem Aron dołączył do nas, pokazując na zegarek. Była za kwadrans piąta. Amerykańskie ciężarówki miały nadjechać za piętnaście minut.

Ponaglił nas. Zacząłem wtykać butelki z niezużyta trucizną do skrytek pod podłogą. Rzecz jasna w końcu zostaną znalezione, ale do tego czasu, jeśli dopisze nam szczęście, będzie za późno, żeby miało to jakieś znaczenie.

Ukryłem ostatnią butelkę, ale zahaczyłem ręką o gwóźdź wystający z deski, którą wciskałem na miejsce. Dłoń zaczęła krwawić. Naciskałem na deskę coraz mocniej, ale nie chciała wejść. Plama

krwi stawała się coraz większa.

„Chodź już!” – powiedział Aron nieco głośniejszym głosem, wpatrując się we mnie. Do piątej brakowało trzech minut. Ciężarówka mogła pojawić się lada sekunda. Ale przecież nie mogłem uciekać i zostawić plam krwi i deski wystającej z podłogi, które zdradziłyby miejsce schowania trucizny. Gdyby udało mi się wyjąć butelkę, Amerykanie niczego by nie

znaleźli, nawet gdyby szukali. Przyjęliby zapewne, że to zniszczenia dokonane przez złodziei, powstałe, gdy robili swoje.

Rozejrzałem się wokół. Wszyscy już wyszli. Róża i pozostali z grupy trucicieli byli na zewnątrz w ciężarówce, czekającej na odjazd przy platformie załadunkowej. Został jedynie Aron pochylający się nade mną.

Kłęczałem, usiłując wyciągnąć schowaną butelkę. Dowódca robił wrażenie, jakby miał zamiar kopnąć mnie kolanem w twarz, ogłuszyć i zacią-

gnąć do wozu.

Ale kiedy zobaczył krew i oporną deskę, wszystko zrozumiał. Odepchnął mnie i skoczył na wystającą deskę. Mimo to drewno się nie poddało. Zostało nam teraz mniej niż dwie minuty.

Odsunął się i gestem nakazał mi wyciągnąć butelkę z trucizną. Kiedy to zrobiłem, przesunął jeden z kontenerów nad deskę i plamę krwi. Nic innego nie mogliśmy zrobić.

A potem wymaszerowałem, kierując się do ciężarówki. Podążyłem za nim i w chwili gdy znalazłem się na zewnątrz, na platformie załadunkowej, zobaczyłem go – leżał na jednym ze stalowych kontuarów, zbyt blisko bochenków, żeby nie budzić podejrzeń. Pędził ławkowy, zbyt wielki i toporny, żeby używać go do glazurowania pieczywa. W całym zamieszaniu, jakie towarzyszyło płukaniu i chowaniu misek, upychaniu butelek po truciźnie do toreb, ktoś zapomniał o największym i najbardziej wymownym narzędziu. Pobiegłem z powrotem i chwyciłem go, a kiedy się obróciłem, zobaczyłem dowódcę kucającego z innymi na skrzyni ciężarówki i celującego do mnie z pistoletu.

Zdałem sobie sprawę, że gdybym zmarnował jeszcze sekundę, strzeliłby mi w plecy. Każde dalsze opóźnienie spowodowane przeze mnie byłoby zbyt kosztowne: lepiej było mnie zabić i zostawić. Nawet nie wyglądałoby to podejrzanie. Praktykant zabity w trakcie zbrojnego napa-du na piekarnię. W końcu przecież taka była nasza przykrywka.

Amerykanie po rozwiązaniu pracowników piekarni mieli dojść do oczywistych wniosków. Uzbrojeni złodzieje przyszli ukraść worki z mąką i cukrem i wielkie ilości drożdży, następnie załadowali wszystko

na ciężarówkę i odjechali tuż przed zjawieniem się Amerykanów o świcie. Nikt niczemu by się nie dziwił. Produkty żywnościowe i surowce osiągały bardzo dobre ceny na czarnym rynku w Niemczech

w roku. Piekarze tymczasem, łapiąc głośno oddech i rozmasowując ślady po więzach na nadgarstkach,

potwierdziliby tę wersję. „To była robota od środka – oświadczyłby szef. – Wpuścił ich ten mały sukinsyn, Polak”.

Pozostali opowiadaliby, że złodzieje bez pośpiechu ogołocili piekarnię ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Amerykanie współczuliby im, kręcili głowami nad stratą tak cennych zapasów i może nawet za-dzwoniliby po żandarmerię wojskową, żeby wszczęła śledztwo. Ale to nie mogło przeszkodzić im w wykonywaniu obowiązków. Mieli do na-karmienia tysiące ludzi w stalagu 13 – tak, wystarczy popatrzeć – szczer-

ście im dopisało, bo złodzieje przyszedli już po zakończeniu pieczenia chleba. Wszystkie bochenki zostały ułożone w kontenerach i gotowe do załadunku: przynajmniej chleba nie ukradli. Cóż, współczujemy wam, panowie, ale musimy ruszać w swoją drogę.

Taki w każdym razie był plan obmyślony przez Francuza, a potem przerabiany i doskonalony, zmieniany i przetwarzany całymi tygodniami, dokładniej niż jakakolwiek piekarska receptura. Aron atakował ten plan z różnych stron, każdego dnia miał nowe zastrzeżenia. Ale kiedy wymyślił

odpowiedzi na wszystkie pytania – zadanie dla Róży: zająć się stróżem; zadanie dla Manika: zająć się jego zwłokami – postanowił, że to jedyny sposób. Mieliśmy popełnić zwyczajne przestępstwo – rzeczywiście czę-

ste w powojennych Niemczech ogarniętych chaosem – po to, żeby dopu-

ścić się znacznie poważniejszego, znacznie szlachetniejszego czynu.

Takiego, który w ogóle nie był przestępstwem.

* * *

Ciężarówka ruszyła na południe, bo tam Manik znalazł opuszczone miejsce, gdzie można było ją ukryć. Nic nam nie groziło, dopóki nikt nie 271

znajdzie samochodu i nie powiąże go z napadem w Norymberdze. Pozostanie tajemnicą, dlaczego czarnorynkowi złodzieje porzucili cenny łup, ale nam to nie przeszkadzało. Poza tym taka drobna zagadka nadawała się doskonale na zmyłkę, była fałszywym tropem opóźniającym każdego, kto ruszyłby za nami.

Reszta z nas wysiadła w odległości kilku kilometrów od piekarni i po prostu czekała na poboczu jezdni; miasto zaczynało się już budzić, ludzie wychodzili na poranną zmianę i wkrótce pokazały się pierwsze taksówki.

Wsiedliśmy do jednej z nich, Aron dał kierowcy plik banknotów i kazał

nas zawieźć do granicy czeskosłowackiej.

Tylko Róża została na miejscu, żeby wykonać ostatnie zadanie. Jeszcze raz musiała udawać, ale tym razem nie zdziurę ani prostytutkę. Zamiast tego miała włączyć się po cichych ulicach osiedla

otaczających stalag 13. Stały tam domy z mieszkaniami wynajętymi przez żony nazistów oczekujących na procesy. Miała podawać się za jedną z nich, zatrzymywać kobiety i pytać, czy plotka o tym, że nagle wielu więźniów się rozchorowało, jest prawdziwa. Niektóre z tych nadal wiernych Rzeszy dziewczyn przystawało i z płaczem opowiadało, że tak, to prawda, ich dzielni mężowie trafili do szpitala. Lekarze nie radzili sobie, przyjęto bowiem więcej ludzi, niż mogli leczyć, a wszystkich powaliła jakaś straszna zaraza. „Co to takiego?” – pytała Róża. Zupełna zagadka. Amerykanie mówią, że to zatrucie żywnością, ale kto by im wierzył. Niemniej sprawa była poważna. „Nie chcę pani martwić, kochanie, ale niektórzy mężczyźni są na granicy śmierci”.

Róża meldowała nam o tym wszystkim, dodając strzępy informacji, jakie zasłyszała. Zerwała z sierżantem kwatermistrzem kilka tygodni wcześniej. Lubiłem myśleć, że stało się tak, ponieważ wyciągnęła od niego wszelkie potrzebne informacje i uciekła, kiedy to tylko było moż-

liwe. Ale chyba kazał po prostu Aron kazał jej to zrobić: gdyby nadal byli razem, facet mógłby stać się podejrzliwy.

I wreszcie pojawiły się oficjalne doniesienia w gazetach i tak dalej.

Nie uwierzyliśmy w każde słowo: wiedzieliśmy, że są cenzurowane, i 272

przypuszczaliśmy, że Amerykanie będą chcieli ukryć prawdę o tym, co się stało. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby wyszło na jaw, że nie potrafią ochronić ludzi, których przetrzymują.

Niemniej to, co do nas docierało, włącznie z informacjami od Róży, nie pozostawiało wątpliwości. Zatrute bochenki dowieziono i naziści, całe ich tysiące, je zjedli. Ilu zmarło? Tego nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Mogło ich być trzystu albo siedmiuset. Mogło to być tysiąc albo nawet kilka tysięcy. Aron powiedział, że dokładna liczba nie ma znaczenia.

Ważne było to, żeby zbrodniarze trzymanych w Norymberdze zrozumieli, i w końcu, żeby cały świat zrozumiał, że Żydzi nie pogodzili się ze swoim losem, ale wrócili i upominają się o prawo do zemsty. Że historia stalagu 13 będzie żyła i nikt już nie powie, że szliśmy na rzeź jak owce.

Usiłowałem pogodzić się z tym, co powiedział Aron, ale nie potrafię kłamać. Chciałem wiedzieć, nawet wiele lat później, ilu dokładnie nazistów spróbowało chleba, który pomagałem piec i który pomagałem zatruć. Chciałem wiedzieć, czy umierali w męczarniach. Ale przede wszystkim chciałem wiedzieć, czy wśród tysięcy, czy nawet tylko setek zmarłych był ten, który zabił moje siostry: Annę, Leę i Ryfkę.

Rozdział 38

Jay Sherrill marzył jedynie o tym, aby usiąść. Informacje od agenta Marcusa Macka o wydziale wywiadu nowojorskiej policji otrzymał zbyt szybko, by się z nimi oswoić, w każdym razie zbyt szybko, żeby w pełni je pojąć. Szedł zatłoczoną ulicą Manhattanu późnym popołudniem, po-trącany przez przechodniów z zakupami, ludzi wychodzących z pracy i ulicznych sprzedawców, i na dodatek

musiał udawać, że rozmowa przez komórkę, nie mogąc nawet spojrzeć w oczy człowiekowi będącemu źródłem tych wiadomości. Nie w taki sposób detektyw Sherrill lubił

załatwiać swoje sprawy.

–
Więc kiedy mówi pan, że od początku, to znaczy, że od początku.

–
Aha. Przypuszczam, że byłem pierwszym agentem przydzielonym do tego. W każdym razie rankiem. Rzecz jasna inwigilowano go od poprzedniego wieczoru.

–
Od chwili gdy spotkał się z Rosjaninem?

–
Właśnie.

–
Złożyli to do kupy razem z jego lokalizacją...

–
W pobliżu ONZ.

–
...i na tej podstawie stał się podejrzanym. Podejrzanym o terroryzm.

–
Dlatego właśnie za nim szedłem.

–
I mówi pan, że był jeszcze jeden facet, kolejny agent?

274

–
Co najmniej jeden.

–
Co pan rozumie przez „co najmniej”?

–
Cóż, wiem na pewno, że był jeszcze jeden gość, bo widziałem go, kiedy dotarliśmy do Plaza UN. Zobaczyliśmy się nawzajem i tak samo zareagowaliśmy.

–
Ale?

–
Ale kiedy zapytałem prowadzącego, czy jest tam jakieś wparcie, odpowiedział: „Jest grupa”. Widzi pan, mógł łączyć, co wcale nie byłoby poniżej godności tych facetów. – Przez krótką sekundę Mack zerknął w lewo na Sherrilla, a potem znowu patrzył przed siebie i szedł dalej. – Wie pan, o co mi chodzi, detektywie? Mówią „jest tam grupa”, kiedy tak naprawdę mają na myśli, że jest tam pan i ja – my jesteśmy grupą. Dlatego mógł tam być jedynie tamten gość, ten, którego zobaczyłem po dotarciu na miejsce.

–
Czy rozmawiał pan z tym drugim agentem?

–
Tak i nie.

–
Nie bardzo rozumiem. Och, przepraszam, przepraszam. – Jakaś kobieta niosąca cappuccino w tekturowym kubku i również rozmawiają-

ca przez komórkę wpadła na niego i naturalnie to on zaczął przeproszać, nie ona.

–
Oznacza to, że nie odbyliśmy takiej prawdziwej rozmowy, ale odezwaliśmy się.

–
Do siebie? Do kogoś innego? Do kogo?

–
Powiedzieliśmy coś jednocześnie. Wtedy to do mnie dotarło.

Niech pan posłucha i cofnie się o sekundę. Pamięta pan, wspomniałem, że kiedy doszedłem do Plaza UN, nie mogłem dłużej śledzić faceta, bo wszedł na teren innej jurysdykcji? Znalazł się na gruncie ONZ, dlatego musiałem się wycofać.

Sherrill skinął głową.

—
No więc patrzyłem na to, co się działo. Widziałem, jak podejrzany wchodzi na środek placu, potem jakby się rozglądał i wtedy zobaczy-

łem, że oenzetowski ochroniarz sięga po broń. I dokładnie w tym momencie podejrzany obrócił się i spojrzał w moim kierunku. Wtedy to 275

zobaczyłem. To, czego nie spostrzegłem przez cały czas, kiedy chodzi-

łem za tym gościem.

—
Zobaczył pan jego twarz.

—
No właśnie. Zobaczyłem jego twarz. I natychmiast uświadomi-

łem sobie, jaki błąd popełniliśmy. To znaczy ten facet był stary, naprawdę stary. Nie mógł być terrorystą. To tak zwany senior. A ja wiedziałem, co się tam dzieje. Ochroniarz dostał ostrzeżenia, rysopis, a ten starzec idealnie pasował. Czarna czapka, czarna jesionka. Zgadzało się. I właśnie strażnikowi przekazano ostrzeżenie, moje ostrzeżenie, że na teren ONZ

wchodzi ktoś podejrzany, dlatego tamten sięgnął po broń. Myślał, mam tu Muhammada Attę, muszę go załatwić.

—
Więc usiłował go pan powstrzymać?

—
Starałem się powstrzymać go od strzelania. Chciałem krzyknąć:

„To nie ten facet!”. Po tym, jak widziałem jego twarz, byłem pewny, że to nie on. Ale czas uciekał. Jedyne słowo, które krzyknąłem, to: „Nie!”.

A w tym samym czasie tamten drugi agent zrobił dokładnie to samo.

–

Racja. To samo słowo w tej samej chwili. I stąd wiem, że tamten facet, może pięć metrów ode mnie na tej samej ulicy, też jest gliniarzem, agentem wywiadu. Bo zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, tak samo jak ja.

Jay zacisnął zęby. Przypomniał sobie zeznanie Felipe Tavaresa sprzed dwóch dni. Dlaczego zaczął strzelać? „Z powodu twarzy tych mężczyzn, które zobaczyłem. Wyglądali na strasznie zaszokowanych, a czarny mężczyzna krzyknął »Nie!«, jakby rozpaczliwie”.

–

Czarny mężczyzna, którego widział, to pan – wymamrotał Sherrill.

–

O co chodzi?

–

O nic. – Sherrill analizował sytuację: Tavares domyślił się wszystkiego po fakcie, kiedy było za późno, kiedy kula trafiła już w pierś Geralda Mertona. Dopiero wtedy pojął, że czarny mężczyzna i znajdują-

cy się blisko niego biali usiłowali powstrzymać nie zamachowca, ale jego, Felipe Tavaresa, od zastrzelenia niewinnego człowieka.

276

–

Rozmawiał pan z tym drugim agentem?

–

Nie. Ot, popatrzyliśmy na siebie, jakbyśmy obaj się rozumieli. A potem zastosowaliśmy się do zasad, które dotyczą tego rodzaju sytuacji.

–

To znaczy?

–

Zniknęliśmy stamtąd. Każdy poszedł w przeciwną stronę. Nie wolno nawiązywać kontaktu, nie wtedy

gdy obaj pracowaliśmy po cy-wilnemu. Moglibyśmy się zdemaskować.

Sherrill przypomniał sobie ostatnią wymianę zdań z Tavaresem, to jak ochroniarz opisał zniknięcie obu mężczyzn.

–
W porządku – powiedział, nie bardzo wiedząc, jaki wykonać następny ruch. – I od tamtej pory myśli pan o tym?

–
Można tak to określić. Niech pan posłucha, to ja dałem znać, że

„podejrzany” wchodzi na teren ONZ. I to ja wystraszyłem ochroniarza, krzycząc: „Nie!”. To te dwie rzeczy utwierdziły go w przekonaniu, że ma do czynienia z zamachowcem-samobójcą.

–
Ma pan poczucie winy.

–
Wolałbym określenie: czuję się odpowiedzialny. Tak to się przedstawia w rzeczywistości, jestem za to odpowiedzialny. I nie tylko ja. To musi pan zrozumieć. Śledziłem tego faceta tylko dlatego, że miał na karku wywiad, że łączono go z Rosjaninem i tak dalej. Totalna ście-ma. Więc nie tylko ja jestem odpowiedzialny, rozumie pan, co mówię?

–
Kto jeszcze?

–
A jak pan myśli? Mówię o wydziale wywiadu nowojorskiej policji, to chyba jasne. Widzę, co się tam dzieje. Zauważyłem, jak wydział

nagle przycichł. Nie puszczają pary z ust, cicho sza. Pozwalają, żeby kilku pieprzonych Belgów z ONZ brało cięgi. A to, przyjacielu, nie jest w porządku. I nie mam zamiaru pozwolić, żeby uszło im to na sucho.

Rozdział 39

Tom się gapił. Nie, tym razem nie na Rebeccę, ale na mężczyznę siedzącego o dwa miejsca od niej.

Nie istniał żaden powód, żeby tak mu się przyglądać. To był zwykły facet bębniący w klawiaturę.

Ale coś w nim od razu zwróciło uwagę Toma. Wydawał się nie na miejscu. Zbyt dobrze ubrany, nie wystarczająco ubogi...

Siedzieli w kafejce internetowej przy Kingsland High Street, kilkaset metrów od obskurnej kancelarii Juliana Goldmana i jedynie dziesięć minut spacerem od Brenner Centre, domu spokojnej starości Sida Steinera.

Przyjście tutaj było pomysłem Toma. Nie bardzo mogli wrócić do mieszkania Rebecki, bo jak powiedział: ktokolwiek ich ściagał, mógł się tam zaczaić i czekać. Nawet używanie jego komputera stało się ryzykowne; ich spece bez wątpienia mogli włamać się do niego i oglądać to, na co oni patrzyli.

Dlatego zaproponował, żeby przyszedli tutaj. Nazwa „kafejka internetowa” nie oddawała w pełni charakteru tego miejsca. Kawę można było kupić w zdezelowanym automacie, stojącym w rogu, przy którym leżała cała masa torebek rozsypanego cukru i jednorazowych mieszadełek. Pod innym względem jednak wewnątrz nie różniło się od podobnych lichych przybytków. Okno wystawowe było całkowicie zalepione kartkami re-klamującymi promocyjne połączenia z Nigerią, Sierra Leone i Addis 278

Abebą. Jedna ściana została podzielona na kabiny telefoniczne, oddzielone przepierzeniami z najbardziej tandetnej, wyblakłej plastikowej imitacji drewna. Wszystkie były zajęte, ale wygłuszanie dźwięku zapewnio-no jedynie w najbardziej okrojonej wersji, dlatego rozlegał się tu bez przerwy donośny gwar rozmów prowadzonych w dziesiątkach różnych języków. W środku przebywali młodzi ludzie, zdaniem Toma, nie było tam nikogo, kto miałby ponad trzydzieści pięć lat. Wyobrażał sobie, jak ludzie stąd dzwoniący tęsknią za żonami, matkami i dziećmi, które zosta-

ły w ojczyznach i których utrzymanie całkowicie zależało od pieniędzy przysyłanych z Londynu. Tego tonu nie dawało się pomylić z czymś innym. Tak brzmiał chór rozpaczny.

Wszystkie terminale również były zajęte przez praktycznie taką samą klientelę. Lata spędzone przez Toma w ONZ teraz się na coś zdały, bo całkiem łatwo potrafił odgadnąć narodowość ludzi zapełniających to pomieszczenie: Kenijczycy, Somalijszcycy, Sudańscy byli widoczni na pierwszy rzut oka. Ich obecność tu świadczyła o czymś smutnym, co wiązało się z ich obecnością w Londynie: o tym, że nawet nie próbowali zapuszczać tu korzeni, że wszystko, na czym im zależało, znajdowało się gdzieś indziej. Byli niczym ludzie bez ziemi, przechodnie, a to miejsce, ta kafejka internetowa, jawiło im się jedynie jako przystanek po drodze.

Wszyscy poza tym jednym białym, zajmującym miejsce dwa stanowiska od nich.

Rebecca zaczęła od sprawdzenia poczty, Tom patrzył jej przez ramię, usiłując wyłowić jakiegokolwiek oznaki związku z innym mężczyzną.

Dostała całe mnóstwo kondolencji, głównie od znajomych, z tego co się domyślał. Przejrzała je, a potem weszła na stronę NYTimes.com, przez którą można było wejść do archiwum „New York Timesa”.

–
W porządku – powiedziała Rebecca, palce trzymała zawieszono nad klawiaturą.

–
Teraz uważaj – odezwał się Tom szeptem, świadomy bliskości tamtego mężczyzny. – Podał nam datę.
Trzynasty kwietnia tysiąc 279

dziewięćset czterdziestego szóstego. Zaczniemy od niej.

–
Domaga się kluczowego słowa.

–
Spróbuj „Norymberga, trucizna”. Wpisała te słowa powoli, dwoma palcami.

„Podana fraza – Norymberga, trucizna – nie została odnaleziona”.

Tom zagryzł usta.

–
Spróbuj „Norymberga, SS, śmierć”.

„Podana fraza – Norymberga, SS, śmierć – nie została odnaleziona”.

Spróbowali „Stalag 13, piekarnia, bochenki”. Nadal bez rezultatu.

–
Posłuchaj – rzekła w końcu Rebecca. – Pamięć Steinera jest dziu-rawa. Jakie jest prawdopodobieństwo, że zapamiętał dokładną datę? –

Wprowadziła nowe dane w polu „data”, decydując się nie na konkretny dzień, ale tydzień: 12–19 kwietnia.

Nic.

Tom odchylił się na twardym plastikowym krześle. Może niepotrzebnie podniecali się zwykłym urojeniem starca, który nie pamiętał już słowa kubek.

Z twarzy Rebecki można się było domyślić, że ją również ogarnęła ta sama rezygnacja: trop prowadził w ślepy zaułek. Sięgnęła do oparcia krzesła po płaszcz.

Wzrok Toma zatrzymał się na ekranie. Czytał inne wiadomości podane na stronie, z których żadna nie

ocierała się nawet o to, czego szukali. Kliknął jedną z nich na chybił trafił, i oniemiał na widok wypeł-

nających ekran słów pisanych z serca okupowanej Europy ponad sześć-

dziesiąt lat wcześniej. Miał właśnie zamiar kliknąć na czerwone kółko zamykające przeglądarkę: wolał nie zostawiać żadnych szczegółów na ekranie, które ktoś mógłby zobaczyć. Szybko zerknął na mężczyznę, który zwrócił jego uwagę, kiedy tu wchodził: jeśli ich obserwował, świetnie sobie radził z ukrywaniem tego.

280

W momencie gdy kursor najechał na czerwony kwadracik, jedno zdanie rzuciło mu się w oczy: „To doniesienie zostało opublikowane za zgodą cenzury wojskowej”.

Oczywiście. Wiadomości z okupowanej Europy nie dochodziły w jednej chwili. To nie była epoka telewizji kablowej, przekazów satelitar-nych i Internetu. Przesyłanie informacji wlokło się niemiłosiernie, opóź-

niane przez technikę i władze wojskowe, które odsiewały wszystko, co im się nie podobało. Zajął teraz miejsce Rebecki, nadal ciepłe. Powtórzył

kluczowe słowa – „Norymberga, trucizna”, ale wyszukiwanie miało obejmować trzy miesiące, od marca do maja. Pięć linków pojawiło się na monitorze, każdy z tytułów wydawał się fascynujący. Była tam historia z Monachium z datą 24 kwietnia – *Naziści odzyskują pozycje w Bawarii*.

Współpracownik Hitlerjugend na ważnym stanowisku – i inna z Frank-furtu: *Haushofer, „geopolityk” Hitlera, popełnia samobójstwo razem z żoną*. Ale to pierwsza i druga wiadomość przykuła uwagę Toma niemal od razu. Kliknął na pierwszą.

1900 niemieckich jeńców ofiarami zatrutego chleba w amerykań-

skim obozie wojskowym niedaleko Norymbergi.

20 kwietnia 1946 roku, sobota

Strona 6, 351 słów

Frankfurt nad Menem, Niemcy, 19 kwietnia (AP) – Jak podaje sztab armii USA, na początku tego tygodnia w amerykańskim obozie 1900

niemieckich jeńców wojennych zatrąło się arszenikiem podanym w chlebie i wszyscy są »poważnie chorzy«”.

Tom obrócił się do Rebecki, której oczy robiły się coraz większe z każdym przeczytanym zdaniem. Kliknął na drugi link, datowany trzy dni później:

281

Liczba ofiar spisku polegającego na otruciu nazistów ze stalagu 13-2283

Amerykańscy agenci znaleźli butelki z arszenikiem w norymberskiej piekarni dostarczającej pieczywo do obozu jenieckiego 23 kwietnia 1943 roku, wtorek

Strona 9, 347 słów

Norymberga, Niemcy, 22 kwietnia (AP) – Władze armii Stanów Zjednoczonych podały dziś wieczorem do wiadomości, że liczba ofiar zatrucia arszenikiem wśród niemieckich jeńców wojennych wzrosła do 2283 w wyniku spisku skierowanego przeciwko 15 000 członków byłej nazistowskiej elity, przetrzymywanych w obozie pod Norymbergą.

Rozdział 40

Zawahał się, nim zaproponował, żeby wrócili do mieszkania jej ojca.

Dostatecznie źle czuła się wśród wszystkiego, co otaczało go za życia.

Na dodatek całe miejsce zdemolowano i teraz wciąż myślała o tym, że ojcu nie pozwolono umrzeć śmiercią starego człowieka, ale go zamor-dowano.

Na dodatek gdyby tam wrócili, ułatwiliby tylko zadanie ludziom, któ-

rzy ich ścigali. Mimo to wiedział, że w logice takiego myślenia jest błąd.

Przecież gdyby chcieli ich zabić, po prostu by się pojawili i załatwili to od razu. Skrupuły ani też nieudolność nie wchodziły w grę – świadczył o tym trup Henry'ego Goldmana. Ten, kto deptał im po piętach, był najwyraźniej wystarczająco skuteczny, żeby śledzić ich ruchy przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Podśluchiwał ich spotkanie z Goldmanem i zakończył je w najważniejszym

momencie. Zdaniem Toma orientował

się we wszystkim, co do tej pory odkryli.

On i Rebecca Merton byli najwyraźniej czyimiś wrogami, ale ci ludzie trzymali się w ukryciu i niczego nie żądali. Tomowi przychodziło do głowy jedno wyjaśnienie – on i córka Gerszona Matzkina stali się kimś w rodzaju rosyjskiego handlarza bronią w Brighton Beach. Mieli kontynuować swoje działania, tak żeby obserwujący ich ludzie mogli to podpatrywać. Czy mieli ich dokądś zaprowadzić, odkryć coś, czego ci ludzie jeszcze nie wiedzieli? Czy to tłumaczyłoby w jakikolwiek sposób 283

dostarczenie koperty do mieszkania Rebecki poprzedniego dnia? Czy był

to gest wroga, czy przyjaciela?

Kiedy wyszli z kafejki internetowej i wskoczyli do autobusu 76, Rebecca przejęła inicjatywę.

–

Odpowiedź musi być gdzieś w jego mieszkaniu, jestem tego pewna.

–

Przewrócili je do góry nogami. Gdyby coś tam było, znaleźliby to, nie uważasz?

–

Nie. Dlatego tak je zdemolowali. Niczego nie znaleźli. Gdyby było inaczej, cięcie poduszek nie miałoby sensu.

Tom chciał powiedzieć, że rzeczywiście to nie miałoby sensu, ale zadzwonił telefon Rebecki. Usiadł. Rebecca spojrzała na wyświetlacz i pokręciła głową: połączenie nie miało nic wspólnego z ich sprawą.

–

Cześć, Nick. Nie ma problemu. Mogę rozmawiać. – Skinęła głową. – Okay, brzmi dobrze. Miejmy nadzieję, że uśmiechnęło się do niej szczęście. Sprawdź, czy nadal ma remisję, wymieńcie jej opatrunki i powiadomcie zespół transplantacyjny, że jest gotowa. I możemy umówić jej brata na pobranie na przyszły tydzień. Wkrótce się odezwę.

Tom jedynie na wpół się temu przysłuchiwał. Zamiast tego skupił

uwagę na dwudziestokilkuletnim mężczyźnie, który właśnie wsiadł do autobusu i miał w uszach słuchawki iPod'a. Tom usiłował zobaczyć, czy były podłączone do odtwarzacza czy do czegoś innego.

Rebecca odłożyła telefon i wróciła do rozmowy z Tomem, zaczynając ją dokładnie w miejscu, w

którym przerwali.

–

Zresztą, co innego możemy zrobić. Nie mamy planu B.

Nawet w takiej sytuacji, gdy usłyszał „my”, zrobiło mu się cieplej na sercu.

I tak rozpoczęli powtórny wizytę na Kyverdale Road, zamierzali sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co – choć to nieprawdopodobne –

zostało przeoczone przez włamywaczy. Oboje bardzo szczegółowo i po cichu przeszukali to miejsce, podnosili każde zdjęcie, oglądali wszystkie 284

bibeloty, nawet te potłuczone. Rebecca poszła do sypialni i zajęła się marynarkami ojca, sprawdzając każdą kieszeń. Tom metodycznie przeglądał książki starszego pana, wytrząsał każdą, na wypadek gdyby znajdowała się w nich jakaś zapomniana notatka z 1946 roku.

Przez cały czas myślał jednak o tym, co wydarzyło się w tym mieszkaniu kilka godzin wcześniej. Nie tylko o samym seksie, ale o zupełnym odsłonięciu się Rebecki kilka minut później. Miała poczucie winy z powodu tego wszystkiego, to pewne, ale gdyby Tom mógł przenieść się w czasie do jakiegokolwiek momentu, wybrałby ponownie tamtą chwilę, kiedy byli razem, nadzy i mówili prawdę.

Kartkował katalog objazdowej aukcji antyków z roku 1981, gdy natknął się na coś: pożółkły, zapisany ręcznie kawałek papieru, niemożliwy do odczytania. Tom odcyfrował jedynie kilka liter. Mógł się jedynie domyślać, że nie były to typowe angielskie słowa. Może chodziło o nazwiska, niemieckie nazwiska.

–

Rebecca! Przyjdź tutaj!

W kilka sekund przybiegła z łazienki i stanęła obok niego. Wzięła od niego kartkę, przysunęła ją bliżej do oczu. Tom zaczął szybciej oddychać.

W końcu obróciła się do niego z uśmiechem.

–

To nie tyle nazwiska, ile nazwy, a jakże. Może nawet niemieckie.

Problem polega na tym, że chodzi o płyny pralnicze. To jedna ze starych list zakupów taty.

Tom zmiął świstek i z zamkniętymi oczami opadł na fotel. Kiedy je otworzył, Rebecca wpatrywała się w niego chłodnym wzrokiem.

–
Nie na tym.

–
Co?

–
Nie siedź na nim.

–
Dlaczego?

–
To fotel taty.

Tom zerwał się na równe nogi i starał się udawać, że coś takiego nigdy się nie wydarzyło.

285

–
Zatem co wiemy?

–
Wiemy, że ojciec, Sid Steiner, Goldman i inni z DIN jeździli i zabijali nazistów. Odbywało się to w dwóch fazach, zaraz po wojnie w okupowanych Niemczech i potem znowu w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na całym świecie, w Europie, Ameryce Południowej, wszędzie. Teraz wiemy też, że największą akcję przeprowadzili w piekarni w Norymberdze, podczas której zabili prawdopodobnie tysiące zbrodniarzy wojennych.

–
Okay.

–
Musimy jednak dowiedzieć się, dlaczego teraz ma to jakieś znaczenie. Nawet jeżeli DIN reaktywowano, żeby zabić ostatniego nazistę –

co, jak oczywiście podejrzewasz, było powodem pobytu ojca w Nowym Jorku – to teraz sprawa jest skończona. Ojca... powstrzymano. – Przerwała na chwilę! – A on był ostatni. Zawsze był wśród nich najmłodszy.

Po nim nie ma już nikogo. Goldman nie miał zamiaru robić czegokolwiek. Dlaczego więc go zabili? Po co to? – Wskazała gestem pobjowisko, jakie przedstawiało sobą mieszkanie.

–

Żeby jakieś nazwisko nie wypłynęło – powiedział Tom. – Pewnie chodzi o nazistę, o którym wszyscy zapomnieli. Może przybrał fałszywe nazwisko. Może twój ojciec poznał jego adres. Gdybym był nazistą i wiedziałbym, że Gerald Merton chce się do mnie dobrać, zadbałbym o to, żeby nie zostawił żadnych wskazówek.

–

Nie, to nie tak – odpowiedziała Rebecca, zagryzając dolną wargę.

– Pamiętasz, Goldman chciał nam jeszcze coś przekazać.

–

Mogło chodzić o nazwisko.

–

Że niby szpieguje nas jakiś stetryczały nazista, włamuje się do mojego mieszkania, rozwała...

–

Do tego można wynająć ludzi. – Tom wszedł jej w słowo. – A co to jest?

–

Och. – Rebecca obróciła twarz w stronę obrazu wiszącego w przedpokoju. Słabo oświetlony w pomieszczeniu pozbawionym okien 286

i zasłonięty wieszakiem, był abstrakcyjnym płótnem, pozbawionym formy zbiorem szarości i czerni, szerokim mniej więcej na metr i wysokim na pół metra. Tom nie zwrócił wcześniej na niego uwagi. I wszystko wskazywało, że podobnie zachowali się intruzi: wydawał się nietknięty.

–

Róża go namalowała. Myślę, że to jedyna rzecz po niej, jaką ojciec zachował. Nienawidziłam tego jako dziecko, jest taki ciemny i de-presyjny. Mama też go nie znosiła. Pozwalała mu trzymać go jedynie w piwnicy.

–

Ale kiedy zamieszkał sam, powiesił go na ścianie. To interesują-

ce, przyznasz sama?

—

Może uważał, że jest jej coś winien. Nie wiem. – Rebecca podeszła bliżej do płótna. – Jako dziecko miałam pretensje do Róży: rozumiesz, „kobieta, która była przed mamusią” i tak dalej. Ale wystarczy spojrzeć na to i człowiek zdaje sobie sprawę, jakie miała straszne życie.

Miała mniej lat niż ja teraz, kiedy umarła.

—

Jaki to ma tytuł? Ten obraz?

—

Jest zatytułowany *Alef*. Widzisz te szare linie, mają w zasadzie tworzyć kształt alef. To pierwsza litera hebrajskiego alfabetu.

—

Racja.

Stali obok siebie i wpatrywali się w obraz, a zarys litery był już dla nich oczywisty. Tom próbował wyobrazić sobie świat, w którym tych dwoje młodych-starych ludzi, chłopak i dziewczyna, żyło sześćdziesiąt lat wcześniej. Świat, gdzie dokonywano ludobójstwa, pełen śmierci i okrucieństwa, które ich zdaniem można było okupić jedynie śmiercią.

Widział Gerszona w piekarni, bez wątplenia modlącego się, by usta człowieka, który zamordował jego ukochane siostry, dotknęły zatrutego chleba.

I wtedy doznał olśnienia, obrócił się do Rebecki i chwycił ją za ramiona.

—

Co powiedziałaś, kiedy kłóciliśmy się o to, czy tu przyjść? W autobusie.

287

—

Powiedziałam, że musimy tu przyjść, bo może coś przeoczyli-
śmy...

—

Nie to, coś innego, próbuj dalej.

–
Powiedziałam, że nie mamy innego wyboru...

–
To jest to!

–
...że nie mamy żadnego planu B.

–
Dokładnie! To jest to: plan B. To, co wydarzyło się w piekarni nie było mimo wszystko największą operacją. To był plan B. Tak Sid go nazwał.

–
Myślałam, że B miało oznaczać bułki.

–
I ja też. *Brot* znaczy po niemiecku chleb, albo *Backerei* – piekarnia. Pamiętasz, powiedziałem Sidowi: „B jak bułki”. A on odparł: „Nie.

Znowu się mylisz”. Zrzuciłem to na demencję, ale kiedy opowiadał o akcji w piekarni, myślał zupełnie klarownie. Pamiętał nawet dokładną datę! Nie rozumiesz, mówił prawdę! Oczywiście. Pomyśl tylko, dlaczego wszyscy ci Żydzi z Polski i Litwy mieliby używać niemieckich słów jako kryptonimów operacji? Użyliby raczej hebrajskiego, podobnie jak było z samą nazwą ich organizacji. Goldman powiedział nam, że DIN oznacza po hebrajsku sprawiedliwość. Jak jest chleb po hebrajsku?

–
Lechem.

–
Dobrze. Nie ma w nim żadnego „b”. A jaka jest druga litera hebrajskiego alfabetu?

–
Bet.

–
Widzisz! Plan *Bet*. Plan B. I nazywali go planem B, bo rzeczywi-

ście był planem b. To był plan awaryjny.

–

A co w takim razie z pierwotnym planem?

–

To plan A. – Tom się uśmiechnął.

–

Och, dobra robota Sherlocku.

–

Albo raczej plan *Alef*, jak moim zdaniem nazywaliby go w DIN.

Powoli obrócili się oboje, by dokładniej przyjrzeć się przygnębiająco czarnemu i ciemnoszaremu dziełu Róży.

Rozdział 41

Zdjęli ostrożnie obraz ze ściany i zanieśli na środek pokoju, trzymając każde za jeden koniec. Oparli go tam o fotel pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Zdążyli już się dokładnie przyjrzeć płótnu, oglądali je z odległości dwóch centymetrów, studiowali zgrubienia olejnej farby, szukając wskazówek – ale niczego nie znaleźli.

Rebecca wróciła z kuchni z nożem do steków i zaczęła zeszkrobywać farbę w losowo wybranych miejscach. Tom usiłował odgadnąć, czy energia, z jaką zabrała się do tego, była wywołana nieprzemyślanym pragnieniem zobaczenia, co obraz może ukrywać – czy też po prostu rozładowywała długo tłumioną złość, jaką to malowidło i artystka, która je stworzyła, w niej budziły.

Teraz oglądali tył obrazu. Oprawione w drogą ramę z szerokich drewnianych desek płótno zabezpieczono z tyłu sporą ilością taśmy klejącej. Tom wziął nóż od Rebecki i powoli podważył taśmę przy krawę-

dziach. Na wpół spodziewał się, że blejtram wyskoczy z ramy, ale tkwił

w niej zbyt długo. Zaczął odrywać taśmę, warstwa po warstwie i szybko zdał sobie sprawę, że z tyłu coś jest, wybrzuszenie miało ponad pół centymetra grubości. To także musiał usunąć.

Zwalczył w sobie chęć przecięcia tektury zamocowanej z tyłu, w końcu ostrożnie usunął taśmę i zobaczył brzegi tektury. Powoli ją uniósł.

W chwili gdy to zrobił, przekonali się oboje, że jego wysiłek nie był

daremny. Z tyłu płótna znajdował się plik papierów, nie przyklejonych, ale dociśniętych przez czas. Trzęsącymi się rękami Tom sięgnął i oderwał je od blejtramu.

Okazało się, że to pięć kartek o prawie takich samych wymiarach, mniej więcej A3. Kiedy Tom obrócił pierwszą, niemal się cofnął, zdziwiony. Spodziewał się czegoś innego – zdjęć, listy nazwisk, które w końcu rozwiązałyby zagadkę – ale zobaczył rysunek, coś między mapą a planem architektonicznym. Następna nie była identyczna, ale podobna, i kolejna również.

–
Co to jest, do cholery? – powiedział, ale Rebecca była zbyt oszo-

łomiona, żeby odpowiedzieć. Ze wszystkich odkryć dotyczących jej ojca, to chyba wywołało najbardziej niemiłe zaskoczenie.

Tom patrzył uważnie na pierwszy rysunek. Zastanawiał się, czy nie jest to aby staroświecki schemat połączeń elektrycznych, szkic obwodu drukowanego. Potem przyszło mu do głowy, że może to plan metra, bo wyraźnie widać było tory i trasy.

Przyjrzał się bliżej, przysuwając twarz na odległość paru centymetrów, na tyle blisko, że czuł zapach kurzu. Spozrzegł numery w różnych miejscach napisane maleńkimi cyframi. Doszedł do wniosku, że to wy-miary.

–
Oczywiście – odezwała się Rebecca cicho.

–
Co to jest? – zapytał Tom, podnosząc głos. – Co?

–
Pamiętasz, jak Róża i inni uciekli? Z getta?

Tom pokręcił głową. To musiało być w części notesu, którą pominął, na stronach opisujących ostatnie etapy wojny, ucieczkę do lasu, gdzie chcieli czekać na przyjście Armii Czerwonej. Pierwszą wzmiankę o Różę Tom zapamiętał, pojawiała się, gdy dziewczyna została kochanką Gerszona, co nastąpiło spory kawałek czasu po jej ucieczce z getta.

–
Kanały. Róża i inni, przywódcy ruchu oporu – wszyscy wydostali się z getta w ostatnim dniu jego likwidacji. Żydów otoczono i wysłano do obozów. Ale ruch oporu zawsze miał plan na ostatni dzień, kiedy nie 290

będzie mógł już dłużej walczyć. Tak więc Róża i pozostali zeszli pod ziemię. Ale nie mój ojciec. On wtedy był już w drodze, przekazywał

wiadomość. Później jednak Róża powiedziała mu, co się wydarzyło. A on opowiedział to mnie. Smród panował tam okropny. Tego dnia akurat padało, co najwyraźniej pogarszało jeszcze sytuację. Rury były tak wą-

skie, niewiele szersze od ich ciał, że musieli iść na czworakach w gównie i szczynach. Na dodatek w niektórych miejscach rury stawały się jeszcze węższe, więc musieli pełzać – odchylając do tyłu głowy, żeby zaczerpnąć choćby haust powietrza. Z tej brei wydostawały się wszelkie możli-we gazy, ludzie mdleli. Ale nie Róża. Ona parła naprzód. W każdym razie tak mówiła. Pokonali w ten sposób ponad trzy kilometry, aż dotarli do wyjścia poza murami getta, gdzie czekało na nich dwóch bojowników z podziemia komunistycznego, oni ich wyciągali.

–

No i...

–

To wymagało mnóstwa pracy. Wśród członków ruchu oporu był

jeden starszy stopniem gość, który zajmował się tym miesiącami, prznosił na mapę każdy centymetr, każdy tunel, każdy właz. Kanały były nie tylko drogą ucieczki, ruch oporu wykorzystywał je także do szmuglu, przynoszenia broni. Pod ziemią umarło wielu ludzi: niektórych wykoń-

czył smród, inni po prostu się gubili.

Słowa płynęły z jej ust, jakby zostały nagrane dawno temu i tylko czekały na odtworzenie. Przez chwilę Tom zobaczył Rebecę jako dziecko, słuchające uważnie w mroku przed zaśnięciem opowieści o podziemiu, bohaterstwie i wojnie. Można było pomyśleć, że zapamiętała każde słowo.

–

Więc te...

–

To muszą być mapy kanałów.

Tom przyjrzał się teraz mapom dokładnie i przekonał, że rzeczywi-

ście były narysowane odręcznie. Przesunął opuszkami palców po papierze. Cóż to był za niezwykły dokument. Nie tylko bardzo dokładnie sporządzona mapa, ale dowód na nadnaturalną zaradność człowieka. I po-myśleć na dodatek – przynajmniej zgodnie z tym, co mówił zmarły 291

Henry Goldman – że najstarsi z tych ludzi, tych bojowników, nie mieli więcej niż po dwadzieścia

pięć lat.

Ale teraz, kiedy mrużąc oczy, wpatrywał się w każdy centymetr kartki, obejrzał dokładnie rodzaj wzoru, stempla w dolnym prawym rogu.

Przekonał się, że to w ogóle nie była odbita pieczęć, ale prostokąt zło-

żony ze słów napisanych maleńkimi, cienkimi literami. Nie potrafił odczytać żadnego z nich poza jednym, zapisanym znacznie większymi literami: Norymberga. Spojrzał w to samo miejsce na następnej mapie.

Monachium. Kolejne trzy to Weimar, Hamburg i Wannsee, przedmieście Berlina.

Przywołał gestem Rebecę, żeby na to zerknęła. W chwili gdy to zobaczyła, zmarszczyła brwi.

—

Nie rozumiem.

—

Twój ojciec nigdy nie był w tych miejscach, prawda? – Tom się zawahał. – Przecież nie było gett w samych Niemczech, prawda? Naziści wywieźli Żydów, a obozy i getta tworzyli w Europie Wschodniej, mam rację?

—

Tak.

Oboje wpatrywali się w plany i usiłowali zrozumieć ich znaczenie.

Tom odezwał się ponownie:

—

Wiemy na pewno, że byli tam po wojnie. Wiemy, że on był w Norymberdze. – Wskazał na mapę. – I wiemy, że te... to wszystko wiąże się jakoś z planem A. I dlatego zostało ukryte w obrazie.

Ale Rebecca już go nie słuchała. Coś w stercie, jaką tworzył rozbebe-szony obraz, przyciągnęło jej uwagę. Było przymocowane tak płasko, że ledwie dawało się zobaczyć. Okazało się, że to przyklejony taśmą do tyłu blejtramu kwadratowy kartonik, którego brzegi stały się niemal żółte.

Bardzo ostrożnie pociągnęła za jeden róg, czując opór kleju, gdy puszczał. Odrywała go powoli, wiedząc, że gdyby wykonała zbyt gwałtowny ruch, mogłaby zniszczyć na zawsze wiadomość z przeszłości, która się tam znajdowała.

Obróciła kartonik. Tom patrzył na linie przedziwnych gryzmołów, jakby starodawnych i niekompletnych hieroglifów, nieprzypominających żadnego języka, który znał.

—

Co to?

Rebecca intensywnie wpatrywała się w ten zapis.

—

Albo jeden, albo drugi.

—

Nie rozumiem.

—

Litery rozpoznaję – powiedziała. – Nie jestem po prostu pewna języka.

* * *

Hałas robiony przez telewizor wydawał się teraz jeszcze bardziej rozpraszający, ale była to wyłącznie wina Toma. Nastawił odbiornik głośniej w chwili, gdy Rebecca zdała sobie sprawę, że na pocztówce zapisano wiadomość: jeśli ktoś ich podsłuchiwał, nadeszła pora, by mu to uniemożliwić. Ale rozbrzmiewający w tle trajkot nadawanego w ciągu dnia programu sprawiał, że skoncentrowanie się było prawie niemożliwe.

Tom chełpił się swoimi zdolnościami językowymi. Nawet jeśli w jakimś języku nie mówił, potrafił przynajmniej go rozpoznać – odróżniał

koreański od tajskiego – i kiedyś wydawało mu się, że będzie umiał

przetłumaczyć zdanie po hebrajsku, jeśli tylko na nie spojrzy. Ale Rebecca musiała mu wyjaśnić, że alfabet drukowany różni się od pisanego ręką, używanego na co dzień; kształty poszczególnych liter były trochę podobne, ale nie identyczne. Nawet dla kogoś, kto rozpoznałby Biblię wydrukowaną po hebrajsku, zdanie napisane ręcznie wyglądałoby raczej jak rząd źle wydrukowanych ikon z komputera.

Chociaż Rebecca zidentyfikowała każdą z liter, nie była pewna, czy zdoła dokonać czegoś więcej.

—

Umiem przeczytać hebrajskie litery – powiedziała, dodając, że zniosła jakoś naukę podstaw hebrajskiego jako dziecko. – Dzięki takiej żydowskiej szkółce niedzielnej.

–

Na czym polega problem w takim razie?

–

Na tym, że to nie musi być hebrajski. Może to jidysz.

–

Myślałem, że jidysz przypomina niemiecki.

–

Bo tak jest w dużej mierze. Ale jest zapisywany hebrajskim alfa-betem.

Tom nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Jidysz był na pewno dostosowany do tajnej komunikacji. Jakiś Niemiec mógłby zrozumieć, gdyby go usłyszał, ale gdyby wpadła mu w ręce notatka, nie wiedziałby nawet, gdzie jest koniec, a gdzie początek. Poza tym jak wielu gojów znało w ogóle hebrajski alfabet, nie wspominając o odręcznym piśmie? Prawie żaden. Oznaczało to, że członkowie DIN nie musieli uciekać się do szyfrowania: wystarczał im własny język, tyle że pisany.

–

W porządku – odezwała się Rebecca w końcu. – Tyle z tego rozpracowałam. Jest tu napisane:
Fargess nicht!

–

Okay – powiedział Tom. – To proste. Znaczy „Nie zapomnij!”.

Czytała dalej:

–

Jir-me-ja... Jirmejahu! To imię: *Jirmejahu*, jak Jeremiasz.

–

Nie przestawaj!

–

Jirmejahu vet zine – dalej jest liczba dwadzieścia trzy – a potem słowo *dem* i kolejny liczebnik, piętnaście. Kończy się następnym jakby poleceniem: *Lomir zich freien!*

–
Lomir zich freien. To jakby nawoływanie, coś w rodzaju „Zrób-my przyjęcie, świętujmy”. Przeczytaj całość od początku.

–
Fargess nicht! Jirmejahu vet zine dwadzieścia trzy *dem* piętna-
ście. *Lomir zich freien.*

–
Nie zapomnij, Jeremiasz przychodzi dwadzieścia trzy na piętna-
ście. Świętujmy!

Rebecca pokręciła głową.

–
Tylko mi nie mów, że to zaproszenie na imprezę.

Tom wstał i zaczął chodzić po pokoju, ale to nie pomogło.

W końcu zamaszystym krokiem zbliżył się do telewizora i wyłączył
głos. W ciszy, która trwała może dwadzieścia sekund, olśniło go.

294

–
Och, to bardzo sprytne. Naprawdę bardzo sprytne.

–
Co jest sprytne?

–
Pamiętasz z notesu ojca wiadomość, którą miał zawieźć do innych gett? – W chwili gdy Rebecca miała odpowiedzieć, Tom położył jej palec na ustach – i ponownie włączył głos w telewizorze.

–
„Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery”. –
Przerwała. – Och, rozumiem.

—
Potrzebna nam Biblia.

Jakiś czas trwało, zanim przekopali się przez sterty książek i śmieci zaścielające podłogę, ale w końcu znaleźli to, czego szukali – wolumin znacznie grubszy od egzemplarza Biblii, jakim Tom się kiedyś posługiwał. Nie żeby był ekspertem: jego ojciec, wojujący ateista, nigdy nie chciał mieć w domu „tej cholernej książki”, bo sprowadzała jedynie

„niedolę na miliony”. Ten egzemplarz był prawdopodobnie dwa razy większy od tych, jakie spotyka się w hotelach, przypominał rozmiarami tom jakiejś encyklopedii.

Rebecca z wahaniem przerzucała strony, w końcu cofnęła się o dwie kartki, a potem przełożyła jedną do przodu, jak ktoś tropiący hasło w słowniku.

—
No i mamy. Księga Jeremiasza. Rozdział dwudziesty trzeci, wiersz piętnasty.

—
Przeczytaj.

Przesuwając palcem pod wydrukowanymi słowami, Rebecca zaczęła głośno czytać: „Dlatego to mówi Pan Zastępów o prorokach: »Oto dam im za pokarm piołun, a za napój wodę zatrutą. Albowiem od proroków z Jerozolimy rozeszła się niegodziwość po całym kraju«”.

Rozdział 42

Norymberga, 1945 rok

Aron nigdy nie chciał, żebym brał w tym udział: nie wierzył, że mam w sobie dość nienawiści.

Jesienią 1945 roku powiedział mi, że DIN już nie istnieje, że od tej pory sprawiedliwość będzie w rękach sądów i prawników. Mieliśmy oddać broń palną i granaty i ruszać na inną linię frontu żydowskiej wojny o przetrwanie – do Palestyny. Brytyjscy zarządcy tego kraju utrudniali żydowską imigrację, więc dostanie się tam nie było łatwe, ale przeszmuglowania nas podjęła się podziemna siatka. Zbliżała się kolejna wojna.

Nowa ojczyzna Żydów nie powstanie bez walki – przeciwko Brytyjczykom, przeciwko Arabom – dlatego Żydzi będą potrzebowali wszystkich żołnierzy, jakich uda się ściągnąć. Nie miałem jeszcze skończonych piętnastu lat, ale liczyłem się jako weteran.

Byłem gotów do wyjazdu, kiedy Aron wezwał mnie na rozmowę. Po raz pierwszy zapytał o moją rodzinę i sposób, w jaki zginęła. Opowiedziałem mu, jak motłoch spalił ojca w naszej oborze. Jak matka się powiesiła, gdy naziści zjawili się na Litwie. I wreszcie powiedziałem mu o siostrach, zastrzelonych i zakopanych w dołach w IX Forcie.

Relacjonując moją historię, nie płakałem, a on kiwał głową w milczeniu. Kiedy skończyłem, wpatrywał się we mnie przez wiele minut, od czasu do czasu drapiąc się po brodzie. Ostatecznie, cichym głosem powiedział, że powinienem zostać w Europie, że DIN ma dla mnie 296

ostatnią misję. Chyba przekonałem go, że jest we mnie dość nienawiści, by można mi było zaufać.

Nigdy nie odbyła się żadna odprawa. Żeby utrzymać plan w tajemnicy, Aron mówił każdemu z nas jedynie to, co musieliśmy wiedzieć. Zło-

żenie tych kawałków w całość zabrało mi trochę czasu.

Zacząłem od Francuza, który wtedy nie miał nic do roboty w Paryżu.

Wpadł na byłego bojownika ruchu oporu, naukowca, który powiedział

mu, że największym zagrożeniem w drugiej połowie XX wieku nie bę-

dzie potężna bomba atomowa, ale coś znacznie mniejszego, broń, którą da się przenosić w teczce. Nie da się jej wykorzystywać na tradycyjnym polu walki, ale na przykład w kolejce podmiejskiej albo w teatrze lub w fabryce napojów gazowanych. Trucizna, to miała być broń przyszłości.

Ciekawość Francuza została obudzona. Dyskretnie rozpoczął dwa własne śledztwa, porozmawiał z chemikiem, od którego dowiedział się o istnieniu toksyn zachowujących właściwości nawet po zmieszaniu ich z ogromną ilością wody. To właśnie w wyniku takich rozmów narodził się *Tochnit Alef*, plan A.

Nazajutrz po tym, gdy Aron powiedział mi, że mam zostać w Europie, wysłał mnie na „szkolenie”, jak sam to nazywał, do mężczyzny, którego nie znałem wcześniej, Żyda z Palestyny. Facet pochodził z Niemiec, ale wyjechał w połowie lat trzydziestych XX wieku. W chwili gdy tego się dowiedziałem, znenawidziłem go. Co taki człowiek, który by ratować własną skórę, uciekł tak wcześnie, mógł wiedzieć o DIN i ze-mście? Czułem się lepszy od niego i jednocześnie mu zazdrościłem.

Niemniej musiałem zachować milczenie i zostać jego uczniem.

Przedstawił się jedynie jako inżynier i okazało się później, że naprawdę był inżynierem, specem od budownictwa i tak dalej.

W momencie kiedy się ze mną spotkał, zagroził, że wyjdzie. „Ucze-nie cię tych rzeczy to absurd, jesteś jeszcze dzieckiem!”. Ale rozkaz Arona był nieodwołalny, więc mnie szkolił.

297

Rozłożył na stole zestaw światłokopii planów. Pokazywały chyba to-ry albo podziemne tunele. Wyjaśnił, że to system kanalizacyjny Norymbergi. I kazał mi się zatrudnić w dziale filtrów.

—

Ale ja nie...

–

Wiem. Nie masz o tym pojęcia. Po to tu jestem, żeby cię nauczyć.

I tak ten inżynier uczył mnie o regulowaniu ciśnienia, usuwaniu zaso-lenia i filtrowaniu osadów. Nocami jeden z dowódców podciągał mój niemiecki, wykpiwał moje skąpe słownictwo i akcent. Podczas tych nocnych lekcji wymyśliliśmy kolejną przykrywkę dla mnie – mój zmarły ojciec miał być Polakiem i przez jakiś czas mieszkaliśmy na wschodzie –

to tłumaczyłoby moje wpadki językowe.

Wręczono mi komplet fałszywych dokumentów, w tym papiery potwierdzające moją nienaganną służbę w Hitlerjugend, a potem w Wehrmachcie. Wymyśliliśmy wiek, który odpowiadałaby tej historii, tak więc zostałem osiemnastolatkiem. Na szczęście byłem nie tylko nieobrzezany blondynem o niebieskich oczach, ale wyrosłem także jak na swój wiek.

Przepytywano mnie z tego wszystkiego bez przerwy.

„Gdzie się urodziłeś?”

„W Lipsku, proszę pana”

„Jak brzmi nazwisko panięskie twojej matki?”

„Fischer, proszę pana!”

„Jak nazywał się twój oddział w Hitlerjugend?”

Po sześciu tygodniach takich zajęć Aron zjawiał się którejs nocy po dwunastej. Sprawdził moje papiery, obszedł mnie wokół, obejrzał do-kładnie garnitur, który miałem włożyć na rozmowę kwalifikacyjną, i w końcu powiedział: „Złóż jutro podanie o pracę”.

Dłonie mi się pociły, gdy siedziałem w poczekalni. Mimo że robiłem to tak często, nigdy nie przyzwyczailem się do kłamania. Wezwała mnie młoda sekretarka, która jak zauważyłem, kołysała biodrami bardziej, niż było to konieczne, kiedy szła przede mną i uśmiechała się. Gdyby 298

wiedziała, pomyślałem, że mam tylko piętnaście lat. Gdyby wiedziała, że nie zawahałbym się zadusić jej brata, jej ojca, a nawet ją, jeśli tylko, miałbym powód.

Rozmowa kwalifikacyjna dotyczyła głównie mojej służby w czasie wojny. Szef miał niewiele ponad pięćdziesiątkę i sam uniknął wcielenia do wojska: zazdrościł mi szansy poświęcania się dla ojczyzny. Skinąłem głową, ale się nie uśmiechnąłem. Pozwoliłem mu myśleć, że jestem zahartowanym żołnierzem, zbyt twardym na jakieś pogaduszki. I jak w przypadku większości słabych ludzi, efekt był taki, że mówił jeszcze więcej. Pod koniec powiedział, że nasza rozmowa sprawiła mu dużą przyjemność, choć przecież ja prawie się nie odzywałem. Dodał, że mo-gę zacząć pracę od

początku następnego tygodnia.

Nadal nie wiedziałem, co mam robić. Dowództwo niczego mi nie przekazało. Ubrany w kombinezon technika laboratoryjnego sprawdza-

łem ciśnieniomierze, używałem wskaźników prętowych i wpisywałem liczby do formularza przymocowanego do tabliczki z zaciskiem na papier – i zastanawiałem się, po co to wszystko. Można by zapytać, czy gdy sprawa stała już dla mnie jasna, kiedykolwiek ją zakwestionowałem.

Ale nikt nie potrafi zrozumieć, chyba że widział to, co my widzieliśmy, jak głęboka stała się nasza nienawiść. Była silniejsza od nas, mogliśmy się w niej obmywać, tonąć w niej i wiedzieliśmy, że przetrwa długo po naszej śmierci.

Kogo tak nienawidzieliśmy? Nienawidzieliśmy ludzi, którzy potrafią unieść krzyczące dziecko za kostki u nóg i roztrzaskać mu główkę o ceglany mur. Nienawidzieliśmy ludzi, którzy potrafili zapędzić innych ludzi na cuchnące stare ulice i zagłodzić ich na śmierć, tak że bezpańskie psy ogryzały trupy. Nienawidzieliśmy ludzi, którzy powiedzieli nam, że zostaniemy przesiedleni na wschód, oszukańczo wsadzili nas do wagonów towarowych przeznaczonych do przewozu bydła, by nas potem segregować – na lewą stronę i na prawą – niczym aniołowie śmierci, decydujący na rampie przy dopiero co przybyłym pociągu, nadal 299

buchającym parą, kto przeżyje, a kto powinien umrzeć. Nienawidzieliśmy ludzi, którzy nas bili, chłostali i wpychali nas, nasze dzieci i starców do betonowych pomieszczeń z prysznicami, mówiąc, że poddadzą nas „od-wszawianiu”, bo jesteśmy niczym zapchlone zwierzęta – nadal kłamiąc nawet pod sam koniec – i przyglądali się nam, gdy czekaliśmy na oczyszczającą wodę, która nigdy nie poleciała, przyglądali się przez wizjery, jak gaz z sykiem wydobywał się z puszek z napisem cyklon B, a mężczyźni, kobiety i dzieci w środku wspinali się po sobie nawzajem, żeby dostać się – jak im się wydawało w ich desperacji – do otworu w suficie albo gdzieś wyżej przy ścianie, gdzie mogło być niezatrute, nadające się do oddychania powietrze. Nienawidzieliśmy ludzi, którzy ściągali nam pierścionki z palców i wrywali złote plomby, którzy przetapiali je i sprzedawali. Nienawidzieliśmy ludzi, którzy odzierali naszych zmarłych z ubrań i wysyłali je do domu, by je nosiły ich żony, synowie i córki. Nienawidzieliśmy ludzi, którzy ograbili nasze ciała z wszelkiego bogactwa i wrzucali nas do krematoriów, krztusząc się od popiołów ulatujących w niebo i opadających niczym płatki śniegu na wiele kilometrów wokół.

Nienawidzieliśmy ich za plan starcia nas z powierzchnią ziemi, rozbicia naszych grobów i wyjałowienia łon naszych kobiet, tak by nasze pokolenie było ostatnie. Nienawidzieliśmy ich za nienasyconą nienawiść, którą wobec nas żywili.

Kiedy człowiek kipi gniewem, równie dzikim jak ten gniew, wpada w jeszcze większą wściekłość, gdy widzi, że reszta świata wzrusza ramionami i idzie dalej – jest wtedy gotów do zrobienia niemal wszystkiego.

Jeśli liczy, że to nasyci jego furię, podejmie się czegokolwiek. Ja byłem zdecydowany coś zrobić.

To właśnie Aron musiał we mnie zobaczyć. Na pewno zorientował

się, że moje oczy należą do człowieka, który zbyt często patrzył na przelewanie żydowskiej krwi. Uwierzył, że nie zawaham się, kiedy poznam prawdę o planie A.

I miał rację. Kiedy w końcu pojąłem, że plan DIN polega na zatruciu 300

wody dostarczanej do domów nie tylko w Norymberdze, ale również w innych niemieckich miastach – Monachium, Hamburgu, Weimarze i Wannsee pod Berlinem – nawet się nie wzdrygnąłem. Zrozumiałem, że będziemy zabijać przy każdym odkręceniu kranu i nie sprawi nam różnicy, czy likwidujemy nazistów, czy zwykłych obywateli Niemiec, prawdziwych zbrodniarzy wojennych czy milczących świadków, dorosłych czy małe dzieci, winnych czy niewinnych. Innymi słowy chcieliśmy zrobić im to, co oni zrobili nam – zabijać ich nie jednego po drugim, ale bez żadnych wyjątków i systematycznie. I nawet wtedy dokonywana przez nas rzeź byłaby ułamkiem tego, czego oni się dopuścili.

Na tym polegał plan A. Jego celem było zabicie za jednym zamachem nie mniej niż miliona Niemców. A ja nie zakwestionowałem go nawet przez sekundę.

Rozdział 43

Ta zdolność szefa go zadziwiała. Brał udział w – którym to? – czwartym spotkaniu tego ranka, słuchał, kiwał mądrze głową, rzucał żarciki, jakby przygotowane na tę okazję, zostawiając każdą osobę, z którą się zobaczył, w przekonaniu, że ten wielki mąż stanu zwrócił uwagę wy-

łącznie na jego, jej problem. Nikt nie wpadłby na to, że w rzeczywistości ten wspaniały człowiek w ogóle nie słuchał, myślami był daleko od tematu rozmowy. Umiał przez cały czas nadawać twarzy odpowiedni wyraz, usta formułowały właściwe słowa zupełnie automatycznie. Tymczasem niczym program komputerowy pracujący w tle jego mózg zajmował

się zupełnie inną sprawą. Jeden z magazynów poświęconych gospodarce nazywał to wielozadaniowością, stanem umysłu wymaganym od każdego energicznego menedżera mającego szeroki zakres obowiązków. Ale był to zbyt suchy opis dla magii, którą uprawiał ten człowiek. Tu nie chodziło o wielozadaniowość. To było czarnoksiężstwo.

W przerwach pomiędzy zebraniem – „spotkaniem dwustronnym”, które zawsze odbywały się zakulisowo w trakcie każdej międzynarodowej narady, nie wyłączając tygodnia, kiedy zbierało się Zgromadzenie Ogólne ONZ – szef podchodził do sekretarza, usuwając z twarzy sztuczny uśmiech, i podejmował wątek rozmowy, którą byli zmuszeni przerwać jakieś dwadzieścia albo czterdzieści minut wcześniej. I nieodmiennie też, co sekretarz dostrzegł, wracał dokładnie do tego samego punktu, jakby nikt im nie przerywał.

stując młodszego rangą urzędnika frazą, której użył pół godziny wcześniej w dyskusji z przewodniczącym Światowej Organizacji Zdrowia.

—
Dlaczego, proszę pana?

—
Bo jeśli można zdobyć ostateczny dowód, to najczęściej oznacza, że już jest za późno. Na przykład: jeśli się boisz, że cię zabiję, wtedy kula w twojej piersi będzie ostatecznym dowodem. – Uśmiechnął się, ale nie był to wesoły uśmiech. – A przecież nie chciałbyś czekać tak długo, prawda?

—
Nie, proszę pana.

—
Nie. Więc nie będziemy czekać. Nawet jeśli podejrzewamy...

Intuicja kazała mu przerwać, zanim jeszcze usłyszał ciche pukanie do drzwi apartamentu. Otworzyły się ze skrzypnięciem i pokazała się w nich ładna sekretarka, która zajmowała się logistyką.

—
Jest już włoski minister spraw zagranicznych – powiedziała.

Pokazał jej, że minister będzie musiał chwilę poczekać. Zamknęła za sobą drzwi, tym razem starając się, żeby nie skrzypiały.

—
Nawet jeśli tylko podejrzewamy, że są coraz bliżej, musimy działać. Czekanie nie ma sensu.

—
Działać?

Szef zmierzył spojrzeniem sekretarza od stóp do głowy. Mniej przypominał przy tym pułkownika dokonującego inspekcji oddziałów, a bardziej uczennicę oceniającą rywalkę. Wykrzywił drwiąco usta. Czy to właśnie ta chwila? – zastanawiał się sekretarz. Czy grozi mu ochrzan i uznanie za dubeltowego kutafona, zupełnie niesprowokowane i na dodatek w najmniej oczekiwanym momencie?

Spróbuj nie obnosić się tak ze swoją przesadną wrażliwością.

Mężczyzna w twoim wieku nie powinien okazywać strachu przy byle okazji.

–

Chodzi o to, że ja po prostu...

303

–

Kiedy mówię „działać”, nie oznacza to żadnego pośpiechu. Nic, co byłoby pochopne. Uważam jedynie, że powinniśmy... – Umilkł, ostentacyjnie szukając odpowiedniego słowa, co było charakterystycznym elementem jego popisów. – Powinniśmy nawiązać dialog. Jak to brzmi?

Sekretarz nabrał już na tyle rozumu, by nie pytać, o co właściwie chodziło. Może to wyrażenie było jedynie eufemizmem używanym przez starego wygę do ukrycia Bóg jeden wie, jakiej potwornej praktyki z dawnych czasów. Dosłowna interpretacja graniczyłaby z popełnieniem szkolnego błędu, za który dostałby kolejną ostrą burę. Ale teraz nie mógł

o tym myśleć. Będzie musiał przeczekać następne spotkanie, żeby o to zapytać, ale w słowach niezdradzających jego niepewności, takich, które nie ujawnią tego, co odczuwał najbardziej dotkliwie w obecności przeło-

żonego: swego zupełnego braku wyrafinowania.

Tak więc wstał, otworzył drzwi i gestem zaprosił do środka mężczyznę o równo przyciętych wąsach, trzymającego skórzaną aktówkę na kolanach i czekającego razem z ładną tłumaczką. Kiedy to robił, jego szef, podstarzały mąż stanu, stał już z szeroko rozłożonymi ramionami, gotowy do wymiany zwyczajowego uścisku.

–

Signor Ministro degli Esteri!

Rozdział 44

Norymberga, zima 1946 roku

Moja praca w wodociągach mogłaby wydawać się nudna, ale nigdy taka nie była, bo musiałem się bardzo koncentrować. Musiałem się pilnować, żeby mój niemiecki mnie nie zawiódł. Uważać, żeby nie palnąć czegoś, co kłóciłoby się z moim fałszywym życiorysem. Ale przede wszystkim musiałem kontrolować wyraz twarzy, nie wolno mi było pod żadnym pozorem zdradzić się z tym, co naprawdę czułem do niemieckich morderców, którzy mnie otaczali.

Przychodziłem każdego dnia, odpracowywałem swoją zmianę, zjada-

łem kanapki, słuchałem dowcipów na stołówce – w tym o żydkach. Ludzie wyobrażali sobie, że w dniu kiedy Hitler zastrzelił się w bunkrze, kiedy Berlin upadł, wszystko się zmieniło, ale tak nie było. Nadal pozostawali tymi samymi ludźmi, to byli ci sami Niemcy.

Każdego dnia wracałem do mieszkania kryjówki i czekałem na rozkazy. Ostatecznie jednak zamiast nich dostałem wiadomość. Najpierw dowiedziałem się, że plan uległ zmianie. Człowiekowi DIN w Berlinie nie udało się dostać do tamtejszych wodociągów, poszedł na rozmowę kwalifikacyjną, ale go nie przyjęto. Nikt nie wiedział dlaczego, umiał

wszystko to, co ja. Ale co się stało, to się nie odstanie. Ograniczyliśmy się do czterech miast.

Trzy tygodnie później nadeszły jeszcze gorsze wieści, tym razem z Weimaru. Naszego człowieka zatrudniono tam, ale skierowano do pracy przy biurku, bez możliwości dostępu do filtrów. Próba dostania się do 305

nich łączyła się z dużym ryzykiem, że go złapią. Dowództwo przedyskutowało sytuację i doszło do wniosku, że jego wpadka naraziłaby na niebezpieczeństwo całe przedsięwzięcie. Polecono mu zaniechać działań.

Nie minęło dużo czasu i odezwał się Hamburg. Nasz najlepiej wykwalifikowany działacz, prawdziwy inżynier, który wymagał jedynie minimalnego szkolenia, został wyrzucony z pracy. Kierownictwo wodociągów sprawdziło jego papiery. Odkryto najwyraźniej rozbieżności, które świadczyły o tym, że papiery były fałszywe – bo rzeczywiście tak było. Na szczęście przyjęli, że mają do czynienia ze zwykłym kryminalistą starającym się ukryć własną przeszłość. Nie domyślili się, że był

Żydem.

Plan obejmujący pięć miast ograniczył się do dwóch: Norymbergi i Monachium. Dowództwo dokonało podsumowania i wyliczyło, że w obu miastach wodę z wodociągów piło milion trzysta osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Cel, jakim było dopadnięcie – otrucie – miliona Niemców, nadal był osiągalny.

Ale kiedy na dobre wciągnąłem się do pracy w Norymberdze, a Manik zainstalował się w wodociągach w Monachium, dowódcy zaczęli się wahać. Kiedy byli bliscy podjęcia decyzji, która odbiłaby się echem na całym świecie i zmieniłaby historię narodów, decyzji, której skutki odczuwano by przez całe wieki, wstrzymali się. Gdy teraz na to patrzę, rozumiem coś, czego wtedy nie pojmowałem – byli jeszcze tacy młodzi.

Postanowili, że sami nie mogą wziąć na siebie odpowiedzialności za czyn tak brzemienny w skutki. Musieli zyskać poparcie jakiejś wyższej władzy. Podobny problem mieli, gdy po raz pierwszy tworzyli zbrojny ruch oporu. „Jakim prawem działacie w naszym imieniu?”. W tamtym czasie machali po prostu ręką, słysząc to pytanie, i odpowiadali po prostu: „Jak nie my, to kto?”. Skoro nikt inny nie reagował walką, to ich obowiązkiem było wziąć do ręki broń i ratować żydowski naród. Ale teraz sprawa przedstawiała się inaczej. *Tochnit Alef* nie służył temu, by ocalić życie Żydom, w każdym razie nie bezpośrednio. Może wzmocnił-

by przyszłe pokolenia, stał się ostrzeżeniem, że nie można bezkarnie 306

mordować Żydów. Nie, plan A miał na celu odebranie życia Niemcom, winnym i niewinnym. Milionowi z nich.

Dowódcy nie byli religijnymi ludźmi, nie przyjęliby rozkazów od rabina. Wyższa władza, o której myśleli, to niezależny żydowski naród: mężczyźni i kobiety, którzy walczyli o żydowską niepodległość w Palestynie. Od państwowości dzieliły ich jeszcze trzy lata, ale suwerenny byt mieli już zapewniony.

Przywódcy DIN chcieli poszukać rady u starszych Żydów, zanim zaczną działać w imieniu całego narodu. Miejscem, gdzie mogliby dostać takie błogosławieństwo, była Palestyna.

Brytyjscy zarządcy tej ziemi nie wpuszczali tam Żydów od 1939 roku

– nawet w najczarniejszej dla nich godzinie – i to ograniczenie nadal obowiązywało. Jediną drogą był tajny system opierający się na korzy-staniu z mało uczęszczanych leśnych ścieżek, spotkaniach o północy w maleńkich portach rybackich, po czym następowało wynajęcie trawlerów na długą niebezpieczną wyprawę, której towarzyszyły sztormy, choroba morska i patrole brytyjskich kanonierek, w nadziei, że ostatecznie osią-

gnie się wybrzeże Palestyny.

Taka była podróż Arona do ziemi obiecanej. Wyobrażam go sobie, jak w końcu zeskakuje ze starej porzewiałej łajby do Morza Śródziemnego i przedziera się przez fale razem z dwoma setkami innych wymę-

czonych uciekinierów z sędziwej Europy, kierując się na plażę w środku nocy – tych nowych potajemnych imigrantów szmuglowano później do kibuców i wiosek rolniczych w północnej Palestynie, do miejsca, które w Biblii nazywano Galileą.

Widzę naszego dowódcę tej pierwszej nocy, ukrywającego się na bu-dzie ciężarówce, która odjeżdża od wybrzeża. Widzę, jak oczy płoną mu w ciemności, jak usiłuje dostrzec cokolwiek w mroku, próbuje choćby przez krótką chwilę zobaczyć ziemię Izraela. Bo trafił właśnie do miejsca, jak święcie wierzył, które stanie się ostatecznie niebem dla narodu jeszcze niedawno zagrożonego wyginięciem.

307

Ale nie od razu przystąpił do dzieła. Wyprzedzała go sława przywódcy żydowskiego podziemia w okupowanej przez nazistów Europie, a w Palestynie było wielu ludzi, którzy chcieli go poznać. Traktowano go jak bohatera, uosobienie nowego Żyda, jakiego chcieli stworzyć w Palestynie: Żyda, który odpowiada walką, który nie chce iść jak owca na rzeź.

Nikommu jednak nie powiedział, że poczynania dawnego ruchu oporu skupiały się teraz na zemście. A oni uwierzyli, że jego walka z nazistami należy już do przeszłości. Nie mieli pojęcia o DIN.

Tę tajemnicę chciał zdradzić tylko jednemu człowiekowi i po dwóch tygodniach poruszania się w środowiskach, które pewnego dnia będą rządziły nowym żydowskim państwem, spotkał się z nim twarzą w twarz. Był to siedemdziesięcioletni założyciel ruchu na rzecz utworzenia państwa żydowskiego, uważany najpierw za głównego emisariusza, a teraz za jego przywódcę. Żaden człowiek nie cieszył się większym auto-rytetem. W dawnych czasach, tysiące lat wcześniej, na ziemiach Izraela postrzegano by go jako przywódcę starszyny.

Młodszy mężczyzna usiadł z nim w zacisznym gabinecie jego domu i opowiedział o tym, o czym starzec mógł do tamtej pory przeczytać w doniesieniach i depešach. Opowiedział mu historię trąby powietrznej, która wymiotła Żydów z Europy. O tym, jak Niemcy postanowili usunąć Żydów z powierzchni ziemi, stłaczając ich w fabrykach śmierci w Auschwitz i Treblince, jakby byli półproduktami na taśmie produkcyjnej.

Opowiedział mu o torturach, „eksperymentach” przeprowadzanych w imię nauki bez znieczulenia na kobietach i przerażonych dzieciach.

Opowiedział mu o świecie śmierci, będącym jego domem przez prawie pięć lat – io tym, jak ludziom, którzy ten świat stworzyli, uszło to bezkarnie.

I wtedy powiedział mu o planie A.

Teraz przyszła kolej na wyjawienie, dlaczego dowódca DIN wybrał

właśnie tego mężczyznę. Nie chodziło tylko o jego wiek, moc błogosławieństwa, którą posiadał. Przyczyną było i to, że ten człowiek, ten przywódca, zyskał szacunek we wcześniejszych latach jako wspaniały 308

naukowiec specjalizujący się w chemii. Na dodatek wycofał się z pierwszej linii frontu polityki i dyplomacji i wrócił do laboratorium.

Starzec słuchał uważnie, oczy mu ciemniały przy każdej opowieści o nieszczęściu. Jego głowa pochylała się coraz niżej. Aron zaczął brać pod uwagę przerwę lub spowolnienie potoku słów: może powinien dać odpocząć staremu człowiekowi, nie zmuszać go do wysłuchania wszystkiego od razu. Zastanowił się nad tym i stłumił tę chęć. Trzeba to wszystko powiedzieć, powtarzał sobie. On musi to usłyszeć.

Tak więc mówił dalej, nie oszczędzając żadnego szczegółu, nawet gdy widział, że wiekowy przywódca krzywi się, jakby sam doświadczał

całego bólu. W chwili gdy Aron wspomniał o *Tochnit Alef*, starzec nie wzdrygnął się, nie kazał mu zabierać rzeczy i się wynosić. Pokiwał po prostu głową. A potem się odezwał:

„Gdybym przebył drogę, którą ty przebyłeś, gdybym widział to, co ty widziałeś, postąpiłbym tak samo”.

Aron spuścił głowę jakby w pełnym wdzięczności podziękowaniu.

Ale pozostał niepewny. Oświadczenie starca było dwuznaczne: łatwo jest współczuć mężczyźnie, którego żona została – powiedzmy – zamordo-wana, i nawet przysiąc, że na jego miejscu także zadusilibyśmy mordercę, choć nadal uważalibyśmy to za niewłaściwą postawę. Czy starzec wyraził jedynie zrozumienie dla gniewu ludzi z DIN? Albo może zrobił

to, czego Aron od niego oczekiwał, oferował moralne poparcie dla planu zgładzenia miliona Niemców?

Dwuznaczna odpowiedź nie była wystarczająca, ale Aron nie chciał

naciskać na starego. Miał zamiar powiedzieć innym, że rezygnują z realizacji planu. Skoro błogosławieństwo nie przyszło łatwo, nie było żadnym błogosławieństwem.

Kiedy Aron wstał, zobaczył, że starzec wyjął pióro wieczne z kieszeni na piersi i zaczął coś pisać. Minęły dwie, może trzy długie minuty, zanim skończył. Skrzypieniu stalówki towarzyszyło głośne tykanie zega-ra stojącego w pokoju pełnym książek i drewnianych mebli – zakątku 309

Europy w dusznym upalnym Lewancie.

„Proszę – powiedział starzec ostatecznie. – To nazwisko najlepszego bakteriologa w Palestynie. To mój uczeń z instytutu w Rehowocie. Jest młody, ale bardzo bystry. Wyjaśniłem mu, czego będziesz potrzebował. I dodałem, że jego obowiązkiem jest dostarczenie ci tego”.

„Dziękuję”, odpowiedział Aron.

Potem starzec poklepał Arona po rękę niczym dziadek na łożu śmierci, rozpaczliwie potrzebujący dotyku tych, którzy będą żyć dalej. Zamknął oczy i zaczął mamrotać coś, co Aron początkowo wziął za modlitwę. Powiedział: „*Dahm Y'Israel Nokeam*. Krew Izraela się zemści”.

Rozdział 45

Tom podniósł oczy na Rebeccę i zobaczył, że jej błędzenie myślami sprzed kilku chwil minęło. Podążając za jej spojrzeniem, przeniósł wzrok na plany przedstawiające szczegółowo system wodociągowy w pięciu niemieckich miastach. Rebecca ponownie popatrzyła na niego.

–

Przeczytaj mi to jeszcze raz.

Tom sięgnął po kartkę, na której zanotował cytat.

–

„...oto dam im za pokarm piołun, a za napój wodę zatrutą”.

Pokiwała głową, nadal wpatrzona w plany wodociągów.

–
To może oznaczać tylko jedno, Rebecca.

–
Wiem.

–
Chodziłoby o wielu ludzi.

–
Wiem. – Odwróciła się od rysunków, przenosząc spojrzenie na podłogę.

Tom wstał z pociętych resztek fotela, na którym siedział, i podszedł do niej. Kiedy położył dłonie na jej ramionach, przytuliła się do niego z wdzięcznością.

–
Posłuchaj, wiemy, że do tego nie doszło. Gdyby było inaczej, wszyscy by o tym usłyszeli. Wiemy też, że zdecydowali się na plan B, bo plan A nie wypalił. Kluczowe pytanie brzmi: dlaczego nie wypalił? Co się stało?

Rozdział 46

Aron poszedł na spotkanie z młodym naukowcem o imieniu Eliezer, który wziął od niego list, jakby był aptekarzem przyjmującym receptę.

Przeczytał go szybko, zerknął na Arona, spojrział ponownie na notkę, przeczytał ją raz jeszcze i kolejny raz. W końcu powiedział: „To zajmie trochę czasu. Odezwę się, kiedy wszystko będzie gotowe”.

Nie wiem, co Aron robił w dni, kiedy czekał. Lubię wyobrazić sobie, że włóczył się po kraju, który wtedy nabierał kształtu. Chcę widzieć go na plaży w Tel Awiwie, trzymającego rożek z lodami. Albo kupującego falafel w jednym z kiosków na rogu ulicy w Jafie. Albo przesuwał dłoń po bladych kamieniach starożytnej Jerozolimy. Ale takie rzeczy odrywałyby go od pracy, którą powinien się zajmować. Nie cieszyłby się, gdyż pamiętał o niedawnym cierpieniu innych, nie radowałby się, dopóki ich ból nie zostałby pomszczony. Przede wszystkim jednak, jak podejrzewam, byłby przerażony tym, że gdyby pozwolił sobie na choćby godzinę wygód, kilka minut szczęścia, jego postawa mogłaby ulec zmianie. Zmiękłby i nie zdołałby przeprowadzić masowego zabójstwa przewidzianego w *Tochnit Alef*.

Dlatego zakładam, że spędzał czas na kolejnych spotkaniach z przywódcami oczekującego na powstanie żydowskiego państwa, nadal ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę przywiezione z

Europy. I nie tylko znajomość charakteru tego mężczyzny przywodzi mnie do takiego myślenia, ale także moja wiedza o tym, co wydarzyło się później.

312

Minęły mniej więcej dwa tygodnie, zanim Aron ponownie zetknął się z Eliezerem. Młody chemik wręczył mu pojemniki wypełnione toksynami, stalowe flaszki umieszczone w ochronnej siatce. Mogły ująć za wyposażenie kempingowe; Aron powinien jakoś przewieźć je w plecaku do Europy.

Wyjazd uzgodnił z ludźmi z żydowskiego podziemia. Potrzebował

ich pomocy, bo znalazł się na terytorium Palestyny nielegalnie; nie miał

żadnego z wymaganych dokumentów, bez których nie dostałby się na żaden statek, bo nie przepuściłaby go brytyjska kontrola w portach. Ludzie z podziemia powiedzieli mu o transportowcach, które wypływały z Hajfy. Mogli go przeszmyglować z fałszywymi papierami na jeden z nich. Udawałby polskiego żołnierza, których wielu kręciło się w tamtym czasie po Palestynie.

Potrafię wyobrazić sobie Arona w podróży, samego z zeszytem, snującego plany i robiącego notatki, podczas gdy inni pili albo śpiewali.

Widzę go wykuwającego swoje miejsce w żydowskiej mitologii: byłby pogromcą Niemców, żydowskim mścicielem. W bagażu miał już śmiertcionośny eliksir. Ja przebywałem w Norymberdze, gotów wlać trującą ciecz do wodociągów tego miasta. Manik zrobiłby to samo w Monachium. *Tochnit Alef* miał się wkrótce zmienić z planu w przełomowe wydarzenie w historii.

Podróż prawie dobiegała końca i statek miał zawinąć do portu w Tulonie, kiedy Aron usłyszał hałas dochodzący z góry, odgłos kroków i szczekliwe pytania zadawane przez funkcjonariuszy brytyjskiej żandarmerii wojskowej, którzy weszli na pokład. Czy miał przecucie, uścisk w żołądku, który podpowiedział mu, po co się zjawili? Czy wiedział, kiedy z tupotem zbiegali po schodach na dolne pokłady, że właśnie jego szukają? Założę się, że tak. Czy sięgnął po plecak? Co zrobił z pojemnikami?

Wywlekli go ze statku bez żadnego wyjaśnienia i wysłali z powrotem do Egiptu, do celi w Aleksandrii. Ostatecznie przetransportowano go do Palestyny. Trzymano go tam w różnych więzieniach, w tym i w Jerozolimie. Aron – nasz dowódca, który przetrwał pięć długich lat, wymykający 313

się nazistowskim oprawcom, który przemykał bocznymi uliczkami getta i chował się w spróchniałych pniach drzew w lasach, którego nikt nigdy nie złapał – teraz stał się więźniem.

Brytyjczycy przesłuchiwali go, ale ich pytania były mało precyzyjne, niejasne. Wywnioskował z tego, że niewiele wiedzieli o nim i *Tochnit Alef*, że zatrzymali go nie na podstawie dowodów, ale cynku sugerujące-go, że Aron może stanowić jakiś rodzaj zagrożenia. Kto jednak mógł na niego donieść?

Wiem, że to pytanie gnębiło go przez spędzane samotnie, niekończą-

ce się dni i noce, niezależnie od tego, czy był w wilgotnej celi brytyjskiego więzienia w Jerozolimie, czy trzymano go niczym pojmanego rycerza w starej twierdzy krzyżowców w Akce. Domyślał się, że został

zdradzony, że informatorem był ktoś, komu kiedyś zaufał. Ułożył w myślach listę wszystkich, którzy wiedzieli o *Tochnit Alef* – starzec, który dał mu błogosławieństwo; młody chemik; najwyżsi rangą przywódcy podziemia, poznani w czasie ostatnich tygodni. Co mogli ujawnić? Czy wygadali się przed Brytyjczykami niechcący, czy była to celowa robota?

Jeśli celowa, to dlaczego? Dlaczego którykolwiek z żydowskich patrio-tów miałby sabotować tę śmiałą próbę wymierzenia sprawiedliwości?

A może Brytyjczycy dostali informację z zupełnie innego źródła? W

końcu *Tochnit Alef* był planem zabicia miliona Niemców. To Niemcy zyskaliby najwięcej na aresztowaniu Arona. Czy to w ogóle było możliwe, żeby Brytyjczycy działali w zмовie z wrogiem...? Nie. To wręcz nie do pomyślenia.

My – Róża, Manik i ja, a nawet towarzysze z DIN – nie mieliśmy o tym rzecz jasna pojęcia. Czekaliśmy po prostu na powrót Arona z trucizną do Europy. Ostatecznie zjawił się posłaniec z wiadomością, którą Aronowi udało się jakoś przemycić z więzienia. Przekazał w niej jedynie: „Aresztowany. Realizować plan B”.

Rozdział 47

– Skoro nic się nie wydarzyło, jak to połączyć ze wszystkim, co się dzieje teraz? Po diabła mieliby zabijać Goldmana albo przewracać do góry nogami moje mieszkanie? Nie ma w tym żadnego sensu.

Tom żałował, że nie potrafi jej odpowiedzieć, ale miała rację. Za każdym razem, gdy zbliżali się do czegoś, co wydawało się rozwiązaniem, zagadka jeszcze bardziej się gmatwała. Było jasne, że ścigający ich ludzie węszyli za czymś i musiał to być tajny plan A. W pewien sposób zyskiwali z Rebeccą potwierdzenie, że mają rację: dowód, prawdopodobnie jedyny pozostały na świecie dowód, schowano tutaj, przyklejono go z tyłu obrazu za oprawą. Nie mogło chodzić o nic innego, jakiś inny sekret ukryty w tym mieszkaniu, każdy centymetr tego miejsca został

bowiem dokładnie obejrzany, jeśli nie przez samych włamywaczy, to przez Toma i Rebeccę. Plan A był na pewno tym, czego szukali. To musiała być tajemnica, do której zachowania ich wróg dążył ze wszystkich sił. Z jakiego powodu zabito Goldmana, jeśli nie po to, żeby uniemożliwić mu jej ujawnienie?

Ale brakowało w tym krzty logiki. Plan A nie został zrealizowany.

Nie doszło do masowego otrucia w największych niemieckich miastach.

To był jedynie zamysł wykorzystania wodociągów sześćdziesiąt lat temu. Dlaczego miałby mieć teraz jakiegokolwiek znaczenie?

Chyba że szukali w złym miejscu. Chyba że Tom od początku wszystko zbyt komplikował.

315

—
Wróćmy do podstaw – powiedział, chodząc po pokoju. – Twój ojciec polował na kogoś w Nowym Jorku, to oczywiste. Kimkolwiek jest ta osoba, uważa, że twój ojciec miał przeciwko niej jakiś dowód. Może dysponował listą nazwisk – podobną do tej, którą przysłano ci do mieszkania, tyle że zaktualizowaną, zawierającą wyłącznie nazwiska nadal żyjących nazistów. Może ta osoba z Nowego Jorku wie, że jest na tej liście. Musi zdobyć ten dokument. I dlatego tak bardzo się przestraszyła, kiedy Goldman zaczął mówić. Bo ta osoba podejrzewała, że Goldman również miał tę listę.

Zamienili się miejscami, teraz Rebecca przysiadła na rozwalonej kanapie.

—
Czyli to się nie skończy, dopóki nie znajdziemy tej listy.

—
Jeśli oczywiście taka lista istnieje. Bo może jej nie być. Spójrzmy prawdzie w oczy, Rebecca. Skoro do tej pory jej nie znaleźliśmy, gdzie mogłaby się znajdować? Prawdopodobnie w ogóle jej nie ma.

—
Już nie.

—
O co chodzi?

—
Już nie. Wiele lat temu każdy mógł stworzyć listę byłych nazistów, którzy nadal żyli. Ich nazwiskami można by zapełnić książkę telefoniczną. Ale zostało ich bardzo niewiele. Wszyscy byliby za starzy.

—
No właśnie. Co oznacza, że kogokolwiek ścigał twój ojciec, była to tylko jedna osoba, musiał pamiętać tylko jedno nazwisko. Przypuszczam, że jeśli kiedykolwiek uda się nam rozwiązać tę sprawę, to tylko dzięki ustaleniu tego nazwiska.

—
Jak, do cholery, mamy to zrobić?

Tom miał jej odpowiedzieć, że nie ma zielonego pojęcia, ale w tym samym momencie doznał olśnienia. Oczywiście: cóż za elementarny błąd. Zbyt starzy.

Tom szybko włożył plany i pocztówkę za ramę obrazu – przecież je-

śli do tej pory nikomu innemu nie udało się ich odnaleźć, to prawdopodobnie nie było bezpieczniejszego miejsca – i byle jak przyklepił wszystko z powrotem.

316

–

Idziemy.

–

Dokąd? Nic nie rozumiem.

–

Ja też nie. Jeszcze nie. Ale myślę, że niedługo oboje zrozumie-my.

Rozdział 48

Wolałby iść gdzie indziej, gdzie było więcej ludzi, ale bez samochodu nie można grymasić. Dlatego zaryzykowali i po prostu wrócili do odległej o dziesięć minut marszu kafejki internetowej przy Kingsland High Street. W chwili gdy Tom wyszedł na zewnątrz, omiół wzrokiem ulicę. Zobaczył dwie kobiety popychające wózki dziecięce, jedna z nich rozmawiała przez komórkę. Mogła to być bardzo pomysłowa przykrywka... albo nic groźnego. Spojrzał w przeciwną stronę. Listonosz – a może to przebranie kogoś, kto stał na czatach? Biała furgonetka z dwoma młodymi mężczyznami w środku jechała, podskakując na progach zwalniających. Czy stała zaparkowana aż do chwili, gdy Tom się pojawił? Czy zawierała przepychacze i pompy zgodnie z tym, co głosił napis namalowany z boku „Udrażnianie kanalizacji”, a nie zaawansowany technologicznie sprzęt do inwigilacji? Tom pokręcił głową, wiedząc, że może jedynie popatrywać ponad ramieniem, przejść na drugą stronę ulicy, gdy zobaczy kogoś podejrzanego, i trzymać się ruchliwych ulic.

Był wdzięczny Geraldowi Mertonowi, że do końca trzymał się Hackney. Zamożne dzielnice niemal zawsze były opustoszałe, zwłaszcza o tej porze dnia. Dzieci odwożono tam do szkół i przywożono z powrotem w zamkniętych kapsułach z napędem na cztery koła, tatusiowie wracali z pracy smukłymi bmw, a pogaduszki z sąsiadami odbywały się w domach 318

i przez telefon albo za pośrednictwem komputera. Ale w biedniejszych częściach miasta, miejscach takich jak Hackney, życie toczyło się na ulicach. Zawsze kręcili się tam ludzie, czekali na autobus albo kupowali butelkę mleka i paczkę fajek w pobliskim sklepie. Na takich osiedlach dzieciaki nadal grały w piłkę na środku ulicy. Matki nie kazały im zostawać w domu ze strachu przed tym, co brutalniejsze dzieci mogłyby im zrobić. Tu mieszkaly dzieci, których inne dzieciaki się bały.

Tom doceniał to wszystko, kiedy trzy lub cztery razy skręcali, zanim dotarli do głównej ulicy, przy której znajdowało się nazwane trochę na wyrost Centrum Telekomunikacji Międzynarodowej Nawington.

—

Tak sobie myślę – powiedziała Rebecca, patrząc w lewo, a potem w prawo, kiedy przechodzili przez Cazenove Road – czy nie powinniśmy mieć już jakichś wiadomości z policji? O sekcji zwłok.

—

Brak nowin to dobra nowina. Gdyby coś znaleźli, dowiedzieliby-

śmy się o tym. Gdyby w krwiobiegu Goldmana były narkotyki albo trucizna, ty jako lekarz na pewno byś to zauważyła.

—

Tak więc policja uzna, że umarł z przyczyn naturalnych?

—

I dlatego nie ma śledztwa w sprawie morderstwa.

—

Ale ono jest konieczne.

Tom zastanawiał się nad powtórzeniem słów pociechy, do których uciekł się wcześniej – że śmierć Goldmana mogła nastąpić przypadkowo

– ale nie mógł tego zrobić.

Dotarli do kafejki internetowej, gdzie ucieszył się na widok tej samej melancholijnej klienteli, zbierającej się tam popołudniami. Ponownie były zajęte wszystkie kabiny telefoniczne z imitacji drewna; korzystano też z większości terminali komputerowych. Kiedy Tom wręczał dwie monety funtowe, rezerwując sprzęt na końcu rzędu, jakiś starszy brodaty mężczyzna w stroju ortodoksyjnego Żyda wstał od komputera obok.

Teraz mieli dwa urządzenia obok siebie.

Wszedł od razu na Google i wpisał dwa słowa, które niemal go poraziły w mieszkaniu Gerszona. To był tak podstawowy błąd w rozumowaniu, że Tom prawie się tego wstydził. Czego zażądał od Nowego Jorku?

Podania listy wszystkich powyżej siedemdziesiątego roku życia, obecnych w czasie tygodnia, gdy odbywało się Zgromadzenie Ogólne. Zupeł-

nie zapomniał o tym spisie, zawierającym między innymi nazwiska chińskiego tłumacza i głowy izraelskiego państwa.

Ale kiedy Rebecca narzekała, że „wszyscy byliby zbyt starzy”, natychmiast wszystko zrozumiał. Podobnie jak ona wielu ludzi z jej pokolenia wychowywało się w cieniu nazistowskiej epoki. Nie wszyscy byli dziećmi ofiar. Niektórzy byli dziećmi oprawców. Może je również zwerbowano do tej pośmiertnej bitwy, tak samo jak Rebecce, by prowadzili wojnę ojców. Z tą różnicą, że ci ludzie, jak Tom się domyślał, walczyli po przeciwnej stronie.

To dlatego Tom tak bardzo chciał, żeby jego przecucie okazało się nieprawdziwe, gdy wstukiwał w pasku poszukiwań Google dwa słowa, ciężące mu na sercu.

„Henning Munchau”.

Rozdział 49

Większość informacji, które się pojawiły, była po niemiecku, zaczynając od doniesienia w „Frankfurter Allgemeine Zeitung” o zatrudnieniu Munchaua w Organizacji Narodów Zjednoczonych, przez kilka innych ze specjalistycznej prasy prawniczej. Po angielsku był wywiad z nim dla

„New World”, magazynu ONZ wydawanego w Wielkiej Brytanii i wzmianka w „New York Observer”, że Munchau został wezwany do magistratu Manhattanu, bo nie zapłacił za bilet parkingowy. Nie tego Tom szukał.

Oparł głowę na dłoniach. Wiedział, że jest jeszcze coś, czego nie potrafił sobie przypomnieć. Pomyśl. Pomyśl.

Tom zamknął oczy, usiłując wyobrazić sobie biuro radcy prawnego, plusz i recepcję z dwiema sekretarkami oraz okno z widokiem na East River. Na drzwiach Henninga wisiała tabliczka. Mijał ją tysiące razy, nie zwracając na nią należytej uwagi. Powoli jej kształt formował się w jego umyśle, litery stawały się wyraźniejsze. Napisano tam: „W. Henning Munchau”.

W.

Przypomnił sobie, jak obaj stali w kolejce do wyjazdu z Dili w Timorze Wschodnim, czekając, aż ich papiery zostaną sprawdzone i ostemplowane. Wymienili się dokumentami, żeby Henning mógł obejrzeć zdjęcie Toma w paszporcie i drwić, że tak wyraźnie się postarzał.

321

—

Kiedyś taki przystojny. Co poszło nie tak, Tommy, he?

Tom nie dostrzegł niczego w fotografii Henninga, co mogłoby mu posłużyć do kontrataku, ten facet właściwie się nie starzał. Ale wtedy po raz pierwszy zobaczył pełne nazwisko kolegi.

—

Ach, mamy między sobą cesarza, ni mniej, ni więcej.

Cisza, *Mein Herren, Kaiser Wilhelm Henning Munchau*.

Henning kazał mu się zamknąć. Tom nie zadał wtedy żadnych pytań.

Czuł się coraz bardziej zmęczony, wokół byli ludzie. Ale teraz odtwarzając tę scenę w pamięci, zastanawiał się, czy Henning przestał się nagle uśmiechać z innego powodu.

Ponownie wstukał jego nazwisko do komputera.

I znowu dwa pierwsze linki były po niemiecku. Najwyraźniej pochodziły z gazet prawniczych, a nazwisko Henninga znajdowało się na długiej liście innych – prawdopodobnie były to informacje o różnych nagrodach i awansach.

Tom postanowił uściślić wyszukiwanie. Nie dopuszczając do siebie myśli, żeby przestać, bo mógłby zmienić zdanie kolejny raz, wpisał jego nazwisko w pasek poszukiwań – „Wilhelm Henning Munchau” – tym razem dodając jedno słowo: „nazista”.

System nie potrzebował pełnej sekundy na przeszukanie światowych źródeł i odnalezienie frazy, której Tom tak się bał. Ale oto była, pierwsze kilka słów wpisu zrozumiałe nawet bez otwierania linku. Znajdowały się na stronie internetowej wydziału historii Uniwersytetu Marylandu.

„Kapitan Wilhelm Henning Munchau, 1898–1975; służył w SS, w formacji *Totenkopfverbände*, czyli oddziałach Trupiej Czaszki; zachod-nioniemiecki sąd skazał go w 1966 roku na karę w zawieszeniu za służbę w Theresienstadt (Terezynie)”.

Tom kliknął na link prowadzący od słowa *Totenkopfverbände*. Przeniósł się na stronę czegoś o nazwie Muzeum Tolerancji. Znajdowała się tam definicja: „Oddziały SS pilnujące obozów koncentracyjnych. Na prawym kołnierzyku ich mundurów widniał symbol trupiej czaszki, od której wzięli nazwę. Stali się elitą wśród elity SS”.

322

Tom przewinął informację do końca wpisu.

„...oskarżono ich o mordowanie Żydów i partyzantów”.

Odsunął się do komputera i odruchowo sięgnął do kieszeni po tytoń.

Jeśli można było jeszcze palić gdziekolwiek w Londynie, to na pewno w takim zapyziałym przybytku jak ten. Nie odrywając oczu od monitora, skręcił papierosa jedną ręką i włożył go do ust. Już samo

to, zanim jeszcze zapalił zapalną, było niczym uspokajający kop nikotyny.

Jezu Chryste. Jaka część jego mózgu nie pomyślała o tym wcześniej?

Może wyparł samą myśl o tym? Miał to pod ręką. W chwili gdy otworzył

dziennik Gerszona Matzki, powinien przynajmniej wziąć to pod uwagę. Każdy na jego miejscu tak by zrobił. Został wysłany by wyciszyć sprawę starego łowcy nazistów przez – no, przez kogo? – przez Niemca!

Nie trzeba mieć żadnych uprzedzeń, żeby dostrzec związek, wystarczył

zdrowy rozsądek. Dlaczego okazał się taki głupi? Pozwolił, by osobista sympatia do Henninga przesłoniła mu trzeźwy osąd. Zrezygnował z najbardziej oczywistej linii śledztwa. Przyjaźń zablokowała mu synapsy i nawet nie wziął pod uwagę możliwości, że niemieckiemu dyplomacie może zależeć na zatuszowaniu nazistowskiej przeszłości. Albo może Tom po prostu nie postrzegał już Henninga jako Niemca, ale jakiegoś kosmopolitę, poniekąd Australijczyka.

Zaczął intensywnie myśleć, żeby odkryć możliwe implikacje. Bez wątpienia wszystko wskazywało, że Henning oszukał go, wysyłając z tą misją. Utrzymywał, że nic nie wie o Geraldzie Mertonie, a znał każdy ważny szczegół, poczynając od motywu starego człowieka.

Ale to było najmniejsze zmartwienie. Główny doradca prawny Organizacji Narodów Zjednoczonych obmyślił w jakiś sposób operację wywiadu w stolicy obcego państwa, która pozwoliła mu namierzyć – i zdemolować – mieszkania zarówno Geralda Mertona, jak i jego córki, nie wspominając o podsłuchiowaniu, a potem zamordowaniu Henry'ego Goldmana. Jakim cudem Munchau dysponował taką władzą? Chyba że był tylko jednym z trybów czegoś znacznie większego.

323

W pierwszej chwili Tom poczuł się trochę rozczarowany, zwłaszcza Gerszonym Matzkinem. Spodziewał się po nim czegoś więcej niż wy-prawy do Nowego Jorku w celu namierzenia syna albo, co bardziej prawdopodobne, wnuka nazistowskiego zbrodniarza wojennego. Tom wbrew sobie wczuwał się w determinację członków DIN, by wyłapać winnych ludzi, ale to – przenoszenie grzechów ojców na dzieci i wnuki –

nie dawało się obronić. Logika podpowiadała, że miałyby to sens jedynie wtedy, gdyby wcale nie chodziło o Henninga Munchaua i jego dziadka nazistę, ale o coś, w czym prawnik ONZ – dawny szef Toma i wspaniały przyjaciel – brał udział jako zwykły pionek.

Obrócił się do Rebecki, niemal pewny, że patrzyła mu przez ramię i czytała skrócony życiorys Munchaua seniora, ciągle jaśniejący na ekranie. Ale Rebecca nie patrzyła na jego monitor. Nie odrywała wzroku od własnego. Była blada jak ściana.

–

O co chodzi?

Wskazała po prostu na ekran z otwartą stroną na Facebooku. Jej palec kierował się ku lewej stronie, na rubrykę Znajomi.

—

Nie bardzo rozumiem – powiedział Tom, ponownie świadomy tego, że Rebecca była dziesięć lat od niego młodsza, ale też i tego, że najwyraźniej ominęła go w dużym stopniu ostatnia fala rewolucji w Internecie. Wszyscy inni mogli teraz tworzyć sieć towarzyskich powią-

zań, podczas gdy jego osobiste kontakty ograniczały się do modelek, z którymi chodził na randki, gangsterów, dla których pracował, i urodzonego w Anglii krawca, którego odkrył na Spring Street, i żadna z tych znajomości nie była zawarta w sieci.

Rebecca kliknęła parę razy, cofając się o kilka stron. Tom się strapił, zauważył nowego użytkownika.

—

Widzisz tego gościa? – Wskazywała na kwadracik, w którym zamiast zdjęcia widniał znak zapytania. – Wcześniej pytał, czy może mnie dodać do listy znajomych?

—

Dodać do listy znajomych?

—

Tak się robi na Facebooku. Zgodziłam się. – Widziała 324

niedowierzanie na twarzy Toma. – Mnóstwo ludzi się ze mną kontaktowało, chcieli mi złożyć kondolencje z powodu taty. Najprościej było odpowiadać wszystkim „tak”, jak leci.

Tom spojrzał na mężczyznę, który właśnie wszedł. Było w nim coś znajomego.

—

Popatrz na uaktualnienia statusów.

Tom zerknął na listę. „Jay... je obiad w Jorku – znowu. Zoe... nie mo-

że się doczekać, kiedy wyjdzie z pracy, bo wtedy będzie mogła napić się czegoś mocniejszego”. Przeniósł wzrok z powrotem na mężczyznę, teraz siedzącego już na końcu rzędu. Białe, kable słuchawek iPoda zwisały mu na kołnierzyku.

Palec Rebecki ponownie zwrócił uwagę Toma na listę uaktualnień statusów na stronie Facebooka, pokazując mu wpis pięć linii niżej.

—

To on.

„Richard musi jak najszybciej zobaczyć się z Rebeccą – wtedy będzie mógł wyjaśnić, co się dzieje”.

Rozdział 50

Tom jeszcze na dobre nie przeczytał tych słów, kiedy Rebecca zaczę-

ła pisać w zapamiętaniu: „Kim jesteś? Skąd wiesz, co się dzieje?”.

Tom podrapał się po brodzie.

–

Zastanawiam się, czy nie powinnaś dodać...

–

Za późno – odpowiedziała Rebecca, uderzając w ostatni klawisz.

– Już to wysłałam.

–

Boże święty, mało nam było... – Urwał w pół zdania, nie mógł

sobie teraz pozwolić na awanturę, nie w chwili gdy miał jej to powiedzieć. Rzucił okiem na mężczyznę z białymi słuchawkami w uszach: siedział z pochyloną głową i bębnił w klawiaturę, najwyraźniej nieświadomy ich obecności, podobnie jak obecności pozostałych ludzi. –

Rebecca, jest coś, co powinnaś zobaczyć. – Obrócił ku niej monitor, żeby mogła spojrzeć na jego odkrycie. – Pamiętasz mojego dawnego szefa, Henninga Munchaua? Radca prawny sekretarza generalnego ONZ

i tak dalej? Popatrz na to.

Widział, jak jej twarz rozjaśniła się w niebieskiej poświacie monitora.

Przebiegła wzrokiem po krótkiej notce biograficznej Wilhelma Henninga Munchaua, na którą przed chwilą natrafił. Tom uznał, że nie wyglądała na zaskoczoną, wydawała się raczej bardzo skupiona.

–

Myślisz, że to właśnie o to chodzi w tym wszystkim?

–

Nie wiem. To jakiś obłąd. Jasne, Henning zagrał bezpardonowo, nie ma wątpliwości. Ale pod

stronę aniołów. Prawdziwy działacz humanitarny. Gdybyś widziała go w Timorze Wschodnim, kiedy rebelianci dostawali wycisk, on...

—
Ale to by wiele wyjaśniało. Jego ojciec był nazistą...

—
Prawdopodobnie dziadek.

—
...a on nie chce, żeby się to wydało. Może wiedział, że mój ojciec zna historię jego rodziny, i postanowił nie dopuścić do jej ujawnienia.

Tak, to by wiele wyjaśniało.

—
Wiem. Ale nie wierzę, żeby posunął się aż tak daleko: żeby przysłał tu ludzi, którzy mieliby przetrząsnąć mieszkanie twojego ojca, twoje mieszkanie, podsłuchiwać nasze spotkania...

—
Zabić Goldmana.

—
Nawet gdyby chciał to zrobić, po prostu nie byłby w stanie. Ludzie wyobrażają sobie, że Organizacja Narodów Zjednoczonych dysponuje jakąś globalną potęgą. Ale ona właściwie nic nie może. Jeśli potrzebuje tonera do kserokopiarki, musi o niego zebrać.

—
Masz lepsze wyjaśnienie?

Tom zaczął trzeć oczy, nie miał dobrej odpowiedzi. W końcu co wiedzieli? Że istniał plan zatrucia wody w wodociągach w powojennych Niemczech, z którego najwyraźniej zrezygnowano. Że zamiast tego członkowie DIN zabili setki, może tysiące były oficerów SS, czekają-

cych na procesy za zbrodnie wojenne. Ale jak się to miało do teraźniejszości, do obecnego dnia, tego nie umiał powiedzieć. Wbrew wszystkiemu, czego się dowiedzieli, on i Rebecca nie mogli nawet ustalić z całą pewnością, co Gerald Merton robił dwa dni wcześniej w Nowym Jorku.

–
Nie. Nic nie przychodzi mi...

–
Aha. No i proszę. Odpowiedział.

„Jestem przyjacielem i naprawdę chcę pomóc”.

Rebecca od razu wystukała odpowiedź: „Znałeś mojego ojca?”.

Minęło może pół minuty, kiedy na Facebooku pokazała się informacja o nadejściu nowej wiadomości. Kliknęła, żeby ją otworzyć. „Nigdy nie miałem zaszczytu poznać twojego ojca. Ale wiem o jego dokona-niach”.

327

Obróciła się do Toma.

–
Co, do cholery, znaczą te „jego dokonania”? Ojciec miał pralnię chemiczną. – Szybko wystukała odpowiedź: „Jakie »dokonania« masz na myśli?”.

Zareagował dosłownie w czasie kilku sekund. „Podziwiam DIN”.

Rebecca spojrzała na Toma, wahała się.

–
Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić, Tom?

I znowu to „my” przyprawiło go o elektryzujący dreszcz. Chciałby ją objąć, pogłaskać, spędzać całe godziny na wpatrywaniu się w te oczy.

Wzięcie się w karby wymagało od niego sporego wysiłku.

–
Myślę, że powinniśmy się z nim spotkać – odpowiedział. –

Gdzieś w publicznym miejscu, w jakimś bezpiecznym miejscu. – Tom zerknął na mężczyznę na końcu rzędu. Mrużąc oczy, próbował dojrzeć, co było na jego ekranie: najwyraźniej pochłonęła go jakaś gotycka gra wideo.

Rebecca pisała ponownie, przerwała jedynie na chwilę, żeby spojrzeć na zegarek: „Będę w Starbucksie przy Portland Place o godzinie 18”.

–
Daj znać, że będziesz ze mną. Dla bezpieczeństwa.

„Będziemy w Starbucksie przy Portland Place o godzinie 18”.

–
Poczekaj. – Tom pochylił się i sam zaczął uderzać w klawisze.

Rebecca nie odsunęła się. Tom miał świadomość, że czuła jego zapach. –

Dajmy sobie spokój z subtelnościami.

„Będę z przyjacielem, pomaga mi”.

A potem, jakby po namyśle, Rebecca wstukała trzy kolejne słowa:

„Jak cię rozpoznam?”.

Odpowiedź nadeszła za kilka sekund.

„Tym się nie przejmuj, ja rozpoznam ciebie”.

Rozdział 51

Tom chciał tam przyjść przed czasem. Zawsze zyskuje się przewagę w negocjacjach, jeśli jest się panem danego miejsca. To dlatego właśnie w ONZ istniał tak rozbudowany protokół dotyczący spotkań współpracowników, nawet jeśli chodziło o najbardziej przyziemne sprawy. Zgodnie ze standardową praktyką urzędnik niższego szczebla przychodził

niczym petent do przełożonego. Jeśli zajmowało się pozycję zwierzchni-ka, należało bujać się w obrotowym fotelu i bawić ołówkami i receptur-kami. Tymczasem ten drugi musiał jakoś sobie radzić na fotelu ze sztywnym oparciem, kupionym wyłącznie dlatego, że był niższy od twojego.

Kawiarnia przy ruchliwej ulicy była neutralnym terytorium. Zjawia-jąc się tam dziesięć minut wcześniej, Tom i Rebecca mogli chociaż w niewielkim stopniu zastosować biurową procedurę rodem z UN Plaza.

Tom omiół wewnątrz wzrokiem w poszukiwaniu wygodnych foteli, dzięki którym Starbucks wyrobiło sobie markę jeszcze w odległych latach dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy ręcznie pisana oferta na czarnej tablicy i przekłute nosy obsługi stwarzały złudzenie, że te kawiarnie były trochę alternatywne, może nawet grungy, a nie należały do korporacyjnej sieci dążącej do ogarnięcia całego globu. Tom sprzed kilku lat podziwiałby tę kapitalistyczną rzutkość bez zastrzeżeń. Ale dzisiaj nie potrafił

powstrzymać się od psioczenia na „oszczędnościowe” rozwiązania, przez które stało tam jedynie

kilka wygodnych foteli, natomiast na reszcie przestrzeni tłoczono klientów jak sardynki.

329

–

O, tu – powiedział, wskazując na okrągły drewniany stolik, przy którym mogły się pomieścić trzy osoby. Będzie tam co prawda krępująco ciasno, nawet klaustrofobicznie, ale umożliwi to jednocześnie prowadzenie cichej rozmowy z „Richardem”. Jeżeli byli śledzeni, każdemu podsłuchującemu niełatwo będzie wyłapać coś z ich słów. Panował tu straszny tłok, co miało swoje zalety.

Teraz, gdy zajęli i oznaczyli własne terytorium – kurtki powieszono na oparciach foteli, torebka Rebecki ostentacyjnie postawiona na stoliku

– Tom sięgnął do kieszeni po drobne.

–

Więc, na co mamy ochotę, *mademoiselle!*

Rebecca zmusiła się do nerwowego uśmiechu. Najwyraźniej obawia-

ła się tego, co może usłyszeć. Snucie domysłów to jedno. Ale poznanie w sposób definitywny i nieodwracalny natury bagna, przez które tamci ludzie przeszli, dowiedzenie się tego, co rzeczywiście jej ojciec robił–

jako, że „Richard” to właśnie jej obiecał – cóż, to było znacznie bardziej przerażające. Sugerowało ostateczność.

Tom poszedł do lady, żeby zamówić cappuccino i latte. Zawahał się, gdy go zapytano czy chce *venti*, czy *grande*. Podał pieniądze płaskono-sej, niebieskookiej blondynce: Polce albo Litwince, albo Słowaczce, nie potrafił powiedzieć, a może nawet Łotyszce.

Czekając na zrobienie kawy, odmierzanie porcji, zaparzanie, zmianę mleka w pianę, mieszanie składników, spojrzął na Rebecę zapatrzoną gdzieś w dal. Jeśli dla niego te ostatnie kilka dni było wyczerpujące, niczym pobyt w strefie wojny, to o ile bardziej ona musiała być zmęczona. Straciła ojca, dosłownie i w przenośni. Każdego dnia, o każdej godzinie stawiała czoło nowym, coraz bardziej zadziwiającym aspektom jego życiorysu. Najświeższa była informacja o gotowości jej ojca do popełnienia masowej zbrodni, do zamordowania Bóg jeden wie ilu setek tysięcy Niemców bez różnicy, na chybił trafił. A mimo to, gdy teraz patrzył na Rebecę – rozmawiającą przez telefon, bez wątpienia sprawdzającą ponownie, co dzieje się w szpitalu – musiał podziwiać jej wytrzymałość, gdy tak parla przed siebie, jakby nie miała czasu na 330

odpoczynek, jakby chciała opatrzyć rany później, kiedy bitwa dobiegnie końca. Zdał sobie sprawę, że darzy ją sentymentem, choć niełatwo było mu się do tego przyznać, jaki bardzo rzadko czuł do kobiety. Nie chodzi-

to o pożądanie, czułość czy nawet miłość, ale o głęboki podziw.

Może wyczuła jego wzrok na sobie. Podeszła do lady, choć nie było takiej potrzeby, on zaś miał zamiar przytulić ją albo się uśmiechnąć, ale w tym właśnie momencie dziewczyna z obsługi powiedziała głośno, że jego kawy są gotowe, i wskazała na eliptyczny stolik z boku, gdzie odstawiano zrealizowane zamówienia. Wziął dwa wielgachne kubki i obró-

cił się do Rebecki. Zobaczył, że stał przed nią mężczyzna, uśmiechnięty jak przy powitaniu.

–

Rebecca Merton? – Wyciągnął rękę. – Jestem Richard.

Według oceny Toma był o kilka lat starszy od niej i kilka lat młodszy od niego. Miał brązowe, długawe, niemal potargane włosy, choć nosił

przy tym garnitur. Wyglądał na zdrowego amatora siłowni.

–

Gdzie siedzicie? – zwrócił się do Toma.

Tom zastygł w bezruchu niepewny, jaki przybrać ton. W końcu, trzymając w obu rękach kubki, wskazał kierunek głową i powiedział:

–

O, tam.

–

Świetnie. Coś sobie zamówię i zaraz do was dołączę.

Usiedli. Tom zmarszczył pytająco brwi, patrząc na Rebecę.

Ona zaś wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „Nie wiem.

Nie tego się spodziewałam”. Pili kawę i czekali. Tom z przyjemnością smakował gorący płyn.

–

Dzięki za spotkanie się ze mną – powiedział mężczyzna, kiedy wrócił z własnym kubkiem i przysunął fotel do stołu, tak by nie musieli do siebie krzyczeć, żeby się usłyszeć. – I to tak szybko.

Rebecca milczała. Podniosła kubek do ust i piła kawę. Tom domyślił

się, że była to taktyka grania na zwłokę, zmuszała faceta do mówienia.

–
I przepraszam za to całe zamieszanie na Facebooku. Nie widziałem po prostu innej możliwości skontaktowania się z tobą.

–
Nie ma sprawy. – Uśmiechnęła się.

331

Toma to zaskoczyło, jakby przedwcześnie chciała być dla niego miła.

Nie nagradzaj go za szybko: jeszcze nic od niego nie uzyskaliśmy.

Tom wyciągnął rękę.

–
Tom Byrne. – Zerknął na Rebeccę, sprawdzając, czy nie miała zamiaru przejąć inicjatywy. Wydawała się zadowolona, że on to weźmie na siebie. W końcu czy nie taki zawarł układ, że on będzie jej przewodnikiem po terytoriach dla niej obcych, jak negocjacje i handel informacjami?

–
Twierdzisz więc, że wiesz, o co chodzi w tym całym bałaganie? –

Przysiągł sobie, że nie będzie agresji w jego głosie i teraz wynik go satysfakcjonował; pytanie zabrzmiało raczej jak rzucone mimochodem i nie było natarczywe.

–
Tak i o tym właśnie pogadamy. O tym i wszystkim innym. Naprawdę pogadamy. Muszę jednak powiedzieć Rebecce, że wygląda na bardzo zmęczoną. Czujesz się zmęczona?

–
Prawdę powiedziawszy, jestem wykończona. – Ponownie się uśmiechnęła, pokazując tym razem jeszcze więcej zębów. Tom był zdumiony tym niespodziewanym okazywaniem sympatii. – To widać?

–
Tak, gołym okiem, Rebecco. A co z tobą, Tom? Czujesz się zmęczony?

Tom miał ochotę powiedzieć mu, żeby pilnował swoich spraw i od razu wyjawiał to, czego chcieli się

od niego dowiedzieć. Ale ta ochota wzbudziła w nim inne uczucie. Może sprawiło to ciepło panujące w kawiarni albo odnawiająca moc gorącego napoju, albo zwyczajnie widok Rebecki wreszcie trochę odprężonej. Niezależnie od przyczyny uznał, że nie jest to odpowiedni moment do podjęcia walki. Ten mężczyzna zachowywał się przyjacielsko i ugodowo. Tom wiedział, że powinien po-stępować tak samo.

—

Wiesz co? Jestem na ostatnich nogach. Czy to nie śmieszne? —

Tom uśmiechnął się i nawet krótko zachichotał.

—

Może macie ochotę na trochę świeżego powietrza? Miałabyś ochotę, Rebecco, na trochę świeżego powietrza?

332

—

Tak, chętnie.

—

A ty, Tom? Co o tym sądzisz? Też miałbyś ochotę na trochę świeżego powietrza?

—

Myślę, że tak. Dzięki.

—

Okay. W takim razie dopijemy kawę i zaczerpniemy świeżego powietrza. Skończymy kawę i pójdziemy na spacer.

Tom i Rebecca w prawie zupełnym milczeniu wypili kawę.

—

W porządku — powiedział Richard w taki sposób, że uśmiechnęli się wszyscy troje. — Idziemy na spacer.

Wstali. Tom posłał Rebecce pytające spojrzenie, choć było w nim rozbawienie: „To dziwne, nie uważasz?”. Odpowiedziała mu krótkim wzruszeniem ramion, oznaczającym: „Płynmy z prądem”.

—

Zabierz torebkę, Rebecca. – To był głos Richarda, rozkazujący ton, jakby wydawał jej polecenie, zaskoczył Toma.

Ale Rebecca, z którą bardzo kiepsko sam sobie radził, nie miała nic przeciwko narzucaniu jej woli przez tego obcego mężczyznę, przez tego

„Richarda”. Tom chciał się temu przeciwstawić, zacząć narzekać albo przynajmniej zrobić jakąś sarkastyczną uwagę, ale nie miał siły.

Znaleźli się na zewnątrz, w jednej chwili otoczył ich strumień szybko poruszających się przechodniów, pędzących w takim pośpiechu i ujadających do telefonów tak głośno, że Tom poczuł zawrót głowy. Niektórzy nieśli parasole, co oznaczało, że padał deszcz, z czego zdał sobie sprawę ze sporym opóźnieniem.

–

Coś wam powiem – odezwał się Richard, nadal spokojnym i chłodnym głosem. – Może tu jednak nie ma odpowiedniej atmosfery. A ponieważ wszyscy marzymy o świeżym powietrzu, zakładam, że powinniśmy gdzieś pojechać.

–

Pojechać? – spytała Rebecca.

–

Tak, pojechać. I wiecie co, mam tu samochód.

Tom zdążył go już zauważyć, dosłownie sekundę wcześniej: srebrny sedan, mercedes, zaparkowany przy krawężniku. Nie do końca była to limuzyna, raczej ekskluzywny wóz z wypożyczalni, takie auta nadziani 333

klienci – łącznie z tymi, którzy utrzymywali w zeznaniach podatkowych, że pracują w przemyśle budowlanym w New Jersey – wysyłali czasami po niego. Zauważył, że okna były przyciemnione.

W momencie gdy Richard przestał mówić, Tom poczuł mocne i nie-spodziewane szturchnięcie w okolicach krzyża, przypominające do złudzenia kuksaniec, jakim zniecierpliwieni pasażerowie metra popychają do wagonu ludzi przed sobą. I tym razem ta metoda zadziałała, bo Tom zupełnie nie wiedząc, jak to się stało, nagle zdał sobie sprawę, że już nie moknie. Znalazł się w suchym miejscu. Sekundę lub dwie później był już na tylnym siedzeniu mercedesa. Rebecca siedziała po drugiej stronie, Richard pomiędzy nimi.

Nie był pewny, czy to dzieje się naprawdę, czy tylko wyobraźnia pła-ta mu figle, ale samochód jakby szybował przed siebie. Do środka nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. Tom nie widział nic więcej poza uchem szofera z wetkniętym jakimś urządzeniem. Połyskiwało niebieskim światłem.

–

Rebecca, czy mogłabyś podwinąć rękaw.

Tom patrzył, choć wydawało mu się, że widzi wszystko jak przez mgłę. Czy w samochodzie celowo panował półmrok? Tom usiłował

przetrzeć oczy. Nie, to nic nie dało. Nadal nieostro widział, jakby ktoś posmarował wazeliną szkła okularów.

—

O to chodziło – powiedział Richard, gdy Rebecca posłusznie nastawiła odsłoniętą wewnętrzną stronę prawego przedramienia. Nawet nie mrugnęła, gdy wyjął strzykawkę i sprawdził drożność igły, wypychając z niej strumień ciecży. – Poczujesz lekkie ukłucie i będzie po wszystkim.

Tom patrzył na to jak na nagranie odtwarzane z taśmy wideo. Usiłował powiedzieć sobie, że to dzieje się tu i teraz, że to dziwne i prawdopodobnie jest w tym coś złego, ale nie mógł wydusić z siebie słowa.

Zresztą miał problem nie tylko z mówieniem. Myślał bardzo wolno, jakby zapadał się w lepki, obezwładniający letarg. Niezależnie od tego, co działo się na jego oczach, nie umiał pobudzić się na tyle, by mieć jakieś silniejsze uczucia z tym związane. W niejasny sposób wiedział, 334

że powinien jakoś zareagować, ale chciał jedynie spokoju. Usłyszał z oddali głos mówiący: „Płynę jedynie z prądem”.

—

To bardzo dobrze, że płyniesz z prądem, Tom – odezwał się Richard. – Naprawdę dobrze. – Wyjął następną strzykawkę i Tom odruchowo podwinął rękaw, a potem nadstawił przedramię mężczyźnie, któ-

rego poznał z dziesięć minut wcześniej.

—

Tak przy okazji, Tom, przepraszam, że musiałem dodać wam narkotyku do kawy.

Tom poczuł leciutkie ukłucie i patrzył na igłę zagłębiającą się pod skórę z nabrzmiałą teraz żyłą.

—

Głupio wyszło, bo musiałem spaskudzić dwie idealne cappuccio.

A może to była latte? W każdym razie przepraszam.

Głos męczyzny stawał się coraz bardziej odległy, niczym w czasie rozmowy przez komórkę, kiedy jej właściciel wjechał do tunelu. Prawdę powiedziawszy Tom tak właśnie się czuł. Wyobraził sobie,

że siedzi w wagonie pierwszej klasy, wyciąga nogi i odchyła oparcie siedzenia do tyłu, gotów porządnie się wyspać. A wokół niego światło przygasało, zastępowane mrokiem. Wchłaniał go tunel ciemności. Chyba nikomu nie będzie szkodziło, jeśli się jej podda i trochę odpocznie? Powie temu mężczyźnie, Richardowi, że ma zamiar tak zrobić, że chętnie się prześpi.

Gdyby tylko potrafił wykrzesać z siebie odrobinę energii potrzebnej do uniesienia powiek, wtedy by mu powiedział. Powie mu...

Rozdział 52

Podróż na zachód trwała ponad dwie godziny, bo przez większość czasu w żółtym tempie wyjeżdżali z Londynu. Kiedy jednak znaleźli się na M3, na której można było już jechać stosunkowo szybko, Richard mógł się odprężyć.

Richard. To nie było złe imię, miewał gorsze. I zrobiło swoje, prawda? Rebecca Merton nie naciskała, że chce o nim wiedzieć więcej, zresztą nie dał jej na to szans. Bardziej obawiał się prawnika z ONZ, który z nią przyszedł. Ale żadne z nich nie zorientowało się, że użył GBL –

gamma-butyrolaktonu, rozpuszczalnika stosowanego w przemyśle, wy-korzystywanego też jako „narkotyk gwałtu” w klubach biedniejszych dzielnic Londynu – dodał im go do kawy, zanim zamienili słowo. To nie było trudne: nacisnął spray i sprawa załatwiona.

Przekazano mu jedynie bardzo ogólne instrukcje i nie miał pojęcia, co jest celem tej misji. Była to standardowa praktyka, ale to zadanie w niczym nie przypominało przeciętnego zlecenia. Zwykle miał do czynienia z mężczyznami, a nie kobietami, tym bardziej z parami, i zazwyczaj też nie byli to ludzie z klasy średniej, ustawieni zawodowo, tylko napa-kowani brodaci młodzi faceci, którzy zbyt długo oglądali odcinanie głów na al-kaidowskiej wersji YouTube. Dlatego to było wyjątkowe wyzwa-nie. I poziom wydatków również był nadzwyczajny: powiedziano mu, że może wydawać, ile chce, pod warunkiem że „zaopiekuje się” obiektami.

336

Nikt nie wyjawiał niczego wprost, ale sposób, w jaki jego przełożony mówił, sugerował, że to zadanie ma zgodę samej góry. Albo kogoś z jej bardzo bliskiego kręgu.

GPS kierowcy zasygnalizował, że zostało im do pokonania mniej niż półtora kilometra. Wkrótce dotrą do punktu spotkania. Spojrzał ponad ramieniem na dwie śpiące królowny na tylnym siedzeniu.

Nawigator odezwał się kobiecym głosem, dziwnie kojącym: „Przyby-
łeś na miejsce”.

Znajdowali się na terenie zakładów Invincible Roads, niedaleko Farnborough w Hampshire – smętnej okolicy o asfaltowej nawierzchni i z budynkami z blachy falistej. Czytał oznaczenia, licząc kolejne segmen-ty.

Tam. Siedem A.

Kiedy podjechali, brama się otworzyła. Oznaczało to, że ich kontakt jest już na miejscu i obserwuje ich za pomocą kamer. Szofer skierował

mercedesa do garażu ze stalową kratą. Ta również rozsunęła się automatycznie, a samochód wjechał powoli do środka. Kiedy kratownica zasu-nęła się z powrotem, zamrugało jarzeniowe światło. Na sąsiednim stanowisku stała karetka pogotowia z otwartymi tylnymi drzwiczkami.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

—

Witaj – rozległ się czyjś głos. I rzeczywiście było to powitanie.

Pracowali bowiem razem przy kilku poprzednich misjach i polubili się.

Żaden nie znał jednak imienia drugiego.

—

Masz ubrania?

—

Tak. Cały towar jest w środku.

Obaj z pomocą szofera wyjęli z karetki nosze na kółkach. Potem wy-ciągnęli z samochodu Rebecce Merton i Toma Byrne'a, położyli ich na noszach, z ramionami ułożonymi wzdłuż ciała.

—

Wy dwaj zajmijcie się nim, ja biorę na siebie – powiedział Richard.

—

To mi niespodzianka. Jak zawsze najlepszą robotę bierzesz dla siebie.

337

Richard zaczął od butów kobiety, zdejmując je za pięty. Stopy miała małe o ładnym kształcie, zakrywały je cienkie pończochy. Przesunął się, żeby zyskać łatwiejszy dostęp do paska jej dzinsów. Bez trudu odpiął

pierwszy guzik, zwrócił przy tym uwagę na jej napięty płaski brzuch.

Kiedy odpinał następne guziki, zwalczył ogarniające go podniecenie.

Nawet śpiąca w ten sposób, bezwładna na noszach była bardzo atrakcyjną kobietą.

Po rozpięciu rozporka, chwycił górę spodni i zaczął je ściągać. Wymagało to pewnej siły, a w którymś momencie musiał wsunąć rękę pod pośladki Rebecki, by ją unieść i przesunąć spodnie niżej, ale w końcu je zdjął.

Leżała teraz przed nim, naga od pasa w dół, jeśli nie liczyć skąpych czarnych fig. Starał się unikać wzrokiem niewielkiego trójkąta materiału zakrywającego najbardziej intymną część, ale jego wysiłki były z góry skazane na niepowodzenie. Zaczął głęboko oddychać.

Następnie zajął się swetrem z dekoltem w serek i białą bluzką. Musiał

podnieść oba ramiona, zupełnie bezwładne i ściągnąć z nich rękawy, a potem ujął jej głowę, żeby zsunąć z niej sweter. Jego ręka zagłębiła się w grubych czarnych włosach.

W końcu bluzka, klasyczna w kroju, delikatna z maleńkimi guzikami.

Odpinał je począwszy od dołu, ale kiedy dotarł do piersi, dłonie zaczęły mu drżeć. Oszołomiona narkotykiem oddychała powoli, jej pierś unosiła się i opadała. Kiedy szarpał się z ostatnim guzikiem przy szyi, widział

piersi. Były pełne i jędrne, opinał je czarny stanik, pasujący do majtek.

Jego dłoń zawisała kilka centymetrów nad nimi. Perspektywa dotknięcia ich okazała się bardzo kusząca.

– Masz tu strój chirurgiczny. – To jego kontakt, który rzucił mu zapakowane w celofan szpitalne ubranie. Richard cofnął się o krok, żeby mieć pełny obraz śpiącej kobiety. Gdyby tylko był sam... Rozerwał celo-fanowe opakowanie i wyciągnął zielone bawełniane spodnie. Zrolował

nogawki i wsunął je na stopy Rebecki Merton, a potem podciągnął.

338

Związał troki tuż pod jej pępkiem. Był niemal zadowolony, że nie widzi już, co jest pod nimi; musiał się jakoś wziąć w karby.

Następnie posadził ją, podtrzymując dłonią za plecy, żeby trzymała się prosto. Przepchnął jej ramiona przez rękawy kitla, związał parę troków z tyłu, zanim ponownie położył ją na płask. Ostatnim posunięciem było zebranie jej włosów i wciśnięcie ich pod czepek. Zrobione.

Spojrzał na nosze stojące obok. Koledzy pracowali szybciej od niego.

Nie było to specjalnie zaskakujące. To prawda, ich obiekt okazał się cięższy, ale w mniejszym stopniu... rozpraszał. Oba obiekty nadal znajdowały się pod silnym wpływem środka odurzającego, wyglądały na gotowe do trafienia na salę operacyjną.

—
No dobra, pakujmy ich do środka.

Kontakt opuścił ruchomą rampę karetki, wtoczył nosze do środka i zamocował je.

—
Teraz my – powiedział. Wyjął z samochodu dwie torby z ubraniami, rozpiął pierwszą, w której był strój sanitariusza razem z kilkoma sztukami sprzętu: gwizdkiem, walkie-talkie, a nawet metalową plakietką z czymś, co wyglądało na królewski herb. Poniżej widniał napis: „Executive Medical Assistance Inc.”. Miał drugi taki komplet, prawdopodobnie identyczny, który podał szoferowi.

—
A to dla ciebie. – Kontakt wręczył Richardowi twardy plastikowy identyfikator ze zdjęciem, zawieszony na metalowym łańcuszku.

Richard popatrzył na własną fotografię w białym fartuchu. Nazywał się Rick Brookes i był specjalistą w Executive Medical Assistance. W photoshopie naprawdę można dokonywać cudów.

—
Masz ich paszporty?

Kontakt wyciągnął przed siebie rękę z dwoma dokumentami w rdza-woczerwonych okładkach należące do poddanych Jej Królewskiej Mości.

—
Jej był w mieszkaniu, więc po problemie. Dwie godziny temu poszliśmy do jego hotelu. Nawet się nie zameldował, dlatego 339

wiedzieliśmy, że ma go przy sobie. W kieszeni marynarki. – Uśmiechnął się, wskazując na stertę ubrań, jakie zdjęli z nieprzytomnego Toma Byrne'a.

Szofer zgarnął je razem z ubraniami Rebecki i wcisnął do worka, któ-

ry wrzucił do karetki. We trzech szybko sprawdzili, czy nic nie zostało w garażu. Richard i jego kontakt zajęli miejsca w środku karetki przy pa-cjentach, a kierowca tymczasem włączył silnik. Richard spojrzął na zegarek. Mieścili się w czasie.

Jazda do Farnborough zajęła im nie więcej niż kwadrans. Postępowali zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Zjechali na dobrze wyposażony terminal klasy biznes, zarezerwowany wyłącznie dla prywatnych odrzu-towców, i skierowali się prosto na płytę lotniska. Czekał już tam na nich bombardier Challenger 604, z silnikami wyglądającymi na masywne w porównaniu z krótkim, podobnym do torpedy kadłubem. Wysuwane schodki o siedmiu stopniach były opuszczone, wskazując, że w środku dokonano już potrzebnych zmian. Typowe wyposażenie, tak lubiane przez dyrektorów i grymaśne gwiazdy rocka, czyli sześć komfortowych skórzanych foteli i stoliki, usunięto i zastąpiono łózkami szpitalnymi i rzędem pobłyskującego światelkami i pikającego sprzętu medycznego: monitorami ECG, oksymetrem i oczywiście defibrylatorem. Znalazły się tam również stojaki z woreczkami z solą fizjologiczną, sprzęt do intuba-cji i odsysania. W rzeczy samej wszystko, czego można się spodziewać na mobilnym Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej.

Dopiero teraz Richard dostrzegł w ciemności dwie osoby z obsługi, czekające przy schodkach. Jedna z nich była w mundurze. Przypominali mu ludzi, jakich ogląda się w wiadomościach telewizyjnych, polityków czekających nerwowo na przybycie głowy innego państwa. Richard wysiadł z samochodu, identyfikator wisiał mu na szyi niczym medalion, i pewnym krokiem ruszył w ich stronę.

340

Kobieta w cywilnym ubraniu wyciągnęła przed siebie rękę.

—

Witamy w Farnborough, doktorze Brookes. Jestem Barbara Clark, szefowa biura obsługi klienta.

—

Dziękuję.

—

Rozumiem, że państwo się spieszą. Zrobimy wszystko, żeby procedura się nie przedłużała. Sama przeprowadzę kontrolę bezpieczeń-

stwa. Więc zacznijmy od razu. Czy sam pakował pan te bagaże?

Zadawała mu pytania typowe w takich sytuacjach: „Czy ktoś nie dał

panu czegoś do przewiezienia?” – a potem pobieżnie sprawdziła go czujnikiem i równie pobieżnie jego kolegów. Rozległ się pisk wywołany telefonem komórkowym i kluczami. Poza tym nic więcej. W torbie Richarda zobaczyła strzykawki i różne fiołki, czego zresztą się spodziewa-
ła.

Zajrzała im jeszcze do toreb podręcznych i zapewniła, że służby na-ziemne dokładnie sprawdziły

samolot, korzystając nawet z psów policyjnych.

–

Muszę jeszcze zerknąć na pacjentów. To konieczne. Ale długo nie potrwa.

Richard odwrócił się do karetki i skinął głową. Dwóch „sanitariuszy” przytoczyło nosze do samolotu, obaj trzymali kroplówki z solą fizjologiczną w uniesionych prawych rękach.

Clark spojrzała na śpiących pacjentów i powoli sprawdziła oboje czujnikiem. Rozległ się głośny pisk, gdy urządzenie znalazło się na wysokości brzucha mężczyzny. Richard spojrzał na swój kontakt. Czyżby o czymś zapomnieli? Upadł tam może jakiś trefny przedmiot?

–

Pozwoli pan? – powiedziała Clark, odciągając prześcieradło. Richard wstrzymał oddech.

–

No jasne. – To była sprzączka pasa przypinającego Byrne'a do noszy. Dźwięk powtórzył się, gdy kontrolowała kobietę. – Wszystko w porządku, doktorze Brookes. Muszę jednak spytać pana o ich stan. Czy istnieje jakaś inna przyczyna tej podróży poza... – zerknęła do papierów

– ...względnymi medycznymi?

341

–

Obawiam się, że naprawdę nie mogę powiedzieć, droga pani. Tajemnica lekarska i tak dalej. – Uśmiechnął się przepaszająco, ale w sposób nie zostawiający żadnej furtki do negocjacji.

–

Oczywiście. Jeszcze tylko zamienicie państwo słówko z kolegą z kontroli paszportowej i będziecie mogli lecieć.

Richard pokazał swój paszport wystawiony na nazwisko doktora Ricka Brookesa. Potem podał dokumenty Merton i Byrne'a. Urzędnik porównał zdjęcia z twarzami ludzi, którzy leżeli przed nim niczym odpoczywający święci, i skinął głową. Richard dał gestem znak kolegom, którzy odpięli nosze od podstawy na kółkach i wnieśli je, najpierw te z mężczyzną, po wąskich schodkach do samolotu.

–

Dziwne, prawda? – odezwała się Clark, patrząc na sanitariuszy, którzy wrócili po drugie nosze. – Wyglądają na tak beztroskich, spokojnych. Czy to bardzo poważna sprawa, doktorze?

–
Można powiedzieć, że nie jest najlepiej, ale teraz są już w dobrych rękach. Proszę się o nich nie martwić.

–
Czy to znaczy, że nasz system opieki zdrowotnej nie mógł sobie z tym poradzić?

–
Wie pani, jacy są bogacze. Chcą, żeby traktować ich wyjątkowo.

Wyjątkowo i... z dyskrecją.

Richard pomyślał, że kobieta zarumieniła się odrobinę, ale trudno by-

ło mieć pewność w panującym półmroku. Padała mżawka, wyraźnie widoczna w żółtej poświacie otaczającej terminal.

–
To zrozumiałe – powiedziała i za chwilę dodała: – Przepraszam.

Richard widział, że kontakt rozmawia z pilotem, który wetknął pod pachę podkładkę pod papiery, co oznaczało, że ostatnia kontrola dobiegła końca.

–
Bardzo pani dziękuję, pani i pani ludziom. Będziemy się zbierali.

Richard pożegnał się skinieniem głowy z szoferem, wracającym do karetki. Wsiadł potem do samolotu, a za nim jego kontakt. Obaj patrzyli, jak schodki zamykają się łagodnym, jednostajnym ruchem, kontrolowanym elektronicznie.

342

Przypiął się do fotela, przedtem jednak po raz ostatni sprawdził dwoje nieprzytomnych, powierzonych mu ludzi. Clark miała rację, wyglądali na spokojnych. Niewykluczone, że w czasie lotu trzeba będzie im jeszcze coś podać, ale na razie byli pozbawieni świadomości.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, którego skóra okazała się miękka i gładka w dotyku. Kolega przerzucał już strony magazynu „Forbes”, bez wątplenia zostawionego przez poprzedniego pasażera, który słono zapłacił za wyczarterowanie tego samolotu. Richard pomyślał, że zasłużył na trochę odpoczynku, odwalił kawał dobrej roboty. Obaj zresztą się napracowali.

Kiedy wystartowali i wznosili się pod kątem w niebo przy wtórze ryku silników, Richard spojrzął

w dół, na ziemię. Latanie podobnymi ma-

łymi samolotami zawsze robiło na nim spore wrażenie. Plamy światełek poniżej, wioski i drogi Hampshire, znajdowały się jakby na wyciągnięcie ręki, choć przecież się od nich oddalali.

– Dobry wieczór, panowie, mówi kapitan – rozległ się trzeszczący głos, który dobiegał z systemu nagłaśniającego. Wydawał się rozbawiony absurdalnością tej sytuacji. – Witam na pokładzie challengerera sześćset cztery. Mamy dziś wieczorem dobre warunki do lotu. Do celu powinni-

śmy dolecieć mniej więcej za siedem godzin.

Rozdział 53

Jay Sherrill położył dłoń na laptopie, zasłaniając logo Apple'a, bo wiedział, co pomyśla o tym zakute pały z nowojorskiej policji. Stałoby się to kolejnym potwierdzeniem, że był studenciakiem, amatorem białego winka i volvo – jakimś pedziem, który powinien zajmować się raczej dekorowaniem wnętrza, a nie policyjną robotą.

Choć jednak kręciło się tu kilku typków z rodzaju wielbicieli volvo.

Było to w końcu biuro komendanta. Musiało zatrudniać w wydziale operacyjnym doradców do spraw polityki wewnętrznej i speców od mediów. A ci na pewno nie przypominali twardych tajniaków, jacy tworzyli wizerunek gliniarza w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Chciał ponownie otworzyć komputer, jedynie żeby się upewnić, że ta rzecz nadal tam jest. Bo co, jeśli zabrakło mu zasilania? Co, jeśli program szlag trafił?

– Pan komendant może się już z panem zobaczyć.

Zebrał rzeczy i od razu poszedł, świadomy, że ma pogniecioną koszulę i niewielką plamę na prawej nogawce spodni khaki. Wiedział o niej, kiedy rano je wkładał, ale nie miał wyboru. W całym mieszkaniu tylko te spodnie nadawały się jeszcze jako tako do włożenia. Prawdą było bowiem i to, że od kiedy w poniedziałkowy rano ta sprawa wylądowała na jego biurku, prawie nie spał, nie jadł i się nie mył. Był wykończony.

–

Miło pana widzieć, Sherrill.

–

Cała przyjemność po mojej stronie, panie komendancie. – Cała 344

przyjemność po mojej stronie? – To znaczy, dziękuję...

–

Odpreź się, Sherrill, siadaj. W biurze powiedzieli mi, że koniecznie chcesz się ze mną spotkać. To brzmi jak dobre wiadomości.

—

Mam taką nadzieję, proszę pana. — Uspokój się, oddychaj.

—

Przynieś tu tę rzecz, dobrze? Masz mi coś do pokazania?

—

Tak, mam. — Otworzył klapę laptopa i uruchomił iMovie. Wybrał ostatnio odtwarzany plik. Dopiero wtedy podniósł się i obchodząc biurko, stanął obok Riley'a.

—

Mogę, proszę pana?

—

Co to będzie, *Różowe majteczki*?

—

Niezupełnie, proszę pana. Ale mimo to bardzo interesujące.

Otworzyło się okno, niewielki ekranik wideo. Sherrill, stojąc obok komendanta, pochylił się i powiększył go. Kliknął na odtwarzanie.

Od razu pokazała się na nim sylwetka mężczyzny. Siedział przy oknie. Sposób filmowania był oczywisty: tak nagrywało się zeznania przy zachowaniu anonimowości źródła. Rozległ się głos zza kadru. Nale-

żał do Sherrilla.

„Proszę się przedstawić”.

Potem odpowiedź: „Jestem agentem z wydziału wywiadu policji w Nowym Jorku”.

To wystarczyło dla Chucka Riley'a, żeby obrócił fotel i podniósł

wzrok na człowieka stojącego mu przy ramieniu. Wyraźnie widoczne podekscytowanie było dokładnie tym, o co Sherrillowi chodziło. Teraz dopiero mógł się trochę odpreżyć. Ponownie usłyszał własny głos nagra-ny na komputerze.

„Czy może pan to udowodnić bez podawania swego nazwiska?”.

„Tak. Mogę wyjawic pewne szczegóły operacyjne, znane jedynie oficerowi wywiadu. Zrobię to przed komendantem albo innym oficerem wysokim rangą”.

„Doceniam to, ale może powiedziałby pan coś już teraz, co potwierdziłoby pańską wiarygodność”.

345

Postać na krześle zamilkła, a potem poruszyła się nieznacznie. Zmiana profilu ujawniła niezwykłość fryzury tego człowieka: długie włosy, pomyślał Riley, jak u kobiety.

„Mogę opowiedzieć o naszej operacji w trakcie kongresu republikanów, który odbywał się w mieście, a my monitorowaliśmy protestujących”.

„Byłoby wspaniale”.

Głos przystąpił do relacjonowania szczegółów. Mężczyzna opowiadał, jak z innymi agentami podróżował poza Nowy Jork, do Nowego Meksyku i Illinois, do Montrealu, a nawet do Europy, żeby inwigilować aktywistów politycznych, którzy planowali demonstracje przed miejscem kongresu. Mówił o pracy tajniaka, który chodził na antywojenne i lewi-cowe wiece, nawiązywał przyjaźnie, ostatecznie zapisywał się na listę odbiorów e-maili – cały czas donosząc o wszystkim centrali.

„Problem polega na tym, że wszyscy myśleli, że śledzimy zagranicznych terrorystów. Ale muszę panu coś powiedzieć: szpiegowaliśmy ludzi, którzy nie mieli najmniejszego zamiaru uciekać się do jakiegokolwiek przemocy. Jezu, sam przeniknąłem do grupy teatru ulicznego. Do grup kościelnych. I jedno jest ważne – to byli obywatele amerykańscy”.

Komendant słuchał bacznie, ustawiając się bokiem do monitora, żeby lepiej słyszeć dźwięk dochodzący z głośników komputera. Od czasu do czasu zamykał oczy, jakby chciał uniknąć jakiegokolwiek rozproszenia uwagi. Potem dał Sherrillowi znak, żeby zatrzymał urządzenie.

– Jesteś pewny, że nie wyczytał tego wszystkiego w gazetach?

Może wie to z Internetu albo skądś indziej?

Sherrill uśmiechnął się i ponownie uruchomił odtwarzanie.

„Wszyscy mieliśmy różne kryptonimy. Ja nazywałem się Tenzing.

Na innego mówiliśmy Simpson. I był jeszcze Hillary.

Wszyscy to sławni himalaiści. Mówią, że szef ma hopla na punkcie gór”.

Słyszając to, Riley odchylił się na oparcie fotela i głośno westchnął. To w każdym razie była prawda:

na coraz to niebezpieczniejsze szczyty. Ale o Lake'u niewiele wiadomo poza CIA, a od niedawna także w wydziale wywiadu nowojorskiej policji. Jego zamiłowanie do wspinaczki bez wątpienia pozostawało tajemnicą dla opinii publicznej. Postać z ekranu nie mogła się tego tak po prostu dowiedzieć. Poza tym komendant wiedział, że przynajmniej jeden z tych kryptonimów był prawdziwy. Kiedy dziennikarz z „New York Timesa” zaczął grzebać w historii przebiegu kongresu republikańców, Riley sam przeprowadził pewne śledztwo. Słyszał o agencie nazywanym Hillary.

Ale nigdy nie połączył tego kryptonimu z górami; pomyślał jedynie, że to żeńskie imię. Podobnie nazywano przecież huragany.

–

Okay – powiedział w końcu. – Wierzę mu.

–

Cieszę się, proszę pana. Bo moim zdaniem to, co ten człowiek mówi dalej, wyjaśnia dlatego Geralda Mertona zastrzelono przy wejściu do gmachu ONZ.

–

I...

–

I, co ważniejsze, proszę pana, kto jest za to odpowiedzialny.

–

To bardzo dobrze, Sherrill. To naprawdę bardzo dobrze.

Rozdział 54

Śniła mu się Rebecca. Zeskrobywała coś ze ściany, mogła to być ta-peta albo farba, nie potrafił powiedzieć. Im mocniej skrobała, tym bardziej ściana się kruszyła. Odpadały od niej całe kawały tynku i rozbijały się na podłodze. Mimo to nie przerywała, najwyraźniej nieświadoma gromadzącego się wokół niej gruzu i gipsowego pyłu pokrywającego jej twarz. Od czasu do czasu zerkała przez ramię, dzięki czemu ją widział.

Wydawała się nie tyle zła, ile zdeterminowana. W końcu ściana uległa, powstała w niej wielka owalna dziura przypominająca rozdziawioną gębę. W jakiś sposób sufit utrzymywał się na miejscu. Tom widział, co jest w otworze, Rebecca też na to patrzyła. Oboje wpatrywali się w światło odbijające się od pomarszczonej powierzchni w kolorach czarnym i głębokiej czerwieni. Tam, po drugiej stronie, widać było groteskowo wielką swastykę.

Nagle uniósł powieki, ciężko oddychał. Zmrużył oczy, żeby wy-ostrzyć wzrok na ścianie, którą miał przed sobą. Wyglądała na czysto białą. Nie było tu żadnego okna, jedynie prostokątne drzwi po lewej stronie.

Obrócił głowę w kierunku blatu znajdującego się z boku. Niewielka drewniana szafka ze stojącym na niej plastikowym kubkiem z wodą. Nad nią wisiała przyczepiona do ściany tabliczka z instrukcją ewakuacyjną w razie pożaru. Gdzie, do diabła, był?

348

Spróbował wstać z łóżka, ale nogi miał jak z ołowiu. Odrzucił ciasno przylegające, nakrochmalone prześcieradło i zobaczył, że ma na sobie zielony strój szpitalny. Dobry Boże.

Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Czy był ofiarą jakiegoś straszliwego wypadku samochodowego? Czy to Oddział Intensywnej Opieki Medycznej w szpitalu? Co się stało? I wtedy ciąg myśli urwał się, a on poczuł się jak rażony gromem. Rebecca.

Musiał przypomnieć sobie, co działo się wcześniej. Co zapamiętał ja-ko ostatnie? Potrafił przypomnieć ją sobie: dzinsy, kozaczki, biała bluzka zapinana na guziki. Doznawał emocji, jakich nie przeżywał nigdy przedtem – ogromnego smutku, pewnego rodzaju przewidywanego żalu. Wyobrażał sobie ból, jakiego dozna, jeśli nigdy więcej jej nie zobaczy.

Byli w Starbucksie. Kupował dwie kawy, obrócił się do niej. Stał tam jakiś mężczyzna, facet, z którym się umówili...

Ponownie spróbował wstać z łóżka. Tym razem uniósł nogi rękami, chwytając się za uda, jakby te kończyny należały do kogoś innego, ale kiedy stopy znalazły się na ziemi, zachwiał się i musiał przytrzymać łóżka, żeby nie upaść. Odzyskał równowagę. Teraz, zaciskając zęby z determinacją, ruszył ku ścianie i powłócząc nogami, zbliżył się do drzwi.

Wyciągnął szyję i zobaczył przez wstawioną w nie szybę pusty korytarz i pomieszczenie, które uznał za pokój pielęgniarek. Wszystko wydawało się zbyt przestronne, zbyt czyste i nowoczesne jak na państwowy szpital.

Czy była to jakaś prywatna klinika?

Postanowił wyjść na zewnątrz i znaleźć pielęgniarkę albo lekarza, że-by mu to wyjaśnili. I może zdoła zobaczyć Rebeccę. Może będzie tam siedziała i kartkowała magazyny, czekając na niego. Chyba że...

Sięgnął do gałki w drzwiach. Metal okazał się tak zimny w dotyku, że przeszedł go dreszcz. Ale gałka nie chciała się obrócić. Może osłabił go wypadek, który mu się przydarzył, albo rodzaj leczenia, jakiego wymagał. Spróbował ponownie, gałka jednak ani drgnęła. Zamknięte.

Został, gdzie stał, opierając się o drzwi, zbyt wyczerpany, żeby po-wlec się do łóżka. Ciężko dyszał. Musiał zebrać myśli.

Starbucks, Rebecca i on przy kontuarze. Przypominał sobie kobietę, która przyjęła zamówienie, zmęczenie na jej twarzy, ciemniejsze pasma w jasnych włosach. Mężczyznę witającego się z Rebeccą. Zatem spotkanie odbyło się zgodnie z planem. Ale co potem?

Pamiętał narastające w nim emocje, ucisk w piersiach – zazdrość.

Nagle zobaczył Rebeccę, miło uśmiechającą się do obcego faceta. Richarda.

Teraz widział, jak we trójkę wychodzą z kawiarni. Stał tam samochód, srebrny samochód... a później zawodziła go pamięć.

Tom rozmasował skronie. Przypominało to próbę przywołania snu, pojawiał się jakiś fragment, ale nie dawał się pochwycić, był jak woda przelewająca się przez palce. Nie potrafił sobie przypomnieć. Wyczerpany stanem, osunął się na podłogę.

Nie zauważył niewielkiej kamery umieszczonej w dalekim kącie pomieszczenia ani drugiej, zamontowanej naprzeciwko niej, po przekątnej.

Nie zdawał sobie też sprawy z detektorów ruchu umieszczonych w materacu łóżka, które uruchamiały alarm w chwili, gdy regularny nacisk przy oddychaniu ustawał na dłużej niż trzydzieści sekund, włączał on się rzecz jasna natychmiast, gdy pacjent opuścił łóżko. Dlatego Tom nie wiedział, że w pokoju pielęgniarek rozległ się sygnał alarmowy. Nie słyszał go, bo jego pokój był idealnie dźwiękoszczelny – głównie po to, żeby żaden odgłos nie wydostał się na zewnątrz, ale nie przepuszczał też niczego do środka. Takie były normalne środki stosowane wobec pacjentów tego oddziału.

Tom sięgnął do gałki przy drzwiach, wykorzystując ją do podciągnię-

cia się. Skrzywił się, wisząc na niej, przypomniały mu się bowiem wczesne ranki w zbyt drogo liczących siłowniach na Lafayette i Bond. Miał

wrażenie, że to było w innej epoce. Prawdę powiedziawszy, wydało mu się, że chodziło o inną osobę. W końcu udało mu się stanąć w rogu pomieszczenia. Teraz jednym odepchnięciem, obrócił się tak, że jego oczy znalazły się na wysokości przeszklenia w drzwiach. W całości wypełnia-

ła je twarz.

Szok sprawił, że Tom cofnął się gwałtownie. Tamta twarz znalazła się bowiem o centymetr czy dwa od niego, oddzielona jedynie szybą.

Usłyszał, że drzwi się otwierają, zamek odblokowano elektronicznie.

Do środka weszło dwóch mężczyzn z pielęgniarką, która schowała kartę do czytnika.

–
Dziękuję – odezwał się mniej zwalisty z mężczyzn. – Teraz już damy sobie radę. – Poczekał, aż siostra zamknie za sobą drzwi, zanim odezwał się ponownie. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Zresztą wiem, że dobrze, bo cię obserwowaliśmy.

Ten głos przywołał wspomnienia. To był Richard, człowiek, z którym spotkali się w kawiarni.

–
Co się stało? Gdzie jestem?

–
To długa historia, Tom. Ujmijmy to tak. Byliśmy w Londynie i musieliśmy zabrać cię na krótką wycieczkę.

Zadowolenie tego mężczyzny oraz jego swobodne, poufale zachowanie sprawiły, że Tom zawrzał gniewem, serce biło mu szybciej, żyły na szyi zaczęły pulsować. Zaciśnął pięść.

Doprowadził ją na odległość piętnastu centymetrów od twarzy Richarda, ale nie bliżej. Ochroniarz czy ktokolwiek to był, uniósł po prostu rękę i właściwie nawet nie zablokował ciosu, po prostu chwycił dłoń Toma, wykręcając ją w nadgarstku. Tom krzyknął z bólu.

–
Daj spokój. Tak się składa, że...

–
Co zrobiłeś z Rebecą? Gdzie jest Rebecca?

–
Pozwól mi dokończyć. – Ochroniarz nadal trzymał Toma za ramię, wykręcając mu je za plecami. – Tak się składa, że i tak miałem przyjść i cię obudzić.

–
Gdzie jest Rebecca?

–
Tutaj. W tym samym mieście.

Tom odetchnął z ulgą.
–

W jakim mieście? – dodał szybko. – Gdzie ja jestem?

–

Nie wiesz? Dałbym głowę, że się domyślasz. Mocno spałeś w 351

mieście, które nigdy nie zasypia. – Przerwał na chwilę. – No nic. Jesteś w Nowym Jorku, Tom.

Nowy Jork. To nie miało sensu. Jak mógł być w Starbucksie na West Endzie, a teraz w Nowym Jorku? Nie pamiętał, żeby gdzieś leciał.

–

Kim jesteś?

Richard zignorował jego pytanie.

–

Przepraszam, ale musieliśmy zrobić to w ten sposób, Tom. Szef jednak wszystko niedługo ci wyjaśni. Popatrz. – Uniósł torbę podróżną, którą trzymał z boku i postawił ją na łóżku. – Mam nawet twoje rzeczy.

Kilka minut później Tom siedział na wózku inwalidzkim i patrzył na mijających go w pośpiechu sanitariuszy i pielęgniarki. Mógłby zacząć krzyczeć, ale tę chęć stłumiła obecność ochroniarza pchającego wózek.

Tom nie wątpił, że szybko zostałby uciszony pięścią, jeśli nie jakimś preparatem, który znalazłby się pod ręką.

Richard nie kłamał. Akcent rozmawiających ludzi potwierdzał, że naprawdę znajdował się w Stanach Zjednoczonych.

Zawieziono go do windy. Richard nacisnął guzik oznaczający piwnicę. Zjechali do sektora gospodarczego, gdzie zamiast dywanowych wykładzin i mebli dominowały stalowe drzwi i szary beton. Tom po raz pierwszy zaczął zastanawiać się, czy mają zamiar pozbyć się go tutaj, zmiażdżyć mu ciało w jakiejś maszynie przemysłowej do usuwania od-padków.

W milczeniu przewieziono go przez dwoje podwójnych drzwi. Poczul zmianę temperatury. Znaleźli się na parkingu.

Skierowali się do stanowiska oznaczonego jako miejsce dla inwalidów. Rozległ się elektroniczny sygnał otwierania pilotem drzwiczek samochodowych.

Tępak, który pchał wózek, ujął teraz Toma pod pachami i uniósł.

Jednym ruchem, raczej z dużą wprawą niż brutalnie, przerzucił go na tylne siedzenie pustego

samochodu. Richard zajął miejsce obok kierowcy, a ochroniarz usiadł za kierownicą i włączył silnik, zostawiając wóz na luzie. Richard obrócił się i z uśmiechem, za który Tom najchętniej 352

rozkwaśliłby mu nos, powiedział:

– Czekamy jeszcze tylko na jedną osobę i zaraz jedziemy.

Jakim cudem znalazł się w takiej sytuacji? Był w jakiś sposób lekkomyślny, tak beztrojski w zachowywaniu podstawowych środków ostrożności, że stał się bezsilnym więźniem w rękach... tych ludzi. Nie miał pojęcia, kto go przetrzymuje i dlaczego. Przez tyle lat zajmował się łamaniem praw człowieka w takim czy innym reżimie, przez takiego czy innego dyktatora, wypełniał sprawozdania dotyczące „zaginięć” w Ameryce Łacińskiej i Afryce, i co z tego wynikło – niczego się nie nauczył.

Sam zrobił z siebie ofiarę.

Usłyszał otwieranie drzwiczek po przeciwnej stronie. Podniósł wzrok i poczuł ucisk w sercu.

Rozdział 55

Bacznie przyglądał się jej twarzy. W ponurym półmroku wnętrza samochodu na podziemnym parkingu dostrzegał tylko zarysy sylwetki.

Chcąc się upewnić, że naprawdę tam była, przesunął delikatnie palcami po skórze na jej policzkach, na brodzie.

–

Dobrze się czujesz? Nie skrzywdzili cię?

–

Nic mi nie jest – odpowiedziała Rebecca. – Trochę kręci mi się w głowie, jest mi niedobrze i jestem wykończona. Jakbym była na stażu w szpitalu. – Uśmiechnęła się słabo, a on doszedł do wniosku, że się zako-chał.

Samochód ruszył, wspiał się na rampę wyjazdową i wyjechał w światło dzienne. Ich porywacze nie kłamali. Byli w Nowym Jorku. Minęło trochę czasu, zanim to do nich dotarło, ale Tom znalazł się ponownie na ulicy, którą jechał przed wyjazdem do Londynu. Znajdowało się tu Bellevue Medical Center, czynne w tej chwili, gdzie odwiedził biegłego lekarza sądowego – jak dawno to było? – i patrzył na trupa Gerszona Matzkina.

Kierowali się na północ ku Pierwszej Alei. Zaczął odczuwać konsternację i strach. Jechali w stronę siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W myślach widział Henninga Munchaua. Czy maczał w tym palce?

Jaką straszliwą tajemnicę musiał skrywać, albo skrywali ją ludzie, dla których pracował, że tak

to idiotyczne. Czy Henning nie zdawał sobie sprawy, że wystarczyłoby jedno słowo – raczej polecenie niż prośba, żeby Tom wracał – a Tom wskoczyłby do samolotu lecącego do Nowego Jorku? Zamiast tego uciekł się do tak drastycznych metod. Tom spojrzał na Rebeccę, lok przypominający korkociąg zatknęła za ucho. Chyba że to nie Toma Henning chciał ściągnąć do Nowego Jorku...

Ponownie zjeżdżali w dół na podziemny parking. Cholera. Nie zwró-

cił uwagi na najważniejszy moment: nie wiedział dokładnie, gdzie byli.

I tym razem zaparkowali w pobliżu windy. Ale teraz obeszło się bez wózków inwalidzkich. Richard i jego ochroniarz poprowadzili po prostu Toma i Rebeccę do windy, trzymając ich między sobą, żeby uniemożliwić ucieczkę. Nic nie mówiąc, Richard wcisnął guzik. Tom zauważył, że jadą na ostatnie piętro.

Drzwi windy rozsunęły się i teraz już rozumiał: znajdowali się w hotelu mającym na najwyższej kondygnacji luksusowy apartament. Poszli korytarzem, aż dotarli do drzwi, przy których straż trzymało dwóch młodych mężczyzn w granatowych garniturach, ze spiralami kablek przy uszach. Richard skinął do każdego z nich i drzwi zostały otwarte.

Znaleźli się w salonie apartamentu, najwyraźniej najlepszego w tym budynku. Tom widział podobne pokoje hotelowe jedynie kilka razy, kiedy podróżował z najwyższymi rangą urzędnikami ONZ. W jego pamięci zapisały się jako pomieszczenia pełne papierów, pośpiesznie mon-towanych faksów i kilku niesprząniętych wózków z zastawą i resztkami jedzenia. Tutaj, co od razu spostrzegł, panował mniejszy bałagan.

Rebeccę i jego poproszono, by usiedli, a oni posłuchali w milczeniu.

Stawianie oporu nie miało sensu; wkrótce spotkają „szefa”, o którym Richard wspominał.

W końcu kolejny młody mężczyzna wszedł do pokoju i obrzucił ich przelotnym spojrzeniem; Tomowi wydało się, że w wyrazie jego twarzy dopatrywał się niechęci, a może nawet zakłopotania. Richard zamienił z tym facetem kilka słów. Tom wyciągał szyję, żeby ich usłyszeć, ale nic z tego nie wyszło.

355

Minęło dziesięć minut. Rebecca od czasu do czasu obracała dłonie, jakby chciała powiedzieć: „Co się tu, do cholery, dzieje?”. A on mógł w odpowiedzi wzruszać jedynie ramionami.

Dość niespodziewanie po drugiej stronie ciemnych drewnianych drzwi rozległo się szuranie. Ktoś się tam zjawił. Nagłe poruszenie w pokoju powiedziało Tomowi, że musiał to być ktoś ważny. Szef.

—

Teraz mogę was wprowadzić – po chwili rzekł Richard.

Wstali oboje i przeszli za nim przez drzwi łączące pokoje do jeszcze większego salonu. To pomieszczenie było nieskazitelne. Spozrzegli postać mężczyzny w garniturze, stojącego do nich tyłem przed ogromnym oknem widokowym, wychodzącym na Manhattan i East River zalane porannym światłem. W końcu mężczyzna obrócił się do nich.

—

Witam w apartamencie prezydenckim – powiedział.

Tom wsłuchał się w ten głos, natychmiast rozpoznał twarz i poczuł, jak krew mu się ścina.

Rozdział 56

Wiedział, jak mądrze postąpić. Zapewniało mu to wykształcenie odebrane na Harvardzie: miał przynajmniej na tyle rozumu, żeby określić kierunek działania, jaki powinien obrać, żeby zadowolić komendanta i posunąć własną karierę do przodu.

Co więcej, było to kuszące i niezwykle proste. Należało mianowicie nic nie robić i nie mówić więcej. Powinien po prostu skończyć ten pokaz, zamknąć laptopa, ucisnąć rękę przełożonemu i pójść swoją drogą. Każ-

dy z jego kolegów uznałby to za kawał dobrej roboty wykonanej już z samego rana, a następnie wzięłby wolny dzień.

Ale coś gnębiło Jaya Sherrilla. Nazwanie tego jednak wyrzutami sumienia graniczyłoby z pompatycznością. I byłoby błędem. Bo kierowanie się sumieniem nie należało do jego irytujących cech charakteru, chodziło raczej o systematyczności i wytrwałości w dążeniu do kończenia zaczętych spraw. Wiedział po prostu, że będzie go to nękało przez cały dzień i przez resztę tygodnia, jeśli nie przedstawi komendantowi Rileyowi pełnej historii. Oczywiście z taktycznego punktu widzenia nie miało to najmniejszego sensu: szef dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce wiedzieć nic więcej. Miał już wyrobione zdanie i nie życzył

sobie, by jakieś niewygodne fakty to popsuły.

Sherrill jednak nie chciał sam podejmować decyzji. Wolałby, żeby Riley zrobił to za niego. Powiedziałby mu wtedy wszystko, a potem, gdyby szef postanowił nie wykorzystać tych informacji, odpowiedzialność 357

spadłaby na niego. Ja spełniłem swój obowiązek, mógłby wtedy powiedzieć Sherrill. Miał świadomość, że trzymałby się regulaminu zbyt ści-

śle, ale nie widział innej możliwości. Został wychowany w poszanowaniu zasad.

—

Jest jeszcze kilka wątków tej historii, komendancie.

—
Jak zwykle. Mnóstwo plew jest w każdym śledztwie. Naszym zadaniem jest oddzielenie plew, żeby zostało jedynie ziarno.

—
Wiem o tym, proszę pana. Pomyślałem jednak, że powinien pan wiedzieć...

—
Jasne. Może pogadasz z Donną w sekretariacie i umówisz się na następne spot...

—
To nie zajmie dużo czasu, proszę pana. Chodzi o to, że zidentyfikowanie zabitego, Geralda Mertona, jako terrorysty nie było tak zupełnie bezpodstawne.

—
Cóż, to może być ciekawa teoria. Jestem pewny. Ale teraz, jeśli pozwolisz...

—
To nie tylko teoria. Znaleźliśmy broń, przyjaciółkę zamachowców, jakby pan ją nazwał, która była ukryta w pokoju hotelowym Mertona. Miał jakieś konszachty ze znanym handlarzem bronią. Człowiek ONZ będący w Londynie twierdzi, że może chodzić o związane z dawnymi czasami zabójstwa z zemsty.

Wyraz twarzy komendanta zmienił się w jednej chwili. Dobroduszna sympatia zniknęła bezpowrotnie.

—
Jaki człowiek z ONZ?

—
Tom Byrne. Jest prawnikiem, któremu ONZ powierzyła tę sprawę.

—
Tak, żeby nadzorował twoje śledztwo. A co on ma wspólnego ze śledztwem?

—
Nic. Oczywiście oficjalnie. Ale ONZ wysłała go do Londynu, żeby się dogadał z rodziną. Zaproponował jakąś rekompensatę...

—
Nieważne. Powiadasz, że do czego się dokopał?

—
Przekazał mi bardzo niewiele szczegółów. Ale jego zdaniem 358

obecność broni w pokoju hotelowym można wytłumaczyć...

—
Wie o istnieniu tej broni?

—
Tak, proszę pana.

Riley usiadł prosto i zaczął porządkować papiery na biurku.

—
Rozumiem – powiedział głosem zupełnie pozbawionym serdeczności typowej dla południowca. Sherrill natychmiast pojął, co to oznaczało: komendant doszedł do wniosku, że czas zakończyć tę gierkę, mającą przerzucić winę za śmierć niewinnego człowieka na wydział wywiadu. Gdyby chodziło tylko o Sherrilla, nie byłoby trudno znaleźć dywan, pod który wmieciono by wszystkie niewygodne fakty. Ale teraz krąg ludzi zorientowanych w tej sprawie niespodziewanie się powiększy-

ł. Plany komendanta wzięły w łeb.

—
Zaświtała mi właśnie pewna myśl, detektywie. Przepraszam, że nie wpadłem na to wcześniej.

—
Tak, panie komendancie?

—
Do zabójstwa doszło na terenie ONZ, mam rację?

—
Tak.

Czy to jurysdykcja amerykańska?

—

Przykro mi, ale tego nie wiem, proszę pana...

—

Czy to jest na amerykańskiej ziemi, detektywie?

—

Jak przypuszczam, praktycznie rzecz biorąc, nie uznaje się go za...

—

To żadna tajemnica. Nie jest. I wiem, co powiedziałby o tym prokurator okręgowy tego miasta albo prokurator generalny. Powiedział-

by, że nie popełniono tam żadnego przestępstwa.

—

Nie bardzo rozumiem.

—

Nie popełniono żadnego przestępstwa. Nie doszło do złamania prawa, które on lub jakiś inny prokurator mógłby ścigać. Tak, rzeczywi-

ście strzelano. Ale nie wydarzyło się to na terenie Stanów Zjednoczonych. Co oznacza, że w świetle amerykańskiego prawa nie ma mowy o żadnym przestępstwie i nic nie powinno wzbudzać niepokoju żadnego z organów ochrony porządku publicznego, takich jak nowojorska policja.

359

—

Ale przecież mówił pan, że to sprawa o wysokim priorytecie, ka-zał mi pan, komendancie, meldować o niej bezpośrednio panu.

—

Po wydarzeniach z jedenastego września nie chciałem niczego zostawiać przypadkowi, gdyby wynikły z tego jakieś problemy dla miasta. – Komendant przybrał fałszywie oficjalny ton. Potem wychylił się do przodu, wbijając wzrok w Sherrilla. – Ale to nie zmienia stanu rzeczy, co od razu potwierdzi jeden telefon do prokuratora okręgowego albo innego prawnika. Nie popełniono

przestępstwa, detektywie. Odbieram panu tę sprawę, bo nie ma żadnej sprawy. To spotkanie jest skończone.

Rozdział 57

Tom spojrział na Rebeccę. Była równie zaszokowana jak on.

—

Przepraszam za sposób, w jaki zaaranżowano to spotkanie. Zwykle tak nie postępuję. W ogóle tak nie postępuję.

Tom był zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć. Widok tego męż-

czyzny w tych okolicznościach przyprawiał o zawrót głowy.

—

Prawdę mówiąc, nigdy nie poznałem pani ojca, Rebecco. Choć nasze ścieżki się krzyżowały. Ciekawe, czy o tym wiedział. Tego nie jestem pewny.

Jego akcent był wyraźniejszy, niż Tom zapamiętał. Czy na co dzień go łagodził? Dlaczego zdecydował, żeby teraz słychać było wschodnio-europejską intonację? Czy chciał coś tym zasygnalizować? Pamiętajcie, kim jestem.

—

Ale wybiegamy trochę naprzód. Musimy ustalić jakieś podstawowe zasady. Musimy porozmawiać o warunkach naszego spotkania.

Tom ponownie poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Najpierw facet mówił, jak sprawa została „zaaranżowana”, a teraz to – jakby Rebecca i Tom brali udział w rutynowym spotkaniu biznesmenów.

Tom miał ochotę krzyżeć o uprowadzeniu, podstępnych podaniu środków odurzających, o łamaniu podstawowych praw człowieka i mię-

dzynarodowych przepisów, które stały za tym spotkaniem. Chciał być wściekłym adwokatem, jakim był kiedyś, ostrzegającym przeciwnika, w jakie straszne gówno wdepnął. Ale nie potrafił zmusić się do tego 361

z prostej przyczyny – wiedział, kim jest ten człowiek. Zdołał jedynie wykrztusić słowa:

— To pana zniszczy.

Słyszając to, mężczyzna skinął lekko głową, w ten sam smętny sposób, jaki Tom widział na ekranie telewizora, gdy z tym mężczyzną przeprowadzano wywiady w dawnych czasach – jak dawnych? –

czterdzieści lat wcześniej. Każdy, kto oglądał wiadomości poranne albo wieczorne, albo czytał kiedykolwiek poważną gazetę – rozpoznałby ten gest. Był typowy dla człowieka, który w różnych okresach piastował urzędy ministra edukacji, ministra spraw zagranicznych, a nawet premiera swojego kraju. I mimo że dawno temu skończył osiemdziesiąt lat, kariera tego weterana polityki – jednego z największych mężów stanu na świecie – jeszcze się nie skończyła.

Tom stał przodem do niego po drugiej stronie pokoju w odległości zaledwie kilku metrów. Wpatrywał się w prezydenta Izraela.

Rozdział 58

– Przyznaję, że podejmuję w tej chwili ogromne ryzyko. Niektórzy uważają, że jestem lekkomyślny. – Wskazał ręką w stronę drzwi, co Tom odczytał jako uwagę pod adresem młodych współpracowników kłębiących się w przyległym pokoju. – Ludzie mówią, że byłem ostrożny w czasie całej kariery. „Ostrożny” to łagodne określenie. Jeden z moich biografów woli określenie „tchórzliwy”. „Śmiałość jego retoryki zawsze okazywała się odwrotnie proporcjonalna do odwagi jego działań. Jego nieszczęściem było urodzenie się jako tchórz w narodzie bojowników”.

To pełen cytat.

Tom poparzył na Rebeccę w nadziei, że może ona coś rozumie z tego zadziwiającego przedstawienia. Ale ona po prostu nie odrywała wzroku od prezydenta, jakby czekała na jakieś wyjaśnienie.

I wtedy przypomniał sobie o liście sporządzonej przez Munchaua. Tej samej, o którą go poprosił, a zawierającej nazwiska gości przybyłych w tygodniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ, liczących siedemdziesiąt lat i więcej. Tom machnął ręką na chińskiego tłumacza i ministra spraw zagranicznych z Wybrzeża Kości Słoniowej. I nic nie obudziło jego czujności, kiedy Henning powiedział: „Cóż, jest tu prezydent Izraela. Ma osiemdziesiąt cztery lata”.

Henning. Tom położył dłoń na czole ogarnięty wstydem.

363

Uległ najprymitywniejszemu ze stereotypów, winiąc starego przyjaciela – człowieka, który dał mu drugą, trzecią i czwartą szansę, kiedy nawalał i kiedy skreśliła go reszta kolegów – i okropnie się pomylił.

Henning był Niemcem, więc Tom uznał, że musiał wykonywać robotę nazisty, nawet jeśli oznaczało to wysłanie łobuzów, żeby włamywali się do mieszkań i zakładali podsłuchy w czasie pobytu Toma w Londynie.

Nigdy nie zdoła już spojrzeć Henningowi w oczy.

Prezydent odszedł od okna i zbliżył się do nich. Minął kanapę i wybrał proste drewniane krzesło wyściełane tkaniną w kiczowate czerwono-białe pasy. Kiedy usiadł, Tomowi zaparło dech: był to

widok znany mu z setek zdjęć umieszczanych na pierwszych stronach zagranicznych gazet.

Brakowało jedynie krzesła ustawionego naprzeciwko, na którym siedziałby amerykański sekretarz stanu albo prozachodni przywódca arab-ski. Tom czekał jedynie, kiedy starzec wyciągnie rękę i odbędzie ceremoniał przedłużonego uścisku dłoni przed aparatami fotograficznymi.

–
Ale ludzie źle mnie oceniają. Zawsze byłem ostrożny, bo zawsze kalkulowałem. Zanim cokolwiek zrobiłem. Czasami kalkulacja nakazy-wała odwagę i brawurę. A nawet lekkomyślność. To spotkanie należy do tej ostatniej kategorii.

–
Bez przerwy nazywa to pan spotkaniem. – Z ulgą i radością Tom przekonał się, że to jego głos. Furia, która nim targała wreszcie wybuchła. Cieszył się z tego. – Ale pan kazał nas porwać i tu przywieźć. Zostaliśmy odurzeni i stosowano wobec nas przemoc. To nie jest spotkanie.

To jest przestępstwo.

–
Jak już powiedziałem, panie Byrne. To bardzo ryzykowna sprawa. Ale mam nadzieję, że wkrótce przekonacie się, dlaczego musiałem to zrobić. Jak wiele z działań podejmowanych przez mój kraj i źle rozumia-nych przez resztę świata, to jedna z sytuacji, kiedy musimy uciec się do godnego ubolewania postępowania, żeby uniknąć zrobienia czegoś gorszego.

–
Godnego ubolewania? Godnego ubolewania?! To, co pan zrobił...

364

–
Panie Byrne – prezydent wszedł mu w słowo, unosząc palec wskazujący. Tom nie bardzo wiedział, na jakiej zasadzie, ale to zadziała-

ło, uciszyło go w taki sam sposób, jak uniesiona dłoń polityka ucisza wrogo nastawionego rozmówcę. – Niech mi pan pozwoli wyjaśnić. Jest coś, co muszę wiedzieć. Ściśle mówiąc, muszę wiedzieć, czy wy o tym wiecie. Najprostsza metoda – i są tu osoby, które się tym zajmą bez wahania – polegałaby na zawołaniu tu ludzi, którzy zapytaliby was w taki sposób, że na pewno byście im powiedzieli. Czy wyrażam się jasno? –

Nie czekał na ich odpowiedź. – „Przesłuchanie represyjne”, jak nazywają to Amerykanie. Nie mam pojęcia, jakim terminem posługuje się w dzisiejszych czasach nasz wywiad. Trzymałem się z dala od takich rzeczy, od linii frontu, jeśli można tak to ująć, stanowczo za długo. Dzisiaj sprawa-wuję

właściwie honorowy urząd. Zapalam świece podczas Chanuki, wręczam nagrody, jeżdżę na pogrzeby przywódców młodszych ode mnie. Przy tej operacji musiałem prosić o przysługę. Zrobiono to dla mnie przez wzgląd na stare dzieje. W każdym razie chodzi o to, by moż-

na było pójść na skróty, żeby się zorientować, co wiecie, albo też zapytać wprost w bardzo nieprzyjemny sposób. Ale ja nie posunąłby się do tego.

Nie wobec córki człowieka ocalałego z Holokaustu. – Po raz pierwszy spojrzał na Rebeccę.

Tom widział, że wytrzymała jego wzrok. Czy to możliwe, żeby wiedziała, o czym ten stary mówił?

–

Zrobił pan to, żeby zachować się uprzejmie? – zapytała. – Czy to chce nam pan powiedzieć?

–

Przepraszam, pani doktor. Zwłaszcza panią. Oczywiście nie oczekuję, że to, co zrobiłem, uznacie państwo za przejaw uprzejmości.

Podobnie jak nikt nie chwali łagodności Izraela, gdy nasi żołnierze wchodzą do jakiegoś gniazda żmij, bo namierzyli terrorystów, przeszukują dom po domu, otwierają jedne po drugich zaminowane drzwi i w czasie tego procesu giną dziesiątkami – podczas gdy Amerykanie albo Anglicy, jeśli o to chodzi, panie Byrne, wolą zrzucać bomby z wysokości 365

czterech i pół tysiąca metrów. Tak się to robi w Iraku i Afganistanie, prawda? Znacznie czyściej szarobota niż ta nasza. Zatem doktor Merton, nie, nie spodziewam się podziękowań. Ale chcę, żeby pani wiedziała, że dyskomfort, jakiego pani doznała przez ostatnie kilka dni, był wynikiem mojej odmowy, by wziąć pod uwagę inne rozwiązania. Wybrałem mniejsze zło.

–

Zabił pan człowieka. Zabił pan jednego z przyjaciół mojego ojca.

Przez pana Henry Goldman nie żyje.

Prezydent opuścił głowę.

–

Ponownie muszę panią przeprosić. To nie miało się nigdy zdarzyć. Tragiczny wypadek. Jest pani lekarzem. Słyszałem, że podeszła pani do ciała. Mam nadzieję, że je pani zbadała, bo jeśli tak, to wie pani, że Henry Goldman zmarł z przyczyn naturalnych. Na zawał serca.

–

Wywołany przez pana!

–
Miał słabe serce i bardzo się bał. Ale nie miał umrzeć. On też, proszę nie zapominać, był dzieckiem Shoah. Nigdy nie chciałem, żeby przytrafiło mu się coś złego.

Tom zastanawiał się, czy była to zwykła gierka polityka. Jeśli tak, to doskonale sobie radził. Ale słyszał wystarczająco dużo dyplomatycznych i politycznych gadek, by to, co mówił ten Żyd, podciągnąć pod tę kategorię. Wydawało mu się, że w oczach prezydenta dostrzega coś innego – smutek starego człowieka.

–
Nie wiem, jak mógłbym naprawić szkody wyrządzone tą tragedią. Ale chcę to zrobić. I to po jego śmieci uznałem, że co za dużo, to niezdrowo. Nadszedł czas, żebyśmy byli szczerzy. Żadnych więcej gier.

Musieliśmy się spotkać twarzą w twarz.

Krew ponownie zaczęła się burzyć w Tomie.

–
Więc pomyślał pan, że odurzając nas...

–
A co innego mogłem zrobić? – Prezydent podniósł głos. – Nie było sposobu nawiązania kontaktu bez odsłaniania się. Żadnego innego sposobu, żeby się spotkać. I właśnie tak musiało to być zrobione. Wkrót-ce się przekonacie. Zrozumiecie kalkulację, której dokonałem.

366

–
Ale przecież w chwili, gdy wyjdziemy z tego pokoju, powiemy każdemu dziennikarzowi, który będzie chciał słuchać, o tym, co pan zrobił. Będzie pan skończony.

–
Rzecz jasna brałem pod uwagę takie ryzyko. Doszedłem jednak do wniosku, że nie jest aż tak duże, jakby pan sugerował. Bo jakie macie dowody?

Tom zawahał się, w myślach powracając do ostatnich wydarzeń – ale nie wiedział nawet, ile godzin obejmowały. Przypomniawszy sobie Starbucks-a i spotkanie z Richardem. Wszyscy potencjalni świadkowie zeznaliby, że widzieli Rebeccę dobrowolnie z nim wychodzącą. Narkotyki, który Richard wlał im do kawy, sprawił, że stali się posłuszni i bezwolni. Nie było mowy o żadnej przemocy: z własnej woli wsiedli do jego samochodu.

I co potem? Tom nie miał nic, co mogłoby stanowić dowód na póź-

niejsze zdarzenia. Brak szpitalnego ubrania, nie wspominając o karcie chorobowej. Jak mógłby udowodnić, że w ogóle tam był?

I wtedy właśnie uderzyła go jedna myśl. Podekscytowany odezwał

się podniesionym głosem, powstrzymując się jednak od krzyku:

–

Jesteśmy w Nowym Jorku! I nie istnieje żaden zapis potwierdzający, jak się tu dostaliśmy. Jak pan to wytłumaczy? Żadnych kart pokładowych, żadnych stempli w paszportach? – Miał świadomość, że mówi za głośno.

–

Obawiam się, że zatroszczono się o to. Przy wyjściu stąd otrzymacie z powrotem paszporty ze wszystkimi niezbędnymi pieczętkami we właściwych miejscach. Po powrocie do domu niech pani sprawdzi wy-ciąg z konta bankowego. Przekona się pani, że podjęto z niego sumę odpowiadającą cenie dwóch biletów lotniczych do Nowego Jorku. Są też dwa odcinki z kart pokładowych. Jeden z młodych współpracowników powiedział mi nawet, że ma pani teraz dość przelatanych kilometrów na koncie, żeby dostać wyższy status w programie dla stałych klientów linii lotniczych. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Dzisiaj technika stwarza tak 367

wiele możliwości. W czasach pani ojca, on i jego towarzysze byli zdani na to, co mogli zrobić z papierem i atramentem. A mimo to dokonywali niesamowitych rzeczy.

Tom wstał i zrobił krok naprzód. Znalazł się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od prezydenta. Choć górował nad nim, starzec – którego biograf nazwał tchórzem – nie wydawał się ani trochę wystraszony.

–

Nie obrazi się pan chyba, panie Byrne, jeśli przypomnę panu o ryzyku związanym z fizyczną napaścią na głowę państwa. Zwłaszcza gdy ta osoba ma osiemdziesiąt cztery lata. Nawet bardzo dobry adwokat jak pan nie dałby rady wyciągnąć pana z tego.

Tom cofnął się, ale nie usiadł.

–

Nie ma znaczenia, co pan mówi. Przyznał się pan, że kazał pan nas uprowadzić, że to pan stoi za włamaniem do mieszkania Rebecki i do mieszkania jej ojca, że jest pan zamieszany w śmierć Henry'ego Goldmana. Nam pozostaje jedynie przekazać światu to, do czego i tak pan się przyznał!

–

A kto panu uwierzy?

—

Co pan, do cholery, przez to rozumie? – spytał zaskoczony Tom.

—

Ano to, że nikt nie uwierzy papudze mafii, prawda? Płatnemu sługusowi organizacji przestępczej, najętemu pomagierowi rodziny Fantonich z Newark w New Jersey. Czyżby pan zapomniał, kogo oskarżano o wymuszanie okupów, pranie brudnych pieniędzy, handel narkotykami, stręczycielstwo... mam wymieniać dalej?

Tom głośno przełknął ślinę. Czuł na sobie wzrok Rebecki. W tej chwili nie był w stanie na nią spojrzeć, twarz go piekła.

—

Och, przepraszam, to pewnie coś, o czym nie wspominał pan pani Merton. Podałem więcej szczegółów, niż to było konieczne. Przepraszam. Chodzi jednak o to, że nikt nie uwierzy w ani jedno pańskie słowo. Prawnik, który skrewił i zaprzedał duszę donowi Corleone.

—

Pańskie zbiry na pewno coś nam wstrzyknęli. – Rebecca weszła mu w słowo głosem łamiącym się ze złości. – W naszej krwi na pewno 368

są jakieś pozostałości. Na skórze będą też ślady po ukłuciach.

—

Czy rzeczywiście chce pani z tego zrobić sprawę?

Tom obrócił się i spostrzegł, że Rebecca pobladła.

—

O czym pan mówi?

—

O tym, że na pani skórze można prawdopodobnie znaleźć całym sporo takich śladów.

Rebecca pokręciła głową w niedowierzaniu.

—

To było dziesięć lat temu. Jakim cudem...

–

Jeśli się chce, na każdego można znaleźć haka. Właśnie na tym polega praca wywiadu. Kiedyś przyjmowała pani dożylnie narkotyki, była uzależniona, a to oznacza...

–

Nie byłam uzależniona! Wstrzykiwałam sobie narkotyki, ale nigdy nie byłam narkomanką.

–

Czy to medyczne określenie?

–

Popełniłam błąd, byłam zdołowana...

–

Dla mnie to bez znaczenia. W tych sprawach jestem liberalny.

Ale to mogłoby pani – jako lekarzowi rzecz jasna – zaszkodzić. I nie określamy tego dosadniej.

Tom opadł na krzesło. Rebecca, ostatnia osoba, którą by o to podejrzewał. Nigdy by się tego nie domyślił. Zastanawiał się, jakie nieszczę-

ścia pchnęły ją do tego, przypomniał sobie, co mówiła o dorastaniu w domu permanentnie pogrążonym w mroku. Wyciągnął rękę i odszukał jej dłoń. Dotknęli się po raz pierwszy, od kiedy weszli do tego pokoju.

Zorientował się, że starzec zapędził ich w ślepy zaułek. Żadne z nich nie mogło powiedzieć nikomu o czymkolwiek. Gdyby jednak to zrobili, potraktowano by ich jako ludzi z urojeniami: podobnych do tych, którzy posyłają e-maile do prasy ogólnokrajowej z doniesieniem, że byli uprowadzeni przez kosmitów albo są ofiarami ekscesów rodziny królewskiej.

Z prawdziwym znanstwem wyprowadzono ich w pole. Tom zgarbił się na krześle i czekał na następny cios.

Tym razem Rebecca odezwała się pierwsza, łagodniej niż poprzednio.

369

–

Nie rozumiem. Kiedyś był pan przywódcą Izraela. Uczyliśmy się o panu w szkole. Dlaczego miałby

pan być wrogiem mojego ojca?

Starzec westchnął i powoli wstał z krzesła. Dopiero teraz było po nim widać wiek. Starannie odmierzanymi krokami podszedł do okna. Miasto wydawało się skrzyć w świetle porannego słońca.

Nie odwracając się do nich, zaczął cicho mówić:

–

Ma pani rację, że chce zakończyć ten wstępny etap. Ustaliliśmy już podstawowe zasady. Czas przejść do sedna sprawy. Musimy porozmawiać o DIN.

Rozdział 59

–

To drugi błąd, przed którym ostrzegaliby mnie moi współpracownicy. – Przerwał i obrócił się twarzą do nich. – Powiedziałem

„ostrzegaliby”, oczywiście, bo nie mają o tym pojęcia. Nie znają prawdziwych powodów. Trzymam je przed nimi w tajemnicy, tak samo jak przed wszystkimi. Moją rodziną, przyjaciółmi. Moją ojczyzną. Ludzie, którzy dla mnie pracują– zespół w tamtym pokoju – wiedzą tylko to, co im powiedziałem: że dysponujecie informacjami, które są zagrożeniem dla bezpieczeństwa naszego kraju. Problem polega na tym, że nie wiem, czy to prawda, czy nie. – Przechylił głowę na jedną stronę, sugerując, że zaraz poprawi sam siebie. – Mam, rzecz jasna, świadomość, że nie wiecie nic, co mogłoby zagrażać bezpieczeństwu Izraela. Ale możecie wiedzieć coś innego. Coś, co stanowi zagrożenie dla mnie. Dlatego jednocześnie zagraża mojej ojczyźnie.

Tom poczuł ogarniającą go falę zmęczenia.

–

O czym pan mówi?

–

Wiedziałem, że Gerszon Matzkin nadal żyje. Zawsze wiedzia-

łem. Nie spuszczałem go z oka, miałem ludzi, którzy to dla mnie robili. I czekałem. Czekałem na dzień, kiedy usłyszę, że zabrano go do szpitala albo że zachorował. Ale ten dzień nie nadchodził. Myślałem o tym czę-

ściej, niż chciałbym to przyznać. Nie jestem z tego dumny. Zapominałem o nim najwyżej na kilka dni. Ale nigdy nie na dłużej niż tydzień.

Zwłaszcza przez ostatnie kilka lat, kiedy tylko on został. Aron, ich przywódca, umarł dawno temu. Taki silny mężczyzna, taki bohater. Nie do-

żył nawet siedemdziesiątki. A następny... jakżeż on się nazywał...

Steiner, wiele lat temu stracił rozum. Wiedziałem, że nie może mi nic zrobić. Ale Gerszon ciągle świetnie się trzymał. I wszystko miał tutaj. –

Popukał się w bok głowy. – Mam nadzieję, że nie obrażę pani, Rebecca, jeśli powiem, że na swój sposób czekałem na śmierć pani ojca. Nie dlatego, żebym był okrutny, proszę mnie źle nie zrozumieć. To ze strachu. Z

niepokojem starego człowieka. Ulżyłoby mi, gdyby umarł. Chciałem wiedzieć, że go przeżyłem. Przez wszystkie lata marzyłem o tym, by żyć w świecie, w którym nikt poza mną nie zna tego sekretu. Bo wtedy przestałby już być sekretem, prawda? Pamięć o nim by przepadła. Byłbym wolny. Ale Gerszon Matzkin nadal żył, a ja miałem w głowie naszą historię. I wtedy nadszedł ten poniedziałek. Byłem tam, w Nowym Jorku, na Zgromadzeniu Ogólnym. I usłyszałem to nazwisko w lokalnych wiadomościach na kablówce: „Obywatel Wielkiej Brytanii został zastrzelony przy wejściu do ONZ. Zidentyfikowano go jako Geralda Mertona”.

Możecie sobie wyobrazić, co działo się w moim umyśle? Ręce mi drżały.

– Uniósł prawą dłoń i przesadnie nią zatrząsał. – Zastanawiałem się, kto chciał śmierci Gerszona. Powiedzieli, że to był wypadek, ale im nie uwierzyłem. Gerszon zawsze umiał o sobie zadbać. Wszystkie te zabójstwa – przepraszam, wyroki – i nigdy nikt nawet się do niego nie zbliżył.

Inni członkowie DIN nie byli tacy sprawni, ale Gerszon różnił się od nich. To nie przypadek, że żył najdłużej z nich. Był najlepszy. Ale wtedy zacząłem się niepokoić. Po co przyjechał do Nowego Jorku? Czyżby zaczął... – Przerwał, nie wiedząc, jakiego użyć słowa – ...znowu pracować? Kogo mógł ścigać? Musiał się dowiedzieć, że tu będę. Czy to ze mną chciał się zobaczyć? I ręce zaczęły mi się trząść jeszcze bardziej.

Czy Gerszon Matzkin przybył do Nowego Jorku, żeby mnie zabić?

Tom chciał mu przerwać i spytać, jaki motyw mógłby mieć Gerszon Matzkin, żeby zabić prezydenta Izraela, rodaka, i jak wszystko wskazywało towarzysza z krucjaty DIN. Ale ugryzł się w język; ten potok słów 372

starca w końcu przecież rzecz wyjaśni. Musiał po prostu pozwolić mu się wygadać.

–

Rozumiecie... – Miał zamiar coś dodać, ale zamilkł i uśmiechnął

się na mgnienie oka. – To największe ryzyko, jakie podejmuję. W polityce często się to zdarza. Jedynym sposobem ochrony przed ujawnieniem czegoś jest ujawnienie tego samemu. Ale może to obłąd.

–
Jaki obłęd? – spytał Tom. Jego głos stracił już zaczepność. Takim samym tonem zwracał się do co ważniejszych urzędników z ONZ, w tym do sekretarza generalnego. Ludzie z zewnątrz nie mieli pojęcia, do jakiego stopnia współpracownicy najwyższych rangą polityków służą za terapeutów, surogaty rodzeństwa, płatnych najlepszych przyjaciół.

–
To, co mam zamiar zrobić. Ciężko się napracowałem, żebyście nie zdobyli pewnej informacji, a teraz ją wam przekażę. Bo nie widzę innej możliwości.

–
Innej możliwości zrobienia czego? – Tom czuł, że odzyskuje spokój.

–
Upewnienia się, że nie ma innych dowodów. Gdybyście nawet zaczęli rozpowiadać to, co zaraz ode mnie usłyszycie, nie mam się czego obawiać. Wszystkiemu zaprzeczę, a prasa dowie się po prostu, że nie jesteście wiarygodnym źródłem – z powodów, których nie ma potrzeby powtarzać. Ale muszę się dowiedzieć, czy jest coś jeszcze. To zawsze chciałem wiedzieć. Musiałem to wiedzieć każdego dnia, kiedy żyli poszczególni członkowie DIN. Teraz, gdy Gerszon odszedł, chcę żeby to się skończyło. Chcę spać w nocy dłużej niż trzy godziny.

–
Dlatego musi nas pan spytać, co wiemy. Starzec skinął głową.

–
W porządku – powiedziała Rebecca. – Niech pan pyta.

Prezydent przyjrzał się własnym paznokciom, które były w nieskazitelnym stanie, co Tom mimowolnie zauważył. I chodziło nie tylko o paznokcie. Jego garnitur leżał nieskazitelnie, a koszula była doskonale uprasowana. Jak bardzo ten elegancki mąż stanu, zapraszany przez wszystkich premierów Europy, musiał nienawidzić oczekiwania, aż jego reputacja legnie w gruzach.

373

Odezwał się w końcu. Niechęć lekko wykrzywiła mu usta w dół.

– Czy mówi wam coś *Tochnit Alef*?

Rozdział 60

Tom usiłował przekalkulować sytuację, zastanowić się nad możliwo-

ściami, ale jego myśli natrafiały na mur. Zamiast mózgu miał watę, cią-

gle był ogłupiały po śnie i środkach odurzających. Wszystko wydawało się łatwiejsze, kiedy musiał jedynie słuchać i prowokować prezydenta do mówienia, ale teraz było inaczej. Dla własnego dobra i co ważniejsze dla dobra Rebecki powinien jak najszybciej zebrać myśli.

Słowo *Tochnit* odrzucało go, ale *Alef* brzmiało wystarczająco znajomo, by stać się dla niego wskazówką. Już wcześniej domyślał się, że istnieje hebrajskie określenie planu A i chyba właśnie je poznał. Zatem to ten aspekt działalności DIN spędzał sen z oczu tego człowieka przez sześćdziesiąt lat.

Jeśli nic nie powiedzą, kto wie, jakie kary mogą na nich spaść? Stary pokazał już do czego jest zdolny. Przeciwdziałanie mu się mogło mieć fatalne następstwa, na pewno znalazłby sposób, by zmusić ich do mówienia.

Z drugiej strony, jeśli powiedzieliby mu to, co wiedzą, straciliby wszelką przewagę, jaką teraz mieli. W tej chwili prezydent potrzebował

czegoś od nich: kiedy to dostanie, co innego będzie mogło ich chronić?

Przecież wyznał im już, że chce być jedynym człowiekiem na świecie, który zna ten sekret: jeśli będzie tego pewien, nareszcie się odpręży.

Gdyby Tom i Rebecca zdradzili mu, czego się dowiedzieli, wszystko przemawiałoby za tym, żeby dopilnował, by podążyli śladami Gerszona 375

Matzkina i Arona, dowódcy DIN, albo przynajmniej Sida Steinera. W

jaki sposób prezydent miałby to osiągnąć? Tom nie miał pojęcia. Ale nie wątpił, że starzec był przygotowany do zrobienia tego, co uzna za konieczne.

Serce zaczęło bić mu mocniej. Musiał wymyślić inny sposób. Należa-

ło jakoś sprawić, by stary uwierzył, że Tom i Rebecca mówili prawdę, że powiedzieli wszystko, co wiedzą, a mimo to dać mu powód do zachowaniu ich obojga przy życiu.

—

Widzieliśmy papiery – odezwał się Tom.

—

Jakie papiery?

—

Plany. Plany miejskich wodociągów. Monachium, Weimaru, Hamburga, Norymbergii i Wansse.

—

A zatem wiecie.

—

Wiemy.

—

I wiecie o mnie?

Tom patrzył na niego twardo. Nie chciał się uciekać do całkowitego blefu: nikt lepiej od politycznego weterana nie wyczuje picu, w końcu nim właśnie politycy najczęściej żonglowali. Niemniej Tom chciał przynajmniej, żeby stary miał o czym myśleć.

—

Czy gazety wskazywały na mnie w jakikolwiek sposób?

—

Moim zdaniem, jeśli ktoś wiedział, czego szuka, mógł się tego domyślić. – Przekroczył granicę niebezpiecznej strefy, znalazł się w krainie łgarstw.

—

Tak przypuszczałem. A gdzie teraz są te papiery?

—

Zrozumie pan chyba, jeśli powiem, że niechętnie podzielimy się tą informacją.

Prezydent omiółł taksującym wzrokiem twarze dwojga ludzi siedzących przed nim. Zatrzymał spojrzenie na Rebecce i do niej skierował swoje słowa.

—

Myślę, że chciałaby pani wiedzieć, co się wydarzyło.

Może wtedy popatrzy pani na to inaczej.

Tom cicho westchnął. O to właśnie mu chodziło: żeby prezydent za-czął mówić.

—

Nie należałem do DIN. Nie było mnie nawet w Europie w czasie... w tamtych czasach. Wyjechałem z Rosji w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. Pojechałem do Palestyny, żeby zostać pionierem.

Naszym celem było stworzenie *Ivri*, Hebrajczyka. Zupełnie nowego Żyda. Silnego robotnika, żołnierza; żadnego więcej tchórzostwa, żadnej więcej bierności w obliczu nieprzyjaciela. Mówiliśmy wtedy, że wszystkich Żydów w Europie czeka zagłada. – Zwiesił głowę. – Nie mieliśmy pojęcia, ile było w tym racji. Tak więc przybyłem do Palestyny jako nastolatek. Wstąpiłem tam na uniwersytet: studiowałem chemię. I oczywiście dałem się wciągnąć do ruchu młodzieżowego i zanim się zorientowałem, byłem wybierany do tego czy tamtego. Już wtedy stałem się politykiem. Ale uczyłem się od najlepszych. Ludzie nawet mnie o to nie podejrzewali. Nazywali mnie arogantem, nie rozumiejąc, że zawsze byłem studentem wielkich ludzi. Okazywałem im jedynie pokorę i szacunek. Dlatego mi ufali. Wśród nich i on.

Tom uniósł brwi w zdziwieniu, czego zaraz pożałował. Powinien udawać, że to wie.

Ale prezydent minął już miejsce, skąd mógłby jeszcze zawrócić. Nie miał zamiaru przerywać swojej opowieści.

—

Profesor z Rehowotu, człowiek, który sprowadził nas do ziemi obiecanej. Wyobraźcie sobie, jak Mojżesz, który przewodził Żydom podążającym do ojczyzny. Wrócił do swojego laboratorium, a ja zosta-

łem jednym z jego studentów. Jak myślicie, co powiedziałem, kiedy mnie poprosił o przygotowanie tej mikstury? Co sami byście powiedzieli? Odmówilibyście mu? Byłem jeszcze dzieckiem, dwudziestoparolatkiem. Rzecz jasna powiedziałem, „tak”.

Mgła zaczynała się przejaśniać. Tom widział, że Rebecca siedzi sztywna i wyprostowana.

—

Więc to pan przygotował truciznę?

377

—

Cóż mogę powiedzieć? Że wykonywałem jedynie polecenie? Jak wiecie, ta linia obrony została trochę zdyskredytowana.

Atmosfera w pokoju robiła się gęsta. Tom niemal czuł, jak na niego napiera.

—
Czy wiedział pan, jakie było jej przeznaczenie? – zapytał.

Prezydent uśmiechnął się do niego.

—
Miło byłoby powiedzieć, że nie wiedziałem. Ale to byłby nonsens. W jakim innym celu ktoś mógłby potrzebować czegoś takiego?

Wiadomość od profesora była jasna: „Daj temu człowiekowi toksynę bezzapachową, bezbarwną, która nie straci właściwości w wodzie”. Co innego mogłoby to być? I ta ilość! Tylko idiota nie zorientowałby się, że przeznaczeniem były wodociągi. I to Aron przyniósł ten list. Nawet jeśli nigdy nie słyszało się o DIN, jego znali wszyscy. Był bohaterem żydowskiego ruchu oporu, jednym z garstki, która ocalała z ognia. Wystarczyło spojrzeć na tę trupią twarz, żeby wiedzieć, do czego potrzebna mu moja trucizna.

—
Zrobił pan ją.

—
Zrobiłem.

—
I to pański wielki sekret.

Starzec wypił łyk wody ze szklanki stojącej na stoliku między nimi, której nie tknął aż do tej pory.

—
Nie tylko mój sekret. Pomyślcie o państwie Izrael. Wielu ludzi na świecie nienawidzi mojego kraju, uważa, że już samo jego istnienie jest zbrodnią. Wyobraźcie sobie, co mogliby zrobić z tą informacją: że zało-

życiele państwa – w tym człowiek będący dzisiaj jego prezydentem –

byli gotowi skazać na śmierć tylu ludzi. Czy kiedykolwiek podnieśliby-

śmy się z tego? Nie zaprzeczam jednak, że w grę wchodzi też względy osobiste. Nie wiem, w jakim stopniu orientuje się pan w przebiegu mojej kariery, panie Byrne? Jestem orędownikiem pokoju i pojednania. Jestem człowiekiem, który nawołuje do zrezygnowania z wojny i przemocy.

Obsypywano mnie kwiatami w każdej stolicy, zwłaszcza w Bonn i w 378

Berlinie. Jestem posiadaczem Großes Bundesverdienstkreuz, pierwszym nie-Niemcem wyróżnionym tym tytułem. Mam honorową rangę komandora tego krzyża. Spróbujcie sobie wyobrazić, co stanie się z moim dobrym imieniem, jeśli teraz, po ponad sześćdziesięciu latach, świat dowie się, że byłem współnikiem próby masowego zabójstwa. Widzieliście te plany, oboje. Wiecie, co *Tochnit Alef* oznacza. Śmierć przy odkręceniu kranu. Milionów ludzi. Nie tylko nazistów, ale również kobiet i dzieci.

Przypadkowe, bezsensowne zabijanie.

Rebecca wychyliła się do przodu.

—

Dlaczego nic z tego nie wyszło?

—

Z powodu, o którym właśnie powiedziałem. Ostatecznie zwycię-

żył zdrowy rozsądek. Przywódcy w Palestynie zrozumieli, że *Tochnit Alef* może okazać się katastrofą dla narodu żydowskiego; przestalibyśmy być ofiarami największej zbrodni w dziejach ludzkości. Spadałaby na nas wina za masowe morderstwo. *Tochnit Alef* zniwelowałby naszą moralną przewagę. I, pamiętajcie, to był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty: mieliśmy jedynie moralnie uprzywilejowaną pozycję.

—

Czy przywódcy kazali DIN zrezygnować z tej operacji? – spytała Rebecca.

Stary człowiek się przeciągnął. Była to pierwsza oznaka zmęczenia.

—

To nie takie proste. DIN to ruch, który miał po swojej stronie najwyższe racje moralne – przemawiał w imieniu sześciu milionów.

Kim, wobec nich, było kilku polityków z Tel Awiwu?

—

Jak to zatem wstrzymali?

—

Aron znajdował się na statku wypływającym z Palestyny. Wracał

do Europy z trzema pojemnikami z moją trucizną w bagażu. Brytyjska żandarmeria wojskowa weszła

na pokład tego statku i go aresztowała.

Wsadzili go do izolatki w więzieniu.

–

Ktoś dał cynk brytyjskim władzom?

–

To prawda.

–

Wie pan kto?

379

–

Oczywiście, że wiem. – Przerwał i wypił kolejny łyk wody. A potem spojrzał ponownie na Toma i Rebecę. Jego twarz wyrażała iro-niczne zdziwienie. – Ja.

Rozdział 61

Rebecca poszarzała na twarzy.

–

Dlaczego? Dlaczego, do cholery, pan to zrobił?

Tom widział napięcie malujące się na jej obliczu, sprawiło, że bardzo pobladła. Nie było wątpliwości, że próbuje usilnie nadać sens temu, co usłyszeli. Za każdym razem, gdy dowiadawali się czegoś nowego, wstrząsało to kalejdoskopem i potem, gdy ustalił się już nowy obraz, który potrafiła zrozumieć, ponownie następowało chaotyczne przemiesz-czenie elementów.

–

Sam zadawałem sobie to pytanie. Wiele razy. – Prezydent wbił

wzrok w Rebecę. Tom zauważył, że miał czerwone obwódki wokół

oczu. – Wiedziałem, że przywódcom rozpaczliwie zależy na zatrzymaniu Arona. Ale nie wiedzieli, gdzie był ani jak go złapać. Nikt tego nie wiedział. I wtedy Aron skontaktował się ze mną, w ostatniej chwili. Śpieszył

się, chciał mnie zapytać o przechowywanie trucizny. Czy powinien trzymać ją w chłodzie, w ciemności? Spotkaliśmy się, i wspomniał, że wyjeżdża następnego dnia. Wiedzieliśmy, że będzie na

poładzie brytyjskiego transportowca. Wystarczyło zatem, żeby Brytyjczycy pilnowali portu tego właśnie dnia. To było łatwe.

–

Nadal nie rozumiem dlaczego.

Starzec westchnął głęboko.

–

Moja choroba. Przypuszczam, że to jest odpowiedź. Moja choroba.

381

–

Jaka choroba? – zapytała Rebecca głosem lekarki.

–

Ta sama, którą zawsze miałem. – Przerwał, jakby spodziewał się po nich, że znają odpowiedź. Po krótkim milczeniu, przerwał ciszę: –

Ambicja. Wiedziałem, że kilka osób z najwyższego szczebla władzy było zdeterminowanych zatrzymać Arona i nie mogło tego zrobić. I wtedy, dzięki mnie, to stało się możliwe. Już po kilku tygodniach opuściłem laboratorium i zostałem osobistym doradcą starego. Człowieka, który został pierwszym przywódcą mojego kraju. Zabawne, ale wszyscy nazywaliśmy go starym. Teraz jestem znacznie starszy, niż on był wtedy.

W każdym razie od tamtej pory zawsze już byłem na samej górze.

Toma uderzyła szczerłość prezydenta. Samokrytyka nie należała do najmocniejszych stron polityków, a to poszło znacznie dalej.

–

W porządku – odezwał się Tom, zdając sobie sprawę, że wtrąca się w rozmowę. – Dlaczego nie powie pan światu tego, co nam pan powiedział? To pan powstrzymał *Tochnit Alef*. Zapewni to panu nowe ho-nory.

–

Och, świat byłby zachwycony, zgadzam się z panem. Zostałbym bohaterem. Tyle że świat nie jest Izraelem, panie Byrne. W Izraelu Aron z Getta jest bohaterem. I to nie jakimś chwilowym idolem. Mam tu na myśli herosa niemal biblijnego. Jest człowiekiem, który bronił Żydów przed ich największym wrogiem. Będzie pamiętany przez tysiące lat jak Juda Machabeusz albo Dawid, który

zabił Goliata. W moim kraju jego imię już jest legendą. Żydzi na całym świecie czytają jego wiersze. Przy nim jestem niczym mrówka. Politykiem negocjującym układy. I to bę-

dzie się liczyło przede wszystkim. A teraz już to wiecie. Że go zdradzi-

łem. Wielkiego Arona z Getta. I to Brytyjczykom! Znienawidzonym imperialistycznym władcom, którzy zamknęli bramy Palestyny w chwili, gdy groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo!

–

Co zatem ma pan zamiar zrobić?

–

Wydaje mi się, że pytanie brzmi raczej: co my mamy zamiar zrobić? Potrzebna nam strategia, która umożliwi wycofanie się.

382

–

A co, do cholery, ma to znaczyć? – spytała Rebecca.

–

To znaczy, moja droga, że potrzebny nam sposób wyjścia z tej sytuacji. Wam zależy na tym, żeby bezpiecznie opuścić to miejsce z gwarancją, że nikt nie będzie was nękał z tego powodu. – Zawiesił głos, żeby Tom i Rebecca mieli czas na rozważenie jego słów. Brzmiały ugodowo i rozsądnie do momentu, gdy cofnęli się pamięcią w czasie i zdali sprawę, że były groźbą. – A ja potrzebuję gwarancji, że to, co wiecie, to, o czym tu rozmawialiśmy, nigdy nie trafi do wiadomości publicznej. Że zabierzecie ten sekret do grobu.

Wreszcie, pomyślał Tom, negocjujemy. Niektórzy prawnicy nie robili nic innego. Tom nie był jednym z nich, w każdym razie kiedy zaczynał.

Ale w ONZ zawsze dochodziło do swego rodzaju dogadywania się przy wykonywaniu obowiązków, nawet jeśli chodziło wyłącznie o wewnętrzne przepychanki w wydziale. Zdarzyło mu się rozstrzygnąć kłótnię dotyczącą jakiejś wyspy na Pacyfiku – w rzeczywistości przereklamowanego kawałka skały, mniejszego od przeciętnej łazienki w Nowym Jorku – do której prawa rościły sobie dwie niewiele większe wyspy. Była to zakuli-sowa awantura, typowe dzielenie włosa na czworo, ale skończyła się na negocjacjach. Poza tym jego robota przez ostatnie kilka miesięcy, w tym zlecenia od rodziny Fantonich, nie polegała na niczym innym jak na dobijaniu targów.

Tom usiadł prosto, próbując okazać, że z ludzi w tym pokoju on także ma władzę. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Szykował się do tej chwili, ale dopiero od ostatnich kilku minut. Postanowił, że będzie musiał improwizować.

—
W porządku. Teraz wszyscy wiemy, co chcieliśmy wiedzieć i na czym stoimy. Pozwoli pan Rebecce bezpiecznie wrócić do Londynu.

Kiedy już tam będzie, zajmie się przekazaniem panu papierów, na któ-

rych panu zależy. Dostanie pan oryginały. A gdy już je pan dostanie, zyska pan pewność, że nie istnieją żadne dowody tego, co się stało. Żadnych śladów pańskiego udziału.

383

—
Poza tym, co zostanie w waszych głowach.

—
Tak. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że to wykorzystamy?

Patrząc realistycznie, po co mielibyśmy sprawiać panu kłopoty? Teraz, kiedy wiemy, co pan może nam zrobić. — To był pierwszy ruch.

Prezydent podrapał się po brodzie, a potem zaczął się lekko kołysać, w przód i w tył, niczym patriarcha rodziny na ganku, namyślający się bez pośpiechu. Tom zdecydował, że mocniej go przycisnie i przekona się, czy mogą zamknąć sprawę.

—
Skoro udało się panu wstrzyknąć nam środki odurzające na samej cholernej Regent Street, to bez trudu może nam pan wstrzyknąć coś gorszego. — Nie spuszczał wzroku ze starca. — Nie mamy żadnego interesu w stawianiu pana w kłopotliwej sytuacji.

—
A w zamian?

—
Pozwoli nam pan wrócić do normalnego życia. Odwoła pan swoich zbirów i odda nam paszporty i portfele.

—
Przekażecie mi te papiery.

Będą pańskie. I dopóki nic nam się nie przydarzy, nikt ich nie zobaczy.

To było drugie posunięcie. Tom miał nadzieję, że decydujące.

–

Co pan przez to rozumie?

–

Tylko to, że zrobiłem wcześniej cyfrowe kopie tych papierów i zawiesiłem je w Internecie na uśpionej stronie, zaprogramowanej tak, by się nie uruchamiała dopóty, dopóki będę się do niej logował, swoim hasłem, zawsze co siedem dni. Jeśli z jakiegoś powodu nie zaloguję się –

powiedzmy, że zostanę unieruchomiony – wtedy strona się uaktywni. I wyśle alarmowe e-maile pod kilka wybranych adresów. Redakcja, małpa, New York Times, kropka, com, będzie jednym z nich. Redakcja, małpa, Jerusalem Post może być kolejnym. No i nie pominiemy przecież BBC

czy CNN. – Tom spojrzał na Rebeccę. Miała szeroko otwarte oczy, wyglądała na przerażoną.

–

Zrobił pan to? – prezydent spytał ponownie, tym razem trochę piskliwie.

384

Tom skinął głową. Nad górną wargą formowała mu się kropelka po-tu.

–

Spędziłem mnóstwo czasu w kafejce internetowej, o czym zapewne dobrze pan wie od swoich przyjaciół.

–

Jak pan śmiał? – Starzec przyjrzał się dokładnie ich twarzom, a potem wyprostował z pewnym wysiłkiem. – A jeśli coś się popsuje z tą stroną, jeśli przez przypadek...

–

Tym nie musi się pan przejmować. Jest zabezpieczona. Dopóki nam nic się nie przydarzy.

Prezydent zbladł, wahał się, co powiedzieć. Rebecca wychyliła się do przodu, jakby chciała wykorzystać ten moment słabości.

–

Mam jeszcze jeden warunek.

Tom obrócił się gwałtownie i wbił w nią wzrok: Nie rujnuj tego.

Zignorowała go.

—

W zamian za trzymanie w tajemnicy tego, co nam pan powiedział, w zamian za trzymanie strony internetowej w uśpieniu, chcę żeby użył pan swoich wpływów i załatwił mi spotkanie. Z sekretarzem generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych.

—

Och, na rany boskie, Rebecca. — Tom nie potrafił się powstrzymać. W co ona grała, ryzykując gniew człowieka, który udowodnił już, że nie cofnie się przed niczym, by dopiąć swego, i po co?

Z półuśmiechem, który Tom zinterpretował jako czyste niedowierzenie w tupet tej kobiety, prezydent uniósł dłoń, żeby go uciszyć.

—

Proszę powiedzieć jeszcze raz. Czego pani chce?

—

Rebecca usiłuje...

—

Pytałem panią Merton, panie Byrne.

Posunęła się za daleko, tego Tom był pewny. Teraz prezydent może w każdej chwili wezwać swoich goryli i skończyć tę sprawę raz na zawsze.

—

Proszę, żeby załatwił mi pan spotkanie z sekretarzem generalnym

— odezwała się ponownie Rebecca. — Chcę, żeby spojrział mi w oczy i 385

powiedział głośno, co ONZ zrobiła mojemu ojcu. Wtedy ten koszmar się skończy. Mój ojciec nie po to ocalał z tego, co przeżył, żeby tak go potraktować, jakby był nikim. — Głos zaczął się jej łamać. — Kurzem na czyimś bucie.

—

Rozumiem — powiedział prezydent cicho. — Naprawdę panią rozumiem, pani doktor Merton.

Nagle, jakby wyrwany z transu, obrócił się do Toma i ucisnął mu dłoń, nie dając możliwości

odrzucenia tego gestu.

—

Jestem gotów zgodzić się na te warunki. Od razu skontaktuję się z biurem sekretarza generalnego. I jak długo nic się państwu nie stanie, uśpiona strona pozostanie zamknięta. Tak?

—

Tak.

—

Pozostanie ukryta i zamknięta po mojej śmierci. Moja reputacja w przyszłości jest dla mnie równie ważna, to jasne. Mogę tak to zorganizować, że po moim odejściu nic się nie zmieni. Jeśli ta informacja zostanie kiedykolwiek ujawniona, nasza umowa przestanie obowiązywać.

Znajdą się ludzie gotowi o to zadbać.

—

Rozumiem.

—

To dobrze. A teraz chciałbym zamienić kilka słów na osobności z doktor Merton, uczcić czyjąś pamięć.

Skierował się ku drzwiom: Tom zastanawiał się, czy zaprowadzi ją do innego pokoju. Czy chciał, żeby się z nim pomodliła? Ale gestem dał

znak, by nie szli za nim, zostawiając Toma i Rebeccę samych. Żadne z nich nie odezwało się z obawy, że starzec może wrócić w każdej chwili.

Nie było go może przez dwadzieścia sekund, zapewne uprzedził swoich ludzi o odjeździe jego dwojga „gości”.

Kiedy prezydent wrócił, od razu położył rękę na ramieniu dziewczyny i poprowadził ją do okna. Tom widział jedynie ich plecy, ale słyszał, jak starzec mamrocze coś w obcym języku, uznał, że to hebrajski. Sądząc po nisko opuszczonej głowie Rebecki w odpowiedzi, chodziło prawdopodobnie o kondolencje z powodu śmierci ojca, a może nawet o modlitwę. Prezydent zdjął rękę z jej ramienia, żeby móc stanąć przodem do 386

niej, ujął obie jej dłonie w pokazowym geście, jaki politycy zachowują na specjalne okazje. Tom był pewny, że widział tego właśnie człowieka zachowującego się identycznie w czasie podpisywania traktatu pokojowego dwadzieścia lat wcześniej. Padło więcej niesłyszalnych słów pożegnania, a potem Rebeccę i Toma wyprowadzono – zostawili osiemdziesięcioletniego prezydenta Izraela

zapatrzonego w okno, zupełnie samego.

Rozdział 62

Znaleźli się w jego dawnym biurze. To był pomysł Henninga: nowy użytkownik wyjechał do Słowenii w jakichś sprawach powiązanych z Unią Europejską, więc pokój stał pusty.

Kiedy Tom z niego korzystał, wydawał mu się zagracony i ponury.

Półki wykonano z szarego metalu, podobnie jak biurko. Miał wygląd utilitarnego pomieszczenia, które śmiało mógłby zajmować jakiś brygadzysta nadzorujący pracę wydziału fabryki.

Ale Tom nie patrzył na meble. Podobnie jak nie zwracał uwagi na to, że były tu tylko dwa otwory okienne, podczas gdy w pokojach wyższych rangą urzędników, pracujących na końcu tego korytarza, znajdowały się po trzy okna. Teraz patrzył przez okno, ciesząc się wspaniałym widokiem na Chrysler Building, jego ulubiony znak rozpoznawczy Nowego Jorku. Może chodziło o zwykłą ulgę, że ta przedziwna gehenna nareszcie się skończyła, że nie musiał już oglądać się przez ramię, nie musiał bać się, które mieszkanie zostanie zdemolowane następane ani który z kolei stary człowiek będzie martwy. Nie potrafił oderwać oczu od roztaczają-

cej się przed nim panoramy.

Rebecca siedziała za biurkiem na fotelu w grafitowym kolorze, znacznie lepszym od trzeszczącego, obitego skajem szmelcu, który pa-miętał.

– Przez cały czas – powiedział w końcu – szukaliśmy w złym miejscu.

388

Rebecca zmarszczyła lekko brwi. Dwie zmarszczki pojawiły się jej u nasady nosa.

–

Myślałem o nazistach. Tylko na nich potrafiłem się skupić. Kiedy przeczytałem dziennik twojego ojca, nabrałem przekonania, że jedynymi ludźmi, zdolnymi do robienia tego – demolowania mieszkań i łażenia za nami po Londynie – mogą być jacyś starzy zbrodniarze wojenni. Nigdy nie pomyślałbym, że to... ktoś, kto był po jego stronie.

–

Dlaczego niby miałbyś na to wpaść? – Posłała mu uśmiech, który ocieplił nawet tak surowo umeblowane pomieszczenie. – Zresztą może i nie jest z ciebie superdetektyw, ale jesteś cholernie dobrym negocjato-rem. To było fantastyczne posunięcie.

–

Zostawił nam czas do namysłu. Całe to jego gadanie... nie było trudno na coś wpaść. Musieliśmy dać

mu jedynie powód, dzięki któremu nie musiał się nas pozbywać w chwili, gdy dostanie te papiery.

–

Ach, tak. Papiery. – Nadal się uśmiechała. – Co to właściwie za tajemnicze papiery?

Tom ponownie spojrzał w okno.

–

Wiesz, na czym polega kłopot z tobą, Rebecca Merton? Jesteś osobą małej wiary. – Odwrócił się tak, że stanął przodem do niej. – Ma-my w czym wybierać. Może to być plan sieci wodociągowych...

–

Ale one w ogóle się z nim nie łączą.

–

Nie w tej chwili, rzeczywiście. Chyba jednak nie miałabyś problemu z dodaniem kilku słów do pocztówki, a wtedy? Sprytne pogranie z biblijnymi wersami, z których wynika nazwisko naszego starego przyjaciela. W Biblii musi być mnóstwo postaci o takim samym imieniu jak jego.

–

Nie jestem przekonana. A druga możliwość?

–

Notes twojego ojca. Możesz podrobić jego charakter pisma, do-dać kawałek o planie A z opowieścią, jak to teraz sławny Pan X przygotował truciznę. Przekażemy mu tę stronę i plany. Wystarczy tego towaru, żeby nabrał przekonania, że nie blefowaliśmy.

–

Ale przecież blefowaliśmy...

389

–

Ciiii. – Tom położył sobie palec na ustach. – Teraz najważniejsze jest to, żeby sprzątnięcie nas stało się mniej pociągającą możliwo-

ścią. Albo sprzątnięcie mnie. Ciebie nie tknąłby palcem, jesteś „córką człowieka ocalałego z Holokaustu”.

Rebecca ponownie usiadła w fotelu. Wcześniej poszli do Nations'

Café, zaraz po tym, jak wyprowadzono ich z apartamentu prezydenckiego w hotelu UN Millennium Plaza, skąd Tom od razu zadzwonił do Henninga. Chciał poinformować go o wszystkim w możliwie łagodny sposób, ale zaczął gadać jak najęty: o tym, jak on i Rebecca zostali potajemnie przewiezieni do Nowego Jorku, a później pomysłowa doktor Merton zdecydowała się na ostatni pojedynek z biurokracją ONZ i wykorzystując własne kontakty zyskała obietnicę tak ważnego dla niej spotkania z sekretarzem generalnym.

–

Wiem o tym – odpowiedział Henning. – Właśnie odebrałem telefon z biura polityki sekretarza generalnego. – Był wściekły. – Wygrał-

bym tę bitwę, Tom. Sekretarz generalny już wcześniej wpadł na idio-tyczny pomysł spotkania z doktor Merton, a ja to zablokowałem. A teraz moje stanowisko podkopuje interwencja jakiegoś pieprzonego Izraelczyka. Przez ciebie wyszedłem na kutasa.

–

To przez nią wyszedłeś na kutasa, Henning.

–

Wielkie dzięki, to dla mnie ogromna różnica.

Tom próbował uspokoić starego przyjaciela. Przecież dzięki temu sprawa nie będzie nagłośniona. Zakrył dłonią mikrofon i upewnił się, że Rebecca nie chce zdjęć z sekretarzem generalnym. Natychmiast potwierdziła to skinieniem głowy i wyglądało na to, że przeraża ją sama perspektywa spotkania z mediami.

–

Ona się zgadza. Nie będzie tam nikogo, żadnej prasy, żadnych doradców. Sprawa będzie prosta, Henning, i przekonasz się jednocze-

śnie, czy nie ma u was przecieków. Zanim media dowiedzą się o tym spotkaniu, będzie po wszystkim.

Munchau powiedział Tomowi, że jedynym powodem, dla którego nie torpedował bardziej stanowczo tego idiotycznego pomysłu, była wiadomość, jaką otrzymał poprzedniego dnia. Dowiedział się mianowicie, że 390

nowojorska policja zarzuciła prowadzenie śledztwa w sprawie zabójstwa Mertona.

–

Ponieważ to wydarzyło się poza granicami ich jurysdykcji, prokurator generalny oświadczył, że nie doszło do żadnego przestępstwa ściganego z urzędu.

–
Zatem horyzont jest czysty?

–
Tak myślę. Niemniej nadal chcę, żeby podpisała pismo, w któ-

rym zrzekanie się wszelkich roszczeń. Nie mogę pozwolić, żeby potem w cywilnym procesie rzuciła nam w twarz spotkanie z sekretarzem generalnym jako dowód na przyjęcie przez nas odpowiedzialności. I końcową zgodę, że nie nagłośni tego publicznie, nie będzie żadnych wywiadów, niczego.

–
Zaraz przygotuję wstępny tekst – powiedział Tom, potwierdzając własne zdanie o Henningu, którego uważał za jednego z najlepszych ludzi, jakich miała ONZ, broniącego tej instytucji nawet wtedy, gdy jej szef szarżował. Tom poczuł ukłucie wstydu, że tak łatwo zwątpił w przyjaciela.

–
Jestem pod wrażeniem – powiedziała Rebecca, okręcając się na fotelu i przenosząc spojrzenie z Chryslera na Toma. – Dzięki tobie wszystko gładko poszło.

–
Niezupełnie wszystko.

–
Nie?

–
Jest jedno, czego zupełnie nie rozumiem. W Londynie nie miałem chwili, żeby się nad tym zastanowić. I nadal tego nie pojmuję.

–
Czego nie rozumiesz?

–
Ta koperta, którą przyniesiono ci do mieszkania. Lista nazwisk.

Nie wiem, kto mógł to zrobić. Nie mogli to być Izraelczycy albo ktokolwiek z ludzi pracujących dla prezy...

Rozległo się pukanie do drzwi. Henning. Rebecca zerwała się z fotela, przybrała wyraz twarzy właściwy dla córki opłakującej ojca i wycią-

gnęła przed siebie rękę.

Tom przedstawił ich sobie, a Henning od razu przeszedł do rzeczy.

391

Jako prawdziwy profesjonalista nie pozwolił sobie na okazanie, że naprawdę zgrzyta zębami.

–

Pani Merton, sekretarz generalny bardzo docenia gest, jaki pani uczyniła, przychodząc tutaj, dlatego pyta, czy nie zechciałaby pani zobaczyć się z nim od razu, na warunkach, które omówiłem już z panem Byrne'em. – Spojrzał na Toma, który skinął mu głową. – Odwołał swoje dwa następne spotkania. – Uniósł dłoń w geście zachęty do wyjścia.

–

Chwileczkę – odezwała się Rebecca. Zrobiła głęboki wdech. –

Możemy poczekać minutkę?

–

Oczywiście. – Henning rzucił Tomowi kolejne szybkie spojrzenie. Ona chyba nie zacznie płakać, prawda?

Rebecca się opanowała.

–

Nie jestem przyzwyczajona do tego typu spotkań, panie Munchau. Spotkań ze światowymi przywódcami.

Tom spuścił wzrok na podłogę.

–

Z tego, co słyszałem, może się pani pochwalić całkiem dobrymi koneksjami. Mieć po swojej stronie prezydenta Izraela to sporo.

–

Mimo to boję się, że takie wejście do gabinetu sekretarza generalnego, który będzie siedział za wielkim biurkiem, może być dla mnie bardzo onieśmielające. Wie pan, co mam na myśli?

–
Chyba tak.

–
Czy mogłabym się z nim zobaczyć w miejscu, sama nie wiem, mniej oficjalnym? Choć trochę bardziej kameralnym?

–
Oczywiście, doktor Merton. – Munchau ponownie stał się zręcznym dyplomata. – Mogę polecić inne miejsce, które będzie idealne, cał-

kownie odpowiednie na spotkanie tej randze.

–
Będę panu naprawdę wdzięczna.

Wyprostowała się i poprawiła ubranie niczym studentka przed egzaminem. Tom wystąpił naprzód, gotów iść razem z nią. Ale Rebecca podniosła rękę, zatrzymując go.

–
Tom, bardzo mi pomogłeś. Ale to chciałabym zrobić sama.

Tom skinął głową i wycofał się. Henning uśmiechnął się do niego 392

krótko, a potem wyprowadził Rebecę.

– Nie martw się, odstawię ją z powrotem – rzucił z figlarnym błyskiem w oku.

Tom patrzył za nimi, gdy wychodzili, i dyskretnie kiwnął do Rebecki, dodając jej otuchy, a potem rozejrzał się po pokoju, usiłując przypomnieć sobie, jak wyglądał, gdy on w nim urzędował. Teraz znajdowało się tu nawet mniej ozdób niż wtedy. Nowy lokator nie przykleił żadnych zdjęć ani nie przywiązał bandan do półek jako pamiątek z wizyt w jakichś egzotycznych „rozwijających się” piekiełkach, jak to było w stylu kolegów z tego korytarza.

Przytłoczyły go smutne wspomnienia, ciągnęły w dół niczym za-rdzewiały ciężarek na żyłce wędkii. To w tym pomieszczeniu pracował.

To tu czytał zeznania, jedno po drugim, relacjonujące szczegółowo naj-straszliwsze zbrodnie wojenne, za każdym razem w innym języku.

Zmieniały się nazwy miejsc. Ale historia była taka sama: ścinające krew w żyłach opowieści o ludzkim okrucieństwie.

Początkowo reagował w ten sam sposób: odrazą, złością, okropnym, dołującym smutkiem. Ale po Ruandzie już tego nie odczuwał. W końcu wszystkie te emocje pobudził do granic, gdy służył trybunałowi w Ruandzie, i co dobrego z tego wyniknęło? Ilu zbrodniarzy zostało uznanych za winnych i skazanych? Dwudziestu sześciu.

Po tym przestał czytać relacje. Kartkował zeznania poszczególnych ludzi i przechodził od razu do końcowych wniosków. Tak samo postąpił

w przypadku dokumentów z Darfuru, które trafiły na jego biurko. Nauczył się omijania wzrokiem opowieści naocznych świadków, jednostkowych studiów przypadku, i szukał po prostu suchych faktów na końcu strony. Po co to czytać? Wiedział, do jakich potworności zdolny jest człowiek. I co gorsza, miał świadomość, że nikt – nawet kanonizowana pieprzona Organizacja Narodów Zjednoczonych – nie mógł nic zrobić w tej sprawie.

Tom musiał teraz przygotować wstępną umowę do podpisania dla Rebecki i Henninga. Usiadł przy biurku, włączył komputer. Urządzenie 393

domagało się nazwiska użytkownika i hasła: jego stare dane nie przeszły.

Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie kod „administratora systemu”, zdradzony mu przez Henninga, kiedy pewnego razu przyszło im włamać się do sprzętu kolegi, który pojechał na wakacje, tylko że zapomniał

wysłać im wcześniej brudnopis tekstu, nad którym pracował. Wklepał

hasło „U Thant” – nazwisko byłego sekretarza generalnego – i tak zalogował się dzięki sentymentalizmowi wydziału informatycznego Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Otworzył dokument w Wordzie i wpisał pierwsze zdanie, ale zaraz potem się zawahał. Kolejna lekcja od Henninga: jeśli robisz coś naprawdę poufnego, nie korzystaj z wewnętrznej sieci ONZ. Tam każdy ma dostęp do wszystkiego. A jeśli głównym celem Munchaua było unikanie jakiegokolwiek rozgłosu, nie było sensu ryzykować przecieku. Postanowił ręcznie napisać wstępny tekst umowy.

Sięgnął do kieszeni marynarki, ale nie znalazł tam długopisu. Może zabrano mu go w czasie lotu, gdy był nieprzytomny. Albo zostawił go w szpitalu.

Na blacie biurka nie leżało nic do pisania, a szuflady okazały się zamknięte. Spozrzegł torebkę Rebecki: zostawiła ją na fotelu razem z płaszczem.

Z poczuciem winy wstał, żeby do niej zajrzeć. Nigdy nie lubił grzebać w damskich torebkach: za bardzo przypominało to przeglądanie matczynej portmonetki. Otworzył ją szybkim ruchem, zobaczył wieczne pióro i złapał. W drukarce laserowej było trochę papieru, wziął dwa arkusze i zasiadł do pisania.

„Umowa pomiędzy” – przesuwając stalówką bez zostawiania śladu.

Wstrząsnął piórem, ale atrament nadal nie popłynął. Odkręcił obsadkę i znalazł tam wyjaśnienie: nie było naboju z atramentem.

Może odłączył się i wpadł dalej do obsadki. Tom ustawił pióro pod światło i przekonał się, że coś rzeczywiście tkwiło w środku – ale od razu zorientował się, że nie jest to nabój z atramentem.

394

W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś rodzaj papierosa, może nawet narkotyki. Po tym, co usłyszał w apartamencie prezydenckim, nic już by go nie zdziwiło. Tom popukał obsadką o blat biurka i to coś wylecia-

ło. Nie papieros, ale starannie zrolowana karteczka – może dwie – papieru.

Nie potrzebował więcej niż sekundy, by pojąć, na co patrzył. Kiedy rozwinął je na płask, do rozmiaru normalnej kartki, natychmiast rozpoznał słabo widoczne pismo. Tego charakteru nie dało się pomylić z innym.

Przebiegł wzrokiem po słowach.

Dostałem listę nazwisk i pracowałem nad nią metodycznie. Nie mogłem dostać się do nich wszystkich naraz. Niektórzy z tych ludzi zamieszkali bardzo daleko, dobrze się ukryli. Każda misja wymagała dokumentów, nowego paszportu, pieniędzy i dobrej przykrywki. W San Sebastián w Hiszpanii udawałem turystę. Śledziłem przez całe dni Joschkę Dorfmana, starszego oficera SS z Treblinka, zanim nadarzyła mi się okazja „zobaczenia się” z nim, gdy nie był z żoną. Ona wróciła z zakupów i przekonała się, że mąż nie ucina sobie popołudniowej drzemki, jak obiecał. Zamiast tego zwisa z sufitu w ich pokoju hotelowym...

Tom czuł, jak w głowie zaczyna mu pulsować. Zatem to były brakujące strony z notesu Gerszona Matzki. W ogóle ich nie brakowało.

Rebecca miała je przez cały czas. Przez cały czas znała prawdę o życiu ojca. Wiedziała o DIN.

No jasne, że wiedziała. Co Julian Goldman powiedział, kiedy Rebecca przedstawiała ich sobie? „Nigdy nie spotkał pan ojca i córki, którzy byliby tak blisko ze sobą związani. Tworzyli prawdziwą rodzinę, mimo że było ich tylko dwoje. Dwuosobowa rodzina”. To była para, ci Mertonowie, razem pracowali.

Ale Tom był tak oślepiiony uczuciami, czułością wobec niej i pożądaniem, że nie dostrzegał rzeczy oczywistych. Cokolwiek Gerald Merton planował, Rebecca Merton była jego zaufaną współpracowniczką.

395

Ale przecież była równie zaszokowana jak on, gdy siedzieli w biurze Henry'ego Goldmana i słuchali jego opowieści. Na pewno? Miał przebłysk wspomnień, krótki i ulotny. Już wtedy zastanawiał się nad tym, ale ta chwila szybko minęła. Coś zaczęło mu świtać dopiero wtedy, gdy przypomniał sobie kłótnię w jej mieszkaniu tuż po powrocie od Goldmana. Narzekała na starego prawnika

„opowiadającego nam rzeczy, o któ-

rych i tak wiemy”. O których i tak wiemy.

Czy cała ta sprawa była szaradą, jedną wielką komedią? Rebecca musiała podjąć taką decyzję od samego początku, wrywając kartki z notesu ojca na długo przedtem, zanim wsunął go do teczki. Zrobiła to prawdopodobnie w chwili, gdy dowiedziała się o śmierci ojca.

Niemniej on i tak odkrył prawdę, dowiedział się o DIN i dokonywanej zemście, widział dowody na własne oczy, przechowywane w pudle w kancelarii Juliana Goldmana. Poszli tam od razu po odebraniu tajemniczej koperty.

Oczywiście. Nic dziwnego, że nie udało mu się ustalić, kto przysłał

tamtą wyblakłą, podniszczoną listę nazwisk. To był fragment układanki, który do niczego nie pasował. Osobą, która wysłała ten list – przez posłańca, w nieostemplowanej kopercie – była sama Rebecca Merton. Wyobraził ją sobie, zaklejając kopertę, a potem pokazującą „znalezisko”, jakby pojawiła się znikąd. Bardzo sprytnie to wymyśliła, znikając mu z pola widzenia i ukrywała albo wyciągnęła kluczowe wskazówki, które zdradziłyby tajemnicę jej ojca. Bez wątpienia chciała skierować Toma na ścieżkę DIN – bez ujawnienia, ile naprawdę sama wiedziała.

Ale po co? Po co prowadziła taką bezsensowną grę, udając, że nie wie o rzeczach, w których się doskonale orientowała?

Wrócił myślami do spotkania z Sidem Steinerem, do niemal absurdalnych sposobów, jakimi się posługiwali, najpierw, by go odszukać, a potem by pobudzić jego pamięć. Rebecca wydawała się wtedy nie mniej zbита z tropu niż Tom, desperacko chciała dowiedzieć tego, co Sid pamiętał. Podobnie zachowywała się w trakcie ostatniej wizyty w mieszkaniu ojca, gdzie ukryte papiery za obrazem z *Alef* okazały się dla niej 396

odkryciem takim samym jak dla niego. Czy to wszystko była gra? A może sprawa jest bardziej skomplikowana? Czy Rebecca знаła jedynie część dziwnego, pełnego morderstw życiorysu Gerszona Matzkina?

Tom przetarł oczy, zmuszając się do koncentracji. Popatrzył na leżą-

ce przed nim pokryte ręcznym pismem kartki. Było jasne, przynajmniej opierając się na tych wydartych stronach, że Gerszon Matzkin najwyraź-

niej uważał swoje zadania jedynie za wykonywanie wyroków na poszczególnych osobach – polował na precyzyjnie zlokalizowanych ludzi, którzy kiedyś, zaledwie przed kilku laty, stanowili część zbrodniczej maszyny hitlerowców. Nie było tam żadnych odniesień do piekarni w Norymberdze i spisku wodociągowego. Tom nastawił się na szukanie nazwiska mężczyzny, z którym spotkali się kilka godzin wcześniej, prezydenta Izraela. A jeśli Rebecca miała dowody o zasadniczym znaczeniu, dowody, które Tom mu obiecał w czasie negocjowania ich bezpieczeń-

stwa, a których istnienie po prostu wymyślił, żeby móc blefować? Jeśli takie dowody naprawdę

znajdowały się tutaj, zrolowane w jej wiecznym piórze? Ale nigdzie nie wypatrzył nazwiska Izraelczyka. Człowiek, który sprawował teraz urząd prezydenta Izraela; podobnie jak plan A, plan B nie był wymieniany w dzienniku Gerszona Matzkina.

Atrament na ostatniej stronie miał intensywniejszy kolor, był znacznie świeższy, a pismo nierówno rozmieszczone na papierze. Każdy by zgadł, że dopisano to zdecydowanie później, po zakończeniu zapisków.

Gerszon pisał niepewną ręką starego człowieka.

Działalność DIN zakończono wiele lat temu. Przez prawie czterdzie-

ści lat nikt z nas nie podjął się żadnego więcej zadania. Usiłowaliśmy sprzątnąć Mengele, ale jak wiadomo, nie udało się nam. Zbliżyliśmy się do niego, ale nie na wystarczającą odległość.

Rebecca, obiecałem sobie – dla dobra Twojego i naszej rodziny – że przestanę. I dotrzymałem danej Ci obietnicy. Przez wszystkie te lata byłem jedynie normalnym, kochającym Cię ojcem. Przynajmniej się starałem.

397

Ale bardzo dawno temu złożyłem jeszcze jedną obietnicę, obiecałem coś młodej kobiecie, równie pełnej życia i pięknej jak Ty dzisiaj. Nigdy nie myślałem, że będę miał szansę dotrzymać danego jej słowa. Myśla-

łem, że jest za późno.

Teraz mam okazję i nie mogę jej przepuścić. Dlatego właśnie lecę do Nowego Jorku. Jeśli chcesz to zrozumieć, musisz zrobić, co mówię, i pamiętać – Kadish.

Rozdział 63

Tom miał wrażenie, jakby ktoś podłączył mu mózg do prądu, jakby za chwilę miały mu eksplodować połączenia nerwowe. Próbował upo-rządkować nagle spiętrzoną, nową wiedzę. Wszystko wskazywało na to, że Rebecca nie tylko wiedziała o przeszłości ojca jako zabójcy z DIN, ale znała też cel jego podróży do Nowego Jorku. Spotkanie z Rosjaninem i pistolet ukryty w łazience pokoju w hotelu Tudor były rzeczywiście tym, czym się wydawały. Gerald Merton, siedemdziesięciosześcioletni Gerald Merton, przyjechał do Nowego Jorku, żeby zabić. A jego córka, która ukryła tę informację w wiecznym piórze, wiedziała o tym przez cały czas. Jej numer znajdował się w jego telefonie: może nawet powiadamiał

ją na bieżąco o czynionych postępach. Nic dziwnego, że nie chciała dzwonić na policję po włamaniu do jej mieszkania; nic dziwnego, że ledwie wspomniała o ewentualnym wytoczeniu procesu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Starła się nie zachęcać nikogo do zagłębiania się w historię, którą znała aż za dobrze.

Teraz Tom był pewien jednego: Rebecca Merton wiedziała, kogo jej ojciec przyjechał zabić. Ale kto w takim razie był jego celem?

Czy mogło chodzić o izraelskiego prezydenta? Czy wiekowy polityk, którego przecucie praktycznie się spełniło po tak długim czasie, prawidłowo odczytał intencje Gerszona? Może to była ta „okazja”, którą Gerald musiał wykorzystać, czyli wizyta prezydenta w Nowym Jorku.

399

Ale to nie miało sensu. Izraelczyk udzielał się publicznie w polityce od wielu, wielu lat. A Gerszon Matzkin był pierwszorzędnym zamachowcem; jeśli chciałby zemścić się za zdradę Arona, miałby nieskoń-

czenie wiele sprzyjających sytuacji – znacznie łatwiejszych niż branie na cel głowy państwa na terenie pilnie strzeżonej siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Poza tym fragment z notesu na pewno nie odnosił się do Arona. Gerszon wspominał w nim o obietnicy danej „młodej kobiecie”. Czy chodzi-

ło o Różę, jego mroczną pierwszą miłość i towarzyszkę z początków DIN? Ale nie istniał żaden określony związek między nią a Izraelczykiem, za który mógłby się mścić, w każdym razie stary polityk o niczym takim nie wspominał. A chyba nic nie ukrywał.

Tom spojrział w dół na wydartą kartkę, która sama zwinęła się w rulon i rozprostował ją ponownie. Przeczytał ją kolejny raz, zatrzymując się dłużej przy ostatnim zdaniu.

Jeśli chcesz to zrozumieć, musisz zrobić, co mówią, i pamiętać – Kadish.

Dopiero teraz Tom zorientował się, że było tam jeszcze jedno słowo napisane w nawiasach, ółówkiem, które przeoczył za pierwszym razem.

Najprawdopodobniej odnosiło się do czasu lub ruchu, było niewyraźne: (*marzec*) albo (*marsz*). Niewykluczone, że Gerszon napisał te zdania zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

Tom popatrzył znowu na ostatnią linijkę napisaną atramentem i zdał

sobie sprawę, że widział ją już wcześniej. Była na kartce przypiętej do korkowej tablicy Rebecki, napisana ręką jej ojca. Wyjaśniła mu wtedy, że chodziło w niej o żydowską modlitwę za zmarłych. Przypomniał sobie, jak bardzo wtedy go to poruszyło, jakby dopiero co zmarły Gerszon Matzkin prosił zza grobu o pamięć. Wytłumaczenie Rebecki było mniej melodramatyczne: miało to być proste życzenie ojca, by modliła się za zmarłą matkę.

400

Jednak tu ton był bardziej nagły. Sugerował, że ów Kadish w jakiś sposób objaśnia nowojorską misję Gerszona: *Jeśli chcesz to zrozumieć, musisz zrobić, co mówię...*

Tom przejrzał jeszcze raz obie kratki. Pismo było tak niewielkie, że nie dawało się szybko czytać. Wrócił do opisu zabójstwa Dorfmana w San Sebastián, odcyfrowując litery mówiące o zostawieniu powieszono-go nazisty w hotelowym pokoju i wyminięciu żony Dorfmana, która wchodziła do holu hotelu, nie mając pojęcia, jaki widok ją czeka. Charakter pisma stawał się niewyraźny, ale mrużąc oczy, Tom czytał dalej.

Po załatwieniu Dorfmana poszedłem na wybrzeże, podniosłem jeden kamień i odmówiłem kadisz za wszystkich Żydów z Treblinki. Wtedy po raz pierwszy odmówiłem kadisz od czasu, gdy byłem dzieckiem w Kownie, gdzie nauczyłem się tej modlitwy za ojca. Nie zapomniałem jej.

Zyskał potwierdzenie: kadisz był dokładnie tym, co powiedziała mu Rebecca, modlitwą za zmarłych. Tom oparł się plecami o fotel, zamknął

oczy i objął głowę dłońmi. O co, do licha, mogło chodzić Gerszonowi: *Jeśli chcesz to zrozumieć, musisz zrobić, co mówię, i pamiętać – Kadish.*

I wtedy doznał olśnienia, które sprawiło, że dostał gęsiej skorki. Pró-

bował się uspokoić. To prawdopodobnie nie było nic takiego, zwykły błąd. Ostatecznie dodatek został napisany całkiem niedawno. Gerszon miał już dobrze ponad siedemdziesiąt lat i pomylił się, jak to stary człowiek.

Ale różnica była jasna. Kiedy Gerszon miał na myśli modlitwę pisał

wyraz przez „sz”: kadisz. Ale tu, w ostatniej notce użył „sh” i dużej litery: Kadish. I tak samo zostało to zapisane na kartce przypiętej do tablicy.

Kadish.

Powoli, z trzęsącymi się dłońmi, obrócił się z powrotem do klawiatury komputera. Otworzył wyszukiwarkę internetową, naprowadził kursor na pole do szukania i wstukał te sześć liter. W jednej chwili na Google potwierdziły się jego przypuszczenia.

401

„Czy chodziło Ci o: kadisz?”

Potwierdził i zobaczył serię linków do „żydowskiej modlitwy za zmarłych” i tym podobnych. Dlatego wrócił do poprzedniego wpisu:

„Kadish”.

Liczba wpisów wydawała się niewielka: profesor elektrochemii z Indiany, nauczyciel gry na gitarze basowej z Teksasu, urzędnik federalny z Waszyngtonu. Spodziewał się czegoś jasno i wprost powiązanego z Gerszonym Matzkinem i DIN.

Świadomy, że będzie to prymitywne, wpisał do okienka szukania:

„kadish holokaust”. Jeśli to ograniczenie wyszukiwania nie zadziała, postanowił wrócić do poprzedniego tropu – przyjąć, że Gerald Merton popełnił błąd ze starości i źle napisał to słowo. Kliknął na „Szukaj w Google” i poczuł, jak krew zaczyna mu szybciej krążyć.

Wszystkie linki robiły wrażenie powiązanych. Jakiś artysta malarz, nazywający się Reuben Kadish, stworzył prace mówiące o holokauście; może Gerszon miał jeden z jego obrazów, może ukrył tam jakieś papiery, podobnie jak zrobił w przypadku płótna z *Alef*. Znalazło się tam kilka więcej wpisów dotyczących tego malarza, w tym wystaw i nagród.

Ale to, co Tom przeczytał po tych linkach, umieszczone w połowie ekranu, wywołało w nim dreszcz. Była to strona po angielsku.

GEORGE KADISH – WIKIPEDIA, WOLNA ENCYKLOPEDIA.

GEORGE KADISH ([ZVI] HIRSZ KADUSZIN) BYŁ LITEWSKIM ŻYDEM, FOTOGRAFEM DOKUMENTUJĄCYM ŻYCIE W KOWIEŃSKIM GETCIE W CZASACH HOLOKAUSTU, W OKRESIE MASOWEGO LUDOBÓJSTWA DOKONYWA-NEGO PRZEZ NAZISTÓW...

Przeczytał to dwukrotnie, by się upewnić, że w stanie rozgorączkowania nie wyobraził tego sobie. Ale najważniejsze słowa nadal tam widniały. Nie zniknęły w jakimś halucynacyjnym omamie: „życie w kowieńskim getcie”.

402

Tom zaczął klikać nerwowo i przeskakiwać ze strony na stronę. Dowiedział się, że Kadish trzymał pod połą płaszcza zrobiony w domu aparat fotograficzny i z ukrycia fotografował Żydów współwięzionych z nim w getcie. Teraz ekran wypełniły zdjęcia zrobione przez Kadisha.

Dwóch chłopców, maluchów, niemających więcej niż po trzy latka, siedzących na poprzecieranej poduszce przy brudnej, popękanej ścianie, ich buzie były równie umorusane, jak buzie wszystkich dzieci gdziekolwiek.

Ale te dzieci miały przyszyte na piersiach bardzo duże w stosunku do ich wzrostu żółte gwiazdy, zakrywające im serca.

Zdjęcia następowały po sobie. Para młodych ludzi wyglądających, jakby byli zaręczeni – oni także mieli żółte gwiazdy. Żydzi pchający wózki w śniegu, z całym dobytkiem upakowanym na nich w tobołkach, wszyscy z żółtymi gwiazdami. Podpis: „Przesiedlanie do getta w Kownie. Zdjęcie wykonał: George Kadish”. Tom przypomniał sobie dopisek Gerszona w nawiasie, zrobiony ołówkiem: (marzec) lub (marsz). Spojrzał na daty: może najważniejsze zdjęcia będą oznaczone, jako zrobione w marcu 1942 roku. Ale większość nie miała dat.

Teraz Tom znalazł się w sektorze strony internetowej Kowna, zatytu-

lowanej po prostu: IX Fort. Było tam zdjęcia Kadisha przedstawiające Żydów zgromadzonych na placu, „ostateczny przegląd”, jak wyjaśniał

podpis, zanim zabrano ich do IX Fortu. Na innym widać było skupisko mężczyzn i kobiet ubranych w prawie nierozróżnialne łachmany, także ich twarze nie można było rozpoznać, na nieostrej czarno-białej fotografii. Napisano tam, że to Żydzi wewnątrz IX Fortu „po przyjeździe i przed egzekucją”.

Tom klikał gorączkowo, jakby wiedział, czego szuka, choć tak nie było. Przeczuwał jedno: że cokolwiek miał znaleźć, nie dojrzy tego w twarzach ofiar. Gerszon Matzkin przyjechał do Nowego Jorku, by dokonać ostatniego zabójstwa. Jego celem nie był nikt z ludzi, których pożar-

ły płomienie, ale ktoś, kto podłożył ogień.

403

Kolejne zdjęcie przedstawiało samego Kadisha, o ponurej twarzy, zawziętego, w czapce z daszkiem – takie nosili radykalni elegancyści studenci w Manchesterze w czasach, kiedy Tom studiował – trzymającego prosty aparat fotograficzny na chwilę przed uniesieniem go do oczu.

Tom miałby ochotę przyjrzeć się bliżej temu mężczyźnie, naocznemu świadkowi zdarzeń, utrwalonych przez niego dla przyszłości, ale nie miał

na to czasu.

Przeglądał następne fotografie, aż jedna z nich przyciągnęła jego uwagę. Podpisaną ją jako: „Marsz. Funkcjonariusze litewskiej policji prowadzą Żydów na śmierć w IX Forcie”.

Krew zaczęła mu pulsować w żyłach w szaleńczym tempie. Na tym zdjęciu również nie było daty. Ale była zatytułowana jako „Marsz”. Na pewno o tej fotografii myślał Gerszon to właśnie o jej zapamiętanie prosił córkę. Widać było na niej Żydów maszerujących w nierównych kolumnach, o tym zresztą, że byli to Żydzi, świadczyły jedynie złachmany i twarze pełne rezygnacji. Na przedzie i po bokach tej ludzkiej cizby szli litewscy policjanci w czarnych marynarkach. Nie można ich było pomylić z resztą, bo w rękach mieli pałki, a na rękawach opaski z jakimś symbolem. Trudno było go odcyfrować, ale na pewno miał coś wspólnego z nacjonalizmem. Większość z nich się uśmiechała.

Wzrok Toma powędrował ku lewej stronie zdjęcia. Stało tam dwóch mężczyzn, jeden wyższy od drugiego, ten pierwszy najwyraźniej aż ja-

śniał z dumy. Patrzył na człowieka stojącego obok, który po bliższym przyjrzeniu okazał się właściwie jeszcze chłopcem, może był jego synem

– wysokim, smukłym nastolatkiem. Młody człowiek wymachiwał pałką.

Trzymał ją uniesioną, mniej więcej na wysokości ucha. Jedną stopę miał

wysuniętą do przodu, niczym zawodnik krykieta szykujący się do uderzenia. Tyle że jego celem nie była piłka, nawet jeśli uprawiał coś, co można nazwać sportem. Nastolatek bowiem zamierzał uderzyć jednego z Żydów maszerujących na śmierć. Miał za chwilę opuścić pałkę na głowę jakiegoś Żyda i gdyby migawka zamknęła się moment później, na filmie utrwaliłoby się roztrzaskiwanie

Nie wiedzieć czemu Tom miał pewną trudność z percepcją tego, co widział. Jego mózg jakby wiedział, co przedstawia obraz, zanim oczy na nim spoczęły. Kiedy Tom przeniósł w końcu wzrok z pałki na twarz młodego napastnika, miał wrażenie, jakby potwierdzał jedynie to, co szósty zmysł już dawno mu podpowiadał. Nie mogło być mowy o po-myłce. Twarz była wyraźnie widoczna, ostra. Fakt, że minęło tyle lat, nie miał znaczenia, to była ta sama twarz. To była ta sama osoba.

Tom poczuł dreszcze na całym ciele. Wpatrywał się w zdjęcie, jakby w nadziei, że w jakiś sposób sam akt patrzenia zmieni to, co widział. Ale obraz pozostawał ten sam. Miał przed oczami chłopaka, który stał się mężczyzną, nawet jeśli obaj pochodzili z dwóch różnych epok, bardzo dawnej i współczesnej. Dwaj ludzie, a mimo to nie miał najmniejszych wątpliwości, że chodzi o tego samego człowieka.

I wtedy przypomniał sobie: Rebecca

Rozdział 64

Tom wybiegł z pokoju, najpierw ruszył w stronę wind, a potem, za-stanowiwszy się chwilę, ku schodom przeciwpożarowym: schody mini-malizowały ryzyko, że wpadłby na kogoś, kogo znał.

Zbiegł po schodach tak szybko, jak mógł, trzymając się poręczy, przeskakiwał po trzy, cztery stopnie i lądował na podestach. Wyłonił się z drzwi wyjścia awaryjnego na trzecim piętrze i wmieszał w kłębiący się tam tłumek, nie zwracając na siebie uwagi. Nie mógł pozwolić sobie na bieg; zbyt rzucałby się wtedy w oczy. Zamiast tego szedł energicznym krokiem, minął kiczowate prezenty maoistów z Chin, przeszedł obok szklanej gabloty z tradycyjną tajską łodzią wykonaną z jednej kłody drewna. Zszedł schodami na drugie piętro, ignorując zupełnie wystawę ze stopionymi butelkami i zwęglonymi monetami, upamiętniającą Hiro-szimę. Jeszcze jedno piętro w dół i znalazł się nareszcie przy wysokich do sufitu witrażach Chagalla, z jego bladymi księżycami i upiornie nie-bieskimi, zrozpaczonymi matkami tulącymi okutane niemowlęta. Nazywali je Oknem Pokoju, ale Tom zawsze uważał, że ono wieje smutkiem wojny.

Przystanął, oddychając ciężko. W tym miejscu nie kręcili się żadni turyści, był sam. Przywiodło go tu jedynie przecucie. Rebecca poprosi-

ła, czy Henning nie mógłby zorganizować jej spotkania w bardziej kameralnym, nie tak „oficjalnym” miejscu. O ile znał Henninga, a znał, Niemiec powinien przyprowadzić ją tutaj.

Nazywali to pomieszczenie kaplicą medytacyjną. Był to zwykły ciemny pokój, bez symboli religijnych, świętych tekstów, książek czy w ogóle dzieł sztuki. Zaplanowano go jako „wielowyznaniowy”, nawet jeśli oznaczało to pozostawienie dosłownie pustej przestrzeni. Postawiono tam ławki, ale rzadko ktoś na nich siadywał. Tom przyszedł tam raz czy dwa, w tym

pamiętnej nocy po lekturze wyjątkowo strasznych zeznań naocznych świadków. Ale większość pracowników ONZ pracowała w tej instytucji przez dwadzieścia lat i nawet nie wiedziała o istnieniu tej kaplicy.

Ale nie Henning. Był jednym z tych, którzy opowiadali się niezachwianie za tym, żeby przy wejściu do tego miejsca upamiętniano ludzi, którzy polegli w służbie ONZ. Umieszczono tu tablicę z nazwiskiem hrabiego Bernadotte zabitego w zamachu terrorystycznym w Jerozolimie, a także porwaną flagę z misji Organizacji Narodów Zjednoczonych w Bagdadzie, gdzie podłożono bombę w 2003 roku. Przynajmniej dla Henninga ta kaplica coś znaczyła. Poza tym doszedł prawdopodobnie do wniosku, że taka lokalizacja zapewni ONZ rodzaj moralnie czystego gruntu na spotkanie z Rebeccą.

Tom starał się uspokoić. Nie miał pojęcia, co tu zastanie. Chciał się zastanowić, wymyślić, co powie albo zrobi, ale nie miał na to czasu.

Wszedł przez otwór w ścianie, bo nie było tu drzwi, i od razu wiedział, że się nie pomylił.

Byli tam oboje – on i Rebecca. Bez żadnych innych osób, zgodnie z obietnicą Henninga. Żadnych asystentów, żadnych doradców – dokładnie tak, jak zażądał Tom. On i ona, sami, twarzą w twarz.

Zmiana w natężeniu światła spowodowała, że oboje się obrócili, kiedy Tom się zbliżył. Tom spostrzegł przerażenie Rebecki – była zaskoczona albo zmieszana, nie umiał powiedzieć – ale nie zatrzymał na niej wzroku. To nie na nią chciał popatrzeć.

Zamiast tego wbił wzrok w rysy mężczyzny. Tom nigdy z nim nie pracował. Powołano go długo po tym, jak Tom ruszył na podbój świata korporacji. Ale jego twarz stała się znana przez kilka ostatnich tygodni 407

przynajmniej dla tych, którzy śledzili wydarzenia w tym miejscu. Pisano o nim w gazetach, pokazywano w telewizji. Wysokie czoło, zaczesane do tyłu, srebrno-siwe włosy, szerokie usta i ostry nos. Był wysoki, ubrany w elegancki, szyty na miarę garnitur i nieskazitelnie zawiązany krawat.

Ale nie podobieństwa tego człowieka do obrazu pokazywanego w telewizji Tom starał się doszukać. Porównywał raczej tę twarz, którą widział przed sobą, ze zdjęciem oglądanym pięć minut wcześniej na monitorze komputera. Czy mógł mieć wątpliwości? Nawet w półmroku Tom zyskać pewność, że nie. Zeznałby pod przysięgą, że mężczyzna, na któ-

rego patrzy i nastoletni faszystowski nazistowski kowieńskiego IX Fortu to ta sama osoba. Wiedział, że gorliwy uczestnik masakry Żydów w tamtym mieście, mało znaczący, ale równie zbrodniczy współsprawca największej zbrodni XX wieku, stał przed nim jako sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Rozdział 65

Tom, odejdz. To nie ma z tobą nic wspólnego. – Ton głosu Rebecki był inny, nigdy takiego nie

słyszał. Na dodatek było w nim coś jeszcze. Nie tylko złość, ale i niepokój. Mięśnie wokół jej ust wydawały się drżeć.

—

Porozmawiaj ze mną, Rebecca. Co tu robisz?

—

Mówię poważnie, Tom. – Usilnie panowała nad sobą, powstrzymując się od krzyku. – Odwróć się po prostu i odejź.

Tom spojrział na Paavo Virena, który stał niczym słup soli w garniturze. Po raz pierwszy Tom mógł przyjrzeć się jego twarzy, która zazwyczaj przybierała wyraz typowy dla męża stanu, ale teraz była trupio blada i wymizerowana.

—

Rebecca, widziałem zdjęcia. „Pamiętaj – Kadish”.

—

Zatem już wiesz?

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, w trwającej mgnienie oka chwili, że jednak był pewny jej niewiedzy. Chciał, żeby nie wiedzia-

ła. Wmówił sobie, mimo stron wetkniętych do wiecznego pióra, że nigdy tak naprawdę nie rozumiała wiadomości zostawionej przez ojca, że nie widziała zdjęć zrobionych przez George'a Kadisha. Uparł się – co teraz pojmował – przy ślepej wierze, że Rebecce zależało na spotkaniu z sekretarzem generalnym, ponieważ jedynie chciała usłyszeć oficjalne przeprosiny za zabicie jej ojca. W końcu przejrzał na oczy. Skinął głową do Rebecki.

409

—

Tak, wiem.

—

Przepraszam, Tom. Naprawdę mi przykro.

—

Nie musisz za nic przepro... – Urwał w pół słowa. – Och, rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem, Rebecca.

–
Nie jest tak, jak myślisz, Tom.

–
Czy właśnie o to chodziło w tym wszystkim? Czy tylko tym by-
łem dla ciebie, wejściówką do tego miejsca?

–
Przestań, Tom.

Umysł zalewały mu fale zupełnie nowych wniosków, pojawiających się jeden po drugim. Najpierw chciała go splawić, a potem niespodziewanie złagodniała, zaczęła prosić go o pomoc. Wtedy wydawało mu się, że wystraszyło ją włamanie do mieszkania. Teraz wiedział już, że po prostu dostrzegła jedno: z Tomem u swego boku zyskiwała większe szanse na przeniknięcie do samego centrum Organizacji Narodów Zjednoczonych, zbliżenie się do sekretarza generalnego – co oznaczało jednocześnie możliwość dokończenia misji, w której realizacji przeszkodził jej ojcu.

Przypomniawszy sobie jej pocałunek: doszło do niego, gdy powiedział

jej, że nie tylko rozumiał, co robił jej ojciec i DIN, ale całkowicie to popiera. „Biorąc pod uwagę to wszystko, co się im przydarzyło. Mieli rację, nie było innego sposobu wymierzenia sprawiedliwości”. Może właśnie w tamtym momencie przestała się pilnować, dostrzegła w Tomie bratnią duszę, towarzysza w dokonywaniu zemsty. Niewykluczone, że była bardziej wyrachowana. Może doszła do wniosku, że aby absolutnie polegać na Tomie, który miał ją wprowadzić do siedziby ONZ, musiała najpierw zmącić jego osąd sytuacji...

Kiedy zaczęła go zwodzić? Czy stało się to w chwili, gdy przedstawił

jej dowody na spotkanie Geralda Mertona z Rosjaninem i odkrycie broni zamachowca? To wtedy wcisnęła mu w rękę notes ojca i kazała go przeczytać. Przyjął, że chodziło jej o zmuszenie Toma i ONZ do wycofania zarzutu, jakoby jej ojciec był zabójcą. Ale wyrwała najważniejsze strony; już w tamtym czasie z nim pogrywała.

410

A włamanie? To z pewnością wtedy zrozumiała, że sprawa wykracza znacznie poza możliwości jej i ojca i rzeczywiście potrzebna jej konkretna pomoc. A kto lepiej nadawałby się do tego, jak nie mężczyzna, który wiedział tylko tyle, ile mu wyjawiała – mężczyzna, za którym stała Organizacja Narodów Zjednoczonych i który mógł doprowadzić do tego, by zmierzyła się ze swoim celem?

–
Ile jeszcze osób wie o tej absurdalnej historii? – Paavo Viren cofnął się o krok i wyprostował,

usiłując przejąć inicjatywę. Akcent plasował go gdzieś pomiędzy Skandynawem a międzynarodowym dyplomata, mówił angielskim z rodzaju globalnego *lingua franca*, który wchłonął wszelkie możliwe naleciałości z innych języków.

—

Nikommu o tym nie mówiłam – odpowiedziała Rebecca. – Tom sam do tego doszedł. Jak powiedziałam, to sprawa między panem a mną.

— Obróciła się do Toma i wzrokiem chciała zmusić go, żeby wyszedł.

—

Ponieważ pan Byrne jest tutaj – odezwał się ponownie Viren –

może wyjaśni mu pani, czego właściwie pani chce, bo dla mnie to nadal niejasne.

Rebecca pochyliła się w jego stronę.

—

Chcę, żeby powiedział mi pan prawdę. Tylko tyle musi pan zrobić. Po tylu latach jest za późno na cokolwiek innego. Ale należy się to ofiarom. Przynajmniej na tyle zasługują.

—

Żąda pani ode mnie spowiedzi, w tej kaplicy? – Prychnął drwią-

co. – Czy jest pani kimś w rodzaju księdza?

—

Powiedziałam panu, mamy dowody. Istnieje pańskie zdjęcie, na którym widać, jak zagania pan Żydów na śmierć w Dziewiątym Forcie.

Nikt nie zwrócił na nie wcześniej uwagi, bo pańska twarz nie była znana, w każdym razie nie tym ludziom, których to obchodziło. Ale teraz jednak to zdjęcie stało się bardzo ważne.

—

Znam to zdjęcie. – Przerwał na chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko, ale nie było w tym wesołości. – Jest pani zaskoczona, tak? Oczywiście, że je widziałem, ale nic więcej. Pomysł, żeby uznać je za dowód, jest żaloszny. Jesteście za młodzi, żeby pamiętać proces Demianiuka, 411

panno Merton. Ale może pan go pamięta, Byrne?

Viren obrócił się do Toma. Zastosował znany mu manewr przekabacenia na swoją stronę mniej

ważnego oponenta przeciwko głównemu przeciwnikowi. Chciał, by Tom wystąpił z nim przeciwko Rebecce.

—

Pamiętam.

—

Nazywali go Iwanem Groźnym. Jakiś mechanik samochodowy z Ohio. – Wymówił tę nazwę, jakby była czymś egzotycznym, miejscem z bajki. – Tylko z powodu jego zdjęcia jako młodego człowieka. Nawet sąd w Izraelu nie mógł go skazać. Ostatecznie wydano postanowienie o mylnej identyfikacji. Zdjęcia Demianiuka przedstawiały go jako dorosłego człowieka. A na zdjęciu, które macie jest chłopiec, nastolatek. Wygląd ludzi zmienia się z wiekiem. Nie macie żadnego „dowodu”. To są bezpodstawne oskarżenia.

—

To dlaczego po prostu pan stąd nie wyjdzie? – zapytał Tom, stojący w cieniu.

—

Proszę?

—

Jeśli to nonsens, dlaczego jeszcze pan tu jest? Rozmawia pan z Rebeccą Merton od... – Tom zrobił prawdziwe przedstawienie z patrzenia na zegarek. – ...od jakiegoś czasu. Gdyby chodziło o głupie pomó-

wienie, do tej pory już by tu pana nie było. Wezwałby pan swoich doradców. Byłby tu Henning Munchau, spisywałby pozew o oszczerstwo.

Wezwałby pan ochronę. Ale rozglądam się i jakoś nikogo nie widzę.

Powie mi pan dlaczego?

Viren uniósł brodę, jakby chciał dokładnie ocenić Toma Byrne'a.

—

Staram się być ludzki wobec panny Merton. Jest bez wątpienia kobietą zdener...

—

Naprawdę? A może nie chce pan, żeby ktokolwiek jeszcze, nawet ochroniarz, usłyszał, co ona ma do powiedzenia?

Sekretarz generalny zaczął chodzić, na wpeł odwrócony do Rebecki.

Wzdrygnęła się na widok jego ruchów. Po raz pierwszy Tom zastanowił

się, czy ten mężczyzna nie jest aby uzbrojony – jednak od razu uznał, 412

że to absurdalna myśl. Mimo wszystko jednak dziewczyna okazała dużo odwagi, stając tu przed nim. Nie był już młody, to prawda, ale nie wyglądał na słabeusza, mógłby ją obezwładnić, mógłby ją...

–

Czy wiecie, ile mam lat?

Pytanie zawisło w powietrzu. Tom poczuł się niepewnie. Fizyczne podobieństwo do fotografii było na tyle uderzające, że nie zastanawiał

się nawet nad tak podstawowymi sprawami, jak wiek tego człowieka i chronologia. Co prawda teraz wrócił szybko myślami do sposobu, w jaki odnalazł to zdjęcie: odkrycie nazwiska Kadish, przeszukiwanie archiwum fotografa, żeby znaleźć coś łączącego się z historią Gerszona, a potem natrafienie na jedno zdjęcie, które nadawało sens wszystkiemu, łącznie ze słowem „marsz” w podpisie. Ujęcie wyjaśniające przynajmniej, dlaczego Gerald Merton wyruszył z ostatnią misją do Nowego Jorku i dotarł do gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Ale może Tom popełnił elementarny błąd; niewykluczone, że zobaczył to, co chciał widzieć. Policjantom zdarzało się to przez cały czas, ruszali tropem najwyraźniej jednoznacznego dowodu i wyciągali wnioski, które pasowały do ich pierwotnego założenia. Był to powszechny, ludzki błąd, bo jesteśmy stworzeniami łatwo ulegającymi sugestii. Jak inaczej powstawałyby złudzenia optyczne, jeśli nie dlatego, że wzrok widzi raczej to, czego oczekuje, niż to, co rzeczywiście istnieje?

Rebecca przerwała ciszę.

–

Zgodnie z oficjalną biografią ma pan sześćdziesiąt osiem lat.

–

Dobrze, panno Merton. Odrobiła pani pracę domową. W mojej biografii jest napisane, że mam sześćdziesiąt osiem lat, bo mam sześć-

dziesiąt osiem lat. A jak wypadły pani obliczenia w myślach? Ponieważ moje są całkiem dobre i wynika z nich, że miałem pięć lat, kiedy skoń-

czyła się wojna. Pięć! Zgodzicie się chyba państwo ze mną, że chłopak na waszym zdjęciu ma więcej niż pięć lat, tak? – Ponownie ten uśmiech, tym razem jednak bardziej entuzjastyczny.

–

Nie podał pan prawdziwej daty urodzenia.

413

—
Co, przez wszystkie te lata? Czy wyglądam pani zdaniem na siedemdziesiąt osiem lat?

—
Mój ojciec też nie wyglądał na swoje lata. Był wysportowany i silny. Też mógłby uchodzić za sześćdziesięcioośmiolatka.

Tom czuł, jak kolana się pod nim uginają. A jeśli Rebecca się myliła?

A jeśli Gerszon Matzkin się mylił? Organizacja DIN już nie istniała, pozostał jedynie zestarzały, samotny Gerald Merton, który prawdopodobnie przeglądał w domu strony w Internecie, uderzyło go fizyczne podobieństwo nowej osoby publicznej do znienawidzonej twarzy z dawnej fotografii. Popelniali straszliwy błąd.

Ale na niej to nie zrobiło wrażenia. Zamiast tego stanęła jeszcze bli-

żej Virena i przyglądała się mu, jakby był jednym z jej pacjentów.

—
Och, tego się nie ukryje, prawda, panie sekretarzu generalny? Ta linia wokół ucha zawsze to zdradzi. Widzę, że popracowano nad panem.

—
I co z tego? W dzisiejszych czasach niewielka pomoc chirurgii plastycznej nie jest niczym wstydlivym. Proszę zapytać premiera Włoch.

Ludzka próżność nie jest przestępstwem, doktor Merton. – A potem, jakby wyczuwając wahanie Toma, zaraz dodał: – Poza tym wiecie na pewno, że nie jestem Litwinem. Jestem Finem, na rany boskie. Sprawowałem urząd ministra spraw zagranicznych tego kraju. Nie mam odpowiedniego wieku i jestem innej narodowości – co oznacza, że nie jestem człowiekiem, którego szukacie.

Tom opuścił wzrok na własne buty. Będzie potrzebował wszystkich prawniczych umiejętności, żeby rozwiązać jakoś tę sytuację. Przyjdzie mu zaproponować przeprosiny, wyjaśnić, że oboje z Rebeccą Merton przeżywają ogromny stres i oczywiście wycofują swoje oskarżenie, obie-cując nigdy więcej go nie wysuwać. Nic z tego nie zostanie zapisane, na wypadek gdyby odstąpienie od oskarżenia mogło być pożywką dla dalszych podejrzeń. Doktor Merton zrezygnuje z wszelkich roszczeń wobec ONZ za śmierć jej ojca. Tom przygotowałby od razu ogólne warunki takiego porozumienia z sekretarzem generalnym, a potem dopracowałby szczegóły z Henningiem.

Zrobił krok w stronę Rebecki, chcąc położyć jej delikatnie dłoń na ramieniu i wyprowadzić z kaplicy. Miał nadzieję, że nie będzie urządziła scen. Ale w chwili gdy się poruszył, Rebecca odwróciła się na pięcie do niego i spiorunowała go wzrokiem.

–

Nie rozczaruj mnie, Tom.

–

O co ci chodzi?

–

Nie oceniaj mnie tak nisko. Albo mojego ojca.

–

Nie bardzo rozum...

–

Myślisz, że zjawiłby się tutaj gotów na wszystko, a tak było, gdyby nie miał pewności? Gdyby nie był śmiertelnie pewny, że ten człowiek jest dokładnie tym, za kogo go uważał? Myślisz, że ja bym tu była, gdybym nie była pewna?

–

Ale to tylko jedno zdjęcie.

–

Och, nie, Tom. Jest znacznie więcej zdjęć tego człowieka. Był

jedną z gwiazd getta, prawda, panie sekretarzu generalny?

Tom spojrzał na Virena – którego pogardliwy wyraz twarzy nie ulegał zmianie – a potem znowu na Rebecę.

–

Istnieje więcej zdjęć?

–

Tak, znacznie więcej. I nie wszystkie zrobił Kadish. Całe mnó-

stwo zrobili sami naziści. Co najmniej sześć, niektóre bardzo oficjalne, inne na luzie, chłopcy się bawili. Tak jak się pozuje do zdjęć grupowych.

A młody Paavo Viren, czy jak się wtedy nazywał, zawsze w środku – maskotka drużyny.

–
Ale on ma tylko sześćdziesiąt osiem lat!

–
Skłamał, podając wiek. Postąpiło tak bardzo wielu młodych ludzi. Wydawano im nowe dokumenty, a oni podawali datę urodzenia, jaka przyszła im do głowy. To było łatwe. Pamiętaj, że było wielu ludzi gotowych im pomagać.

–
Pochodzi z Finlandii.

–
Pojechał do Finlandii, Tom. A to nie to samo. Inni trafiali do Kanady, inni do Ohio. – Zerknęła na sekretarza generalnego. – Jeszcze inni 415

do Niemiec, na rany boskie. Zaczęli od początku: nowe życie, nowe nazwiska. Finlandia okazała się dobrym wyborem, prawie nie ma tam Żydów i na pewno nie było tam nikogo, kto ocalałby z Kowna. I nikogo, kto mógłby pamiętać.

Tom popatrzył na nią i spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądała w oczach Virena – obłąkana, naiwna młoda kobieta.

–
Gdzie są na to dowody, Rebecca? – Tom nienawidził brzmienia własnego głosu, sceptycznego, rzeczowo adwokackiego, jakby pracował

dla sekretarza generalnego.

–
Wszystko było w Londynie, w teczce. Ale zostało zabrane. To jedna z pierwszych rzeczy, które zabrali.

Z mieszkania ojca czy z twojego?

Zastanowienie przed odpowiedzią na to pytanie wskazywało, że rozumiała, jak jest ważne.

—

Z mojego.

—

Zatem wiedziałaś o tym przez cały czas.

—

Ojciec powiedział mi o swoich planach, zanim pojechał do Nowego Jorku.

Tom skinął głową, ale nie było to wyrazem akceptacji dla jej słów, raczej zapewniało mu krótką przerwę, w czasie której mógł przetrawić to, co usłyszał.

—

Co jeszcze wiedziałaś, Rebecca?

—

Wiedziałam o DIN. Ale nie o reszcie, przysięgam. Włamanie wydało mi się absurdalne. Piekarnia, *Tochnit Alef* – nie miałam o nich pojęcia. Musisz mi uwierzyć.

—

To nie ma sensu, Rebecca. Dlaczego ojciec miałby ci powiedzieć o DIN, a resztę trzymać w tajemnicy?

—

Sama usiłuję to zrozumieć, Tom, naprawdę się staram. Do głowy przychodzi mi jedno, a mianowicie, że ojciec się wstydził. Plan A opierał

się na przypadku. Nie określał konkretnych ofiar. DIN, jaki znałam, ścigał jedynie winnych. Gdybym jednak dowiedziała się o planie B, na 416

pewno odkryłabym plan A. Ojciec bał się, jak myślę, że przestanę go kochać, gdy poznam tę prawdę.

Viren odchrząknął, jakby uprzejmie prosił o przyznanie mu głosu na podium.

—

Twierdzi pani, że tak zwane dowody zniknęły? Zostały ukradzione?

Rebecca nie odpowiedziała. Tom również milczał.

–

A więc znowu jesteśmy w punkcie wyjścia, mam rację? Znowu ma pani wymyślone pretensje?

Toma uderzył prosty fakt, że Viren nadal tam był. Rebecca nie trzymała go na muszce pistoletu, nie stosowała wobec niego żadnego fizycz-nego przymusu. Mimo to nie wyszedł. Dlaczego?

Rebecca cofnęła się teraz kilka kroków, podchodząc bliżej do Toma.

Kiedy się tam znalazła, spojrzała na sekretarza generalnego.

–

Zostawię pana w spokoju – powiedziała trochę głośniej niż normalnie. – Odstąpię od jakichkolwiek roszczeń. I nigdy w przyszłości nie będę nimi pana niepokoić.

–

Cieszę się, że to słyszę, pani doktor Merton...

–

Pod jednym warunkiem.

–

Co? Jakim warunkiem?

–

Chciałabym obejrzeć pańskie lewe przedramię.

Wyraz twarzy Virena zmienił się raptownie z początkowego zmieszania na przestrasz i oburzenie. Wyglądał przy tym na zdumionego.

–

To już bezczelność! Jak może pani chcieć czegoś takiego. Czy ma pani pojęcie, kogo o to prosi? Jestem wybrany reprezentantem społeczeństwa całego świata!

Nadal jednak nie wychodził. Czego się bał? Czyżby tego, że jeśli wybiegnie stąd, Rebecca rzuci się za nim i będzie krzyczała w holu siedziby ONZ, że sekretarz generalny jest byłym nazistowskim zbrodniarzem wojennym? Przecież obezwładniłaby ją wtedy ochrona i byłoby po sprawie. Dlaczego przejmował się tym, co mówiła?

Czekał na coś, co mogłoby wpłynąć na Rebeccę, żeby zmieniła zdanie? I wtedy nowa myśl wpadła mu do głowy. Sekretarz generalny czekał na niego, na Toma. Gdyby on, jej „ochroniarz” w podróży do Nowego Jorku, zgodził się, że Rebecca jest po prostu rozhisteryzowaną, opłakującą ojca córką, wtedy jej posądzenia byłyby nic nie warte. Jeśli jednak on, były prawnik ONZ, dawałby jej wiarę, wtedy wysuwane oskar-

żenia zyskiwałyby pewne podstawy. A podobne błoto raz rzucone przy-wiera na dobre do człowieka. Tom zastanawiał się, czy nowy sekretarz generalny nie jest jedną z niewielu osób w tym budynku, która nie zna historii Toma Byrne'a, bo inaczej wiedziałaby przecież to, co wiedział

prezydent Izraela – że jakiegokolwiek roszczenia Toma Byrne'a dotyczące czegokolwiek można zbyć machnięciem ręki. Istniał na niego hak: po-wiązanie z mafią.

Teraz Tom zrozumiał. Został zmuszony do grania roli arbitra. Sekretarz generalny chciał, by zgodził się z nim, że Rebecca Merton jest obłą-

kana. Dopiero wtedy zaryzykowałby wyjście na zewnątrz, pozwalając, by ta kobieta sama zmagą się ze swoimi oskarżeniami, a nawet i wściekała na niego i świat.

–

Myślę, że powinien pan jej pokazać przedramię – powiedział

Tom spokojnie. – Wtedy może ta sprawa się skończy. – Zrobił krok przed siebie, ujął Virena za lewy nadgarstek.

Sekretarz generalny rozpaczliwie usiłował wyrwać dłoń z uścisku Toma. Ale nie krzyczał, nikogo nie wołał.

–

Dobrze, Rebecco – odezwał się Tom, nagle uświadomiwszy sobie, że napastuje niewinnego, starszego pana, męża stanu, starca zaskakująco silnego. – Przyjrzyj się jego ramieniu.

Podeszła bliżej, wyraźnie zdenerwowana. Nie potrafiła spojrzeć Virenowi w oczy, zamiast tego skoncentrowała wzrok na jego nadgarstku. Powoli i bardzo ostrożnie podciągnęła mu rękaw marynarki, a potem zaczęła odpinać guzik przy mankiecie. Była czujna, jak ktoś otwierający podejrzaną paczkę.

418

–

Czego się spodziewasz? – zapytał Tom stłumionym głosem, bo sporo wysiłku kosztowało go utrzymanie szamoczącego się starca.

–

Szukam blizny – powiedziała Rebecca spokojnie, jak chirurg podczas operacji. I wtedy uniosła spojrzenie, jakby liczyła na to, że wzrokiem spiorunuje szarpiącego się Virena. – Szukam blizny po ranie, jaką zrobiła siostra mojego ojca pewnemu młodemu mężczyźnie, który ją zgwałcił, młodemu mężczyźnie, który terroryzował dzieci w kowieńskim getcie – młodemu mężczyźnie, którego nazywali Wilkiem.

Rozdział 66

Tom nie był pewny, czy mięśnie Paavo Virena stężały na dźwięk tego słowa. Zmysły mogły go zwodzić i coś takiego nigdy nie nastąpiło. Teraz jednak Rebecca podwinęła rękaw koszuli sekretarza i wpatrywała się w jego przedramię.

Wilk. Tom w mgnieniu oka przypomniał sobie to przezwisko. Dotyczyły go najbardziej przejmujące, szczegółowe wspomnienia z Kowna Gerszona Matzkina. Bo rzeczywiście, była to jedna z niewielu okazji, kiedy nazistowski wróg miał twarz.

Tom oczami wyobraźni starał się zobaczyć ponownie tamto ręczne pismo. Wilk nie był Niemcem. Gerszon opisywał syna jednego z litewskich strażników getta. Żydzi z getta bali się zwłaszcza jego – a może jedynie jego, jak sugerowała to teraz Rebecca; tak zapisał się w pamięci tych, którzy wtedy byli dziećmi. Nietrudno się domyślić, dlaczego dzieci tak bardzo się go bały – morderca i oprawca o twarzy chłopca.

Kiedy Tom siedział w kawiarni za rogiem, niedaleko mieszkania Rebecki, i czytał wyblakłe strony dziennika Mertona, próbował wyobrazić sobie okrucieństwo Wilka, uśmiechniętego nastoletniego sadysty, który prosił o pozwolenie na ukaranie siostry Gerszona, Anny, za przestępstwo, jakim była próba przeszmuglowania do getta skórki chleba. Zerwał

ubranie z dziewczynki w jego wieku, tłukł ją pałką, a potem na siłę w nią wszedł. „To jednak moja siostra była ranna. Nie tylko na twarzy, która nie była już jej twarzą. Ale na duszy”.

420

To dlatego Gerszon złamał własne zasady i powrócił do praktyk DIN.

Wilk był specjalnym przypadkiem, osobistym rachunkiem do wyrównania. Co napisał na stronach, które Rebecca wyrwała i ukryła w wiecznym piórze? „Bardzo dawno temu złożyłem jeszcze jedną obietnicę, obieca-

łem coś młodej kobiecie, równie pełnej życia i pięknej jak Ty dzisiaj.

Nigdy nie myślałem, że będę miał szansę dotrzymać danego jej słowa.

Myślałem, że jest za późno”.

Jeszcze jako dzieciak Gerszon musiał przysiąc starszej siostrze, że ją pomści, że pewnego dnia każe zapłacić Wilkowi za to, co zrobił. W jakiś sposób zachował w pamięci ten pojedynczy akt okrucieństwa, mimo bestialstwa i mordów dokonujących się wokół niego tygodniami, miesią-

cami i latami, które nastąpiły potem. Widział podobne sceny brutalności, ale tylko tamto wydarzenie odcisnęło się na nim piętnem.

Rebecca wpatrywała się w przedramię Virena. Tom usiłował zinterpretować wyraz jej twarzy. Odezwała się w końcu, wypowiadając słowa, które jakby pochłonęły całe powietrze znajdujące się w kaplicy.

– Nie ma tu żadnej blizny.

Rozdział 67

Próbował określić ogarniające go uczucie i z czymś je porównać.

Wynik go zaskoczył. Ale kombinacja niepokoju i przewidywania ulgi –

poczucie, że choć dozna za chwilę czegoś bolesnego i podejmie ryzyko, to później jednak sprawy ułożą się lepiej – wydawała się najbliższa rzeczywistości. Jay Sherrill miał teraz wrażenie, podobne do tego, które towarzyszyło mu, gdy po raz pierwszy wszedł do gabinetu terapeuty pomagającego mu zaraz po śmierci jego brata. Dziś, jak wtedy, doszedł

do wniosku, że podjęcie działania będzie lepsze od kolejnej, niekończą-

cej się nocy w męczarniach.

Dobrze się składało, że miał tak niewiele czasu na przygotowania.

Skontaktował się z Henningiem Munchauem poprzedniej nocy, prosząc o jak najszybsze spotkanie. Nie chciał pomijać Toma Byrne'a, ale nie miał

wyboru – od pory lunchu poprzedniego dnia nie mógł się do niego dodzwonić.

Munchau sprawiał wrażenie człowieka niezbyt zadowolonego z jego telefonu. Może nie podobało mu się pomniejszanie roli Byrne'a, prawdopodobnie jednak zależało mu na jak największym zdystansowaniu się od drażliwej sprawy Geralda Mertona. Nie było wątpliwości, że właśnie dlatego zatrudnił prawnika, który odszedł z Organizacji Narodów Zjednoczonych ponad rok wcześniej. „Zobaczę, co da się zrobić”, na tyle tylko było stać Munchaua. Poza tym nie istniał powód, dla którego musiałby się przejmować Sherrillem, do tej pory na pewno dostał wiadomość z biura prokuratora generalnego, że nie będzie żadnego śledztwa 422

w sprawie Mertona. Nie popełniono żadnego przestępstwa. Organizacja Narodów Zjednoczonych nie była pod lupą.

A później, przed dwudziestoma minutami, odebrał telefon od Munchaua z wiadomością, że ma okienko w harmonogramie spotkań. Jeśli Jayowi uda się dotrzeć na UN Plaza w ciągu kwadransa, mogliby napić się kawy w salonie dla delegatów.

Przepraszam, że to tak nagle – powiedział Niemiec z akcentem, który Sherrill usiłował rozpoznać. Był europejski czy australijski?

–

Nie ma sprawy. Cieszę się, że znalazł pan chwilę.

–

Niezwykła sytuacja. Sekretarz generalny poprosił mnie przed sekundą o odwołanie spotkań na najbliższą godzinę, więc i ja mam godzinę, której się nie spodziewałem.

–

W porządku.

–

Prawdę mówiąc, jest teraz z Rebeccą Merton, sam na sam.

–

To ona jest w Nowym Jorku?

–

Byrne panu nie powiedział? Razem przylecieli.

–

Więc on żyje.

Munchau zmarszczył brwi.

–

Nie miałem od niego wieści przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Mimo że wielokrotnie wysyłałem mu wiadomości.

–

To już sprawa między Tomem a panem. A co ja mogę dla pana zrobić?

–

Ta rozmowa jest ściśle poufna, rozumiemy się?

–

Jeśli pan tego chce.

–

Cóż, moja kariera, która prawdopodobnie dobiegła końca, może od tego zależeć.

–

Co pana gnębi, detektywie?

–

Dwa dni temu odbyłem spotkanie z szefem wydziału wywiadu nowojorskiej policji.

–

Ze Stephenem Lakiem.

–

Tak.

–

Słucham.

423

–

Powiedział coś, na co wtedy nie zwróciłem uwagi, ale czego do tej pory nie potrafię zrozumieć.

–

Mianowicie?

–

Może było to zwykłe przejęzyczenie...

–

Detektywie?

–

Powiedział... – Sherrill zajrzał do notesu. – „Mogliśmy obserwować ONZ przez jakiś czas, mając dowody, że tyka tam bomba zegarowa”.

–
Tak powiedział?

–
„Albo nie obserwowaliśmy”.

–
Sugeruje pan, że wydział wywiadu orientował się w istnieniu zagrożenia terrorystycznego na terenie ONZ i nie przekazał tej wiadomo-

ści?

–
Nie, proszę pana. Ja też myślałem, że o to chodziło. Ale niech pan przeanalizuje to słowo po słowie. Lake nie powiedział „bomba zegarowa jest niesiona do ONZ” albo „bomba zbliża się do ONZ”. Użył słów:

„tyka tam bomba zegarowa”.

–
Jakby już tu była.

–
Dokładnie.

–
Henning rozejrzał się wokół. Przyjrzał się delegatom palącym papierosy i rozmawiającym między sobą.

–
Ale przecież policja nie przypatrywałaby się biernie, kiedy to miejsce wylatywałoby w powietrze. Pomijając wszystko inne, na nią spadłaby wina za spierdolenie tej sprawy.

–
Zgadzam się z panem. Dlatego właśnie myślę, że nie wyrażał się dosłownie. Posłużył się raczej metaforą.

–
Więc wywiad wiedział, że w tym miejscu jest coś, co można by uznać za bombę zegarową.

–
Wiedział o czymś, co mogło zniszczyć to miejsce, tak, proszę pana. To właśnie podejrzewam.

Wyraz zrozumienia, a potem zdenerwowania na twarzy Henninga Munchaua, kiedy wstał w milczeniu, oznaczał dla Jaya Sherrilla jedno –

nie miał innej możliwości, musiał pójść za tym mężczyzną.

Rozdział 68

–
Jak to nie ma żadnej blizny? – Tom odruchowo poluzował uścisk.

–
Bardzo dobrze – odezwał się Viren. – Cieszę się, że ta farsa dobiegła końca. Powinienem, oczywiście, zgłosić...

–
Albo raczej nie ma oczywistej blizny – Rebecca wpadła mu w słowo.

Sekretarz generalny usiłował wyswobodzić się z rąk Toma.

–
O czym, do cholery, pani mówi?

–
Widzisz – powiedziała Rebecca, wskazując na bladą skórę jego przedramienia. – Nie ma tu żadnego śladu. Ale, pechowo dla pana, chi-rurgia plastyczna nie potrafiła dokonywać tego, co robi dzisiaj.

–
Opowiada pani bzdury.

–
W dawnych czasach, kiedy robili przeszczep skóry jak ten, żeby zakryć bliznę, nic nie mogli poradzić na ślady zostające wokół miejsca, gdzie umieszczono nową skórę. To jak obrys łąty przyszytej do marynarki. Widzisz? O tutaj. – Była irytująco spokojna.

–

No i co z tego, że miałem przeszczep skóry. Zlikwidowałem ślad po oparzeniu, jakie przydarzyło mi się dwadzieścia lat temu.

—

Czyżby?

—

Tak. To był... to był wypadek. W domu. Przy kuchni.

—

Cóż, to bardzo dziwne. Bo prawdę mówiąc, ślady na pańskiej skórze w tym miejscu są typowe dla rozciągania. Stosuje się tę metodę 425

przeszczepu, kiedy pacjent jest młody, kiedy skóra nadal rośnie. A pan już nie rósł dwadzieścia lat temu, panie Viren, prawda?

Słyszac to, Viren wyrwał się Tomowi i stanął kilkanaście centymetrów od Rebecki. Uniósł dłoń na wysokość własnego ucha i miał uderzyć Rebecę, kiedy Tom złapał go w pasie, brutalnym zapaśniczym chwytem, przez co pięść starego człowieka trafiła w powietrze.

W tym momencie Viren piskliwie wrzasnął.

Początkowo ciało starca, którego obezwładniał, zasłaniało Tomowi pole widzenia, ale teraz zorientował się, co przeraziło Virena. Rebecca wyciągnęła skądś, z rękawa albo kieszeni, strzykawkę do podskórnych iniekcji. Unosiła ją do góry na wysokość oczu, żeby sprawdzić ją pod światło.

Tom ciężko oddychał.

—

Co ty, do cholery, wyprawiasz, Rebecco? – wydyszał.

Zignorowała go, zwracając się bezpośrednio do sekretarza generalnego.

—

Pana ogromny pech polega na tym, że jestem lekarzem. Znam się na tkankach bliznowych i przeszczepach skóry – i wiem też coś o truci-znach. Ta, na przykład, jest bezzapachowa, przeźroczysta i zapewnia natychmiastowy efekt. Nie mam pojęcia, czy jest bolesna, ale biorąc pod uwagę jej pochodzenie, byłabym optymistką. Co oznacza, że najpewniej jest bardzo bolesna.

—

Skąd to masz, Rebecca?

—

Powiedzmy, że to prezent od kogoś, kogo niedawno poznaliśmy.

Byłego towarzysza z DIN.

W jednej chwili Tom miał przed oczami przedłużające się pożegnanie, którego był świadkiem, między Rebeccą a prezydentem Izraela: to, jak starzec mamrotał coś do niej po hebrajsku, jak trzymał jej dłonie w swoich, dzięki czemu mógł z łatwością dać jej coś skrycie, powiedzmy strzykawkę i dawkę śmiertelnej cieczy. „A teraz chciałbym zamienić kilka słów na osobności z doktor Merton, uczcić czyjaś pamięć”.

426

Jeśli Geraldowi Mertonowi udało się poznać prawdę o przeszłości Paavo Virena, na pewno nie uszło to uwagi izraelskiego wywiadu. Kiedy tylko prezydent zyskał pewność, że Merton nie poluje na niego i gdy usłyszał o żądaniu Rebecki spotkania się twarzą w twarz z sekretarzem generalnym, jedno się potwierdziło: Viren był ostatnim celem DIN. I jaki byłby lepszy sposób uśmierzenia własnego poczucia winy za Arona niż ponowne przekazanie DIN tego, co było potrzebne – fiołki zabójczej trucizny? Prezydent wiedział też, że nawet gdyby Rebeccę złapano, nigdy by go nie wydała. Zakazywałby jej tego kodeks DIN.

Viren spróbował uwolnić się z uścisku Toma, ale zrobił to bez przekonania. Nie spuszczał oczu z Rebecki.

—

Musi być jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji. Jeśli się pani uprze, możemy powołać niezależnych biegłych, sprawdzić zarzuty, które pani stawia...

—

Och, nie, na to jestem zbyt nierozsądna. Widzi pan, pana pech polega też na tym, że wybierał pan sobie nieodpowiednich ludzi do zabi-jania i kaleczenia. Zgwałcił pan i niemal zabił moją ciotkę, Annę Matzkin, której dzięki panu nigdy nie poznałam. – Nacisnęła na tłoczek strzykawki, trzymając ją nieruchomo, podczas gdy z igły trysnął krótki strumień. – I brał pan udział, i to podobno bardzo ochoczo, w masowym mordzie w Dziewiątym Forcie. Zastanawiam się, czy pamięta pan kogoś z tysięcy ludzi, których pan i pańscy przyjaciele zastrzeliliście i zakopali-

ście w dołach. Były wśród nich moje trzy ciotki.

Tom zamarł, nadal trzymał starca, ale tylko dlatego, że ogarnął go paraliż. Patrzył na Rebeccę i miał wrażenie, że obserwuje wydarzenia z pewnej odległości, odtwarzane na monitorze wideo. Może sprawił to półmrok panujący w tym pomieszczeniu. Bardziej prawdopodobny był

jednak szok wywołany wszystkim, co się stało, wszystkim, co usłyszał

przez ostatnie kilka minut. Doznawał swego rodzaju opóźnienia w postrzeganiu, każda nowa informacja potrzebowała kilku sekund, by dotrzeć do jego świadomości. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że jest współsprawcą czynu, który uznano by za zabójstwo – choć nawet przez 427

chwilę się nad tym nie zastanawiał. Przytrzymał Paavo Virena tak, żeby Rebecca mogła zrobić mu śmiertelny zastrzyk.

Mimo to nie chciał puścić Virena. Nie był pewny oceny bliźny dokonanej przez Rebecę, ale reakcja starego mężczyzny nie pozostawiała wątpliwości. Zmienił się jego ton. Przestał im wmawiać, że jest niewinny, i chciał się jakoś dogadać. Kiedy niewinnym ludziom grozi kara za przestępstwo, którego nie popełnili, nie zaczynają prosić o pójście na układ: tym głośniejsze upierają się przy swojej niewinności. Dużo czasu potrzeba, by zniszczyć tkwiącą w ludziach wiarę w sprawiedliwość, dopiero potem stają się gotowi do negocjowania kompromisowej kary za coś, czego nie zrobili.

Viren już po kilku sekundach chciał zawrzeć układ. Tom był wystarczająco doświadczonym prawnikiem, żeby to wiedzieć – sekretarz nie wyszedł też od razu, kiedy Rebecca zaczęła go oskarżać, jego decyzji zostania i wysłuchania jej nie dawało się niczym wytłumaczyć – nie było to zachowanie niewinnego człowieka.

Tom nadal trzymał Virena, stojąc z nim nieruchomo, podczas gdy Rebecca mówiła dalej.

– Zabił pan nieodpowiednich ludzi, panie Viren. Zabił pan rodzinę Gerszona Matzkina, a on nie był takim rodzajem Żyda, z którym można się targować. Był jednym z tych Żydów, którzy nie chcieli umrzeć. Był

jednym z tych Żydów, którzy postanowili pomścić przelaną krew. Nale-

żał do DIN, ruchu, którego hebrajska nazwa oznacza sąd. Ale składają się na nią trzy słowa. *Dahm Y Israel Nokeam* „Krew Izraela się zemści” –

mówiła teraz szybciej, napięcie w jej głosie rosło. Trzymała strzykawkę pionowo między palcem wskazującym a środkowym, jakby była to wy-celowana broń. – Był mścicielem, panie Viren, a ja jestem jego córką.

Z tymi słowami Rebecca pochyliła się i przytknęła igłę do szyi sekretarza, fachowo odnajdując żyłę.

Pewność jej ruchów i ostateczność tego, co robiła, najwyraźniej wyrwały Toma z paraliżu. Rebecca natychmiast wyczuła, jakie są jego intencje.

428

–

Jeśli wykonasz teraz jakiś gwałtowny ruch, Tom, igła wbije się w ciało. Naprawdę, wystarczy niewielkie szarpnięcie i Viren umrze.

Tom wiedział, że mówiła prawdę. Jego zadaniem było trzymanie sekretarza w bezruchu – dla jego własnego dobra. Viren zdołał wydukać kilka słów.

–

Czego ode mnie chcecie? Jeśli chcesz mnie zabić, to zabij.

Skończmy z tym.

–

Och, ale to nie byłoby w pańskim stylu, prawda, panie Viren? Z

tego, co wiem, pan i litewscy policjanci świetnie się bawiliście urządzając prawdziwe przedstawienia. Spędziliście Żydów w miejsce zbiórki, kazaliście się im spakować, jakby jechali w podróż. Potem długie czekanie, długa jazda ciężarówkami, kolejne długie czekanie. Później marsz nad doły. Później patrzyliście, jak kobiety się rozbierają i ustawialiście je w rzędzie nad dołami, które wcześniej wykopali inni Żydzi. I wtedy pojedyncza kulka, więc – jak pan myśli jedna osoba na dziesięć, jedna na pięć? – nie wszyscy ginęli na miejscu, musieli się zadusić, zakopani żywcem pod stosem trupów. Niech pan zatem przestanie biadolić i mó-

wić coś o „skończeniu z tym”. Przepraszam, jeśli wyczerpuje to pańskie zasoby cierpliwości.

Tom wzdrygnął się, patrząc na Rebeccę stojącą tak blisko sekretarza generalnego, z palcem na tłoczku strzykawki, jakby był to zapalnik.

–

Ojciec zrobiłby to znacznie szybciej, to prawda. Sądząc po sposobie, w jaki to zaplanował, dobranie się do pana nie pozostawiałoby czasu na przemowę; musiałby pana zabić w ułamku sekundy. Ale nie byłby to typowy sposób działania DIN.

–

Rebecca, posłuchaj. Nie możesz tego zrobić.

–

Zamknij się, Tom.

–

Naprawdę. To nie w porządku. Nie tak.

Rebecca nie odrywała wzroku od Virena.

–

Dla członków DIN bardzo ważne było, by cel poznał tożsamość swojego kata, by wiedział, że Żydzi wymierzają sprawiedliwość. Ale ja 429

chcę czegoś więcej. Chcę, żeby się pan przyznał. Chcę, żeby powiedział mi pan prawdę.

Viren zaczął się jąkać. Był pewny, że szczere wyznanie nie skłoni tej kobiety do okazania mu łaski. Jasno dała do zrozumienia, że ma zamiar go zabić. Tom podejrzewał, że jej ojciec był zręczniejszy, łudził swoje ofiary nadzieją, że mówienie coś pomoże.

—

Słuchaj, Rebecca. To się nie uda. Złapią cię. Nawet jeśli ludzie będą ci współczuli, spędzisz w więzieniu wiele lat. Czy tego chciałby twój ojciec, zobaczyć ukochaną córkę za kratkami?

—

Mogłabym uciec.

—

Daj spokój, Rebecca. Henning wie, że tu jesteś. Wkrótce tu przyjdzie. Jeśli znajdzie martwego sekretarza, podejrzenie padnie na ciebie.

—

Powiemy, że miał atak serca.

—

Zostanie ślad po igle. Siniaki na nadgarstkach, w miejscach, gdzie go trzymałem. Proszę, Rebecca. Pomyśl, co powiedziałby twój ojciec, to przecież niszczenie kolejnej kobiety z rodziny Matzkinów przez nazistę.

Jej oczy płonęły, dwa rozjarzone punkty w półmroku kaplicy.

—

Jak śmiesz mówić mi o tym, czego chciałby mój ojciec.

Od trzymania więźnia w bezruchu Toma zaczynały boleć ramiona.

—

Twój ojciec nigdy nie został złapany, Rebecca. Nikogo z nich nie złapano. Założę się, że było to dla nich ważne: żeby Żyd nie cierpiał już nigdy z powodu nazisty, nawet przez jeden dzień dłużej.

–
Chcę, żeby to głośno powiedział, Tom. – Wpatrywała się w niego uporczywie. – Musi nastąpić obrachunek.

–
Rozumiem. – Głos mu złagodniał. – Ale to nie jest sposób.

–
Zapomniałeś, że słyszałam cię w gabinecie Goldmana. Mówiłeś, że DIN ma rację, że ofiary nie mają co liczyć na sprawiedliwość. „Im większa zbrodnia, tym mniej wygodna”, tak właśnie powiedziałaś, pa-miętasz? „Myślimy, że prawo obowiązuje. Ale prawda jest taka, że 430 istnieje tylko polityka”. Pamiętasz?

Przypomnienie mu własnych słów w taki sposób wytrąciło Toma z równowagi. To prawda, użył takich sformułowań, rozszoszczony małostkowością Goldmana, niemal bałwochwalczym szacunkiem dla prawa, podczas gdy on, Tom, raz po raz stykał się z sytuacjami, gdy prawo zawodziło, w Ruandzie, Timorze Wschodnim i Bóg jeden wie gdzie jeszcze.

W tej chwili jednak, gdy trzymał unieruchomionego starca, z igłą przytkniętą do szyi, nie mógł znieść tamtych słów. Odrzucała go perspektywa zabicia człowieka w taki sposób. Teoria to jedno, a rzeczywi- sty czyn to coś całkiem innego. To nie była sprawiedliwość. Prawo miało zapobiegać takiemu postępowaniu – powrotowi do barbarzyństwa.

–
Rebecca. To nie może tak być. Ludzie z DIN zabijali, bo nie było innego rozwiązania. Ale ty masz dowody. Możesz wnieść sprawę do sądu. Odbyłby się proces.

Prychnęła, odrzucając głowę do tyłu w geście irytacji. Tom czekał, że może Viren coś powie, zgodzi się z nim, odda do dyspozycji wymiaru sprawiedliwości. Jego milczenie wskazywało, że zgodnie ze swoją reputacją był cwany politykiem. Wiedział, że jeśli poprze jakąkolwiek strategię proponowaną przez Toma, umrze. Rebecca nie zgodziłaby się na żaden z jego pomysłów.

–
Myślisz, że w ogóle postawiliby tego człowieka przed sądem? –

powiedziała. – Usłyszałabym te same pierdoły, z którymi zawsze wychodzą. „Jest za stary. Dowody są nieaktualne. Świadkowie nie żyją.

Minął termin przedawnienia. Do przestępstwa nie doszło na naszym terytorium”. Słyszałam każdy z tych argumentów, klepią to jak pacierz.

–
Nawet jeśli tak jest, Rebecca, alternatywą jest znizenie się do ich poziomu. Nie będziesz ich zabijała, staniesz się taka jak oni. Pamiętasz plan A? Nie został zrealizowany. Ostatecznie Żydzi nie potrafili się na to zdobyć. – Westchnął. – Prawo to wszystko, co mamy, Rebecca. Nie jest doskonałe. Jezu, wiem o tym lepiej od innych. Ale to nie zmienia faktu, że pozostało nam jedynie prawo.

431

–
Muszę to zakończyć. – Drżała teraz, cała się trzęsła. – Męczyłam się z tym przez całe życie, Tom. Możesz sobie wyobrazić, że twoje życie jest nieistotne w porównaniu z tym wszystkim, co się wydarzyło?

Umiesz to sobie wyobrazić?

Oczywiście, że nie. Nikt nie potrafi.

Nagle Tom spostrzegł łzy spływające jej wolno po policzkach. Rozpaczliwie pragnął jej dotknąć.

–
Twoje życie nie jest nieistotne. Jest ważne.

Nic nie odpowiedziała.

–
Twoje życie było ważne dla ojca, Rebecca. Z jakiegoś powodu dał ci przecież imię własnej matki. – Przełknął głośno. – Myślę, że chciał

jej w ten sposób dać drugą szansę.

Obróciła się gwałtownie, jej zaciśnięta dłoń odsunęła się w końcu od szyi Virena. Stary człowiek nie mógł przepuścić takiej okazji. Wykorzystując całą swoją siłę, strząsnął z siebie Toma. Kiedy Tom upadał do tyłu, potknął się i uderzył głową o krawędź jednej z ławek. Był ogłuszony.

W tej samej chwili Viren rzucił się na Rebecę. Sięgnął do jej nadgarstka i pociągnął go do góry. Nadal trzymała strzykawkę, ale teraz bała się, że starzec obróci igłę ku niej. Krzyknęła, gdy wykręcał jej ramię.

Światło w pomieszczeniu nagle się zmieniło. Dwóch mężczyzn pojawiło się w wejściu, rzucając cienie. Viren przeniósł spojrzenie i zobaczył wpatzonego w siebie Henninga Munchaua o twarzy przeraźliwie pobladłej. Sekretarz generalny zamarł w bezruchu.

Takiego momentu opóźnienia, paraliżu, Tom potrzebował. Zerwał się na równe nogi i rzucił przed

siebie, wpadając między Rebecę a Virena, rozdzielając ich. Rebecca zatoczyła się do tyłu, ostatecznie przesuając się poza zasięg rąk starego. Ale w dłoni nie miała już strzykawki.

Tom obrócił się i zobaczył, że Viren ruszył na niego, wściekłość malowała się w jego oczach, strzykawkę skierował wprost w serce Toma.

Tom sięgnął do nadgarstka sekretarza, ale stary człowiek okazał się wyjątkowo silny. Nawet trzymany przez młodszego od siebie mężczyznę, 432

napierał naprzód, igła przesuwała się coraz bliżej do celu, aż dzieliły ją od piersi Toma zaledwie dwa centymetry.

Gwałtownym, bardzo silnym ruchem, Tom wykręcił nadgarstek Paavo Virena do tyłu – i usłyszał krzyk przerażenia, kiedy sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych zdał sobie sprawę, że wbił igłę głęboko we własną żyłę.

Epilog

Rok później

—
O jakiej liczbie przesiedlonych ludzi mówimy?

—
Około miliona.

—
Głównie w Czadzie czy jeszcze gdzieś?

—
Głównie w Czadzie.

—
Warunki w obozach?

—
Są przepelnione. Brakuje żywności. Choroby. Największym problemem jest panika. Wszyscy są przerażeni.

—
A co mówią agencje pomocy?

—
Mają własne problemy. Niektóre twierdzą, że nie mogą robić wszystkiego dla ofiar, kiedy muszą się martwić o bezpieczeństwo własnego personelu. Janjaweedzi również wzięli ich na cel, rozumiesz. I to zadziało, wycofało się wiele organizacji pozarządowych.

—
Tom usiadł głębiej w fotelu i gryzł koniec długopisu. Był bardzo skoncentrowany. Ale kiedy to spotkanie dobiegnie końca, znowu będzie myślał o tym, co ostatnio go absorbowało: dobrze było wrócić, ponownie zajmować się pracą, do której był stworzony.

—
Muszę przejrzeć wszystkie dokumenty, które masz, odwalić całą papierkową robotę. Żebyśmy mogli podeprzeć sprawę żelaznymi dowodami. Najpierw trzeba ustalić ogólne warunki, wtedy będziemy

mogli przedstawić całościowo sytuację ludzi, ze szczegółami, o których właśnie rozmawiamy. Potem przejdziemy do specyfiki każdego przypadku.

W porządku?

434

Było to piąte spotkanie Toma w ostatnim miesiącu dotyczące Darfuru. Zastanawiał się, jak długo ten problem nabrzmiewał, zanim znalazł

się na jego biurku. Podniósł dłonie, prosząc o wyrozumiałość i zwrócił

się do asystentki.

—

Lequasio!

W ciszy, która potem nastąpiła, Tom obrócił się do klienta i uniósł

brwi – dawał mu znać, że jego cierpliwość od dawna jest wystawiana na podobne próby.

—

Lequasio! – Zaryzykował ponownie, tym razem znacznie gło-

śniej.

Przyszła w końcu, wyłaniając się z tylnego korytarza, gdzie Tom postawił przyzwoity ekspres do kawy obok poobijanego czajnika znajdują-

cego się tam od zawsze. W jasnym świetle doliczył się w jej włosach co najmniej czterech pasemek w radykalnie różnych kolorach, niektóre były splecione w warkoczyki. A może to jedynie treski kupione w salonie fryzjerskim Murzynki niedaleko Holloway Road?

—

Jak to miło, że zaszczyciłaś nas swoją obecnością, Lequasio.

Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w jakimś niecierpiącym zwłoki spotkaniu z fryzjerką. Pozwól, że ci przedstawię – to Izmael Abd Jahja Allah.

Sięgnęła przed siebie, by wymienić z mężczyzną uścisk dłoni, wbijając mu przy tym w rękę sztuczne paznokcie.

—

Przyszedł do nas w imieniu własnym i pięciu innych osób szukających azylu w tym kraju – kontynuował Tom. – Pochodzą z Darfuru.

Pan studiuje na Uniwersytecie Londyńskim. Jako że jest tu najdłużej i najlepiej mówi po angielsku, będzie naszym łącznikiem z całą grupą.

Czy mogłabyś dać mu sześć egzemplarzy wniosku o przyznanie azylu?

Tom pożegnał się, zostawiając Lequasia i Izmaela w recepcji. Obrócił

się do komputera – chciał dokończyć e-mail do Henninga – kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają. Prawdę powiedziawszy, bardziej to wyczuł, niż usłyszał. Najpierw owionęło go zimno z ulicy, a potem doszedł go odgłos szurania, mogący oznaczać tylko jedno.

435

–

Witaj, Lionelu.

–

Witam, panie Byrne.

–

Julian jest dzisiaj w sądzie, ale niedługo wróci.

–

Julian jest w sądzie? Po co, co takiego zrobił?

–

On niczego nie zrobił. Jest adwokatem. Broni kogoś.

–

Chcą go posadzić?

–

Mogą.

–

Julian trafi do więzienia? Och... – Zaczął szlochać.

–
Nie, Lionelu. Nie Julian. Julian nie pójdzie do więzienia. Jego klienta mogą posadzić. Jeśli sąd uzna go za winnego.

–
Jest niewinny.

–
Cóż, może... Nie, nie. Masz rację. Jest niewinny. – Tom pokręcił, głową. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku miesięcy odczuwał

podziw wobec swojego partnera z Centrum Porad Prawnych z Kingsland. Julian Goldman wytrzymywał dzielnie podobne rozmowy z Lionelem i do niego podobnymi każdego dnia pracy od siedmiu czy ośmiu lat.

–
Napiłbyś się herbaty, Lionelu?

–
Z przyjemnością, panie Byrne.

–
Mów mi po imieniu. Jestem Tom.

–
To ładne imię, panie Byrne.

Tom ucieszył się, że zyskał pretekst do wyjścia. Poszedł do tylnego korytarza, prześmiewczo nazywanego „kuchnią”. Nic dziwnego, że tak często przesiadywała tam Lequasia, bo było to jedyne miejsce dające jakieś schronienie.

Czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, uśmiechnął się na myśl o absurdalności tej sytuacji. Poprzedniego wieczoru oglądał w telewizji film dokumentalny o Orsonie Wellesie: pokazywano w nim dawne cu-downe dziecko kina, filmowiec wykrzywiając twarz, wyznawał, że za-czął od najwyższego poziomu i zszedł na sam dół.

Tom miał z nim całkiem sporo wspólnego. Niecałe dwa lata wcze-

śniej był jednym z najlepszych międzynarodowych prawników, pracował

w wewnętrznym kręgu radcy prawnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. A teraz znalazł się tutaj, w kancelarii prawniczej w Hackney, gdzie dywan przypominał cienką kwadratową szmatę, a tron klientów rekrutował się spośród ludzi bez grosza przy duszy i wariatów, „emigrantów i kuracjuszy”, jak nazywał ich Julian. Zarabiał jedną piątą tego, co dostawał w ONZ, nawet jeśli była to zbyt optymistyczna ocena – i o wiele, wiele mniej od tego, co Fantoni byli gotowi mu zapłacić za kilka tygodni pracy.

W czasie pierwszego spotkania z Julianem Goldmanem Tom wziął

go za naiwnego młodego człowieka, który wkrótce pozna zasady, na jakich działa świat. Ale to właśnie Julian czegoś Toma nauczył: nawet jeśli Sprawiedliwość, pisana przez duże „S”, była nieosiągalna, nadal można było codziennie coś zaradzić na tysiące małych niesprawiedliwości – pomóc emigrantowi w wypełnieniu wniosku o azyl czy mamroczącej kobiecie z plastikowymi torbami.

Odnosił wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu niż rok, tak wiele się bowiem wydarzyło. W tych dniach Tom miał nawet problem z przy-pomnieniem sobie tamtych kilku obłąkańczych godzin w Nowym Jorku.

Czasami zastanawiał się, czy nie zmyślił tego wszystkiego; zwłaszcza scena w kaplicy medytacyjnej zatarła się w jego pamięci. Wspomnienia tego, co działo się zaraz potem, były żywsze.

Rebecca nie myliła się: trucizna miała natychmiastowe działanie. Zanim Henning Munchau i Jay Sherrill znaleźli się obok sekretarza generalnego, już nie żył. Tom zabił go na ich oczach.

Tom w jednej chwili zmusił się do prawie nienaturalnego spokoju, by wyjaśnić, co się stało. Na szczęście nie było czasu na szukanie wybiegów, pozostawało mu jedynie powiedzieć wszystko wprost – i tak też zrobił.

Henning raz po raz udowadniał tamtego dnia, że jest nie tylko dobrym przyjacielem, ale też doskonałym prawnikiem. Metodycznie przetrawiał wszystko, co Tom mu mówił, w widoczny sposób układał w myślach informacje, które słyszał, nawet najbardziej niewiarygodne, nie 437

rozpraszając się nawet na sekundę. Wezwał do kaplicy dwóch ludzi z ochrony ONZ i kazał oczyścić hol. O pretekst nie było trudno: kolejny alarm związany z bezpieczeństwem. Usunęli ciało Virena – Henning zaś zabrał się do szkicu oświadczenia.

Jako radca prawny upierał się, żeby nie wymyślać przykrywki. Za-stępca sekretarza generalnego wystąpił na konferencji prasowej i podał

do wiadomości, że Paavo Viren został zabity przez byłego prawnika Organizacji Narodów Zjednoczonych, Toma Byrne'a, działającego bez wątpienia w obronie własnej. Viren rzucił się gwałtownie na Byrne'a i towarzyszącą mu kobietę po odkryciu przez nich dowodów, że znają jego starannie skrywaną tajemnicę, której istnienie potwierdziło śledztwo służb ONZ. Radca prawny

doktor Henning Munchau i detektyw nowojorskiej policji Jay Sherrill byli świadkami tego zabójstwa.

Policja zatrzymała Toma i Rebecę w areszcie na jeden dzień i zwolniła potem za kaucją. Tom zeznał, że choć strzykawka z trucizną należała do Rebecki Merton, kobieta nie miała zamiaru zabijać Virena. Groziła mu jedynie, chcąc zmusić do wyznania prawdy. Prokurator okręgowy szybko skonkludował, że niewiele zyska, prowadząc śledztwo przeciwko córce ofiary Holokaustu w sprawie zabójstwa człowieka, który pośmiertnie i z dnia na dzień, dzięki archiwalnym zdjęciom przedrukowywanym przez gazety na pierwszych stronach, pokazywanym bez końca w Internecie i w dwudziestoczterogodzinnych wiadomościach telewizyjnych, stał się najbardziej nienawidzoną osobą w Nowym Jorku i na całym świecie. Poza tym prokurator okręgowy już po raz drugi w jednym tygodniu twierdził, że zgodnie z prawem obowiązującym w Nowym Jorku i całym kraju nie popełniono żadnego przestępstwa na terytorium Stanów Zjednoczonych.

W Finlandii tymczasem nawoływano do ustanowienia dnia pokuty, tak bardzo wstydzono się, że zbrodniarz wojenny zhańbił dobre imię całego narodu. Na Litwie kilka tysięcy ultranacjonalistów przemarszowało w Wilnie z transparentami, na których umieścili wizerunki Virena, 438

w tym – zdaniem Toma było to wprost niewiarygodne – jego zdjęcia jako młodego chłopaka, pozującego w czarnej bluzie w Kownie. Okazało się, że i w tej sprawie Rebecca miała rację. Istniało mnóstwo fotografii Wilka i nietrudno było je znaleźć.

W Izraelu powstało krótkie zamieszanie, gdy wyszło na jaw, że wiekowy prezydent użył swoich wpływów, by zaaranżować spotkanie Rebecki Merton z sekretarzem generalnym. Prezydent odpowiedział, że zareagował jedynie na prośbę o pomoc ze strony córki dzielnego człowieka, który ocalał z Holokaustu. Był zaszokowany rozwojem wypadków w takim samym stopniu jak pozostali ludzie. Naprawdę zaszokowany.

Kilka tygodni później Tom natrafił na artykuł w „Timie” sugerujący, że rewelacje dotyczące Virena nie dla wszystkich były zaskoczeniem.

NASZE ŹRÓDŁA Z WYDZIAŁU WYWIADU NOWOJORSKIEJ POLICJI UTRZYMUJĄ, ŻE SZEFE WYDZIAŁU STEPHEN LAKE WIEDZIAŁ TO I OWO O

„LUKACH” W ŻYCIORYSIE NAJWYŻSZEGO URZĘDNIKA ONZ. LAKE NAJWYRAŹNIEJ UTRZYMYWAŁ TE INFORMACJE W TAJEMNICY PO TO, BY MIEĆ

MOŻLIWOŚĆ WYWIERANIA NACISKÓW NA SZEFA ONZ. „JEŚLI MOŻESZ

SZANTAŻOWAĆ SEKRETARZA GENERALNEGO ORGANIZACJI NARODÓW

ZJEDNOCZONYCH, DYSPONUJESZ NAPRAWDĘ DUŻĄ WŁADZĄ”, POWIEDZIAŁ NASZEJ GAZECIE CZŁOWIEK Z WYDZIAŁU WYWIADU PROSZĄCY O

ZACHOWANIE ANONIMOWOŚCI. MÓWI SIĘ, ŻE POZYCJA LAKE'A WISI W TEJ

CHWILI NA WŁOSKU, JAKO ŻE KOMENDANT NOWOJORSKIEJ POLICJI CHUCK

RILEY „WŚCIEKA SIĘ”, IŻ JEGO SŁUŻBY NIE PRZEKAZAŁY TAK DELIKAT-NYCH INFORMACJI SPOŁECZNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ JESZCZE PRZED

WYBOREM VIRENA.

Tom nie śledził zbyt uważnie tego, co działo się później. Kiedy policja ich wypuściła, przyjął ofertę Henninga, który zaproponował im miejsca do spania u siebie: gościnny pokój dla Rebecki i kanapę dla niego.

Myślał wtedy, że zapadnie w głęboki sen zmęczonego człowieka, ale nie mógł usnąć. Zamiast tego miał gonitwę myśli.

439

Wyobrażał sobie prezydenta Izraela kiwającego z zadowoleniem głową w czasie, gdy w pokoju hotelowym na Manhattanie oglądał wiadomości telewizyjne. Jednego dnia ten starzec utwierdził się w przekonaniu, że Gerszon Matzkin mimo wszystko nie pojawił się w Nowym Jorku, żeby rzucić mu w twarz zdradę DIN – i miał okazję okupić swoją winę, ciężącą mu na sumieniu przez ponad sześćdziesiąt lat. Była to szansa, z której ochoczo skorzystał.

Jednocześnie Tom wyczuł coś więcej niż zakłopotanie u „Richarda”, człowieka, który odurzył ich i uprowadził do Nowego Jorku, kiedy spotkali się z nim tydzień później, zgodnie z umową. Prawie nie patrzył im w oczy, gdy odbierał od Toma i Rebecki papiery, które przygotowali dla niego, wśród nich pocztówkę z zaszyfowaną wiadomością, napisaną ołówkiem w jidysz. Jeśli prezydent dobrze się jej przyjrzy i odcyfruje wyblakłe pismo, odnajdzie w Biblii wersy będące aluzją do jego własnego imienia. Uznali, że to powinno wystarczyć do przekonania starego polityka, iż wszystko, co mogłoby mu zagrażać, przeszło na jego własność.

Tom poczuł wibrację w kieszeni. Potrzebował sekundy lub dwóch, by wyrwać się z zamyślenia i uświadomić sobie, że to telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Sprawdził ponownie, żeby się upewnić: Rebecca.

Dopiero od miesiąca była z powrotem w Londynie, po spędzeniu niemal całego roku na podróżach. Potrzebowała czasu na oczyszczenie umysłu, jak powiedziała. Zjeździła całą Europę i Amerykę Łacińską, zatrzymała się na chwilę w Republice Południowej Afryki. Przez jakiś czas Tom zastanawiał się, czy odbywała pielgrzymkę śladami ojca, po-wodowana chorobliwą chęcią odwiedzenia miejsc, gdzie wykonywał

wyroki. Rebecca twierdziła jednak, że nie ma to z tym nic wspólnego. W

większości tych krajów pracowała jako lekarz wolontariusz. Jako dowód podała, że nawet nie zbliżyła się do San Sebastian.

– Tom? To ja.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Już sam jej głos nadal wywoływał w 440

nim elektryzujący dreszcz, ale teraz budził w nim raczej nieufność niż pożądanie. O tylu rzeczach sobie nie powiedzieli.

–

Mam smutną wiadomość. Pamiętasz Sida Steinera? Mężczyznę z domu starców? – kontynuowała.

–

Oczywiście.

–

Umarł zeszłej nocy. Podczas snu.

–

Och, przykro słyszeć. – Przypomniał sobie staruszka grającego na pianinie, przebierającego palcami nad klawiaturą, jakby był nastolatkiem.

–

On był ostatni, Tom. – Słyszał drzenie w jej głosie. – Teraz nie został już nikt.

–

Wiem.

–

Jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. – Przerwała na chwilę, zbierając się na odwagę. – Chcę zrobić to, co robił mój ojciec, kontynuować to, co zaczął.

Tom poczuł ucisk w piersi. Co ona mówiła?

–

Posłuchaj, Rebecca. Przykro mi z powodu śmierci Sida, ale DIN

musi w końcu przestać istnieć. Nie spoczywa na tobie obowiązek kontynuowania...

–

Nie, nie to miałam na myśli. DIN już nie istnieje, Tom. Nie oczekuję, że wybaczysz mi sposób, w jaki to się skończyło, ale chcę, żebyś wiedział, że tak musiało być. I że już nigdy cię nie okłamię.

–

Chcę w to wierzyć, Rebecca.

Zapadło milczenie. W końcu Rebecca odezwała się ponownie:

—

To coś innego, coś, co muszę zrobić dla Sida. Coś, co mój ojciec zawsze robił, gdy do tego dochodziło. Jeszcze nigdy tego nie robiłam.

Ale chcę, żebyś był przy tym ze mną. Przy mnie. Bo tylko ty wiesz o wszystkim, co się stało.

—

Co takiego musisz zrobić?

—

Chcę ich pamiętać, Tom. Sida, ojca, Annę, Ryfkę, Leę, wszystkich. Chcę ich wspominać. Chcę odmówić kadisz.

Nota od autora

Rachunek zemsty jest powieścią – ale sedno tej historii jest prawdziwe. Grupa ludzi ocalałych z Holokaustu, w miesiącach i latach po zakoń-

czeniu drugiej wojny światowej rzeczywiście szukała zemsty na nazistowskich mordercach Żydów i robiła to w sposób opisany w tej książce.

Znano ich pod hebrajskim mianem *Ha'nokmim*, Mściciele. Jej trzon stanowiło około pięćdziesiąt osób, kobiet i mężczyzn, których większość należała wcześniej do ruchu oporu w gettach. Inna nazwa tej grupy –

zaczepnięta z jej motta – *Dahm Y' Israel Nokeam*, co w tłumaczeniu oznacza „Krew Izraela się zemści”, dała początek skrótowi DIN.

Ich historia została po raz pierwszy opowiedziana po angielsku w naprawdę wybitnej książce *Forged in Fury*, napisanej przez byłego korespondenta BBC w Jerozolimie, Michaela Elkinsa. Opublikowana w 1971

roku, kiedy wielu z jej bohaterów jeszcze żyło, jest prawdopodobnie najpełniejszą relacją z powojennej działalności DIN. Więcej szczegółów pojawiło się w następnych latach we wspomnieniach autorstwa jej członków, w tym *From the Wings* Josepha Harmatza oraz doskonale napisanych *The Avengers* Richa Cohena. Wywiad z Harmatzem, który wydrukował „Observer” z 15 marca 1998 roku, także dostarczył użytecznych informacji.

Wiele szczegółów jest różnie przedstawionych w tych źródłach, ale wszystkie wyraźnie potwierdzają istnienie planu A, zamiaru wprowadzenia trucizny do niemieckich wodociągów, i planu B, otrucia byłych oficerów SS poprzez wykorzystanie norymberskiej piekarni. Nadal toczą się 442

spory dotyczące faktycznej liczby nazistów zabitych w tej drugiej operacji, ale Harmatz – który brał w niej bezpośredni udział – i inni nie pozostawiają wątpliwości, że taka akcja rzeczywiście się odbyła. Artykuły w

„New York Timesie” z kwietnia 1946 roku opisują szczegółowo skutki tego zamachu, artykuły, które Tom i Rebecca czytają w kawiarence internetowej, nie zostały wymyślone: w książce cytowane są dokładnie tak, jak je opublikowano w gazecie. Można do nich dotrzeć w bazie danych

„New York Timesa”.

Z dokumentów wynika również, że przywódca Mścicieli, Abba Kovner, pojechał do Palestyny – podobnie jak Aron w tej książce – szukając moralnej aprobaty ludzi, którzy mieli w przyszłości stanąć na czele pań-

stwa Izrael. Kovner spotkał się z Chaimem Weizmannem, nie tylko byłym

przywódcą światowego syjonizmu, który w niedługim czasie został

pierwszym prezydentem Izraela, ale też wybitnym chemikiem. Zgodnie z relacją Cohena, Weizmann wysłuchał Kovnera, zanim powiedział:

„Gdybym przebył drogę, którą ty przebyłeś, gdybym widział to, co ty widziałeś, postąpiłbym tak samo” – identycznie jak członek „starszyny” w tej powieści, dający swoje błogosławieństwo Aronowi. Bo rzeczywi-

ście Weizmann skontaktował Kovnera z pewnym młodym chemikiem, który miał dać mu truciznę. W książce Cohena Weizmann wie raczej jedynie o planie B niż o znacznie bardziej śmiertelniejszym planie A; niemniej Elkins sugeruje, że starzec był świadom istnienia planów akcji zakrojonej na szerszą skalę i ją popierał.

Los Arona odzwierciedla prawdziwe wydarzenia z życia Abby Kovnera, który rzeczywiście, mając przy sobie pojemniki z trucizną, wszedł na pokład brytyjskiego statku wypływającego do Europy i został

aresztowany przez brytyjską żandarmerię wojskową pod koniec podróży, co zmusiło go do zaniechania realizacji planu A. Historycy zajmujący się tym epizodem spierają się o to, kto dokładnie mógł go zdradzić, ale co do jednego są zgodni – podobnie jak sam Kovner – musiał to być Żyd albo syjonista. Osobnik, który wydaje Arona w powieści, jest postacią fikcyjną. Prawdę mówiąc, powinienem podkreślić, że stworzony przeze mnie 443

prezydent Izraela nie powinien być mylony z człowiekiem obecnie sprawującym ten honorowy urząd – choć obaj mają po osiemdziesiątce.

Gerszon Matzkin to także twór mojej wyobraźni, ale jest zakorzeniony w rzeczywistości. Jest amalgamatem kilku postaci, w tym Lebke

„Ayre” Distela – blondwłosego, niebieskookiego Mściciela, który – jak twierdzą Harmatz i Cohen – zatruł bochenki przeznaczone dla stalagu 13

– a także człowieka nazywanego przez Elkinsa Benlssacharem Feldem (to najprawdopodobniej pseudonim mający chronić jego prawdziwe nazwisko), przemianowanego później na „Benno Poślańca”. Młodemu chłopakowi, Feldowi, powierzono rozpowszechnienie informacji o nazistowskim planie eksterminacji Żydów. Zaszifrowana wiadomość przekazywana przez Felda, zgodnie z tym, co napisał Elskins, miała takie samo brzmienie, jak ta dostarczana przez Matzkina – „Ciotka Estera wróciła i jest na ulicy Megillat pod numerem siódmym, mieszkania cztery”.

Opis kowieńskiego getta i okoliczności prowadzące do jego utworzenia, a także masowe mordy w IX Forcie mają gruntowne potwierdzenie w udokumentowanych faktach. Pogrom z czerwca 1941 roku jest wymieniany w wielu źródłach, w tym *The Vanished World of Lithuanian Jews* autorstwa Alvydasa Nitzentaitisa, Stefana Schreiner, Dariusa Staliunasa i Leonidasa Donskisa. Przy relacjonowaniu „Wielkiej Operacji” z 28 października 1941 roku posiłkowałem się przede wszystkim informacjami z *Surviving the Holocaust: The Kovno Ghetto Diary* Avrahama Tory, a także zeznaniami naocznych świadków, zebranymi na stronie internetowej HolocaustResearchProject.org. Obraz dołu, który, jak się wydawało, oddychał przez trzy dni,

pochodzi od ojca Patricka Desboisa, zacytowanego w *A Priest Methodically Reveals Ukrainian Jews ' Fate*, z artykułu opublikowanego w „New York Timesie” 6 października 2007

roku. George Kadish, fotograf, którego zdjęcia pomagają Tomowi odkryć w końcu tajemnicę tej historii, także nie jest wytworem wyobraźni: wszystkie jego zdjęcia oglądane przez Toma, poza ostatnim, można zobaczyć na Internecie.

444

Wyblakła lista celów DIN, niby to dostarczona przez posłańca do mieszkania Rebecki, jest przeniesiona z *Forged in Fury*: dodano do niej jedynie dwa fikcyjne nazwiska Joschki Dorfmana i Fritza Kramera. Sta-tystyki prezentowane przez Goldmana, wyliczające ogromną liczbę nazistów, którzy uniknęli sprawiedliwości, są cytowane z pracy Raula Hilberga: tabela z liczbami jest umieszczona w przypisach do eseju Davida Cohena *Transition Justice in Divided Germany after 1945*, opublikowanego w *Retribution and Reparation in the Transition to Democracy*, pod redakcją Jona Elstera. Biorąc pod uwagę głęboką tajność operacji DIN, nie ma sposobu, by ustalić dokładnie, kogo w rzeczywistości Mściciele zlikwidowali. Niektóre nazwiska przytaczane przez Elkinsa w 1971 roku dziś nie wytrzymują próby historycznego potwierdzenia. Trudno jednak nie zgodzić się z tym, że naziści byli ścigani i zabijani we własnych domach, na ulicach i głęboką nocą na całym globie – przez grupę męż-

czyn i kobiet zdeterminowanych, by pokazać światu, że żydowskiej krwi nie można przelewać bezkarnie.

Podziękowania

Jak zostało podkreślone w *Nocie od autora*, jestem wyjątkowo zobowiązany ludziom, którzy wcześniej i bynajmniej nie pod postacią fikcji literackiej opisali niezwykle wydarzenia stanowiące rdzeń tej powieści.

Poza Josephem Harmatzem i Richem Cohenem, chciałbym wyrazić wdzięczność nieżyjącemu Michaelowi Elkinsowi, który wydobył historię DIN na światło dzienne. Jego książka *Forged in Fury* miała na mnie ogromny wpływ, kiedy pierwszy raz przeczytałem ją dwadzieścia lat temu, i do dziś to wrażenie nie słabnie.

Istnieje długa lista tych, którzy pomogli mi doprowadzić to przedsię-

wzięcie do końca, Ian Williams, Marc Quarterman, Andrew Gilmour i Sam Daws okazali się wyjątkowo hojni w dzieleniu się wiedzą o Organizacji Narodów Zjednoczonych, podczas gdy Philippe Sands, prawnik, doradzał mi w nieoceniony sposób w zagadnieniach prawa międzynarodowego. Doktor Nick Haining dzielił się ze mną medycznymi ekspertyzami, a Raymond Shaw pozwolił mi wykorzystać swoją gigantyczną wiedzę o prawie karnym. Jim Dwyer z „New York Timesa” poświęcił mi mnóstwo czasu i zasługuje na swoją reputację jednego z najlepszych sprawozdawców policyjnych w Ameryce. Steve Coombes dał mi znako-mite wskazówki dotyczące trudnej problematyki inwigilacji i ochrony bezpieczeństwa. David Learmount z Flight International otworzył przede mną okno na mało znany świat prywatnego lotnictwa.

Jestem wdzięczny również Lesterowi Harrisowi i jego zespołowi z Brenner Centre; i po raz kolejny dziękuję niezmordowanej Annie Tzelni-ker za jej doskonałą znajomość jidysz; Ericowi Silverowi i Ruth Tzur za podzielenie się wspomnieniami o Michaelu Elkinsie. Moje słowa podziękowania otrzymują Cordelia Borchardt, Jon Henley, Vic Keegan, Seumas Milne i Jay Rayner za udostępnienie mi zasobów swoich banków wiedzy.

Specjalne podziękowania, po raz któryś, kieruję do energicznego Jo-nathana Cummingsa za umiejętność wyszukiwania nawet najbardziej tajemniczych faktów. Dziękuję także Jane Johnson oraz Sarah Hodgson i Fionie McIntosh z wydawnictwa Harper Collins, które wykazywały się czystym profesjonalizmem i zdolnościami a przede wszystkim wiedzą.

Początkową inspiracją do napisania tej książki stała się rozmowa z moim agentem Jonnym Gellerem, którego lojalność, przenikliwość i niezachwianą wiarę we mnie nadal podziwiam.

Na koniec muszę podziękować ukochanej żonie Sarah i dwóm małym synom, Jacobowi i Samowi, których cierpliwość była wystawiona na próbę w trakcie powstawania tej powieści. W tej książce rozpamiętuję mroczną przeszłość, ale wiem, że z nimi buduję jasną przyszłość.